



ELVIRA BARYAKINA

BURZLIWA EPOKA

część III

SOWIECKI
KSIĄŻĘ

Prószyński i S-ka

ELVIRA BARYAKINA

BURZLIWA EPOKA

CZĘŚĆ III

SOWIECKI
KSIĄŻĘ

Przełożył
Rafał Dębski

Prószyński i S-ka

Prolog

1

Do Klima Rogowa,
niewdzięcznego jadowitego węża,
którego wyhodowałem na własnej piersi

Od Fernanda Jose Burbano
jego kierownika
i właściciela tej przeklętej radiostacji,
niech ją piekło pochłonie!

W SPRAWIE

Twojego podłego zwolnienia się
na własną prośbę

28 września 1927 roku
Republika Chińska
miasto Szanghaj

Uwaga od sekretarki O. Harper: Proszę wybaczyć, Klimie, ale piszę dokładnie to, co dyktuje szef.

Niewdzięczny łajdaku!

Nie masz prawa zwalniać się z mojej znakomitej radiostacji i jechać sobie w diabły, to znaczy do Rosji Sowieckiej! Jesteś naszym najlepszym prowadzącym, bez Ciebie zaczną się problemy z reklamodawcami, a dopiero co zawarliśmy kontrakt z chłopakami, którzy produkują tabletki na nerwy Tonizer. Obiecałem, że zrobisz wszystko, jak trzeba, a zamiast tego zwiąłeś, i za to Cię nienawidzę, a także przeklinam, życząc Ci, byś szczeł!

Dowiedz się, że nie przyjmę Cię z powrotem, nawet gdybyś pełzał przede mną i błagał o wybaczenie przez calutki rok.

Wyjaśnij mi, po jaką cholere wybrałeś się do tego szalonego kraju? Przecież ledwie uciekłeś stamtąd po rewolucji! Przecież rządzą tam bolszewicy, którzy nie boją się Boga i odbierają własność prywatną wszystkim przedsiębiorcom!

Jeśli po prostu Ci odbiło, kup sobie Tonizer, chłopaki dadzą rabat po znajomości. Ale jeżeli świadomie tak szalejesz, to mam nadzieję, że bolszewicy powieszą Cię na

pierwszej suchej gałęzi.
Twój przyjaciel Fernando

2

Do mojego kierownika, przyjaciela
i właściciela tej przeklętej radiostacji
Fernanda Jose Burbana

Od niewdzięcznego łajdaka
Klima Rogowa

W sprawie mojego zwolnienia

29 września 1927 roku
Republika Chińska
miasto Szanghaj

WYJAŚNIENIE

Przyjacielu, nie złość się na mnie. Robię po prostu to, co powinienem.

Moja żona wpadła w tarapaty – bolszewicy wywieźli ją do ZSRS, gdzie grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo. Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że sowiecka policja polityczna, OGPU, ściga wszystkich wracających do ojczyzny białogwardzistów i wysyła ich do obozów pracy na Daleką Północ. Czekaistów nie interesuje, czy człowiek jest winien, czy nie, a „neutralizują” go na wszelki wypadek, więc muszę spróbować ocalić Ninę.

Już wiem, co powiesz: „Takie damulki przynoszą mężczyznom tylko nieszczęście”. Bez wątpienia masz rację. Wracając do Rosji Sowieckiej, ryzykuję, że mogę wpaść w łapy OGPU, bo jestem przecież takim samym białogwardyjskim emigrantem, jak moja żona. Nawet jeśli zdołam ją stamtąd wyrwać, nie liczę na spokojne życie rodzinne, jako że Nina z jej namiętą duszą i narowistym charakterem nie nadaje się do takowego.

Jak by Ci to wyjaśnić, żebyś wszystko zrozumiał i nie gniewał się na mnie?

Przypuśćmy, że postanowiłeś doprowadzić swój dom do przyzwoitego wyglądu i włożyłeś w to dziesięć tysięcy. Tragarze przywieźli teatralny żyrandol i zostawili w westybulu zdemontowany. Robotnicy zrobili wykop pod basen i teraz na tyłach posiadłości masz wielką dziurę, na której dnie stoi deszczowa woda i rodzą się komary. Ram w oknach nie ma, komin zatkany, a Ty już od pół roku kolacje jadasz nie w domu, ale po restauracjach i znajomych, bo w twojej kuchni i jadalni wszystko jest w rozsypce.

Porzucisz pomysł? Ależ skąd! Zaszedłeś zbyt daleko i nie możesz zawrócić.

Do tego przed oczami masz wciąż dom swoich marzeń i chcesz mieszkać tylko w nim.

Odczuwam coś podobnego. Poznaliśmy się z Niną dziesięć lat temu, w 1917 roku, kiedy przyjechałem do Niżnego Nowogrodu, by przejąć spadek po zmarłym ojcu. Całe dorosłe życie spędziłem za granicą, czując się młodym i utalentowanym wybrańcem bogów. Możesz wierzyć lub nie, ale uważałem się za jednego z najlepszych dziennikarzy w Argentynie. A potem okazało się, że na dodatek stałem się bogaty jak padyszach, bo ojciec zostawił naprawdę spory majątek.

I wyobraź sobie, że poświęciłem wszystko, co miałem, dla przepięknych oczu Niny. Kiedy bolszewicy przejęli władzę, wszyscy radzili mi wrócić do Buenos Aires, ale uznałem, że moja miłość jest warta więcej od pieniędzy i dziennikarskiej sławy. Nie mogłem zabrać ukochanej ze sobą, nie dali jej wize, więc zostałem w kraju, w którym wybuchła wojna domowa. I chociaż straciłem majątek i argentyński paszport, zyskałem parę blizn, solidnie oberwałem od życia i napatrzyłem się na takie rzeczy, że koszmarny sen może się przy nich wydać dziecinną igraszką, niczego nie żałuję.

Dostała mi się cudowna, jedyna w swoim rodzaju kobieta, dla której warto iść na koniec świata i chwycić diabła za ogon. Tylko przy niej czuję, że żyję.

Każdy ma swoje skarby, Fernando. Ty jesteś gotów na każde ryzyko dla zysku, a ja nie cenię złota i nie chcę budować handlowego imperium. Jeśli czegoś się teraz podejmuję, robię to dla mojej żony i małej córeczki. Wybacz, taką już mam skazę na charakterze.

Proszę, nie odrzucaj mnie. Tak, pokłóciliśmy się z Niną na śmierć i życie. Tak, nasze relacje utknęły w martwym punkcie i nie widzę sposobu, jak by to rozwiązać. Ale za późno, bym się cofnął.

Twój przyjaciel, towarzysz broni i współpracownik,
Klim Rogow

3

Do Klima Rogowa
Od Fernanda Jose Burbano

W sprawie twojego *** wyjaśnienia

Republika Chińska
miasto Szanghaj

Uwaga od sekretarki O. Harper: Tam, gdzie widnieją gwiazdki, pan Burbano wyrażał się bardzo niecenzuralnie. Proszę o wybaczenie.

A idź do wszystkich diabłów, Ty ***, ***, żeby Cię ***!

Słuchaj, jeśli wrócisz z Sowietów żywy, urządzimy teatr radiowy na motywach Twoich przeżyć, co? Ludziom na pewno się spodoba. Jeżeli chłopaki od Tonizera do tego czasu mnie nie rozwałą, weźmiemy ich na reklamodawców.

Będziesz opowiadał, jak ścigali Cię *** bolszewicy, a w czasie przerw reklamowych zachęcisz słuchaczy do zażywania tabletek na nerwy.

W ogóle zapisuj wszystko, co Ci się przydarzy, a jeśli by Cię mieli tam dopaść, znajdź okazję, żeby wysłać notatki do nas, a my puścimy je w eter.

Gdybyś potrzebował, aby pomodlić się za Twoją duszę, przyślij telegram. Chociaż z Ciebie nie katolik, ale prawosławny ***, pomodlę się i zrobię wszystko, jak trzeba.

Twój przyjaciel Fernando

Rozdział 1

Ucieczka z Chin

Okno w pokoju, który zajmowała Nina, było ozdobione delikatnymi czerwonymi listewkami, ułożonymi w wymyślny wzór. Dawniej mieszkała tu żona ważnego chińskiego urzędnika i drewniana koronka w oknie stanowiła symbol sukcesu oraz rozkwitu.

Ale dla Niny to był symbol więziennej kraty. Od chwili, kiedy bolszewicy ją tu przywieźli, nie mogła wychodzić poza teren posiadłości. Od dwóch miesięcy jej świat skurczył się do wewnętrznego podwórza z zarośniętym rzęsą stawem i wysokim kamiennym murem.

Oficjalnie mieszkał tutaj uczony orientalista, faktycznie była to kwatera sowieckiej agentury, przysłanej do Pekinu, żeby zorganizowała zryw robotników i rozpałała nowe ognisko rewolucji światowej.

Mimo wczesnej pory, ludzie w posiadłości byli już na nogach. Tam i z powrotem biegali pracownicy. Na ziemi, wśród kałuż, wałały się zapomniane rzeczy i dokumenty.

Nina ze strachem obserwowała samochody czekające przed bramą. Drzwi miały otwarte, a stenotypistki pospiesznie wrzucały do środka toboły i walizki.

Czyli prawdą okazała się wiadomość, że z Moskwy nadszedł rozkaz ewakuacji.

Od rana w powietrzu wisiał wilgotny żar, ale Niną trzęsło jak w febrze. Jeżeli bolszewicy wyjadą, co się z nią stanie? Miała nadzieję, że ją wypuszczą albo zwyczajnie o niej zapomną, a wtedy wyłamie kratę w oknie i wyrwie się stąd.

W ostatnim czasie sowieccy pracownicy żyli jak na beczce prochu. Rewolucja w Chinach nie udała się, przedstawicielstwo dyplomatyczne zostało rozbite, a miejscowych komunistów prowadzono na śmierć bez śledztwa i sądu. Ich odrąbane głowy zalegały na placach miejskich jako ostrzeżenie.

W sierpniu 1927 roku stało się zupełnie jasne, że sprawa jest przegrana. Wielkie miasta kontrolowali biali koloniści i miejscowi bandyci-generałowie, a ubodzy rolnicy interesowali się socjalizmem nie bardziej niż pogodą w Australii.

Moskwa straciła ogromne środki na propagandę oraz wojnę domową w Chinach i porażka na Dalekim Wschodzie oznaczała dla władzy sowieckiej koniec wszelkich nadziei. Ktoś powinien ponieść odpowiedzialność za tę katastrofę, więc agenci pracujący w Pekinie znaleźli się między młotem a kowadłem. Z jednej strony czekali na nich chińscy policjanci z zakrzywionymi mieczami, z drugiej rozsierzdzeni towarzysze.

Jakkolwiekby na to patrzeć, wracać do ZSRS było strasznie.

Na ganek wyszedł Borysow, instruktor partyjny, a Nina wzdrygnęła się mimo woli. Ten obrzydliwiec w pijanym widzie zawsze dobijał się do niej: „Otwieraj, zajmiemy się walką klas!”, a Nina ratowała się, budując przy drzwiach barykadę z mebli.

Do Borysowa podbiegli jacyś ludzie i wszyscy razem zaczęli oglądać rozłożoną na masce auta mapę.

Żeby tylko o mnie sobie nie przypomnieli – modliła się Nina.

Pół roku wcześniej przypadkowo znalazła się na parowcu z sowieckimi agentami i razem z nimi trafiła do aresztu. Chińskie władze nie dochodziły, kto jest czerwony, a kto biały, wszyscy Rosjanie to była dla nich jedna dzicz, więc wszystkich razem przewieziono

do Pekinu, aby ich osądzić. Od śmierci uratowało ich tylko to, że bolszewicy wręczyli sędziemu ogromną łapówkę, a on wypuścił podsądnych.

Ale Nina z jednego więzienia trafiła do drugiego. Pekijski rządca rozpoczął polowanie na sprzedajnego sędziego i rosyjskich spiskowców, więc musieli się ukrywać w starej posiadłości na przedmieściach stolicy. Jednego po drugim „wspólników” Niny odwieziono do ZSRS. Mieszkańcy domu kilka razy się zmieniali, a ona wciąż siedziała w swoim pokoju i czekała, aż dalecy naczelnicy postanowią o jej losie.

Ileż razy prosiła Borysowa, żeby ją wypuścił!

– W Szanghaju zostawiłam męża i małe dziecko.

Nie dała jednak rady go zmiękczyć. Wiedział, że Nina zaadoptowała chińską znajdę, i nie wierzył, że mogła naprawdę przywiązać się do swojej Kitty. A co do męża, Borysow tylko szydził:

– Znamy was, kurwy biało-gwardyjskie! Przyjechała taka do Chin, nie chciało się uczciwie pracować, więc sprzedała tyłek imperialistycznemu ścierwu!

Gdyby mu ktoś powiedział, że Nina zarządzała dużą agencją ochrony i miała pod sobą więcej niż stu uzbrojonych biało-gwardzistów, pewnie by ją rozstrzelał. W oczach rosyjskich imigrantów zrobiła po prostu oszałamiającą karierę, ale bolszewicy patrzyli na sprawę inaczej. Kim mogła być kobieta, która uciekła do Chin po rewolucji i nagle się wzbogaciła? Przecież tak nie bywa, żeby w kraju kapitalistycznym ktoś osiągnął sukces własnym rozumem i pracą! Do tego Nina zdobyła dla siebie i męża amerykańskie paszporty, i to w drodze wyjątku, nie jadąc nawet do Stanów Zjednoczonych. To oczywiście, że musiała być szpiegiem i wrogiem ludu!

Borysow zadarł głowę, spojrzał w okno Niny, po czym zdecydowanym krokiem skierował się do domu.

Kobiecie załomotało serce. Co robić? Znow się zabarykadować? A jeśli on zacznie strzelać? A może jeszcze gorzej – wzniesi pożar? Kilka dni wcześniej bolszewicy mówili, że posiadłość trzeba spalić, bo nie byli w stanie wywieźć całego tajnego archiwum.

Borysow wpadł do pokoju i chwycił Ninę za rękę.

– Jedziesz z nami!

– Dokąd?! – Przestraszyła się.

– Do Związku Radzieckiego. Zrobimy z ciebie, burżujko, wartościowego człowieka pracy!

Wyrywała się, ale z pomocą Borysowowi przyszli dwaj wartownicy. Wywlekli Ninę z budynku i wrzucili ją na tylnie siedzenie samochodu.

Borysow zwałił się obok, przystawił jej do twarzy pięść pokrytą tatuażami.

– Tylko piśnij, ścierwo! Zabiję!

Mała kawalkada wyjechała z Pekinu w środku sierpnia i kilka tygodni krążyła po polnych drogach, żeby zmylić policyjny pościg.

Przez cały ten czas bolszewicy nie spuszczała Niny z oczu. Zmęczeni i nerwowi, wyżywali się na sobie nawzajem, a także na każdym, kto im nawinał się pod rękę. Dla nich wypuszczenie Niny oznaczało, że daliby jej szansę uratowania się, a na to według nich absolutnie nie zasługiwała.

Kiedy dotarli do środkowej Mongolii, dołączyło do nich kilka maszyn z chińskimi komunistami i ich sowieckimi doradcami. Ci napędzili zbiegom jeszcze więcej strachu, opowiadając, że w Moskwie zaczęły się ostre spory między wyższymi działaczami partyjnymi.

Józef Stalin, sekretarz generalny KC WKP(b), nieoczekiwanie zaczął rosnać w siłę i obwinił o porażki ponoszone za granicą samego Lwa Trockiego, jednego z głównych organizatorów rewolucji październikowej i twórcę Armii Czerwonej. Jego stronników otwarcie nazywano kontrrewolucjonistami i piętnowano. To był zły znak, jako że sowieccy agenci, pracujący w Pekinie, praktycznie co do jednego byli właśnie trockistami.

Nina słuchała tych rozmów z drżeniem. Jeżeli nawet zagorzali bolszewicy obawiali się o swój los, to co ją mogło czekać? Przy czym istniała możliwość, że wcale nie dotrze do Rosji – Borysow nie ukrywał, że zbiera się, aby dać jej „nauczkę”. Kupił na wiejskim targu bicz sporządzony z długich metalowych ogniów i zapowiedział Ninie, że niebawem wypróbuje na niej nowy nabytek.

Wielka pustynia Gobi rozciągała się za granicą niewysokich gór i kawalkada podróżowała dalej po kamienistym bezdrożu. Jeden z samochodów się zepsuł, a zanim go naprawili, zapadła noc. Po raz pierwszy od wyjazdu z Pekinu uciekinierzy pozwolili sobie na małe odprężenie. Borysow miał w bagażach ryżową wódkę, niebawem butelka poszła kręgiem.

Nina zrozumiała, że to jedyna szansa na ucieczkę – nie zdążyli odjechać zbyt daleko od ostatniej chińskiej wioski.

Kiedy rozluźnieni rewolucjoniści siedzieli przy ognisku i wspominali życie w Chinach, Nina pospiesznie zbierała rzeczy. Wzięła tylko kompas, koc, suchary i manierkę z wodą. Nie miało sensu dźwigać niczego więcej, bo gdyby zabłądziła, i tak zginie.

Nina starała się nie myśleć, co z nią będzie, kiedy dotrze do Chińczyków. Nie знаła języka, nie miała dokumentów, a do Szanghaju nie mogła wysłać wiadomości, bo najbliższy telegraf znajdował się sto mil dalej. Ale lepiej już zginąć gdzieś na głuchej chińskiej prowincji, niż wpaść w łapy Borysowa.

Podpici bolszewicy jeden po drugim rozeszli się po namiotach, a kiedy niebo zaczęło się rozświecać, Nina cichaczem opuściła obóz.

W szaroniebieskim półmroku niewiele widziała, orientowała się według gwiazd,

idąc po płaskiej, usianej małymi kamykami równinie.

Wokół panowała grobowa cisza. Gdyby złamała teraz nogę, nastąpiła na skorpionia albo zwyczajnie otarła sobie pięty, mogłaby pożegnać się z życiem.

– Najważniejsze, żebyś na mnie czekał – szeptała Nina.

Przez ostatnie miesiące stale rozmawiała z mężem, zupełnie jakby mógł ją usłyszeć. Kiedy została aresztowana, przyjechał do Pekinu i wziął czynny udział w jej uwolnieniu, mimo wszystkich zaszłości, jakie ich dzieliły. Musiała przyznać, że cokolwiek by się między nimi działo, nigdy jej nie porzucił w nieszczęściu.

Bolszewicy z pewnością nie powiedzieli Klimowi, dokąd wywożą jego żonę po sprawie sądowej, więc mog-ła tylko snuć domysły, co się z nim potem stało. Wrócił do Szanghaju? A może został w Pekinie?

– No widzisz, wracam do ciebie... – powtarzała Nina. – Wszystko naprawię, tylko daj mi szansę!

Nad pustynią wstało wielkie różowe słońce, a Nina wciąż szła w stronę gór. Ze zmęczenia szumiało jej w uszach, czuła klucie w boku, ale nie chciała się zatrzymywać. Powinna odejść jak najdalej, zanim na świat spadnie koszmarny upał.

Nagle rozległ się wystrzał i niedaleko pojawiła się fontanna małych kamyczków. Wzdrygnęła się, obejrzała i poczuła lodowaty chłód. Na dole, u stóp wzgórza stał znajomy, zakurzony buick. Friedrich, Niemiec pracujący dla bolszewików jako instruktor lotniczy, opuścił karabin i przywołał Ninę gestem.

– Proszę tutaj!

Nie miała gdzie się ukryć, więc zeszła i usiadła z twarzą ukrytą w dłoniach. Niech ją zabierają, gdzie chcą.

Borysow podskoczył do niej, chwycił za ramię i zmusił do powstania.

– Głupia! – wrzasnął i wymierzył jej policzek. – Wiesz, ileśmy benzyny przez ciebie zmarnowali?!

Nina próbowała się wyrwać, ale Borysow wykręcił jej rękę i powłókł do samochodu.

– No to teraz oberwiesz! – syknął. – Naraziłaś towarzyszy na niebezpieczeństwo! A gdyby cię schwytali? Wszystkich byś wydała Chińczykom!

Znow chciał ją uderzyć, ale Friedrich go powstrzymał.

– Jedziemy! Musimy dogonić pozostałych!

Wsadzili zapłakaną Ninę do buicka między skrzynki z konserwami a lśniąca tubę gramofonu.

– Wypuszczę cię za jakiś tydzień – obiecał Borysow. – Bez jedzenia i wody, za to wpierw porządnie wybatożę.

Friedrich zerknął na kobietę w lusterku wstecznym.

– Przesiądź się do samochodu Magdy – powiedział nagle po angielsku. – I nie odchodź od niej nawet na krok, bo ten łajdak naprawdę gotów cię zatłuc na śmierć.

Nina się zdziwiła. Nie myślała, że którykolwiek z bolszewików może jej współczuć.

Borysow nachmurzył się.

– Co jej powiedziałaś?!

Nie znał angielskiego, mimo że przez trzy lata pętał się po dzielnicy ambasad.

– Żeby wynosiła się do furgonu z bagażami – odparł Friedrich. – Nie zamierzam znosić jej towarzystwa w moim wozie.

Angielka Magda Thompson czuła się pariasem wśród bolszewików, bo została obarczona pewną wrodzoną przypadłością – była spadkobierczynią wielkiego zakładu mydlarskiego pod Liverpooliem. Wysoka i tęga, mogłaby uchodzić prędzej za córkę rzeźnika niż „księżniczkę mydła”, ale to nie miało znaczenia. Bolszewicy patrzyli na nią krzywo, w dodatku przy każdej okazji szydzili sobie z niej zupełnie otwarcie.

Magda podróżowała po świecie dla własnej przyjemności, a w Pekinie zamieszkała w hotelu niedaleko dzielnicy ambasad. Pewnej nocy czytała książkę, kiedy nagle usłyszała podejrzaną szmery pod drzwiami. Wyrzawszy na korytarz, ujrzała człowieka, który próbował dłonią zatamować krew płynącą z rany na ramieniu.

– Ściga mnie chińska policja – powiedział, ciężko dysząc. – Mogę się u pani schronić? Mam na imię Friedrich, a pani?

Jakże Magda mogłaby się oprzeć urokowi teutońskiego rycerza o sokolim spojrzeniu i z krótkim językiem posiwiałych włosów? Przyjęła Friedricha, a potem zaczęła mu pomagać, w czym tylko mogła – wozila go po konspiracyjnych kwaterach i organizowała ewakuację chińskich komunistów oraz ich rosyjskich doradców.

Nocami oddawali się namiętności, a potem Magda ostrożnie wypytywała, co kochanek zamierza robić dalej.

– Pojadę do Moskwy – odpowiadał.

– Ale po co? – pytała. – Jest pan Niemcem, czego chce pan tam szukać?

– Tam się rodzi zorza nowego świata. A na waszym Zachodzie tylko banał, nuda i dorobkiewiczostwo.

Friedrich opowiedział Magdzie, że w czasie wojny trafił do rosyjskiej niewoli, zapoznał się z bolszewikami i zrozumiał, że jego przeznaczeniem jest dążenie do rewolucji światowej. W Chinach szkolił młodych czerwonych lotników w sztuce walki powietrznej.

W cichości ducha Magda nazywała Friedricha „Wielkim”. Gardził niebezpieczeństwem i troszczył się nie o siebie, lecz o towarzyszy i Słuszną Sprawę, jak nazywał swoje dążenia. Pierwszy raz w życiu Magda spotkała mężczyznę, który za nic miał bogactwo. Co więcej, uważał, że jeśli ktoś je posiada, powinien jak najszybciej się od majątku uwolnić.

– Nie mogę – mówiła z żalem Angielka. – To przecież nie są pieniądze moje, tylko taty. On po prostu płaci rachunki.

Friedrich nigdy nie mówił z nią o miłości i uważał, że Magda pomaga nie jemu, ale sprawie socjalizmu, za co należała się jej wielka wdzięczność. Pewnego pięknego dnia uścisnął jej mocno dłoń i powiedział, że wyjeżdża do Związku Radzieckiego.

– Partia nigdy nie zapomni waszych zasług, miss Thompson!

– Jadę z panem! – oświadczyła Magda.

Friedrich osłupiał. Nazwał ją szaloną i ostrzegł, że w ZSRS brytyjska kapitalistka może mieć spore problemy, ale Magda była głucha na wszelkie argumenty.

Poszła do nowych znajomych z sowieckiej placówki dyplomatycznej i otrzymała wizę.

Friedrich był wściekły.

– A oni co, powariowali?! – wrzeszczał. – Jak ich pani przekonała?

Magda uśmiechnęła się zagadkowo. Zaproponowała współpracownikom Friedricha wielki sanitarny furgon, w którym mogli wywieźć z Chin sporo rzeczy. Państwo dało im pieniądze tylko na ewakuację ludzi, archiwum partyjnego i broni, a bolszewikom było żal rozstawać się z gratami, które zgromadzili podczas pobytu w Państwie Środka.

Friedrich skłął Magdę i powiedział, żeby nie podchodziła do niego nawet na metr. Inni też starali się trzymać od niej z daleka, zupełnie jakby mogła ich zarazić „brytyjskim imperializmem”.

Droga była daleka, więc zmęczona już ciągłym strachem oraz poczuciem odtrącenia Magda bardzo się ucieszyła, kiedy podrzucono do niej Ninę, która w dodatku świetnie mówiła po angielsku. Chwała Bogu, była szczuplutka i dała radę wcisnąć się za fotel pasażera. Na skrzyni w ogóle nie było miejsca, wszystko zostało zapchane tłumokami, koszami i skrzynkami.

Dzień za dniem furgon sanitarny toczył się po pustyni przypominającej zastygłe kamienne morze. Pod nogami przetaczały się arbuzy, a nad głowami trzepotały piórami kapelusze, przymocowane do sufitu kabiny. Sowieckie damy chciały je sprzedać z zyskiem w Moskwie. I pomyśleć, że takie osoby śmiały pluć na wredny kapitalizm!

Chiński szofer to śpiewał, to klął na przewodników, którzy ciągle się gubili i nierzadko prowadzili kolumnę na jakieś manowce.

– Co zrobimy, jeżeli benzyna się skończy? – powtarzał co trochę. – A gdyby się zaczęła burza piaskowa?

Magda słuchała go i nie słuchała. Przed nimi toczył się buick, który prowadził jej Friedrich der Grosse. Gotowa była oddać wszystko na świecie, żeby jechać z nim. Gdyby zdarzyła się katastrofa, zginęliby przynajmniej razem, w tej samej sekundzie! Niech ich później zasypie piach, a za trzysta lat wykopie jakiś archeolog. Będą siedzieli obok siebie i trzymali się za ręce na znak, że nawet śmierć nie mogła ich rozłączyć.

Ale Friedrich wziął do swojej maszyny Borysowa i zapasową beczkę wody, więc nie miał czym uradować archeologów z przeszłości.

Magda nie rozumiała, dlaczego ten mężczyzna ją odtrąca. Tak – nie była ślicznotką, tak – pochodziła z Anglii, ale przecież przedtem mu to nie przeszkadzało!

A co, jeśli po przyjeździe do Moskwy nie zechce się z nią pogodzić? Zniknie sobie po prostu, a ją zostawi samą na pastwę losu?

Nie miała pojęcia, czego można się spodziewać w Rosji Sowieckiej. Dziesięć lat wcześniej wybuchła tam rewolucja, a nieco później wojna domowa i głód, który pochłoniął pięć milionów istnień. Jeden z przyjaciół Magdy jeździł w 1921 roku do Piotrogradu, a potem opowiadał, że w tamtejszych hotelach roi się od szczurów, a najemcy dostają wiadro wody dziennie, żeby się umyć i samym sobie przygotowywać jedzenie.

– Nino, kiedy przyjechała pani do Chin? – spytała.

– W październiku dwudziestego drugiego – padła odpowiedź. – W Rosji panował wówczas okropny głód.

Wszystko jasne... Przez pięć lat raczej niewiele się tam zmieniło. Magdę brała złość. Bolszewicy we własnym domu nie potrafili zaprowadzić porządku, ale pouczali cały świat, jak budować szczęśliwą przyszłość.

Odwróciła się do Niny. Kobieta siedziała na podłodze, trzymając się za podłokietnik fotela Magdy, bo furgon co chwila podskakiwał na kamieniach i wybojach.

– Ma pani gdzie się zatrzymać w Moskwie?

– Nie.

– A zechce pani być moją przewodniczką? Zupełnie nie znam rosyjskiego, obawiam się, że mogę zginąć bez pomocy.

Nina milczała przez chwilę, zanim odpowiedziała pytaniem na pytanie:

– A jak długo zamierza pani zostać w Moskwie? Do chwili, aż Friedrich zamieni gniew na miłość?

Magda nie spodziewała się, że ktoś tak łatwo może domyślić się jej uczuć.

– Jeszcze nie wiem – powiedziała zmieszana.

– No cóż, pomożemy sobie nawzajem – rzekła z westchnieniem Nina.

Magda od dawna przyglądała się tej kobiecie i nieraz skonstatowała, że we wszystkim było jej do twarzy, zawsze wyglądała korzystnie. Nawet w powycieranej bluzce i starej spódnicy, nawet z rozpaczą na dnie źrenic.

Nina nie musiała nic robić, żeby przyciągać uwagę. Po prostu taka się urodziła – z wielkimi szarzielonymi oczami, kędzierzawymi ciemnymi włosami i delikatną linią szyi oraz ramion. Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby nabrać ochoty, aby ją dla siebie zagarnąć. Tak właśnie chce się mieć na własność piękną kotkę albo znaną na bazarze niezwykłą figurkę.

A Magda całe życie musiała udowadniać, że zasługuje na uwagę i miłość.

– Ciekawe, jak to jest być kimś takim jak pani – powiedziała, patrząc na Ninę. – Podoba się pani mężczyznom od pierwszego spojrzenia. Tylko proszę nie zaprzeczać!

Nina się zasepiła, kąciki jej ust opadły.

– Nie mogę wybierać, komu mam się podobać, a komu nie. I nic na to nie poradzę.

Magda się roześmiała. Miała dokładnie taki sam problem. Tylko jakby w drugą stronę.

Rozdział 2

Proletariacka stolica

Miesiąc później zbiegowie przekroczyli granicę ZSRS i dotarli do bezimiennej stacji kolejowej, gdzie czekał na nich przysłany z Moskwy międzynarodowy wagon sypialny.

Bolszewikom kamień spadł z serca. Skoro tak ich witano, to znaczyło, że nie będzie żadnych połajanek. Zdaje się, że kierownictwo partii uznało, iż agenci wysłani do Chin zrobili wszystko, co w ich mocy, dla zwycięstwa światowej rewolucji. Po prostu okoliczności okazały się skrajnie niesprzyjające.

Wpadli w euforyczną radość: wreszcie zdołali przedostać się do swoich! Nie zginęli na pustyni, nie natknęli się na żołnierzy ani hunhuzów grabiących handlowe karawany. Wszystko będzie dobrze!

Zakurzeni, spaleni słońcem uciekinierzy przenosili swoje rzeczy na półki bagażowe.

– Pociąg odjeżdża za pięć minut! – zawołał konduktor, piękny dziadek z pysznymi, siwymi wąsami.

Nina i Magda poszły do wyznaczonego przedziału. Na pasiastych kanapach leżały stosiki porządnie wykrochmalonej pościeli, na uchylnym blacie stał wazonik z kwiatkiem i leżało menu z wagonu restauracyjnego. Przez ściankę działową przylegającą do toalety dał się słyszeć śmiech, kiedy ktoś cieszył się wodą lejącą z kranu.

Nina podeszła do lustra wiszącego na drzwiach, uniosła nad głowę pukiel kędzierzawych włosów, a ten pozostał w takim położeniu.

– Kiedy dostaniemy się do porządnej łazienki, zmyjemy z siebie po funcie brudu – powiedziała Magda. – Oczywiście jeśli w Moskwie zostały jeszcze jakieś łazienki.

Ktoś zastukał w okienko, Angielka otworzyła.

– Zawołaj Ninę – nakazał Borysow.

Nina niechętnie podeszła.

– Czego pan chce?

Borysow wyjął z kieszeni gazetę i rzucił ją Ninie.

– Masz. Na stacji przed chwilą kupiłem.

Na pierwszej stronie widniał wielki nagłówek: „Trocki został wykluczony z grona kandydatów na członków Komitetu Wykonawczego Kominternu”. Powiadamiano także o aresztowaniu zdrajców, którzy „godzili w podstawy struktur partyjnych budownictwa” i „próbowali dokonać rozłamu wśród bolszewików”.

– Jechać teraz do Moskwy to pewne samobójstwo – wyszeptał Borysow. – Jeżeli samego Trockiego złożyli z urzędu, łykną nas wszystkich i nawet się nie zakrzuszą. Ale tobie to wszystko jedno.

Rozejrzał się na boki, a kiedy się upewnił, że w pobliżu nikogo nie ma, dodał:

– Jedź ze mną do Chabarowska! Mam pieniądze, więc nie zginiemy. Chyba że zamierzasz iść z tą angielską krową prosto pod nóż.

Nina z hukiem opuściła okienną ramę.

– Co on pani powiedział? – spytała Magda, kiedy pociąg ruszył.

Nina usiadła na kanapie i otoczyła się rękami, jakby panował chłód.

– Miss Thompson, podróż do Moskwy jest niebezpieczna! Wsiądźmy na pierwszej stacji i udajmy się do Władywostoku! Stamtąd można się dostać statkiem do Szanghaju.

Lecz Magda bez wahania odmówiła.

– Rozumiem, że spieszy się pani do męża. Ale ja też nie chcę stracić Friedricha! Potrafię panią ochronić, mój ojciec ma wielu przyjaciół w parlamencie. Wyślemy do Klima telegram, a on przekaże pani pieniądze na drogę powrotną.

– Bolszewicy mają gdzieś pani parlament! – wykrzyknęła zrozpaczona Nina. – Tutaj nie ma waszych dyplomatów ani praworządności. Oskarżą panią o szpiegostwo i rozstrzelają!

Ale Magda uznała, że zagrożenie jej nie dotyczy. Kiedy podróżowała po Ameryce Południowej, indiański szaman dał jej zapalić specjalne zioła i rzucił zaklęcie chroniące przed nagłą śmiercią.

Za oknem ciągnęły się wzgórza, pokryte rudą trawą. Z rzadka szły składy w przeciwną stronę, w otwartych drzwiach wagonów towarowych migwały końskie łby i budionówki czerwonoarmistów. Najwyraźniej przegrupowywano wojska.

Magda popijała przyniesioną przez konduktora herbatę.

– Kogo ten Friedrich chce oszukać? Nikt nie jest w stanie żyć bez miłości. Zwyczajnie boi się sprowadzić na mnie kłopoty. Ale przecież od razu mu powiedziałam, że niczego się nie boję! No, może tylko papy, kiedy się złości. Musimy po prostu mieć więcej czasu, żeby się lepiej poznać.

Nina słuchała i myślała tylko o tym, że z każdą sekundą oddala się od Klima.

Pociąg przejechał pół kraju i wreszcie dotarł do zadymionej, zalanej elektrycznym światłem Moskwy.

Nina przygotowywała się na najgorsze. Zaraz przy drzwiach wagonu ustawią się ludzie z OGPU¹, przybiegną śledczy i zaczną ją przesłuchiwać: jak znaleźliście się w Chinach? Czym się tam zajmowaliście?

Magda siedziała na kanapie zmartwiała i patrzyła z trwogą na wielkiego bagażowego, przechadzającego się przed ich oknem. Miał zwierzęcą twarz i potarganą brodę, a do mięsistej wargi przykleił mu się dymiący papieros. Tacy jak on na plakatach uosabiali bolszewików nacierających na przestraszoną Europę.

– Jeśli będą chcieli nas aresztować, niech pani skacze na tory i kryje się pod wagonami – powiedziała Nina drżącym głosem. – Rozbiegniemy się w różne strony, pani do dworca, a ja tam, do towarowych. Spotkamy się równo dobie później na placu przed dworcem, na postoju dorożek.

Rozległo się stukanie do drzwi. W Ninie zamarło serce: „To już koniec!”.

Ale to był tylko Friedrich.

– Coście się tak rozsiadły? Jedzicie do Drugiego Domu Rad, tam was zakwaterują.

– A pan dokąd pojedzie? – spytała Magda.

– Do domu mieszkalnego Kominternu.

Zawołał tragarza, a ten związał walizki paskiem i zarzucił sobie na ramię.

– Dokąd zanieść?

– Do wyjścia – odparł Niemiec i poprowadził kobiety przez tłum na dworcu.

Nina nie wiedziała, czy powinna uciec, dopóki nie jest jeszcze za późno, czy trzymać się w pobliżu Magdy. Jeśliby uciekła, to co ją potem czekało? A Magda miała przecież wpływowego ojca, który w razie czego poderwie na nogi cały brytyjski parlament.

– A co to jest ten Drugi Dom Rad? – spytała Nina.

– Zaraz zobaczycie.

To była z pewnością instytucja, w której goszczono obcokrajowców.

1 Objediniionnoje gosudarstwiennnoje političeskoje uprawlenie; Zjednoczony Państwowy Zarząd Polityczny (przypisy, o ile nie napisano inaczej, pochodzą od tłumacza).

Nina spodziewała się, że Moskwa będzie przypominać opustoszałą, rozgrabioną przez wrogów twierdzę. Nic podobnego! Elegancki budynek dworca został niedawno odremontowany, pełno było ludzi, szczególnie młodych. Tyle że osób ubranych z europejska nie dało się wcale zauważyć.

Panowała tu swoista moda. Mężczyźni nosili sukienne spodnie, wschodnie koszule i czapki, a kobiety paradowały w kretonowych sukienkach i chustach nasuniętych głęboko na czoło.

Robotnicy zdejmowali właśnie ze ściany spłowiąły transparent „Niech żyje światowa rewolucja!” i wieszali w jego miejsce nowy: „Dbaj o industrializację i zdolności obronne”. Wyglądało na to, że bolszewikom zmieniły się plany.

Friedrich zaprowadził Ninę i Magdę na plac, pokazał im małe renault, stojące nieopodal.

– Weźcie taksówkę.

– Kiedy będziemy mogli się spotkać? – spytała błagalnie Magda.

– Sam panią znajdę.

Po wejściu do samochodu znów zaczęła mówić o miłości, ale Nina nie słuchała. Jechały przez ponure miasto, o którym za granicą opowiadano jako o komyszy wiecznego zła.

Tłumy ludzi szły wąskimi chodnikami i wsiąkały w otwarte drzwi sklepów. Nina z trudem odczytywała napisy na szyldach – w odróżnieniu od Szanghaju, tutaj nie były podświetlane. „Wody mineralne Borzomi”, „Stołówka pierogowa imienia towarzysza Rykowa”, „Sztuka siłą społeczną!”. Wszystkie napisy sporządzono wedle nowych zasad ortografii.

W porównaniu z Chinami, samochodów było dość mało, ludzie poruszali się albo w dorożkach, albo w przepelnionych tramwajach. Domy były oświetlone od góry do dołu, nawet z okien suterren, wrośniętych w ziemię, wydobywały się żółte promienie.

– Dlaczego wszędzie pali się światło? – spytała Nina kierowcę.

– Każdy pokój został zasiedlony, więc wszędzie świecą lampy – wyjaśnił mężczyzna. – Wcześniej mieszkało sobie panisko samo w całym domu, ale skończyły się takie porządki. Jeden pokój na rodzinę i żadnych zbytków.

Nina przełożyła Magdzie jego słowa.

– Wyobraża sobie pani, żeby do jej domu dosiedlili nieznajomych ludzi?

– Gdyby wśród nich był mój Friedrich, tobym się zgodziła – odparła Angielka.

Nina pomyślała, że indiański szaman rzucił na nią urok chroniący nie tyle przed śmiercią, co przed rozsądkiem.

Okazało się, że Drugi Dom Rad to dawny hotel Metropol. Wcześniej kwatrowali tutaj członkowie rządu, ale potem otrzymali własne mieszkania, a pokoje znów zaczęto wynajmować obcokrajowcom.

Widząc zupełnie przyzwoity westybul z marmurowymi posadzkami i połyskującymi lustrami, Magda poczuła się od razu pewniej.

– Widzi pani? Wszystko jest jak trzeba!

Tyle że ceny w Metropolu były niesłychane. Za dobę żądano tyle, co za miesiąc w Pekinie.

– Krajowi potrzebne są waluty – bez owijania w bawełnę wyjaśnił administrator.

Kiedy zażądał dokumentów, Magda podała mu swój paszport z włożonym w niego banknotem pięćofuntowym.

– Ta pani będzie moim gościem – oznajmiła, wskazując Ninę.

– Oczywiście – odparł administrator i zrećźnie wrzucił banknot do szuflady.

W sowieckim państwie, jak na całym świecie, pieniędzmi dało się załatwić bardzo wiele, jeśli nie wszystko.

Nikt nie przyszedł aresztować Niny i Magdy. Mieszkały sobie w Metropolu, chodziły na obiady do restauracji na parterze i poznawały się z zagranicznymi gośćmi, którzy zjeżdżali do Moskwy na święto dziesiątej rocznicy rewolucji.

Magda wszystkich wypytywała o Friedricha, mając nadzieję, że ktoś z członków zagranicznych partii komunistycznych będzie wiedział, gdzie go można znaleźć. Na próżno. Dni mijały, a po Friedrichu Wielkim nie było ani widu, ani słychu. Najwyraźniej nie zamierzał podtrzymywać znajomości z byłą kochanką.

– Jest po prostu bardzo zajęty i potrzebuje czasu, żeby załatwić sprawy – pocieszała się Magda. – Trzeba jeszcze poczekać, przecież wie, gdzie mieszkamy.

Sprawy Niny też się nie układały. Wysłała Klimowi telegramy do domu i do rozgłośni, ale wróciły z adnotacją „Adresat nieobecny”. Nie mogła znieść myśli, że mężowi i Kitty coś się stało.

Telegramy do przyjaciół także pozostały bez odpowiedzi. W Szanghaju było niespokojnie i wielu białych kolonistów uciekło przed niebezpieczeństwem.

Nie miała na kogo liczyć. Musiała sama zdobyć pieniądze na powrót do domu. Przy wynagrodzeniu, jakie wypłacała jej Magda, musiałyby zbierać środki kilka miesięcy, a przecież trzeba było wyrobić dokumenty i jakimś sposobem przekroczyć granicę!

Magda nie mogła dać jej podwyżki, bo jej samej zaczynało brakować pieniędzy. Ojciec odmówił regulowania jej rachunków, nie zamierzał ani pensa wkładać w bolszewicką Rosję i żądał, żeby córka bezzwłocznie wróciła do Anglii.

Prawdę mówiąc, Magda i tak trzymała przy sobie Ninę z litości, bo ta wcale nie okazała się wielce biegła we współczesnym języku rosyjskim. Przez ostatnie lata wszedł w modę styl telegraficzny, ludzie z upodobaniem cięli, skracali słowa i kleili te skrótów w najróżniejsze kombinacje. Nauczyciele stali się „szkrabami” – szkolnymi robotnikami, służba domowa „domrobotnicami”, ministerstwa „narkomatami” – komisariatami ludowymi. Czasami Nina zupełnie nie rozumiała, o czym jest mowa. Bo co miało znaczyć, na miłość boską, coś takiego: „Do koopmagu Narpitu rzucili szirpotreb”?

Całymi dniami obie kobiety spacerowały po mieście i oglądały miejscowe atrakcje – od mauzoleum, w którym leżał zmumifikowany Lenin, po Muzeum Ateizmu, urządzone w dawnym klasztorze.

Moskwa gorączkowo przygotowywała się do święta 7 listopada. Wszędzie trwały remonty, a po ulicach maszerowali ludzie, robiąc próby przed defiladą, jedni z karabinami, inni w maskach przeciwgazowych.

Związek Sowiecki żył w oczekiwaniu mającej niebawem nadejść wojny, to się dało wyczuć wszędzie – od artykułów w gazetach po rozmowy na bazarach.

W mieście porozwieszano plakaty:

„Armia Czerwona zawsze wierna na straży Związku Radzieckiego!”

„Umacniajmy sojusz robotniczo-chłopski, który uczyni nasz kraj niepokonanym!”

„Socjalistycznym wysiłkiem podniesiemy poziom obronności!”

„Śmierć krwawym imperialistom!”

– Z kim właściwie chcą walczyć bolszewicy? – Magda nie mogła pojąć.

– Z Anglikami, a niby z kim innym? – Uśmiechnęła się Nina. – Przecież zamierzacie napaść na ZSRS, o tym piszą we wszystkich gazetach.

Magda bardzo się spieszyła na wieść, że tutaj ludzie naprawdę oczekują pojawienia się na niebie brytyjskich bombowców.

– Ale to przecież jakaś bzdura! Na Kremlu z pewnością wiedzą, że to fizycznie niemożliwe. Po co tak kłamią własnym obywatelom?

Nina doskonale rozumiała, po co to robią. Przez wszystkie te lata bolszewicy, śniący o światowej rewolucji, tracili ogromne sumy na finansowanie strajków i powstań zbrojnych w innych krajach. Skończyło się to tak, że Związek Sowiecki zaczęto uważać za państwo przestępcze, które wspiera radykałów i bez skrępowania opowiada w oczy o przyjaźni między narodami, jednocześnie dokonując dywersji na obcych terytoriach.

Wielka Brytania zerwała stosunki dyplomatyczne z ZSRS, Francja wydalila pełnomocnego posła, w Polsce dyplomata tej samej rangi został zabity, a w Chinach likwidowano komunistów niczym wściekłe psy. Ponadto gazety na całym świecie przedrukowywały dokumenty, które wskazywały jednoznacznie, jaką działalność prowadzili bolszewicy w Europie i Azji.

Kreml uznał to za „imperialistyczną próbę zniszczenia młodego socjalistycznego państwa”, w związku z czym rozpoczęto przygotowania do wielkiej wojny. Powiększanie skali wojennej hysterii było absolutnie konieczne, żeby naród zwarł szeregi, poddał się woli przywódców i mobilizował siły na walkę „do ostatniej kropli krwi”. Prócz tego ludziom trzeba było wytłumaczyć, dlaczego półki w sklepach są puste, a przed piekarniami ustawiają się długie kolejki. Po dziesięciu latach od rewolucji kraj znalazł się u progu takiej samej katastrofy, jak w 1917 roku, a przecież nie prowadził wojny!

Magda zabrała Ninę do domu towarowego, żeby kupić jej ciepłą odzież. Okazało się, że paskudne buty z krzywymi flekami kosztują czterdzieści rubli, bawełniane pończochy siedem, a płaszcz sto pięćdziesiąt. Jak tak mogło być, skoro średnia płaca robotnika w Moskwie wynosiła siedemdziesiąt pięć rubli, a pracownika umysłowego jeszcze mniej?

Niczego nie zdołały kupić, więc Magda oddała Ninie aksamitną szubę, przywiezioną z Pekinu w charakterze pamiątki. To było wielkie jasnoczerwone straszdyło z odpinanym kołnierzem i wyszytymi na plecach smokami.

– Jeśli pani chce, proszę to sprzedać – zdecydowała właścicielka. – Nie można chodzić bez ciepłej odzieży, a kupno ubrań po sowieckich cenach to bezsens.

Kilka dni Nina spędziła na szyciu, co poskutkowało tym, że miała wymyślny wprawdzie, ale elegancki płaszcz-kurtkę we wschodnim stylu oraz beret podobny do tego, jaki nosiła Tatiana w *Eugeniuszu Onieginie*.

W tym ubraniu Ninę bezustannie uznawano za uczestniczkę antybrytyjskich pochodów kostiumowych. Młodzież z brygad agitacyjnych ciągnęła po ulicach wielką kukłę Anglika, od czasu do czasu kukła ta była ustawiana w pozycji klęczącej, a po wysłuchaniu płomiennych przemów obrywała po głowie. Jednego razu Ninie wręczono nawet drewniany młot i kazano nim trzasnąć Anglosasa w imieniu powstańczego ludu Chin.

Magda próbowała wymyślić, jak zarobić na życie. Każdego dnia do pokoju

przynoszono gazety i ulotki, w których można było przeczytać, że ZSRS zamierza zmodernizować różne dziedziny produkcji i potrzebna jest każda pomoc w opanowaniu nowych technologii.

Magda napisała broszurę o wytwarzaniu mydła i kazała Ninie przetłumaczyć ją na rosyjski.

– Ze szczegółami opisałam, jak w Wielkiej Brytanii robi się mydło i proszek do prania, więc można moją książeczkę od razu wydrukować.

Jednak ku jej zaskoczeniu żaden wydawca nie zaproponował jej umowy.

– Temat jest oczywiście interesujący, ale musimy mieć zezwolenie z Głównego Urzędu do spraw Literatury – usłyszała Magda w Państwowym Domu Wydawniczym, oczywiście noszącym skrót. W tym przypadku Gosizdat.

W następnych miejscach zażądali na dodatek kartki z Ludowego Komisariatu Oświaty, w jeszcze innych z Najwyższej Rady Gospodarki Narodowej, a nawet z OGPU.

– Oni myślą, że napisałam coś nie tak, jak trzeba? – złościła się Magda. – Niech sprawdzą, niech wyślą broszurę do specjalistów.

– Nie będą niczego sprawdzać – odpowiedziała z westchnieniem Nina. – Po prostu niepotrzebne im problemy z cudzoziemcami. A kto tam panią wie? Może z pani jest szpieg i dywersant? A potem oni będą za to odpowiadać.

Chociaż przekonywała samą siebie, że nie ma nic wspólnego z Sowietami, było jej wstyd i za wydawnictwa, i za kukłę Anglika, i za buty kosztujące czterdzieści rubli.

Nina też się zastanawiała, skąd wziąć pieniądze.

WOKS, Wszechzwiązkowa Organizacja Kulturowych Stosunków z Zagranicą, rozdawała mieszkańcom Metropolu bilety do Teatru Wielkiego, żeby obcokrajowcy zapoznali się z sowiecką sztuką. Ale chętnych do słuchania opery było niewiele, więc sąsiedzi z ochotą odstępowali bilety za symboliczną opłatę.

Nie mieli pojęcia, że Teatr Wielki to ostoja najwyższych kręgów w ZSRS. Można tam było zobaczyć żony komisarzy ludowych, znanych pisarzy, a czasem nawet członków Komitetu Centralnego. Żeby dostać się na parter, ludzie byli gotowi zapłacić ostatnie pieniądze, a bilety do łoży dla cudzoziemców wydawały się wręcz przepustką do rajku.

Nina wróciła do pokoju po kolejnym spotkaniu z konikami teatralnymi i rozłożyła na łóżku cały łup. Sto trzydzieści rubli. Niewiele co prawda, ale przecież zaświtała jakaś nadzieja.

Schowała pieniądze do sznurowanej sakiewki i wyrzała przez okno. Zegar ustawiony pośrodku placu Swierdłowa wskazywał godzinę piątą. Ciekawe, gdzie też podziewała się Magda.

Miss Thompson tymczasem uznała, że pisanie to jej żywioł, i zaczęła gromadzić materiały do przyszłej książki o Związku Sowieckim. Chodziła do Cyganów, bytujących w parku Piotrowskim, odwiedzała dom noclegowy, w którym mieszkały setki przestępców, prostytutek i żebraków. Uważała, że przy jej wzroście i sile nikt jej nie zagrozi.

Pociemniało, o szybę zadzwonił drobny jesienny deszcz. Nina kilka razy zabierała się do wziętej z hotelowej biblioteki powieści *Czanajew*, ale wciąż myślała o Magdzie.

Gdzie ją zaniósł tym razem? Może do czyścicieli ulicznych toalet? Może na zebranie trockistów?

O pierwszej w nocy usłyszała ciężkie kroki i stukanie do drzwi.

– Witam... Wróciłam – powiedziała Angielka pijanym głosem.

– Co z panią? – przestraszyła się Nina.

– To nie ze mną... Z Friedrichem... Nie jest jednak względem mnie obojętny.

Magda znalazła dom mieszkalny Kominternu, dostała się do środka od kuchni i trafiła na uroczystość w pokoju Friedricha. Oficjalnie zostały mu wybaczone wszelkie winy popełnione w Chinach i został pilotem nowego samolotu pasażerskiego.

– Fokker-Grulich F.II! – oznajmiła Magda. – Teraz Friedrich trzy razy w tygodniu będzie latał na trasie Moskwa–Berlin.

Nagle pobladła, zerwała się i pobiegła do łazienki. Po chwili rozległy się stamtąd charakterystyczne odgłosy. Magdzie było niedobrze. Czuła się tak źle, że przez całą noc Nina nie odchodziła od niej. Kiedy Angielce nieco ulżyło, opowiedziała o swoim spotkaniu z Friedrichem.

– Jutro będzie defilada w rocznicę rewolucji. Friedrich dał mi przepustkę na trybunę dla szczególnie ważnych gości zagranicznych. To będzie przegląd Armii

Czerwonej, która ma zademonstrować wrogom... to znaczy nam... że ludzie sowieccy niczego się nie boją.

– Rozmawialiście o tym, co między wami? – dopytywała Nina.

– Nie było na to czasu! Friedrich powiedział, że wszystkie rezerwy kraju zostaną rzucone na wzmocnienie obronności. Wróg nie śpi i... Ojej, muszę znów do ubikacji!

Nina poszła do dyżurnego po nowe ręczniki.

– Jeśli nie umie pani pić, to niech nie pije! – złościła się potem.

– My... to znaczy Friedrich miał problem – odpowiedziała słabym głosem Magda.

– To przecież stronnik Lwa Trockiego, a musiał się od niego odciąć i podpisać pewien dokument. Tam stało, że chińską rewolucję zaprzepaścili trockiści, którzy spiskowali ze światowym kapitalizmem. Ale gdyby nie podpisał, toby go mogli uwięzić!

Czyli tak dostał stanowisko pilota! – pomyślała Nina. – Tak... Wielki z niego bohater rewolucjonista! Słyszała, że wszystkich trockistów postawiono przed takim właśnie wyborem: albo represje, albo zdrada.

Położyła wreszcie Magdę i sama padła na łóżko, ale sen nie nadchodził. W głębi duszy Nina miała nadzieję, że jej patronka rozczaruje się Friedrichem i wróci razem do Chin. W towarzystwie dużej, pewnej siebie Magdy wszystko byłoby o wiele prostsze. Jednak takie marzenia musiała wyrzucić na śmietnik.

– Na pewno nie dam rady iść na defiladę – wyszeptała cichutko Magda. – Ale potrzebuję zdjęć, żeby załączyć je do książki.

– Niechże pani już śpi, na Boga! – skarciła ją Nina.

Sprężyny łóżka zajęczały w głośnym proteście, kiedy Magda gwałtownie się poruszyła.

– Mam w kieszeni płaszczka przepustkę. Nino, proszę iść zamiast mnie.

– Przecież nie jestem Angielką! W ogóle nie jestem obcokrajowcem!

– Jeśli pójdzie pani w swoim chińskim płaszczu, nie wzbudzi to podejrzeń.

Najważniejsze to milczeć i nie demaskować się. Proszę!

Znów zwymiotowała, tym razem prosto na podłogę.

Nina była gotowa obiecać wszystko, żeby pijana tylko się uspokoiła.

Rozdział 3

Rocznica rewolucji

Po wypełnionym wilgotną mgłą mieście jeździły ciężarówki i maszerowali milczący żołnierze w budionówkach z opuszczonymi nausznikami. W zaułkach ciemniały zarysy wozów pancernych. Czasem rozlegało się końskie rżenie i głuchy stukot kopyt. To kawaleria przygotowywała się do defilady.

Nina szła w tłumie przechodniów, przyciskając do piersi aparat fotograficzny. Magda powiedziała, że została jej ostatnia błona, i prosiła, aby jej strzec jak źrenicy oka.

Wszyscy gapili się na dziwną szubę Niny. Jedna dziewczynka tak się zapatrzyła, że upuściła bukiet astrów i od razu dostała szturchańca od matki.

– Pilnuj kwiatów! Czym będziesz machać na paradzie?

Na dojsściach do placu Czerwonego panowały krzątanina i niepokój zupełnie jak przed walką. Instruktorzy obchodzili oddziały robotników przytupujących z zimna i wyznaczali, kto ma za kim iść.

Nina także czuła strach. Zdawało jej się, że za chwilę natknie się na milicjantów, którzy zaczną dochodzić, skąd wzięła przepustkę na trybunę dla cudzoziemców.

Ale udało jej się przejść bez problemów. Przy bramie Iwerskiej pokazała przepustkę, po czym wyszła na podmarzły przez noc plac Czerwony.

Nad murem Kremla powiewała czerwona flaga, na iglicach starych baszt złociły się ledwie widoczne we mgle carskie orły, których bolszewicy jakoś na razie jeszcze nie zniszczyli. Po drugiej stronie placu, na budynku państwowego domu towarowego, pysznił się poruszany powiewem wielki portret Lenina w burżuazyjnym garniturze i krawacie. Wielki i wieczny jak faraon, patrzył ze smutkiem na swój własny grobowiec zbudowany w kształcie piramidy. Dziwny kaprys historii – w dwudziestym wieku w Rosji odrodziły się obyczaje ze starożytnego Egiptu.

Nina weszła na trybunę i usiadła na końcu drewnianej ławki. Nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Stopniowo zbierali się zagraniczni goście, Europejczycy i Amerykanie, Hindusi i Arabowie, ale najwięcej było Chińczyków. Nina poznała nawet kilku starych znajomych, którzy jechali z nią przez pustynię Gobi. Potraktowali pojawienie się Niny jako naturalne.

Ludzie rozmawiali, chuchali w zziębnięte dłonie i próbowali znaleźć jak najlepsze miejsca do fotografowania oraz filmowania. Wysoki, przygarbiony mężczyzna w binoklach chodził między nimi i rozpytywał w różnych językach drogich gości, jak się miewają i czy nie mają jakichś życzeń.

– Kim pani jest? – zwrócił się do Niny przyjaźnie.

Udała, że nie rozumie. Ten typ od razu jej się nie spodobał: chudy, ze starannie przystrzyżoną jasną bródką i kaczym nosem, przypominał złego dworzanina z bajki o Koniku Garbusku.

Mężczyzna podreptał jeszcze, a potem usiadł na ławce za Niną. Słyszała, jak kogoś wypytuje:

- Kto to jest? Ta w czerwonej szubie.
- Nie wiem, towarzyszu Ałow – odparł młody głos. – Nie przypominam jej sobie.
- Trzeba to koniecznie ustalić!

To na pewno byli agenci OGPU i Nina zaczęła przeklinać siebie za to, że uległa Magdzie. A jeśli ten cały Ałow zażąda dokumentów? Albo któryś z Chińczyków powie mu, że jest Rosjanką?

Na trybunę weszli członkowie rządu, a cudzoziemcy wstali z miejsc i zaczęli robić zdjęcia. Nina nie miała pojęcia, kto tutaj jest kim, ale na wszelki wypadek fotografowała wodzów. Dziwne się wydawało, że wszyscy są jacyś nieduży i niepozorni, a mundury wojskowe prezentowały się na nich bardzo kiepsko, zupełnie jakby księżowi postanowili przebrać się za bohaterów wojennych.

Do Ałowa podbiegła kobieta z cienką teczką i coś szepnęła. Nina dosłyszała słowa „Trocki” i „żywiolowe wystąpienia”.

– To czort! – wymamrotał Ałow i zbiegł na dół po schodach, po czym zniknął wśród żołnierzy otaczających trybunę.

Nina poczuła pewną ulgę. Postanowiła, że zrobi jeszcze kilka zdjęć i spokojnie odejdzie.

Z baszty Spasskiej rozległ się głos dzwonów, a z przylegających do placu ulic doleciał głośny okrzyk tłumów:

- Hurrrraaaa! Hurrrraaaa!

Przy dźwiękach *Międzynarodówki* na plac wyciekły pierwsze kolumny demonstrantów.

Na słupach ryczały głośniki:

– W to wielkie święto, które nie ma sobie równego w całej historii ludzkości, nasza pierwsza myśl ulatuje do Lenina, wodza niepokonanych proletariackich szeregów, które bez lęku idą do ataku na kapitalistyczne fortece!

Szli kaukascy dzygici, uzbrojeni robotnicy, pracownicy Czerwonego Krzyża, pionierzy, jechały samochody pancerne... Flag było tyle, że plac Czerwony naprawdę zasługiwał na swoją nazwę.

„Chwała mechanizacji!” – czytała Nina napisy na transparentach.

„Niech żyje zwycięstwo rewolucji proletariackiej na całym świecie!”

„Druga baza samochodowa pod sztandarami Października!”

Członkowie rządu uśmiechali się, oddawali honory i protekcyjnie machali do demonstrantów rękami w skórzanych rękawiczkach.

Z mauzoleum Lenina wyszła grupa młodych ludzi, zapewne studentów. Zatrzymali się przed trybuną, a nad ich głowami rozwinął się transparent: „Precz ze Stalinem!”

Orkiestra zamilkła, nad placem zapadła taka cisza, że było słychać ćwierkanie wróbli, które zleciały się, zwabione świeżym końskim nawozem.

– Niech żyje Lew Trocki! – zawołał dźwięczny chłopięcy głos. – Precz z oportunizmem i rozłamem w partii!

– Hurraa! – zawołali niepewnie studenci.

Ze wszystkich stron rzucili się na nich milicjanci.

Nina zrobiła zdjęcie. Cudzoziemcy wokół niej też szczękali migawkami aparatów.

– Nie wolno robić zdjęć! Przestańcie! – zawołał ktoś.

Skacząc po dwa stopnie, na trybunę wpadł Ałow. Jego wzrok padł na Ninę.

– Nie fotografować! – warknął i wyrwał jej aparat.

– Co pan robi?! – zachnęła się Nina, zapominając o ostrożności.

– A ty Rosjanka, czy co? – Ałow chwycił ją za ramię. – Jak się tutaj znalazłaś? Kim w ogóle jesteś?

Nina wyrwała mu się i pobięła na dół.

– Trzymać ją! – krzyknął Ałow, ale milicjanci nie mieli czasu zajmować się Niną. Przed mauzoleum rozpoczęła się zacięta walka.

Nina cały dzień chodziła bez celu po mieście, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Wracać do hotelu nie miała po co, czekał na pewno już wiedzieli, kim jest i gdzie mieszka. W oczach OGPU białogwardyjska damulka fotografująca wystąpienie trockistów mogła być tylko szpiegiem, więc czekałby ją niechybnie areszt.

Magdy jej było szkoda. Jak poradzi sobie bez aparatu i przewodniczki? Do tego Ałow na pewno będzie ją przesłuchiwał w sprawie Niny. Daj Boże, żeby Angielki nie oskarżyli o szpiegostwo!

Okazało się, że kiedy na placu Czerwonym trwała defilada, w mieście zaczęły się zamieszki. Stronnicy Lwa Trockiego bili się z milicją i wmieszanymi w tłum prowokatorami. Pod soborem Objawienia Pańskiego cała ulica była zalana krwią. Właśnie tam funkcjonariusze napadli na kolumnę opozycjonistów i okrutnie ich zbili.

Nina uznała, że trzeba uciekać ze stolicy. Postanowiła kupić bilet do najdalszej stacji, na jaką wystarczy jej pieniędzy, a tam już się zorientuje, jak dotrzeć do Władywostoku. Ale na dworcu dowiedziała się, że bilety zostały wyprzedane na parę miesięcy naprzód.

Wyszła na plac przed dworcem i wsiadła do pierwszego tramwaju. Dokąd teraz jechać? Gdzie nocować? W parku na ławce? Jeżeli uda jej się znaleźć jakiś ką, to zaoszczędzone pieniądze rozejdą się w niecały miesiąc.

– Towarzysze, za przejazd się płaci! – krzyczał konduktor, przedzierając się przez stłoczonych ludzi. – Osiem kopiejek za bilet!

Nina włożyła rękę do kieszeni i skamieniała. Portfela nie było!

Konduktor zawisł nad nią, uczeplony skórzanej pętli pod sufitem.

– No jak, płacimy za przejazd?

– Ukradli mi portfel...

Mężczyzna chwycił ją brutalnie za kołnierz.

– To wylaż z wozu! Widzicie ją, jasnie pani się znalazła! Żeby w aksamitach chodzić to ona pierwsza, ale za bilet nawet kopiejki nie da!

– Może się z kochankiem pokłóciła. – Uśmiechnął się niebieskooki czerwonoarmista. – Ona jemu nie dała, a on jej też nie dał... znaczy pieniądze.

Pasażerowie zaśmiali się.

Nina precyzyjnie się do wyjścia, a kiedy tramwaj zwolnił, zeskoczyła ze schodka prosto w błoto.

Ściemniło się już, gdzieś na podwórkach wyły psy, lampy uliczne nie paliły się, jedynie w otwartych drzwiach maleńkiej cerkwi widać było odbłask świc.

No to wyjechałam. Nie dla mnie Władywostok, nie dla mnie Chiny – rozmyślała ponuro Nina. – Jutro z głodu sprzedam szubę, a potem utopię się w rzece.

Postała, popatrzyła dookoła, a potem ruszyła w stronę świątyni. Może jej stamtąd nie wygonią?

Wewnątrz nikogo nie było, tylko diak w miękkich walonkach chodził od lampy do

lampy, uzupełniając w nich oliwę.

– Bez sumienia z ciebie człowiek! – rozgniewał się nagle na kogoś. – Jak się wchodzi do Domu Bożego, czapkę trzeba zdjąć!

Nina obejrzała się i zobaczyła niebieskookiego żołnierza.

– A może ja baba jestem? – Czerwonoarmista wyszczerzył zęby w uśmiechu i rozchylił poły płaszcza. – Chcesz sprawdzić?

Diak cofnął się.

– Boże, zmiłowania... Ale też masz gębę!

Rzeczywiście twarz kobiety-żołnierza wyglądała tak, że trudno z niej było odczytać płéć – bez brwi, gardło obwisłe, przedni ząb złamany. Na pewno piła, i to sporo.

Nina podeszła do ikony Mikołaja Błogosławionego, patrona tych, których dotknęło nieszczęście.

– Pomóż mi, grzesznej i posępnej, w tym życiu prawdziwym...

Kiedy Nina się modliła, niebieskooka baba stała za jej plecami.

– Jak masz na imię? – spytała wreszcie.

– Nina.

– Naprawdę? Bo ja też! Tylko że nie lubię tego imienia, wszyscy wołają na mnie Szydło.

Pogładziła złocistego smoka na plecach szuby.

– Ładne to masz, bogate. Kochanek podarował?

Nina pokręciła głową.

– Sama uszyłam.

– To jesteś z robotników? A twój kochanek nie z Mostorgu? Znałam jednego dyrektora apteki. Czego ten swoim babom nie dawał: i prezerwatywy, i lewatywy... Bardzo wrażliwy był z niego towarzysz, tyle że potem poszedł pod mur za kradzieże.

– Nie mam kochanka – powiedziała Nina.

– A kogo masz? Męża, czy jak? – Szydło wytrzeszczyła oczy, a potem pokiwała głową ze zrozumieniem. – Aresztowali go, co? Z konfiskatą mienia? Milicja teraz lata, jakby się zerwała z łańcucha. Wszystkich spekulantów łapią bez wyboru. Artykuł sto siódmy kodeksu karnego.

Nina nie zaprzeczała więcej. Ta baba wyglądała na wariatkę.

– Słuchaj, sprzedaj mi tę szubkę, co? – poprosiła Szydło. – Bardzo mi się podoba.

– Ale nie miałabym w czym chodzić.

– To się zamieńmy! Zdobędę dla ciebie płaszczyk i jeszcze coś dorzucę.

– Obywatelki, muszę zamykać cerkiew – odezwał się diak.

Szydło chwyciła Ninę za rękę.

– Chodźmy teraz do mnie, wszystko załatwię!

– Dokąd?

– Przenocujesz u mnie. Widać przecież, że i tak nie masz dokąd pójść.

Nina ze zdumieniem spojrzała na ikonę. Mikołaj naprawdę uczynił cud.

2 Mostorg – skrótowiec oznaczający Główny Urząd Handlu Komitetu Wykonawczego Moskiewskiej Rady Miejskiej (Mosgorispołkomu).

Szydło przyprowadziła Ninę do starego klasztoru, zbudowanego w środku miasta. Nad okutą żelazem bramą chwiała się latarnia, słaby ogienek od czasu do czasu wydobywał z ciemności napis na wywieszce „...Dom Pracy imienia...”.

Z głodu i zmęczenia Nina straciła zdolność odczuwania czegokolwiek, nawet strachu. Było jej wszystko jedno, dokąd prowadzi ją towarzysza, czy do klasztoru, czy do noclegowni.

Szydło cicho zastukała w boczne drzwiczki.

– Zacharka, otwieraj!

– Szydło, to ty?

– Ja!

– A z tobą kto?

– Szwaczka. Fiodor Stiepanycz prosił, żeby znaleźć.

Zazgrzytały zasuw, po chwili furtka się uchyliła.

– Wchodźcie.

Pod niską kamienną arką została urządzona stróżówka, skąpo oświetlona lampą naftową.

Odźwierny, młody krzepki żołnierz, spojrzął na Ninę z niedowierzaniem.

– Pokaż dokumenty!

– Nie ma – powiedziała Szydło, po czym wyjęła z kieszeni portfel Niny i odliczyła parę rubli.

Więc to ona mnie okradła!

Krzyknąć? Zażądać zwrotu pieniędzy? Ale przecież ta baba ich nie zwróci, a w dodatku wygoni Ninę na ulicę.

– Co tak stoisz? Idziemy! – zakomenderowała Szydło.

Weszły do ciemnego korytarza.

– Jeśli zobaczysz czaszkę, nie bój się – powiedziała kobieta w mundurze, stając na desce przerzuconej przez kałużę. – Tutaj był kiedyś stary bojarski cmentarz i nasze dziewczyny trochę go naruszyły. Bywało, że jak wykopały trupa, to na nim było tyle złota, że można by zająć się handlem jubilerskim. Fiodor Stiepanycz urządzał wtedy święto, wszyscy dostawali wódkę i rozmaite zakąski... Po dwa, trzy dni hulali bez przerwy. Ale dobrych grobów już nie ma, tylko kości się walają. Fiodor Stiepanycz każe je zakopywać, ale znów się jakoś pojawiają. Widać ciasno im leżeć w jednym dole, to wyłazą na wierzch.

– Kto to jest Fiodor Stiepanycz? – spytała Nina.

Szydło się roześmiała.

– Naczelnik naszego domu pracowniczo-poprawczego. To znaczy więzienia. Już dwa tygodnie tutaj siedzę, to dobre miejsce.

– Siedzisz? – zdumiała się Nina. – Znaczy co, jesteś więźniarką?

– Aha. Jeśli człowieka posadzą bez ostrego reżimu i „biorąc pod uwagę niską szkodliwość społeczną czynu, a także trudne położenie materialne”, to jest po prostu

pięknie. Fiodor Stiepanycz wypuszcza nas na zarobek, a my się z nim dzielimy.

– Nikt nie ucieka?

– A co my, głupie jesteśmy? Gdzie na wolności dostaniesz własny pokój i żarcie za darmo? Co piątek prowadzą nas nawet do umywalni, a pionierzy organizują nam koncerty, żebyśmy się jak najszybciej zresocjalizowały.

Nina nie potrafiła powstrzymać nerwowego śmiechu. No cóż, niech będzie dom pracowniczo-poprawczy. Ałów raczej nie będzie jej tutaj szukać.

Szydło weszła na podest niskiego, parterowego domu i otworzyła skrzypiące drzwi.

– Wchodźcie, towarzyszeko, czujcie się jak w domu!

W ciemnym pokoju pachniało woskiem i kurzem. Szydło zapaliła ogarek, a Nina się rozejrzała. Zakratowane okno, piecyk typu koza, wiązka drewna i przykryty kocem tapczan stanowiły cały wystrój.

– To dobre miejsce, wymodlone – powiedziała Szydło, rozkładając płaszcz na podłodze przed piecem. – Często tu do mnie przylatują anioły. Siadamy sobie pod oknem, palimy papieroska i zupełnie jakbym pozbywała się grzechów. Ich święta obecność jest lepsza niż odplamiacz Marzenie.

– Oddaj mi moje pieniądze – poprosiła Nina. – Nie mam nawet kopiejki.

– Ale twoja szubka moja. Może być? – Szydło rzuciła Ninie portfel. – Ale co do płaszcza czy palta, nie martw się, przyniosę nowe.

– Ukradniesz?

Szydło nie odpowiedziała, tylko wyjęła spod materaca bochenek chleba i pogiętą myśliwską manierkę.

– Chleb jest dla ciebie, a to dla mnie. – Łyknęła z naczynia, a po pokoju rozszedł się ciężki zapach samogonu. – Spodobałaś mi się. Nawet nie przez szubę, ale tak ogólnie.

– A co jest we mnie takiego? – spytała Nina.

– Bo jesteś do mnie podobna. Znaczą, przed tym, zanim mnie wyrzucili przez okno. Nina siedziała na tapczanie, żuła chleb i już niczemu się nie dziwiła.

Rano obudził ich donośny męski głos.

– A to kto?

Przestraszona Nina usiadła na szynelu, rozścielonym na podłodze. Przed nią stał mały siwy Chińczyk w narzuconym na ramiona kożuchu.

– Dzień dobry, Fiodorze Stiepanyczu! – powiedziała rześko Szydło. – Szwaczkę ci przyprowadziłam. Patrz, jakie rzeczy umie robić!

Mężczyzna uważnie obejrzał aksamitną szubę.

– Kto cię uczył? – spytał.

– Moi rodzice byli krawcami.

– Słuchaj, naczelniku, przyjmij ją do pracy – zaproponowała Szydło. – Może u nas mieszkać, bo nie ma dokąd iść. Męża jej wczoraj aresztowali za spekulację.

Fiodor Stiepanycz w zadumie podrapał się w podbródek.

– Muszę dać jej jakąś robotę na próbę – powiedział i spojrzał na Ninę. – Jeśli się sprawisz, zarejestrujemy cię jako kierowniczkę kursów kroju i szycia. Chodź!

Nina nie mogła uwierzyć we własne szczęście. Jeżeli pozwolą jej pozostać w zakładzie poprawczym, a w dodatku będą płacić, zdoła zgromadzić środki na bilet do Władywostoku.

Szydło dała jej koc, żeby nie zmarzła, Nina owinęła się nim i poszła za Fiodorem Stiepanyczem.

Za dnia klasztor nie wyglądał tak złowieszczo – ceglane ściany, dziobate oblażącym pobieleniem, nagie gałęzie krzaków, kałuże, ale w korytarzach było czysto, a na drózkach Nina dostrzegła ślady zamiatania. Czaszek nigdzie nie było.

Przed starym soborem stały ustawione w szereg kobiety i na komendę podnosiły ręce.

– W górę! I wydech! – krzyczała strażniczka.

Aresztantki wydychały obłoki pary.

– Kazałem wprowadzić poranną gimnastykę, żeby rozwijały się fizycznie – wyjaśnił Fiodor Stiepanycz. – Wszystkie nasze baby to ofiary kapitalizmu, jak nie złodziejka, to prostytutka. Reedukuję je pracą, u mnie nikt nie ma prawa siedzieć beczynnie.

Opowiadał o swoim domu poprawczym niczym rządca o dworze w czasach pańszczyzny. Miał u siebie dwieście kobiecych dusz pod kluczem. Jedne krzątały się przy gospodarstwie, inne brał do posług, a większość pracowała przy produkcji wieńców pogrzebowych oraz onuc dla Armii Czerwonej. Wcale nie ukrywał, że najlepsze złodziejki wypuszcza na robotę.

– One kradną tylko u nepmanów, co to i tak już długo nie pociągną.

Nina wiedziała już, że nepmanami nazywano przedsiębiorców, którym od 1921 roku zezwolono na prowadzenie produkcji i handlu.

NEP, nowa ekonomiczna polityka, miała postawić gospodarkę kraju na

przedwojennym poziomie, po czym nepmanów zamierzano zlikwidować jako klasę niepożądaną i przystąpić do budowania socjalizmu, to znaczy społeczeństwa, w którym wszystkie środki produkcji należeć mają do państwa, a prywatna przedsiębiorczość zostanie prawnie zabroniona.

Fiodor Stiepanycz zaprowadził Ninę do klasztornej zakrystii, znajdującej się w przybudówce świątyni. W zimnym, śmierdzącym myszami pomieszczeniu znajdowały się stół, maszyna do szycia i pociemniałe ze starości kufry, na które zwalono góry szat liturgicznych.

– To twoje miejsce pracy – oznajmił Fiodor Stiepanycz i podał Ninie fioletowe mantum. – Trzeba z tego ze dwie spódnice uszyć. Materiału powinno wystarczyć.

Nina spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Ale to przecież świętokradztwo...

– Popom już się to barachło nie przyda. – Naczelnik ośrodka poprawczego machnął ręką. – Dawno wysłali ich na Wyspy Sołowieckie, żeby jak najszybciej dostali się do swojego królestwa niebieskiego.

Zaczął wyklądać na stół sutanny, ornaty i komże.

– Aksamit przeznaczymy na spódnice, brokat na pasy i kołnierze, a z zimowych habitów wykroimy palta dla pracującego elementu. Spać możesz sobie tutaj, na kufrach. Dostaniesz też codziennie parę polan, żebyś nie skostniała z zimna.

Rozdział 4

Skarb barona Brehmera

Nina świetnie sobie poradziła z próbnym zadaniem, ale Fiodor Stiepanycz stwierdził, że nie należy jej się zapłata.

– Grzejesz się przy piecu na państwowy rachunek i tak samo jesz w stołówce. Czego jeszcze chcesz?

Nina zrozumiała, że wpadła w pułapkę. Zaczęły się takie chłody, że bez ciepłej odzieży nie dało się wyjść na zewnątrz, a Szydło nic jej nie przyniosła. Nina nie mogła nawet iść na targ, żeby kupić sobie coś na zimę.

– Wsadziliście mnie do więzienia bez sądu i śledztwa! – oburzała się, ale Fiodor Stiepanycz kwitował to śmiechem.

– A idź sobie, gdzie chcesz! Ktoś cię tu trzyma?

Był niesamowicie rad, że znalazła się darmowa szwaczka, w dodatku potrafiąca pracować z drogimi tkaninami. Produkcja szła do prostytutek pracujących w Piotrowskim Pasażu i przynosiła Fiodorowi Stiepanyczowi niemały dochód.

Bardzo skrupulatnie pilnował, żeby Nina przypadkiem nie wzięła sobie jakichś skrawków, i zaglądał do niej, aby osobiście przeliczać ścinki. Jeśli był w dobrym nastroju, rozsiadał się na dłużej i wspominał młodość.

Przed rewolucją mieszkał w Chabarowsku i był domokrażcą, który oferował ludziom jakiś drobny towar.

Jakże marzył o tym, żeby się przenieść do Kanady! Tamtejsze koleje żelazne potrzebowały ludzi do obsługi torów w głuchych lasach, a na rodzinę z dwoma dorosłymi mężczyznami dawali piłą elektryczną i bezprocentowy kredyt na dwadzieścia pięć lat. Okazało się jednak, że Kanada nie przyjmuje Chińczyków. Chcieli tam tylko białych, więc ciężko urażony Fiodor Stiepanycz wstąpił do partii bolszewickiej i zaczął walczyć z imperializmem jako naczelnik więzienia dla kobiet.

Szydło też odwiedzała Ninę, a jeśli była pijana, zaczynała starą śpiewkę:

– Jesteśmy po prostu jak siostry, tylko ja ta lepsza – gadała, siadając na stole krawieckim. – Nasza rodzina pochodzi z krajów bałtyckich. Słyszałaś o baronach Brehmerach? To właśnie my!

Szydło w szczegółach opisywała swoją posiadłość, bale i krewnych, którzy służyli bodaj na dworze samego imperatora, ale z jej opowieści prawdopodobne wydawało się tylko jedno: w czasie rewolucji żołnierze zgwałcili ją i wyrzucili przez okno, co mocno uszkodziło jej rozum.

– Mieliśmy willę przy Piotrowskiej. Piękną, prawie pałac! – mówiła w podnieceniu. – Mama kazała wyrzeźbić w dębowych panelach portrety wszystkich dzieci, mój i braci. I te panele powieszono w jadalni.

– A gdzie się podziewają twoi bracia? – spytała Nina.

– Rozstrzelali ich w osiemnastym. Mama już umarła na atak serca, a tatko przeżył i rewolucję, i wojnę. Przez cały ten czas był pucybutem na Pierwszomajowej, naprzeciwko naszej kamienicy. Ale ostatniego lata jeden drań go udusił.

Nina tylko wzdychała. Każdemu kogoś zabili, jeśli nie bolszewicy, to biali.

– Miałam kiedyś narzeczonego, attaché wojskowego Francji – powiedziała pewnego razu Szydło i nagle przeszła na francuski, świetny i prawie bez akcentu.

Opowiedziała osłupiałej Ninie historię swojej miłości. Jak poznała się z Jeanem-Christophem na wyścigach i jak potem korespondowali.

Nina wpatrywała się w jej zniszczoną twarz. Może Szydło naprawdę była baronessą? W Moskwie mieszkało bez liku byłych pułkowników, pracujących jako szwajcarzy, i byłych księżnych, tyrających jako sprzątaczkę. Każdy żył, jak umiał, zmieniając się nie tylko zewnątrz, ale i wewnątrz.

Przy czym Szydło z jej nieokielznaną fantazją mogło się przywidzieć wszystko – i szlachecka przeszłość, i anioły w budionówkach, i samowar śpiewający *Międzynarodówkę*.

– A wiesz, co jeszcze pamiętam? – powiedziała w zadumie Szydło. – W bibliotece pod parapetem były schowane landrynki. Mój brat Miszka wiecznie mi je zabierał, a ja, mądrała, skrytkę zrobiłam. Jedna deseczka się tam wyjmowała i można było pod nią coś schować.

Chwyciła ołówek, kawałek starego wykroju i zaczęła rysować plan.

– To jest Piotrowska, a to nasz dom. Tutaj brama, tu dziedziniec... Wchodzisz, idziesz po schodach...

Opowiadała z takimi szczegółami, że Nina sama już nie wiedziała, co o tym myśleć.

– Udowodnię ci! – trajkotała Szydło. – Mam wszystkie dokumenty! Po rewolucji tata zakopał je na dziedzińcu. Cały skarb tam był. Jeśli go odkopiesz, sama się przekonasz.

Nie dalej jak poprzedniego dnia Nina sporządzała wykrój z gazety, w której znalazła artykuł o skarbach, które „burzuje” chowali na czarną godzinę. Robotnicy pracujący przy remontach w dawnych pańskich domach często znajdowali kolekcje porcelany, stare hafty, złote monety i srebra rodowe. Wszystko to przechodziło na własność państwa, a znalazcy otrzymywali dyplomy i cenne nagrody.

– A nie pamiętasz, co właściwie zakopał twój ojciec? – spytała ostrożnie Nina.

Szydło wzruszyła ramionami.

– Album z fotografiami na pewno. Jest tam jedno takie zdjęcie, na którym mam siedemnaście lat. Wyglądałam dokładnie jak ty! – Roześmiała się i objęła Ninę. – Przecież gdy cię zobaczyłam w tramwaju, najpierw oniemiałam. O, myślę sobie, jaka podobna do mnie!

– Czekaj! – Nina się odsunęła. – Wiesz, gdzie jest ten skarb?

– A pewno! – Szydło wykrzyknęła triumfalnie. – Jak wejdziesz na dziedziniec, odlicz piątą cegłę na ścianie od prawej. Tam jest wgłębienie, bo Miszka rzucał podkownikami i odbił kawałek. Kopać trzeba pod nią, przy murze. Tylko że ja nie pójdę, bo diabły się tam wodzą.

– Jakie diabły?

– Te, co mnie wyrzuciły z okna.

– Przecież to było dziesięć lat temu!

– Nie pójdę! Jeśli chcesz, sama idź, zaprowadzę cię.

– Nie mam się w co ubrać.

– Pożyczę ci twoją szubkę. Słuchaj, jeśli znajdziesz album ze zdjęciami, będę ci na wieki wdzięczna. Zrobię, co tylko zechcesz! Chciałabym chociaż jednym okiem popatrzeć na swoich.

Tej nocy Nina nie mogła zasnąć. Może to właśnie jej szansa na ocalenie? Jeżeli skarb w ogóle istnieje, niewykluczone, że znajdzie jakieś kosztowności, które można by sprzedać i wrócić do Szanghaju, a potem oddać Szydło dług.

Ale kto wie, co się teraz dzieje w dawnej willi Brehmerów? Może zorganizowali tam posterunek milicji albo jeszcze coś gorszego?

Szydło poszła na zwiady na Piotrowską.

– Do naszego domu ktoś się wprowadził – powiedziała. – Może biuro? Ale nie ma żadnej wywieszki, nie ma psów ani stróża, za to w wozowni stoi samochód.

Wieczorem przyniosła Ninie jej chiński płaszcz i krótką saperkę.

– Patrz, zdobyłam u naszych kopidołów! Teraz kiepsko im idzie i chodzą na cmentarze miejskie, ale tam chowają tylko gołodupców, takich, co nawet złotych zębów nie mają. Niedawno nasze baby poszły specjalnie na pogrzeb jednego komisarza. Zobaczyły, że w trumnie leżał w butach. Rozkopały w nocy grób, a butów nie ma! Ktoś już ukradł.

Nina zupełnie nie mogła sobie wyobrazić, jak ma wejść na cudzą posesję, przecież to przestępstwo! Ale po przerabianiu cerkiewnych szat nie miała już nic do stracenia – z taką listą grzechów do raju się raczej nie trafi.

– A jeśli mnie złapią? – spytała, już zawczasu przestraszona.

– Też coś! – prychnęła Szydło. – Milicjanci uznają najwyżej, że jesteś złodziejką, i przyprowadzą cię do naszego domu poprawczego. I tak tu siedzisz.

Gdyby jej się powiodło, Nina postanowiła nie wracać do Fiodora Stiepanycza, więc przed wyjściem włożyła sukienkę przesytą z ciemnoszarego habitu, ozdobioną aksamitnymi bordowymi wstawkami. To śmieszne, że wybierała się do pracy łopata w odzieniu bardziej pasującym do wieczorku z koktajlami. Szkoda jej było jednak zostawiać coś tak ładnego prostytutkom. To było jej najlepsze krawieckie dzieło.

Z nastaniem ciemności obie kobiety poszły w stronę Piotrowskiej. Zaczął padać śnieg, wokół nie było żywej duszy, a w oknach nie paliły się światła. Na szczęście dla poszukiwaczek skarbów w całej dzielnicy wyłączono prąd.

– To on, mój dom! – powiedziała Szydło, wskazując świeżo wyremontowaną willę naprzeciwko teatru Korsza. – Widzisz okno na pierwszym piętrze? To moja sypialnia. Ciekawe, kto ją teraz zajął. A jednak dobrze, że tu jest chyba jakiś urząd, bo lokatorzy zaraz by wszystko zapaskudzili.

Nina kiwnęła głową. Proletariusze, których wprowadzano do pańskich domów, przerabiali je wedle własnego gustu, w ogóle nie troszcząc się o architekturę, dlatego w Moskwie na każdym kroku było widać budynki ze zniszczonymi fasadami. Okna zamuroywano, balkony niszczone, a z lufcików sterczały rury piecyków.

Szydło pociągnęła Ninę za rękaw.

– Chodź, pokażę ci, gdzie najlepiej przeleźć przez ogrodzenie. Tam stoi sąg. Można wejść na niego i zeskoczyć na drugą stronę.

Nina spojrzała na towarzyszkę z pewną obawą.

– Może jednak pójdziemy razem?

– Znów zaczynasz?! – zachnęła się Szydło. – Przecież ci tłumaczyłam.

– A jeżeli niczego nie znajdę?

– Znajdziesz.

– A jeśli mnie ktoś przyłapie?

– To dasz mu w mordę łopata i po krzyku.

Boże, co ja tutaj robię?! – pomyślała Nina.

Szydło pomogła jej wdrapać się na zaśnieżony sąg.

– No, niech cię Bóg prowadzi – powiedziała, błogosławiąc Ninę znakiem krzyża. – Kiedy wykopiesz skarb, zawołaj mnie, to pomogę ci wyjść.

Nina czuła się niczym Aladyn, którego zły czarodziej wysłał do jaskini cudów po lampę.

Zeskoczyła w zaspę, a zaraz za nią przyfrunęła zza ogrodzenia saperka.

Dziedziniec okazał się zaskakująco niewielki, był nieodśnieżony, tylko przy wozowni widniały koleiny wyżłobione przez koła samochodu.

Prawie umierając ze strachu, Nina ruszyła wzdłuż muru, a kiedy dotarła przed wejście, zaczęła szukać uszkodzonej cegły. Śnieg padał coraz gęściej, dlatego prawie nic nie widziała.

Przynajmniej ślady zasypie – myślała, pospiesznie obmacując mur.

Wreszcie znalazła spore wgłębienie i zaczęła odgarniać śnieg. Ziemia nie zdążyła jeszcze zamarznąć na kamień, ale saperka cały czas uderzała o jakieś korzenie. Nina rąbała je, a te uderzenia słychać było chyba na milę. Przynajmniej tak jej się zdawało.

Nagle rozległ się metaliczny zgrzyt, kiedy łopatka ześliznęła się po jakiejś płaskiej powierzchni. Nina odrzuciła narzędzie, zaczęła odgarniać ziemię rękami. Serce kołatało jej ze wzburzenia i strachu, że oto nie skarb znajdzie, ale trumnę.

Z ogromnym wysiłkiem wydobyła z dołu metalową skrzynkę, szorstką od rdzy. Czyżby się udało? Ale zbyt wcześnie jeszcze na radość, trzeba uciekać jak najprędzej!

Wstała, otrzępała się i zamarła z przerażenia. Tuż obok stał wielki, ogolony na łyso osobnik w rozpiętym płaszczu.

– Pomóc ci może? – spytał z krzywym uśmiechem.

Nina porzuciła pudło i popędziła prosto w stronę ogrodzenia.

– Wyciągnij mnie!

Ale Szydło się nie odezwała. Nina skoczyła do zamkniętej bramy, a potem znów do płotu. Straszny łyso człowiek wyłonił się ze śnieżnej zasłony i chwycił kobietę za rękę, po czym w milczeniu powłókł ją w stronę domu. Krzyknęła, ale potrząsnął nią jak kukłą.

– Nie wrzeszcz!

W ciemnej sieni czekało na nich dwoje ludzi – młodzieniec ubrany w jedwabny szlafrok oraz tęga czarnoskóra pokojówka z lampą naftową w trzęsących się rękach.

– Oscarze, proszę wezwać milicję! – warknął łyso. – Schwytałem złodziejkę.

Młody człowiek wziął od pokojówki lampę i zaczął uważnie oglądać Ninę, zupełnie jakby miał przed sobą dzikie zwierzątko. Jej ubrudzona ziemią szubka najwyraźniej zrobiła na nim wrażenie.

– Czego pani tu szuka? – spytał z wyraźnym amerykańskim akcentem.

Nina nieco doszła do siebie. Oscar wyglądał na przyzwoitego człowieka. Miał zadbaną twarz, blisko osadzone piwne oczy i modne cienkie wąsy.

– Nie chciałam nic ukraść – powiedziała Nina po angielsku. – Szukałam tylko dokumentów.

– Jakich dokumentów? – burknął łysy. Najwyraźniej znał angielski, ale wołał mówić po rosyjsku.

– W śniegu zostało metalowe pudełko...

– Jefimie, przynieś je – rozkazał Oscar.

– Ale ta dziewczucha ucieknie!

– Nie ucieknie, przypilnujemy jej z Teresą.

Kiedy Jefim wyszedł, Nina się rozejrzała. To nie był żaden urząd, ale bogaty dom. Podłoga w przedpokoju wyłożona parkietem, w rzeźbionym stojaku przy drzwiach znajdowała się cała kolekcja drogich parasoli, a pod sufitem połyskiwał kryształowy żyrandol.

Nina spojrzała na Oscara.

Kim on jest? Mieszka w środku Moskwy jak jakiś baron, ma nawet czarną służbę...

Jefim wrócił, postawił na stoliku przy lustrze zardzewiałą skrzynkę i zaczął z niej wyciągać pożółkłe koperty z listami i dokumentami. Nie było ani pieniędzy, ani kosztowności.

Oscar wziął oprawiony w skórę album fotograficzny.

– „Własność baronessy N.A. Brehmer” – przeczytał napis na okładce.

Na pierwszej karcie zostało umieszczone zdjęcie dziewczyny w wytwornej sukni i kokieteryjnym kapelusiku nasuniętym na jedną brew.

– To przecież ona! – wykrzyknęła Teresa, wskazując Ninę.

Na fotografii bez wątpienia została uwieczniona Szydło, ale rzeczywiście w tamtym czasie była podobna do Niny. Miała rację, że wyglądały jak siostry.

– To znaczy, że jest pani baronessą? – spytał Oscar, patrząc z ciekawością na Ninę.

– Cóż, bardzo mi zatem miło! Może zjemy razem kolację?

Nina oczekiwała wszystkiego – awantury, krzyków i protokołów milicyjnych, ale na pewno nie zaproszenia na kolację.

– Dziękuję... z przyjemnością – odpowiedziała z trudem.

– Tereso, proszę podać jeszcze jedno nakrycie – polecił Oscar.

– Dobrze, panie Reich.

Niech biorą mnie za kogo chcą – uznała Nina. – Byle tylko nie wzywali milicji.

Szła za Oscarem amfiladą pokojów i nie wierzyła własnym oczom. W samym sercu czerwonej Moskwy znajdowała się prawdziwa wyspa kapitalizmu! Wszystkie stoły, wszystkie wazy w tym domu były dziełami sztuki.

Kim był Oscar Reich? Zagranicznym dyplomatą? Dlaczego sowiecki rząd pozwalał mu żyć w tak nieprawdopodobnym luksusie? Nina miała wielką ochotę o to zapytać, ale trzymała język za zębami. Zdaje się, że ten człowiek mógł jej pomóc, nie powinna go do siebie zrażać.

Przechodząc obok wielkiego lustra, Nina ucieszyła się, że ubrała się w piękną suknię. Byłoby niezręcznie siadać do stołu w wymiętolonej spódnicy i wytartej bluzce.

Teresa naląła zupy do talerzy. Nina spróbowała. O bogowie! To był najprawdziwszy manhattański clam chowder! Chrupiące cieniutkie grzanki, świeża zielenina... Dla takich wspaniałości warto było odegrać rolę arystokratki. Okazało się, że tytuł należny Szydło gwarantował pewne przywileje.

Nina pokazała Oscarowi drewniane panele pod sufitem.

– Widzi pan te aniołki? To ja i moi bracia. Mama kazała wyrzeźbić nasze portrety w drewnie. To jest Misza, a tam Ilja i Anton. – Nina wskazywała anioły na oślep. Kto by zgadł, która podobizna kogo przedstawia?

Oscar patrzył na nią z mieszaniną zdziwienia i niedowierzania.

– Gdzie pani była przez cały ten czas?

Nina na poczekaniu wymyśliła tragiczną historię o tym, jak po rewolucji długo tułała się po kraju, aż w końcu postanowiła wyjechać za granicę.

– Mnie nic tutaj nie czeka – oznajmiła z goryczą. – Potrzebuję pieniędzy i dokumentów, dlatego wykopałam skrzynkę.

– Rozumiem. – Oscar pokiwał głową.

Na razie wszystko szło jak trzeba.

Trochę go pokokietuję, a potem poproszę o pożyczkę – pomyślała Nina. – Co mu szkodzi dać mi kredyt? Przy takim bogactwie!

Po kolacji Oscar kazał Teresie rozpaść w kominku w bibliotece i podać butelkę wina.

Nina się ucieszyła – to był dobry znak!

W bibliotece skierowała się ku oknu. Tak jak mówiła Szydło, pod parapetem znajdowała się maleńka skrytka, zamaskowana deszczułą. Nina wyjęła ją i wydobyła ze szczeliny kilka skamieniałych ze starości cukierków w sreberkach.

– Proszę się częstować! – powiedziała, podając je Oscarowi.

Roześmiał się.

– Oho, prawdziwie antykwaryczne egzemplarze!

Miał nienaturalnie białe zęby, jakby wykonane z porcelany. Ile mogły kosztować takie koronki? Były na pewno znacznie droższe nawet od złotych!

– Wypije pani ze mną? – spytał gospodarz, otwierając butelkę. – Winu, w odróżnieniu od cukierków, wiek służy.

Tręcili się kieliszkami i wypili za zdrowie Niny. Kobieta poczuła się na tyle pewnie, że nie mogła powstrzymać pytania:

– Powie mi pan, kim jest?

– Czerwonym kapitalistą – odparł Oscar. – Kiedy w Rosji panował głód, przywoziłem z Ameryki w pełni wyposażony szpital polowy i konserwy wartości sześćdziesięciu tysięcy dolarów. Za tę przysługę otrzymałem od tutejszego rządu koncesję i mam własną fabrykę ołówków.

Nina nic już nie rozumiała. Podstawą podstaw bolszewickiej polityki była walka z kapitalizmem. Jak mogli pozwolić Amerykaninowi założyć fabrykę w Moskwie?

Widząc skonfundowanie Niny, Oscar się roześmiał.

– Bolszewicy chcą zbudować społeczeństwo nowego typu, ale nie posiadają dość specjalistów, dlatego że ci albo się rozpierchli, albo zginęli w czasie wojny domowej. Osiemdziesiąt pięć procent ludności ZSRS mieszka na wsiach, a połowa z nich nie umie pisać ani czytać. Zatem jedną z najpotrzebniejszych rzeczy okazały się ołówki i pióra do walki z analfabetyzmem. Z tego powodu zostałem wyjątkowo potraktowany.

– Nie boi się pan, że pewnego dnia zabiorą panu fabrykę? – zdziwiła się Nina.

– Nie należy mieszać polityki z propagandą przeznaczoną dla prostego ludu. Na pewno pani zauważyła, że prasa bolszewicka napada głównie na Anglików, Francuzów i Chińczyków, a Stany Zjednoczone przeciwnie, stawia jako przykład modernizacji i zdrowej przedsiębiorczości. Na Kremlu nie siedzą idioci. Oni tam doskonale rozumieją, że dla rozbudowania przemysłu potrzebują ścisłej współpracy ze Stanami. Europa jeszcze nie otrząsnęła się po wojnie światowej, dlatego najlepsze technologie i długoterminowe kredyty można znaleźć tylko w Ameryce. Sukces mojej firmy stanowi rękojmię, że pewnego pięknego dnia Waszyngton uzna Związek Sowiecki i ustanowi tu swoją ambasadę. A gdy tylko to się stanie, spłyną tu szerokim strumieniem zagraniczne inwestycje.

– Zdaje się, że jest pan geniuszem dyplomacji! – powiedziała z zachwytem Nina. Oscar wzruszył ramionami.

– Po prostu mam nosa do interesów. Zarobiłem pierwszy milion, kiedy miałem dziewiętnaście lat.

Siedzieli na kanapie i rozmawiali. Nina poczuła się całkiem błogo, czy to od ciepła i miłej atmosfery, czy za sprawą pysznego włoskiego wina. Przecież jedną z głównych przyjemności w życiu jest rozmowa z mądrym człowiekiem, który w dodatku patrzy na interlokutora z jawnym zainteresowaniem.

Nie chciało jej się myśleć o przyszłości, nawet tej najbliższej, ale i tak spoglądała co jakiś czas na zegar stojący nad kominkiem. Już dawno minęła północ. Dobrze by było, żeby Oscar pozwolił jej przenocować w tym domu! Przecież nie wypędzi jej na ulicę? Nina kilka razy napomknęła, że nie bardzo ma dokąd pójść.

Oscar dopił wino, odstawił kieliszek na podłogę, bez słowa chwycił Ninę za ramiona i położył ją na kanapie.

– Co pan robi?! – jęknęła zdławionym głosem.

Zacisnął dłonią jej wargi i zaczął pospiesznie rozpinać spodnie.

Nie wyjmując papierosa z ust, Jefim uderzył kijem bilę, a ta z grzechotem wpadła do najdalszej łuzi.

– Kiedyś złapie pan wreszcie jakąś francę – zauważył ponuro, kiedy Oscar, pogwizdując, wszedł do sali bilardowej.

Gospodarz machnął tylko ręką.

– Dobra, dobra! Ładna damulka się trafiła, czyściutka. Tylko zbyt pruderyjna.

Jefim odstawił kij.

– Chciałbym panu coś pokazać.

Przyniósł dużą kopertę wyjętą ze szkatułki barona Brehmera i wysypał jej zawartość na zielone sukno. To były akcje niemieckich i szwedzkich przedsiębiorstw, a także potwierdzony przez notariusza testament, zgodnie z którym cały majątek starego arystokraty przechodził na jego dzieci.

– Myślisz, że to prawdziwe papiery? Nasza baronessa okazała się milionerką?

– To bardzo możliwe.

Oscar podrapał się w potylicę.

– Tego spadku nie można otrzymać, przebywając w ZSRS.

– Niech pan pomyśli, jak to zrobić – odparł Jefim. – Od przybytku głowa nie rozboli.

Oscar mówił wszystkim, że interesy idą znakomicie, ale w rzeczy samej grunt palił mu się pod nogami. Zgodnie z pierwotnym planem powinien zostać wzorcowym koncesjonariuszem i przyciągnąć do ZSRS zagranicznych inwestorów, ale nic z tego nie wyszło. Przede wszystkim dlatego, że u bolszewików nie wiedziała prawica, co czyni lewica. Jedne resorty dawały gwarancje kapitałowi prywatnemu, a inne groziły zagładą wszystkim kapitalistom świata. Kto by do nich miał przybyć na takich warunkach?

Ale najgorsze było to, że bolszewicy wciąż zmieniali reguły gry tak, żeby im było wygodnie. Kiedy Oscar przyjechał do Rosji, obiecano mu, że będzie mógł wymieniać rosyjską walutę na dolary po państwowym, mocno zaniżonym kursie i swobodnie przelewać zyski na zagraniczne konta. Ale w kraju zaczął się kryzys, więc teraz Bank Państwowy robił wszystko, żeby Oscar nie mógł wywieźć ani centa.

Oprócz tego wciąż szarpały go wszelkie możliwe komisje – a to po linii związków zawodowych, a to z milicji, a to z Centralnego Komitetu Koncesyjnego. Wszystkie sprawiały wrażenie, że troszczą się tylko o sytuację robotników, ale tak naprawdę chodziło o łapówki.

Im gorzej szły sprawy ekonomiczne, tym częściej w fabryce pojawiali się młodzi ludzie z czerwonymi opaskami na rękawach.

– Dlaczego w waszym przedsiębiorstwie nie jest realizowana dyrektywa Komitetu Centralnego o partyjnej pracy? Z jakiej racji płaciecie osiemdziesiąt procent więcej, niż wynosi średnia w Moskwie? Dlaczego zwalniatecie społeczników z komitetu fabrycznego?

– A dlatego, że nic nie robią, tylko płaczą się pod nogami! – odpowiadał rozeźlony

Oscar.

Kontrolerzy wymieniali spojrzenia, a potem zapisywali w notesach: „Nie pozwala ludziom pracy opominać się o swoje prawa”.

Bolszewickie kierownictwo deklarowało poparcie dla Oscara, ale nic nie mogło poradzić na nachalnych nadgorliwców, którzy chcieli zrobić karierę, wykazując się czujnością. We wszystkich gazetach pisali, że komuniści powinni walczyć z kapitałem, więc walczyli. Skąd mieli znać tajne plany państwa o współpracy z Ameryką?

Jefim jako pierwszy powiedział, że trzeba uciekać z ZSRS, i to jak najszybciej. Nigdy nie miał złudzeń co do bolszewików. Przed rewolucją był właścicielem eleganckich łaźni z pokojami gościnnymi i przeszedł przez wszystkie kręgi nacjonalizacji – odebrano mu konta bankowe, potem nieruchomości, aż wreszcie w ogóle wysiedlono go z własnego domu. Gdyby mister Reich nie wziął go na pomocnika, dawno by się rozpił.

Oscar doskonale rozumiał, że czas najwyższy związać interes, ale włożył w fabrykę wszystko, co miał, a nie mógł przedsiębiorstwa sprzedać. Czuł się jak głupi dzieciak, którego ostrzegano, aby nie bawił się ogniem. Nikomu nie wierzył, bo przecież był geniuszem! No i się ten geniusz doigrał.

Cenne dokumenty baronessy Brehmer mogłyby go ocalić, tym bardziej że nietrudno by było je przejąć, skoro Nina nie podejrzewała, jak jest bogata.

Przypomniał sobie, jak na niego patrzyła, kiedy siedzieli w bibliotece. Wystarczyłby tydzień zabiegów, kwiatów i czekoladek, a ta damulka zakochałaby się w nim po uszy i oddała mu siebie całą. Ale musiał wszystko zepsuć, biorąc ją za zwykłą liszeńkę, z którą nie warto się ceregielić.

Liszeńcami nazywano w ZSRS dawną szlachtę, duchownych i inny „obcy klasowo element”, pozbawiony praw obywatelskich. Nie mogli się legalnie zatrudniać, otrzymywać kredytów, a żeby nie umrzeć z głodu, młode i piękne kobiety zgadzały się zostawać utrzymankami notabli albo wręcz trudniły się prostytutką. Oscar bardzo chętnie z tego korzystał. W głębi duszy prowadził swoją własną walkę klasową – był Żydem i w innych okolicznościach książęta czy baronowie nie wpuściliby go nawet za kuchenny próg, teraz zaś obściskiwał ich córki, co one na dodatek pocztywały sobie za szczęście.

Ale zdaje się, że tym razem popełnił niewybaczalny błąd.

Prawie biegiem wrócił do biblioteki, żeby porozmawiać z Niną, przeprosić ją i zapewnić, że po prostu nie potrafił zapanować nad namiętnością.

Rozdział 5

Niemiecki dziennikarz

Co mogło się stać z Niną? – myślała ze strachem Magda. – Została obrabowana i zabita?

Najpewniej tak się właśnie stało. Aparat fotograficzny i płaszcz miały sporą wartość, a przestępczość w Moskwie była przerażająca.

Nie poszła jednak na milicję. Kto wie, co zrobią ci bojownicy przeciwko kapitalistom i białym emigrantom? Może staną po stronie bandytów, nie ofiar? W kraju, w którym panowała dyktatura proletariatu, „wróg klasowy” nie mógł liczyć na pomoc państwa.

Jedynym człowiekiem, który mógł pomóc Magdzie, był Friedrich, który miał jakieś znajomości. Ale od kiedy dostał nową posadę, na trzy dni przepadał za granicą, potem wracał, odsypiał i znów wsiadał do samolotu.

– Mogę się przenieść do Niemiec i tam będziemy się widywali – zaproponowała mu Magda.

Ale Friedrich niczego od niej nie chciał. Z najwyższym trudem udało mu się wykręcić z chińskiej afery, nie zamierzał kompromitować się spotkaniami z Angielką.

Na dodatek Magdzie kończyła się wiza. Długo prosiła wszystkich znajomych, żeby pomogli jej znaleźć pracę w Moskwie. Wreszcie niemiecki dziennikarz, Heinrich Seibert, przyszedł z dobrą nowiną.

– W czwartek będzie w moim domu Edward Owen, wiceprezes amerykańskiej agencji informacyjnej United Press. Jego moskiewski korespondent złamał nogę i wyjechał na leczenie, więc Owen szuka zastępstwa.

Magda bardzo się tym emocjonowała. Mister Owen był klasykiem dziennikarstwa. Powiadali, że w jego londyńskim biurze wszystkie ściany zostały obwieszane fotografiami, na których widniał z królami, prezydentami i marszałkami. Płacono mu królewskie uposażenie, ale był tego wart. Pod jego kierunkiem europejski oddział United Press rozkwitał.

Gdyby Magdzie udało się zostać moskiewskim korespondentem, nie tylko by jej przedłużono wizę, ale i pozwolono przenieść się z okropnego Metropolu do normalnego mieszkania. Poza tym zmieniałaby się z burżujki w człowieka pacy i Friedrich nie musiałby się przed nią ukrywać.

Po raz pierwszy od wielu lat Magda poszła do fryzjera i się pomodliła. Na wszelki wypadek kupiła też od sąsiada nowy aparat firmy Kodak. Chciała zademonstrować Owenowi wszystkie swoje talenty, od pisarskich po fotograficzne.

Heinrich Seibert przyjechał do Moskwy zaraz po rewolucji i zdołał się nieźle urządzić. Miał piękne mieszkanie w dawnej kawiarni Neapolitanka, samochód i mnóstwo przyjaciół. W Niemczech nie spojrzaliby na niego żadna dziewczyna – niewysoki, barczysty, o wypukłym czole, podobny był do starzejącego się satyra. W Moskwie budził zainteresowanie jako obcokrajowiec i właściciel niezliczonych skarbów niedostępnych dla zwykłych śmiertelników, jak zegarek na rękę, szampon w proszku, okulary przeciwsłoneczne i tak dalej.

Tego wieczoru Seibert siedział przy oknie w na wpół pustej restauracji hotelu Wielka Moskiewska, dawniej Grand Hotelu. Miał małe osobiste święto – znajomy inżynier przemycił do Niemiec jego artykuł o przyczynach kryzysu ekonomicznego w Związku Sowieckim i zrobiło się sporo szumu.

Bolszewicy pilnowali skrupulatnie, żeby żadne materiały „godzące w ustrój” nie przenikały za granicę, trzeba więc było drukować się pod fałszywym nazwiskiem, inaczej mogliby odebrać wizę. Ale Seibert i tak był zadowolony. Oszukanie sowieckich cenzorów i opublikowanie tego, co się naprawdę myślało, dostarczało łaskoczącej nerwy przyjemności.

Kelner podał zimnego jesiotra z chrzanem i karafkę wódki w lodzie.

Zmierzchało, wielkie okna restauracji stały się sinoniebieskie, zaczęły się w nich odbijać bogate żyrandole i stoliki nakryte białymi obrusami. Seibert nalał sobie kieliszek wódki i uniósł go w toaście do własnego odbicia.

– Za wolność słowa!

W artykule opowiedział o tym, że obywatelom sowieckim nie opłaca się zajmować produkcją czegokolwiek, a szczególnie rolnictwem. Żeby wykarmić Armię Czerwoną, milicję i urzędników, rząd celowo zaniżał ceny skupu zboża, więc z każdym rokiem chłopi siali coraz mniej. Jaki sens pracować, skoro wszystko i tak zostanie człowiekowi odebrane? A kiedy Kreml rozpuścił plotki, że Anglia zamierza zaatakować ZSRS, przestraszeni rolnicy przerobili ziarno na odwieczną rosyjską walutę, czyli samogon. W rezultacie miejskie rynki i magazyny opustoszały.

Obywatele szybko doszli do wniosku, że najlepszą pracę mają urzędnicy, którzy posiadają prawo do zakupów w specjalnych sklepach spółdzielczych ustanowionych przy każdym resorcie. Wszyscy pragnęli zdobyć ciepłą posadkę, armia darmożjadów rosła, a rząd walczył nie z rosnącym w oczach aparatem biurokratycznym, tylko z opozycją i garstką przedsiębiorców prywatnych. W takich warunkach kryzys był nieunikniony.

Wyjrząwszy przez okno, Seibert zobaczył na podjeździe hotelu taksówkę, z której wysiadł elegancki obcokrajowiec w ciemnoszarym płaszczu i kapeluszu homburg. Zaraz za nim wyskoczyła ładnie ubrana dziewczynka. Pod pachą trzymała maskotkę – konia.

Po jakimś czasie weszli do restauracji, a Seibert omal się nie udławił kawałkiem ryby. Córka wyelegantowanego mężczyzny była Chinką! Policzki zarumieniały jej się od mrozu, czarne oczka błyszczały, a włosy, nakryte czapką, stroszyły się na karku

w śmieszne różki. Przyniosła konika ze sobą i posadziła go przy stole znajdującym się dwa kroki od dziennikarza.

Ojciec dziewczynki miał jakieś trzydzieści pięć, może czterdzieści lat. Zadbany i opalony, przypominał europejskiego arystokratę. Jak mógł się ożenić z Chinką? Przecież po czymś takim zamykały się przed nim drzwi każdego przyzwoitego domu i droga do lepszego towarzystwa! A i małą, która wdała się w matkę, czekał niewesoły los. Rasizm w Europie i Ameryce miał się znakomicie i wciąż rozkwitał.

– Kitty, połóż konika na podłogę, proszę – powiedział cudzoziemiec po angielsku, ale z bardzo wyraźnym akcentem. – Nie siada się z końmi do stołu.

– Siada się! – odpowiedziała dziewczynka.

– Naprawdę? A kto tak powiedział?

– Ja! Jestem już duża i wiem, że dwa i dwa to cztery!

– A dwa dodać trzy?

Kitty nachmurzyła się, ale zaraz wybuchła śmiechem.

– No dobrze! Nakarmię konika w pokoju.

Rozmawiali mieszaniną trzech języków: rosyjskiego, angielskiego i zapewne jakiegoś chińskiego dialektu.

Czekając na realizację zamówienia, mężczyzna pokazywał Kitty sztuczki z kawałkiem cukru. To chował go w zaciśniętej dłoni, to wyjmował z mankietu albo zza ucha małej.

Dziewczynka zaśmiewała się.

– Jeszcze! Jeszcze!

Seibert nie wytrzymał.

– Przepraszam pana, ale jestem bardzo ciekawy... Czy pan jest artystą?

Mężczyzna się odwrócił.

– Nie, dziennikarzem.

Podał Seibertowi wizytówkę, na której widniało „Klim Rogov” – nazwisko zostało zapisane w transkrypcji angielskiej.

– O, jest pan Rosjaninem? – zdumiał się jeszcze bardziej Niemiec.

– Tylko z pochodzenia. Mam obywatelstwo amerykańskie, ale mieszkamy z Kitty w Szanghaju. Pracuję w anglojęzycznej stacji radiowej.

– A ja w agencji informacyjnej Wolffs Telegrafische Büro – powiedział Seibert. – Co pan porabia w Moskwie?

Klim wzruszył ramionami.

– Próbuję odszukać ludzi, którzy brali udział w wojnie domowej w Chinach, ale wszędzie słyszę, że Związek Sowiecki nikogo tam nie wysyłał, a wszystko działo się za sprawą determinacji proletariatu.

Seibert uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– A czego by pan chciał? Tutaj cała polityka to tylko mity i legendy, w które wszyscy mają obowiązek wierzyć. Więc i pan powinien!

– Tylko że mam z tym pewien kłopot. – Klim się zasepił. – Moja znajoma przyjechała do ZSRS razem z wojskowymi i politycznymi doradcami, pracującymi w Chinach, a potem wszyscy jakby wyparowali. Już miesiąc ich szukam.

– Niech pan przyjdzie do mnie – zaproponował Seibert. – Jutro o piątej po południu urządzam mały wieczorek. Pojawi się pewna lady z Wielkiej Brytanii, Magda Thompson. Ona zna tych ludzi.

– Dziękuję! Ratuje pan mnie i Kitty! – Klim zwrócił się do córki. – Widzisz? Mówiłem, że wszystko będzie dobrze.

Seibert poczuł się jak dobry czarodziej, który jednym pstryknięciem palców może uszczęśliwić zwykłych śmiertelników.

Mały notatnik Klima Rogowa

Prowadzić tajemny dziennik to tak, jak wywiesić tabliczkę „Nie wchodzić!” i zostawić lekko uchylone drzwi. Już wiele razy porzucałem ten szkodliwy nawyk, ale niestety, należę do plemienia grafomanów, którzy żyją z polowania na słowa i ze zbierania sensów. Gdyby nam odebrać łupy, niechybnie wymrzemy.

Przy czym obiecałem Fernandowi opisać ze szczegółami moje przygody w Rosji, więc uznajmy to za dostateczne wytłumaczenie tego, co robię.

Ten notatnik ujrzałem w kiosku, kiedy wylądowaliśmy we Władywostoku. Dopiero potem zobaczyłem, że na każdej stronie zostały uwiecznione „pamiętne daty” – kaźni rewolucjonistów, pacyfikacji demonstracji, zamachów na carów. Mój dziennik można śmiało nazywać *Księgą Umarłych*, chociaż wciąż mam nadzieję, że zamieszczę w nim historię ocalenia, nie zguby.

Moja żona przepadła bez wieści, a jedynym punktem zaczepienia, jaki posiadam, to artykuł opublikowany w gazecie „Prawda”, w którym napisano, że „chińska grupa” przybyła do Moskwy.

Moi szanghajscy znajomi uznali, że zupełnie zwariowałem, chcąc jechać do Rosji. W oczach bolszewików obcokrajowiec o rosyjskim nazwisku może być tylko białym emigrantem, a biały emigrant to z założenia wróg.

Ale na granicy nikt nie zwrócił na to uwagi. Amerykański paszport i szykowny płaszcz od razu czynią człowieka kimś ważnym. Drobnii sowieccy urzędnicy obawiają się iść na udry z kimś takim. Kto wie, może właśnie przyjechał znamienity inżynier albo uczoney, którego zaproszono na dziesiątą rocznicę rewolucji?

Dotarliśmy z Kitty do Moskwy w szesnaście dni, a ile się naoglądaliśmy po drodze! Do Chabarowska pociąg jechał w eskorcie czerwonoarmistów, którzy dyżurowali na podestach wagonów i w parowozie. Daleki Wschód Rosji jest stale nękanym przez najazdy rozbójniczych band, które nierzadko napadają na składy pasażerskie, ponoć wygląda to zupełnie jak na w filmach o Dzikim Zachodzie.

Widzieliśmy parę zardzewiałych pociągów leżących pod nasypami jeszcze od czasu wojny domowej. Wiele mostów zostało wysadzonych w powietrze, a zamiast nich bolszewicy zbudowali tylko tymczasowe drewniane przeprawy. Pociąg przejeżdżał nimi powoli, z najwyższą ostrożnością. Belki trzeszczały pod ciężarem, a pasażerowie wstrzymywali oddech i modlili się o zmiłowanie.

Jeden z takich prowizorycznych mostów runął zaraz za naszymi plecami, parowóz ledwie zdążył wyciągnąć ostatni wagon na brzeg. To było bardzo dziwne uczucie – jakbym przekroczył Rubikon.

Nie miałem dokąd wracać: porzuciłem pracę w radiu, oddałem do przechowalni meble oraz inne rzeczy, a klucze od willi zwróciłem właścicielom. Nie mam pojęcia, jak długo potrważą moje poszukiwania i na ile wystarczy mi pieniędzy. Nigdy nie miałem

dostępu do kont Niny, więc możemy z Kitty liczyć tylko na moje skromne oszczędności.

To doprawdy ciężki idiotyzm postawić wszystko na jedną kartę i z własnej woli jechać do kraju, którym mamy na emigracji straszą dzieci. Nawet jeżeli uda mi się odnaleźć Ninę, i tak się zapewne znów rozstaniemy. Jeszcze przed jej wyjazdem oboje zrozumieliśmy, że nie wychodzi nam życie rodzinne i tylko odraczamy nieuchronną katastrofę.

Co mnie skłania, żeby gonić uludę dawno wygasłej miłości?

Zawsze zachwycała mnie energia Niny, jej poczucie godności własnej i umiejętność wygrzebywania się z popiołów porażek, ale na pewno nie o to chodzi. Ona ma w sobie tak niesamowity kobiecy urok, że nie sposób się mu oprzeć. I nie jest to jedynie mój odosobniony pogląd, bo nieraz widziałem przecież, jak patrzą na nią inni.

Gdzie znajdę drugą taką kobietę? Gdybym nie udał się do Moskwy, skazałbym się albo na samotność, albo na beznadziejne poszukiwanie zamiennika żony, a o tym nie chcę nawet myśleć.

Z pewnością przypominam pasażera Titanica, który umiera w lodowatej wodzie, ale wciąż uważa, że jego statek nie może zatonać, skoro tak mu powiedziano. Zaraz wynurzy się z głębi, wszelkie uszkodzenia załatają się same, a kapitan obierze poprzedni kurs.

Klim nie mógł się doczekać spotkania z Magdą Thompson. Żeby tylko była w stanie mu pomóc!

Wziął dorożkę i razem z Kitty usiadł w starych saniach, krytych derką zrobioną z flanelowego koca.

– Pomódl się, żeby wszystko się udało! – szepnął córce na ucho. – Kogo jak kogo, ale ciebie Pan powinien usłyszeć.

– Modlę się! – wykrzyknęła dziewczynka. – Tak będzie słychać czy trzeba jeszcze głośniej?

Dorożkarz uśmiechnął się w oszronioną brodę i potrząsnął lejcami.

– No, stara, zasuwaj jak taksóweczka!

Przed wieczorem nad Moskwą lśnił purpurowy zachód słońca. Sanki jechały, poskrzypując łożami, w twarze duł wiatr, a spod kopyt gniadej klaczki wyrzywały się grudy brudnego śniegu.

Kiedy wyjechali na plac Łubiański, woźnica odwrócił się do pasażerów i wskazał wielopiętrowy żółty budynek z zegarem na fasadzie.

– Niech pan spojrzy, towarzyszu obcokrajowcu! Dawniej był w tym miejscu hotel towarzystwa ubezpieczeniowego „Rosja”, a teraz mamy główną siedzibę OGPU.

Karmazynowe słońce odbijało się w okrągłym cyferblacie i Klim zadrżał mimo woli. Ogniste oko uważnie go obserwowało, wszechwiedzące i obojętne.

Po drodze Kitty zasnęła.

Dorożkarz zatrzymał się przed parterowym domkiem o wysokich oknach. Na ścianach wymalowano błękitne morze, krzewy róż i tańczące dziewczęta z bębnami, a z dachów zwisały sople, niby skierowany ku ziemi częstokół.

Klim wziął córeczkę na rękę, wszedł na schody i zapukał do drzwi z napisem wykaligrafowanym gotykiem: „Aufgang für Herrschaften”, czyli „Wejście tylko dla ludzi szlacheckich”.

– O, kogo ja widzę! – wykrzyknął Seibert na widok Rogowa, ale zaraz dodał szeptem: – Proszę iść do sypialni i tam położyć małą.

Klim się rozejrzył. Przedpokój od podłogi po sufit był zawieszony obrazami w złoconych ramach. Seibert był chyba kolekcjonerem. Sterta płaszczy i futer piętrzyła się na rogatym wieszaku, a na podłodze zakotwiczyła cała flotylla kaloszy. Z salonu dochodziły wybuchy śmiechu i muzyka. Ktoś grał na fortepianie.

Klim czuł się niezręcznie, zjawiwszy się na obcej wieczornicy, do tego przyniósł dziecko, przysparzając nieznanym wszak ludziom dodatkowych kłopotów. Ale co miał robić?

Gospodarz poprowadził go w głąb na wpół ciemnego mieszkania z wysokimi łukowymi sklepieniami i wąskimi krętymi korytarzami. Szlachetni ludzie, którzy trafili do sypialni Seiberta, znaleźli się w ciasnym pokoju, oklejonym ciemnoniebieskimi tapetami. Pośrodku królowało łoże z rzeźbionym wezłowiem i pomarańczowymi

poduszkami. Na suficie połyskiwało lustro, a na komodzie stała porcelanowa figurka diabła z wielkim fallusem.

Seibert zachichotał zmieszany i odwrócił go twarzą do ściany.

– To tylko tak... Kaprys...

Klim położył Kitty na łóżku, zdjął jej buciki, czapkę i płaszczyk.

W kuchni za ścianą coś zabrzączało, jakby ktoś upuścił żelazną tacę.

– Szczęśliwe dziecko, śpi nawet przy takim hałasie! – zachwycił się Niemiec. – A mnie budzi nawet szuranie miotły po chodniku. Chodźmy do gości, miss Thompson zaraz nadejdzie.

Magda spóźniła się pół godziny. Okna tramwaju pokrywała gruba warstwa szronu, dlatego przejechała przystanek.

– Owen już jest – powiedział Seibert, kiedy zziębnięta Angielka weszła do przedpokoju. – Przygotowała się pani?

Pociągnęła zmarzniętym nosem.

– Chyba tak.

Spojrzała w lustro, poprawiła sukienkę, niebieską z różowym kołnierzykiem i kwadratowymi guzikami na rękawach. Zdawało jej się, że wystarczy powiesić na szyi aparat, żeby wydawała się profesjonalnym reporterem.

– Chodźmy, przedstawię was sobie – powiedział Seibert i Magda poszła za nim do salonu.

Było tam już pełno ludzi, którzy mówili wszyscy naraz, mieszając niemiecki z angielskim i rosyjskim. Podpici Francuzi bębnilo na cztery ręce w klawisze fortepianu i śpiewali *Walentynę*. Kilka par tańczyło. Papierosowy dym wił się w świetle pomarańczowych lamp.

– Mam tutaj moją własną międzynarodówkę! – oznajmił z dumą Seibert. – Tylko pomyśleć, że całkiem niedawno walczyliśmy ze sobą, a teraz siedzimy w środku zasypanej śniegiem Moskwy, pijemy gruzińskie wino i nie mamy do siebie żalu.

– Gdzie jest Owen? – spytała Magda słabym z emocji głosem.

Seibert wskazał jej dorodnego mężczyznę stojącego w kręgu gości.

Magda podeszła.

– Kiedy przekroczyłem granicę, celnik kazał mi deklarować szubę i kalosze – opowiadał Owen. – Ktoś może mi wyjaśnić, po co Sowiety to robią?

– Tak właśnie walczą z bezrobociem – odparł ciemnowłosy pan w eleganckim trzyczęściowym garniturze. – Jeżeli w kraju brakuje miejsc pracy, można je stworzyć właśnie tak, na pusto. Proszę sobie tylko wyobrazić, ilu ludzi można zająć liczeniem przybywających i wybywających kaloszy!

– Kto to jest? – spytała Magda Seiberta.

– Nazywa się Klim Rogow. Chciałby z panią porozmawiać.

– O czym? Przecież go nie znam... Chociaż, zaraz...

Nie zdążyła dokończyć, kiedy za ścianą coś runęło z hałasem.

– Lizchen, znowu?! – warknął groźnie Seibert. – Koszmar, nie służba! Wszystko jej z rąk leci!

Wybiegł z salonu, a Magda znów spojrzała na Klima Rogowa. Przypomniała sobie, że tak się miał nazywać mąż Niny. Czyżby to był on?

– Władza w Związku Sowieckim przypomina piramidy w Gizie – mówił dalej Klim do Owena. – Na wierzchołku każdej z nich znajdują się przywódcy dobierający sobie może nie najbardziej utalentowanych, ale najwierniejszych pomocników, którzy nigdy nie odmówią wykonania rozkazu. W nagrodę za wierność otrzymują nadania, z których mogą

żyć. Ci wasale mają swoich wasali, pomniejszych rangą, a tamci hodują własnych. Dobrobyt każdego z nich zależy od stabilności piramidy, dlatego robią wszystko, żeby ją umacniać. Ale na pustyni trudno znaleźć materiały budowlane, więc kradną sobie nawzajem kamienie i kopią pod sobą dołki.

Klim opisał też, kto jest kim w Politbiurze i kto do jakiego klanu należy.

– Skąd pan to wszystko wie? – zdumiał się Owen.

– Zawodowy nawyk przyglądania się szczegółom.

– Pan mówi po rosyjsku?

– Znam rosyjski, angielski i hiszpański biegle, a dialekt szanghajski komunikatywnie.

– Może pan teraz napisać jakąś notatkę na próbę? – poprosił Anglik.

– Oczywiście.

Z sąsiedniego pokoju rozległ się płacz dziecka, a do Klima podbiegł zaniepokojony Seibert.

– Pańska córka się obudziła!

Klim zbladł.

– Zaraz wrócę z notatką.

– Ma pan dziesięć minut! – zawołał za nim Owen. – Niedługo wyjeżdżam!

Seibert ujął Magdę pod rękę.

– Mister Owen, chciałbym panu zarekomendować miss Magdę Thompson...

– Przepraszam, ale muszę przypudrować nos – przerwała mu i poszła do drzwi.

Już zrozumiała, że Owen chce zatrudnić jako korespondenta Klima Rogowa, a ona nie ma najmniejszych szans. Żadne zdjęcia nie mogły zrekomensować nieznamości rosyjskiego.

Kitty siedziała na łóżku i z odrzuconą do tyłu główką wołała:

– Tato-o-o!

Klim włączył lampkę nocną i wziął ją na ręce.

– Co małeńka? Jestem tutaj...

Kitty objęła go za szyję i usiłowała coś powiedzieć, ale tylko chlipała spazmatycznie.

Klim posadził ją sobie na kolanach.

– Cicho, malutka, cicho...

Nie powinien zostawiać jej samej! Przecież dla czteroletniego dziecka ocknąć się w obcym pokoju to coś straszego.

Wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki notes i nie wypuszczając córeczki z objęć, zaczął pisać notkę o spekulantach walutowych działających w Moskwie.

Według oficjalnego kursu Bank Państwowy płacił za amerykańskiego dolara rubla i dziewięćdziesiąt cztery kopiejki, a w Rydze można go było wymienić na cztery ruble. Na nielegalnej wymianie waluty korzystali tak cudzoziemcy mieszkający w ZSRS, jak i tysiące zakonspirowanych przedsiębiorców oraz przemytników...

– Chcę do domu! – chlipnęła Kitty.

– Zaraz wszystko będzie. I dom, i łóżeczko – szepnął Klim, całując ją w tył główki.

– Coś wymyślę.

– A mama?

– Mamę znajdziemy.

Klim nawet nie marzył o zdobyciu pracy w Moskwie, to by było zbyt piękne. Jeżeli jednak otrzyma legitymację korespondenta, z pewnością o wiele łatwiej będzie mu szukać Niny. Przecież inna sprawa pytać o coś jako zwykły człowiek, a zupełnie co innego w imieniu solidnej agencji informacyjnej.

Dopisał krótką notatkę, wziął Kitty na ręce i wyszedł do przedpokoju.

Mister Owen już się ubierał. Seibert w stercie płaszczy szukał zagubionych rękawiczek.

– Gotowe?

Klim podał Anglikowi otwarty notes. Owen przeczytał tekst i twarz mu się rozjaśniła.

– Dałby pan sam radę wymieniać sobie u spekulantów pieniądze przydzielone na wydatki służbowe?

– Myślę, że tak – odparł Klim.

Owen wręczył mu wizytówkę.

– Zdaje się, że będzie nas pan kosztował dwa razy mniej niż pana poprzednik. Niech pan zadzwoni jutro do mojego hotelu, omówimy szczegóły.

Owen przeniósł wzrok na Kitty i jak wielu innych, nie potrafił powstrzymać się od pytania:

– Proszę wybaczyć... To pańska córka?

Klim skinął głową. Drażniło go powszechne zainteresowanie skośnookim dzieckiem.

– Oczywiście pańskie prywatne sprawy mnie nie obchodzą – powiedział Owen i podał Klimowi rękę. – Do zobaczenia.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Klim zwrócił się do Seiberta.

– Miss Thompson jeszcze nie przyszła?

Niemiec zamrugał zmieszany.

– Ach, przecież chciał pan z nią rozmawiać... Rozumie pan, Magda też chciała zostać pracownikiem United Press. Właśnie pozbawił ją pan zatrudnienia.

– Gdzie jest teraz?!

– Nie wiem... Niech pan jej poszuka. Jest wysoka, dorodna...

Nie wypuszczając Kitty z rąk, Klim rzucił się do salonu, potem do kuchni, a następnie w jakieś ciemne, zastawione meblami pokoje. Diabli... Niech to diabli! Teraz miss Thompson nie zechce z nim rozmawiać!

Znalazł ją w sypialni Seiberta. Siedziała na łóżku i płakała, rozmazując łzy po policzkach.

– Niech się pan stąd wynosi! – krzyknęła na widok Rogowa.

Kitty się przestraszyła i zaczęła płakać, a Klim cofnął się do korytarza.

– Posiedź tutaj, zaraz wrócę! – powiedział i dał córeczce „nietykalny skarb”, czyli złoty zegarek, który kiedyś sprezentowała mu Nina. Kitty od dawna polowała na to чудо, więc ucieszyła się niepomrotnie z nieoczekiwanego łupu.

Klim wszedł do sypialni, przymknął za sobą drzwi i usiadł w fotelu naprzeciwko Magdy.

– Miss Thompson, moja żona zaginęła i mam nadzieję odnaleźć ją z pani pomocą.

– Nie zamierzam panu w niczym pomagać! – wykrzyknęła kobieta. – Właśnie ukradł mi pan posadę!

– Jeżeli trzeba, niezwłocznie zrezygnuję.

Magda wyjęła chusteczkę, wydmuchała głośno nos.

– A niech pan idzie do diabła ze swoją łaską! Po rozmowie z panem Owen na pewno mnie nie zatrudni. A żony i tak pan nie znajdzie.

– Dlaczego?

Wściekając się i zacinając, Magda opowiedziała jednak Klimowi o swojej znajomości z Niną i jej zniknięciu.

– Miała na sobie porządny chiński płaszcz, czerwony z haftowanymi smokami. Może ktoś się na niego połakomił?

– Dziękuję... – powiedział Klim, spuszczać głowę.

– Nie ma za co – odparła jadowitym tonem Magda, a wychodząc z pokoju, tak trzasnęła drzwiami, że porcelanowy diabeł spadł z komody i się stłukł.

Rozdział 6

Moskiewska Sawanna

Księga Umarłych

Podpisałem umowę na jedenaście miesięcy i zostałem oficjalnie mianowany kierownikiem moskiewskiego biura United Press. Szumnie brzmi taka nazwa, ale w istocie rzeczy w moim biurze pracuje tylko jeden człowiek, zatem zostałem swoim własnym szefem.

Przede wszystkim musiałem się udać do Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych, gdzie wypełniłem cały stos ankiet. Żeby uniknąć zbędnych pytań, przedstawiłem się jako nowojorczyk rosyjskiego pochodzenia, który mieszkał kilka lat w Chinach. Taka wersja urzędzała wszystkich.

Następnie poszedłem do Wydziału Prasy, jak w Sowietach nazywa się urząd cenzorski. Bez zgody tej agencji dziennikarze nie mogą wysyłać za granicę żadnych wiadomości.

Sowieccy cenzorzy okazali się bardzo uprzejmymi i wykształconymi ludźmi. Wszyscy noszą okulary, znają po trzy, cztery języki i są zasłużonymi rewolucjonistami. W swoim czasie uciekali przed tyranią carską do Europy i latami piętnowali ciemżycieli ludu rosyjskiego, a po 1917 roku wrócili do domu i zaczęli wykorzeniać wszelką myśl mogącą szkodzić władzy.

Kierownik wydziału, Jakow Wajnsztajn, od razu przedstawił mi oficjalną doktrynę, żeby potem nie było głupich pytań.

– Tylko w ZSRS rozkwita prawdziwa wolność słowa, a to dlatego, że jedynie w naszym kraju ludzie pracy mogą swobodnie wypowiadać się w prasie bez obaw o życie. Nigdzie więcej gazety nie publikują listów chłopów...

Czytałem te „listy”. Wynika z nich, że mieszkańcy zabitych deskami syberyjskich wiosek uprawiają dzielnie wielkie połacie ziemi, a rodowity Kozak doński jest skłonny nazywać się zwykłym chłopem i tak właśnie podpisywać, na przykład „Chłop Sidorow”. I co kogo obchodzi, że dla prawdziwego syna stepów to brzmi jak obelga? Prenumeratory „Prawdy” nie orientują się w takich drobiazgach.

– Cenzura jest niestety konieczna – mówił dalej Wajnsztajn, gładząc gęstą, kędzierzawą brodę. – Cudzoziemcy bowiem wciąż oczerniają nasz kraj, dając fałszywy jego obraz światowemu proletariatu. Czasem nie dzieje się tak wcale ze złej woli. Zdarza się, że dziennikarz zobaczy na ulicy żołnierzy i od razu uznaje, że do Moskwy wprowadzono wojska, podczas gdy to są kursanci idący karnie do łaźni! Ale też nieraz spotykamy się z celowym zniekształcaniem rzeczywistości. Na przykład niedawno w „Daily Telegraph” napisano, że OGPU rozstrzeliwuje robotników. Widzieliście w Moskwie chociaż jednego zabitego?

Przyznałem, że nie. Ale pomyślałem od razu, że nikt przecież mi nie pokaże, co się dzieje w lochach Łubianki.

– Bardzo dobrze, że trzeźwo oceniacie sytuację! – ucieszył się Wajnsztajn. –

Wychodzimy naprzeciw zagranicznym korespondentom i zwalniamy ich z konieczności znużonego zdobywania informacji. Za każdym razem, kiedy w kraju dzieje się coś ważnego, przesyłamy komunikaty. Dziennikarze piszą na ich podstawie artykuły, nasz pracownik je sprawdza, przystawia pieczętkę, a następnie zostają wysłane do redakcji. Jak widzicie, nie zamierzamy panu sprawiać najmniejszych trudności.

Dodał jeszcze, że jeśli będę przedstawiał sprawy w obiektywnym świetle, pomoże mi zrobić karierę w dziennikarstwie.

– Mam nadzieję, że rozumiecie, iż wasze osiągnięcia w chińskim radiu nikogo tu nie interesują. Kiedy wasz kontrakt się zakończy, będziecie musieli poszukać nowej pracy. Proszę się postarać dobrze pracować i dla Owena, i dla nas, a wówczas otrzymacie najlepsze możliwe rekomendacje.

Byłem pewien, że mówi to samo wszystkim nowicjuszom. To było ostrzeżenie: jeśli Wajnsztajn nie będzie z ciebie zadowolony, cenzorzy nie pozwolą ci pracować, a szefostwo zwolni cię jako nieumiejącego znaleźć kompromisowych rozwiązań w kontaktach z miejscowymi władzami.

Przy czym przed odjazdem Owen również zażądał ode mnie skrajnej obiektywności i powiedział, że ważne materiały, które nie mają szans w starciu z cenzurą, należy do Londynu jakoś przemycać.

– Musi pan sam wymyślić sposób przetransportowania artykułów za granicę – rzekł. – Proszę być jednak jak najbardziej ostrożnym, bo jeśli pana złapią, mogą deportować z ZSRS, to się już zdarzało. Sowieccy urzędnicy są przekonani, że krytykować ich poczynania mogą tylko „wrogowie ludu pracującego”, których trzeba jak najszybciej neutralizować. Lepiej więc niech pan niepotrzebnie nie ryzykuje.

Seibert poradził Klimowi wynająć mieszkanie u swojego znajomego nazwiskiem Elkin.

Był to niewysoki kanciasty człowiek z haczykowatym nosem i rudymi, nastroszonymi wąsami. Wzbogaciwszy się w czasach NEP, wykupił podniszczoną willę na Czystych Prudach, zobowiązując się do jej wyremontowania. Niebawem na parterze otworzył się sklep księgarski Moskiewska Sawanna, a piętro było wynajmowane obcokrajowcom.

– Remontu nie zdołaliśmy dokończyć – powiedział Elkin nieco zmieszany, kiedy Klim z córeczką przyszli obejrzeć mieszkanie. – Ale nic nie poradzę, że nigdzie nie można kupić materiałów budowlanych.

Rzeczywiście – ze ścian gdzieniegdzie opadał tynk, a parkiet wyglądał, jakby przez długi czas przesuwano po nim ciężkie meble. Ale za to w dużym pokoju były: mały kominek zbudowany z błękitnych kafli oraz strzeliste okna o kolorowych szybach. W dodatku gospodarz oferował najemcom rozstrojony fortepian, kanapę i stoliczek toaletowy ze świecznikami w kształcie żyraf.

Tych zwierząt było w mieszkaniu po prostu mnóstwo. Ozdabiały dosłownie wszystko – od klamek po firanki.

– To jak, chcesz tu mieszkać? – spytał Klim córeczkę.

– Tak! – westchnęła z zachwytem, patrząc jak urzeczona na żyrandol, wykończony brązowymi rogatymi głowami. – Tam są takie koniki!

Za jedenaście miesięcy Elkin zażądał niesamowitej wprost sumy – dwóch tysięcy dolarów.

– Znajduję się w trudnej sytuacji życiowej – wyjaśnił. – Dlatego musiałem podnieść cenę.

Dzwonili do siebie i targowali się kilka dni.

– Lepiej już zostanę w Grandzie – złościł się Klim. – Tu jest i taniej, i tynk nie leci na głowę.

– Przecież nie żądam aż tak wiele – powtarzał Elkin nudnym głosem. – Proszę mi wierzyć, że nie znajdzie pan drugiego takiego mieszkania w całej Moskwie. Jest telefon, płyta kuchenna, a do tego spiżarka i łazienka... Przecież potrzebuje pan łazienki dla dziecka.

– Pan chce dostać więcej, niż ja zarabiam!

Stańło wreszcie na tysiącu. United Press zgodził się dać Klimowi kredyt na poczet honorariów i można było przewieźć rzeczy na Czyste Prudy.

Wieczorem zapukał do drzwi kosmaty staruszek w dziurawym bezrękawniku. Trzymał w dłoniach taboret zбитy z brzoźowych gałęzi.

– Nazywam się Afrykan, tutejszy dozorca – oznajmił głębokim basem, po czym wskazał białego grubego psa, tulącego się do jego walonek. – A ten gad wabi się Gryzka, pilnuje domu. Tutaj mam taki prezencik, żeby było na czym siedzieć przy fortepianie.

Podał Klimowi toporny taboret z gałęzi.

Rogow dał dozorczy rubla, a ten obiecał zrobić „jego wysokości” jeszcze trzy taborety, na wypadek gości.

– Gryzka, widziałaś, jakiego mamy lokatora? – wymamrotał z zachwytem Afrykan, schodząc po schodach. – Książę, no po prostu książę sowiecki! A ja już myślałem, że takich w ogóle nie ma.

Suka popiskiwała, zgadzając się z opinią pana. Ponieważ Kitty poczęstowała ją skórką z kiełbasy, Gryzka od razu nabrała wielkiego szacunku dla nowych mieszkańców.

Księga Umarłych

United Press ma tysiące współpracowników na całym świecie, powinienem więc każdego dnia wysyłać telegramy do Nowego Jorku, Londynu, Berlina i Tokio. Tam moje depeche są sortowane i przesyłane do prenumeratorów tych wiadomości, to znaczy do lokalnych gazet.

Jak się okazało, praca korespondenta zagranicznego w Moskwie przypomina łowienie pereł w niespokojnym morzu. Z Wydziału Prasy przychodzą jedynie nudne komunikaty o posiedzeniach i jakichś partyjnych ustaleniach, więc mogę liczyć tylko na siebie.

Spodziewałem się, że obywatele sowieccy będą chętnie ze mną rozmawiać, jeśli pokażę legitymację dziennikarską. Jednak obcokrajowcy są w Moskwie doskonale odseparowani od miejscowych nie tylko za przyczyną bariery językowej, ale przede wszystkim strachem przed OGPU. Po latach podróżowania i emigracji mówię po rosyjsku z lekkim akcentem, także strój od razu mnie demaskuje, tymczasem Rosjanie odnoszą się z nieufnością do wszystkich „zagranicznych gości”.

Wyjątek stanowią tylko ci już najprostszy ludzie. Niedawno postanowiłem zrobić wywiad z delegatem jakuckim, którego przysłano na zjazd partii bolszewickiej. Zapytałem, za czym dokładnie głosuje, ale okazało się, że chłop nic nie rozumie z polityki i gotów jest popierać wszystko z samego poczucia wdzięczności.

– Kim byłem wcześniej? Prostym pastuchem jeleni! A partia mnie wywyższyła i przywiozła do Moskwy. To jak ja mogę przeciwko niej głosować?

Chodził po kąpiących złotem korytarzach, w których odbywały się dawniej carskie przyjęcia, dotykał palcem wielkich lusterek i śmiał się ze szczęścia.

– No, teraz zobaczyłem już wszystko, można umierać! – powiedział mi na pożegnanie.

Cenzorom wywiad się nie spodobał.

– Co to jest? – skrzywił się Wajnsztajn, kiedy przyniosłem mu papiery do podpisu.

– Przecież wysłaliśmy komunikat, czego jeszcze trzeba?

Komunikat mówił o „walce z tendencyjnością w celu poprawy pracy partyjno-organizacyjnej”.

Walczyłem jak lew, ale materiał nie poszedł.

– Przyglądamy się wam i na razie nie wiemy, czy z was jest dziennikarz przyjazny, czy nie – zawarczał Wajnsztajn. – Najpierw zasłużcie sobie na nasze zaufanie, a potem będziecie sobie pozwalali na jakąś swobodę.

Korespondentów zagranicznych jest w Moskwie około czterdziestu. Ustawicznie gościmy się nawzajem, tańczymy, gramy w pokera i wymieniamy się plotkami. Cenzura i niedostatek informacji wywołują w nas chęć rywalizacji, wiecznie się porównujemy – kto pierwszy znajdzie ważną nowość i zdoła przekazać ją redakcji.

Z pewnością praca w ZSRS nie jest tak prestiżowa jak w Europie, ale wielu moich kolegów utrzymuje, że nie zamieni Rosji Sowieckiej na nic innego.

Cieszymy się niezwykle przywilejami – otrzymujemy wielkie wynagrodzenie w porównaniu z miejscowymi zarobkami, oddzielne mieszkania, dostęp do najlepszych lekarzy z ambasad i sklepów spółdzielczych Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych, w których można kupić kawę, kakao, sery i nawet owoce egzotyczne.

Nie boimy się ani samowolnych naczelników, ani OGPU i w każdym momencie możemy wyjechać z tego kraju. Wszystko to można określić prostym słowem „wolność” i właśnie o niej marzyły pokolenia rosyjskich rewolucjonistów. Zdziwiające, ale po 1917 roku jedyną kategorią wolnych ludzi w ZSRS stali się zagraniczni dyplomaci i dziennikarze.

Nawet wysoko postawieni partyjni urzędnicy nie są bezpieczni ze względu na bezczelną samowolę przełożonych. Kilka dni wcześniej zadzwoniłem do byłego członka Komitetu Centralnego Grigorija Zinowiewa, który, podobnie jak Trocki, został umieszczony w areszcie domowym. Spytałem, jak się czuje, a Zinowiew westchnął i oznajmił drżącym głosem:

– Proszę poczekać... Muszę się naradzić z towarzyszami.

Bez pozwolenia z góry nie ma prawa poskarżyć się nawet na katar, nie istnieje też dla niego żadna droga ucieczki ze złotej klatki.

Jeszcze w żadnej pracy nie odczuwałem takiej burzy przeciwstawnych emocji. Rosja Sowiecka to niesłychane połączenie wszelakich przesądów i nieuctwa z najbardziej postępowymi ideami, natchnioną twórczością i dążeniem do przyszłości. Bardzo wielu wierzy, że ZSRS jest placem budowy nowego świata i właśnie tu będą się ucieleśniać odwieczne marzenia ludzkości.

Chodzę na publiczne wykłady uniwersyteckie i poraża mnie poziom wiedzy oraz pomysłowości sowieckich uczonych. Architekci konstruktywiści wznoszą cudowne, do niczego niepodobne budynki, Siergiej Eisenstein kręci niezapomniane filmy... A obok tego działa w najlepsze tępa i nieludzka propaganda, trwają okrutne prześladowania wrogów klasowych, ludziom brak umiejętności i chęci, aby zadbać o bliźnich. Wypowiedziano wojnę religii i wydaje się, że większość narodu patrzy na to z aprobatą.

Ale tak naprawdę przeszkadza mi tylko jedno – nie mam czasu na poszukiwania Niny. Życie korespondenta w Moskwie to nieustanna gonitwa. Telefon się urywa, kurierzy Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych wciąż przynoszą nowe komunikaty, ciągle muszę gdzieś biegać i w czymś uczestniczyć.

Kiedy mnie nie ma, Kitty zostaje pod opieką Afrykana i uznała już, że gdy dorośnie,

chce zostać dozorcą. Jej ulubioną zabawą stało się zmiatanie podłogi i warczenie basem:

– Co za ludzie... Dałbyś im samego Boga za naczelnika, i to na nic. Wciąż coś nowego wymyślają, sucze dzieci... Rosję przemianowali! Nie potrzebujemy żadnych nowinek! Jak człowiek nowe trepy ubiera, zaraz mu nogi zetrą.

Z Gryzką też się Kitty zaprzyjaźniła. Okazało się, że obie są bardzo zainteresowane pastą do butów, którą się warzy na smalcu. Afrykan chowa ją, ale Gryzka zaraz wywęszy skarb, Kitty go wyjmuje, a potem rozpoczynają ucztę, każda na swój sposób.

Obszedłem wszystkie przedszkola w okolicy i dowiedziałem się paru rzeczy. W Złotej Rybce wychowawczynie specjalnie ziębi dzieci, żeby chorowały, dzięki czemu ma mniej pracy. W Jarzębince niańka opowiada malcom, że kładzie na półce swoje oczy, które je cały czas obserwują. Te oczy, żyjące własnym życiem, doprowadzają dzieci do nerwowej czkawki.

W trzecim, najlepszym przedszkolu nie ma miejsc, a do czwartego Kitty nie przyjęto jako dziecka z zagranicy. Ale sądząc ze wszystkiego, kierowniczką obawiała się, że moja córka może ją zwerbować i pozyskać agenturalne informacje, ile w placówce znajduje się strategicznych nocników oraz taktycznych śliniaczków.

Dałem ogłoszenie, że przyjmę do pracy pomoc – odpowiedzialną kobietę z pedagogicznym wykształceniem i znakomitymi rekomendacjami. Powinna radzić sobie z dziećmi, umieć pisać na maszynie, mówić po angielsku i dobrze znać Moskwę, na wypadek gdybym chciał wysłać ją z poleceniami. Powinna też oczywiście gotować, prać i ogólnie prowadzić dom.

Niebawem wyszło na jaw, że takie anioły w naturze absolutnie nie występują, a jeśli nawet, to żaden nie skusi się na skromną pensję w wysokości trzydziestu rubli i pomieszkiwanie w ciasnej spiżarni przy kuchni.

Seibert poinformował mnie w dodatku, że tak czy inaczej, nie dostanę zezwolenia na zatrudnienie pomocy tak zwyczajnie. Okazuje się, że do tego potrzebna jest specjalna decyzja.

– Władza sowiecka życzy sobie wiedzieć, co się dzieje w naszych domach, dlatego urzędnicy będą tygodniami ganiać pana po zaświadczenia, a potem, gdy już pan upadnie na duchu, podsuną pracownicę OGPU.

– A co z pańską Lizchen? – zapytałem, przypominając sobie o jego służącej. – Też pracuje dla czekistów?

– Oczywiście – odparł. – Ale to nie przeszkadza jej mnie kochać.

– To ona, panie! – oznajmił Afrykan i wprowadził do przedpokoju czarnobrewą dziewczynę, wystrojoną w nowy kaftan i chustkę z ornamentem w „perskie ogórki”. Pod pachą dzierżyła zwinięty materac, na plecach miała worek z rzeczami, a z przedramienia zwisała jej girlanda obwarzanków.

– Dzień dobry, ojczulku książe! – powiedziała i skłoniła się Klimowi w pas. Rogow spojrzał pytająco na dozorcę.

– Kto to?

– Kto, kto! – rozsierdził się dozorca. – Służka twoja, oto kto! Na imię ma Kapitolina. Dziewucha jest głupia, ale robotna i z dokumentem.

Dokument nazywał się „Zezwolenie na eksploatację pieca i junkersa”. Zaznaczono w nim, że towarzyszka Kapitolina Ignatiewna Kozłowa została przyuczona do korzystania z urządzeń grzewczych i poznała zasady bezpieczeństwa.

– Ona ci i dziecka przypilnuje, i kaszy ugotuje, i nową kamizelkę uszyje – zachwalał Afrykan. – To moja krewniaczka z Birulewa, bierz ją z gwarancją. Przyjechała, żeby zarobić na posag, ale nie płac jej pensji, bo tego bez zezwolenia urzędowego nie można. Lepiej kup jej w spółdzielczym sklepie kretonu. A gdyby przyszli z inspekcji pracy, powiemy, że jest u mnie w gościach, a tobie pomaga po sąsiedzku.

Klim obejrzał uważnie „służącą”.

– Zna pani Moskwę?

– A pewnie! – wykrzyknęła gorliwie Kapitolina. – To pierwsze miasto na Ziemi! Już trzeci raz tutaj przyjeżdżam i napatrzeć się nie mogę.

– Umie pani pisać?

Kapitolina spuściła wzrok i siąknęła nosem. Afrykan pociągnął Klimę na stronę.

– Ty popatrz, jaka jagódka z niej – wyszeptał, wskazując na pyszne biodra dziewczyny. – Taką w dawnych czasach trzeba było zamykać na klucz, żeby nie ukradli. Ale teraz kawalerów we wsi mało jest. Połowę wybili w czasie wojny, a pozostali albo za starzy, albo pijanice, albo kaleki. Bez posagu dobry człowiek się z dziewczyną nie ożeni.

– A z dziećmi ta twoja Kapitolina sobie radzi? – spytał Klim.

– Ma pięciu młodszych braci, którymi się opiekowała, i żaden nie umarł.

– Wujaszek Afrykan mówi, że możesz mnie umieścić w spiżarni – odezwała się Kapitolina. – Za taką szczodrość zrobię dla ciebie, co tylko zechcesz, nawet całą podłogę zmyję własnymi łzami!

– To raczej nie będzie konieczne – powiedział Klim i kazał dziewczynie zaraz wziąć się do pracy, bo Kitty nie miała już czystych skarpetek.

Wraz z pojawieniem się „domowego proletariatu” życie w mieszkaniu może nie tyle się uporządkowało, co nabrało nowych tonów.

Kapitolina przywiozła ze wsi okutą skrzynkę i wielką ikonę tak zakopconą, że ledwo było widać wyobrazonego na niej świętego.

– Kto to jest? – spytała Kitty.

– Bozia – odpowiedziała czule Kapitolina, a tego samego wieczoru nauczyła dziewczynkę klękać i bić przed ikoną pokłony do ziemi, co Kitty nadzwyczaj się spodobało.

Na skrzyni służąca położyła materac nabity banknotami sprzed reformy, które dawno straciły wartość. W czasie wojny jej ojciec zarobił mnóstwo pieniędzy na spekulacjach sianem i wszystko schował do materaca jako posag dla córki.

– Chociaż pośpię sobie jak milionerka – mówiła Kapitolina i z lubością ubijała swoje skarby.

Z kufra zostały wydobyte tamborki, druty, szydełko i motki nici, a niebawem po mieszkaniu zaczęły się rozpełzać chmary serwetek i narzutek.

– Tak jest ładniej – mówiła Kapitolina, nakrywając maszynę do pisania obrusikiem z kogutami.

Klim zdejmował go, ale następnego dnia ozdoba pojawiała się na poprzednim miejscu.

Kapitolina miała własne poglądy na domową ekonomię.

– Najpierw trzeba dojeść czerstwy chleb, a dopiero potem brać się za świeży – pouczała Klima.

– Ale do tego czasu świeży szcerstwieje – oponował. – I co, cały czas mamy suchary jeść?

Policzki Kapitoliny pokrywał gniewny rumieniec.

– Pewno, niech chleb przepadnie, niech dom spłonie, a my pójdziemy sobie w świat! – krzyczała.

Klim nie ustępował, więc dziewczyna sama dojadła czerstwy chleb, żeby tylko dobro się nie marnowało.

Wszystko robiła z rozmachem. Jeśli już gotowała zupę, to całą cysternę. Jeżeli robiła pranie, to moczyła wszystko naraz i nieważne, że na noc nie było żadnego suchego prześcieradła.

– Głupia! Durnieńka! – rugał ją Afrykan.

Kapitolina albo chichotała, albo się odgryzała.

– Nie wrzeszcz na mnie! Carskie czasy się skończyły!

Gryzka ujadła, Kitty piszczała, a Klim szedł do kuchni zobaczyć, co się znów dzieje.

– Wygoń tę idiotkę! – żądał Afrykan. – Cały funt kawy ci spaliła!

– Donosiciel! – jęczała Kapitolina. – Czemu jesteś taki podły?

Afrykan wytrzeszczał oczy.

– Nie jestem podły, tylko odpowiadam za porządek w domu! Pomyśl, co będzie, jak panu kawy zabraknie?

– Filiżanki zabrakło i nic się nie stało!

– Jakiej filiżanki? – Klim się nachmurzył.

Kapitolina i Afrykan zamilkli przestraszeni.

– Filiżanka stała na stole, a oni się pokłócili i zaczęli biegać dookoła – wyjaśniła Kitty. – Wszystko poleciało. Ale nie martw się, tatusiu, Kapitolina nalała mi mleka do puszki po konserwie.

Klim wyjął pieniądze.

– Kapitolino, proszę kupić nowe filiżanki.

– Nie posyłaj jej do sklepu z naczyniami! – krzyknął przerażony Afrykan. – Wszystko tam zniszczy!

Ale Kapitolina już wiązała chustę na głowie.

– Lecę, ojczulku! Już pędzę!

Klim pragnął zatrudnić anioła stróża, strzegącego domu przed kłopotami, ale Kapitolina była raczej boginią chaosu. Nie mógł też jej wykorzystywać jako kuriera, bo ani nie znała Moskwy, ani by jej nigdzie nie wpuścili. Żeby chodzić w sprawach obcokrajowca, trzeba było posiadać oficjalny dokument.

Klim z nadzieją poszedł do Komisariatu Spraw Zagranicznych, żeby poprosić o pozwolenie na przyjęcie pomocy domowej.

Wajnsztajn, kiedy się o tym dowiedział, był bardzo ucieszony.

– Dobierzemy wam najlepszego specjalistę – obiecał.

– Panie! – wyszeptała Kapitolina i na paluszkach podbiegła do Klima. Zdawało jej się, że w ten sposób mniej mu przeszkadza. – Przyszła do ciebie jakaś kobieta. Chce się zatrudnić jako kurier. Trzeba zwracać się do niej Galino Siergiejewna, na nazwisko ma towarzysza Dorina.

Klim kazał wpuścić kurierkę. Do pokoju weszła niewysoka, skromnie odziana kobieta o dziwnej twarzy. Miała migdałowe oczy barwy gęstego miodu, cienki długi nos i pełne blade wargi. Z taką prezencją towarzysza Dorina powinna grać rolę chrześcijańskich męczennic.

– Dzień dobry – przywitała się. – Przysłali mnie z Komisariatu Spraw Zagranicznych.

Klim wskazał kanapę.

– Proszę usiąść i opowiedzieć coś o sobie.

Towarzyszka Dorina poprosiła, żeby nazywać ją Galą, i powiedziała, że prowadzi najzwyczajniejsze życie. Do niedawna pracowała w biurze, ale w związku z redukcją etatów w resorcie poszukiwała nowego miejsca zatrudnienia.

– Pracowała pani kiedyś jako kurier? – spytał Klim.

– Nie, ale znam dobrze Moskwę, wychowałam się w tym mieście. Do tego mam mocne walonki. Jeżeli mnie nie weźmiecie, to warto pytać innych kandydatów o obuwie. Bez walonek kurier na pewno przeziębii się i skończy w łóżku z gorączką.

– Co jeszcze umie pani robić?

– Piszę na maszynie po rosyjsku, po angielsku i po francusku. Umieję też stenografować.

– Proszę napisać coś na próbę.

Gala zasiadła do maszyny jak pianista do fortepianu, spojrzała na Klima pytająco. Zaczął jej dyktować pierwszy lepszy tekst z „Timesa”:

– Ekonomiczne eksperymenty Związku Sowieckiego nie przestają zadziwiać świata...

Gala zabębniła po klawiszach i w kilka minut przepisała artykuł o kryzysie budżetu ZSRS. Klim nie mógł uwierzyć własnym oczom: w tekście nie było ani jednej pomyłki.

– Z takimi zdolnościami chce pani pracować jako kurier?

– Potrzebuję teraz każdej pracy. A do tego powiadają, że cudzoziemcy wypłacają należność na czas. To prawda?

Klim kiwnął głową. Jeżeli ta Gala nie zażąda zbyt wiele, nie ma sensu szukać kogoś innego.

Jego wzrok zatrzymał się na kołnierzu jej bluzki, pod którym widać było paskudną liliową bliznę.

– Niech pan od razu zapyta, co to – powiedziała Gala. – Bo jeśli mnie pan przyjmie, będzie się pan bez przerwy zastanawiał i męczył domysłami.

– Co to jest? – spytał Klim z uśmiechem. Gala mu się spodobała.

– Mój mąż był komisarzem w czasie wojny domowej – odparła. – Biali bandyci podpalili nasz dom. Córeczkę wyniosłam na rękach, ale mąż zginął. Na pamiątkę zostało mi oparzenie.

– Jak sobie pani radzi sama z dzieckiem?

– A co tu jest do radzenia sobie? Ubrań nie ma, więc prania niewiele, pokój niewielki, to i sprzątań mało, a i nie bardzo jest z czego gotować.

Gala wstała.

– Pójdę już. Jeśli moja kandydatura was urządza, można zadzwonić, w mieszkaniu jest telefon.

Klim poszedł ją odprowadzić. W przedpokoju Gala wsunęła stopy w wielkie męskie walonki i włożyła podany przez Kapitolinę staromodny płaszczyk.

– Do widzenia – pożegnała się i nagle popatrzyła na Klimę z powagą. – Chciałabym tylko powiedzieć jedno. W tym waszym „Timesie” jest nieścisłość. Socjalizm to nie eksperyment, ale nieuchronne stadium rozwoju ludzkości.

– Spójrzmy na to logicznie... – zaczął Klim, ale kobieta mu przerwała.

– Nie potrzebuję waszej logiki! Co wy możecie o nas wiedzieć w „Timesie”? Próbujecie nas stłamsić, podrywacie wiarę w nasze siły, ale dla nas to nic nie znaczy! My... – Gala położyła rękę na sercu. – My wierzymy święcie, że żadna kapitalistyczna armia nie zdoła nas zwyciężyć. Nie ustąpimy i będziemy walczyć do końca o naszą świetlaną przyszłość!

Nagle się zmieszała, twarz jej poczerwieniała, a wargi zadrżały, jakby miała się rozpłakać.

– Przepraszam... Wiem, że wszystko zepsułam, teraz na pewno nie przyjmiecie mnie do pracy. Chciałam tylko, żebyście zrozumieli...

Wyjaśnienia były zbędne. Gala miała bardzo trudne życie, więc wszystkie jej nadzieje wiązały się ze „świetlaną przyszłością”, którą opisywały sowieckie gazety. Artykuł w „Timesie” osłabiał jej wiarę w jutro, dlatego z wściekłością odrzucała fakty, jakie przedstawiał zagraniczny dziennikarz.

– Przyjmuję panią – powiedział Klim. – Tylko umówmy się, że wszyscy mamy prawo do własnego zdania: i pani, i ja, i gazeta „Times”.

Gala kiwnęła głową ze smutną miną.

– Dobrze... A nie znajdzie się u was trochę tabaki? Chce mi się palić, a swoją zostawiłam.

– Nie palę – odrzekł Klim. – Mam małą córeczkę, więc w mieszkaniu nie toleruję papierosów.

– Tak... Oczywiście... Po prostu trochę się zdenerwowałam.

Gala wyszła, a Klim wrócił do siebie. Widział przez okno, jak kobieta wyprosiła papierosa od chłopaków wałęsających się przy lodowisku naprzeciwko, a potem paliła zachłannie, co raz oglądając się na Moskiewską Sawannę.

Klim nie miał złudzeń, że Gala będzie na niego donosić. I niech sobie donosi z Bogiem, że wysłała dziesięć sprawdzonych przez cenzurę depesz czy kupiła bibułę w sklepie z artykułami biurowymi. Może dostanie za to parę rubli.

Rozdział 7

Agent OGPU

Gala Dorina urodziła się w rodzinie dentysty. Od kiedy pamiętała, w ich wielkim mieszkaniu zbierali się rewolucjoniści. Przyprawiała ich mama, która lubiła być uznawana za pierwszą społecznicę.

Ci źle odziani ludzie dużo jedli i palili, a potem wygłaszali przemowy o tym, że car, ziemiaństwo i kapitaliści wysysają z ludu całą krew.

Rodzice podsuwali Galinie książki wysławiające wolność, ale jej własne życie było poddane surowym rytuałom, poczynając od porannego powitania, kończąc na spaniu w zdrowej pozycji.

Kiedy dziewczyna skończyła szesnaście lat, mama sprawiła jej porządne ubranie i zaczęła wozić w gości do ważnych panów z dużymi brzuchami i błyszczącymi łysinami. Rodzina była solidnie zadłużona, więc rodzice mieli nadzieję wydać córkę bogato za męża.

W gościach zachwalali córkę i nazywali ją „bardzo uległą”. Gala czuła podskórnie, czego się od niej żąda, i prawie zawsze spełniała oczekiwania, czy to dotyczące dobrych stopni, czy też umiejętności znikania w samą porę z pokoju. Jeśli się pomyliła, ojciec szeptał do niej ze złością: „No, przygotuj się. Wieczorem tak ci dołożę, że na tyłku nie usiądziesz!”. A potem dostawała lanie smyczą.

Matka w przypływach złości ciskała w córkę, czym popadło.

Pewnego dnia mama zaprosiła w gości rewolucjonistę znajdującego się pod obserwacją policji. Towarzysz Ałow był starszy od Gali o dziewiętnaście lat, nosił idiotyczne binokle na zatłuszczonej wstążce i wyglądał tak, że kucharka od razu przezwiała go „suchotnikiem”.

Jego namiętne mowy chwyciły Galę za samo serce. Mówił o tym, że w okrutnym stuleciu trzeba być nadczłowiekiem, któremu obce są wyrzuty sumienia, słabości i namiętności zwykłych śmiertelników. Tylko tak można zachować własną godność i nie chylić karku przed posiadającymi władzę.

W czasie proszonych obiadów Ałow wyklinał na mamine sentymentalne książeczki i ojcowskie dążenie, aby „żyć nie gorzej niż inni”.

– Człowiekowi jest dane tylko jedno życie! – mówił z zapałem. – Popatrzcie, na co je marnujecie! Czy nie wstyd wam być zwykłymi filistrami?

– Wstyd! – przytakiwała mama i wycierała łzę wyperfumowaną chusteczką.

– No właśnie! To rozumiem! To jest prawdziwy człowiek! – wykrzykiwał ojciec i zapisywał słowa rewolucjonisty w specjalnym notesiku na cytaty i mądre myśli.

Między Galą i Ałowem zaczął się romans, ale kiedy dowiedzieli się o tym rodzice, zagrozili, że wydadzą „narzeczonego” w ręce policji. Taki zięć absolutnie ich nie zadowalał.

Ałow zabrał Galę ze sobą do Petersburga, więcej nie widziała się z matką ani ojcem. Wiele lat później powiedziano jej, że umarli z głodu w czasie wojny domowej.

Był rok 1913.

Stolica przywitała Ałowa i Galę znakiem, o którym pisano w gazetach – na miasto spadły chmury ważek. Było ich tak dużo, że pokrywały chodniki niczym jesienne liście, a po Newie płynęły zbite jak rzęsa płachty ze skrzydełek. Starcy mówili, że to na pewno nie jest dobra wróżba.

Na Ałowa polowali żandarmi, dlatego musieli się przenieść do Paryża. Dziewczyna robiła wszystko, czego albo żądał wprost, albo co tylko miał na myśli: gotowała, prała, przepisywała artykuły, tłumaczyła z angielskiego i francuskiego. Ałow nie zamierzał się żenić i mówił Gali, że jest „wolną, wyemancypowaną kobietą”, a małżeństwo to niewybaczalny drobnomieszczański przesąd.

Latem 1914 roku zaczęła się Wielka Wojna. Jako obywatel obcego kraju Ałow nie podlegał mobilizacji, postanowił jednak wstąpić do armii jako ochotnik, żeby prowadzić w jej szeregach rewolucyjną propagandę. Gala była przekonana, że go zabiją. Po kolejnej wizycie Ałowa nie poszła przerwać ciąży i po siedmiu miesiącach urodziła córkę, której dała na imię Tania.

Jednak Ałow nie zginął. Za to dostało mu się gazami bojowymi, przez co nabawił się dziwnej choroby, która sprawiała, że czasami zwijał się dosłownie jak barani róg. W takie dni chodził zgarbiony, poźółkły i dławił się powietrzem. Wówczas zakładał na nadgarstek coś w rodzaju bransolety z bursztynowych paciorków, a w istocie rzeczy różaniec; przesuwiał paciorki w palcach. Twierdził, że pomaga mu to przeżyć ataki.

Na początku 1919 roku Ałow wraz z „rodziną” wrócił do Moskwy, zatrudnił się w CzK i dostał pokój w zniszczonym i niesamowicie obskurnym hotelu Selekt.

Wraz z wyzyskiwaczami Rosję opuścił komfort życia. Najzwyklejsze drobiazgi, jak śrubki okularowe, haczyki do ręczników czy nożyczki do paznokci stały się nieosiągalnym luksusem. Ale Gala nie skarżyła się na to. Przecież walczyli z Ałowem o świetlaną przyszłość całej ludzkości, a dla takiej sprawy można było sporo wycierpieć.

Bardzo chciała wierzyć, że to wszystko nie pójdzie na marne, że niebawem będzie mogła dostać kanapę nakrytą kraciastym kocem i przydziałową filiżankę gorącej czekolady. A do tego własną kuchnię, ubikację i łazienkę, gdzie można zostawić krzeselko bez obawy, że skradną je sąsiedzi.

Mijały jednak miesiące, potem lata i nic się nie zmieniało.

Ałow w ogóle nie interesował się Tanią, a to Galę bolało. Ocknęła się wreszcie i zapytała samą siebie, jak też dała radę przeżyć z Ałowem tyle czasu? Przecież wszystko wróciło w stare koleiny – codziennie próbowała mu dogodzić, tak jak niegdyś dogadzała swoim rodzicom.

Gala była dla Ałowa wygodnym nabytkiem – małomównym, sumiennym, niewymagającym zachodu, ale popłakująca Tania drażniła go okropnie. W ich maleńkim pokoju nie było gdzie się schować przed dziecięcym krzykiem, więc obrzucał Galę pełnymi wyrzutów spojrzeniami. „Zrobiłaś sobie bachora, nikogo nie pytając o zdanie,

a teraz wszyscy muszą cierpieć!”

Sąsiedzi stukali w ścianę.

– Uciszcie tego pasożyta!

Gala krzątała się, czerwieniła i nierzadko szturchnęła Tanię. Ale wtedy dziewczynka płakała jeszcze głośniej.

– Galka, całkiem zgłupiałaś? – syczał Ałow.

Wychodził zapalić, a ona obejmowała córeczkę i głośno płakała:

– Wybacz... wybacz mi, na rany Chrystusa!

Ałow otrzymał zadanie obserwować, co pisze o ZSRS obca prasa. Pracę zorganizował tak doskonale, że naczelnik Wydziału Zagranicznego OGPU, towarzysz Drachenblut, wyraził za to wdzięczność i ofiarował mu dedykowaną imiennie papierośnicę.

Gala cieszyła się sukcesami Ałowa i zanosila modły, żeby kierownictwo pomogło mu w problemach mieszkaniowych. Rzeczywiście, niedługo potem dostali lepszy pokój, a wtedy Ałow oznajmił, że musi z Galą poważnie porozmawiać.

Najpierw długo jej dziękował za to, że była sprawdzonym towarzyszem i oddanym bojownikiem za sprawę komunizmu. Gala słuchała, nie wiedząc, co właściwie mężczyzna chce jej powiedzieć. Wreszcie wyprostował się i patrząc gdzieś w bok, oznajmił, iż zamierza się ożenić z pewną aktorką.

Gala zaniemówiła. Nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby Ałow mógł się zakochać, a już na pewno ożenić. Ileż razy powtarzał, że nie dla niego więzy małżeńskie!

– Nie chcę się okazać podlecem, dlatego oddaję tobie i małej swój pokój – dodał. – Zbyt wiele ci zawdzięczam, żeby zostawić na lodzie.

– A ty co zrobisz? – wyszeptala z wysiłkiem Gala. – Przecież pokój w Selekcie zabiorą.

– Nie martw się, dam sobie radę.

Gala z córeczką przeniosły się do nowego lokum przy Wielkiej Kisielnej, a Ałow zamieszkał u znajomego czekisty, który posiadał nadmetraż.

Gala nie wiedziała, czy cieszyć się z tej odmiany, czy płakać z upokorzenia. Ałow naprawdę ożenił się z aktorką, ładną dziewczyną o wielkich wodnistych oczach i krótko ostrzyżonych kędziorach. Znajomi mówili, że spotkał ją w piwiarni, gdzie śpiewała piosenkę o młodocianej żebracze.

Ta młoda osoba nazywała się Dunia Odeska. Nie miała stałego zatrudnienia, występowała jako dublerka w teatrach robotniczych. Gala poszła popatrzeć na konkurentkę i stwierdziła, że na froncie Ałowa nie tylko podtruto gazami, ale również kontuzjowano w głowę. Dunia Odeska była tragicznie pozbawiona talentu.

Tania niebawem zapomniała o istnieniu ojca, który nigdy nie pojawił się w nowym mieszkaniu, a żeby mała nie czuła się porzucona, Gala wymyśliła bajeczkę o komisarzu, który zginął w ogniu. Tania z dumą opowiadała tę historię wszystkim znajomym, a potem pokazywała niczym wielką relikwię kryształową popielniczkę z ukruszonym rogiem, którą Gala kupiła na pchlim targu.

– To po ojcu. Podarował mi ją, kiedy skończyłam trzy lata.

Ku zdziwieniu Gali, jej stosunki z Ałowem wcale się nie urwały. Parę razy w miesiącu zapraszał ją do swojego gabinetu na „filiżankę herbaty”. Spotkania kończyły się nieodmiennie namiętnymi uściskami, a kobieta wstawiała potem z kanapy bardzo zadowolona – oczywiście nie z zainteresowania Ałowa, ale cieszyła ją zemsta na artystce.

Musiała poddać się jeszcze trzem aborcjom, z których ostatnia przyniosła jej

błogosławioną bezpłodność. Dzięki temu nie musiała się już co pół roku zgłaszać do akuszerki. Miała dwadzieścia dziewięć lat, na jej twarzy pojawiły się pierwsze zmarszczki, a kiedy pytano ją, co lubi najbardziej, odpowiadała zawsze: „Palić”.

Ałow kazał Gali zatrudnić się jako pomoc domowa u amerykańskiego dziennikarza.

– Musimy mu się uważnie przyglądać. Postaraj się przypaść mu do gustu.

Ałow postąpił z nią jak alfons, więc po powrocie do domu Gala poskarżyła się na niego „swojemu mężczyźnie”, którego wymyśliła wiele lat wcześniej. Od dawna z nim „mieszkała”, zasypiała w jego towarzystwie, jadła śniadanie, chodziła na spacer i powierzała mu tajemnice. Miał gęste, ciemne brwi, długą grzywkę i silne ręce. Był godny zaufania i wielkoduszny, umiał się z siebie śmiać, obce mu były porywczosć, okrucieństwo i tępa obojętność na czyjś los.

Gala pogodziła się z tym, że w rzeczywistości nigdy nie spotka takiego mężczyzny. Jej przeznaczeniem było przebierać łąpkami jak myszka w zabawkowym kółeczku, urządzać swoją norkę i wychowywać córeczkę.

Ale przecież ON się wreszcie pojawił, zupełnie jakby wyszedł wprost z jej marzeń. Zbyt wspaniały, aby być prawdziwym.

Gala z niesamowitą rozkoszą przyglądała się swojemu nowemu pracodawcy, cudzoziemcowi, który mówił po rosyjsku z ledwie zauważalnym akcentem... Człowiekowi, którego miała obowiązek śledzić i na którego musiała donosić.

Klim poił ją kawą, z nawyku podstawił jej krzesło albo otwierał przed nią drzwi jak przed prawdziwą damą. Sypał jej w dłoń cukierki, żeby zabrała dla córki, albo dawał paczkę do zaniesienia na pocztę. Wtedy jego palce muskały jej skórę, a Galę aż podrywały fale gorąca, przepływające przez całe ciało.

Teraz bała się spotkań z Ałowem. Była przekonana, że czekista ze swoim rozumem i przenikliwością musi się domyślić jej uczuć.

Wypytywał ją drobiazgowo, czym zajmuje się Klim i co myśli o polityce sowieckiego rządu.

– Nazywa naszą rewolucję eksperymentem – opowiadała Gala wbrew sobie. – Ale ciekawi go praca tutaj i dobrze odnosi się do ludzi radzieckich. Przecież urodził się w Moskwie, tylko jeszcze jako mały chłopiec wyjechał za granicę...

W rzeczy samej Gala o wielu sprawach nie mówiła. Czasem Klim odzywał się tak, że miała ochotę zasłonić uszy.

– Bolszewicy wkładają w ludzi nienawiść, jak watę do lalek. Wszyscy tu z kimś muszą walczyć. W deklaracjach z imperialistycznym kapitałem, ale w rzeczywistości ze sobą nawzajem, jako że występuje niedobór kapitalistów.

Gdyby Ałow dowiedział się o takich słowach, zaraz by zakwalifikował Klimę jako nieprzyjaznego dziennikarza i zażądał, aby wydalono go z kraju.

– Gdzie jest jego żona? – pytał czekista, robiąc notatki.

Tego Gala sama by chciała się dowiedzieć.

– Nigdy o niej nie wspomina. Próbowałam wypytać Kitty, ale powiedziała, że tata zabronił o tym mówić. Nie chciałam zbyt mocno naciskać.

– I bardzo dobrze – chwalił Ałow. – Bobby Rogow mógł nabrać jakichś podejrzeń. Świetnie! W tym miesiącu dostaniesz nagrodę. Idź do związków zawodowych odebrać bezpłatny bilet na wykład „Zagadnienia odmładzania i nieśmiertelności”.

Nocami Gala długo leżała bezsennie i z rozpaczą myślała o tym, co robi.

Zdradzam własną miłość nawet nie za trzydzieści srebrników, ale za niepotrzebne mi bilety.

Lecz następnego dnia znów szła na Czyste Prudy, witała się z Klimem i pisała pod jego dyktando artykuły. On chodził po pokoju i myślał na głos, Gala patrzyła na niego, a w jej wnętrzu wszystko zwijało się w bolesny kłębek.

Miły mój... Niech Bóg da ci szczęście! Niczego więcej nie żądam...

Afrykan przywlókł z dworu okazałe sosnowe polana i zaczął rozpalać kominek.

– Przed sądem używanie tego samego prymusa uważa się za prowadzenie wspólnego gospodarstwa – wyburczał, spoglądając z ukosa na Klima. – Najpierw damulka przynosi naftę w bańce, potem smaży jajecznicę... I wreszcie koniec, przepadł człowiek.

Stary strzelił oczami w stronę drzwi, czy Gala nie idzie. Zniżył głos do szeptu:

– Powiadam, panie, nie dopuszczaj Galki do prymusa, bo cię usidli!

Klim się roześmiał.

– A Kapitolinę mogę dopuścić?

– Ech, panie, nic nie rozumiesz! – westchnął gorzko Afrykan, pokręcił się jeszcze chwilę, a potem wyszedł.

Rzeczywiście, Klim nie mógł się już obejść bez Gali. Została jego sekretarką, zarządczynią gospodarstwa, kurierem, a najważniejsze – nianią dla Kitty. Kapitolina zaczęła ją nazywać „zamiastpanią”.

Co tydzień Gala chodziła do cerkwi Starego Pimena, gdzie wystawiano na aukcje rzeczy niewykupione w sklepach branzowych. Tak właśnie w domu Klima pojawiły się patefon, para wschodnich kubeczków i pastuszka z brązu, do której podołka wstawiało się kałamarz.

Duży pokój ozdobiły piękne fotele i wielkie, sięgające od podłogi do sufitu lustro, a dziury w tynku zostały zasłonięte afiszami filmowymi z Polą Negri i Clarą Bow. Stół był nakrywany wedle wszelkich prawideł, pojawił się serwis ze złotymi obwódkami i uszkami, a w kącie rozkwitła potężna georginia. Mieszkanie stało się może nieco dziwaczne, ale zadziwiająco przytulne.

Gala bez trudu znalazła wspólny język z Kitty. Chodziła z nią na hipodrom i uczyła rysować koniki.

Klim nie wiedział, jak się do niej odnosić. Nie potrafił przez cały czas brać, w zamian wypłacając tylko pensję. Żeby jakoś się Gali odwdziżyć, poszedł z nią do szewca, który obsługiwał pracowników ambasad, a ten zrobił jej piękne pantofle i ciepłe eleganckie buciki z futerkiem.

Kapitolina długo się zachwycała, widząc te cuda.

– Schowaj je natychmiast do kufra, bo kto zobaczy i zaraz ukradnie!

Ale Klim się upierał, żeby Gala nosiła buty.

– Tam, gdzie przejdzie kobieta, powinien zostawać jedynie delikatny ślad – powiedział.

Afrykan, gdy dowiedział się o prezentach Klima, oświadczył mu, że już przepadł.

Księga Umarłych

Udzieliłem kilku wywiadów w gazetach i nawet wziąłem udział w audycji radiowej, opowiadając o życiu w Chinach. Miałem nadzieję, że moja żona usłyszy mnie i jakoś się odezwie. Ale odbiorników radiowych jest w Moskwie rozpaczliwie mało, a marzyć, że Nina we właściwym czasie znajdzie się przed ulicznym głośnikiem, to jak liczyć na wygraną w loterii.

Próbowałem zwracać się do milicji, żeby dowiedzieć się, czy nie wpadł im w ręce chiński płaszcz z wyszytymi smokami. Bez powodzenia – kobiety w kancelariach albo nie chcą zajmować się dodatkową pracą, albo nie życzą sobie kontaktów ze mną.

Nieprzewyciężony mur sowieckiej biurokracji można obejść, tylko jeśli się ma dobre znajomości, więc żeby je zadzierzgnąć, zacząłem uczęszczać na różne przyjęcia.

Na bankietach, które organizuje się w skonfiskowanych pałacach, zbiera się zawsze to samo towarzystwo – ambasadorzy, najwyższe kierownictwo i komisarze ludowi z żonami, a w charakterze ozdoby zaprasza się obłaskawionych przez władzę pisarzy i artystów, a także korespondentów zagranicznych. W jakimś stopniu zastępujemy poprzednią arystokrację i stanowimy uosobienie „dobrego towarzystwa”.

Jak na razie rezultaty moich działań są marne. Wystarczy, że słowem wspomnę o Chinach, a ludzie zmieniają się na twarzach i zaczynają coś bełkotać: „Nie byłem, nie wiem, proszę wybaczyć, ale nic mi do tego”. Nikt nie chce, żeby jego nazwisko zostało powiązane z klęską na Dalekim Wschodzie, a przecież ledwie kilka miesięcy wcześniej każdy partyjniak poczytywał sobie za obowiązek wspieranie chińskiej rewolucji.

Dwulicowość to bodaj najlepsze określenie dla sowieckiego urzędnika. W dodatku rozpełzła się na wszystkich i wszystko niby infekcja. Całkiem niedawno wyższe sowieckie urzędy zalecały ascezę, a teraz wszystko zmieniło się w niezręczną pokazówkę. Publicznie wodzowie rewolucji starają się jak najbardziej przypominać wyglądem proletariuszy – odzieniem, manierami, a nawet nawykiem przeklinania co drugie słowo, ale w swoim kręgu oddają się wszelkim rozkoszom, jakie tylko są im dostępne.

Prawie wszyscy przywódcy rzucili swoje żony, stare bolszewiczki, i otoczyli się nowymi damami serca. Zdaje się, że wedle nowych zasad przyjaciółką solidnego mężczyzny powinna być czarująca młoda ślicznotka.

Żoną członka Rady Rewolucyjnej Budionnego jest pieśniarka Michajłowa. Różnica wieku między nimi wynosi dwadzieścia dwa lata.

Żoną ludowego komisarza oświaty Łunaczarskiego została aktorka Teatru Małego, Rozenel. Różnica wieku – dwadzieścia pięć lat.

Kochanką towarzysza Kalinina, przewodniczącego Centralnego Komitetu Wykonawczego, jest artystka operetkowa, niejaka Bach, dwadzieścia lat młodsza od partnera.

Żonę towarzysza Stalina dzielą od małżonka dwadzieścia trzy lata.

I tak dalej, i tym podobnie.

Gdyby szerokie masy wiedziały, jak zabawiają się ich wodzowie! Nie ma to nic wspólnego z zaleceniami, jak proletariacko spędzać wolny czas, zawartymi w broszurach Ludowego Komisariatu Oświaty.

Lśnią żyrandole, podzwaniają naczynia z carskimi zdobieniami, a między stołami kręcą się majestatycznie kelnerzy, niegdyś służący carskiemu domowi. Starsi wypełniają obowiązki z obrzydzeniem, jako że nowi klienci nie są warci książęcej zastawy.

Jedyna w całej Moskwie orkiestra jazzowa gra popularne na Zachodzie melodie po to tylko, aby robić dobre wrażenie na cudzoziemcach. Ale podpici goście pragną egzotyki – pieśni rewolucyjnych i cygańskich romansów. *Alleluja* mogą sobie posłuchać w domu.

Na bankietach co i raz przysiadają się do mnie piękne panie, przy czym za każdym razem inne: blondynki i brunetki, szczuplutkie i obfite... To samo spotyka wszystkich zagranicznych korespondentów. Czekiści najwyraźniej próbują poznać nasze gusta.

Seibert podśmiewa się ze mnie.

– Niechże pan będzie człowiekiem! W OGPU nie wiedzą zupełnie, kogo panu podłożyć. Jeśli będzie się pan tak krył, przyślą miłego chłopaczka.

On sam z pełną satysfakcją zapoznaje się ze wszystkimi.

W Związku Sowieckim w ogóle nie istnieje kult miłości. Rycerze wyginęli albo zostali wygnani z kraju, a w społeczeństwie panują obyczaje patriarchalne. Wprawdzie z pozoru kobieta wydaje się symbolem sukcesu, otrzymuje odznaczenia, a nawet paradną broń, ale w istocie rzeczy patrzy się na nią jak na jednostkę pracującą, która ma być zdrowa, wytrzymała i wyrobiona politycznie.

Czasem, kiedy wracam do domu z kolejnej popijawy, nachodzi mnie ciężka refleksja: „Boże mój, czym ja się tutaj zajmuję?”.

Gala wita mnie na progu i raportuje z zapalem, co też zrobiła tego dnia. Potem z dumą pokazuje jakąś ramkę czy zdobioną butelkę kupioną na aukcji: „Prawda, jakie to ładne?”.

Stoimy pośrodku pokoju i czekam, kiedy ta kobieta wreszcie pójdzie, a ona za każdym razem ma nadzieję, że poproszę, by została. Wreszcie oznajmiam:

– Muszę jeszcze popracować.

Gala kiwa głową, wzdycha i wychodzi, cichutko zamykając za sobą drzwi.

W moim ojczystym kraju zabrania się pisać prawdę. Jeśli mnie na tym złapią, niby na kradzieży, odpowiedzą wszyscy – Gala, Wajnsztajn, kobiety w telegrafii i inni dobrzy ludzie, którzy codziennie mi pomagają.

Najgorsze zaś jest to, że moja prawda nikomu za granicą nie jest potrzebna. Wedle statystyk, Amerykanie coraz mniej interesują się wiadomościami z areny międzynarodowej. Jeszcze kilka lat temu na takie nowości przeznaczano dziewięć procent powierzchni czasopism, a teraz tylko dwa i pół. I to biorąc pod uwagę wszystkie kraje, w tym również Anglię, Niemcy, Japonię i Chiny, które Amerykę interesują o wiele bardziej niż ZSRS.

To błędne koło – czytelnicy nie interesują się Rosją, bo nic o niej nie wiedzą, a ja nie mogę też nic im powiedzieć, gdyż krytycznego artykułu nie wolno przekazać za granicę.

Zgodnie z zasadami obowiązującymi korespondenta, nie powinienem interpretować wydarzeń wedle własnej opinii. A cóż może zrozumieć zagraniczny odbiorca z suchych faktów? Gdzieś daleko, w zaśnieżonym Związku Sowieckim, żyją dziwni ludzie, którzy uwielbiają dręczyć siebie i innych. I Bóg z nimi, byle do nas nie leźli!

W moich przekazach nie ma osobistego charakteru, nie odbijają się losy żywych ludzi i nie chodzi tylko o cenzurę. Telegram do Londynu kosztuje piętnaście centów za słowo, a ja mam określony budżet, więc umieszczam w depeszach tylko to, co na pewno przejdzie przez Wydział Prasy. Na eksperymenty brakuje mi po prostu pieniędzy.

Prosić o więcej nie ma sensu. Jedyne materiały, jakie agencja United Press wzięłaby bez oglądania się na koszty, to wywiad ze Stalinem.

Kiedy poprosiłem Wajnsztajna, żeby zorganizował mi spotkanie z sekretarzem generalnym, popatrzył na mnie jak na wariata.

– A z jakiej racji towarzysz Stalin miałby z wami rozmawiać?

– Byłoby dobrze, gdyby opowiedział o swoich poglądach i planach.

Wajnsztajn rozeźlił się na dobre.

– To proszę sobie wyobrazić, że korespondent TASS przyjeżdża do Waszyngtonu i z miejsca żąda spotkania z prezydentem!

Na próżno przekonywałem, że prezydent Coolidge dwa razy w tygodniu zwołuje konferencję prasową.

– Zapewne nie ma nic lepszego do roboty, skoro gada, z kim popadnie – podsumował Wajnsztajn. – Ale towarzysz Stalin to bardzo zajęty człowiek.

Przekazałem to Owenowi, a ten kazał mi wymyślić, czym możemy skusić sekretarza generalnego. Niestety, Stalin niczego od nas nie chce. Sława go nie interesuje, zawsze trzyma się w cieniu i pokazuje publicznie jedynie dwa razy do roku – na defiladach z okazji wybuchu rewolucji październikowej i święta Pierwszego Maja. To widmo, żyjące w starożytnej twierdzy. Wszystkie jego portrety są starannie retuszowane, a z bliska widuje go tylko służba kremlowska oraz kilkudziesięciu zaufanych współpracowników.

Uznałem, że tak czy inaczej, co miesiąc będę składał oficjalną prośbę o wywiad. Jeśli długo się puka do drzwi, prędzej czy później zostaną uchylone, chociażby dlatego, że ten ktoś z drugiej strony zechce spojrzeć na natręta i dowiedzieć się, o co mu chodzi.

Seibert powiedział, że już trzy lata bezowocnie robi to samo, więc zrobiliśmy zakład, który z nas pierwszy postawi na swoim.

W mojej głowie pojawiła się zuchwała myśl: jeśli uda mi się spotkać ze Stalinem, poproszę go o pomoc w odszukaniu Niny. Przecież wystarczy jedno jego słowo, żeby postawić na baczność moskiewskich biurokratów.

Czasem wydaje mi się, że to jedyna moja nadzieja.

Rozdział 8

Trudne dziecko

O ile Gala wiedziała, Klim nie miał ani żony, ani kochanki. Nie interesował się też prostytutkami, ale bez wątplenia był czuły na wdzięki niewieście i nieraz doprowadzał Galę do ataków bezsilnej zazdrości, kiedy przyglądał się ładniutkim komsomołkom. Na nią nigdy nie patrzył w taki sposób.

Sama dziwiła się zachodzącej w niej przemianie. Całkiem niedawno klęła na czym świat stoi zachodnich kapitalistów i ich podły styl życia, była pewna, że do szczęścia nie potrzebuje nic innego niż jak najszybsze zwycięstwo rewolucji światowej. Ale wystarczyło, że dostała pracę u Klima, a po niezłomnych przekonaniach ślad nie pozostał. Nic nie mogła poradzić na to, że podobały jej się eleganckie maniery, wyszukany gust, kulturalne rozmowy i taka trywialna rzecz, jak... pieniądze.

Klim nie uważał się za bogacza i zawsze powtarzał, że na coś mu nie wystarcza. Nie rozumiał po prostu, czym jest prawdziwa bieda i jak trzeba się męczyć, kiedy każdego dnia, z miesiąca na miesiąc i z roku na rok przychodzi oszczędzać na wszystkim, nawet na chlebie.

Klim marzył o samochodzie, żeby móc się ścigać z Seibertem, kto pierwszy dostarczy materiał do Telegrafu Centralnego, a Gala nie mogła w żaden sposób uzbierać na rękawiczki dla Tani.

– Poproś pana o dodatek – poradziła jej Kapitolina. – Dobry jest, to i da.

Lecz Gala nie chciała o nic prosić. Potrzebowała nie symbolicznych sum, ale męża, człowieka, przy którym stanie wreszcie na nogi, wyjdzie z bagna, w jakie wpadła wiele lat temu.

Świetnie dogadywała się z Klimem, przeszli nawet na „ty” i Gala zaczęła powolutku wprowadzać w życie swój tajny plan. Pomoże Klimowi zrobić wspaniałą karierę w Moskwie, stanie się dla niego absolutnie niezastąpiona, a kiedy kontrakt z United Press ulegnie rozwiązaniu, ożeni się z nią i wyjadą razem za granicę.

– Koniecznie zrób tak, żeby Wajnsztajn traktował cię jako „przyjaznego dziennikarza” – radziła. – Wówczas pracownicy Komisariatu Spraw Zagranicznych zaczną pomagać ci bez obaw, że narobisz im kłopotów. W Moskwie o wszystkim decydują układy, więc jeśli uznają cię za swojego, staniesz się wielkim ekspertem w sprawach ZSRS, bo zaczną z tobą rozmawiać odpowiedni ludzie.

– Nawet Stalin?

– Nawet on.

Gala od razu spostrzegła, że droga do serca Klima prowadzi przez Kitty. Bardzo kochał córeczkę i miał wyrzuty sumienia, że mała nie ma „normalnego dzieciństwa”. Kitty wrywała się na dwór, żeby bawić się z innymi dziećmi, ale Klim jej nie puszczał, gdyż rówieśnicy drażnili się z nią jako skośnooką. Nieważne, ile gazety pisały o „nienaruszalnej przyjaźni ludów”, na podwórzach i placach zabaw jakoś o tym nie pamiętano.

W Kitty było nazbyt wiele obcości – rasa, ubrania i słówka z innych języków,

którymi co trochę urozmaicała swoje wypowiedzi. Wywoływała ciekawość i wrogość jednocześnie nie tylko w dzieciach, ale i w dorosłych. Zawsze znajdował się ktoś, kto się do niej przyczepiał.

Rasizm doprowadzał Klima do białej gorączki.

– Ci głupcy nie rozumieją, że różnorodność jest piękna! Kitty zna gry, o których tutaj nikt nie słyszał! Ma o czym opowiadać i co pokazać, wreszcie może podzielić się zabawkami. A te dranie tylko jedno – wepchnąć małą w zaspę i rechotać.

Gala przytakiwała mu i przy okazji podkreślała, że jej dwunastoletnia córka bardzo chętnie bawi się z dziećmi każdej narodowości. Chciała koniecznie zapoznać Kitty z Tanią i zrobić wszystko, żeby się zaprzyjaźniły.

W rzeczy samej jednak Gala wstydziła się własnej córki. Tania była niezbyt urodziwa i mało inteligentna. W jej klasie dzieci w ogóle okazywały się niezbyt udane. Wyrastały w czasach wojującego komunizmu, więc źle odżywione często zapadały na różne choroby. Ale nawet na ich tle Tania wyglądała bardzo źle. Była o głowę niższa od rówieśników, a cienkie rudawe warkoczyki, zadarty nos i szeroki od ucha do ucha uśmiech czyniły ją podobną do wygłodzonego gнома.

O charakterze szkoda było mówić. Z tym dzieckiem nie wytrzymałaby nawet święta. Tania nie szanowała dorosłych, była leniwa, arogancka, a czasem opowiadała takie bzdury, że wszyscy łapali się za głowy.

Gala miała nadzieję, że na córkę dobrze wpłynie szkoła, ale tam dzieci uczono nie tyle matematyki, geografii i rosyjskiego, co walki z przeżytkami. A największym przeżytkiem była dla Tani właśnie matka.

– Wiarą w Boga upadłasz naszą rodzinę – mówiła, naśladując głos nauczycielki. – A kaktusy na parapecie to znak drobnomieszczaństwa, które należy bezwzględnie wykorzeniać.

Tania odrzucała wszystko, co było drogie matce: wygodę, przytulność, piękno i czułość. Oczywiście Gala często traciła panowanie nad sobą, ale nawet do lania mała nie odnosiła się jak należy.

– Możesz mnie nawet zabić, ale nie porzucę naszych świątłych idei! – chlipała. – I pamiętaj, że moi towarzysze mnie pomszczą!

Jacy towarzysze?! Za co mają pomścić?! Gala sprąła dziewczynie tyłek, bo nie wyłączyła światła w łazience i na zebraniu mieszkańców zostały za to napiętnowane.

Podobnie jak Gala, Tania żyła w świecie fantazji, tyle że matka snuła mrzonki o miłości, a córka o oddziałach partyzanckich, bohaterskich czynach, podróżach i rewolucji światowej.

Gala mówiła jej, że pracuje jako sekretarka w OGPU. Gdyby mała dowiedziała się, gdzie i u kogo tak naprawdę jest zatrudniona, pewnie dostałaby szału. W szkole wbijano dzieciom do głów, że dobry człowiek to taki, który jest biednie odziany i prosty. A dążenie do duchowych doznań, rozwoju intelektualnego i przestrzeganie dobrych manier to oznaka „burżuazyjności, czyli głupoty, podłości i wrogości do wszelkiego życia na Ziemi”.

Niemożliwe było przywieźć Tanię do domu na Czystych Prudach. Dziewczynka nigdy nie była w osobnym, a nie komunalnym mieszkaniu, mogłaby doznać wręcz wstrząsu.

Trzeba było zacząć powolutku – zaprosić Klima i Kitty do siebie i wymyślić jakąś bajeczkę, usprawiedliwiającą sposób ubierania się i zachowania Rogowów.

Córka sama podpowiedziała jej rozwiązanie. Kiedy Gala napomknęła, że ma znajomego, który przyjechał z Szanghaju, Tania aż podskoczyła.

– To prawdziwy rewolucjonista, tak?

– Ależ skąd! – Gala się skrzywiła. – To dziennikarz.

– Ach, rozumiem, to tajemnica państwowa!

Niedawno w szkole omawiano heroiczną walkę chińskiego proletariatu. Prowadzono zajęcia polityczne i dyskusje, uczono witać się po chińsku i zbierano pieniądze na pomoc strajkującym robotnikom. Tania nabrała najwyraźniej przekonania, że w Chinach żyją dwa rodzaje ludzie: rewolucjoniści i imperialiści. Imperialista nie mógłby przecież zawitać do ZSRS, a to znaczyło, że Klim Rogow był bojownikiem o szczęście klasy robotniczej.

Gala wymyśliła całkiem prawdopodobną historię o tym, jak Klim ukrywał swoje prawdziwe poglądy, żeby zyskać zaufanie burżujów i wyciągać od nich tajemnice. A teraz pracował z zagranicznymi dziennikarzami w Moskwie i nadal musiał dostosowywać się do wstrętnych obyczajów imperialistów.

Dowiedziawszy się, że Klim ma córeczkę Chinkę, Tania wpadła w zachwyt. Uwielbiała dowodzić, ale przez niski wzrost i marny wygląd rówieśnicy nie traktowali jej poważnie. Dlatego lubiła się zadawać z maluchami.

– Mamusiu, a mogłabym się poznać z Kitty? – marudziła. – Proszę! Cały tydzień będę zmywać bez przypominania!

Gala zgodziła się „niechętnie”, ale kazała Tani przyrzec, że nigdy, przenigdy nie będzie wypytywać Klimy o sekrety działalności rewolucyjnej.

Dawniej w kamienicy przy Wielkiej Kisielnej mieszkali znani lekarze i adwokaci, ale po rewolucji zostali rozpedzeni, a do luksusowych apartamentów wprowadzili się nowi mieszkańcy – po dziesięć rodzin na lokal.

Kiedyś sąsiadów mieszkających w tym samym domu coś łączyło – styl życia, wykształcenie i dochody – teraz żyli zaś jedni przy drugich: alkoholicy, milicjanci, złodziejaszki i stare szlachcianki, a do tego prawowierni komsomolcy.

Mieszkanie Gali nie było ani lepsze, ani gorsze od innych. Zazwyczaj sąsiedzi jakoś się dogadywali, ale ciasnota i różny stosunek do tego, co wolno, a czego nie wolno, doprowadzały do awantur.

Kto nabłocił w sieni? Kto wyszczerbił płytkę w łazience? Kto wywiesił w kuchni bieliznę poza kolejnością? Sznurek do suszenia każdy przynosił własny, ale gwoździe w ścianach były wspólne, więc korzystać z nich wolno było tylko zgodnie z grafiką.

W niedzielny poranek Gala poszła do Klimy i Kitty, po czym dorożką przywiozła ich do siebie. Po drodze bardzo się denerwowała i próbowała wróżyć sobie powodzenie ze zwykłych zdarzeń: odezwał się cerkiewny dzwon – to dobrze; z płotu zerwało się stado wron – to źle. Serce w niej zamierało. Co powie Klim, kiedy zobaczy, w jakiej nędzy żyją? A może Tania coś zrobi? A jeśli sąsiedzi zaczną wyklinać i narobią jej wstydu?

Klim spostrzegł, że Gala jest wzburzona.

– Wszystko będzie dobrze. Najważniejsze, żeby dzieci się dobrze bawiły.

Posłała mu uśmiech pełen wdzięczności. Ależ to dziwne, że domyślił się, jak jej ciężko na duszy...

Rozliczyli się z woźnicą i weszli do bramy oklejonej starymi obwieszczeniami. Gala mieszkała na drugim piętrze.

Marmurowe schody przeżyły w dość dobrym stanie dekadę władzy sowieckiej, ale drewniane okładziny już dawno zerwano z poręczy. W 1918 roku zostały porąbane na opał. Na ścianach tu i ówdzie łupał się tynk, a drzwi mieszkań były upstrzone dziesiątkami tabliczek, guzików dzwoneczków oraz kabli – zupełnie jakby porosła je dziwna pleśń.

– Już prawie, prawie... – powtarzała Gala, przekopując torbę w poszukiwaniu kluczy.

Kitty ze zdziwieniem patrzyła na nagromadzenie elektrycznych dzwoneczków.

– Dlaczego ich tak dużo?

– Bo każdy mieszkaniec ma swój – wyjaśniła Gala. – Odzywają się różnymi głosami i każdy od razu wie, do kogo przyszli goście.

Drzwi się otworzyły i na podest wyszedł Mitrofanycz, pracownik naukowy archiwum. Przywitawszy się, zszedł na dół, co i raz oglądając się przez ramię. Klim i Kitty wywarli na nim najwyraźniej wielkie wrażenie.

W ciemnej sieni wisiała mokra bielizna, gdzieś rozlegało się terkotanie maszyny do szycia, a z kuchni dobiegały głosy:

– Sania, odgrzej kotleta! Jest w miseczce pod gazą.

Przeszli korytarzem obok kufrów służby, a Gala wyjaśniła, że w tym mieszkaniu wielu zatrudnia robotnice domowe, które przyjechały ze wsi. W dzień zajmują się gospodarstwem, a nocą śpią na skrzyniach.

– Wejdźcie i czujcie się jak w domu! – zaprosiła Gala, otwierając drzwi pokoju.

– O rany! – powiedział zachwycony Klim. – Kitty, zobacz tylko, jak ładnie!

Gala jak mogła, ogarnęła swoją kwaterę. Na ścianach wisiały ptasie budki i maleńkie klateczki, w których mieszkały nie ptaki, lecz zabawkowe aeroplany. Lampa została wykonana ze starannie sklejonych odłamków szkła butelkowego. Zamiast kanapy w kącie stała ogrodowa ławeczka z eleganckim pokryciem zszytym z kolorowych kawałków tkanin. To było posłanie Gali. A jej córka spędzała noce w szafie pod ubraniami, ale o tym goście nie musieli wiedzieć.

Tani nie było, widocznie wyszła do kuchni albo do sąsiadów. W pokoju pachniało tytoniem, więc Gala otworzyła lufcik. Przecież prosiłam Tanię, żeby przewietrzyła! – pomyślała ze złością.

Kitty jak zaczarowana wpatrywała się w namalowane na szafie białe króliki z różowymi noskami.

– Jakie śliczne!

– To zrobiła moja córka – odparła z dumą Gala.

– A gdzie ona jest?

– Tutaj!

Tania stała na progu, wyglądając jak dziecko z sierocińca w swoim szkolnym niebieskim fartuszk i „milionerskim swetrze”. Gala kupiła to straszdyło w 1922 roku, kiedy pieniądze zupełnie straciły na wartości i za byle szmatkę na bazarze wołali milion.

Tania trzymała w objęciach starego rudego kota Ipowara, żalosne stworzenie, które sąsiedzi karmili w wyznaczonej kolejności.

Przez kilka sekund Tania patrzyła na gości, a Gala aż skręciła się w sobie. Co to zaraz będzie! Jednak nic się nie stało. Tania powiedziała „Dzień dobry” i nie zwracając uwagi na Klimę, podeszła do małej Chinki.

– Jak masz na imię? Kitty? Tak się nie da. Trzeba ci znaleźć nowe, rewolucyjne imię. Na mnie, na przykład, wołają Traktorina, ale możesz mi mówić Tania. Chcesz pogłaskać Ipowara?

– Chcę! – ucieszyła się Kitty.

– Tatiana ma na imię – powiedziała z naciskiem Gala, ale Klim nie zważał na paplaninę małej.

– Niech się bawią, jak chcą.

Kiedy Gala parzyła herbatę, Tania zaczęła opowiadać gościom o swoim znamienitym ojcu-komisarzu.

– To on? – spytała Kitty, wskazując portret Lenina nad biurkiem.

Tania wytrzeszczyła oczy.

– Coś ty! To nie mój ojciec! Znaczący, to jest ojciec... ale nie tylko mój, lecz wszystkich ludzi, dlatego że był wodzem światowego proletariatu!

Kitty nic z tego nie rozumiała.

- Mój tata siedzi o tam, a tego wujka nie znam.
- Jak to? – oburzyła się Tania. – To... To przecież...
- A dlaczego wasza służba śpi na kufrach? – zapytała Kitty. – Nasza Kapitolina kładzie się na worku z pieniędzmi. Strasznie szeleszczą, kiedy się po nim skacze.
- Tania powoli przeniosła wzrok na Klima.
- Ma-a-mo! Muszę ci coś powiedzieć!
- Wyszły na korytarz, a dziewczynka od razu naskoczyła na matkę:
- Kogoś ty przyprowadziła?! U niego służące śpią na workach pieniędzy!
- Gala zasłoniła jej usta dłonią.
- Ciszej, na Boga! Nie ma żadnych worków! Kitty sobie to wymyśliła!
- Tak? A dlaczego ona nie wie, kto to Lenin?
- Dlatego że dopiero co przyjechali z Chin. Jeśliby wujek Klim opowiadał Kitty o Leninie, mogłaby coś powiedzieć nie w porę na ulicy i zostaliby aresztowani!
- Tania zamyśliła się na chwilę. Wiedziała sporo na temat okrucieństwa chińskiej policji.
- Dobrze, chodźmy z powrotem – powiedziała.

Tania nauczyła Kitty bawić się w dekabrystów. Zostali dostarczeni na parapet i pojechali na Sybir. Kaktusy grały rolę żandarmów eskortujących ich na zsyłkę.

Gala naląła Klimowi herbaty i postawiła ciasto, które kupiła za potrójną cenę u sąsiadki pracującej w fabryce cukierniczej Czerwony Październik. Oby tylko wszystko było jak należy.

– Bywasz czasem na Łubiance, prawda? – spytał nagle Klim po angielsku.

Gala zatrzymała dłoń z filiżanką w połowie drogi do ust.

– Skąd takie przypuszczenie?

Wskazał na zawiadomienie ze związku zawodowego OGPU, wetknięte za kabel przy wyłączniku światła: „Uzasadniona prośba o umorzenie zadłużenia z tytułu niepłacenia składek członkowskich”.

Gali zadrżały ręce. Ależ głupia ta Tania! Ile razy jej mówiła, że ma chować pocztę do szuflady!

Nie miało sensu się wypierać.

– Nic takiego o tobie nie piszę! Jeśli chcesz, mogę pokazywać ci moje raporty... Ja nie...

Klim pokręcił głową.

– Nieważne... Nie mam nic do ukrycia. Mogę poprosić cię o przysługę? Muszę wiedzieć, czy prowadzi się u was dochodzenie w sprawie pewnej kobiety. Nazywa się Nina Wasiliewna Kupina.

– A kto to jest? – nachmurzyła się Gala.

– Znajoma.

– Dobrze, zapytam.

Klim dotknął dłoni Gali, a kobieta zadrżała.

– Tylko nikomu o tym nie mów, dobrze?

Gala pokiwała głową.

Ze wszystkiego na świecie Tania Dorina najbardziej chciała zostać pionierką. Ale do tego trzeba było się dobrze uczyć, hartować zdrowie, pomagać klasie robotniczej z innych państw i organizować dzieci do prac społecznych. Prócz tego, aby wstąpić do drużyny, należało uzyskać rekomendację jakiegoś jej członka.

Tania miała zaś problemy przy każdym z tych wymagań. Uczyć się nie lubiła, przeziębiała się przy próbach hartowania, a zorganizować kogokolwiek jej się nie udawało, jako że nikt jej nie chciał słuchać.

Pewnego dnia spróbowała pomóc zagranicznym robotnikom i sprzedała potwornie ciężką gęsiarkę, której i tak z matką nie używały. Dostała za to lanie.

– Dali mi za to dwadzieścia pięć kopiejek! – jęczała, wykręcając się przed pasem.
– Oddałam je na fundusz Kominternu!

– Ja też cię zaraz oddam! – groziła matka.

Tania nie potrafiła wykonać nawet tak prostego zadania, jak antyreligijna rozmowa ze starszym pokoleniem.

– Mamusiu – mówiła – po prostu zapamiętaj sobie, że Boga nie ma! A kiedy zechce ci się przeżegnać, lepiej oddaj pionierski salut.

– A jeżeli mi z Bogiem lepiej niż bez niego? – odpowiadała pytaniem Gala.

Tania się złościła.

– Nie wolno żyć tylko ku swemu zadowoleniu! Powinniśmy wszystkie siły oddać walce!

– I tak je oddajemy... A mnie już niewiele tych sił pozostało.

Tania oskarżała matkę o rozkład moralny, ale obawiała się przy tym nie tyle pasa, ile łez Gali i jej przewlekłej melancholii. Czasem wracała z pracy i bez słowa, nic nie jedząc nawet, kładła się na swojej ławce nosem do ściany.

– Mamo, co z tobą? – pytała Tania z obawą.

– Nic.

Dziewczynce zdawało się, że matka martwi się o nią, bo zawsze robiła coś nie tak.

Pewnego razu Tania zobaczyła za oknem swojego wroga – Dżulkę, ciemnowłosą dziewczynkę o bladej cerze i opuchniętych powiekach. Tania miała ochotę czymś w nią rzucić, a jak na złość pod ręką były tylko jajka, które matka właśnie kupiła na targu.

Dżulka została ostrzelana i haniebnie umknęła z pola walki, ale w tej chwili do pokoju weszła mama ze stertą prania.

– Ty matole! – wrzasnęła i zaczęła tłuc córkę mokrym ręcznikiem. – Powinnam cię udusić w kołysce!

Tania długo błagała o przebaczenie i mówiła, że w pionierach na pewno naprostują jej głupi charakter, tam nie takich chuliganów sprowadzali na dobrą drogę.

– Grób cię chyba naprostuje! – rzuciła ze złością matka. – W kogo ty się wdałaś?

Tania rzeczywiście uznała w końcu, że jest tępą. Ale potem się dowiedziała, że Dżulka jest w pionierskiej drużynie, i postanowiła, że zrobi wszystko, aby ją także

przyjęli.

Ująć się za dziewczynką nie było komu, przyjaciół przecież nie miała.

– Urodź mi siostrzyczkę! – prosiła matkę, ale ta się tylko złościła.

– Wtedy na pewno zupełnie mnie wykończycie!

Tani bardzo podobała się zabawa z Kitty. Mała Chinka była śmieszna i śliczniutka jak laleczka, a lalek Tania nigdy nie miała. Do tego Kitty patrzyła na nią rozkochanym wzrokiem i pytała co trochę:

– A będę mogła jeszcze do ciebie przyjść? Znow będziemy uciekać przed żad... żar... no, przed kaktusami!

Szkoda, że ojciec Kitty był taki skłonny do drobnomieszczańskich nawyków. Jasne, że na służbie musiał nosić obrzydliwe krawaty i drogie skarpetki, ale kto go zmuszał, żeby w czasie wolnym też ubierał się jak burżuj? Z pewnością chciał się po prostu pokazać przed innymi, to takie typowe społeczne zachowanie niedojrzałej osobowości!

Kiedy sąsiedzi zaczęli wypytywać Tanię o gości, nie wytrzymała i nieco ubarwiła postać Klima.

– To postępowy dziennikarz z Szanghaju. Walczył na barykadach i ratował rannych czerwonarmistów.

Sąsiedzi wymienili spojrzenia.

– No, ale teraz nie zaczynajcie aby zadzierać z matką nosa! – powiedział surowo Mitrofanycz. – Znamy takich! Da wam cudzoziemiec parę znaczków ze swoich listów, to i poznawac nas przestaniecie!

– Akurat nam potrzebne jego znaczki! – prychnęła Tania i zaraz się zadumała. A może faktycznie poprosić wujka Klima o parę wykorzystanych kopert? W szkole zagraniczne marki były cenniejsze niż złoto, dało się je wymienić na wszystko, nawet części odbiornika radiowego.

Kiedy wróciła do siebie, mama już się położyła. Tania weszła do szafy i wyciągnęła się, aż wreszcie stopy i czubek głowy zaczęły dotykać przeciwległych ścianek.

Ławeczka zaskrzypiała i mama zapytała nagle jakimś dziwnie łagodnym głosem:

– Jak ci idzie w szkole?

Nigdy nie zadawała takich pytań, dlatego że Tania uczyła się źle i mamie zawsze było za nią wstyd. Nawet tabelkę z ocenami podpisywała, nie patrząc, a kiedy wzywano ją do szkoły, mówiła, że nie może przyjść, bo jest okropnie zajęta w pracy.

Tania opowiedziała jej, jak całą klasą bawili się w sportową grę Amator przywilejów.

– Rozdali nam piłki z napisami „bilet ze związków”, „ulga podatkowa” i „prawo wyborcze”. Mieliśmy je przerzucać tak, żeby piłek nie złapał pop. Wiesz, kto nim był? Dżulka!

Tania wylazła z szafy i nie włączając światła, zaczęła biegać po pokoju.

– Jestem popem, wrogiem władzy radzieckiej! – wyła złowieszczo, naśladując Dżulkę. – Chcę korzystać z przywilejów ludzi pracy!

– I co? Skorzystała? – Gala się uśmiechnęła.

– Ale skąd!

Naprawdę jednak Dżulka przechwyciła wszystkie „przywileje”. Dostała rolę

duchownego właśnie dlatego, że była najzręczniejsza w klasie.

Po grze drużynowy Wadik ustawił zdyszanych uczniów w szeregu i powiedział, że prawdziwy wróg jest równie przebiegły, sprytny i mocny, więc przywilejów danych klasie robotniczej należy strzec jak źrenicy oka.

– Trzasnęłam Dżulkę „ulgą podatkową” po głowie i nic nie dostała – zmyślała Tania. – Dostałam nawet pochwałę za czujność!

Matka westchnęła w ciemności i Tania zamilkła, nie wiedząc, czy Gala jest z niej dumna, czy raczej surowo osądza walkę z duchownymi.

– Podobała ci się zabawa z Kitty?

– Pewnie! – ożywiła się Tania. – Chciałabym mieć taką siostrzyczkę! Przyprowadzisz ją jeszcze?

– Oczywiście – odpowiedziała mama i roześmiała się szczęśliwym śmiechem, jakiego dziewczynka dawno nie słyszała.

Rozdział 9

Kokaina

Magda znalazła nowy sposób, aby dotrzeć do kwater mieszkalnych Kominternu, ulokowanych w hotelu Luks. Otworzyli tam kursy nauki rosyjskiego dla cudzoziemców, więc się od razu zapisała.

W byłym hotelu mieszkali komuniści najróżniejszych narodowości, od Norwegów po Hindusów. Golili głowy na łyso, nosili haftowane koszule w rosyjskim stylu i porozumiewali się dzikim żargonem, przetykanym słowami „Lenin”, „komunizm” i „prymus”. Na Kremlu uważano ich za pożytecznych – w chwili rozpoczęcia światowej rewolucji będzie można z nich utworzyć rządy w podbitych państwach.

W oczekiwaniu na ten wspaniały dzień mieszkańcy jedli i pili na rachunek władzy sowieckiej, prowadzili gorące polityczne spory i podpisywali wszelkie możliwe rezolucje.

Przy wejściu sprawdzono dokumenty Magdy i zapisano jej dane w grubym zeszycie.

– Pierwsze piętro, na prawo. – Zarządca wskazał jej drogę, ale Magda od razu skierowała kroki do Friedricha, który mieszkał w pokoju 66.

Przeszła mrocznym, wilgotnym korytarzem i zatrzymała się przed zamkniętymi drzwiami. Jacyś żartownisie dorysowali na tabliczce z numerem jeszcze jedną szóstkę i napisali: „Wrota piekieł. Proszę pukać”.

Magda cichutko poskrobała w drzwi. Nie otrzymała odpowiedzi, zatem pchnęła je, jako że nie zostały starannie zamknięte i widać było szparę.

– Ile dla ciebie? – doleciał ze środka głos Friedricha.

Magda sama nie wiedziała, jak znalazła się w przedsionku, a potem w łazience. Stała przyciśnięta plecami do junkersa i z bijącym sercem przysłuchiwała się temu, co działo się w pokoju.

– Bez obaw, mam najlepszą kokainę w Moskwie – zapewniał kogoś Niemiec.

– Ale dlaczego tak drogo? – odezwał się jakiś mężczyzna z francuskim akcentem.

– Nie chcecie płacić, to idźcie na bazar i kupcie sobie haszyszu od Uzbeków.

Magdzie pociemniało w oczach. Człowiek, którego kochała, okazał się handlarzem narkotykami!

Kiedy Francuz zniknął za drzwiami, Friedrich wszedł do łazienki i aż krzyknął z zaskoczenia.

– Co tu robisz?! – warknął.

– Ja... e-e... Chciałabym proszku – wyszeptała, nie umiejąc wymyślić nic lepszego. – Powiedziano mi, że go tu kupię.

Magda zaczęła regularnie odwiedzać pokój numer 666. To było szaleństwo tracić ostatnie pieniądze na narkotyki, którego nie potrzebowała, ale tylko tak mogła się spotykać z Friedrichem sam na sam.

Ich rozmowy były krótkie i zawsze zaczynały się od tego, że mężczyzna rugał Magdę za nałóg.

– Innych mi nie żal, niech się trują – mówił. – Ale wy jednak uratowaliście mnie przed chińską policją. Wiecie, co z wami będzie? Zaczną się halucynacje i napady melancholii, a za parę miesięcy nie będziecie umieli o niczym innym myśleć, tylko jak się ze mną spotkać.

Magda patrzyła mu w oczy.

– Tak, to prawda.

Ale i tak odsypywał jej proszku i z całą surowością zakazywał kupować kokainę u dzieci ulicy.

– To kontrabanda z Inflantów, towar jest zmieszany pół na pół z kredą albo sodą.

Wracła do swojego pokoju i wyrzucała proszek do ubikacji.

Pewnego razu zapytała, dlaczego Friedrich został handlarzem narkotyków. Jego odpowiedź wręcz ją oszołomiła. Okazało się, że kierownictwo postawiło go przed wyborem – albo zacznie wozić kokainę, albo do Berlina będzie się wyprawiał ktoś inny, a on dołączy do swoich przyjaciół trockistów na zsyłce lub w więzieniu.

Drogie narkotyki, podobnie jak markowe wina i koniaki, do Związku Sowieckiego trafiały głównie z Hamburga, Berlina i Rygi. Dostarczali ich nie przemytnicy, którzy często podrabiali towar, ale kapitanowie statków, kurierzy dyplomatyczni i piloci. Ich bagaż nie był kontrolowany na granicy, a to, co przywieźli, szło do ludzi związanych z władzą – od wyższych partyjnych urzędników począwszy, na pożytecznych cudzoziemcach skończywszy.

– Myślicie, że wstydzę się tego, co robię? – Uśmiechał się Friedrich. – Nic podobnego! Na Kremlu co drugi albo pije wódkę, albo wciąga kokainę. Te łajdaki zmarnowały i zgubiły rewolucję, więc wcale ich nie żałuję. Jednego tylko nie mogę pojąć: po co wy chcecie się stać narkomanką?

Magda robiła minę godną tragedii greckiej.

– A cóż mi jeszcze zostało w życiu?

Opowiedziała mu o tym, jak Klim Rogow odebrał jej pracę. Od sowieckich redaktorów nie dostała żadnej odpowiedzi, kończyła jej się wiza i kończyły pieniądze.

– Umiecie chociaż coś zrobić? – zapytał gniewnie Friedrich.

Magda przycisnęła ręce do piersi.

– Mogę pisać książki i fotografować!

– Oczywiście...

Kiedy przyszła do niego następnym razem, przekazał jej list od berlińskiego redaktora. Stało w nim, że ludzie w Niemczech są żywo zainteresowani wszystkim, co się

dzieje w ZSRS, bo wiele niemieckich przedsiębiorstw ma nadzieję dostarczać do Kraju Rad towary. Nie miały innego wyboru, gdyż zwycięzcy Wielkiej Wojny uniemożliwiali normalną wymianę handlową. Jeżeli pani Thompson jest gotowa napisać książkę o swoim życiu w Moskwie, wydawnictwo zobowiązuje się ją przetłumaczyć i nawet wypłacić zaliczkę. Ale musiałyby najpierw napisać konspekt i pierwsze rozdziały.

– To jeden z moich kokainowych znajomków – mruknął Friedrich. – Proszę z niego skorzystać, dopóki coś jeszcze kojarzy, bo niedługo rodzina wyśle go do kliniki i już nie będę miał jak wam pomóc.

Magda rozplakała się ze wzruszenia.

– Oczywiście, że napiszę, co trzeba! Proszę dać mi adres!

Friedrich powiedział, że korespondencja będzie przechodziła przez niego, bo tylko tak można ominąć cenzurę.

– Będę wam pomagał pod jednym warunkiem. Skończycie z kokainą. I żebyście wiedzieli, że mnie się nie oszuka! Zaraz widzę, czy ktoś rzucił, czy nie.

Magda przysięgła na wszystkie świętości, że więcej nie weźmie ani szczypty. Była w siódmym niebie ze szczęścia.

W Berlinie zaakceptowano konspekt, umowa została podpisana i Magda zabrała się do pracy.

Bolszewicy byli żywotnie zainteresowani w przyciągnięciu turystów, więc za radą Friedricha Magda powiedziała urzędnikom w Komisariacie Spraw Zagranicznych, że zamierza pisać przewodnik dla cudzoziemców. Od razu przedłużono jej wizę i zezwolono wynająć mieszkanie śpiewaczki operowej, która wyjechała na gościnne występy za granicę.

Jakże Magda żałowała, że Nina przepadła! Przysłani przez władze tłumacze wciąż prowadzili cudzoziemców nie tam, gdzie ci chcieli, tylko na wystawę ludowego rzemiosła albo do muzeum mebli, aż wreszcie Magda postanowiła, że będzie wszędzie chodzić sama i porozumiewać się na migi.

Do rozdziału poświęconego sowieckim młodocianym musiała napisać opowiadanie o dzieciach ulicy. Wojna domowa, niedawny głód i masowy alkoholizm wśród robotników spowodowały wielki wzrost liczby osieroconych dzieci. Ulicznicy mieli swoje rewiry i profesje – jedni rabowali węgiel ze składów kolejowych, drudzy zajmowali się kradzieżami kieszonkowymi, a jeszcze inni byli popychadłami na budowach. Bardzo ważne było zorientowanie się w tym wszystkim, więc Magda poszła na targ zapoznać się ze swoimi przyszłymi bohaterami.

Pod na wpół zrujnowanym murem Chińskiego Miasta rozłożył się wielki, tętniący życiem bazar. W strzelnicach starych baszt siedzieli obserwatorzy i wypatrywali, czy nie pojawi się milicyjny patrol. Poniżej łokieć w łokieć stali handlarze zbywający barachło prosto z ręki, bez zezwolenia.

Sprzedawano tu wszystko, co tylko można, od fałszowanych perfum po suszone ryby, od trutki na szczury po kretonowe biustonosze. Wielu oferowało ten sam towar – to byli wysłannicy podmoskiewskich spółdzielni chałupniczych.

Przez tłum przeciskał się wielki chłop obwieszony zabawkowymi pistoletami i szablami. Od czasu do czasu strzelał w powietrze i krzyczał:

*Do strzelania, zabawiania,
Słonki do wojakowania,
Szablę chłopiec też mieć musi
Do obrony swej mamusi!
Uciesz, mamo, więc synaszka,
Tu pistolet jest i szaszka!*

Chińczycy potrząsali przed ludźmi torbami i portfelami, zszytymi z kolorowych skrawków.

– Moda, moda!

– Pierogi-i-i! Pierogi-i-i! – zawodziła baba w brudnym fartuchu, narzuconym na wojskową kurtę. Wokół niej przytupywali na zimnie studenci i zbierali po kieszeniach kopiejki na obiad.

Staruchy odmierzały drewnianymi kubkami pestki słonecznika i wsypywały je do kieszeni kupującym. To był niebezpieczny towar, jako że Rada Miasta pod groźbą poważnych kar zabroniła sprzedaży tych nasion, ale jak zawsze w Rosji surowość prawa umierała wraz z jego nieskutecznością.

Panował gwar, ścisk, handlarze krzyczeli:

– Mydło kupcie, smród swój zgubcie!

– Chustki do nosa świeże jak rosa!

– Zmywaki! Zmywaki! Sklep bez dachu, właściciel bez lady, niskie ceny!

Magda fotografowała rozłożone na ceratach książeczki dla dzieci, majtki, zapalniczki, ręczniki i nitki koralików. Bardzo żałowała, że nie ma kamery, bo mogłaby uwiecznić ulicznych cyrulików golących w dwie minuty mocno zarośnięte gęby. Tego na zdjęciu się nie odda.

Chwilę później natknęła się na całkiem już egzotyczne widowisko – na sznurku powiewały warkocze różnych barw – od smoliście czarnych do rudych i złocistych.

Wiejskie baby obcinały je i sprzedawały miejskim modnisiom do sztukowania.

Mały ulicznik w potarganej uszance podbiegł do Magdy i wyciągnął do niej kościstą, siną z zimną rączkę.

– Dajcie coś, pani, na Chrystusa!

Magda się uśmiechnęła. Tego jej było trzeba, więc wyjęła z torebki bułkę z rodzynkami.

– Weź sobie.

Chłopczyk ze zdziwienia otworzył usta, cofnął się i usiadł w śniegu. Nigdy w życiu nie widział takiego bogactwa.

Schował bułkę za pazuchę i gwizdnął przeraźliwie, a już po chwili Magdę otaczała gromada dzieci w łachmanach.

Zaczęła im rozdawać łakocie, które kupiła w bufecie Metropolu. Dzieci radośnie krzyczały i ciągnęły ją za płaszcz, a przechodnie patrzyli na Magdę z jawną dezaprobatą. Mężczyzna w baranim kozuchu splunął i poszedł dalej.

Magda wyjęła z kieszeni przygotowaną wcześniej ściągę i spytała po rosyjsku:

– Chciałabym się dowiedzieć, jak mieszkanie, i sfotografować wasz dom.

Chłopiec w uszance wziął ją za rękę.

– Chodźmy!

Dzieci ulicy całą hurmą ruszyły za nimi.

Magda została zaprowadzona wąską ścieżką, która wiodła do na wpół zrujnowanej baszty. Pod murem obronnym stróże zrzucali skuty z chodników lód, śmieci i końskie odchody. Po przedarciu się przez stosy odpadków Magda znalazła się przed niewielkim zakratowanym otworem piwnicznym, z którego sączył się niebieskawy dym jak z pieca.

Dziewięcioletnia może dziewczynka zdjęła kratę i pierwsza dała nurka do czarnej dziury. Chłopiec w uszance lekko pchnął Magdę.

– No idźże!

Kobieta obejrzała się na dzieci, które patrzyły na nią z uśmiechami: szczerbate, zasmarkane i niesamowicie umorusane. Aż drgnęła, czując niewypowiedziany żal. Panie, co czeka tych nieszczęśników?

Zgięła się w paragraf i precyzyjnie przeszła przez cuchnący zgnilizną właz, ale o coś zahaczyła, straciła równowagę i upadła bezwładnie na potłuczone cegły.

Księga Umarłych

Właśnie wychodziłem z dawnego sklepu Jelisewskiego, kiedy nagle pod nogi rzucił mi się ulicznik ze szczudłem. Upadł w śnieg i zaczął wołać: „Ratunku! Dzieci łapią!”.

Kiedy podnosiłem małego inwalidę, jego towarzysze porwali moje zawiniątka i się rozbiegli. A rzekomy kaleka podniósł kostur i ruszył ku mnie, wymachując nim.

– A ty co powiedziałeś przeciwko władzy radzieckiej?! Powtórz no! Obywatele, spójrzcie na tego burżuja niedorzętego! Samego Lenina nazwał swołoczą!

Szczeniak wziął mnie za nepmana, uznał więc, że się przestraszę oskarżeń i będę siedział cicho. Musiałem mu wyjaśnić, że właśnie strasznie skompromitował Sowiety w oczach korespondenta zagranicznego i będę musiał napisać w swojej gazecie, że w ZSRS na ludzi pracy napadają nawet małe dzieci.

Obrońca Lenina bardzo się zmartwił.

– Chodźmy do naszego domu, wszystko ci oddamy – obiecał i zaprowadził mnie śladem swoich zbiegłych przyjaciół.

Przedstawił się jako Car Dżuma i po drodze opowiedział o swoim życiu. Jego rodzice zapili się na śmierć, a on nie chciał iść do domu dziecka, ponieważ tam „rządzą różne burżuazyjne pomiotła”.

W zeszłym roku Car Dżuma zarabiał łażeniem po strychach i kradzieżami suszącego się prania, ale pewnego razu go złapano i spuszczone ze schodów, przez co złamał nogę. Kość się źle zrosła, dlatego musiał się posługiwać szczudłem.

Swój przydomek otrzymał za bitność i nieprawdopodobną dążność do władzy. Twierdził, że ma pod sobą piętnastu „smerdów”, dla których jest władcą udziałnym. Uczestniczyli we wszystkich jego kryminalnych działaniach i musieli każdego dnia przynieść coś cennego. W zamian za to pozwalał im nocować w piwnicy pod murem Chińskiego Miasta i chronił ich, jeśli na „smerda” zasadziła się milicja albo ulicznicy z innej bandy.

Podsumowując, zawarłem dzisiaj znajomość z małym feudałem.

Car Dżuma przyprowadził mnie do piwnicy, w której mieszkał ze „smerdami”. Ich barłóg przypominał pieczarę ludzi pierwotnych – z sufitu sterczały poszczerbione ceglane zęby, na kamiennej podłodze zalegała zdeptana słoma, a na ścianach widniały sprośne rysunki wykonane sadzą. Pośrodku stały żelazny piec i duża skrzynia z napisem „Owoce”. W niej dzieci ulicy składały łup.

Car Dżuma dotrzymał słowa i otrzymałem z powrotem zakupy, z wyjątkiem tego, co dzieciaki zdążyły zjeść. Przywódca zaproponował mi także swoją przyjaciółkę, dwunastoletnią ciężarną dziewczynkę o potwornym wyglądzie. Siedziała przy piecu, nakryta starym afiszem teatralnym, i wachała wyblakłe niezapominajki, bez wątplenia wyciągnięte z wieńca pogrzebowego.

Ponieważ nie wykazałem zainteresowania dziewczynką, Car Dżuma

zademonstrował mi damskie ubranie, najwyraźniej zagranicznego pochodzenia.

– Kup to! Babie swojej podarujesz.

W stosie różnego śmiecia zauważyłem wytarty skórzany futerał aparatu Kodak i od razu zrozumiałem, że to rzeczy Magdy Thompson. Zauważyłem również sukienkę, w której była, kiedy się poznaliśmy.

Spytałem chłopaka, skąd wziął ten towar, ale od razu zaczął się złościć, że to nie moja sprawa. Oczywiście wiedziałem doskonale, że właśnie on musiał ograbić nieszczęsną Magdę.

Postanowiłem zwrócić jej te rzeczy, więc zaproponowałem, aby zagrać o nie w karty. Car Dżuma zgodził się z miejsca, nie podejrzewając, z jakim przeciwnikiem ma do czynienia. W młodości zajmowałem się karcianymi sztuczkami i przyswoiłem sobie takie umiejętności, za które w kasynie można oberwać zdrowo po głowie.

Najpierw wygrałem aparat, potem sukienkę, płaszcz i pozostałe przedmioty.

Patrząc na naszą walkę, poddani kulawego władcy wpadli w amok.

– Patrz, jaki artycha! Uszczypnij mnie!

Z początku kibicowali swojemu wodzowi, ale stopniowo ich sympatia przeszła na moją stronę. Zdaje się, że nieszczęśliwie kochali swojego suwerena.

– Zaraz twoje łachy wygra! – chichotała ciężarna dziewczynka.

– Niech to szlag... – mamrotał Car Dżuma, nerwowo popalając skręta, trzymając go to żarem na zewnątrz, to chowając do ust. Wtedy jego policzki lśniły czerwono, a dym walił z nosa.

Parę razy rzucał się na mnie z kozikiem.

– Porżnę na trzydzieści trzy kawałki!

Ulicznicy wrzeszczeli, kiedy się z nim szarpałem.

– Nagrałeś się już? – spytałem, przyciskając go do ziemi.

– Niiieee! – wył i znów siadaliśmy do kart.

Wreszcie chłopak przegrał wszystko – szcudło, kozik, swoich „smerdów”, a nawet skrzynkę po owocach. Schował głowę w ramiona, podniósł się i pokuśtykał do wyjścia.

Ucichłe dzieci ulicy patrzyły na mnie wytrzeszczonymi oczami. Nie wiem sam, za kogo mnie brały: czy za wybawcę, czy kogoś w rodzaju właściciela niewolników.

Powiedziałem, że nie zamierzam łupić z nich daniny, ale potrzebuję pomocy.

– Pochodźcie za handlarzami i popytajcie, czy nie wpadł im w ręce aksamitny czerwony płaszcz z chińskimi smokami. Kto przyniesie wiadomość, dostanie czerwonce.

Zebrałem rzeczy Magdy w węzełek i już szedłem ku wyjściu, kiedy nagle brzemienna dziewczynka krzyknęła za mną:

– Tam w studni cudzoziemka jedna leży. Może już i zdechła... Car Dżuma mocno jej przyłożył kosturem.

Okazało się, że dwa dni temu Magda przyszła do dzieci ulicy w gości, a one ją pobily i wrzuciły do niezbyt głębokiej studzienki ściekowej w kącie piwnicy.

Ulicznicy pomogli mi ją wyciągnąć. Była nieprzytomna, twarz miała całą w zaschniętej krwi, a na potylicy sączącą się ranę.

Dzieci zapewniały mnie, że to Car Dżuma kazał im napaść na kobietę, same z siebie nie zrobiłyby jej krzywdy.

– Była dobra i nawet częstowała nas bułkami.

Wokół mnie krzątali się małoletni zabójcy, ale przecież nie odpowiadali za swoje czyny ani przed prawem, ani przed samymi sobą. Widać było w ich oczach, że nie mają poczucia winy.

– To wszystko przez Cara Dżumę!

Odwiozłem Magdę do szpitala, a lekarze stwierdzili u niej wstrząśnienie mózgu, liczne obrażenia i ogólne wychłodzenie organizmu. Miała wiele szczęścia, że udało jej się przeżyć.

Ta historia poruszyła mnie do głębi duszy. Co by było, gdybym się nie zjawił we właściwym miejscu o właściwym czasie?

Prócz tego bardzo ostro do mnie dotarło, na czym polega natura władzy i górowania jednego człowieka nad drugim. Ulicznicy o mało nie zamordowali Magdy tylko dlatego, że tak nakazał przywódca, którego się lękali. Nie czuli do niej nienawiści, a że cała zdobycz należała do Cara Dżumy, nie czerpali ze swojego uczynku żadnych korzyści. To właśnie była oznaka podporządkowania: „Widzisz, jak bardzo cię szanuję? Zostanę zabójcą, porwę się na każdą podłość, tylko zostaw mnie w spokoju!”.

Autorytet Cara Dżumy trzymał się jednak tylko do pierwszej, w dodatku bardzo symbolicznej porażki. Po idiotycznej grze w karty potężny władca zamienił się w marnego pechowca, z jego wpływów nie pozostał nawet ślad. „Smerdy” popełniali zbrodnie ze strachu przed siłą, która tak naprawdę nawet nie istniała.

Niestety, w świecie dorosłych obowiązują te same zasady zachowań.

Odwiędziłem Magdę w szpitalu, kiedy już nieco doszła do siebie.

Przychodził do niej śledczy, ale oznajmiła, że nie zamierza składać doniesienia. Jej zdaniem dzieci, które próbowały ją zabić, nie są niczemu winne, po prostu wpadły w złe środowisko.

Niebawem dołączył do nas wspólny znajomy – pilot o imieniu Friedrich. Czasami spotykałem go u Seiberta. Na trzeźwo wyznawał miłość do Stalina, ale po wódce wychwalał Trockiego, jaki to wielki człowiek i wspaniały rewolucjonista. Najwyraźniej należał do tych niezliczonych rzesz opozycjonistów, którzy pospiesznie zmienili front, aby nie podzielić losu swego wodza (Trockiego władza zamierzała wysłać albo na Sybir, albo do Azji Środkowej).

Friedrich od progu sklął Magdę od ostatnich i oskarżył, że chodzi do dzieci ulicy po kokainę. Wtrąciłem się, poprosiłem, żebyśmy wyszli, a na korytarzu on – czerwony, zdenerwowany i zawstydzony – zaczął mi dziękować za ocalenie kobiety.

– Jeśli chcecie, przywiozę z Berlina keczup! Albo coca-colę. Przecież Amerykanie to lubią.

Zapytałem, czy mógłby wywieźć za granicę mój artykuł o przygodach miłosnych bolszewików, a on po krótkim wahaniu się zgodził.

Tego dnia otrzymałem drugą lekcję o naturze władzy. Ludzie mogą się obawiać przywódców wręcz nieopisanie, aż do utraty poczucia moralnego, ale zawsze będą w skrytości ich nienawidzić i korzystać z każdej okazji, żeby zaszkodzić ciemężycielom. To bardzo ludzkie: jeżeli brak ci wolności, nie możesz być szczęśliwy, nawet jeśli masz dostęp do samolotów, keczupu i coca-coli.

Po wyjściu ze szpitala Magda przysłała mi list dziękczynny i zdjęcie Niny, które wykonała niedługo przed jej zniknięciem.

Siedzę przy stole i patrzę na małą fotografię odbitą na kiepskim papierze. To wszystko, co zdołałem uzyskać przez długie miesiące.

W dzień na jakiś czas zapominam o swoim nieszczęściu i ośmielam się nawet cieszyć z drobiazgów. Friedrich przemycił mój artykuł przez granicę, a Owen przysłał mi telegram: „List z Berlina dotarł. Proszę się spodziewać premii”. Czyż to nie powód do radości?

Ale nocami dopada mnie ciężki smutek. Odganiem go, czytając książki i gazety, ale nie ucieknę przecież przed samym sobą.

Zbyt dobrze pamiętam przeszłość, kiedy przed snem czytaliśmy sobie dla rozrywki co głupsze kobiece romanse z podziałem na role. Staraliśmy się zachować powagę za wszelką cenę, ale na koniec nieodmiennie dusiliśmy się ze śmiechu. Przechodziłem obok Niny, kiedy się myła, i przez kilka sekund trzymałem w dłoniach jej talię. Do tej pory pamiętam ten ruch po rozpiętym peniuarze i dotyk ciepłej skóry.

Ileż ich było, tych intymnych dotknięć, którymi się porozumiewaliśmy!

Magda utrwaliła dla mnie urodę Niny, ale fotografia nawet w drobnej części nie oddaje tego, co straciłem. Człowiek jest już tak skonstruowany, że wszystko, co najważniejsze, musi posiadać w dwóch egzemplarzach... Oczywiście mogę żyć po stracie drugiego serca i drugiego oddechu, ale czuję się nieszczęsnym kaleką.

Rozdział 10

Przemycony artykuł

Ałow przyjechał do pracy wcześniej, ale przy wejściu już tłoczyli się ludzie, jako że nadszedł dzień wypłaty. OGPU było wielkim biurem. Tylko w aparacie centralnym pracowało dwa i pół tysiąca urzędników, a moskiewska agentura miała ponad dziesięć tysięcy etatów. I wszystkim należało przecież wypłacać pensje.

Ałow pokazał przepustkę, przeszedł przez kołowrót, a potem wjechał windą na trzecie piętro, gdzie mieścił się Wydział Zagraniczny.

W maleńkim gabinecie miał tylko stół, trzy krzesła, ceratową kanapę i rogaty wieszak. Goniec już przyniósł pocztę i nowy numer „Prawdy”, którą czekał mieli obowiązek czytać od deski do deski, żeby być na bieżąco z ostatnimi partyjnymi dyrektywami.

Zdjąwszy szynel i zmieniwszy obuwie na wołokowe kapcie, Ałow zabrał się do czytania listów, ale nie zdążył nic wyłowić.

– Wydział Zagraniczny, idźcie po pensje! – krzyknęła z korytarza sekretarka Eteri Bagratowna, była kochanka gubernatora Tyflisu³.

Zaczęły trzaskać drzwi, zadudniły kroki na schodach, a przed kasą w mgnieniu oka wyrosła ogromna kolejka.

Pracownicy Wydziału Zagranicznego dzielili się na dwie nierówne kategorie – „domatorów” i „delegatorów”. Pierwsi nigdzie nie wyjeżdżali i prezentowali się niczym ubodzy nauczyciele albo buchalterzy, a drudzy jeździli za granicę i wracali stamtąd wystrojeni w wełniane pulowery, koszule z kołnierzykami „strzałka”, przypominającymi jedwabne krawaty, oraz spodnie typu pumpy.

Ałow niezbyt zazdrościł tym delegacyjnym, nie był zbyt wybredny. Czego bowiem potrzebował prócz papierosów, mocnej herbaty i lekarstw na wypadek choroby? Ale bolało go, że jego młoda żona miała tylko dwie sukienki, a i te kupione z drugiej ręki.

Dunia Odeska zaliczała się do tych kobiet, które należało obsypywać komplementami i podarunkami. Ałow porównywał ją do siebie i nie mógł pojąć, co w nim widziała. Miał zakola, zapadłą pierś, nosił binokle, a do tego zarysowywał mu się brzuszek.

Na przyjęciach koledzy droczyli się z nim.

– Patrz ty lepiej za swoją Dunią, bo to dziewczucha gorąca jak chlebowy piec – mówili jedni.

– A Ałow taki chudy i powyginany niby stary chwytak do chleba – śmiali się inni.

W określeniu „chwytak do chleba” najwyraźniej pobrzmiwała aluzja do rogów, bo ten przyrząd nazywano także rogaczem. Ałow tęsknił, zadręczał żonę zazdrością, a potem... zamykał się w gabinecie z Galą. Po tych pięciominutowych zdradach na pewien czas czuł się pomszczony.

Pewnego dnia w Galerii Trietiakowskiej natknął się na wycieczkę szkolną oglądającą obraz *Niedobrane małżeństwo*. Przewodniczka tłumaczyła dzieciom, jaką torturą dla młodej kobiety było zostać wydaną za bogatego, ale wstrętnego dziada.

Staruch, wyobrażony na płótnie, mógł jednak podarować narzeczonej drogocenne klejnoty i zapewnić jej dom oraz dobry byt. Ałow zaś ze swojej pensji, ograniczonej

partyjnym limitem, przynosił Duni dwie siatki ziemniaków.

– Ten tego... Przebierz je. Te, które się psują, trzeba jak najszybciej zjeść, bo się zmarnują.

Ech, gdyby pracował na innym urzędzie! Chodziły słuchy, że koledzy z Wydziału Ekonomicznego gromadzili dossier dyrektorów zjednoczeń i zmuszali ich do płacenia haraczu. Nieźle żyli też czekiści pracujący przy transporcie. Tam zawsze można było oskubać spekulantów wiozących towary do innej guberni.

Nazwa „Wydział Zagraniczny” brzmiała może prestiżowo, ale co z tego... Ałow nie miał się nawet komu wysługiwać, bo ponad nim stał tylko naczelnik, wielki i groźny Gleb Arnoldowicz Drachenblut.

3 W latach 1845–1936 tak się nazywało Tbilisi.

Kolejkę za Ałowem zajął Żarkow, niewysoki rumiany chłopak z krótkimi popielatymi włosami i lekko skrzywionym nosem.

Posadę miał mało imponującą, ale zapewniała mu wszelkie luksusy. Dostarczał zagranicznym rezydentom fałszywe dokumenty, walutę, szyfry i tym podobne rzeczy. Z delegacji wracał nieodmiennie z walizką damskich towarów.

– Przywiozłeś? – spytał Ałow samymi wargami.

– Aha – odparł Żarkow. – Po obiedzie zajdziemy do mnie, to ci dam.

W zeszłym tygodniu Ałow zamówił francuskie perfumy dla Duni i zaciągnął na nie kredyt w kasie zapomogowo-pożyczkowej. Niebawem młoda żona miała urodziny, powinna dostać coś cennego.

– Słuchaj, a może chciałbyś też szminkę? – zapytał Żarkow. – Zamawiała ją u mnie jedna panienka, która zachodziła do Drachenbluta. Ale powiadają, że ją przegnał, więc na pewno nie weźmie.

Ałow pociągnął się za brodę.

– E... Dawaj też szminkę.

Po odebraniu wypłaty czekał się zaczęli ustalać, kto komu jest winien i ile. Wszyscy mieli długi, a wielu pozostały jeszcze spłaty sprzed miesiąca.

Między czekistami kręciła się dziewczyna z Sekcji Dalekowschodniej.

– Kto nie zapłacił składek? Kto ma zaległości? Towarzyszu Ałow, jak wam nie wstyd? Macie zobowiązania w MOPR, Dobrolocie, Autodorze⁴ i Towarzystwie Przyjaciół Dzieci! Mam podnieść tę kwestię na zebraniu?

Z bólem serca Ałow odliczył jej pieniądze. W kraju roiło się od „dobrowolnych” stowarzyszeń wspierania wszystkiego na świecie – od niemieckich dzieci po przemysł chemiczny. Każdy komunista był zobowiązany do nich należeć i wносить składki członkowskie, inaczej można było wylecieć z partii.

Ałow wyliczył, że po oficjalnych daninach, opłacie mieszkania i zwrocie długów zostanie mu wszystkiego pięćdziesiąt rubli, których ledwie wystarczy na jedzenie.

Na schodach spotkał Galę, która też przyszła po wypłatę.

– Witaj, sikoreczko! – powiedział ponuro. – Dostałaś pieniądze? To chodź do bufetu pogadać. Ja stawiam.

Nie miało sensu dusić grosza. I tak na koniec miesiąca będzie musiał się zapożyczyć.

4 MOPR – Międzynarodowa Organizacja Pomocy Bojownikom Rewolucji; Dobrolot – Dobrowolne Stowarzyszenie Floty Powietrznej, Autodor – Towarzystwo Wsparcia Rozwoju Motoryzacji i Ulepszania Dróg (przyp. aut.).

Bufet mieścił się w jednej z piwnic, a trzeba było tam iść przez podwórze. Z drugiej strony, za drewnianym ogrodzeniem, znajdowało się wewnętrzne więzienie OGPU z oknami do połowy zasłoniętymi blendami. Przy bramie stał wartownik, a kawałek dalej odrapany „czornyj woron” z otwartymi drzwiami paki. Wyskoczył stamtąd kierowca, młody czarnobrewy dzygit imieniem Ibrahim.

Ałow uściskał mu rękę.

– Jak leci?

– Pracowałem na nocną zmianę – odparł tamten z silnym kaukaskim akcentem. – Spać mi się chce, ale nie mogę iść, bo wóz trzeba wyczyścić.

Ałow zerknął do środka. Podłoga cała była w burych plamach rozmazanych ścierką.

Gala jęknęła.

– To krew?

– Ale co też mówisz, dziewczyno! – Ibrahim się zaśmiał. – To kompot.

– Znow kogoś biliście?

Ałowa drażniło, że Gala udaje niewinną owieczkę, ale nie przeszkadza jej to brać czekistowskich honorariów i talonów do sklepu spółdzielczego.

Pociągnął ją za rękę.

– Dobra, idziemy, bo nam w bufecie wszystko wykupią.

Gala posłusznie poszła za nim. Ałow był pewien, że znow puściła wodze głupiej fantazji: kim był ten człowiek, którego aresztowali w nocy? Za co go zamknęli?

Kiedy weszli na zdeptany podest, Gala jednak nie wytrzymała.

– Nie rozumiem, po co bić aresztowanych! Nie jesteśmy dzikusami!

– Jesteśmy chirurgami, a ci nie mogą pracować bez krwi – warknął Ałow. – Jeśli nikt nie będzie operował społeczeństwa, to zdechnie od chorób wewnętrznych.

Zatrzymał się i surowo spojrzał kobiecie w oczy.

– Dobrze mówię?

– Tak, oczywiście – potwierdziła pospiesznie.

Weszli do gwarnej sali, wyłożonej kafelkami. Wszystkie stoliki były już zajęte, ale Ałowowi znaleziono zarezerwowane miejsce, tylko kazano jeść szybko, zanim przyjdzie ktoś z kierownictwa.

Po chwili zjawiła się kelnerka Uliana.

– Co zamawiacie? Mamy dzisiaj ryż i kielbaski. A wódki i pierożków nie ma. Oddział Specjalny rozebrał wszystko jeszcze z rana.

Pełne wargi Uliany były krwistoczerwone, niby u wampirzycy, a w wycięciu sukienki jaśniały okrągłe, pyszne piersi.

Ałow zerknął na Galę. Przy Ulianie wyglądała jak ćma przy pазiu królowej. Ech,

a przecież całkiem niedawno była niczego sobie... Gdzie to się podziało?

Trzeba by ją podkarmić – pomyślał Ałow i z ciężkim westchnieniem zamówił podwójną porcję kielbasek.

Kiedy Uliana odeszła, Gala przysunęła się bliżej.

– Słuchaj, możesz się dowiedzieć, czy prowadzimy sprawę jednej kobiety? Nazywa się Nina Kupina.

Ałow z miejsca przypomniał sobie damulkę z aparatem fotograficznym, którą spotkał w czasie parady ku czci rewolucji. Siedzący na trybunach Chińczycy rozpoznali ją i powiedzieli, że należała do grupy białych emigrantów z Szanghaju. Ale wówczas pracownicy OGPU byli zbyt zajęci trockistami i Ałow szybko zapomniał o kobiecie.

– A po kiego diabła ci ona potrzebna? – zapytał.

– No wiesz... Mam taką sąsiadkę i ją poprosili...

– Sikoreczko – powiedział łagodnie Ałow – przecież dokładnie wiem, kiedy kłamiesz. Kto cię wypytywał o tę Kupinę?

Gala popatrzyła na niego spode łba.

– On prosił, żebym nikomu nie mówiła. A tobie nie będzie się trudno dowiedzieć...

– Jaki „on”?

Jak zawsze, Gala nie potrafiła mu się sprzeciwić.

– Klim Rogow... Nie myśl sobie nic takiego, to przy-jazny dziennikarz, zawsze podaje obiektywnie informacje. Ale w ogóle...

Ałow zabębnił palcami po stole.

To było bardzo interesujące: i Rogow, i Kupina mieszkali przedtem w Szanghaju i najwyraźniej się znali. Co to mogło oznaczać?

Po obiedzie Ałow zaprowadził Galę do swojego gabinetu i kazał jej czekać, aż wróci z archiwum.

Zamiast do działu dokumentacji udał się jednak do pokoju, w którym pracowały osoby nazywane przez niego „ich wysokościami”. Wszyscy należeli niegdyś do arystokracji, znali po kilka języków i zajmowali się czytaniem zagranicznej prasy, żeby zobaczyć, co kto pisze o ZSRS. Ałow celowo zatrudnił kobiety będące wdowami z dziećmi i należały one do najbardziej odpowiedzialnych pracowników OGPU. Dla nich bezrobocie oznaczało zagładę, gdyż jako jedyne żywicielki tak bardzo obawiały się stracić posadę, iż były gotowe na wszystko, aby zadowolić kierownictwo.

– Sprawa Klima Rogowa jest u was? – spytał Dianę Michajłownę, wysoką czterdziestolatkę ze staromodnym kokiem.

– Właśnie zrobiliśmy wycinek z angielskiej gazety – odpowiedziała. – Proszę spojrzeć.

Ałow zaczął czytać:

Po dziesięciu latach rewolucyjna gwardia zdążyła się zestarzeć, ulec chorobom i zajrzeć w oczy śmierci – nie bohaterskiej, w boju, ale najzwyczajszej, w szpitalnym łóżku. Młodzieńczy romantyzm przeminął i bolszewicy wodzowie zaczęli gorliwie oddawać się wszelkim pokusom, których pozbawieni zostali w młodości. No bo przecież istnieje zagrożenie, że można nie doczekać się złudnego komunizmu i nie zdążyć nacieszyć się życiem!

Zatem zaczęli zmieniać żony na młodsze, zajmować bardziej elegancko urządzone mieszkania, nabywać niemieckie automobile, francuskie wina i tym podobne.

Zarówno zabawnie, jak i smutno jest dokonać prostego porównania – czego pragnęli bolszewicy dawniej i czym zadowolają się dzisiaj. Marzyli bowiem o stworzeniu społeczeństwa powszechnego dobrobytu, jednak środków wystarczyło im tylko dla siebie.

Ałowa poraził nie tyle ton artykułu, co bezczelność autora. Klim Rogow podpisał go własnym nazwiskiem.

– A on co? Całkiem nienormalny?

Diana Michajłowna wruszyła pełnymi ramionami.

– Nie wiem. Być może nie sądził, że to przeczytamy?

Ałow wziął teczkę Klima Rogowa. Zgodnie z ankietą wyemigrował on niedługo po rewolucji, uzyskał obywatelstwo amerykańskie i przez kilka lat mieszkał w Chinach. Parę miesięcy temu wrócił do ojczyzny jako turysta i znalazł pracę w United Press. To było wszystko, co o nim wiadano.

Ałow przełożył jego teczkę do przegródki „Nieprzyjazny”.

Sam o tym nie wiedząc, Klim uderzył czekistę w najczulsze miejsce. Ałow pamiętał siebie samego jako młodego chłopaka o płonących oczach. Jakże on nie cierpiał tych wszystkich bezdusznych, pozbawionych zasad i rozpustnych starych urzędników, pragnących tylko użyć życia! Właśnie oni byli dla niego „burżujami”, których należało bezlitośnie wykorzenić. A teraz sam się stał właśnie taki – oczywiście uwzględniając to, że carscy pieczeniarze żyli sobie całkiem nieźle, a on egzystował nędznie.

Ałow nigdy nie okazywał uczuć przed „ich wysokościami”, ale przy Gali mógł się nie krępować.

– Co to ma być?! – wrzasnął od progu i rzucił jej w twarz wycinek z gazety. – Dlaczego nie upilnowałaś Rogowa? Jak zdołał przesłać to do Londynu?!

Gala zaczęła płakać.

– Nie wiem!

– Nie wie, cholera jedna! – wściekł się Ałow. – Skoro nie umiesz pracować, nie będziesz darmo żreć naszego chleba! Masz wszystko wyjaśnić: z kim się przyjaźni, dokąd chodzi i co go łączy z Kupiną. Rozumiesz?

Gala siąknęła nosem.

– Spróbuję. A więc jednak prowadzimy przeciwko niej sprawę?

– Nie! To wszystko! Wynoś się i bez wyników nawet nie pokazuj mi się na oczy!

Sprawa Kupiny została wznowiona w ciągu dziesięciu minut. Ałow założył nową teczkę i dołączył do niej własne notatki ze spotkania z Niną oraz raporty Chińczyków, z którymi przekroczyła granicę Rosji Sowieckiej. Na razie nie było punktu zaczepienia, lecz Ałow postanowił wzmocnić czujność i dokładniej przyjrzeć się zarówno Rogowowi, jak i jego przyjaciółce.

Księga Umarłych

Gala przyniosła dwie wiadomości: jedną dobrą, drugą złą. Dobra to taka, że OGPU nie prowadzi dochodzenia przeciwko Ninie, a zła, że zaklasyfikowano mnie jako dziennikarza „nieprzyjaznego”.

Nieboraczka aż się rozplakała.

– Po coś to zrobił?! Teraz bez przerwy będą ci rzucać kłody pod nogi!

Próbowała się dowiedzieć, jak zdołałem wysłać materiał za granicę, ale zirytowałem się i wysłałem ją do domu.

Bardzo mi jej żal. Widać, że próbuje uchronić mnie przed nieprzyjemnościami, ale jej natrętna troska straszliwie mnie drażni.

Poszedłem do cenzorów, żeby wyjaśnić, jak też wielki jest mój grzech i co mi w związku z tym grozi.

Ledwie otworzyłem drzwi, a już Wajnsztajn rzucił się na mnie z wyrzutami.

– Czułem do was szczerą sympatię, a wy tak mnie zawiedliście! Jeśli się coś podobnego powtórzy, sami miejcie do siebie pretensje!

Przy tych słowach nieco mi ulżyło. Pierwszy grzech został odpuszczony, więc mogę zostać w Moskwie. Ale czułem się w tej chwili niczym gimnazjalista, którego wezwano na dywanik do dyrektora. Dlaczego niby taki Wajnsztajn ma mi dyktować, co powinienem pisać i publikować w innym kraju? Toż to nie jego sprawa!

Ale spierać się z nim nie miało sensu.

Zdaje się, że na moim marzeniu o wywiadzie ze Stalinem mogę postawić krzyżyk.

Powiniennem się pogodzić z faktami – Nina przepadła bez śladu, a nie ma sensu żyć wspomnieniami.

Ja potrzebuję żony, a Kitty matki. Tylko że nie potrafię wyobrazić sobie w tej roli innej kobiety.

Przy wszystkich swoich zaletach Gala jest roślinożernym, stadnym stworzeniem i choćby nie wiem co, nie potrafię się zachwycić kozą domową, nawet jeśli daje dużo mleka!

Nina była pełnym gracji, mrocznym drapieżnikiem z gorejącymi oczami. Nigdy nikomu nie służyła. Nie miałem z nią łatwo, ale nie potrafiłem patrzeć na tę kobietę bez zachwyty. Kto mi ją może zastąpić?

Wszystko rozumiem: Gala liczy na moje przywiązanie do komfortu. Uważa, że w pewnej chwili się poddam, dlatego że nie będzie mi się chciało szukać kogoś innego. Lecz tym samym pragnie doprowadzić mnie do jakiegoś zbydlęcenia, chciałyby zamknąć mnie w cieplej zagrodzie. Masz tutaj podściółkę, tutaj siano. Żuj sobie, oddychaj i nie martw się o nic.

Ale znienawidzę siebie samego, jeśli związę się z kimkolwiek tylko z wdzięczności!

Notatka uczyniona nieco później:

Diabli i szatani! Zacząłem planować życie bez Niny...

Ten „nieprzyjazny” artykuł drogo mnie kosztował. Cenzorzy z miłym uśmiechem wyrzucają połowę moich materiałów, więc muszę pracować praktycznie dwa razy więcej.

Żeby zdobyć jakiegokolwiek nowe informacje, podpisałem umowę z „biurem wycinków gazetowych” i każdego ranka kurier dostarcza mi grubą teczkę nabitą wiadomościami z „Prawdy”, „Sygnałów”, „Trudu” i jeszcze ponad dwudziestu dzienników. Przeglądając artykuły, które już przeszły przez cenzurę, mogę uznać, że to oficjalna wersja i nie powinno stanowić problemu pchnąć takową za granicę.

Ale materiały są coraz mniej wartościowe. Po rozgromieniu opozycji stało się jasne, że rozważania o tym, w jakim kierunku powinien zmierzać kraj, nie doprowadzą do niczego dobrego. W Moskwie odbywają się bez końca zjazdy i posiedzenia, na których oratorzy mówią bardzo dużo, ale zupełnie bezprzedmiotowo. Żeby uniknąć oskarżeń o wolnomyślicielstwo, powołują się na słowa Lenina i Marksa, wykorzystują sprawdzone slogany o „walce z obyczajowością drobnomieszczańską” i „sojuszu robotniczo-chłopskim”. Kto odgadnie, co właściwie mają na myśli? Nikt. I o to chodzi!

Wielu moich kolegów sądzi, że Kreml posiada jakiś tajny plan rozwoju gospodarki i całego państwa, tylko bolszewicy nic o nim nie mówią. Osobiście w ogóle w to nie wierzę. Wszystkie nadzieje Sowietów były związane z rewolucją światową, przy czym nie w Azji, lecz w Europie i w Ameryce, to znaczy tam, gdzie są wykwalifikowani robotnicy. Uznali, że gdy wszystkie kraje połączą się w jeden, przodownicy pracy za darmo, w ramach solidarności klasowej pomogą pozostałym zrobić porządek z produkcją i statusem materialnym.

A jeśli rewolucja światowa nie nastąpi, to jak rosyjscy bolszewicy poradzą sobie z gospodarką? Przecież w ZSRS praktycznie nie produkuje się towarów wysokiej jakości, przy czym koszty pracy są o wiele wyższe niż na Zachodzie za sprawą biurokratycznych obciążeń i błędów w zarządzaniu. Dyrektorami przedsiębiorstw państwowych zostają nie fachowcy, ale ludzie pewni i sprawdzeni, którzy często nie mają żadnego wykształcenia. A prywatnie wypuszcza się tylko to, co można wyprodukować w małych warsztatach, oczywiście nielegalnie, aby uniknąć ogromnych podatków i nie załatwiać dziesiątków zezwoleń. Popyt będzie zawsze, nawet przy podłej jakości towaru, bo przecież konkurencja nie istnieje.

Odejście od idei rewolucji światowej wywołało huragan nowych propozycji, które powinny przekształcić Związek Sowiecki w prawdziwy raj i wywołać zawiść burżuazji wszystkich krajów:

Trzeba zamienić siedmiodniowy tydzień na pięciodniowy, żeby było więcej wolnego!

Trzeba zorganizować pracę na dwie zmiany zamiast jednej, żeby ani maszyny, ani sprzęt biurowy nie marnowały się ani chwili!

Trzeba wprowadzić gospodarkę planową, aby jednym zrywem postawić na nogi ekonomiczną oraz militarną potęgę państwa!

To wszystko doskonale, tylko nie wiadomo, skąd wziąć pieniądze na takie eksperymenty. Przy czym żywotność wielkich projektów nikogo wielce nie ciekawi – w ZSRS istnieją dwie rzeczywistości – jedna prawdziwa, a druga imaginacyjna, zbudowana na pięknych hasłach i statystykach, które biorą się nie wiadomo skąd. W sklepach śmietany trzeba by ze świecą szukać, ale ze sprawozdań wynika, iż jej produkcja osiągnęła nieprawdopodobny poziom. Tak jest ze wszystkim – wspaniałe osiągnięcia ogłaszane są w prasie, a w tle mamy puste półki.

Żeby utrzymać się na powierzchni, muszę odpowiednio dobierać słowa, wydarzenia i ludzi, i już nawet nie myślę o etycznych aspektach sprawy, bo to jedyny sposób, aby wysłać depezę do redakcji.

W kraju zaczęły się masowe represje dotyczące spekulantów. Rząd oskarża ich o windowanie cen. Przychodzę do cenzorów z notką „Rozstrzelanie osiemnastu ludzi”, a mam nadzieję wytargować tytuł „Bezlitosne czystki”.

– Ale do czego to się nadaje? – wścieka się Wajnsztajn. – Komu potrzebni są ci spekulanci? Nie, tego nie można wysłać!

– Kiedy to oficjalna wiadomość z „Izwestii” – przypominam. – Chyba że uważacie, jakoby „Izwestia” nie szła po partyjnej linii.

Wajnsztajn udaje, że nie słyszał.

– Otworzyliśmy fabrykę gastronomiczną – mówi, podsuwając mi wycinek z gazety. – Jesteście przyjacielem Związku Radzieckiego? No to piszcie o tym, jak troszczymy się o ludzi pracy!

Ja także udaję, że mam problemy ze słuchem, i stawiam teczkę na wycinku.

Przez pewien czas rozmawiamy o chłodzie i repertuarze moskiewskich teatrów. Potem wracamy do spekulantów.

– Rozumiem, że chcielibyście artykuł o fabryce gastronomicznej, ale ona, niestety, nie interesuje moich przełożonych.

– A czego im trzeba? – pyta urażony Wajnsztajn.

Wzdycham ciężko.

– Chcieliby krwistego befsztyku.

Cenzura stawia wreszcie pieczęć na „Radykalnych decyzjach” i biegnę do telegrafu.

„Przerwy w dostawach mąki” zamieniają się w „Przestoje z transportem ogromnych zapasów zboża”, a „Niedobór mięsa” w „Propagowanie idei wegetarianizmu”.

Seibert powiedział, że kiedy dowiedział się o zesłaniu na Sybir zbuntowanych kozaków, informacja, jaką pozwolono mu przekazać, brzmiała: „Państwo przeniosło kilka kułackich rodzin na nowe miejsce”.

Rozdział 11

Wigilia Bożego Narodzenia

Kitty była kilka razy u Tani i z początku Klim cieszył się, że córka znalazła przyjaciółkę. Ale bardzo szybko mała zaczęła wypowiadać frazy w rodzaju „zgniły idealizm” czy „podejście klasowe”. Pewnego wieczoru, zamiast bajki na dobranoc, Kitty poprosiła, aby jej przeczytać *Uroczyste przyrzeczenie pioniera*, a następnego dnia zadzwoniła Tania i zażądała, aby Kitty nadano wreszcie rewolucyjne imię.

– Zrobiłam listę, więc wybierajcie: Barykada, Elektryfikacja, Diamata, Diamenta, to od „materializmu dialektycznego”, albo Ninel, czyli „Lenin” czytany od tyłu.

Klim odpowiedział, że imię jego córki jak najbardziej odpowiada rewolucyjnym wymaganiom.

– To oznacza „Komuniści ignorują tlejące teorie imperializmu”.

Tania była zachwycona.

– Nic o tym nie wiedziałam! Już ja zrobię z Kitty takiego bolszewika, że nie uwierzycie! – obiecała solennie i odłożyła słuchawkę.

Afrykan przywiózł z lasu kosmaty świerk i cały wieczór Gala z Kapitoliną robiły papierowe lampiony, Kitty zaś wycinała z pocztówek obrazki i robiła w nich dziurki, żeby służyły jako ozdoby.

Okna były do połowy zasypane śniegiem, pachniało igliwem i płonącą brzezina, a w pokoju zrobiło się nad podziw przyjemnie.

Klim wziął ze stołu kopertę, którą mu przekazała Gala. To był prezent bożonarodzeniowy od Tani – artykuł z gazety „Pionierska Prawda”:

Choinka to przeżytek przeszłości, który czyni z dzieci leśne drapieżniki. A poza tym świerkowy las stanowi podstawę narodowej gospodarki ZSRS.

Gdyby ktoś już jednak zakupił drzewko, powinien je ozdabiać czerwonymi gwiazdami oraz łańcuchami, a w czasie korowodów intonować pionierskie pieśni.

Dziadek Mróz to element reakcyjny, należy go zamienić na czerwonego komendanta lub czekistę, który zgodzi się opowiadać dzieciom o bohaterskiej walce o wolność ludu.

Do artykułu dołączony był liścik, napisany przez Tanię:

Wujku Klimie, proszę przeczytać to Kitty!

Kitty!

Powiedz tacie, że choinka to głupstwa rodem ze starego reżimu. Niech to sobie obświadomi albo nie zanas za pracujoncych wywalcza. Nieprzyjdę do ciebie na choinkem. Przyjdź ty do mnie, to beziemy siem bawić w szturm pałacu zimowego.

Kiedy Gala poszła do kuchni spojrzeć na ciasto, Klim podążył za nią.

Podniosła pokrywkę nad garnkiem i zmrużyła oczy z zadowolenia.

– Czujesz to? Kiedy byłam mała, nasza kucharka robiła przepyszny pieróg z jabłkami. Tak się nim objadałam, że nie mogłam się potem ruszyć.

Spojrzała na Rogowa jasnym wzrokiem.

– Jak to dobrze, że można u ciebie gotować na prawdziwej kuchni! U nas w domu wszystko się robi na prymusach, bo węgiel taki drogi, że pieniędzy nie nastarczysz.

– Twoja córka wzięła się poważnie za naszą resocjalizację – powiedział Klim i podał Gali list.

Przeczytała go, po czym ze złością cisnęła w ogień.

– Co za matoł! Wstydu nie ma! A tyle razy dawałam jej w skórę...

– Bijesz ją?! – oburzył się Klim.

– Ale nie mocno! Tylko trochę pasem... Profilaktycznie...

Klim bezwiednie zacisnął pięści. Sam dostawał lanie w dzieciństwie i stanowiło to dla niego koszmarne wspomnienie.

– Nigdy nie bij tych, którzy są słabsi od ciebie – wycedził. – Naprawdę nie rozumiesz, że to podłość?

Do Gali już dotarło, że palnęła głupstwo, ale próbowała się bronić.

– Tania nie rozumie innego języka!

– O nie, to ty nie potrafisz inaczej! Dziecko przestaje słuchać, jeśli się na nie krzyczy bez ustanku. Tania nie może żyć ciągle w strachu, że matka uważa ją za złą. Ma tylko jeden sposób obrony: nie zauważać obraźliwych słów.

Klim zbyt długo dusił w sobie złość do Gali i nie myślał już, co i do kogo mówi.

– Jeżeli dorosły bije dziecko, to nic innego, jak radość sługi z uzyskania władzy. Płaszczysz się przed naczalstwem, a potem odgrywasz upokorzenie na bezbronnej ofierze, która nie może się przed tobą schować!

Gala zmartwiała.

– Naprawdę mnie uważasz za kogoś takiego?

– A co, nieprawdę mówię?

Zadrżały jej wargi.

– Łatwo być mądrym, kiedy niczego się sobie nie odmawia i od nikogo nie zależy. A mnie po prostu nerwy nie wytrzymują.

– A dlaczego nie wytrzymują? Masz jakieś inne dziecko w rezerwie? Całymi dniami przebywasz u mnie, a Tania nie wie już, jak zwrócić na siebie twoją uwagę!

Gala patrzyła na niego z przerażeniem.

– Ale ona... Ale ja...

Klim zrozumiał, że przesadził. Jaki miało sens mówić Gali, że jest złą matką? Jakby sama nie wiedziała! Teraz biedna Tania oberwie za swój głupi „prezencik”.

Boże mój, ta kobieta ma jeszcze na coś nadzieję! – pomyślał i wyszedł z kuchni.

Jego wzrok zatrzymał się na przesyłce pocztowej przy drzwiach. Leżały tam książki, których listę sporządził dla Elkina według szwedzkiego katalogu. Obcokrajowcom o wiele łatwiej było zamawiać coś z zagranicy.

Nie miał ochoty wracać do pokoju. Gala zaraz zacznie przeproszać i przysięgać, że więcej palcem nie tknie córki...

Klim wziął paczkę i szedł na parter.

Kiedyś Elkin był właścicielem warsztatu samochodowego, ale po tym, jak Zachód wprowadził embargo handlowe, części zamienne stały się niedostępne, więc nieborak musiał zmienić zawód i zaczął handlować książkami.

Czytelnicy pokochali Moskiewską Sawannę za doskonały wybór przedrewolucyjnych lektur. Kopali w zakurzonych foliach, omawiali „nowości” znalezione w zapomnianych magazynach i prowadzili kontrewolucyjne rozmowy o tym, że jeśli chce się znaleźć coś wartościowego, trzeba brać książkę wydaną przed reformą ortografii.

Sklepek Elkina, podobnie jak mieszkanie Rogowa, był cały upstrzony żyrafami. Ich stada biegały po ścianach, a małe figurki z drewna i z brązu stały na szczycie regałów. Nawet na kasie zasiadało żyrafiątko z parasolem.

Do niedawna sprawy Moskiewskiej Sawanny szły doskonale, lecz latem 1927 roku władze tak podniosły podatki dla handlu prywatnego, że utrzymanie sklepu stało się nieopłacalne i Elkin obawiał się, że przyjdzie mu zamknąć interes.

Klim wszedł do małego pokoiku zawałonego informatorami, rysunkami i najróżniejszymi urządzeniami.

– A to już diabli wiedzą co! – wykrzyknął Elkin, zdejmując nauszники. – Słyszał pan radio Kominternu? Robią ze społeczeństwa wariatów i straszą je szkodnikami oraz sabotażystami, którzy chcą nas wszystkich sprzedać w niewolę.

– Niech pan się tak nie denerwuje – powiedział Klim uspokajająco. – Mądrzy rozumieją, że to tylko propaganda.

– Ale właśnie w tym problem, że te łajdaki napuszczają prostaczków na wykształconych ludzi! To właśnie polityka państwowa: ogłosić robotników „awangardą” oraz „hegemonami” i postawić ich wyżej każdego specjalisty. Niech pan poczyta gazety. To wojna obywatelska w całej okazałości, tylko przedtem walczyli czerwoni z białymi, a teraz ciemniaki z uczonymi.

Elkin wziął ze stołu czasopismo, podał je Klimowi.

– Proszę spojrzeć! „Jak prosty maszynista Czesnokow zdemaskował specjalistę”. Albo to: „Podłości inżyniera Państwowego Przedsiębiorstwa Rybnego”. Opluwają wszystkich, którzy mają wyższe wykształcenie. No bo przecież studiowaliśmy jeszcze za cara, dlatego z definicji jesteśmy klasowo obcym elementem. Ci socjaldarwiniści uznali, że syn notorycznego, dziedzicznego alkoholika i ciemnej wiejskiej baby jest więcej wart niż dziecko uczonych.

Elkin się nastroszył, przez co przypominał wielkie ptaszysko.

– Przyniósł mi pan przesyłkę? Co za radość!

Zaczął kopać w książkach i zaraz zapomniał o wszelkich udrękach.

– No proszę, jakie to sprytne, do czego też doszli! – zachwycił się, czytając gruby

informatorem poświęcony korozji metali. – Zuchy!

– Zna pan szwedzki? – zdziwił się Klim.

– Przecież to proste! Jeśli się zna trzy, cztery europejskie języki, to z pozostałymi nie ma problemu. Tym bardziej, gdy rzecz się dotyczy nauki.

Elkin powiedział Klimowi, że da książki do Głównego Urzędu Wydawniczego. Tam zostaną przetłumaczone i wydrukowane, ale dla potrzeb biurokracji zakwalifikowane jako literatura partyjna.

– Wydawcom z góry wyznaczają, co mają wypuszczać: coś na temat działalności związków zawodowych albo podręczniki naukowego marksizmu. Tylko że ich nikt nie chce, choćby człowiek pękł. A z drugiej strony władze żądają, żeby wydawnictwa przynosiły dochód. Dlatego muszą jakoś sobie radzić i potajemnie drukują literaturę techniczną. Zatem w sprawozdawczości piszemy jedno, a w rzeczy samej wydajemy coś zupełnie innego.

– A Szwedzi wiedzą o tym, że ich książki zostaną przetłumaczone na rosyjski? – zainteresował się Klim.

Elkin popatrzył na niego z uśmiechem.

– Gołąbeczku, pan do tej pory nie rozumie, gdzie się znalazł? Sowdepia to królestwo ułudy. Bolszewicy sami oszukali się własną doktryną, wiedzą o tym, ale z uporem próbują ją dopasować do rzeczywistości, inaczej musieliby zrezygnować z władzy, a to jest absolutnie wykluczone. Głupcom wytłumaczyli, że tak trzeba, a mądrych ogłosili wrogami i sabotażystami. Tutaj wszystko trzyma się na kłamstwie i fałszu, i choćby nie wiem jakim był pan moralnym czyścioszkiem, nie da rady tu żyć, jeśli nie zacznie pan kłamać i łamać prawa. Proszę spojrzeć na mnie. Gdybym nie kombinował, od razu padnę!

Nagle z zewnątrz rozległ się przenikliwy dziecięcy krzyk:

– Tato, ratuj!

Klim rzucił się do korytarza i wyskoczył na ciemne zaśnieżone podwórze. Nikogo tam nie było, ujadała tylko Gryzka.

– Tato! – znów zawołała Kitty.

Przy szopie mignął cień – niewysoki mężczyzna w długim szynelu ciągnął za sobą opierającą się dziewczynkę. Klim dogonił ich i ciosem w szczękę powalił porywacza na śnieg. Chwycił Kitty na rękę.

– Cała jesteś?!

Była tylko w sukieneczce, nawet bez butów.

Podbiegła do nich Kapitolina.

– Ten drań ukradł nasze dziecko! – wrzasnęła i zaczęła kopać leżącego w zaspie porywacza.

Czapka spadła z jego krótko ostrzyżonej głowy, z rozbitej wargi sączyła się krew.

– Czego od razu bijecie?! – jęknął wysokim głosem. – Sami pytaliście o chiński płaszcz ze smokami, a potem po gębie lejecie!

Klim poczuł, jak serce mu staje. Podał małą Kapitolinie.

– Weź ją do domu.

Chwycił wierzgającą postać pod łokcie, wyciągnął ją z zasy i powlókł do

schodków na ganek oświetlony małą lampką.

– Co wiesz o chińskim płaszczu? – spytał wzburzony. – Znasz kobietę, do której należał? Puszczę cię, jeśli powiesz prawdę!

Chłop patrzył na niego jak zaszczuty szczur i siąkał nosem.

– Coś się na mnie narwał? Chłopaki na bazarze powiedzieli, że płacisz czerwonońca za wiadomość o chińskim płaszczu. Ninka go nosiła!

– Gdzie ona jest?!

– A diabli ją wiedzą! Burzuje ją zabrali. Ci, co naprzeciw teatru Korsza mieszkają.

– Jak to zabrali?! Dokąd?!

Ale chłop jakby nie słyszał Klima.

– Sukienka twojej córki piękna. Też miałam taką w dzieciństwie.

Przecież on jest szalony – pomyślał Rogow, patrząc w bezmyślne oczy pojmanego. Na podwórko wyskoczył Elkin z siekierą w ręce.

– Kto to? Rabuś? Zaraz wezwę milicję!

– Zabiję gada! – wrzasnął chłop, wyrwał z kieszeni nóż i spróbował ciąć Klima.

Ten odskoczył w bok, a napastnik wyleciał na ulicę. Nie udało się go dogonić.

Klim wrócił do mieszkania wstrząśnięty i z walącym sercem.

Czyżby natknął się na ślad Niny? Wszyscy obcokrajowcy w Moskwie wiedzieli, że w domu naprzeciwko teatru Korsa mieszka Oscar Reich, Amerykanin, który zarobił milion na rosyjskiej koncesji. Klim spotkał go kilka razy na bankietach.

Z pokoju dziecięcego rozległ się głos Kitty:

– Tatku, gdzie jesteś?

– Tutaj.

Co by było, gdyby nie usłyszał krzyku Kitty? Szalony mężczyzna porwałby ją, a potem zostawił gdzieś na mrozie.

Z dużego pokoju wyszła zapłakana Gala i przerażona patrzyła na krwawe plamy, którymi upstrzona była koszula Klimy.

– Biłeś się? Z kim?

– To nie ma znaczenia. – Machnął ręką. – Jak ktoś obcy mógł się wedrzeć do mieszkania?

Gala chlipnęła żałośnie.

– Kitty wzięła pocztówkę z towarzyszem Stalinem i przebiła mu ołówkiem czoło... No, żeby powiesić go na choince. Skarciłam ją i kazałam siedzieć w korytarzu, żeby przemyślała swoje postępowanie. Została tam sama, bo my z Kapitoliną nakrywałyśmy do stołu... Drzwi przecież nie były zamknięte na klucz, sam tego nie zrobiłeś... No i ten ktoś wszedł...

Klim z trudem się powstrzymywał, żeby znów na nią nie nawrzeszczyć.

Och, Gala, Gala... Gotowa jesteś karać dziecko za pocztówki! Skąd w tobie bierze się to prymitywne pragnienie, aby modlić się do świętych przedmiotów? Albo po prostu odegrałaś się na Kitty za własne krzywdy.

Nic nie powiedziawszy, poszedł do pokoju małej.

Kitty leżała na łóżku.

– Myślałam, że to Dziadek Mróz. Obiecał mi dać piernika – powiedziała, ocierając łzy. – I nagle mnie chwycił i porwał!

Klim usiadł obok dziewczynki.

– Przecież nie miał brody.

– A może to nowoczesny Dziadek Mróz? Może się goli? – Kitty usiadła i z przestachem zajrzała Klimowi w oczy. – Tatku, więcej nigdy nie będę... – Nie dokończyła, tylko rzuciła mu się na szyję.

Długo opowiadali sobie, jak się przestraszyli i jak to wspaniale, że wszystko się dobrze skończyło.

– Obiecuj, że więcej nigdzie nie pójdziesz z nieznanymi ludźmi! – poprosił Klim.

– Przyrzekam – powiedziała Kitty.

Wysłał ją do mycia, a sam wrócił do dużego pokoju i wziął książkę telefoniczną.

– Klim, to nie moja wina... Nie myślałam... – zaczęła Gala, stając w drzwiach.

– Już dobrze – odparł, nie podnosząc oczu. – Możesz iść do domu. Kapitolina położy małą spać.

Poczuł nagle dziwne wzruszenie. A co, jeśli Nina jednak się odnajdzie? Co, jeżeli nastąpi teraz zwykły, do śmieszności banalny cud i w wigilię Bożego Narodzenia dostanie prezent najdroższy z możliwych?

Klim długo stał nad telefonem, nie mogąc się zdecydować. Sam się sobie dziwił: Co mnie powstrzymuje? Przyzwyczajenie do nieszczęścia? Strach przed nieznanym?

Wreszcie zebrał się w sobie, podniósł słuchawkę i podał telefonistce numer Oscara Reicha.

Odebrała pokojówka, mówiąca z silnym murzyńskim akcentem.

– Niestety, mister Reicha nie ma w domu.

– A kiedy wróci?

– Za około cztery miesiące. Dzisiaj wyjeżdża do Europy.

Serce Klima zadrżało.

– O której ma pociąg?

– O dziesiątej. Jeśli ma pan coś pilnego, niech pan spróbuje go złapać na Dworcu Białorusko-Bałtyjskim.

Zegar wskazywał za pięć dziewiątą. Czasu zostało niewiele.

Do Reicha nie należało iść z pustymi rękami i z miejsca zacząć wypytywać o Ninę. Nie powinien działać tak, by skupiać na niej niepotrzebne zainteresowanie.

Zgarnął z podłogi kilka pocztówek, włożył je do koperty i napisał na niej pierwsze, co mu przyszło do głowy: „Poczta Główna w Londynie, do wydania na żądanie pana Smitha”.

Powiem, że muszę pilnie wysłać list, i poproszę, żeby wrzucił go do skrzynki pocztowej za granicą – pomyślał.

W drzwiach pojawiła się Gala.

– Proszę, nie gniewaj się.

Klim przeszedł obok niej do przedpokoju i zaczął się ubierać.

– Niedługo wrócę.

Rozdział 12

Była żona

Śnieg – delikatny, lekki, puszysty – padał na oświetlone latarniami ulice.

Szybciej, szybciej! – modlił się w duchu Klim, ale dorożkarz jakby na złość nie spieszył się i ledwo poruszał lejcami.

Pracownica zjednoczenia rolniczego rozsypała towar na skrzyżowaniu i ruch całkiem stanął.

Szybciej, niech was wszyscy diabli!

Ciągnęły się wozy z drewnem, koniska powoli przestawiały zarośnięte gęstą sierścią kopyta. Dzwoniąc, przejeżdżały tramwaje.

Bulwarowy Pierścień, Twerska...

– Jesteśmy! – zawołał woźnica, zatrzymując sanie naprzeciw pięknego pałacyku dworca.

Klim zapłacił i zaczął biec ku otwartym na oścież drzwiom.

Pociąg do Warszawy, którym obcokrajowcy opuszczali Związek Sowiecki, stał na peronie, załoga konduktorska jeszcze nie zaczęła rozprowadzać pasażerów.

Klim wrócił do holu dworcowego.

Odetchnąć, uspokoić się... Reich jeszcze nie odjechał, trzeba na niego po prostu poczekać.

Obok Rogowa przepływali ludzie – robotnicy spieszyli do podmiejskich pociągów. Chłopcy, kręcący się obok, proponowali bieliźniane guziki, knoty do lamp naftowych i karty do gry.

Wreszcie od strony Wału Gruzinińskiego ukazał się niewielki ciemnozielony szewrolet Oscara, jedyny taki w Moskwie. Szofer wyskoczył z auta, odchylił przednie siedzenie i wypuścił pasażera w drogim palcie barwy gotowanego grochu.

Klim ruszył mu naprzeciw.

– Mister Reich, jak dobrze, że pana widzę! Muszę wysłać list do Londynu. Czy mógłby go pan wrzucić do skrzynki w Warszawie?

Oscar uścisnął mu rękę.

– Miło pana spotkać! Oczywiście, proszę mi dać ten list.

Klim podał mu niezaklejoną kopertę.

– Nic tam nie ma prócz pocztówek, więc celnicy się nie przyczepią. Może pan sam zobaczyć.

– Mnie celnicy i tak nie przeszukują.

Klim uśmiechnął się z przymusem, nie wiedząc, jak przejść do zasadniczej kwestii.

– Szczęściarz z pana... Czy mógłbym zapytać...

Nie dokończył. Szofer właśnie pomagał wysiąść damie w pięknej szubie i pilśniowym kapelusiku.

To była Nina.

– Klim... – wyszeptała, przyciskając dłoń do warg. Na jej palcu lśnił pierścień z wielkim brylantem.

Oscar odwrócił się i podał jej kopertę.

– Kochanie, włóż ją do mojej teczki! A tak przy okazji, mister Rogow, zna pan moją żonę? Pobraliśmy się tydzień temu.

Klim wciąż się jeszcze uśmiechał i wypowiadał wymagane w tej sytuacji słowa: „dziękuję bardzo” i „szczęśliwej drogi”. Zdołał nawet skłonić się oniemiałej Ninie i pogratulować jej zawarcia małżeństwa.

– Kiedy wrócę, proszę koniecznie przyjsć do nas – powiedział Oscar i zwrócił się do szofera: – Walizki załadowane? Pospieszmy się, bo zostało niewiele czasu.

Klim odwrócił się i odszedł.

Głupiec! Po coś tutaj przyjeżdżał? Po coś gonił za tą... tą... – nie znajdował słów.

Podbiegł do niego młody szofer w skórzanej kurtce.

– Taksówka! Dokąd chce pan jechać?

Klim popatrzył na niego oszołomionym spojrzeniem.

– Na Czyste Prudy.

– Już się robi!

Zająwszy miejsce, Klim chciał zamknąć drzwi, ale w tej chwili Nina wczepiła się w nie z drugiej strony.

– Nie odjeżdżaj, na Boga! – zawołała zdyszana.

Nie podnosząc wzroku, Klim siłą zatrzasnął drzwi.

– Jedziemy! – rozkazał.

– A co to była za damulka? – spytał szofer, kiedy wyjeżdżali na Sadowe Kolco.

– Jakaś kurwa – odparł beznamiętnie Klim.

Jego dusza rozpadała się i dymiła, jakby w środku coś mu wybuchło.

Gala zadzwoniła do Tani i powiedziała, że zostanie dłużej w pracy. Postanowiła, że nie wróci do domu, zanim nie pogodzi się z Klimem.

Musiała porozmawiać z nim sam na sam, dlatego po uśpieniu Kitty zaproponowała Kapitolinie, żeby poszła do cerkwi na modlitwy. Nabożna dziewczyna ucieszyła się i już po chwili wybiegła z domu.

Czas mijał, a Klim się nie zjawiał. Gala rozgrzała na płycie żelazko, nakryła kuchenny stół prześcieradłem i zaczęła prasować bieliznę pościelową. Przez głowę przelatywały jej niespokojne myśli. Klimowi musiało się przydarzyć coś ważnego, inaczej nie zostawiłby córki zaraz po próbie porwania.

Wpół do dziesiątej rozległ się dzwonek do drzwi, jednak to nie był Klim, lecz młody kurier, ubrany w elegancki kozuch i szarą karakułową czapkę z czerwoną gwiazdą.

– Proszę podpisać! – Podał Gali grubą kopertę z godłem ZSRS.

Z szacunkiem popatrzyła na wielką pieczęć.

– Co to jest?

– Depesza z Kremla – odparł kurier, po czym odszedł.

Gala narzuciła na ramiona płaszcz, wzięła z torebki papierosy i wyszła za dom zapalić. Między ślepą ścianą i ogrodzeniem było miejsce, w które nikt nie zaglądał.

A co, jeśli Klim się ze mną nie ożeni? – myślała z przerażeniem Gala.

Było ciemno i cicho. Wiatr rozegnał śnieżne chmury i nad głową zawisły jasne zimowe gwiazdy.

Gala wróciła do mieszkania, wzięła z kuchni stos wyprasowanej pościeli i poszła do dużego pokoju.

– O mój Boże! – przestraszyła się, kiedy włączyła światło.

Na parapecie z rękami skrzyżowanymi na piersi siedział Klim.

– Nie słyszałam, jak wróciłeś!

Nie patrzył na nią. Kulił ramiona, zupełnie jakby każdy ruch sprawiał mu ból.

– Wyjeżdżam z Kitty za granicę – powiedział obcym głosem.

Pościel wypadła Gali z rąk.

– Deportują cię?!

– Nie.

– Owen cię zwolnił?

– Ależ nie! – Klim z rozdrażnieniem machnął ręką.

Nie miał ochoty niczego tłumaczyć.

– Nie możesz wyjechać sobie tak po prostu – powiedziała Gala zduszonym głosem.

– Masz umowę! Zapłaciłeś z góry za mieszkanie!

– Nie mam interesu dłużej tu siedzieć.

– A co ze mną? – Podeszła do Klimy, zajrzała mu w oczy. – Czy nie rozumiesz, że zrujnujesz wszystko? Wszystko, co mam, legnie w gruzach!

Klim zacisnął wargi.

– Gala, chociaż ty nie histeryzuj!

– Nie dotarło do ciebie jeszcze, że cię kocham? – spytała cicho.

Patrzył na nią długo, a potem nagle przygarnął mocno. Gala całowała go z drżeniem, omdlewając z wielkiego, nieoczekiwanego szczęścia.

Kiedy Klim pociągnął ją na kanapę, po drodze wyłączyła światło. Wstydziła się szramy i swojej starej, znoszonej bielizny.

Gala długo leżała obok Klimy, wsłuchując się w jego oddech. Nie mogła jeszcze uwierzyć w to, co się stało.

Co teraz będzie? Czy Klim naprawdę wyjedzie? Nie, to niemożliwe... Nie robiłby tego wszystkiego, gdyby naprawdę chciał opuścić Rosję. To by było podłe, a on przecież podły nie był...

Chciało jej się zapalić, ale nie śmiała nawet zająknąć się o papierosach.

– Powinnaś wracać do domu – powiedział Klim. – Tania na pewno szaleje z niepokoju.

Gala przymknęła oczy, próbując opanować narastający lęk. On mnie przegania? A może naprawdę martwi się o Tanię?

– Ja już... zaraz...

Pocałowała Klimę w policzek i wstała. Zdawało jej się, że trzeba by powiedzieć coś o uczuciach, wyjaśnić sobie te kwestie, ale w głowie kotłowało jej się tylko jedno pragnienie: Nie porzucaj mnie!

Klim sięgnął po spodnie, leżące na podłodze.

– Zaraz poproszę Afrykana, żeby zawołał dorożkę. Nie możesz chodzić pieszo po nocy.

Włączył lampkę na stole, a Gala przeraziła się jeszcze bardziej. W jego oczach nie widziała ani czułości, ani zainteresowania, nic poza ciężkim, nieprzeniknionym smutkiem.

Kiedy się ubierała, Klim przeglądał pocztę. Jego ruchy były dziwnie ostre, rzucał koperty, jak popadnie, kilka upadło Gali pod nogi.

Otworzył pakiet z godłem.

– Co to jest? – spytała zaciekawiona.

Podał jej grubą kartkę z wypisanym na maszynie tekstem:

Niestety, z powodu licznych zajęć nie mogę udzielić Wam wywiadu. Mam nadzieję, że w przyszłości sytuacja ulegnie zmianie.

J. Stalin

Gala ze zdumieniem patrzyła na podpis złożony niebieskim atramentem.

– Odpowiedział ci osobiście! Nie bacząc na to, że uznają cię za „nieprzyjaznego”!

Klim odchrząknął.

– Taki dostałem prezencik na Boże Narodzenie.

– Napisał, że w przyszłości sytuacja może się zmienić! Nie możesz wyjechać z Moskwy, bo zmarnujesz szansę!

– Gala, nie rozumiesz...

– I nigdy nie zrozumieję! – przerwała mu. – Masz tutaj wszystko: dom, pracę i przyjaciół, a za granicą będziesz musiał zaczynać od nowa. Co zamierzasz zrobić z mieszkaniem? Przecież wzięłeś kredyt, a Elkin nic ci nie zwróci, wszystko już włożył w interes. Panie mój! Nie wolno tak łatwo rujnować sobie życia!

Podeszła do Klimy, objęła go.

– Cokolwiek by się zdarzyło, będę przy tobie! I zawsze będę ci służyła pomocą!

– Dzięki... – Westchnął głęboko. – Co do wyjazdu, to oczywiście wszystko głupstwa.

Gala nagle zrozumiała, że Klim patrzy na jej bliznę. W zdenerwowaniu zapomniała zapiąć sukienkę.

Klim też miał na piersi ślad po głębokiej ranie, która zdaje się, nie została zszyta, dlatego źle się pozrastała.

– Może zapytam, skąd ją masz – powiedziała zmieszana Gala. – Bo za każdym razem będę się gapić z ciekawością.

– Bandycka kula – odparł Klim.

– Dostałeś prawie w samo serce?

– Właśnie.

Gala odetchnęła z ulgą. Napomknęła, że jeszcze nieraz będzie miała okazję zobaczyć bliznę, a on nie zaprotestował.

Jak by się dowiedzieć, co się stało? Nie wypadało zostawiać go samego z czarnymi myślami, ale kobieta doskonale rozumiała, że chciałby na pewno pobyć sam.

– Pójdę już – powiedziała łagodnie. – Afrykan mnie odprowadzi.

Na pożegnanie Klim wziął Galę za ramiona, nieco odsunął i popatrzył na nią, jakby ją zobaczył po raz pierwszy.

– Ładna jednakowoż jesteś, Galino Siergiejewna.

Pocałowała go w usta.

– Ty też niczego sobie.

A zatem Klim stał się jej kochankiem! Doprawdy, na razie nie mogła jeszcze w to uwierzyć.

Żeby tylko czegoś nie zepsuć! Nie powiedzieć znowu przez nieuwagę czegoś, co mu się nie spodoba!

Trzeba kupić nowy stanik, a także resztę bielizny... Niech to diabli, będzie musiała znów wziąć kredyt w sklepie OGPU!

Na myśl o urzędzie bezpieczeństwa Gala zadrżała. Co będzie, jeśli Ałow się dowie, że zamieniła go na cudzoziemca? Był wstrętnym samolubem i uważał, że mężczyzna może zdradzać, ile chce, bo taka jego natura, ale kobieta powinna bez reszty należeć do swojego pana.

Co zrobić ze spotkaniami w jego gabinecie? Przecież to nie do pomyślenia oddawać się Ałowowi po tym, jak nawiązała romans z Klimem! Lecz jeśli zacznie odmawiać, czekista z miejsca zacznie coś podejrzewać.

Nakłamię mu, że zachorowałam na kobiece sprawy – postanowiła. – Jeżeli będzie trzeba, zdobędę zaświadczenie od lekarza.

Przejeżdżając obok cerkwi pod wezwaniem Archanioła Gabriela, podniosła wzrok

na mętnie połyskujący w ciemności krzyż i przysięgła uroczyście, że już nie będzie palić i nigdy więcej nie uderzy córki. Zaczynała nowe życie, pełne uniesień, obaw i niebywałych nadziei.

Klim zamknął za Galą drzwi i wrócił do pokoju. Usiadł przy stole, otworzył *Księgę Umarłych*.

W dzienniku jego własne zapisy zupełnie nie odpowiadały wspomnieniowym datom wypisanym na stronicach i ostatnie, grudniowe jeszcze uwagi przypadły na wiosnę.

16 kwietnia: Powieszono rewolucjonistów Żeliabowa, Pierowską, Kibalczicza, Michajłowa, Rysakowa (1881 r.).

17 kwietnia: Rozstrzelano robotników w leńskiej kopalni złota (1912 r.).

Klim zamoczył pióro w kałamarzu i napisał poniżej: „6 stycznia: Umarła Nina (1928 r.)”.

Długo siedział, patrząc na wilgotne, fioletowe litery. Czuł ciepło bijące od żarówki blisko stojącej lampki... Na palcach, wokół paznokci, wciąż jeszcze miał ślady krwi człowieka, który próbował porwać Kitty. W tym całym zamieszaniu nie zdążył nawet porządnie umyć rąk.

Zaczął z odrazą wycierać krew bibułą, potem ją rzucił... W końcu co za różnica?

Kiedy całował Galę, czuł od niej nieprzyjemny zapach tytoniu i jakiegoś lekarstwa. To była rozpaczliwa próba spalenia mostów i udowodnienia samemu sobie, że nie będzie powrotu do przeszłości.

Lecz Gala na pewno go nie zdradzi... A może tylko tak mu się zdaje? Przecież ustawicznie pisze na niego raporty do OGPU, a zdradzanie jest jej zawodowym obowiązkiem.

Skrzypnęły drzwi wejściowe.

– Panie, dlaczego jeszcze nie śpisz? – usłyszał głos Kapitolicy. – Pomagałam sprzątać cerkiew, dlatego się spóźniłam... A ty pracujesz?

Zajrzała do pokoju i z wesołym niedowierzaniem popatrzyła na Klimę.

– Oj, nieładnie! W taki wieczór pracować? Ale czekaj, jeszcze ci nie składałam życzeń! Wszystkiego najlepszego! Wyszyłam dla ciebie nową chusteczkę.

Pobiegła do siebie i wróciła z chustką do nosa oraz parą rękawiczek z jednym palcem.

– To dla ciebie, a to dla Kitty. Gdyby mi wełna została, Tani też bym zrobiła. Gala mówi, że jej córka nie ma rękawic, dlatego ciągle siąka nosem.

Klim dał dziewczynie dwa ruble i jeszcze jednego na przędzę.

– Ty nie pan dla nas jesteś, ale złoto żywe! – zachwyciła się Kapitolica. – Uszczęśliwiłeś wszystkie dziewczuchy!

Zdjęła z głowy chustę i schowała pieniądze.

– Pójdę do wróża i poproszę, żeby mi narzeczonego zamówił – powiedziała, czerwieniąc się. – Dobrze by było, gdyby dostał mi się delegat z Narpitu5 albo członek komitetu zakładowego. A jeszcze podoba mi się jeden czerwonoarmista, co wartuje

w mauzoleum Lenina. Już dwa razy stałam w kolejce i wszystkie na niego się gapiły. Trudno mu, kochaneczkowi. Ani odetchnąć nie może, ani mrugnąć i musi tylko pilnować, żeby naród nie stratował wodza!

– A ty co, w czarowników wierzysz? – zapytał Klim.

Kapitolina wzięła się pod boki.

– Nawet nie wiesz, jacy oni silni bywają! Kogo chcesz, ci podsuną... – Rozejrzała się, szukając dobrego przykładu, i zobaczyła na dywanie książkę z baśniami. Na jej okładce widniała Śpiąca Królewna w kryształowej trumnie. – A choćby i ją!

Klim uśmiechnął się smutno. Dobra alegoria! Jego Nina, ta poprzednia, rzeczywiście spróbowała zatrutego jabłka i zasnęła na wieki. Oddychała, serce jej biło, ale co z tego? Z Niny doprawdy nie pozostało nic prócz powłoki.

5 Narpit – Państwowa Organizacja do spraw Wyżywienia Społecznego.

Klim nie mógł zasnąć. Wspominał Ninę, kiedy tak stała obok nowego męża – jasnooka, piękna i niedostępna... Jak bębniła w szybę taksówki, nie wiadomo po co chcąc się tłumaczyć przed byłym mężem.

A jakie mogła mieć usprawiedliwienie? Postąpiła tak, jak należało oczekiwać – znalazła jedyne w całej Moskwie milionera i wyszła za niego. A co do rozwodu, to wedle sowieckich uregulowań prawnych poprzedniego męża można się było pozbyć pocztą – wnieść opłatę skarbową, wysłać list polecony i uważać się za wolną.

Na Boże Narodzenie Klim dostał nie tylko list od Stalina, ale również jasną odpowiedź na wszystkie pytania. Obawiał się, że jego Nina zginęła w Moskwie, i tak właśnie się stało.

Nie miało sensu wracać do Szanghaju. Jaka przyszłość czekałaby tam Kitty? Miejscowi Europejczycy i Amerykanie uważali Azjatów za ludzi gorszego rodzaju, a w dzielnicy chińskiej kobiety traktowano gorzej niż sprzęty domowe.

„Nieudane” pochodzenie można było wyrównać jedynie świetnym wykształceniem. Klim powinien za wszelką cenę wcisnąć małą do dobrej europejskiej szkoły, a w tym celu potrzebował pieniędzy i mieszkania. Dobrze by było dotrzeć do Londynu, ale na razie Klim nie mógł się ubiegać o miejsce w europejskich biurach. Jego osiągnięcia w United Press były jeszcze zbyt małe.

Cóż, cel już miał: przeprowadzić wywiad ze Stalinem, a potem przenieść się do Europy.

A jeśli chodziło o Ninę – przestała dla Klimy w ogóle istnieć.

Rozdział 13

Czerwona milionerka

Nina nieraz zadawała sobie pytanie, jak to się stało, że poszła na smyczy Oscara i zachowywała się tak, jakby żaden gwałt nie miał miejsca.

Tej nocy, kiedy trafiła do domu Reicha, musiała dokonać wyboru, za kogo powinna się uważać – za ofiarę, którą będą traktować jak szmatę, czy elegancką kurtyzanę, która sama skusiła gospodarza.

Wybrała drugi wariant. Ofiara powinna pobiec z płaczem na milicję i przejść obdukcję, a kurtyzana mogła z uśmiechem wysłuchać usprawiedliwień Oscara i z godnością przyjąć jego zaproszenie, aby gościła w tym domu, ile będzie tylko chciała.

I jedno zaczęło się zazębiać o drugie. Oscar chodził wokół Niny z bukietami, prezentami i komplementami.

– Zakończę wszystkie swoje sprawy w Moskwie i wyjedziemy do Nowego Jorku – obiecywał. – To wielkie miasto i osiągnie tam pani na pewno wielki sukces.

Oczywiście dzielili łożę. Przyjmując zasady gry, Nina nie mogła już się z tego wykręcić. Pocieszała się tym, że to wszystko nie dzieje się z nią, lecz z baronessą Brehmer, a w tej sytuacji nie miała przecież innego dobrego wyboru. Oscar Reich był jedynym człowiekiem, który mógł jej pomóc. Miał pieniądze, kontakty, a co najważniejsze, wysoką pozycję w bolszewickim społeczeństwie.

Lecz wszystko okazało się nie tak, jak oczekiwała Nina.

Pewnego dnia Oscar wrócił do domu pijany i ze łzami w oczach zaczął opowiadać historię swojej rodziny.

Jego ojczulek był biednym emigrantem z miasteczka pod Lwowem. Trzydzieści lat wcześniej wyprawił się do Ameryki przez Hamburg, a miał tak mało pieniędzy, że kilka dni musiał nocować przy podjeździe do Reichs-banku. Tam napatrzył się na pięknych i bogatych ludzi, co sprawiło, że postanowił przyjąć nazwisko Reich – na szczęście.

W Nowym Jorku ożenił się i otworzył aptekę, ale nie zdołał wyjść na ludzi, więc ze złości wszedł w korszachy z miejscowymi socjalistami. Na swoich tajnych zebraniach słuchali mówców przybyłych z Europy, zbierali składki na „dobrą sprawę” i dzielili się marzeniami o rychłej rewolucji w Stanach Zjednoczonych.

Na jednym z takich zebrań Reich poznał się z Lwem Trockim, z którym szybko znaleźli wspólny język oparty na bazie żydowskiego szczęścia i socjalnej niesprawiedliwości.

W 1919 roku fortuna wreszcie uśmiechnęła się do Reicha. W Ameryce wprowadzono prohibicję i ze sprzedaży zniknęły wszystkie produkty na spirytusie, z wyjątkiem lekarstw. Imbirowa nalewka nie podpadała pod zakazy, więc Reich zapożyczył się i z dorastającym synem wykupili cały zapas imbiru w porcie. Dzięki temu stali się jedynymi w Bronksie legalnymi handlarzami alkoholem. Dosłownie w ciągu roku stali się milionerami, a niebawem Lew Trocki nawiązał kontakt listowny z Oscarem i zaprosił go do robienia pieniędzy w Rosji Sowieckiej.

– Nino, jestem skończonym głupcem! – płakał Reich, wtulony w jej kolana.

– Bolszewicy już mnie nie słuchają. Dopóki Trocki był u władzy, mogłem robić, co mi się podobało... A teraz obwiniają mnie o to, że bezprawnie wywożę z kraju walutę... Ale przecież zawarliśmy co do tego porozumienie!

Nina poczuła, jak ziemia usuwa się spod jej stóp.

– A co z moimi dokumentami na wyjazd? Mówił pan, że łatwo je zdobędzie!

– Istnieje tylko jeden sposób, żebyśmy mógł panią wywieźć z ZSRS – oznajmił Oscar, patrząc na Ninę żalosnym spojrzeniem. – Musi pani wyjść za mnie za mąż i wystawić na mnie pełne upoważnienie. Wtedy będę mógł w pani imieniu zwrócić się do ambasady amerykańskiej gdziekolwiek w Europie.

Nina się speszyła.

– Kiedy nie mogę. Nie mam żadnych dokumentów!

– Sowiecki paszport wyrobimy, już się co do tego dogadałem. Najważniejsze to dostać amerykańską wizę i zezwolenie na wyjazd z OGPU.

Nina poprosiła o czas do namysłu.

W teorii za mąż wychodziła nie ona, lecz baronessa Brehmer. Szydle nie stanie się od tego krzywdą, dla niej to nieważne małżeństwo, a Klim się o niczym nie dowie. No i też co za sens przejmować się fikcyjnym związkiem, skoro Nina już męża zdradziła i nie mogła tego ani naprawić, ani odmienić?

Wrócę do domu i zacznę życie od nowa – postanowiła, a rankiem zgodziła się na małżeństwo i podpisała pełnomocnictwo.

Klim nie odpowiedział na żaden z telegramów, bo był tutaj, w Moskwie.

Można sobie wyobrazić, co pomyślał o Ninie, kiedy się dowiedział, że wyszła za mąż. Mógł jej wybaczyć wszystko, tylko nie to.

Kiedy odjechał, pobiegła z powrotem na peron i próbowała wypytać Oscara, gdzie poznał Klimę, ale ten powiedział, że nie pamięta.

– Dbaj o siebie! – Pocałował Ninę na pożegnanie. – Codziennie będę pisał.

Wróciła do pustej willi i bezwładnie osunęła się na ławkę przy drzwiach wejściowych. Co robić? Gdzie szukać Klimy? Miała wrażenie, że głowę wypełnia jej mokry piasek – nic nie rozumiała i nie mogła o niczym myśleć.

Pstryknął włącznik i na schodach prowadzących na piętro pojawiła się Teresa.

– O, już pani wróciła! – ucieszyła się. – Zaraz potem, jak wyszła pani z domu, do mister Reicha dzwonił Klim Rogow.

Nina skoczyła na równe nogi.

– Zostawił numer?

Teresa podeszła do aparatu wiszącego na ścianie. Obok na półce leżał gruby notatnik.

– Proszę! Mister Rogow dzwonił do nas już kiedyś i zostawił nawet adres.

Nina patrzyła na zapiski. Klim mieszkał na Czystych Prudach, kwadrans jazdy samochodem od niej.

Następnego popołudnia dorożkarz podwiózł Ninę pod dom, w którym mieściła się księgarnia Moskiewska Sawanna. Weszła na niewielkie, sympatyczne podwórko, wspięła się po schodkach i zamarła, patrząc na własny cień kładący się na drzwiach.

Mały okrągły kapelusik, puszysta szuba i w ogóle wszystko, co na sobie miała, zostało kupione za pieniądze Oscara, przez co zdawało się dowodem przestępstwa. Jakże w tym wszystkim pokazać się Klimowi na oczy?

Drzwi otworzyły się i pojawił się w nich rudy mężczyzna w rozpiętym płaszczu.

– Missis Reich? – zakrzyknął radośnie. – Pani do mnie czy do Klima?

Nachmurzyła się.

– My się znamy?

– Ależ oczywiście! Nazywam się Elkin, przychodziłem do pani męża porozmawiać na temat sprzedaży samochodu.

Nina zupełnie go nie pamiętała. Do Reicha przychodzili najróżniejsi ludzie.

– Dawniej miałem warsztat samochodowy, ale rzuciłem to i teraz rozprzedaję ruchomości po nim – wyjaśnił Elkin. – Pani mąż obiecał zastanowić się nad kupnem mojego wozu.

Sięgnął do kieszeni, wyjął wizytówkę z oberwanym rogiem.

– Proszę bardzo! Niech pani mu łaskawie o mnie przypomni!

Nina kiwnęła głową.

– Właśnie wyjechał, ale kiedy wróci, powiem mu niezawodnie.

Minęła Elkina i weszła na pierwsze piętro.

Mały podest, okrągłe okno, eleganckie drzwi z brązową klamką w kształcie zabawnej żyrafy...

Nina przeżegnała się, zupełnie jakby miała się rzucić w lodowatą toń, i nacisnęła guzik dzwonka.

W głębi mieszkania rozległ się gong, a po kilku strasznych chwilach w progu pojawił się Klim.

Miał na sobie białą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem, ciemnoszarą wełnianą kamizelkę i tego samego koloru spodnie. Ostrzyżony był nieco krócej niż dawniej.

– Witaj... – powiedziała Nina słabym głosem. – Mogę wejść?

Nie cofnął się.

– Czego chcesz?

– Porozmawiać.

Trzasnęły drzwi na dole i rozległ się głos Elkina:

– Bardzo proszę, niech pani nie zapomni o moim aucie!

Klim spojrzał na Ninę.

– Wejdz – rzucił sucho. Najwyraźniej nie chciał, żeby jego sąsiad stał się świadkiem kłótni rodzinnej.

Nina zdjęła szubę i rozsznurowała buty. Klim nie zaproponował jej pomocy, nie

pokazał, gdzie ma odwiesić okrycie.

– Gdzie Kitty? – spytała.

– Nie ma jej tutaj.

Nina poszła za Klimem do pokoju z oknami o kolorowych szybach. Klim wskazał jej kanapę, a sam usiadł na parapecie, najdalej, jak mógł. Patrzył na nią takim wzrokiem, jakby zastanawiał się, skąd wzięła w sobie tyle bezczelności, żeby tu przychodzić.

Nina zebrała się w sobie.

– Wysłałam do ciebie sporo telegramów i czekałam na odpowiedź... A okazuje się, że byłeś tuż obok.

– Jeśli mnie pamięć nie myli, rozstaliśmy się rok temu – odparł Klim. – Prawdę mówiąc, nie mam najmniejszej ochoty wchodzić kolejny raz do tej samej rzeki. Ty masz swoje życie, ja swoje.

Nina zmartwiała.

– Przecież próbowałeś wyrwać mnie z chińskiego więzienia! Przecież przyjechałeś za mną do Moskwy...

– Powinnaś już iść.

– Nie zechcesz mnie nawet wysłuchać?! Nie odejdę, dopóki nie porozmawiamy!

– W takim razie ja wyjdę. – Klim wstał. – Kiedy znudzi ci się rozmowa ze ścianami, zamknij za sobą drzwi.

Klim tak szybko wyszedł, że Nina nie zdążyła zupełnie nic zrobić. Stała pośrodku pokoju, dławiona własnym nieszczęściem. W mieszkaniu było cicho, tylko przez otwarty lufcik dolatywał głos handlarza starzyzną:

– Stare szmaty skupuję!

To wszystko, co zostało Ninie z miłości.

Dzień gasł. Okna świeciły niczym cerkiewne witraże, a głowy żyraf z brązu na dziwnym żyrandolu przypominały łby złośliwych diabłów. Klim mieszkał ni to w świątyni, ni w piekle.

Nina oglądała każdy drobiazg, chodząc po kwaterze. Na stole stała maszyna do pisania z niedokończonym artykułem po angielsku. Walały się tutaj wycinki z gazet, informatory i mnóstwo telegraficznych blankietów oraz kwitów płatniczych. Wyglądało na to, że Klim znalazł w Moskwie pracę.

Miał wielu przyjaciół. W kącie pysznił się globus, upstrzony autografami i życzeniami. Na brak pieniędzy też najwyraźniej nie narzekał, skoro mógł sobie pozwolić na nowe obicia mebli i drogą zastawę.

Od czasu do czasu Nina natykała się na rzeczy przywiezione z Szanghaju, a wtedy serce jej krwawiło. Wieczne pióro, które kupiła mu w magazynie Wind On, spinki w kształcie skarabeusza, koszula z wyszytymi na mankietach inicjałami... Kiedyś to Nina mogła rozporządzać tymi przedmiotami, a teraz nie miała prawa nawet ich tknąć.

Zajrzała do pokoju dziecięcego i się rozpląkała. Kitty wyrosła, miała nowe sukienki i buciki. Na ścianach wisiały jej rysunki, na dywanie rozrzucone były zabawkowe koniki i żyrafy.

Zapewne dziewczynka nie pamiętała już swojej przybranej matki. Małe dzieci szybko zapominają.

W przedpokoju Nina odkryła dwie pary damskich pantofli. Były różnych rozmiarów, nie mogły więc należeć do jednej kobiety. Jedne były wołokowe, własnej roboty, a drugie skórzane i całkiem eleganckie.

Nina rzuciła się do łazienki, ale tam, na szczęście, znalazła tylko dwie szczoteczki do zębów, małą i dużą. W szafach nie było damskiej odzieży, jednak Nina znalazła na podłodze pilnik do paznokci i kilka szpilek. Wątp-liwe, aby z tych rzeczy korzystała służba – sądząc po pomieszczeniu za kuchnią, tam mieszkała wieśniaczka, która przyjechała do Moskwy na zarobek.

Nie mogło być wątpliwości, że do Klime przychodziła jakaś kobieta i miała własne domowe pantofle.

Nina usiadła na krześle i ukryła twarz w dłoniach. A co, jeśli Klim znalazł sobie inną?

Ale to było niemożliwe, bo wówczas by się tak nie złościł i nie emanował tak wielką wrogością.

Z ulicy znów doleciał głos handlarza, który kogoś kłął.

– Ech, ty durna babo! Całkiem rozum straciłaś! Jak niby chcesz skleić rozbity kubek?!

Klim uspokoi się, wróci i porozmawiamy jak dorośli ludzie – powtarzała sobie Nina.

Zapadł zmrok, a jego wciąż nie było. Nina to siedziała bez ruchu w fotelu, to zaczynała miotać się po pokoju. Dlaczego on nie wraca? Gdzie jest Kitty? Gdzie służba? Ktokolwiek!

Wyglądało na to, że Klim postanowił nie nocować w domu.

Nina odszukała poduszkę i koc, wyłączyła lampę i położyła się na kanapie. Całkiem niedawno spał na niej Klim. A może nie tylko spał...

Wreszcie usłyszała, jak w drzwiach wejściowych cicho przekręca się klucz. Napięła wszystkie mięśnie, wyteżyła słuch. Koc zsunął się na podłogę, ale nie odważyła się go podnieść.

Skrzypnięcie drzwi, ostrożne kroki...

– Może jeszcze się napijemy? – rozległ się głos Elkina. – Zostało panu koniaku?

– Niechże pan idzie spać, na Boga! – odparł Klim. – Jest pan pijany.

– Pan też, gołąbeczku, wcale nie mniej!

A więc to tak! Klim siedział u sąsiada na dole i czekał, aż Nina uśnie.

Z przedpokoju nie dobiegał najmniejszy dźwięk. Wreszcie Klim wszedł do pokoju, pochylił się i wyjął z gniazdka wtyczkę przewodu telefonicznego. Potem długo patrzył na byłą żonę.

Minęła minuta, druga, trzecia... Nina bała się oddychać.

Klim podniósł z podłogi koc i ostrożnie ją okrył. W kobiecie zamarło serce pod wpływem nagłych uczuć. Dotknęła jego ręki, ale Klim chwycił ją za nadgarstek tak, że krzyknęła.

– Co robisz?! Puść!

Jego palce zaciskały się, zupełnie jakby chciał złamać jej kość.

– Boli!

Klim odepchnął jej rękę i wyszedł z pokoju. Nina słyszała, jak zamykają się za nim drzwi pokoju dziecięcego.

A to co ma być! Całkiem oszalał?!

Nina wybiegła na ciemny korytarz i po omacku znalazła drzwi do drugiego pokoju.

– Otwórz, proszę!

Klim się nie odezwał.

– Musimy porozmawiać! – Nina z całych sił zabębniła w deski. – Klim, otwórz! Nie wyjdę, dopóki mnie nie wysłuchasz!

– Przestań się awanturować! Jest już trzecia w nocy! – warknął.

– Nie możesz wiecznie się przede mną ukrywać!

Drzwi otworzyły się wreszcie, pstryknął włącznik i jasne światło na moment oślepiło Ninę.

Klim patrzył na nią z zimną wściekłością.

– Nie rozumiesz, że muszę rano wstać do pracy?! Nie zapraszałem cię, a ty przyłazałaś i robisz histerie!

– Ja nie...

– Idź spać, inaczej cię wyrzucę. Spokojnej nocy.

Drzwi znów się zamknęły.

Nina płakała tak bardzo, że zaczęła ją boleć głowa.

On jest po prostu pijany, dlatego nie chce mnie słuchać... Ale mu wytłumaczę...

Jutro mu wszystko powiem...

Nad ranem Nina wreszcie zadrzemiała i przyśniło jej się, że próbuje przebyć szeroką rzekę. Łódka okazała się dziurawa i z każdym machnięciem wiosła osiadała wciąż niżej. Wokoło panowała cisza, mgła i pustka. Nina zrozumiała, że nie dotrze do brzegu.

Zbudził ją ostry hałas, zupełnie jakby w kuchni ktoś coś upuścił. Klim chyba już wstał.

Nina usiadła na kanapie i wzdrygnęła się, widząc ruch różowego cienia na ścianie. Dopiero po chwili dotarło do niej, że to jej własne odbicie w wielkim lustrze.

Ależ wyglądała... Włosy w nieładzie, oczy spuchnięte od płaczu. Z pewnością mało nadawała się do rozmów z mężczyzną o miłości.

Klim parzył kawę.

– Dzień dobry – przywitała się Nina i przysiadła na kulawym, niezgrabnym taborecie.

Klim spojrzał na nią z ukosa i w milczeniu kiwnął głową. Też nie wyglądał za dobrze – rozczochrany, nieogolony, w pomiętych spodniach i koszuli. Być może wcale się nie kładł spać.

– Pomóc ci ze śniadaniem? – zapytała Nina.

– Nie.

Wyjął z kredensu łyżeczkę i zaczął zdejmować pianę z kawy.

Jego milczenie było nieznośne.

– Posłuchaj... – zaczęła Nina. – Mimo wszystko zasługuję na jakiś szacunek i...

Spojrzał na nią tak, że urwała w pół zdania.

– Kobieta nie może ot, tak sobie rozwiązywać problemów, wskakując do cudzych łóżek, a potem żądać szacunku.

– Tak chcesz się na mnie zemścić?

– Sama się na sobie zemściłaś, jak trzeba! – rzucił kpiącym tonem. – Za parę lat Reich zamieni cię na pierwszą lepszą siedemnastolatkę i gdzie się podzieje wasza wysokość?

Kawa zasyczała i zalała prymus.

– Niech to diabli!

Klim chwycił dzbanek, oparzył się i upuścił go sobie pod nogi. Kawa rozlała się po podłodze.

Nina westchnęła głęboko.

– Słuchaj, przyszłam do ciebie, żeby...

– Nie, to ty mnie posłuchaj! – Klim odwrócił się do niej wściekły, niepodobny do siebie. – Mam inną kobietę... Nie wtrącaj się, z łaski swojej, do naszego życia! Proszę cię po dobroci, odejź.

Nina poczuła, jak drży jej podbródek.

– Pójdę sobie, skoro tak chcesz. I możesz być spokojny, że znakomicie sobie bez ciebie poradzę! A ty do końca życia będziesz gnął ze swoją babą i przeklinał ten dzień!

Rozdział 14

Rywalka

W pierwszych dniach po nocy wigilijnej Gala latała jak na skrzydłach, ale bardzo szybko jej radość zgasła. Klim absolutnie nie wyglądał jak człowiek, który właśnie znalazł długo wyczekiwaną miłość.

Kobieta zadręczała się myślami. Może wydałam mu się nie dość ładna? Albo to Tania stanowi problem? Zapewne nie chce mieć do czynienia z kobietą obciążoną dzieckiem, a tym bardziej nieślubnym. Pozostawała jedna nadzieja – jeżeli Kitty pokocha Tanię, to prędzej czy później Rogow pogodzi się z jej istnieniem.

„Opowieść wigilijna” powtarzała się kilka razy, a Gala przeklinała swoją bezpłodność, która jeszcze niedawno zdawała jej się błogosławieństwem. Gdyby zaszła w ciążę, Klim na pewno by się z nią ożenił. Nieraz mówił, że dzieci są najważniejsze w życiu.

Gala nie rozumiała, co się z nim dzieje. Stał się ponury, zamknięty w sobie i złośliwy, coraz częściej pragnął zostawać sam. Szczera rozmowa okazała się niemożliwa, bo ostro ucinął wszelkie kwestie.

Ałow też przysparzał Gali zmartwień.

– Wybadałaś, po co mu potrzebna Nina Kupina?

Niestety, nie mogła niczego więcej dowiedzieć się o Klimie, nawet tego, co było o wiele ważniejsze niż jakaś tam Nina.

– Oj, bo się dochrapiesz! – groził Ałow. – Zwolnię cię w związku z redukcją etatów i fora ze dwóra!

Żeby jakoś potwierdzić swoją przydatność, Gala pisała donosy na przyjaciół Klima: Elkina, Seiberta, Magdę i innych.

Ałow pieczołowicie chował to do teczek, a ona patrzyła na niego i myślała, że jest podobny do pustookiej modliszki, która czeka tylko na dogodny moment, żeby zatłuc kolejną zbyt mało czujną muchę.

Wróciła do domu zmęczona i zziębnięta do kości. Zawiozła przesyłkę do cenzora, który mieszkał na drugim końcu Moskwy; tramwaj zepsuł się w połowie drogi, więc musiała dalek iść pieszo na dwudziestostopniowym mrozie.

W pokoju panował okropny bałagan. Tania i Kitty robiły konika ze starego fartuszka Gali, więc wszędzie walały się okrawki, guziki i wiązka brzożowego łyka, z której miały powstać ogon i grzywa.

Gala nie miała siły kłać. Pragnęła tylko jednego: napić się gorącej herbaty i wpełznąć pod ciepłą kołdrę. Myśl o tym, że będzie musiała jeszcze odprowadzić Kitty do domu, przyprawiała ją o dreszcze.

W przedpokoju odezwał się telefon.

– Gala, to do ciebie! – zawołała sąsiadka.

Dzwonił Klim.

– Czy Kitty może dzisiaj u ciebie zostać? Kapitolina wyjechała do siebie na wieś, a ja mam do załatwienia sporo spraw.

– Oczywiście.

Wcześniej nie pozwalał nigdy córce nocować poza domem, chociaż Kitty nieraz o to prosiła, bo bardzo chciała spać z Tanią w szafie.

Dziwne było to wszystko.

Rano Gala próbowała dodzwonić się do Klima, ale nie odbierał.

– Jedziemy do domu, Kitty – powiedziała smętnym tonem. Nie chciała pozostawać w niepewności.

Całą drogę Kitty udawała, że skacze na swoim różowym koniu. Była szczęśliwa, bo nie musiała myć się wieczorem, a Tania obiecała wziąć ją do cyrku, kiedy w szkole będą rozdawać bezpłatne bilety.

One stały się już jak siostry – myślała Gala. Gdyby Klim nie robił fanaberii, wszyscy by byli tacy szczęśliwi!

Na podwórzu Kitty poszła na górkę śnieżną, którą usypał jej Afrykan.

– Muszę pojeździć na koniku!

Gala otworzyła drzwi wejściowe.

– Zaraz pójde bez ciebie. Liczę do pięciu: raz, dwa...

Na schodach zadudniły kroki i obok Gali przemknęła damulka w pięknej szubie.

Serce w Gali załomotało. Ta kobieta była u Klima!

Wtaszczyła Kitty na piętro. Drzwi mieszkania były otwarte na oścież, pachniało kawą.

Klim wyszedł im na spotkanie.

– Co się stało? – spytała Gala, ale udał, że nie słyszy.

– Tatko, zobacz, co mam! – krzyknęła Kitty, pokazując mu nową zabawkę.

– Tak, tak... Dziękuję... – powiedział w roztargnieniu Klim, najwyraźniej nie wiedząc nawet, o co chodzi. I nagle dodał rozdrażniony: – Gala, rozbierz ją, przecież się spoci!

Był niepodobny do siebie.

– Kim jest ta kobieta?

– O kim mówisz?

– Spotkałam ją na schodach. Czego chciała?

Klim jakby się ocknął.

– Po prostu pomyliła adresy. – Widząc, że Gala nie wierzy, zaraz dodał: – Skoro przyszłaś, coś napiszemy.

Na kominku płonęły brzoźowe polana, w pokoju było gorąco jak w piekle, ale Klim nie zwracał na to uwagi.

– Portrety Trockiego i jego doradców są zdejmowane ze ścian, a ich prace usuwane z bibliotek – dyktował. – Ulice Trockiego przemianowuje się na Marksa, Kominternu i tym podobnie. Przez kraj przetoczyła się fala samobójstw. Najbardziej egzaltowani trockiści przed śmiercią pozostawiają zapiski: „Kontrrewolucja zwyciężyła. Żegnajcie, towarzysze!”. W gazetach drukuje się felietony, w których samobójców porównuje się do historycznych pensjonarek z carskich czasów.

– Może o tym lepiej nie pisać? – zaniepokoiła się Gala. – Przecież cenzura i tak tego nie puści.

– Pisz dalej, proszę – uciął Klim. – Kiedy ogłoszono, że Trocki zostanie zesłany do Ałma-Aty, na Dworcu Kazańskim zebrał się ogromny tłum. Dziewczęta chciały się kłaść na szyny, żeby nie dopuścić do odjazdu ukochanego wodza. Pobito kilku milicjantów, a zwolennicy Trockiego dwukrotnie odczepiali wagony od lokomotywy. Wreszcie pod wzmocnioną eskortą wprowadzono do wagonu człowieka podobnego do Trockiego, ale okazał się on ucharakteryzowanym aktorem. Po kilku godzinach przebywania na mrozie tłum się rozszedł.

Gala wyjęła kartkę z maszyny i niechcący upuściła ją na dywan. Kiedy się schyliła, zauważyła leżącą przy kanapie różową koszulkę.

Klim podążył za jej wzrokiem.

– Bądź tak dobra i zrób kawy – poprosił.

Po drodze do kuchni Gala zauważyła coś jeszcze: kabel telefoniczny wyjęty z gniazdka.

Wszystko było jasne – u Klima nocowała kobieta, dlatego właśnie zostawił Kitty u Gali i nie odpowiadał na telefony.

Kim ona jest? – myślała Gala, przerażona i przygnębiona. – Cudzoziemka? Nepmanka? Od dawna do niego zachodzi?

Kiedy wróciła, koszulki już nie było, a w pokoju unosił się swąd spalenizny. Klim wrzucił jedwab do kominka.

– Powiedz mi prawdę... – zaczęła Gala drżącym głosem. – Kto był u ciebie dzisiaj w nocy?

Spojrzał na nią bystro i odwrócił zaraz wzrok. Nie umiał kłamać.

– O nic mnie nie pytaj – powiedział wreszcie. – Niedawno umarła moja żona... Trudno się z tym pogodzić...

A zatem o to chodziło! Gala od razu zrozumiała smutek Klima i jego dziwne zachowanie... A Kitty nic nie mówił, żeby jej nie denerwować.

Serce Gali prawie rozpadło się z żalu. Klim przyjechał do Rosji, żeby zmienić otoczenie, ale jego rana jeszcze się nie zabiłiła, więc na razie nie mógł być gotowy do nowego małżeństwa.

Ale co za kobieta do niego przychodziła? Pewnie jedna z damulek, które wiecznie kręcą się przy Komisariacie Spraw Zagranicznych z nadzieją, że spotkają odpowiedniego cudzoziemca. Klim zostawił ją sobie na noc, a potem wygonił, bo zrozumiał, że to nie jest to, czego by chciał.

Tylko jedno cieszyło Gałę. Wiedziała już na pewno, że Klim jest wolny. A skoro tak, to wystarczy doczekać swojego czasu i pilnować, żeby nikt nie skradł jej skarbu.

Rozdział 15

Królestwo książek

Przez kilka dni Nina pozostawała w głębokim odrętwieniu, próbując zdecydować, co robić dalej. Nic już nie miała – ani miłości, ani dziecka, ani domu, ani jakichkolwiek celów... Niebawem wróci Oscar z dokumentami – i co dalej? Powinna z nim jechać do Nowego Jorku?

Znów stanęła przed wyborem, za kogo się ma uważać – zdrajczynię, która nie zasługuje na przebaczenie, czy też pełnoprawną małżonkę, której jakaś kobieta próbuje uwieść męża. Pierwszy wariant zakładał, że sama jest wszystkiemu winna, a w drugim tą złą okazywała się kochanka Klima.

Nina doskonale rozumiała, że te rozważania są nielogiczne, ale tak samo jak w przypadku Oscara, łatwiej jej było znieść nieszczęście, jeśli znajdowała dość dobre wytłumaczenie.

Odbiję Klima – podjęła twarde postanowienie. – Nie jestem mu obojętna, a to znaczy, że nie wszystko stracone. Policzę się z jego kochanką. Nikt nie może mnie bezkarnie okradać.

Najpierw powinna iść na przeszpiegi i sprawdzić, jak właściwie żyje Klim, z kim się przyjaźni, kim jest jego miłość. A potem się zobaczy.

Nina odszukała wizytówkę Elkina i zadzwoniła do niego.

– Chciałabym obejrzeć ten samochód, który pan sprzedaje. Można to zorganizować?

Elkin bardzo się ucieszył.

– Oczywiście! Proszę przyjść o dowolnej porze!

Porozumieli się co do spotkania, ale ledwie Nina odwiesiła słuchawkę, już dopadł ją strach.

A jeśli się nie uda? Jeżeli przyjdzie do Elkina i przypadkiem spotka się z Klimem? Przecież to byłby straszny wstyd, gdyby pomyślał, że ugania się za nim! A co zrobić, jeżeli tam będzie Kitty?

Będę się martwić, kiedy coś się zdarzy – pomyślała ponuro. – I tak nie mam nic do stracenia.

Nina przyszła do księgarni przed zamknięciem, a Elkin rzucił wszystko i urządził jej wycieczkę po swoich włościach.

Z ciekawością oglądała różnokolorowe szafy wypełnione poradnikami, książkami kucharskimi, horoskopami, słownikami i rozmówkami, almanachami oraz przewodnikami.

W starych okutych kufrach kryły się największe skarby – powieści wojenne i romanse. Na dywanie rozrzucone były książeczki dla dzieci, na półkach w eleganckich rzędach stały wspaniale wydane encyklopedie i cerkiewne foliały.

– Jakbym trafiła do poprzedniej epoki – powiedziała Nina, dotykając lśniącego złotem grzbietów. – A nie zajmuje się pan literaturą współczesną?

Elkin pokazał jej stelaże w kącie. Tam znajdowały się książki niedawno wydane, które miał obowiązek sprzedawać – broszury propagandowe, a także utwory takiego kalibru, jak *Czerwone diablęta*, *Komsomolcy w Afryce*, *Charyta, jej życie i przygody*, a także *opowieść o tym, jak odnaleziono miasto Karola Marksa*.

Elkin uśmiechnął się, widząc wyraz niedowierzania na twarzy gościa.

– Parę lat temu partia rzuciła hasło: „Powinniśmy sami stworzyć własną literaturę przygodową!”. No bo to przecież wstyd, żeby młodzież chciała czytać tylko burżuazyjnych autorów. Na ten cel przeznaczono spore pieniądze i maszynka ruszyła. Młodzi pisarze przyjeżdżają do Moskwy zewsząd, choćby z Arzamasu albo Odessy, jeść nie mają co, mieszkać nie mają gdzie, próbują więc wypichcić książeczki, żeby coś zarobić.

Nina przestudiowała fragment *Komsomolców w Afryce*.

– Ktoś to w ogóle czyta? Przecież to jakieś bzdury, od razu widać, że człowiek nie wie, o czym pisze.

– I co z tego? – Elkin wzruszył ramionami. – Całe pokolenie praktycznie nie chodziło do szkoły. Jak się zaczęła wojna światowa, oświata upadła, bo nauczyciele szli na front, a potem wszystko potoczyło się źle. Nasza młodzież nigdzie nie bywała, nie poznała języków, nie czytała dobrych książek, więc ma bardzo mętne wyobrażenie, co jest prawdą, a co kłamstwem.

Elkina zawołali kupujący i pobiegł do kasy, a Nina jeszcze długo przeglądała ilustracje wielotomowego wydania *Malownicza Rosja*. Jak te książki przetrwały rewolucję i wojnę domową? Przecież w tamtym czasie skórzane oprawy bezwzględnie oddzierano i łątano nimi buty.

Wreszcie Elkin zamknął drzwi wejściowe i powiesił na nich tabliczkę „Zamknięte”.

– Teraz wszystko trzeba robić samemu – westchnął. – Kiedyś miałem trzech sprzedawców, ale musiałem ich zwolnić, inaczej inspekcja pracy groziła mi likwidacją za „wyzyskiwanie ludu pracującego”.

– Czy oni oszaleli? – zdziwiła się Nina. – W kraju bezrobocie, a ci pozbawiają ludzi

kawałka chleba.

– Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Na Kremlu twierdzą, że kryzys spowodowali nepmani, którzy kantują we wszystkim i nie płacą podatków. Ale najgorsze jest to, że stanowimy konkurencję dla przedsiębiorstw państwowych i odbieramy im klientów. U nas po prostu jest lepsza obsługa, ale władze uważają, że zajmujemy się szkodnictwem.

Z mieszkania na górze doleciał śmiech i tupot nóg. Nina zerknęła na bujający się lekko pod sufitem jedwabny abażur. Zdaje się, że u Klima zaczął się jakiś wieczorek.

– U cudzoziemców codziennie jest święto – powiedział Elkin. – Niedawno zakłady porobili, kto prędzej schudnie: Heinrich Seibert czy Magda Thompson. Tylko że Seibert oszukiwał, bo wlażł na wagę w marynarce i butach, a dzisiaj przyszedł na kontrolny pomiar ledwie ubrany, ostrzyżony i bez okularów.

Zadziwiająco, jak mała była ta cudzoziemska Moskwa. Wszyscy się znali. Taka Magda, z którą Nina kiedyś mieszkała w jednym pokoju, siedziała teraz u Klima.

– Chce pani iść na górę? – zaproponował Elkin. – Gala na pewno napiekła pierogów.

Nina się wzdrygnęła. Czy ta Gala to właśnie kochanka Klima?

– Chodźmy lepiej obejrzyć samochód.

Auto stało w dawnej szopie. Elkin włączył światło i mała lampka wydobyła z mroku niewielki czarny automobil dziwnej konstrukcji. Na masce połyskiwała niewyraźnie figurka żyrafy ze skrzydłami.

– Proszę bardzo, to jest Maszka! – oznajmił z dumą gospodarz. – Sam ją zrobiłem, jako prototyp. Wyznaczono zadanie skonstruować tani uniwersalny wóz na rosyjskie drogi. Ale nie uzyskałem wsparcia w Najwyższej Radzie Gospodarki Narodowej, więc nie pozostaje mi nic innego, jak sprzedać to cudo.

– A co im się nie spodobało? – spytała Nina.

– Automobil to wolność. Wsiada się i jedzie, gdzie tylko ochota przyjdzie. Nasze kierownictwo jak najbardziej używa samochodów, ale pozostałych zagnało do wagonów, żeby wszyscy jeździli po wyznaczonych szynami trasach, a nie skręcali sobie gdzieś w bok. Nie chcą wykładać pieniędzy na produkcję prywatnych wozów, za to w głowach mają tylko metro. Do tego jestem przecież nepmanem, więc nie znajdzie się szalenciec, aby z mojego powodu ryzykować karierę. Kto poprze „obcy klasowo element”, tego wymiotą razem z nim.

Nina długo oglądała koła z szerokimi oponami i silnik z mnóstwem przewodów. Wymachując zawzięcie rękami, Elkin wyjaśniał jej, jak opracował nowe wspomaganie i co zmodyfikował w zawieszaniu.

– Niech pani weźmie Maszkę! – mówił, przyciskając ręce do piersi. – Może pan Reich wywiezie ją za granicę i komuś pokaże? Oczywiście chciałbym, aby produkowano ją tutaj, w Rosji, ale to się nigdy nie uda.

– Dlaczego nazwał pan automobil „Maszka”? – spytała Nina.

– U Niemców jest Mercedes, a u mnie Maszka – odparł Elkin i spuścił głowę. – Tak wołali moją córeczkę. Kochała żyrafy, marzyliśmy o wyjeździe do Afryki, żeby przywieźć żywą. Ale zabili ją za króliczą czapkę. Szła do szkoły, ktoś ugodził ją z tyłu nożem.

Nina zakryła usta.

– Mój Boże...

– Błyskawiczna śmierć. To może nawet lepiej – powiedział szybko Elkin. – Nie będzie musiała znosić upokorzeń i zaszczuwania... Miała całkiem szczęśliwe dzieciństwo.

Czuło się, że często powtarza to sobie i innym.

– Proszę wziąć Maszkę! – powtórzył Elkin. – Zaprzyjaźni się pani z nią, bo ona, jak i pani, nie należy do tego świata. To znaczy... w dobrym sensie.

– Porozmawiam z Oscarem, kiedy wróci – obiecała Nina.

Elkin poszedł ją odprowadzić, a kiedy wyszli, na dwór wybiegli ludzie i ze śmiechem zaczęli się rzucać śnieżkami.

Nina doskonale widziała rozbawioną kompanię. Klim otrzepał ze śniegu palto jakiejś kobiety w szarej chustce, a potem pomógł jej zjechać z górki.

Elkin podążył za wzrokiem Niny.

– Mister Rogow miał szczęście z Galą. To dobra kobieta i kocha go bez pamięci.

Nina zacisnęła wargi. Proszę, wszystko się wyjaśniło.

– A gdybym zatrudniła się u pana jako ekspedientka? – spytała. – Za darmo, żeby się jakaś inspekcja nie przyczepiła.

– Ale przecież... Nawet nie wyobrażałem sobie... – zmieszał się Elkin.

– I tak nie mam się teraz czym zająć, więc mogę przychodzić codziennie.

– Ależ będę zaszczycony i niesłychanie szczęśliwy!

– W takim razie zacznę od jutra.

Potrzebowała dobrego punktu obserwacyjnego i przestrzeni do manewrów, więc praca w Moskiewskiej Sawannie była wręcz wymarzona.

Okazało się, że księgarnia to nie tylko sklep, ale też giełda pracy dla moskiewskiej inteligencji. Elkin znał mnóstwo ludzi i pomagał załatwiać zlecenia na przekłady, pisanie artykułów, przepisywanie i tym podobne.

– Niektórzy mają współbiedniaków, a ja współczytelników – chwalił się. – To najlepsi ludzie na świecie!

Większość klientów stanowili zwykli urzędnicy, ale czasem do księgarni zaglądali profesorowie albo wielcy inżynierowie, pracujący w sowieckich zakładach. Szacowny starzec rozpiął ciężki płaszcz, siadał w fotelu, a Nina z Elkinem przynosili mu jakąś *Historię powszechną* Jägera albo *Życie zwierząt* Brehma. Dosłownie częstowali interesantów książkami, wedle wszelkich reguł gościnności.

Huczła kasa, z jej czeluści wysuwała się wstęga rachunku i szczęśliwi współczytelnicy wychodzili na ulicę, przyciskając do piersi drogocenną zdobycz.

Ninie bardzo podobał się ten rytuał i z przyjemnością chodziła do „pracy”, ale przy tym każdego dnia z nadzieją i strachem czekała na spotkanie z Klimem i układała w głowie zdania, które powinna wypowiedzieć.

Jednak Klim nie pojawił się ani razu u właściciela domu. Możliwe, że Elkin opowiedział mu o Ninie, więc jej unikał.

Na szczęście gospodarz chętnie dzielił się wiadomościami o lokatorach. Nina dowiedziała się, że Kitty je tylko chleb z serem i cukierki, a Kapitolina boi się myszy i przy każdym podejrzanym szurnięciu wskakuje na taboret.

Gala powiesiła w pokoju dziecięcym koło od roweru, pomalowane na biało, i umocowała na nim papierowe samolociki na nitkach. Wedle słów Elkina, Kitty kręciła tym kołem i krzyczała na cały dom:

– Europlan, europlan, już w kieszeni ciebie mam!

Nina powoli gotowała się z gniewu i zazdrości.

– A co Klim mówi o Gali?

– On nie ma czasu o niej rozmyślać! – śmiał się Elkin. – Napisał w artykule, że dwudziestego trzeciego lutego na ulicach Moskwy był milion demonstrantów. W komunikacie podali mu taką liczbę. O czym ten człowiek myśli, nie wiadomo. W całym mieście jest dwa miliony mieszkańców, czyli co drugi polazł demonstrować, włączając w to starców i niemowlęta? Mister Rogow to wprawdzie Amerykanin, ale nie ma zamiłowania do logiki.

Pewnego dnia do Elkina przyszedł niewysoki chudy człowiek w starym płaszczu oficerskim i starej futrzanej czapce.

– Dopiero co zwolniono mnie z Gosizdatu – powiedział drżącym głosem.

Elkin zaprowadził go na zaplecze, posadził w fotelu.

– To hrabia Bielów, znakomity tłumacz książek medycznych – szepnął do Niny.

Gosizdat był największym wydawnictwem w kraju, oprócz literatury pięknej drukował podręczniki, książki naukowe i techniczne. Bielów pracował tam jako znakomity specjalista, ale na walnym zebraniu przedstawiciel komitetu związków zawodowych ogłosił, że „dawne hrabiostwo” nie ma prawa do zatrudnienia, skoro w Moskwie jest pełno bezrobotnych czerwonoarmistów, którzy dzielnie walczyli na frontach wojny domowej.

Próżno kierownik działu krzyczał, że Bielów właśnie pracuje nad bardzo ważną pozycją dotyczącą profilaktyki epidemii. Zgromadzeni jednogłośnie postanowili wydalić z wydawnictwa Bielowa i jego podwładnych przyjętych do pracy tylko za sprawą kumoterstwa. Ich miejsce powinni zająć dzielni czerwonoarmiści.

Elkin słuchał i wzdychał:

– Mówiłem panu przecież, aby nie pisać w ankiecie, że jest pan hrabią!

Bielów się poderwał.

– Przed rewolucją tylko ostatni podlec mógłby się wstydzić pochodzenia, a po niej tylko najgorszy element mógłby się odciąć od historii własnej rodziny! Mój prapradziad poległ pod Borodino, dziad bronił Sewastopola, a ojciec dowodził krążownikiem! Jak mogę się ich wyprzeć?

Elkin poskrobał się w podbródek.

– Z mieszkania też pana wysiedlili?

Bielów skinął głową.

– Kazali nam zwolnić lokal w ciągu doby. Nikogo nie obchodzi, że sześćoro dzieci znajdzie się na bruku.

Elkin zaczął dzwonić do kogoś, zaklinać i namawiać.

– Niech się pan przenosi do Sałtykowa. To najdalsze osiedle na wschód od Moskwy – powiedział. – Mój przyjaciel ma tam daczę. Tyle że jest nieocieplona i nieurządzona. Znajdę panu jakąś pracę dla tłumacza, żeby miał pan jak wyżywić rodzinę.

Kiedy hrabia wyszedł, Elkin wyjął z szuflady pękatą butelkę koniaku i upił z niej spory łyk.

– Swołocze! – zaklął. – Przecież gubią Rosję, wyrzynają w niej wszystko najlepsze, co nam zostało! Nie wyobrażam sobie, jak poradzą sobie Bielowowie, kiedy wyjadę.

– Zamierza pan zamknąć Sawannę? – przestraszyła się Nina.

– To nie ja, lecz komisja mieszkaniowa. Przychodzili już do mnie w tej sprawie i powiedzieli, że nie mam prawa zajmować całego domu. Bolszewicy nie mają może konkretnych planów co do rozwoju kraju, ale przeczuwają, że jeśli narodowi nie zostanie

inne źródło dochodu jak tylko państwowe posady, nikt nie zdoła zwalczyć ich systemu. Dlatego gnębią tych, którzy chcą i mogą samodzielnie zarabiać. Nie zabierają wszystkiego od razu, ale odcinają po kawałku, żebyśmy ociekali krwią i przyzwyczajali się do bólu. A potem ludziom robi się i tak wszystko jedno.

Nina patrzyła oszołomiona na Elkina. Jeżeli Moskiewska Sawanna zostanie zamknięta, straci możliwość spotkania z Klimem.

– Dokąd pan pojedzie?

– Do ziemi ojczystej, na Krym. Tam jest dobrze: góry i słońce. Idzie się plażą, fale szumią niby szampan w kieliszku...

– Ale może da się coś wywalczyć z tą komisją? Ludzie się za panem wstawiają! Potrzebują pana!

Elkin pokręcił głową ze smutkiem.

– Nikt nie będzie o mnie walczył. Współczytający to skończeni indywidualiści. Wszyscy jesteśmy mądrzy i wartościowi, choćby tylko dla samych siebie, więc nikt z nas nie będzie nadstawiał drogocennej głowy pod kolbę karabinu. W razie zagrożenia albo uciekamy, albo ginimy. Żadne z nas lwy, a raczej żyrafy: niedorzeczne, doskonale widoczne... Jednak zdolne sięgać do najwyższych szczytów.

– A ja bym jednak powalczyła o swoje miejsce pod słońcem! – powiedziała Nina.

– Nie warto. Czas Moskiewskiej Sawanny jeszcze nie nadszedł. Kiedyś się odrodzi, ale na pewno nie w naszym stuleciu.

Księga Umarłych

Los doprawdy postanowił ze mnie zadrwić. Przedtem miesiącami walczyłem z całych sił, żeby dowiedzieć się czegoś o Ninie, a teraz prawie każdego dnia opowiadają mi o niej.

Zatrudniła się jako ekspedientka w Moskiewskiej Sawannie i Elkin jest zachwycony moją byłą żoną.

– Jak taka istota zdołała się uchować w Rosji Sowieckiej?

Elkina ujmuje to, że Nina jest elegancka niczym moskiewskie damy przed rewolucją i nie wtrąca w wypowiedzi nowomodnych skrótów.

– Rozum, mister Rogow! Rozum jest najważniejszy u kobiety... Oczywiście poza innymi sprawami.

Próbuję przerwać jego wynurzenia, ale on się nie poddaje.

– Ależ ja do niej nie uderzam! Gdzie mi się równać z mężem milionerem? Po prostu zdrowy mężczyzna cały czas myśli o takich sprawach. I niech pan nie udaje, że jest inny niż ja! Po prostu pan jest hipokrytą, a ja mówię otwarcie, co myślę. Zna ją pan?

– Nie – odpowiedziałem. – I nie zamierzam poznawać.

Elkin zaczął się śmiać.

– Przecież widziałem, jak wchodziła do pańskiego mieszkania. Kwaśne winogrona, co? Oko by zjadło, ale gardło za wąskie?

Robię wszystko, żeby „oko” nic nie widziało, nie tylko moje zresztą, ale też Kitty. Na moje polecenie Afrykan zrobił nową furtkę w ogrodzeniu na tylnym podwórku i teraz przez nią wychodzimy z posesji. Prócz tego nakazałem mu trzymać bramę cały czas zamkniętą, żeby postronni – to znaczy Nina – nie mogli przedostać się do nas.

Nie rozumiem, o co jej chodzi. Nudzi się podczas nieobecności męża i mam jej dostarczyć rozrywki? A może nie tyle chodzi jej o mnie, co o Kitty i czeka na sposobność, żeby małą zabrać?

Gala też gubi się w domysłach. Zapytała mnie: „Wiesz, że kobieta, która przychodziła do ciebie, pracuje teraz u Elkina?”

Powiedziałem, że nie interesują mnie plotki o sąsiadach, ale Gala nie tylko się nie uspokoiła, ale zaczęła podejrzewać mnie o „zdradę”. Każdego dnia jakby mimochodem wypytuje domowników, gdzie chodziłem podczas jej nieobecności, i podsłuchuje pod drzwiami, gdy rozmawiam z kimś przez telefon.

To wszystko trwa już parę tygodni i mam takie wrażenie, jakby cały dom znajdował się pod napięciem. Modlę się, żeby Nina zostawiła mnie w spokoju, ale ta moja prośba do niebios brzmi nieco niezręcznie. Nie widzimy się przecież, więc w rzeczy samej nie może ingerować w moje życie.

Problem jest we mnie – wiem, że Nina jest obok, i to doprowadza mnie do szaleństwa.

Co mam robić? Wyprowadzić się nie mogę, tak samo jak zabraniać byłej żonie gościć w Moskiewskiej Sawannie. Jedyne, co mogę, to poprosić Galę, żeby zabierała Kitty do siebie, jeśli wychodzę na rozmowy i posiedzenia. Dzięki temu mała nie spotka się z Niną.

Tania, oczywiście, ma na nią koszmarny wpływ, ale muszę wybrać mniejsze zło.

Rozdział 16

Pogrom

Zastępowy Wadik obiecał Tani, że jeśli zostanie aktywną społecznicą, latem przyjmą ją do pionierów i wezmą na obóz turystyczny.

Tania nie była nigdzie poza Moskwą, a i w mieście tylko tam, gdzie mogła dojść piechotą, jako że matka nie dawała jej pieniędzy na tramwaj.

A obóz turystyczny to cała wyprawa! Najpierw wszyscy wsiadają do ciężarówki z odkrytą paką, potem jadą z pieśnią na ustach ulicami, a następnie idą z plecakami w nieznaną dal, może nawet do Mytiszczi.

Tania już zawczasu szalała z niecierpliwości i szczęścia. Wstąpiła do trójki likwidacji analfabetyzmu w miejsce chłopca, który zachorował na gruźlicę. Po lekcjach członkowie trójki powinni obchodzić domy i zapisywać na kursy tych, którzy nie umieli czytać i pisać.

Tania bała się pukać do obcych mieszkań, ale Dżulce i Inessie kłamała, że trzęsie się nie ze strachu i nieśmiałości, ale z zimna. Rano termometr pokazywał dwadzieścia stopni poniżej zera.

Czapkę miała dobrą, przerobioną ze starego swetra, ale płaszczyk marny. Został uszyty z pluszowego dywanika w wiewiórki i przez te zwierzątka Tanię bezlitośnie wyśmiewano.

Rajd był nieudany od samego początku. W jednym domu potraktowali je paskudnymi wyzwiskami, do drugiego nie weszły, bo na podwórzu grasował zły pies, a w trzecim gospoia kazała im czekać, bo szła do sklepu po naftę, i dziewczynki dwie godziny przesiedziały na schodach.

Kiedy kobieta wróciła, przyszedł do niej strażak i zaczęli się bez skrępowania całować przy dzieciach.

Dżulka trąciła Tanię w bok.

– Powiedz im coś!

– Wiecie wy, że w dwudziestym roku na tysiąc ludzi sześciuset czterdziestu pięciu było analfabetami? – spytała Tania, zacinając się. – A teraz tylko czterystu pięćdziesięciu sześciu!

– A wy wiecie, gdzie są drzwi?! – Strażak tupnął na nią i wygonił dziewczynki.

Dżulka strzeliła Tanię w ucho.

– Wszystko przez ciebie!

Nad bulwarem ciemniało niebo, zza drzew dochodziły dźwięki orkiestry dętej. Mimo mrozu, lodowisko na Czystych Prudach było oblegane.

– To co, idziemy dalej? – spytała Tania, szcękając zębami.

Dżulka wymieniła spojrzenia z Inessą.

– Dorina, zdaje się, mówiła, że nie boi się sama chodzić po domach. Było tak?

– Było!

– Jak to sama?! – oburzyła się Tania. – Wadik powiedział, że mamy działać razem!

– Coś marnie z nią! – prychnęła pogardliwie Inessa. – Po drodze pewnie stchórzy,

a jak zrobi się ciemno, będzie chciała do mamusi.

– Nie stchórzę! Mogę iść sama.

– Zaraz sprawdzimy – rzekła Dżulka. – Widzisz dom z wieżyczką? Idź i spytaj, czy są tam analfabeci!

Tani nie pozostało nic innego, jak schować głowę w ramiona i pójść prosto w paszczę lwa.

Przy bramie zaczepił ją mężczyzna z rudymi wąsami, najeżonymi jak szczotka.

– O, to ja wiem, kto ci jest potrzebny! – powiedział, kiedy Tania wyjaśniła, że szuka niegramotnych ludzi. – Chodź, zaprowadzę cię do bramy. Idź na pierwsze piętro, tam jest tylko jedno mieszkanie, więc nie poblądzisz.

Dziewczynka czuła się jak zupełna idiotka. Dobrze, że miała kartkę z formułą, którą podyktowała jej Dżulka, inaczej nie zdołałaby powiedzieć nawet słowa.

Zadzwoiła do mieszkania, drzwi się otworzyły i Tania, nie mając odwagi podnieść oczu, zaczęła odczytywać własne bazgroły.

– Dzień dobry... e-e... towarzyszu lokatorze! Jesteśmy... przed-sta-wi-cie-la-mi... brygady do... No tak, dobrze... Jaki ma pan zawód?

Tania spojrzała na mężczyznę i oniemiała.

– Z zawodu jestem dziennikarzem – powiedział Klim z uśmiechem.

– Umiecie czytać i pisać? – zapytała siłą inercji Tania.

– Oczywiście, że nie! – dobiegł od schodów złośliwy głos rudowłosego. – Mister Rogow, wysłałem ją do pana, żeby nauczył się pan wreszcie alfabetu!

Tania miała ochotę zapaść się pod ziemię.

– Przepraszam... chciałam po prostu dowiedzieć się, czy ktoś nie potrzebuje pomocy w nauce...

– Tania przyszła! – rozległ się radosny krzyk Kitty.

Mała wybiegła na korytarz i objęła przyjaciółkę.

– Wejdiesz do nas? – zapytał Klim.

Mama mnie zabije, jeśli się dowie, że bez pytania poszłam do Rogowów – pomyślała Tania, ale przekroczyła próg.

– Tylko na chwilkę, żeby się ogrzać.

Od razu poznała, że Klim nie był rewolucjonistą, lecz mieszczaninem. Jego mieszkanie wyglądało jak ostoja dorobkiewiczostwa. Były tu i zwierciadła, i fortepian, i jakieś portrety na ścianach. Oczywiście przy takim ojcu Kitty będzie miała problemy z odpowiednim wykształceniem!

Klim przyniósł z kuchni samowar.

– Kapitoliny nie ma, więc sami musimy sobie radzić – oświadczył i postawił na stole małą wagę z cukierkami. – Częstuj się.

Tani opadła szczęka. Jej matka chowała cukierki na czarną godzinę i tylko z rzadka rozgryzała karmelka, dając córce połowę. A Kitty mogła zjeść naraz całą czekoladkę, i to niejedną!

Tani przypomniało się nagle, jak komitet uczniowski nawoływał, aby kupować cukierki z ideologicznymi papierkami: „Międzynarodówka”, „Republikańskie”, „Życie rolników dziś i dawniej” i temu podobne. A u wujka Klimy były tylko cukierki „Danke!” z dziewczyną w reweransie. To opakowanie zostało zrobione przed rewolucją, takich sukienek i kokard dawno nie noszono.

Niemniej Tania wyciągnęła rękę i niepewnie popatrzyła na Klimę.

– A ile mogę wziąć? – spytała, nienawidząc siebie za słabość.

– Bierz, ile chcesz – odparł Rogow.

Tania piła niewiarygodnie smaczną herbatę, jadła cukierki i ciastka, czując, jak zaczynają się w niej odzywać drobnomieszczańskie skłonności.

Uczciwie próbowała się im przeciwstawić.

– Co tam macie? – spytała, wskazując szafę z książkami. – *Anna Karenina*, Bunin, różni poeci... Nakupiliście sentymentalizmu! To zła literatura, tylko można przy niej łyżycierać!

Klim popatrzył na nią z niekłamanym zainteresowaniem.

– A jakie ty czytasz książki dla przyjemności? Żeby ucieszyć duszę?

– Żadna dusza nie istnieje! – odparła ostro Tania i zaraz skłamała: – Interesuję się polityką, a nie beletrystyką. Teraz całą klasą czytamy mowę Lenina na trzecim zjeździe Komsomołu. A wy zapewne nigdy nie połkniecie bakcyła rewolucji.

Klim się roześmiał i powiedział, że zapisze to zdanie w notatniku z artykułami. Tania niby powinna się cieszyć, bo nie każdego dnia dorośli zapisują słowa dziecka, ale czuła, że coś tutaj jest nie tak.

– Chodź, coś ci pokażę! – powiedziała Kitty. Chwyła Tanię za rękę i zaprowadziła ją do swojego pokoju.

Matko jedyna! Kitty miała własną sypialnię, a w niej tyle zabawek, ilu Tania w życiu nie widziała.

Córka Klimy wyjęła spod łóżka kolorowe pismo z burżuazyjną damulką na okładce i usiadła na dywanie.

– Chodź zagrać. To będziesz ty, a to ja!

Na jednym obrazku było namalowane morze, plaża i na wpół gołe dziewczęta, a na drugim państwo młodzi przy weselnym stole, zastawionym tortami i jedzeniem.

– Zjemy to wszystko! – powiedziała Kitty. – Am-am-am!

Tania zaraz przejęła inicjatywę i oznajmiła, że teraz będą się bawić w czerwone wesele.

– Ja będę sekretarzem komsomolskiej komórki, a ty narzeczoną robotnicą, która wychodzi za mąż... no... za tego pluszowego misia. Chcesz?

Kitty pokręciła głową. Tania długo wyliczała potencjalnych narzeczonych – szmacianego konia, drewnianą kaczkę na kółkach i przodownika pracy, którego portret wydrukowano w gazecie. Wreszcie Kitty zgodziła się poślubić narysowaną na ścianie żyrafę.

Tania wygłosiła odczyt o nowej drodze życia i wręczyła nowożeńcom koc od wydziału kobiecego oraz poduszkę od komisji zakładowej.

Klim zastukał do drzwi.

– Taniu, muszę iść załatwić parę spraw. Możesz posiedzieć z Kitty?

– Oczywiście.

Włożył płaszcz.

– Wróć niedługo. Zachowujcie się, jak trzeba!

– Będziemy – obiecała Tania.

W jej głowie narodził się genialny plan.

W pokoju dla prasy tłoczyło się ze trzydziestu ludzi. Wszyscy siedzieli przy długim stole z maszynami do pisania w gotowości.

– Co się tam u nich stało, że po nocy nas wołają? – warczał Seibert.

– Pewnie podpisali kolejne porozumienie o wieczystej przyjaźni między Sowietami a Afganistanem – powiedział Klim.

Był pewien, że marnują czas. Takie wydarzenia nikogo nie interesowały, szczególnie w agencjach informacyjnych.

Niemniej dziennikarze się rozmarzyli – Japończycy mieli nadzieję, że chodzi o połowy krabów u brzegów Kamczatki, Włochów i Norwegów interesowała współpraca w eksploracji terenów polarnych, a korespondent gazety francuskiej pragnął wieści o wielkich bohaterach i niebezpiecznych przestępcach.

– Niech pan napisze o sowieckiej gaśnicy Gigant – poradził mu Klim. – Jest tak wielka, że trzeba ją wozić taczka. W dodatku potrafi sprawić przykre niespodzianki. Zawiera tetrachlorometan, który przy zetknięciu z gorącymi powierzchniami wydziela gaz trujący. Tak więc do gaszenia pożarów trzeba jeździć w masce gazowej.

– A jednak straszne z nas ścierwojady – podśmiewał się Seibert. – Do szczęścia potrzebne nam walki, epidemie i katastrofy. Im więcej trupów, tym lepiej.

Wreszcie do pokoju wszedł Wajnsztajn.

– Gotowe! To artykuł wstępny do jutrzejszej „Prawdy”. – Zaczął rozdawać odbite na powielaczu kartki. – Proszę zapoznać się jak najszybciej i wysłać depecze. Wszyscy cenzorzy są na miejscu, więc nie będzie trudności.

Klim szybko przeleciał wzrokiem tekst. To było oświadczenie prokuratora Sądu Najwyższego o tym, że w rejonie szachtyńskim została ujawniona podziemna organizacja dowodzona z zagranicy. Uczestniczący w niej kontrrewolucjoniści – w lwiej części inżynierowie i technicy – dokonywali zamachów w kopalniach, wywołując pożary i eksplozje. Celowo marnowali pieniądze przeznaczone na rozbudowę, zawyżali koszty własne i psuli produkcję. Wszystko po to, żeby obniżyć obronność ZSRS w razie wrogiej interwencji. Prowodyrami spisku okazali się biali emigranci, ściśle powiązani z niemieckimi przemysłowcami i polskim wywiadem.

Dziennikarze oniemieli. Całymi latami wyśmiewali się z obaw bolszewików, uważających, że ktoś w ogóle chciałby podbijać Rosję Sowiecką. Oczywiście, ubogi kraj rolniczy prawie zupełnie pozbawiony transportu drogowego i szlaków wodnych to zaprawdę cenny łup! Szczególnie biorąc pod uwagę wielkie pustacie i paskudny klimat. Żeby utrzymać tutaj władzę, trzeba by powołać pod broń połowę męskiej populacji całej Europy, a żeby zbudować jakie takie drogi, magazyny i kopalnie, należałoby włożyć ogromne środki. Skąd takie brać?

Ale jeśli spisek rzeczywiście zaistniał, to oznaczało, że dziennikarze czegoś jednak nie wiedzieli.

Klim jeszcze raz zerknął na liczby. Można sfabrykować takie rzeczy, jak głośna

afera kryminalna, a potem zrobić z niej skandal na cały świat, i to by było całkowicie w stylu czekistów. Ale przywieść w tym celu do ruiny całe zagłębie węglowe?

Dziennikarze zaczęli pytać jeden przez drugiego:

– Ilu ludzi aresztowano?

– Kilkuset – odparł Wajnsztajn. – Sprawa jest rangi ogólnonarodowej, a głównych sabotażystów będą sądzić w Moskwie.

Seibert uwijał się najbardziej ze wszystkich.

– Jakie dokładnie niemieckie firmy są podejrzane o finansowanie spisku?

– Na razie to tajemnica państwowa. Posiedzenie kolegium Sądu Najwyższego będzie jawne, tam wszystko zostanie wyjaśnione.

Oszołomiony Seibert pochylił się do Klima.

– Zdaje się, że padliny będziemy mieli aż nadto.

Zaczęły stukać klawisze maszyn do pisania.

Wajnsztajn podszedł do Klima i powiedział cicho:

– To dla was szansa! Tylko wszystko opiszcie uczciwie i bezstronnie.

Nie patrząc na niego, Klim skinął głową. Świat stanął na głowie. Jeszcze kilka minut temu wszystko było jasne: bolszewicy to banda cyników, zwalających własne grzechy na nieistniejących wrogów wewnętrznych. Ich bronią była propaganda, bezczelne łgarstwa i samowola, a siłą napędową ciemnota oraz przesady. Ale wszystko okazało się o wiele bardziej złożone i straszne... Tego, co zdarzyło się w Szachtach, nie można było racjonalnie wytłumaczyć. Po co spiskowcy mieliby to wszystko robić? Jaki by mieli w tym cel?

Klim najszybciej ze wszystkich dokończył notatkę i popędził do pokoju cenzorów.

– Proszę do mnie! – zawołał go Kogan, znany dręczyciel dziennikarzy. – Tak... A dlaczego napisaliście „niepotwierdzone dane o związkach z zagranicą”? Wszelkie dane zostały potwierdzone dowodami ze śledztwa.

Nie zamazywał niepożądanych słów w depeszy, ale starannie wycinał je nożyczkami do paznokci. Zajmowało to sporo czasu.

Do sąsiedniego stołu podbiegł Seibert. Ale także nie zdołał od razu dostać zezwolenia.

– Przepisujcie! – nakazał cenzor. – Napisaliście to absolutnie niedopuszczalnym tonem.

Kogan tymczasem wręczył Klimowi koronkową serwetkę, jaką stała się notatka, i przystawił pieczęć. Rogow od razu wyskoczył na ulicę. Dorożek, jak na złość, nigdzie nie było, ale zza rogu wyłonił się furgon z napisem „Żywe ptaki”.

Klim zatrzymał kierowcę.

– Podwieźcie mnie do telegrafu na Twerskiej! Dam trzy ruble.

Szofer od razu otworzył drzwi.

– Właź!

Pędzili z pełną prędkością. Na skrzyni ogłuszająco łomotały klatki i gdakały kury. Po kilku minutach Klim – cały w piórach – znalazł się na miejscu.

Chwała Bogu, przy okienku przesyłek zagranicznych nikogo nie było, ale niebawem za Klimem ustawiła się kolejka ciężko oddychających ludzi, przy czym Seibert

znalazł się na samym końcu.

– Nie moja wina, silnik nie chciał zaskoczyć! – usprawiedliwiał się.

Dziennikarze podśmiewali się z siebie nawzajem, ale wyczuwało się nerwowość.

– Towarzysze cudzoziemcy, zdawajcie depesze tutaj! – poleciła telegrafistka. – Zaraz wszystko wyślemy.

Zebrała podstemplowane blankiety i już miała się zabrać do pracy, kiedy w kolejce zawrzało.

– Tak nie wolno! Seibert był ostatni!

Ku wielkiej uldze Klima telegrafistka odwróciła stosik i jako pierwszy wzięła jego telegram.

– Dlaczego tu są trzy adresy? – spytała surowo.

Pochylił się do okienka.

– Bo tekst trzeba przesłać do Londynu, Nowego Jorku i Tokio.

– Tak nie pójdzie. – Dziewczyna zwróciła mu blankiet. – Proszę przepisać w trzech egzemplarzach.

– A pan co, nie wiedział, że przepisy się zmieniły? – spytał Seibert z obłudnym współczuciem. – A ja się zastanawiałem, jak to możliwe, że tak szybko się pan uwinął.

Telegrafistka wzięła następną depeszę.

– Proszę posłuchać – powiedział Klim. – Wczoraj moja kurierka przyniosła blankiet, podpisany przez cenzora, a ja przez telefon podyktowałem siedem adresów. I wszystko było w porządku!

– Jeśli idzie o telefon, przepisy pozostały takie, jak przedtem – ucięła pracownica.

– Proszę wracać do cenzorów i przepisać wszystko na nowo.

Zamiast tego Klim skierował się do telefonu wiszącego nieopodal na ścianie, wrzucił monetę i poprosił, aby połączyć go z telegrafistką.

Widział, jak podniosła słuchawkę.

– Halo? To pan? Dobrze, w takim razie proszę podyktować adresy.

– Są zapisane na blankiecie, który leży przed panią.

– Wszystko jedno, dyktujcie! Takie są zasady.

Dziennikarze współczująco klepali Seiberta po plecach.

– Nie wszyscy mogą zwyciężać we współzawodnictwie socjalistycznym!

Niemiec się rozeźlił i obiecał, że „im wszystkim jeszcze pokaże”.

Klim dotarł do domu o ósmej, otworzył drzwi wejściowe i zamarł ze zdumienia. Tania i Kitty schodziły właśnie po schodach tyłem, ciągnąc za sobą górę rzeczy zawiązanych w obrus.

– Tak, miłe panie... A cóż tu się wyprawia?

Kitty poprawiła opadającą na oczy czapkę.

– Razem z Tanią zwalczamy twoje drobnomieszczaństwo!

Z tłumoka wyleciał kryształowy kubek, uderzył o stopień i rozleciał się w proch.

– Własność prywatna psuje człowieka! – krzyknęła Tania. – Żyjecie wśród wazoników i serwetek, nie zauważacie, jak wroga psychologia opanowuje waszą świadomość!

Nie mówiąc ani słowa, Klim chwycił tobół i taszczył go z powrotem.

– Idź do domu, bardzo proszę – rzucił przez ramię, a potem nie wytrzymał i dodał: – Żeby nawet ślad po tobie nie został!

A potem poszedł na górę.

– Tato! – chlipnęła Kitty i puściła się biegiem za nim.

Klim przepuścił ją do mieszkania i zatrzasnął drzwi.

Wokół panował chaos. Afisze kinowe i zasłonka zostały zerwane, książki wały się na podłodze, jak po gruntownej rewizji. Ze złości na Tanię Klimem aż trzęsło. Leczyć by ją trzeba, przecież to dziewczysko jest całkiem nienormalne!

Ale zaraz doszedł do przekonania, że dwunastolatka nie powinna chodzić sama nocą po mieście. Wyszedł na schody.

– Tania!

Ale w sieni już jej nie było, na podwórzu też.

– Tania!

Wrócił do domu, wziął Kitty na rękę, usiadł z nią na kanapie.

– Rozumiem, że chciałyście dla mnie dobrze... Ale rozejrzyj się. Jest lepiej czy gorzej, niż było?

Kitty objęła go za szyję i się rozplakała.

– Jeśli chcesz, to pójdę do kąta.

– Lepiej pójdziemy się myć i spać. Swojego pokoju tak nie urządziłaś?

– Neeee... Koników było mi szkoda.

– No widzisz sama! Nie można brać cudzych rzeczy bez pytania.

Kitty kiwnęła głową.

– Rozumiem już. Mnie i tobie nie wolno niczego zabierać, ale Elkinowi już tak. Bo to nepman i przestępczy element!

– Kto ci to powiedział? – jęknął Klim. – Znów Tania?

– Tak...

– Nie słuchaj jej!

Klim nie wiedział, co robić. Barbarzyństwo i głupota otaczały Kitty ze wszystkich

stron, więc chcąc nie chcąc, musiała je chłonać.

Przyjaźń z Tanią należało zakończyć. Bałagan w mieszkaniu to drobiazg. Potem przyjdzie czas na donosy albo jeszcze coś gorszego.

Kiedy Tania wróciła do domu, matka już spała, więc udało jej się przekraść do szafy niepostrzeżenie. Następnego ranka nie powiedziała nic o tym, co się zdarzyło, i pobiegła do szkoły.

Ależ była zła na wujka Klima! Nie miał prawa kaleczyć niewinnej psychiki Kitty!

Gdyby Tania było dorosła, nalegałaby, aby zabrać Rogowowi prawa rodzicielskie i uczynić małą dzieckiem pionierskiej drużyny. Mogłaby mieszkać u Tani, a wówczas wyrosłaby z niej prawdziwa bolszewiczka!

Ale co mogła zrobić dziewczynka, której nawet nie przyjęli do pionierów?

Po lekcjach było posiedzenie kolegium redakcyjnego. Tani zlecono opracowanie gazetki ściennej na trzydziestopięciolecie literackiej pracy Maksyma Gorkiego.

Wydano jej największy z największych skarb – wielki karton kreślarski i akwarelowe farby.

– Pilnuj ich, bo to ostatnie – uprzedził Wadik. – Jeśli dobrze się sprawisz, dam ci pozytywną opinię na radzie oddziału.

Tania obiecała, że postara się, najlepiej jak umie.

Po powrocie do domu wzięła się do pracy. Najpierw wypisała nagłówek „Pionierzy Gorkiemu”, potem starannie nakleiła artykuły szkolnych korespondentów, a następnie przerysowała z gazety winietkę składającą się z płomieni i pionierskich krawatów. W środku wypisany był apel:

Niech zginą wszyscy ciemżyciele i żądni krwi kaci w zamieci socjalistycznej rewolucji! Niech rozleci się na kawałki czaszka kapitału, przez wieki rzucająca wstrętny cień na egzystencję ludu pracującego!

Wyszło bardzo ładnie.

W lewym dolnym rogu zostało nieco miejsca. Tania postanowiła umieścić tam ważny projekt:

REFORMA JĘZYKA ROSYJSKIEGO

My, pionierzy-nowatorzy, proponujemy, aby zmienić formę powitania. Zamiast „Czołem” pozdrawiać się „Leninem”!

Podpisy pod apelem o reformę zbiera towarzyszka Tania Dorina.

Drzwi otworzyły się, do pokoju weszła matka. Chwyciła Tanię za kołnierz, wywlokła ją z za stołu i wymierzyła córce solidny policzek.

– Za co?! – zawyła Tania.

– Już ja ci pokażę, za co! Gadaj, złe nasienie, po coś niszczyła mieszkanie Rogowów?!

Tania się cofnęła.

– Wujek Klim jest zdrajcą socjalizmu – zaczęła drżącym głosem. – Też mi wykształcony człowiek! A na ścianach ponawieszał burżujskich mord!

– Ja ci dam burżujskie mordy!

Oszalałe spojrzenie matki zatrzymało się na gazetce ściennej.

– Mamusiu, nie wolno! – zapiszczała dziewczynka.

Ale było już za późno: matka rozerwała papier na kawałki, rzuciła na podłogę i zaczęła deptać.

– To żebyś wiedziała, co znaczy ruszać cudze rzeczy!

Rozcięła sobie rękę o krawędź arkusza i na palcach pojawiła się krew.

– Zejdź mi z oczu!

Tania zanurkowała do szafy. Słyszała, jak matka padła na ławkę i gorzko zapłakała.

– Głupia! Dopięłaś swego! Powiedział, że więcej nie puści do nas Kitty, bo masz na nią zły wpływ!

– Jak to? – Tania aż wysunęła się z szafy.

– Zamknij drzwi! – wrzasnęła Gala. – Bo jak Boga kocham, sama cię nimi przytnę!

Tania wbiła nos w materac. Jak teraz iść do szkoły? Jak wytłumaczyć się, gdzie jest gazetka? Wyjść przed szereg i powiedzieć: „Moja matka to jednostka zacofana i niedorozwinięta społecznie”? Och, nie... Od razu zaczną się pytania, kim jest z pochodzenia, gdzie pracowała do października 1917... Matka mówiła, że mieszkała za granicą i pomagała rewolucjonistom, ale to nie wydawało się prawdopodobne. Bo skąd u niej te burżuazyjne nawyki, te różne domki dla ptaszków i kaktusy?

A jakim potworem okazał się wuj Klim! Donosiciel i łajdak... Jak można zabraniać dzieciom bawić się ze sobą? Czy nie szkoda mu własnej córki?

Kitty była najdroższą istotą dla Tani. Tylko ona ją rozumiała, wszystko jej można było powiedzieć. Jadły z jednego talerza, żeby było mniej zmywania, lepiły bałwany, siedziały wieczorami na parapecie i wyobrażały sobie, że wszystko dookoła wygląda inaczej.

Odrapane domy przekształcały się w piękne budynki ze szkła i betonu, drewniane szopy w eleganckie kioski, a rozwieszane na podwórzu pranie we flagi republik radzieckich.

Mleczarz, ciągnący na sankach oblodzoną bańkę, stawał się słynnym badaczem Dalekiej Północy. Podchodził do niego sąsiad Mitrofanycz, a Kitty chciała, żeby on też stał się polarnikiem, ale Tania go nie lubiła, dlatego Mitrofanycz zostawał jedynie psem pociągowym.

Potem dziewczynki wyjeżdżały na wyprawę za płot – szukać meteorytu tunguskiego.

Czyżby to wszystko miało się skończyć?

Rozdział 17

Moskiewski Akademicki Teatr Artystyczny

Wyjazd Oscara okazał się owocny. Mógł się upewnić, że jego żona jest rzeczywiście bogatą dziedziczką, polecił więc adwokatom w Berlinie i Sztokholmie załatwić sprawy z jej dokumentami.

Teraz musiał znaleźć sposób, jak wywieźć za granicę drogocenną małżonkę. Brehmerowie mieli w Niemczech krewnych, a kiedy ci wyczuli, że Oscar zamierza upomnieć się o spadek, zażądali okazania im Niny i dowodów, że jest naprawdę tą, za którą się podaje.

Reich bez większego trudu wyrobił jej papiery w ambasadzie amerykańskiej i teraz pozostało tylko zdobyć od czekistów wizę wyjazdową.

Od razu z dworca udał się więc na Łubiankę do swojego starego znajomka, Gleba Arnoldowicza Drachenbluta, naczelnika Wydziału Zagranicznego OGPU.

Smagła sekretarka wpuściła Oscara do przestronnego gabinetu z portretami wodzów na ścianach. Mimo dnia, okna były zasłonięte ciężkimi portierami, tylko przez wąskie szpary w tkaninie do pomieszczenia wpadały cieniutkie promyki światła.

Lampa z zielonym abażurem oświetlała zawalone papierami biurko, telefony wewnętrznej łączności i bladego, szczupłego człowieka o wysokim czole i rzadkich jasnych włosach.

Oscar rozpląnął się w uśmiechu i wyciągnął rękę.

– Jak się miewacie?

Ale Drachenblut nie odpowiedział na powitanie, wskazał tylko krzesło pod ścianą.

– Siadajcie.

Długo ślęczał nad jakimiś żółtymi karteczkami, skubał wąsy i poprawiał środkowym palcem zsuwające się okulary.

Z każdą chwilą napiętej ciszy Oscar czuł się coraz mniej pewnie. Po raz kolejny pomyślał, że nazwisko bardzo pasuje naczelnikowi Wydziału Zagranicznego. W przekładzie z niemieckiego znaczyło ono „smocza krew”.

W początkach poprzedniego wieku jego przodkowie z pewnością mieszkali w Austrii, gdzie cesarscy urzędnicy wpisywali Żydom w dokumenty, co im się tylko podobało. Bogatsi płacili łapówki i dostawali nazwisko na przykład Rosenfeld, czyli „różowe pole”, albo Goldfaden, to znaczy „złota nić”. Średnio zamożni dostawali nazwiska w rodzaju Weinstein – „winny kamień”, a biedak mógł się okazać Rottenbergiem – „zgniłą górą”, albo właśnie Drachenblutem.

Wreszcie Gleb Arnoldowicz odłożył na bok karteczki i wpatrzył się w gościa szaroniebieskimi oczami.

– Bardzo dobrze, że zaszliście do mnie – powiedział sucho. – Mam na was skargi.

– Od kogo?

– Nieważne. Zaproszono was do Związku Radzieckiego i zabezpieczono warunki do pracy, żebyście przyciągali do nas zagraniczny kapitał. A co mamy w rezultacie? Wiecie, jaki jest u nas udział zagraniczny w przemyśle? Sześć dziesiątych procent.

Oscar próbował mówić spokojnie.

– Nic nie mogę poradzić na to, że wasz rząd bez przerwy konfliktuje się z całym światem. Po wydarzeniach w Chinach Waszyngton nawet nie zająknie się, żeby uznać ZSRS.

– Nie zdołaliście więc przekonać waszych kongresmenów, że należałoby ułożyć sobie z nami stosunki? W Stanach Zjednoczonych jest podobno demokracja, a amerykańscy robotnicy nas popierają. Powinniście nacisnąć na polityków!

Boże drogi... Jacy robotnicy?! Jacy kongresmeni?! Na Kremlu i Łubiance widzieli Stany Zjednoczone przez pryzmat doniesień agentów, którzy pisali w swoich depeszach właśnie to, co chciało przeczytać kierownictwo, oraz to, co im samym się żywnie podobało.

Jeśli napiszesz, że robotnicy takiej a takiej fabryki gotowi są podnieść bunt, z pewnością dostaniesz pieniądze na pracę rewolucyjną. Potem zdajesz sprawozdanie, że wszystko zostało wydane na sprawę, i kto udowodni, że łżesz jak pies, a środki przehulałeś na dziwki i hazard?

Sowieci nie mogli nic zaproponować amerykańskiemu farmerowi i robotnikom, bo ci nie marzyli o światowej rewolucji, ale o własnym domu, samochodzie i zwycięstwie ukochanej drużyny. O socjalizmie bredziła tylko lewacko nastawiona inteligencja, która nasłuchiwała się propagandy Kominternu, ale pojęcia nie miała, jak żyją ludzie w ZSRS.

Ale przekonywać o czymkolwiek Drachenbluta nie miało najmniejszego sensu.

– Ministerstwo handlu Stanów Zjednoczonych wypuściło biuletyn, w którym napisano, że w krótkim czasie gospodarka radziecka musi runąć – zaczął się usprawiedliwiać Oscar. – Wszyscy poważni biznesmeni czytają takie informacje i wierzą w nie bez zastrzeżeń.

– Mieliście kilka lat na to, żeby wykazać swoją przydatność – rzekł Drachenblut, mrużąc oczy. – Nie sprawdziliście się, więc trzeba was będzie zlikwidować.

– To znaczy co?! – przeraził się Oscar.

– A co wy od razu tak nerwowo? Nie w takim sensie. Po prostu zamykamy wasze przedsiębiorstwo. Przerzucamy się na gospodarkę centralnie planowaną. Zbierzemy dane o możliwościach i potrzebach w kraju, a potem zdecydujemy, co kto ma robić. Nie będzie dla was już miejsca w naszym systemie.

– Nie możecie zamknąć mojej fabryki! – krzyknął Oscar. – Mam podpisaną umowę z Głównym Komitetem Koncesyjnym!

Gospodarz wyjął z szuflady teczkę i odszukał w niej odbitą przez kalkę kartkę.

– Wiecie, co to jest? Notatka służbowa zastępcy przewodniczącego OGPU, Gienricha Jagody. Zawiadamia w niej członków Komitetu Centralnego partii, że zagraniczny personel w waszej fabryce składa się ze szpiegów.

Oscar przełknął ślinę. Wszystko jasne. W czasie trudności ekonomicznych czekał mieli mniejsze zarobki. W niektórych miesiącach na Łubiance nawet wstrzymywano wypłaty. Mogli poprawić swoje położenie tylko dwoma sposobami: albo zastraszyć dyrektorów przedsiębiorstw i zmuszać ich do płacenia haraczy, albo napomknąć na Kremlu, że wszędzie czają się wrogowie, aby państwo przeznaczyło więcej środków na walkę z nimi.

– Podam do sądu... – zaczął drżącym głosem Reich.

Drachenblut spojrział na niego z uśmiechem.

– Proszę bardzo! Możecie nawet wypowiedzieć nam wojnę.

Wyszedł zza biurka, podszedł do Oscara i położył mu rękę na ramieniu.

– Posłuchajcie. Nie jestem waszym wrogiem, więc jeśli nam pomożecie, ocalę was przed Jagodą. Musimy sprzedać dużą partię drewna za granicę. Waluta jest potrzebna, nie ma zmiłuj! Niemcy teraz rozbudowują kolej żelazną i potrzebują podkładów, ale w radzie nadzorczej siedzą tam wrogowie Związku Radzieckiego, którzy nie chcą z nami rozmawiać. Musimy znaleźć pośrednika, który wszystko załatwi. A ja wiem, że macie znajomości w Berlinie. Jeżeli się wywiążecie z zadania, zrobię tak, żeby nie odebrano wam fabryki, i rozstaniemy się jak przyjaciele.

Nikt jeszcze nie rozmawiał z Reichem w tak bezczelny sposób!

– A pomyśleliście, czym ta historia skończy się dla was? – wycodził z wściekłością.

– Po takim rabunku nie zdołacie przyciągnąć do kraju ani jednego biznesmena!

Gleb Arnoldowicz wzruszył ramionami.

– Jak sobie chcecie.

Znów usiadł przy biurku i wyjął z teczki jeszcze jedną kartkę.

– A tak przy okazji, mamy historię pewnego błyskotliwego młodego człowieka. Uczył się na farmaceutę w Nowym Jorku, a pewnego razu postanowił dosypać środków nasennych do picia swojej znajomej. Inaczej nie chciała pójść z nim do łóżka. Młody człowiek zgwałcił ją, ale niestety jego wybranka już się nie ocknęła. Otrzymała śmiertelną dawkę.

Oscarowi pociemniało w oczach. Jak czekał poznali tę historię?!

– Wszystkim opowiadacie, że wyjechaliście do Rosji, chcąc pomagać głodującym, ale w rzeczy samej musieliście się ukryć przed policją stanu Nowy Jork. Tylko dlatego skorzystaliście z propozycji Trockiego. Wasz ojczulek zrobił tak, że zamiast was poszedł siedzieć ktoś inny, ale jeżeli zaczniecie rzucać nam kłody pod nogi, będę musiał przypomnieć sobie o tym wszystkim i zacznie się skandal w prasie. Jak wam się podoba nagłówek: „Znany czerwony milioner gwałcicielem i mordercą”?

Oscar patrzył w milczeniu na wytarty dywan pod nogami. W jego głowie pulsowała tylko jedna myśl: Koniec ze mną...

– Więc jak? Zajmiecie się naszym drewnem? – spytał Drachenblut.

Oscar powoli pokiwał głową.

Nawet nie próbował prosić o wizę dla żony. Czekał na pewno zechcą pozostawić ją w Związku Sowieckim jako zakładniczkę, dopóki on nie wywiąże się z zadania.

Oscar chodził z Niną do Teatru Wielkiego, będącego ostoją sowieckiej arystokracji, a Elkin pokazał jej inne oblicze teatralnej Moskwy.

– Co tam wystawiają w Wielkim? – krzywił się. – *Czerwony mak!* I to nazywają sztuką?

Nina widziała ten balet i rozbawiło ją, że bolszewicy nawet baleriny zmuszali do walki ze światowym imperializmem. *Czerwony mak* opowiadał o sowieckich bladolicich braciach, wyzwalających biedny chiński lud od angielskiego jarzma. Twórcy tego przedstawienia nie zdawali sobie nawet mgliście sprawy, jak bardzo obrażają Chińczyków, którzy swoje Państwo Środka uważali za centrum mądrości i kultury. Już sam tytuł wydawał się komiczny, jako że w Chinach mak nie był znakiem rewolucji, lecz narkomanii, gdyż z niego produkuje się opium. A w Wielkiej Brytanii z kolei przyjęto go jako symbol ofiar Wielkiej Wojny.

Elkin zawiózł Ninę do Moskiewskiego Akademickiego Teatru Artystycznego na *Dni Turbinów*, sztukę o białogwardyjskich oficerach – namiętnych, patriotycznych, mądrych i utalentowanych ludziach, którzy stracili wszystko w czasie wojny domowej. Sowieccy krytycy zrównali ten spektakl z ziemią i nazywali dnem, jednak przedstawienie cieszyło się wielką popularnością i odniosło komercyjny sukces. Chodziło na nie mnóstwo moskwian, niektórzy po kilka razy, a potem w czasie rozmów przerzucali się cytatami ze sztuki.

Zgodnie z bolszewicką ideologią szczęście człowieka powinno się zawierać w kolektywnej pracy i walce z wrogami, a bohaterami epoki stali się męczennicy rewolucji o żelaznych charakterach. W *Dniach Turbinów* mówiło się zaś o prawdziwych ludziach – żywych, wąpiących i kochających nie partię wraz z proletariatem światowym, lecz siebie nawzajem.

Nina z Elkinem siedzieli w trzecim rzędzie. Obserwowała widzów, ich oczy – rozszerzone i wstrząśnięte. Sala zamarała, jakby obecni patrzyli na niebываły cud. Przecież taka sztuka nie miała prawa bytu w bolszewickiej Rosji.

Po spektaklu ludzie schodzili w milczeniu do foyer, wciąż jeszcze przeżywając widowisko.

Elkin pokazał Ninie autora sztuki, Michaiła Bułhakowa, który minął ich na schodach. Był to smutny mężczyzna z zaczesanymi do tyłu jasnymi włosami i staromodnym monoklem w prawym oku.

– Ostatni Mohikanin! – oznajmił drżącym głosem księgarz. – Kierownictwo znosi go tylko dlatego, że przynosi wielkie zyski. Takich pisarzy już nie ma.

– Dlaczego? – zdziwiła się Nina.

– Nie ma porządnej szkoły, nie istnieje przekazywanie tradycji literackich przez pokolenia, nie ma wolności słowa, nawet takiej marnej jak za cara.

– A co z Michaiłem Szołochowem? W czasopiśmie „Październik” zaczęli drukować *Cichy Don*. To przepiękna powieść! Wie pan, że autor ma zaledwie dwadzieścia

trzy lata i prawie całe życie spędził w kozackiej stnicy?

Elkin zatrzymał się, skrzywił usta.

– Proszę sobie wyobrazić najbardziej utalentowanego mechanika samouka, który ma dwadzieścia trzy lata i który przez całe życie nie zbudował żadnej złożonej maszyny. Da radę skonstruować automobil taki jak moja Maszka?

– Nie wiem... – Nina wzruszyła ramionami. – A co, jeśli człowiek ma talent?

– A czy dwudziestotrzyletni architekt bez wykształcenia zdoła zaprojektować wysokościowiec? – ciągnął Elkin coraz głośniej. – Da radę uliczna tancereczka, choćby obdarzona największym talentem, wystąpić w Teatrze Wielkim? *Cichy Don* to nadzwyczajnie złożony utwór! Widać tam szkołę, doświadczenie życiowe i mistrzostwo, które szlifuje się przez dziesiątki lat. To cudowne dziecko jest mistyfikacją, która ma na celu udowodnić, że ledwie gramotny wiejski chłopak może przewyższyć hrabiego Tołstoja. Bolszewicy chcą pokazać, że kucharka może rządzić krajem i tworzyć arcydzieła, ale przecież to kłamstwo! Zapewniam panią, że Szołochow nie stworzył tej powieści.

– Dobry wieczór – powiedział po angielsku znajomy głos.

Nina obejrzała się i zmartwiała. Za jej plecami stali Oscar z Jefimem.

– Pańska żona każdego dnia lata do tego typu – zameldował Jefim, wskazując Elkina. – Śledziłem ich.

Oscar chwycił Ninę pod łokieć.

– Ubieraj się i do samochodu!

– Mister Reich, to nie jest tak, jak pan myśli! – zawołał Elkin, ale tamten nie zaszczycił go nawet spojrzeniem.

Po przyjeździe do domu Oscar urządził straszliwą awanturę z oskarżeniami o zdradę i niewdzięczność. Nina powinna odpierać wszelkie ataki i postarać się uspokoić Reicha, ale nie znosiła, żeby na nią krzyczeć.

– Nie będziesz mi mówił, co mam robić! Odchodzę! – wycedziła i poszła.

Dogonił ją i tak mocno pchnął w plecy, że uderzyła głową w marmurowy parapet.

Dwa tygodnie przeleżała prawie bez ruchu. Lekarz powiedział, że doznała złamania kości czaszki i uszkodzenia mózgu.

– Co za szalenciec! – warczała Teresa, kładąc chorej kompresy, które sama przygotowywała. – A pani też dobra! Po co było doprowadzać go do takiego stanu?

Oscar przeproszał i zapewniał o swojej wielkiej miłości.

– Nikomu cię nie oddam! – mówił i kładł na szafkę przy łóżku kolejny bukiet. – A jeśli kto na ciebie spojrzy, skręcę mu kark!

Za każdym razem, kiedy Reich wchodził, Nina kuliła się, jakby oczekiwała ciosu. A on wkładał rękę pod kołdrę i kobieta kamieniała z bezsilnej wściekłości. Ten człowiek mógł z nią zrobić, co mu się spodoba – zgwałcić, pobić czy nawet zamordować – i nie poniesie konsekwencji. A ona nie miała dokąd pójść.

Każdego dnia postanawiała, że sprawdzi, co się dzieje z Elkinem, ale nie mogła się zmusić, aby zatelefonować do Moskiewskiej Sawanny. Nie tyle czuła obawę przed gniewem Oscara, co nie chciała się dowiedzieć, że zrobił z jej przyjacielem coś straszego.

Dopiero po miesiącu odważyła się wyjść z domu i zachowując wielką ostrożność, poszła na Czyste Prudy.

Śnieg zaczął tajać, w głębokich koleinach czerniała woda, a na stuletnich brzożach krzyczały gawrony.

Podeszła do tylnej furtki prowadzącej na podwórze Moskiewskiej Sawanny, pochyliła się i zajrzała przez dziurę w płocie.

Wewnątrz stała ubłocona ciężarówka z koślawym napisem na burcie: „Inspekcja robotniczo-chłopska”. Pod kierownictwem dziewczyny w czerwonej chuście na szyi młodzi ludzie wrzucali na skrzynię przewiązane sznurkiem pakiety książek.

– Dokąd taszczycie Burroughsa?! – krzyczała dziewczyna. – Ten wóz pojedzie do Biblioteki Presnieńskiej, a tam nie potrzebują zagranicznego chłamu! I Locke tu niepotrzebny! Powiedziałam już, że co zbędne, to spalić!

Po chwili pośrodku podwórza zapłonęło wesołe ognisko. Młodzi ludzie wrzucali w nie coraz to nowe książki, a dziewczyna grzebała w płomieniach kijem od miotły.

Podmuch wiatru przeniósł nad płotem jakąś stronicę, zupełnie czarną, podobną do zmęczonego nietoperza. Nina dotknęła jej czubkiem buta, a papier rozsypał się w proch.

Furtka się otworzyła i na ulicę wyszedł Afrykan z wiadrem na śmieci.

– Przepraszam, gdzie jest Elkin? – spytała Nina.

Afrykan zmarszczył krzaczaste brwi i zasapał.

– Nie ma go. Wyjechał dokądś. Zamknęli jego sklep, powiedzieli, że pracował w zakazanym prywaciarzom czasie i stanowił konkurencję dla państwowych księgarń.

– To co teraz tutaj będzie?

– Burdel! – warknął Afrykan. – Cały parter został skonfiskowany przez państwo. Kogo nam tutaj dosiedlą, nie wiadomo. Dobrze jeszcze, że pan samochód zabrał. Przed odjazdem Elkin dał mu klucz do szopy.

Afrykan poszedł do śmietnika, a Nina jeszcze długo stała pośrodku uliczki, ogłuszona poczuciem winy i bezradności. Nie mogła mieć najmniejszych wątpliwości, że to Oscar przysłał tutaj inspekcję.

Nina podniosła wzrok na okna drugiego piętra, ale za kolorowymi szybami nic nie było widać.

Nie mam prawa starać się o spotkanie z Klimem – pomyślała z rozpaczą. – Wszystkim przynoszę tylko nieszczęście.

Rozdział 18

Sowieccy kapłani

Gala straciła cały tydzień, żeby zrobić porządek po córce, ale nie udało się umocować wyrwanych „z mięsem” karniszy. W Moskwie nie można było dostać ani zaprawy tynkowej, ani kołków.

Klim i tak nie zmienił postanowienia i od tego czasu Kitty nie wolno było się bawić z Tanią.

– Zrozum, że moja córka pójdzie do europejskiej szkoły! – powiedział. – I tak będzie miała problemy w związku z wyglądem i pochodzeniem, a jeśli na dodatek zacznie tam „walczyć z drobnomieszczaństwem”, zaraz ją wyrzucą.

Jego słowa przeszywały serce kobiety jak nóż. Klim nie miał najmniejszego zamiaru adoptować Tani ani też umieścić jej w dobrej szkole.

W porywie rozpaczy powiedziała córce, co narobiła.

– Teraz już za nic nie zabierze nas do Europy!

– A po co miałyby nas zabierać?! – przeraziła się Tania.

Nagle do niej dotarło, o co chodzi.

– Zgłupiałaś całkiem?! – wrzasnęła na matkę. – Też sobie znalazłaś chłopca do zakochania! Przez niego nie zrobiłam gazetki ściennej i nie przyjmą mnie do pionierów!

Tania była przedłużeniem Ałowa – zniekształconym, karykaturalnym, ale równie pełnym fałszywych wartości i historycznej nienawiści do wszystkiego, co nieznanne. To dziecko nie chciało wiedzieć, że istnieje cokolwiek poza granicami otaczającego je małego świata.

Gala długo myślała, co powinna zrobić, aż wreszcie zdecydowała.

– A gdybyś mogła pójść do artystycznej szkoły w Leningradzie? – zapytała. – Z całego Związku Radzieckiego przywożą tam dzieci, które mają talent do rysowania. Kiedy zdasz egzaminy końcowe, od razu możesz wstąpić do Wyższego Instytutu Artystyczno-Technicznego.

Ku jej zdziwieniu Tania się zgodziła i teraz Gala z drżącym sercem myślała o przyszłości. Jeżeli zapewni dziecku przyszłość, nic nie będzie stało na drodze jej osobistego szczęścia.

Tak, jestem złą matką – wyrzucała sobie, choć bez wielkiego zapału – ale co jeszcze mogę zrobić dla Tani?

Klim powiedział, że latem dostanie krótki urlop, i Gala marzyła, że wynajmie pod Moskwą dachę, w której będą mieszkać, zapomniawszy o pracy, polityce i kłopotach.

Bardzo chciała wierzyć, że do tego czasu Klim chociaż odrobinę pogodzi się ze śmiercią żony. Smuga cienia na jego życiu kończyła się, jako że Wajnsztajn dał do zrozumienia, iż jest gotów dojść do zgody, Elkin oddał Klimowi samochód na warunkach „kiedyś się rozliczymy”, a oddział finansowy w Londynie zgodził się pokryć ten zakup w okolicach sierpnia.

Do tego w Związku Sowieckim wreszcie zaczęły się dziać rzeczy godne pierwszych stron gazet na całym świecie. Proces szachtyńskich sabotażystów mógł

przynieść Rogowowi sławę i pieniądze. Miało w nim uczestniczyć czterdziestu dwóch oskarżycieli, piętnastu obrońców i pięćdziesięciu oskarżonych. Na salę rozpraw przydzielono legendarną Salę Kolumnową obecnego Domu Związkowego, a byłego Zgromadzenia Szlacheckiego, w której tańczyły Tatiana Łarina z *Eugeniusza Oniegina* oraz Natasza Rostowa z *Wojny i pokoju*. Odbywały się tutaj wszelkie możliwe zjazdy i uroczystości pożegnalne ważnych nieboszczyków – od Lenina do Frunzego, przewodniczącego Rewolucyjnego Komitetu Wojennego.

Długo przed rozpoczęciem posiedzeń prasa zaczęła przygotowywać ludzi do nadchodzących wydarzeń. W czasopiśmie ukazywały się artykuły o katastrofalnej sytuacji w przemyśle wydobywczym i o roli starych specjalistów w doprowadzeniu kopalni do ruiny. Aby informacje o tym trafiły nawet do analfabetów, postanowiono nadawać je przez radio i niebawem na wielu moskiewskich ulicach pojawiły się słupy z głośnikami.

Bolszewicy szykowali prawdziwy „proces stulecia” i Klim powinien się cieszyć, że szczęście samo pcha mu się w ręce, a jednak był niezadowolony.

– O co chodzi? – dopytywała ostrożnie Gala.

Klim dał jej w końcu gazetę z 14 kwietnia 1928 roku, w której opublikowano mowę Stalina:

Fakty potwierdzają, że „sprawa szachtyńska” to ekonomiczna kontrrewolucja, zaplanowana przez burżuazyjnych specjalistów władających wcześniej przemysłem węglowym. Ponadto wiadomo, że ci specjaliści, zorganizowani w tajną grupę, otrzymywali pieniądze na swoją działalność od dawnych właścicieli kopalń przebywających obecnie na emigracji oraz od kontrrewolucyjnych antyradzieckich organizacji na Zachodzie.

– Wszystko już zostało postanowione – powiedział Klim. – Nikt nie wątpi teraz, że oskarżeni są winni.

– A ty wątpisz? – zdziwiła się Gala.

– A ja bym chciał zrozumieć...

Nie dokończył zdania. Cokolwiek by Gala zrobiła i jak bardzo by się starała pomóc Klimowi, i tak widział w niej potencjalną donosicielkę, przy której nie należy zbyt wiele mówić. Podejrzewała, że właśnie dlatego nie jest w stanie jej pokochać. O czym tu mówić, jeśli się komuś nie wierzy?

Gdyby Gala zwolniła się z OGPU, Klimowi podsunęto by inną asystentkę. To było błędne koło – nie mogła rzucić urzędu tak długo, aż Klim się z nią ożeni, a on nie zamierzał się z nią wiązać właśnie dlatego, że pracowała dla czekistów.

Aby Tanię przyjęto do szkoły artystycznej, należało zdobyć skierowanie z komitetu związków zawodowych. Gala poszła tam, ale nikt nie potrafił jej powiedzieć, kto za to odpowiada.

Na Łubiance panowała gorączka. Z góry przyszedł rozkaz o konieczności dokonania czystek. Trzeba było określić, kto z pracowników OGPU nie wykazuje zapału do walki z kontrrewolucją.

To samo działo się we wszystkich przedsiębiorstwach. W kraju nie istniała ani jedna dobrze prosperująca branża, więc dyrektorzy, nie czekając na własną „sprawę szachtyńską”, brali inicjatywę we własne ręce. Skoro nic się w ich zakładzie nie udaje, musi to być wina sabotażystów!

Czystka w OGPU nie została jeszcze ogłoszona, ale przyjaciółki Gali z kancelarii wyrzucały już zagraniczne żurnale, konfiskowane u nepmanów, i chowały wszystko, co mogło świadczyć o ich ciągłych do burżuazyjnej egzystencji. Żadnych więcej pocztówek z zagranicznymi artystami, żadnych wymyślnych dzianin w miejscu pracy, żadnego gadania o tym, jak zrobić permanentny makijaż w domowych warunkach. Czekiści przychodzili do pracy odprasowani i pełni werwy, a wszystkie rozmowy dotyczyły konieczności osądzenia wrogów i poparcia linii partii.

Sekretarka Eteri Bagratowna szepnęła Gali, że Drachenblut każdego dnia dostaje całe paczki donosów. Ze strachu przed zwolnieniem czekiści zaczęli demaskować kolegów, którzy mogli im zaszkodzić w czasie czystki. Liczba spraw przeciwko pracownikom OGPU rosła jak na drożdżach. Każdemu można było coś zarzucić – jeden zabrał linijkę z pracy, drugi otrzymał nienależne skierowanie, trzeci coś kiedyś powiedział dobrego o opozycji.

Gala zaszła do Ałowa. Siedział na parapecie i malował żarówki lakierem do paznokci. Pokój wypełniała dusząca woń rozpuszczalnika.

Ałow spojrzał na Galę z niezadowoleniem.

– Co się tak gapisz? Podpisuję żarówki z naszego korytarza. Co trochę ktoś przyłazi, wykręca nowe, a wkręca zepsute. Kierownik gospodarczy zagroził, że napisze na nas raport.

Gala popatrzyła na pół tuzina żarówek z krwistoczerwonym napisem „Skradziono w OGPU”.

– A skąd masz lakier?

– Diana Michajłowna dała. „Ich wysokości” zrobiły zebranie i postanowiły, że więcej nie będą malowały paznokci. Co u ciebie nowego?

Gala opowiedziała, że do lokalu po Moskiewskiej Sawannie wprowadziła się społeczna organizacja Liga Czasu. Jej członkowie, chudzi i zagłodzeni studenci, „naukowo organizowali pracę”, starali się nie spóźnić i wszędzie chodzili z książeczkami, w których zapisywali, co o której godzinie robili.

– Rogow nie wspominał więcej o Kupinie? – przerwał jej Ałow.

– Nie, ani razu.

– Szkoda! Powinnaś, sikoreczko, jakiś spisek odkryć... Bo przyjdzie czystka, a ty nie będziesz miała co powiedzieć. Przyglądaj się uważniej swoim cudzoziemcom, dobrze?

Gala się przestraszyła. Jeszcze tylko brakowało, żeby Ałow zmuszał ją do donoszenia na Klima!

Popatrzył na nią z uwagą.

– Coś taka skwaśniała? Ten twój Rogow cię nie krzywdzi?

– Ależ nie! – Gala pospiesznie zmieniła temat. – Przyszłam w sprawie Tani. Chciałaby iść do szkoły artystycznej z internatem w Leningradzie, ale trzeba skierowania ze związków. Pomożesz?

Pokazała Ałowowi rysunki córki, a on się zdziwił.

– W kogo się wrodziła? Pewnie, że pogadam, z kim trzeba... A nie będziecie za sobą tęsknić?

– Oczywiście, że będziemy, ale czego się nie robi dla dziecka.

Ałow położył jej rękę na ramieniu, a Gala się wzdrygnęła. Czyżby chciał ją znów wykorzystać? Tylko nie to!

– Nie obraż się tylko na mnie, ale musimy przerwać nasze intymne spotkania – powiedział z wahaniem. – Zrozum mnie dobrze. Nie przestałem cię lubić, ale teraz nie czas na takie rzeczy. Niedługo zaczną się czystki, będą się czepiać wszystkiego. Głupio by było wylecieć ze służby za niski poziom moralny, prawda?

Gala omal nie rozplakała się ze szczęścia.

– Ależ oczywiście, wszystko rozumiem!

Ałow sam się wzruszył.

– Urządzamy sobie oboje nowe życie, sikoreczko, więc wszystko trzeba pozmieniać, nie może być jak do tej pory.

Gala opuściła jego gabinet jak na skrzydłach. Chwała Bogu, odczepił się! A jeśli z Tanią wszystko się ułoży, będzie w ogóle cudownie!

Wewnętrzny dziedziniec był zalany wiosennym słońcem, a pod ogrodzeniem żółciły się kwiaty podbiału, podobne do rozsypanych guzików.

– Witaj! – pozdrowił Galę Ibrahim.

Przy bramie aresztu stał nie jeden, ale trzy „wrony”. Drzwi jednego były pomazane krwią.

– Jaka cudowna pogoda! – zawołał wesoło Ibrahim. – Niedługo można będzie iść nad rzekę opalać się i kąpać!

Dokręcił brezentowy szlauch do sterczącego z ziemi kranu i zaczął polewać samochód.

Gala czym prędzej odeszła. Nie chciała myśleć o „wronach” i ludziach, którzy do nich trafili tej nocy. Z pewnością byli to jacyś spekulanci, a to nie dotyczyło ani jej, ani Klima.

Księga Umarłych

W poprzednim życiu Wajnsztajn z pewnością był kapłanem, i to wyższej rangi. Naprawdę uwierzył w moje nawrócenie na wiarę komunistyczną i zdarza nam się prowadzić długie rozmowy na „tematy teologiczne”.

Nie śmiem się przed tym uchylać, bo ważne, żebym znów stał się jednym z „przyjaznych dziennikarzy”. Tylko tacy będą otrzymywać specjalne materiały w czasie wielkiego procesu.

Wajnsztajn twierdzi, że w młodości był romantykiem i uważał, że cenzura i kłamstwa w prasie to okrutne zło. Z czasem jednak poglądy mu się zmieniły.

– Musicie się zdecydować, co jest wam potrzebne: rezultat czy walka o zasady jako takie – podśmiewa się ze mnie. – Przed Związkiem Radzieckim stoi zadanie. Musimy przenieść sto pięćdziesiąt milionów ludzi ze średniowiecza do współczesności. Naród u nas ciemny, a wszystkie te wasze „niezbywalne prawa człowieka” to dla niego pustosłowie. Z takim narodem trzeba rozmawiać jego językiem, żeby zrozumiał.

– A cóż to za język? – pytam.

– Przysłowia, porzekadła, zaklęcia i modlitwy. Musimy zjednoczyć lud i zmusić go do darmowej pracy. Nie dlatego, że jesteśmy chciwi, ale państwo nie ma pieniędzy i nie pojawią się one aż do tej pory, gdy zbudujemy własny przemysł.

Według Wajnsztajna czystki, które przeprowadza się w całym kraju, to rytualne oczyszczenie przed wielkim rozwojem industrializacji. Tak w dawnych czasach wojownicy przygotowywali się do bitwy: najpierw post, modlitwa i pokuta, a potem szarża na wroga z pełnym przekonaniem, że Bóg jest z nimi. I nierzadko nawet słabsi zwyciężali silniejszych, jako że siła ducha to wspinały oręż.

– Jeżeli cenzura zniknie i w gazetach zaczniesz pisać prawdę, to co będzie na koniec? – pyta mnie Wajnsztajn, ukrywając uśmiech w brodzie.

Muszę wtedy przyznać, że zaczęłoby się powszechne niezadowolenie.

– Jak ta wasza prawda miałaby nam pomóc rozwiązać problemy industrializacji? A może byście chcieli, żeby Rosja znów pogrążyła się w krwawym chaosie? Nie, drogi mister Rogow, tą drogą na pewno nie pójdziemy! Wybieramy inną.

Przy czym ta „inna droga” też nie błyszczy humanitaryzmem. Sowieckie gazety są dosłownie naszpikowane żądaniami, aby „unicestwić pasożytów”, „wyrwać żądło” i tym podobnie. Wrogowie – a dokładnie ci, których bolszewicy ogłosili wrogami – z zasady są pozbawieni ludzkich rysów. Tych „nie ludzi” nie należy żałować, gdyż są „chorymi pędami”, „chwastami” i „śmieciami, najzupełniej zbędnymi w naszym otoczeniu”. A zatem lud się nad nimi nie lituje.

Zgodnie z poleceniem Owena, regularnie chodzę na oczyszczające zebrania partyjne. Na wszystkich ujawnia się dziwne masowe zjawisko: ludzie kają się za grzechy, których w ogóle nie mogliby popełnić.

Możliwe, że Wajnsztajn ma rację – to nie może się odbywać bez czarów i hołdowania przesądom. Wielu wydaje się, że świat jest sprawiedliwy, więc bieda nie powinna dotyczyć „czystych” ludzi, a zatem jeśli ktoś się pokaja i uwolni od grzechów, może się w ten sposób zbawić. I nieważne przy tym, co jest prawdą, a co nie. To jest kontaktowanie się z niewidzialnymi wyższymi siłami, z którymi można się dogadać jedynie za pomocą obrzędów i magicznych formuł.

Wszystko to tak właśnie działa dlatego, że ludzie całkiem się pogubili. Wiarygodnych informacji nie ma już na żaden temat, wszystkie decyzje o losach kraju podejmuje się w tajemnicy, gdzieś w wysokich sferach, a prostemu człowiekowi pozostaje tylko modlitwa, aby boska błyskawica nie uderzyła właśnie w niego i jego bliskich.

Częściowo muszę się zgodzić z Wajnsztajnem – prawda potrafi być niszczycielska, ale w człowieku nie można przeciw dążeniu do jej poznania. Jeżeli nie jest w stanie poznać prawdy, zaczyna wymyślać rzeczy nieistniejące, a to nie rozwiązuje problemów. To jak z ranami – otwartą można wyczyścić i zaszyć, a wstrętny ropień ukryty we wnętrzu ciała będzie gnął i truł organizm.

Próbuję wytłumaczyć Wajnsztajnowi, że to drugie jest o wiele groźniejsze, ale on tylko kręci głową.

– To nieprawidłowa analogia. Jedziemy w pociągu pospiesznym, ponieważ musimy dogonić przodujące kraje kapitalistyczne. Nie możemy się nigdzie zatrzymywać, naszym zadaniem jest tak zadbać o państwową lokomotywę, aby bez komplikacji pobierała paliwo i kręciła kołami.

– A paliwo to ludzie? – uściślam.

Ale Wajnsztajna nie bardzo interesuje ta kwestia. Oczy mu płoną, zaplata delikatne, smagłe palce.

– Wy, korespondenci zagraniczni, możecie albo pomóc nam dokonać wielkiego skoku w przyszłość, albo nasypać piasku do silnika. Oczywiście go przemielimy, ale czy to taka dla was radość, żeby nasz kraj nadal znajdował się w ogonie Europy? Czy doprawdy życzyście nam źle?

– Nie, nie życzymy – odpowiadam, a twarz Wajnsztajna rozjaśnia uśmiech.

– To znakomicie! W takim razie nie należy skupiać uwagi na problemach. Niech wasi czytelnicy nas polubią, to jedyne, czego oczekujemy od Zachodu. A jeżeli będziecie siać w ludziach obrzydzenie i nienawiść, wszystko zakończy się nową wojną. Chyba nie chcecie wojny?

Jeżeli kiedykolwiek spotkam się z towarzyszem Stalinem, koniecznie muszę mu napomknąć, że Wajnsztajn powinien zostać patriarchą nowego bolszewickiego Kościoła Proletariackiego Ducha Świętego. Będzie z niego znakomity duszpasterz.

Wszyscy czekają na początek procesu szachtyńskiego. Wiele rzeczy jest niezrozumiałych: dlaczego tę sprawę rozdęli pod niebiosa i przygotowują ją z takim rozmachem jak Igrzyska Olimpijskie w Amsterdamie? Jaki jest sens takich działań? Czy to będzie akcja zastraszająca, czy rzecz pójdzie o sprawiedliwość?

Na Zachodzie wszyscy gubią się w domysłach. Czyżby „nasi” naprawdę zdołali przeprowadzić tak dużą operację i przez długie lata planowo wykańczali sowiecką ekonomię? Kto mógł organizować sabotażystów i nimi kierować? Wywiad brytyjski? Niemiecki? Polski? Jakaś loża masońska albo tajny zakon?

Z Londynu nieprzerwanym strumieniem płyną instrukcje i żądania. Właśnie decyduje się moja zawodowa przyszłość, więc od rana do wieczora biegam po Moskwie, żeby zdobyć odpowiedzi na pytania redakcji.

Wszystko to robię dla Kitty, ale z drugiej strony przez ciągłą pracę prawie nie poświęcam jej uwagi. A ona tęskni za mną strasznie, szczególnie po tym, jak zabroniłem jej spotkań z Tanią.

Nie ma mnie kto zastąpić nawet na chwilę. Gala też jest wечно zabiegana, a kiedy wreszcie dotrze do naszego mieszkania, pada z nóg ze zmęczenia.

Z Kapitoliny w ogóle nie ma pożytku. Odchodzi od zmysłów z niepokoju o krewnych. A na wsi dzieją się różne rzeczy. Z miast przyjeżdżają uzbrojeni aktywiści, szukają schowanego zboża i zmuszają rolników do jego sprzedaży po oficjalnych cenach, a za takie pieniądze nic się nie kupi. Innym razem rozliczają się z chłopami obligacjami państwowej pożyczki albo kwitami – to znaczy zwyczajnie ich okradają.

Kilka razy przychodziłem do domu i znajdowałem Kitty pod łóżkiem. Chowala się tam, kładąc na siebie moje rękawiczki.

– Wyobrażam sobie, że mnie przytulasz.

Czuję się jak zbrodniarz i zdobywam dla niej czekoladowe cukierki, zabawki i książki, ale to oczywiście nie pomaga.

Każdego ranka tłumaczę córeczce, że mam ważne sprawy i muszę iść do pracy. Ale jakie sprawy mogą być ważniejsze niż to, że moje dziecko czuje się porzucone? Z dnia na dzień Kitty otrzymuje lekcję życia: nieważne są uczucia i źle jest potrzebować drugiego człowieka. Chcąc nie chcąc, przyuczam ją do krzywdy i samotności.

Kitty potrzebuje matki, a ja wyrzuciłem Ninę ze swojego życia dlatego, że tak mi łatwiej. Każde wspomnienie o niej pogrąża mnie w ciężkim smutku i muszę ze wstydem przyznać, że nawet się ucieszyłem, kiedy wysiedlono Elkina.

Ale była żona i tak mnie nie chce opuścić. Kitty znalazła jej fotografię, włożoną w mój dziennik, i od razu oznajmiła, że chce do mamy.

– Jeszcze jej nie znalazłeś?

– Nie będzie więcej mamy – odparłem i od razu tego pożałowałem. Kitty wpadła w taką histerię, że źle się poczuła.

– Wszystkich mi odbierasz! – łkała. – Nie kochasz mnie! Gdzie mama?!

Wiła się w moich rękach niczym przerażone dzikie zwierzątko.

– Puść mnie! Nienawidzę cię!

Kitty choruje już kolejny dzień. Zaczęła się wysypka, do tego doszły obrzęki twarzy i bóle brzucha.

Lekarz z niemieckiej ambasady rozkłada tylko ręce.

– Zdaje się, że dziewczynce nie służy moskiewski klimat. Trzeba ją zabrać nad morze, żeby wygrzała się w słońcu.

Ale nie mogę wszystkiego rzucić, żeby jechać na południe. Kto mnie puści? A o zwolnieniu się mowy być nie może. Nie mam żadnych oszczędności, w dodatku odejście z pracy skutkowałoby odebraniem wizy. I gdzie się podziejemy?

Nina miała rację, kiedy powiedziała, że pożałuję naszej kłótni. Gdybyśmy rozstali się jak przyjaciele, pomogłaby mi z dzieckiem. Tak, musiałbym każdego dnia walczyć z samym sobą, ale Kitty nie powinna cierpieć przez mój egoizm!

Kręcę w palcach zdjęcie Niny. Na odwrocie Magda napisała: „Nina Kupina, listopad 1927 roku”. Skreśliłem imię moje byłej żony i napisałem powyżej „Mrs Reich”.

Do tej pory trudno mi to uznać za realne.

Rozdział 19

Proces szachtyński

Rankiem 18 maja 1928 roku Dom Związkowy został otoczony podwójnym kordonem milicyjnym, który ledwie powstrzymywał ciekawskich, próbujących przedrzeć się do niedawno odremontowanego dwupiętrowego budynku z kolumnami.

Kobiety na straganach Mosselpromu6 handlowały papierosami. Kręcili się tutaj gazeciarze, dzieciarnia i zagraniczni turyści z aparatami fotograficznymi. Ludzi wciąż przybywało i niebawem zapełnili całą ulicę, nie pozwalając przejechać dorożkom i trąbiącym samochodom.

Klim pokazał przepustkę prasową i wszedł do środka.

Trwały tam już ostatnie przygotowania. Po marmurowych schodach szli elegancy młodzieńcy w mundurach OGPU, a bufetowe w koronkowych stroikach na głowach rozwoziły karafki z wodą.

Klim wszedł do Sali Kolumnowej i opanowało go wrażenie, że znalazł się w teatrze tuż przed wielką premierą. Kryształowe żyrandole oświetlały rzędy czerwonych foteli dla publiczności oraz czerwone transparenty na balkonach. W przejściach stało kilka mocnych jupiterów, skierowanych na scenę, a chodniki wybrzuszały się za sprawą przeciągniętych pod nimi przewodów.

– Z drogi! – krzyknęli robotnicy, wiozący masywną kamerę.

Wszyscy trochę się denerwowali i krzatali, ale ogólnie nastrój panował podniosły. Pokładano w tym spektaklu wielkie nadzieje.

Zagraniczni dziennikarze zajmowali miejsca i witali się ze sobą.

– Sprawiedliwości nie ma się co spodziewać – oznajmił ponurym tonem korespondent amerykańskiej gazety „Christian Science Monitor”. – Sowieckie sądy oficjalnie opierają się na teorii pochodzenia klasowego. Jeżeli wyjdzie na jaw, że oskarżony jest byłym szlachcicem albo nie daj Boże, pochodzi z rodziny duchownego, to nie będzie potrzeba innych dowodów winy.

Francuzi z miejsca wdali się z nim w dyskusję.

– Przecież to by było głupie wydawać niesprawiedliwy wyrok na oczach całego świata! Bolszewicy na to nie pójdą.

– Będą rozstrzelania – powtarzał Luigi, mały Włoch podobny do ostronosego drozda. – Władze chcą zmusić niedbałych urzędników do lepszej pracy. Tak zostanie rozwiązany problem z powszechnym brakoróbstwem.

Seibert nikogo nie słuchał, tylko złościł się, że OGPU zaliczyło do szkodników kilku obywateli Niemiec, którzy pracowali w Szachtach na kontrakcie.

– Kiedy nasz ambasador zameldował o tym w Berlinie, sprawa omal nie skończyła się zerwaniem stosunków dyplomatycznych. Cały naród jest oburzony! Czekiści aresztowali moich rodaków tylko po to, aby zademonstrować, że sabotażyści mieli związki z zagranicą. Nie rozumiem, o czym myślą na Kremlu. Pojutrze w Niemczech odbędą się wybory do Reichstagu, a przez ten skandal komuniści stracą wiele głosów.

– Niech pan nie udaje, że tak strasznie się martwi z tego powodu. – Roześmiał się

Luigi. – Załatwia pan sobie właśnie karierę na tej historii!

Seibert rzeczywiście stał się znany w ojczyźnie. Po porażce w wojnie światowej narodowe uczucia Niemców były wyostrzone do niemożliwości i każda wiadomość o krzywdzie dziejącej się ziomkom wywoływała fale protestów. Dziennikarz otrzymał pozwolenie na widzenia z aresztowanymi rodakami, już kilka razy jeździł do Berlina, aby udzielać wywiadów na temat wizyt w bolszewickich lochach. Zaprosił go nawet minister spraw zagranicznych, a po tym doświadczeniu Seibert postanowił, że w przyszłości zajmie się polityką. Bardzo mu odpowiadało upominanie się o naród niemiecki.

Wreszcie wpuszczono publiczność i salę wypełnił gwar wzburzonych głosów oraz głośnych okrzyków obsługi, wskazującej miejsca. Znamienitsi dostali lornetki teatralne i polowe i – z uwagi na nieobecność najważniejszych aktorów spektaklu – zaczęli przyglądać się obcokrajowcom. Klim czuł się dziwnie, zupełnie jakby wszystkie połykujące soczewki skierowane były tylko na niego.

Kiedy wprowadzono podsądnych, ludzie wydali z siebie westchnienie rozczarowania. Seibert aż zdjął okulary i przetarł je chustką, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom.

– Ale przestępcy...

Klima też zaskoczył wygląd sabotażystów. Mimo woli poddał się nastrojom panującym wśród kolegów i wyobrażał sobie, że zobaczy groźnych fanatyków, nieobawiających się ryzykować życiem i rzucić wyzwania bolszewickiemu systemowi. Ale zamiast dumnych demonów kontrrewolucji zobaczył na ławie oskarżonych wycieńczonych i przerażonych na śmierć mężczyzn o rozbieganych oczach. Gdyby schwytać na ulicy pół setki zwyczajnych przechodniów i posadzić ich w celach, po jakimś czasie wyglądałiby identycznie.

– Wstać, sąd idzie! – zagrzmiały głośniki.

Gwar momentalnie ucichł. Sędziowie, jedni w trzyczęściowych garniturach, inni w półwojskowych trenczach, weszli na scenę i zasiedli w fotelach z wysokimi oparciami. W świetle reflektorów łebki gwoździ tapicerskich na skórzanych obiciach lśniły wokół sędziowskich głów niczym kwadratowe aureole.

Zgodnie z rytuałem sala zaśpiewała *Międzynarodówkę* i posiedzenie się rozpoczęło.

6 Moskiewskie Gubernialne Zjednoczenie Przetwarzania Produktów Przemysłu Rolniczego.

Księga Umarłych

W czasie rozmów z Wajnsztajnem z rzadka pozwalałam sobie na naiwne pytania.

– Jak myślicie, ile kosztował kontrrewolucjonistów werbunek szkodników, zatopienie szybów i niszczenie sprzętu? Zdaje się, że idzie o miliony.

Wajnsztajn smutno kiwa głową i narzeka, że wrogowie nie cofną się przed niczym, byle tylko zaszkodzić młodemu sowieckiemu państwu.

Nadal nie mogę w to uwierzyć:

– A dlaczego nie włożyli tych milionów gdzie indziej, tylko do miasta Szachty, które niełatwo znaleźć na mapie? I na co liczyli? Dobrze, zaszkadzili, zniszczyli przemysł w kilku miejscach, ale co dalej?

Lecz dla Wajnsztajna wszystko sprowadza się do poszukiwania knowań imperializmu albo – jeśli ktoś woli – diabła, którego drogi są niepojęte, a zatem nie ma sensu doszukiwać się logiki w jego działaniach.

Organizując proces szachtyński, bolszewicy najwyraźniej liczyli na widowisko przypominające walkę świętego Jerzego ze smokiem: socjalistyczne Dobro przebija włócznią kapitalistyczne Zło, dziewczęta klaszczą frenetycznie, w powietrze lecą czepeczki. Ale zamiast tego widzimy myszy miotające się w wiadrze, pod którym rozpalono ogień. Absurdalność tego, co się dzieje, po prostu poraża. Kłamią wszyscy – i oskarżeni, i oskarżyciele, i sędziowie, i prasa.

Nie zostały przedstawione żadne dowody winy, prócz przyznania się podsądnych. Nikt z nich nie potrafi podać ani nazwisk zleceniodawców, ani konkretnych okoliczności działań – niczego!

Moi koledzy są strasznie rozczarowani. Proces stulecia, na który wszyscy tak czekali, okazał się zupełnym nonsensem, pozbawionym choćby krzty prawdziwych emocji i intrygi. To po prostu tępe katowanie skrępowanych jeńców, którzy błagają o litość i próbują uchylić się przed następnym ciosem.

Ze wszystkich podsądnych jedynie kilku inżynierów ze starej szkoły zachowuje się godnie, odrzucając wszelkie oskarżenia. Pozostali wyrażają skruchę i mówią o sobie takimi słowami: „moje kapitalistyczne dzieciństwo”, „będąc wrogiem klasowym w robotniczym środowisku”, „w moim otoczeniu, składającym się z podłych kontrrewolucjonistów”. To tylko przykłady.

Czasem do mikrofonu podchodzi po pięciu, sześciu ludzi i zaczyna się karczemna awantura. Zwalają winę na siebie nawzajem, wypominają sobie zadawnione krzywdy i wrzeszczą: „Łżesz! Obywatele sędziowie, nie wierzcie mu!”. Trudno na to patrzeć, chce się zamknąć oczy i zatkać uszy.

Wielu bije się w piersi i obiecuje nie szczędzić rąk w pracy dla rewolucji. Z tych nieboraków śmieją się wszyscy, od przewodniczącego trybunału po konwojentów i stenotypistki.

Mówcie, co chcecie, ale nie wyobrażam ich sobie w roli spiskowców. Przecież to jakaś niedorzeczność opowiadać godzinę o tym, że w związku z przynależnością klasową

człowiek musiał się stać szkodnikiem!

Wszystko to przypomina samokrytyki składane podczas czystek, o których pisałem wcześniej, lecz podczas procesu szachtyńskiego rzecz nie idzie o ewentualne wypowiedzenie z wpisem do akt, ale o życie.

Czy ktoś potrafi powiedzieć, dlaczego podsądni oskarżają samych siebie? Są torturowani? Nie wygląda na to. Naszpikowano ich narkotykami? Raczej nie. Jeżeli są zastraszani, kto im przeszkadza powiedzieć o tym na posiedzeniu? Przecież na samej sali słuchają ich setki ludzi, w tym przedstawiciele zagranicznej prasy! A może tych ludzi dobrano ze względu na małoduszność oraz słabość charakteru?

Za każdym razem, kiedy do mikrofonu wychodzą „moi” inżynierowie, modlę się, żeby tylko trzymali fason, by nie zmienili się w tchórzy, gotowych oskarżyć kogokolwiek, nawet siebie samych!

Ale na razie się nie poddają.

Sowieccy dziennikarze wciąż szczują ludzi na starych specjalistów i w ogóle inteligencję. Wszędzie powtarza się ta sama śpiewka: szachtyńscy sabotażyści to tylko wierzchołek góry lodowej. Złodzieje są wśród nas – w każdym przedsiębiorstwie i w każdym mieszkaniu komunalnym! Towarzysze, bądźcie czujni i demaskujcie wrogów!

Ale jeśli wcześniej rozpowszechniano tylko pojedyncze obrzydliwe artykuły, to teraz na inteligencję zwałił się cały proletariacki atak. Lud żąda krwi i nikt tego nie ukrywa. Cała Moskwa jest zawieszona plakatami „Śmierć szkodnikom!”.

Chociaż w zasadzie nie mam racji. Proletariat nic do tego nie ma. Ci ludzie nie umieją wszak nawet pisać jak należy. Szczuciem zajmują się wykształceni, zabezpieczeni bytowo ludzie, którzy obawiają się, że ich ktoś zauważy, i dlatego muszą wykazać swoją przydatność dla kierownictwa: „Ja nie z nimi, ja z wami! Widzicie przecież, że zupełnie mi nie żal waszych wrogów! Należy ich zabić i jestem jak najbardziej za tym! Tylko mnie nie ruszajcie...”.

W rzeczy samej to ten sam podły i małostkowy rwetes, co na wielkim procesie: śmiertelnie wystraszeni ludzie próbują przerzucić nieistniejącą winę na siebie nawzajem w nadziei, że złagodzą wyrok.

W nagonce uczestniczą nie tylko dziennikarze i działacze, ale znani w kraju literaci. Jakże robi się wstyd za wspaniałego poetę Majakowskiego, tego samego, którego niemożliwym zdawało się podejrzewać o tchórzostwo i małość! A oto jego długaśny wiersz *Twarz wroga klasowego* zawiera takie słowa:

Chociaż

burżuj

i twarz przemalował

i bandzioch mu już nie ciąży –

to wilk,

to wróg

klasy robotniczej,

trzeba to

zrozumieć

*i pojąć*⁷.

I tak dalej, i tym podobnie.

Po co to zrobił? Czyżby ktoś trzymał rewolwer przy skroni twórcy i zmusił go do udziału w tej orgii?

W Moskwie trudno oddychać. Robotnicy kładą asfalt, nie ma wiatru, a nad miastem unosi się duszący dym. Na sercu też ciężko – i przez Kitty, która wciąż choruje, i przez to, że nie rozumiem zupełnie, co się stało z moim narodem. Dlaczego nagle zapomniał o honorze, dumie i sprawiedliwości?

Wszystko to dlatego odczuwam jeszcze ostrzej, bo Niemcy, którzy zostali zamieszani w sprawę, trzymają się wspaniale, ten kontrast od razu rzuca się w oczy.

– A czego pan chciał? – oburzyła się Magda, kiedy podzieliłem się z nią przemyśleniami. – Niemcy wiedzą, że za nimi stoi cały ich kraj. Dostają listy od krewnych, a Sei-bert i dyplomaci odwiedzają ich każdego dnia. Zobacz pan, że ZSRS ich uwolni w zamian za jakieś korzyści handlowe. Czego zaś mogą się spodziewać tutejsi oskarżeni, których wszyscy nienawidzą i nimi gardzą? Nawet pan?

A jednak ta kobieta ma nad podziw wrażliwą duszę.

⁷ Włodzimierz Majakowski, *Twarz wroga klasowego* (przekład własny).

Bolszewicy chcą, żeby w procesie uczestniczyło jak najwięcej ludzi. W moskiewskich zakładach ogłoszono dzień wolny, wszystkich pracowników dowożą na miejsce ciężarówkami i autobusami.

Partyjni aktywiści przygotowują plakaty z serii „Śmierć sabotażystom!”, a związki zawodowe decydują, kto co powinien trzymać i jakie hasła wykrzykiwać. Nikomu nie przychodzi do głowy kwestionować tej bzdury – po pierwsze dlatego, że ludzie wchodzą do Sali Kolumnowej nie jako oddzielne byty z własnym światopoglądem, lecz jako kolektyw, który ma określone obowiązki.

Protestować to znaczy „zdradzić towarzyszy i zakład pracy”. Oczywiście nikt nie zabrania gwizdać, kiedy mówi oskarżyciel, albo milczeć, gdy inni krzyczą „Prawidłowo!”. Lecz wszyscy wiedzą, że za takie manifestacje można stracić zatrudnienie.

Przy czym nawet nie o to chodzi. Świadomie czy nieświadomie, władza sowiecka powołała na służbę prawa biologii. Człowiek jest istotą stadną, zawsze uważnie obserwujemy, co i jak robią nasi sąsiedzi z prawej oraz z lewej, i sami postępujemy adekwatnie. Moje stado to korespondenci zagraniczni, którzy są prawie niezależni od bolszewików i dlatego każdy może pozwolić sobie na wątpliwości. A Gala, na przykład, naprawdę wierzy w to, co wrzeszczą głośniki na moskiewskich placach. Jakże ma nie wierzyć? Przecież nie może występować przeciw sowieckiemu ludowi!

Proces szachtyński to nie jest walka Jerzego ze smokiem. Niestety, szlachetny młodzieniec nie przestrzegał zasad higieny i złapał robaka, który rozrósł się w nim do nieprawdopodobnych rozmiarów. Jerzy czuje, że coś jest nie tak. Instynkt mu podpowiada, żeby szukał smoka, bo to on jest winien jego choroby, ale nie może pojąć, że potwór nie znajduje się na zewnątrz, ale tkwi w środku i nie można go zgładzić potężnym uderzeniem.

W dni, kiedy Kitty czuje się lepiej, boi się niepotrzebnie pokręcić albo pochylić głowę. Dla niej ból jest żywą istotą, która za coś ją karze.

– Tatku, on znów do mnie przyjdzie? Nie wpuszczaj go, dobrze?

Noszę córeczkę na rękach, a ona zasypia, czasem po pół godzinie, a czasem po trzech. Na dworze śpiewają jacyś dranie, a ja ich przeklinam, że nie dają zasnąć Kitty. Ale to nieprawda.

Według lekarza u Kitty rozwija się jakieś zapalenie i jeśli się je zaniedba, źle się to skończy.

Powinienem wywieźć ją na południe. Można przez urząd wynająć pokój na Krymie albo Kaukazie, więc chyba czegoś poszukam. Owen powiedział, że mogę jechać, gdy tylko zakończy się proces, ale na to trzeba czekać cały miesiąc.

Notatka uczyniona nieco później:

Poprosiłem Wajnsztajna, żeby pomógł mi załatwić skierowanie na południe. Ucieszył się, jakby dawno czekał na tę chwilę.

– Wszystko będzie. I bilety, i pensjonat w Soczi, i trzy posiłki dziennie, ale musimy opublikować artykuł w „New York Timesie”. Wprost od nas go nie wezmą, a wy jesteście przecież oficjalnym korespondentem solidnej agencji...

Dał mi „specjalne materiały” o sprawie szachtyńskiej, które obiecał przyjaznym dziennikarzom, ale nie było w nich nic, prócz gołosłownych opinii i potępienia szkodników.

– Nie macie dowodów... – zacząłem, ale cenzor mi przerwał.

– Jeżeli wydrukuje to „New York Times”, będzie to najlepszym dowodem. Na ten artykuł będą się powoływały tysiące specjalistów w Związku Radzieckim.

Nie udaje, że proces ma najmniejsze odniesienie do sprawiedliwości. Skazanie oskarżonych jest konieczne „dla sprawy”, więc jeśli kocham swoją córkę, powinienem przyłączyć się do bolszewików.

Z pewnością pospieszyłem się z krytyką Majakowskiego i innych zaszczuwaczy. Kto wie, co się dzieje w ich życiu osobistym? Bardzo możliwe, że znaleźli się w podobnym położeniu jak ja – albo wyrzekniesz się swoich zasad, albo będziesz patrzył, jak ginie twoje dziecko lub żona, zachowując czyste sumienie.

Nie mam słów, umarły we mnie emocje. Po prostu staram się zebrać myśli i postanowić, co dalej.

Od samego początku procesu inżynier Skorutto trzymał się dzielnie i odpierał wszystkie oskarżenia, które rzucali na niego koledzy. Wczoraj podszedł jednak do mikrofonu i nie patrząc na nikogo, powiedział zrezygnowany, że przyznaje się do winy i gotów jest złożyć zeznania przeciwko towarzyszom.

– Kola, kochany, nie kłam! – odezwał się z sali kobiecy głos. – Przecież jesteś niewinny!

Zaraz podniósł się szum, publiczność wstała z miejsc i przewodniczący musiał zarządzić przerwę. Płaczącego inżyniera wyprowadzono, a kiedy znów się pojawił, zaszło coś niesłychanego.

– Towarzysze! Okłamałem siebie i innych! – oznajmił głośno.

Zapadła grobowa cisza.

– Byliście zastraszeni? – spytał surowo oskarżyciel publiczny.

– Nie... Po prostu przyjaciele mnie zdradzili, a ja... zdradziłem ich tak samo. – Skorutto powiódł po sali dzikim spojrzeniem, po czym znów krzyknął: – Jestem w rozpacz, czy tego nie rozumiecie?! Nie spałem osiem dni! I podpisałem wszystko... Wiem, co mnie czeka, ale nie mam już siły!

Prosił o wybaczenie nie za szkodnictwo, podobnie jak inni, ale za nieprawdziwe oskarżenia zdrajców. Z trudem odciągnięto go od mikrofonu.

Seibert klął pod nosem, Francuzi wzdychali, zachwyceni dzielnością niewysokiego inżyniera, a ja myślałem: Na Skoruttę zwał się ciężar opinii milionów współobywateli, płonących słusznym gniewem, a jemu nie pozostał nikt, kto by go wsparł, prócz żony, tak samo niepozornej i bezbronnej, jak on. Wiedział, że nie uwolni się z tego potrzasku, bo nawet gdyby został uniewinniony, w ZSRS nie będzie dla niego przyszłości. Jakże przy tym zachować godność? A jednak się nie poddał.

Ja byłem gotów iść na układ z Wajnsztajnem i nawet widziałem w swoim postępowaniu pewne bohaterstwo: owszem, mogłem nazywać czarne białym, jednak nie dla własnej korzyści, ale ze względu na zdrowie dziecka.

Ale jeśli się temu przyjrzeć, to co może mi zrobić Wajnsztajn? Nie dostanę skierowania do Soczi, to nie. Pojedziemy na południe sami i wynajmiemy sobie jakąś budę nad morzem, jak robią tysiące ludzi. Najważniejsze to zdobyć bilety. Z tym, oczywiście, będą problemy, jako że wszystko jest wyprzedane dwa miesiące naprzód.

Nawet jeśli Wajnsztajn doprowadzi do mojego zwolnienia, nic strasznego się nie stanie. Mam wielu przyjaciół właśnie dlatego, że mi ufają, przecież do tej pory ich nie zawiodłem. Jeśli trzeba, pomogą mi zdobyć nową pracę albo dobrego lekarza dla Kitty. Gdybym zaś ustąpił Wajnsztajnowi, wszyscy już będą wiedzieli, że można mnie przekupić.

Jednym słowem, odmówiłem napisania artykułu.

Wajnsztajn obraził się na mnie śmiertelnie.

– I jak mogę was normalnie traktować? Zdajecie sobie sprawę, że będą pewne

konsekwencje?

Odparłem, że wszystko niesie ze sobą jakieś skutki, a my wybieramy to, co nam najbardziej odpowiada.

Tak w ogóle, Kitty czuje się o wiele lepiej, zupełnie jakby jej zdrowie zależało od tego, czy dam radę przejść tę próbę charakteru.

Ech, jakże bym chciał odwdzińczyć się inżynierowi za to, że nie dał mi się upodlić! Uściskałbym mu chociaż rękę i powiedział, że nie jest sam, że jego walka ze smokiem to wstrząsający przykład męstwa. Ale zawodowi złoczyńcy z OGPU robią wszystko, żeby ich ofiary nie otrzymywały najmniejszego wsparcia.

Rozdział 20

Chimery

Klima zaproszono na bankiet wydany dla uhonorowania delegacji przedsiębiorców ze Stanów Zjednoczonych i Niemiec.

– W istocie rzeczy za tymi panami stoją czekiści – poinformował go wszystkowiedzący Seibert. – OGPU to nie tyle policja polityczna, co kompania wydobywcza. Ścinają drzewa na północy i na Syberii, muszą coś zrobić z drewnem, więc czekiści zażądali od Oscara Reicha, aby był pośrednikiem między nimi a biznesmenami z zagranicy. I rzeczywiście udało mu się to załatwić bardzo sprawnie. Niemcy kupują drewno na podkłady, a Amerykanie zapewniają kredyt i ubezpieczenie umowy.

Słyszając imię Oscara, Klim postanowił nigdzie nie iść, ale Seibert zaczął opowiadać takie rzeczy, że zmienił zdanie.

– Mister Reich to bardzo mądry człowiek. Zrozumiał, że na Zachodzie nie ma co rozmawiać z wielkimi bossami, bo są wszyscy wrogo nastawieni do Sowietów. Jeżeli chcesz zawrzeć umowę, prowadź rozmowy z drugim szeregiem, to znaczy nie z właścicielami firm, lecz ich zarządcami. Oscar przekupuje ich tak, jak to się dawniej robiło: drogimi kamieniami i metalami szlachetnymi. Jeśli nie można dać komuś łapówki w pieniądzu, przynosi mu się kielich z piętnastego wieku. Kto by odmówił? Ludzie tracą rozum nie na widok abstrakcyjnych papierków, ale prawdziwego złota.

– Skąd Oscar to bierze? – zdziwił się Klim.

– Z rosyjskich muzeów i klasztorów. Oprócz złota w grę wchodzi jeszcze płótna starych mistrzów i dawne rzeźby. Wszystko to płynie do Nowego Jorku albo Berlina, a w zamian zarządcy i członkowie rad nadzorczych zapominają na pewien czas o swoim antykomunizmie. I wszyscy są usatysfakcjonowani, bo zyski rosną i akcjonariusze są zadowoleni. Czego więcej trzeba?

A zatem warto pójść na bankiet i przyjrzeć się temu utalentowanemu Reichowi, zdolnemu łamać blokady handlowe i okradać muzea na skalę przemysłową.

Bankiet odbywał się w pięknej willi, która przed rewolucją należała do Zinaidy Morozowej, kupcowej znanej z działalności charytatywnej.

Około dziewiątej na ulicę Spirydoniewską zaczęły napływać automobile z chorągiewkami obcych państw na maskach. Na schody weszły pary – mężczyźni w smokingach i cylindrach oraz damy w wieczorowych toaletach. Aż trudno było sobie wyobrazić, że to wszystko się dzieje w centrum czerwonej Moskwy.

Wystrój wewnątrz przypominał baśniowy pałac: ściany obito ciemnoniebieskim jedwabiem i boazerią z drogich gatunków drewna, po kątach stały zbroje, a schody ozdabiały kute posąжки.

W Pokoju Myśliwskim znajdowała się sala bankietowa. Jesiotry podawano w całości na wielkich srebrnych półmiskach. Obok czerwieniały homary z rozciętymi odwłokami. Tam tłoczyły się żeberka jagnięce, ówdzie cieniutkie bliny z kawiozem, filety z pstrąga w śmietanie z drobno posiekany koprem, sery i kiełbasy dwunastu gatunków, piramidy z owoców i całe armie win, koniaków oraz wódek.

Większość gości stanowili cudzoziemcy, jednak Rosjan też nie brakowało. Czekiści zaprosili nie tylko sławnych pisarzy i aktorów, ale również kierownictwo potężnych zjednoczeń.

Oscar siedział u szczytu stołu.

– Stany Zjednoczone i ZSRS mają ze sobą wiele wspólnego – perorował z zapalem.
– Musimy się zmagać z problemami przewozu towarów i przesyłem energii elektrycznej na dalekie odległości. Mamy nierównomiernie zasiedlone ziemie. Ale najważniejsze, że oba narody to nacje marzycieli, odważnych i pomysłowych ludzi, którzy nie boją się stawić czoło problemom!

Klim słuchał uważnie męża Niny. Jakkolwiek by go oceniać, Reich był urodzonym mówcą. Twierdził, że Związek Sowiecki jest podobny do Dzikiego Zachodu w połowie dziewiętnastego wieku, a ci, którzy ośmielą się go eksplorować, mogą się stać wielkimi bogaczami.

Biznesmeni wpadli w zachwyt przy jego opowieściach o wspaniałych północnych lasach i złożach cennych metali na Syberii.

Następnie głos zabrał przedstawiciel Rady Najwyższej Gospodarki Narodowej.

– Mamy nadzieję, drodzy panowie, że nasza współpraca nie ograniczy się tylko do dostaw drewna. ZSRS musi rozwijać przemysł. Anglicy i ich lokaje przygotowują się do napaści, więc aby przeciwstawić się tym perfidnym planom, powinniśmy zbudować wielką liczbę fabryk i elektrowni, a także przebroić Armię Czerwoną. A w najbliższej przyszłości zamierzamy zakupić duże partie broni ze Stanów Zjednoczonych i Niemiec.

– Jesteście pewni, że wystarczy wam środków? – zapytał siwowłosy bankier z Nowego Jorku.

Towarzysz z Rady Najwyższej uśmiechnął się.

– Owszem, nasz system bankowy nie jest tak mocny, jak byśmy chcieli, nie

posiadamy kolonii, których kosztem moglibyśmy się rozwijać... Ale mamy za to wolę zwycięstwa i mocne ręce. Jeśli trzeba, zaciśniemy pasa i będziemy pracowali całą dobę, aby osiągnąć wielkie cele.

Oscar Reich wzniosł kielich.

– Panowie, proponuję wypić za lud sowiecki, wielki i niepokonany! Hura!

Po tym toaście zjedzono górę delikatesów i odtąńczono z dziesięć fokstrotów.

Klimowi pozostało się tylko dziwić cynizmowi bolszewików. Ileż w tym uroku: najpierw finansować w ościennych krajach rewolucję i strajki, potem zrozumieć, że można za takie sprawy oberwać, i wymyślić szybkie przebrojenie armii. A płacić za polityczne zabawy kierownictwa miał sowiecki lud. Idea „wewnętrznego kolonializmu” wisiała w powietrzu przez całe dziesięciolecie bolszewickiej władzy, a czerwoni nie widzieli w tym nic zdrożnego.

Prosty chłop ze swoją chudobą znajdował się tuż, pod bokiem, a żeby go ograbić i od siebie uzależnić, nie trzeba było szczególnego wyposażenia, oprócz karabinu Mosina i prasy, która wmawiała na wpół niegramotnym wieśniakom, że walka z kapitałem jest tym, dla czego warto „zaciśnąć pasa” i „poświęcić życie”.

Lecz to, co najwstrętniejsze, zasadzało się na tym, że bolszewicy weszli na tę samą drogę, która doprowadziła do Wielkiej Wojny. Piętnaście lat wcześniej europejskie narody również postawiły na pospieszne zbrojenia, podejrzewając się nawzajem o chęć napaści. Politycy robili wspaniałe kariery na powszechnych lękach, przemysłowcy paśli się na wojskowych zamówieniach, a generałowie żądali coraz to większych wydatków na armię.

W 1914 roku ten balon nienawiści pękł, ale historia chyba nikogo niczego nie nauczyła. Można było sobie wyobrazić, jaka zacznie się panika w europejskich kręgach konserwatywnych, kiedy się dowiedzą, że ZSRS zamierza przeprowadzić wojskową industrializację. I bez tego wielu żądało, aby jak najszybciej zbroić się i ogłaszać polityczne represje przeciwko komunistom, by zatrzymać rozprzestrzenianie się „czerwonej zarazy”. Odpowiedzią na sowieckie zbrojenia z pewnością będzie militaryzacja Europy.

I wszystko zacznie się od nowa.

Wszyscy jakby się zarazili szaleństwem orgiastycznej zabawy – pili z jednego kieliszka i wrzeszczeli „Jaki świetny kolega” po angielsku i „Niech długo żyje nam” po niemiecku. Najwyraźniej ktoś miał urodziny.

Klim wstał od stołu. A niech was wszyscy diabli! – pomyślał i skierował się do wyjścia. Nie miał najmniejszej ochoty brać udziału w ucztie podczas dżumy8.

Kiedy przechodził przez salę balową, wyłowił wzrokiem znajomą sylwetkę. To była Nina, tańcząca z jakimś wojskowym.

Fantastyczny widok – czerwony dowódca i dama w pięknej sukni płąsali na parkiecie przy dźwiękach orkiestry jazzowej. Kawaler uśmiechał się z zachwytem i dotykał obnażonych pleców partnerki, wzdłuż których spęłzał delikatny łańcuszek z błyszczącym kamykiem.

Klim zamarł, ale zaraz się skarcił za chwilę słabości. Już? Napatrzyłeś się? To możesz czuć się wolny.

Wyszedł przezszklonymi drzwiami na szeroki balkon, ozdobiony rzeźbą chimery. Odblaski światła drgały na kamiennym cieple i zdawało się, że posąg leciutko podryguje na postumencie.

Pijany Oscar z przekrzywionym krawatem i mokrymi od potu włosami też wyjrzał na balkon. W dłoni trzymał kieliszek koniaku.

– Właśnie pana szukałem! – zawołał na widok Klima. – Słyszał pan, że kompania Forda zamierza pomóc Rosjanom zbudować fabrykę samochodów pod Niżnym Nowogrodem? Niedługo przyjadą inżynierowie i architekci przemysłowi, żeby obejrzyć proponowany teren. Co by pan powiedział, żeby napisać o tym parę reportaży? Musimy narobić szumu w amerykańskiej prasie i pokazać, że ZSRS to kraj nowych możliwości.

Klim pokręcił głową.

– Gdy tylko zakończy się proces szachtyński, biorę urlop. Moja córka choruje, musimy wyjechać na południe.

– Och, współczuję...

Drzwi znów się otworzyły i stanęła w nich Nina.

– Oscarze, wszyscy ciebie szukają! Obiecałeś przecież zagrać w brydża!

– Już idę.

Dopił koniak i wyszedł.

Nina i Klim patrzyli na siebie niczym skłócenie sąsiedzi, którzy przypadkowo spotkali się na granicy posiadłości.

– Co z Kitty? – spytała wreszcie Nina. – Źle się czuje?

– Na razie nie ma poprawy, z dnia na dzień jest nawet gorzej – przyznał Klim z niechęcią. – Czasem dostaje obrzęków i ma bóle głowy.

– Obejrzał ją lekarz? – zatrwożyła się Nina. – Co powiedział?

Zadawała mnóstwo pytań, a Klim odpowiadał, czując, jak rodzi się w nim głuche rozdrażnienie. A z jakiej to okazji Nina zaczęła udawać troskliwą matkę? Sumienie ją

ruszyło?

– Kiedy dokładnie chcesz wywieźć Kitty? – spytała.

– Jak zdobędę bilety, to pojedziemy.

– To znaczy, że biletów jeszcze nie masz?

Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale na balkonie zjawił się Oscar.

– No proszę, zawołałaś mnie, a sama znikłaś!

– Dobrze, jeszcze się zobaczymy – powiedziała Nina i odeszła, zostawiając byłego męża sam na sam z rzeźbą.

Spojrzał na kulącą się chimerę. Miała głowę lwicy, wzdłuż grzbietu grzebień, korpus w ogóle do niczego niepodobny... Cóż, chimera jak chimera, paskudna fantazja, połączenie tego, czego się połączyć nie da. Właśnie w coś takiego zmieniła się jego miłość.

8 Nawiązanie do utworu *Uczta podczas dżumy* Aleksandra Puszkina, zaliczającego się do cyklu tak zwanych małych tragedii.

Zagraniczni korespondenci zjawili się na kolejnym posiedzeniu sądu bodaj w komplecie. Wszyscy chcieli wiedzieć, jak zakończy się przesłuchanie Skorutta.

Sędzia wezwał go do mikrofonu, a inżynier równym, cichym głosem oznajmił, że przyznaje się do winy.

– Odmówiłem zeznań tylko ze względu na żonę.

Po sali przeleciało ledwie słyszalne westchnienie rozczarowania.

– Nie powinna się odzywać – szepnął Seibert do Klima. – Przez to czekał się uzyskali informację, że tych dwoje się kocha, a to najlepszy punkt wyjścia do nacisków. Skoruttowi zagrozili, że jeśli się nie przyzna, aresztują mu żonę.

Klim ponuro pokiwał głową. Wszystko to przypominało średniowieczny alegoryczny taniec śmierci – uśmiechający się szkielet wiódł korowód ludzi wszelkich stanów i cokolwiek by człowiek uczynił, los prowadził go nieuchronnie do grobu.

Sprzeciwianie się bolszewikom było najzupełniej pozbawione sensu.

Klim wyszedł z budynku i od razu zobaczył Ninę. Podeszła do niego lekka i elegancka w swoim małym słomianym kapelusiku i jasnej kwiecistej sukni.

– Dzień dobry! Jak Kitty?

– Normalnie – odparł Klim, nie patrząc jej w oczy.

Ruszyli razem ulicą. Z naprzeciwka podążali ludzie i mijając ich, byli małżonkowie to dotykali się ramionami, to rozchodzili na boki.

– Wiem, dokąd można wysłać naszą córkę – powiedziała Nina. – Elkin napisał do mnie list. Jest teraz w Koktebelu. To mała wioska na Krymie. Jego ciotka ma tam dom i wynajmuje pokoje. Elkin już dawno mnie do siebie zapraszał.

– Już widzę twojego wykwintnego mężulka w krymskiej wiosce! – burknął Klim.

– To ja tam jadę, a Oscar jeszcze wczoraj udał się do Niemiec.

Nad ulicą rozległ się grzmot, w powietrzu uniosła się chmura wapiennego pyłu. Klim się obejrzał. Za ogrodzeniem oklejonym plakatami teatralnymi burzono cerkiew Paraskiewy Piatnicy. Złote kopuły już strącono, a w ścianach ziały dziury, przez które widać było głowy robotników.

– Mam znajomego w Narkomacie Komunikacji i zamówił dla mnie przedział – mówiła dalej Nina. – Możecie jechać ze mną do Teodozji, a potem autobusem dotrzemy do Koktebela.

Klim spojrział na nią zdumiony. Jaki przedział? Ta kobieta myśli, że on zechce z nią jechać?

– Moja droga... Między nami wszystko skończone.

Twarz Niny wykrzywiła się, jakby w bólu.

– Sam powiedziałaś, że Kitty trzeba wywieźć na południe!

– Nie przyjmę od ciebie żadnych podarunków.

– Dlaczego?

– Bo śpisz z Reichem! – odparł ze złością Klim.

Nina spuściła głowę.

– Ty też przecież swojej Gali pasjansów nie układasz.

– Uwaga! – rozległo się za płotem i z cerkiewnego dachu spadła belka.

– Wysłuchałbyś mnie chociaż na początek... – powiedziała Nina z napięciem. – Chociaż dlaczego ja się staram? Jeżeli jesteś gotów przez swoje dasy poświęcić dziecko...

– Nie szantażuj mnie za pomocą Kitty! – syknął Klim, ale Nina mu przerwała.

– W piątek o drugiej będę na Dworcu Kurskim. Pociąg do Teodozji, drugi wagon, przedział czwarty. Jeśli się zdecydujesz, przyjdź.

Odwróciła się i odeszła.

Klim wrócił do domu zdenerwowany. Co ta Nina wymyśliła? Przecież to bez sensu jechać gdzieś razem, na dodatek w jednym przedziale! Kitty będzie wiedziała, że mama się odnalazła, i co dalej?

Ale co będzie, jeśli nie uda mu się dostać biletów kolejowych? Urlop minie, lato się skończy, a Kitty będzie dalej chorować.

Otworzył drzwi, Gala wyszła mu na spotkanie.

– Jak twoi szachtyńcy?

– Doskonale – odparł, myśląc o czymś innym.

A jeżeli pojedzie do Koktebela, to co z Galą? Kiedy powiedział jej, że chce się udać na południe, z miejsca uznała, że weźmie ją ze sobą, choć nie było o tym w ogóle mowy.

Klim patrzył ponuro na jej sfatygowane od ciągłego prania podkolanówki, na cienkie nogi i wymiętą od długiego siedzenia spódnice.

Po co się z nią wiązał? Przez wszystkie te miesiące usprawiedliwiał się, że przecież „sama chciała”, ale to zakłęcie już dawno nie działało. Wziął na siebie grzech, pozwolił, by Gala miała jakieś nadzieje, a teraz powinien albo złamać jej życie, albo do śmierci nieść ten wielki, bezsensowny ciężar.

Objęła go i pocałowała w policzek.

– Czemu nie było cię tak długo? Stęskniłam się.

Nie odpowiadać na czułości oznaczało narażać się na pełne lęku pytania. Odpowiadać to z kolei zaciskać pętlę na własnej szyi.

Z jego twarzy Gala się domyśliła, że musiało coś zajść.

– O co chodzi? – spytała przestraszona.

Klim powiedział pierwsze, co przyszło mu do głowy:

– Widziałem, jak burzą cerkiew Paraskiewy Piatnicy. Przecież ma ponad dwieście lat! Teraz w całym kraju tak się dzieje. Czytałem w gazecie, że w moim rodzinnym Niżnym Nowogrodzie rada miasta postanowiła zrównać z ziemią świątynie na placu Białowieszceńskim, żeby nie przeszkadzały w przeprowadzaniu defilad.

Przypomniał sobie cerkiew, w której brał ślub z Niną.

– Gieorgijewską też wyburzą... Te łajdaki plują na historię i tradycję, nie wiedzą, co czynią.

– Ty jesteś z Niżnego Nowogrodu? – zdziwiła się Gala. – Mówiłeś, że z Moskwy.

Klim zachnął się w duchu. Ależ się zdemaskował! Przecież przysięgał sobie, że przy Gali nie będzie wspominał o przeszłości!

– Bywałem w Niżnym Nowogrodzie... Dawno, w dzieciństwie – odparł i zmienił zaraz temat: – Zdaje mi się jednak, że pożary i awarie w Donbasie nie zdarzały się przez szkodników, ale przez przestarzałe urządzenia i brak przestrzegania zasad bezpieczeństwa. Przecież to powszechne w całym państwie!

Klim chciał wywołać kłótnię, żeby odciągnąć uwagę Gali od niezręczności, ale ona wbrew zwyczajowi nie podjęła rękawicy.

– Gotuję właśnie zupę – powiedziała i wyszła, nie podnosząc oczu.

Rozdział 21

Dom Sławy

Nina dawno już mogła odejść od Oscara. Hrabia Bielów ponad miesiąc wcześniej przyniósł list od Elkina. Miała pieniądze, jako że potajemnie sprzedała płaszcz, pierścionek i kilka drogich prezentów od Reicha. Ale wyjeżdżając z Moskwy, pozbawiłaby się całkowicie szans na zobaczenie się z Klimem.

Sama nie wiedziała, na co liczy – zapewne na przypadkowe spotkanie, właśnie po to chodziła z Oscarem na uroczyste obiady i kolacje, na które często zapraszano zagranicznych dziennikarzy.

Rzeczywiście na jednym z przyjęć natknęła się na Klima, ale wiadomość o chorobie Kitty tak przeraziła Ninę, że zapomniała o dumie i lękach, a także starannie przemyślanych słowach, jakie zamierzała wypowiedzieć.

Aż się trzęsła ze złości i nienawiści do Gali. Była pewna, że ta oferma nie potrafiła zająć się dzieckiem i doprowadziła je do takiego stanu.

Kiedy wzięła sprawy w swoje ręce, w ciągu dwóch dni załatwiła bilety do Teodozji. A Gala zapewne nie mogłaby zorganizować nawet biletów do łaźni!

Los dawał jej i Klimowi wielką szansę. Mogli wyjechać na koniec świata i zapomnieć o kłopotach.

Powinien przyjść na dworzec. Po prostu powinien! – mówiła sobie i chwytła się za serce. – A co, jeśli nie zechce?

W dniu ostatniego posiedzenia sądu Nina kilka razy zbierała się, aby zadzwonić do Klima i spytać, co postanowił, ale nie odważyła się podać telefonistce numeru.

Wydawało jej się, że słowo „spisek” dźwięczy zewsząd – z głośników na ulicy, z ust handlarzy i woźniców. Żeby zająć czymś myśli, poszła do kina, ale tam przed seansami pokazywano kroniki. Sąd skazał jedenastu ludzi na śmierć, a pozostali oskarżeni otrzymali długoletnie wyroki.

Przewodniczący Sądu Najwyższego bezdźwięcznie odczytywał wyrok, pianista grał uroczystego marsza, a widzowie wyrażali aplauz.

Wieczorem do Niny przyszedł Jefim. Oscar kazał mu pilnować żony.

– Słyszała pani o wyroku? Niemców jednak wypuścili. Oscar wymienił ich za kontrakt na podkłady. A Rosjanie nie są potrzebni ani swojemu rządowi, ani narodowi.

Nina ukryła twarz w dłoniach. Ona także czuła się zupełnie niepotrzebna.

Nina pojawiła się na dworcu przed czasem, powoli doszła wyludnionym peronem do drugiego wagonu. Zawiadomiła Elkina, że przyjdzie razem z Klimem i Kitty, ale teraz nie wierzyła już w powodzenie tych zamiarów.

Co zrobić, jeśli Klim nie przyjdzie? Jechać samej? Boże, tylko nie to!

– Mamusiu! – rozległ się nagle zachwycony dziecięcy głos. – Tatku, znalazłam naszą mamę!

Kitty, wystrojona w śmieszłą różową sukienusię na ramiączkach z fryzkami, podbiegła do Niny i objęła ją za nogi.

Z nagłego szczęścia i ulgi Nina nie pamiętała nawet, co mówiła. Trzęsły jej się ręce, całowała Kitty i tuliła ją.

– Ależ ty wyrosłaś!

Zdawało się niewiarygodne, że córka poznała ją po tak długim rozstaniu.

– Witaj – powiedział Klim, podchodząc do nich.

W ręce trzymał małą walizeczkę oklejoną kwiatkami wyciętymi z pocztówek.

Nina podniosła na niego uszczęśliwione spojrzenie.

– Boże, jak się cieszę. A gdzie twoje rzeczy?

– Nie jadę z wami.

Poczuła, jak zamiera w niej serce.

– Dlaczego?!

Klim wyjął z kieszeni złożoną na cztery kartkę, podał ją Ninie.

– Przyszło wczoraj wieczorem.

Przebiegła szybko wzrokiem odbity przez kalkę tekst:

Drogi towarzyszu Rogow!

Zostaliście zaliczeni do grona uczestników ekspedycji dziennikarzy, która pod koniec tygodnia wyjeżdża do Archangielska. Z Waszymi przelożonymi w Londynie wszystko zostało już uzgodnione.

Jak wiecie, w rejonie archipelagu Svalbard miała miejsce katastrofa sterowca Italia, podróżującego pod dowództwem generała Umberto Nobilego. Rząd radziecki wysłał na pomoc lodolamacz Krasin, a teraz cały świat obserwuje, jak nasi dzielni marynarze przedzierają się przez lody ku nieszczęsnym włoskim faszystom.

Na miejsce dostarczy Was aeroplan. Jest tam radionadajnik, dlatego będziecie mogli przesyłać reportaże.

Z komunistycznym pozdrowieniem,

Wajnsztajn

– To taka mała zemsta Wydziału Prasy. – Klim się uśmiechnął. – Wajnsztajn wiedział, że zamierzam jechać na południe, dlatego skierował mnie na północ.

– Ale dlaczego nie odmówiłeś?! – zawołała Nina. – Nie masz obowiązku tam jechać!

– Moi szefowie uważają, że ta dziennikarska polarna ekspedycja jest wielkim sukcesem. Przecież zazwyczaj sowieli nie puszczają na Daleką Północ korespondentów zagranicznych. Możesz dopilnować Kitty, kiedy będę w tej delegacji?

– Ależ oczywiście!

– Kiedy wracasz do domu?

– Odeszłam od Reicha, więc nie mam dokąd wracać.

Nina była pewna, że Klim ucieszy się na taką wiadomość, ale on tylko przytulił córeczkę, jakby była żona oświadczyła, że zamierza mu ją ukraść.

– Obiecuj, że mi jej nie odbierzesz!

Nina patrzyła na niego nierozumiejącymi oczami.

– Skąd ci to przyszło do głowy?...

– A skąd by miało?! Twój Oscar nie zniósłby w domu kolorowej dziewczynki, lecz teraz jesteś wolna i możesz robić, co chcesz.

Klim wydawał się nie dostrzegać, jak krzywdzące były jego słowa. Nie wierzył w dobre zamiary Niny i błagał, aby nie była większą niktzemnicą niż zazwyczaj.

– Obiecuj, że nie odbierzesz mi Kitty – powtórzył. – Przyjadę po nią, kiedy tylko będę wolny.

Nina już chciała wybuchnąć, ale się powstrzymała. Wyjęła z torebki ołówek i napisała coś na odwrocie listu Wajnsztajna.

– To adres Elkina. Jeżeli mi nie wierzysz, wyślij do niego telegram i poproś, żeby nas pilnował.

Klim kiwnął głową i schował kartkę do kieszeni.

Poszli do przedziału i poinformował Ninę, co trzeba robić, gdyby Kitty znów się rozchorowała, gdzie są lekarstwa i w które miejsce włożył rzecz najcenniejszą – szmacianego różowego konika.

Kitty usiadła na kanapie z podkulonymi nogami i zaczęła kręcić włącznikiem w ścianie.

– O, tutaj światło się pali! Tatusiu, a kiedy jechaliśmy do Moskwy, w wagonie światła nie było!

Na sąsiedni peron wjechał pociąg i naprzeciw okna zatrzymał się wagon z na wpół zatartym napisem: „Na Front do Denikina!”. Dziesięć lat wcześniej Nina i Klim jechali na południe właśnie taką rozsypującą się „stodołą na kołach”. Nie bardzo wierzyli, że dotrą żywi na miejsce, ale wówczas nie mieli nikogo poza sobą.

Kitty pstrykała włącznikiem: światło – półmrok, światło – półmrok.

Rozległ się dzwonek. Klim wstał, objął mocno córeczkę.

– Bądź mądra i nie dokuczaj za bardzo Ninie.

Powiedział „Nina”, a nie „mama”, zupełnie jakby była dla małej obcą osobą.

Pociąg ruszył i za oknem zaczęły się przesuwać ponure budynki przydworcowe.

Kitty siedziała, machając nogami, i opowiadała Ninie, jak niedawno spadła z ganku i miała taaaką straszną ranę na nodze. Bardzo chciała zrobić na mamie wrażenie.

Nina kiwała głową, patrząc na niewielką bliznę na smagłym kolanku.

Dlaczego Klim nie zostawił dziecka z Gałą? Dowierzał jej jeszcze mniej niż Ninie? A może jego kochanka nie lubiła Kitty?

Wszystko było strasznie poplątane i niezrozumiałe.

Nina zupełnie nie była gotowa na macierzyńskie obowiązki, które tak nagle na nią spadły. Jakkolwiek źle by to brzmiało, odwykły od siebie z Kitty i nie bardzo obie wiedziały, jak ze sobą postępować.

Z sąsiedniego przedziału docierały dziecięce głosy śpiewające *Międzynarodówkę* po niemiecku. Wagon w jednej trzeciej zajmowali zagraniczni pionierzy, dzieci komunistów z innych krajów skierowane na obozy letnie.

Kitty zażądała, żeby ją zaprowadzić do nich, a kiedy Nina odmówiła, urządziła awanturę. Nagle zrozumiała, że taty nie ma obok i nikt nie zamierza ulegać jej życzeniom.

Dalej było tylko gorzej. Jedzenie w wagonie restauracyjnym okazało się niesmaczne, herbata za gorąca... Jak to nie można wkładać do nosa ośródkę chleba? To po co są dziurki?! A-a-a-a-a!!!

Na następnej stacji Nina wybiegła na peron i zakrzętnęła się pośród wieśniaczek sprzedających domowe jedzenie. Lokomotywa stała pod parą i za każdym razem, kiedy skład lekko szarpał w przód, pasażerowie w panice rzucali się do wagonów. W Ninie zamierało serce. A jeśli nie zdąży wsiąść i Kitty odjedzie bez niej?

Kupiła pieczoną kurę, gotowane ziemniaki i kilka ogórków. Kitty wspaniałomyślnie zgodziła się zjeść, ale po dosłownie pięciu minutach zwymiotowała.

Całkiem oduczyłam się postępować z dziećmi! – myślała przerażona Nina, zapierając w łazience różową sukienkę. – A co, jeśli to poważne zatrucie?

Lecz kiedy wróciła do przedziału, dziewczynka jakby nigdy nie skakała po siedzeniach.

– Bawimy się w łowienie! – zawołała. – Ty będziesz rybakiem. Zarzucaj wędkę i wyjmuj mnie z morza!

Bardzo starannie przedstawiała „niebowały połów” – to konia dorożkarskiego, to grający głośnik, to morskie potwory.

– Musisz zemdleć! – krzyczała rozgorączkowana Kitty. – Jestem straszliwym trzygłowym wodołazem!

Nina padała bez przytomności na kanapę.

Kiedy się ściemniło, długo leżały objęte, a Kitty opowiadała, jak Kapitolina modli się do Bozi i haftuje ręczniki w koguty.

Nina miała wielką ochotę zadać kilka pytań, ale się nie ośmieliła. Zbyt strasznie byłoby otrzymać potwierdzenie tego, co już i tak wiedziała.

Za oknem przelatywały iskry z komina parowozu, stukały koła, a z korytarza dobiegał kobiecy śmiech.

– Mamo – powiedziała Kitty. – Ja znam czarodziejskie słowa. Kapitolina mnie nauczyła. Trzeba je wypowiadać, kiedy coś tracisz. „Domowy skrzacie mój, przynieś tu worek swój. Bo w worku to jest na dnie, co ma być dla mnie”. Zamawiałam, żeby domowy skrzat przyniósł cię, i się znalazłaś.

Nina pocałowała ją w głowę.

– Teraz jeszcze trzeba nam zwrócić tatę.

– Dobrze – wymamrotała sennie Kitty. – Tylko nie wiem, czy skrzat sobie poradzi, bo tata jest ciężki.

– Coś wymyślimy – zapewniła Nina. – Jeżeli będzie trzeba, zdobędziemy dźwig.

Na peronie w Teodozji czekał Elkin – opalony, brodaty i jeszcze bardziej rudy niż przedtem. W rubaszce z podwiniętymi rękawami i wypłowiałym czerwonym fezie wyglądał jak turecki rybak, a nie moskiewski inżynier.

– A gdzie mister Rogow? – zapytał, kiedy ucałowali się z Niną.

– Tata został w Moskwie, przyjechałyśmy same z mamą! – powiedziała Kitty.

Elkin spojrzał na Ninę zdezorientowany.

– Jak to... „z mamą”? Klim przecież mówił, że jego żona umarła.

Nina poczerwieniała. Trzeba było wcześniej uprzedzić Elkina. Teraz będą głupie pytania i wyjaśnienia.

– Kiedyś byliśmy małżeństwem – mruknęła skonfundowana.

– A Kitty? Przecież ona...

– Zaadoptowaliśmy ją.

Elkin nie wiedział, co powiedzieć.

– Dobrze, jedźmy – rzekł w końcu, chwycił za walizki i poprowadził gości przez tłum przy dworcu.

Nina nie wiedziała, jak Elkin potraktował te wiadomości. A jeśli się domyślił, że zimą nie przychodziła do niego z dobrego serca, by pomóc, ale do Klima? Cóż za wstyd!

Teodozja była gorąca, zakurzona i bajecznie piękna. Stopniowo Nina się uspokoiła. Patrzyła na tatarskie kobiety, pstrokato wymalowane, na czarnowąsych tragarzy, noszących na głowach wielkie drewniane palety, na wesołych przekupniów, sprzedających małe krewetki, które sypali w gazetowe tubki niczym pestki słonecznika.

– Do Koktebela pojedziemy wozem ślubnym ispołkomu, już wszystko załatwiłem – powiedział Elkin, wskazując stojący w cieniu kabriolet. Boki miał pogięte, reflektory z różnych innych samochodów, ale za to tylne siedzenie zostało wyścielone drogim wschodnim kobiercem.

Szofer, opalony mężczyzna w siatkowym podkoszulku i z wielkimi okularami przeciwpłyłowymi na szyi, z ciekawością patrzył na Ninę i Kitty.

– To co, zapuszczać motor?

– Zapuszczaj! – przykazał Elkin i z wielkimi ceregielami usadził damy w samochodzie.

Pojechali ulicami, rozganiając kury i bezpańskie psy.

Siedząc bokiem, Elkin opowiadał Ninie, jak udało mu się odbudować w Koktebelu porzuconą kuźnię i urządzić w niej warsztat.

Miejscowe władze go nie ruszały, chociaż też miały przykaz „prowadzić walkę z prywaciarzami”. Elkin był jedynym wszechstronnym fachowcem w okręgu i przynoszono do niego wszystko, od starych, jeszcze przedrewolucyjnych generatorów po ogrodzenia cementarne. Samochód komitetu wykonawczego też był jego dzieckiem, złożonym z trzech różnych maszyn.

– Naród tutaj tylko strasznie biedny – krzyczał Elkin, przytrzymując fez, który co

chwile próbował zlecieć mu z głowy. – Przyprowadzą osła do podkucia, a zamiast zapłaty dają owczego sera w szmatce. A mnie pieniądze są potrzebne, żeby podatek zapłacić. Dobrze, żeby Klim jak najszybciej rozliczył się ze mną za Maszkę.

– Niedługo powinien przyjechać – powiedziała Nina.

– Gdyby nie dał rady, może przysłać pieniądze telegrafem – odparł szybko Elkin. Zdaje się, że wcale mu już nie zależało, żeby Rogow pojawił się w Koktebelu.

Wyjechali za miasto i potoczyli się żółtymi wzgórzami, podobnymi do zakładek na starym aksamitnym płaszczu. Wokół królowało jaskrawe, pierwotne piękno i nie chciało się wierzyć, że gdzieś na świecie istnieje ponura Moskwa, Oscar Reich czy inspekcja robotniczo-chłopska.

Niebawem między górami rozbrzmiał turkusowy trójkącik morza.

– Tędy pojedziemy! – Elkin wskazał skałę przypominającą gigantyczny kawałek chałwy.

Po pięciu minutach samochód stanął przy niskim kamiennym ogrodzeniu. Z podwórza wyskoczyły dwa kosmate psy i zaczęły ogłuszająco szczekać.

Elkin wyskoczył z wozu.

– A cicho mi tu! To jest Owieczka, a to Chrum – przedstawił zwierzęta. – Witam w Domu Sławy!

– Dlaczego Sławy?

– Tak nazywają moją ciotkę. W dokumentach ma Bronisława Iwanowna, ale nikt tak do niej nie mówi.

Pożegnali się z szoferem i poszli dróżką do dziwnego budynku o krzywych ścianach z wielkim tarasem i mnóstwem balkoników, na których suszyło się pranie. Na podwórzu rosły drzewa morelowe, a przy ogrodzeniu zbudowano masywny piec, podobny do tych, w których garncarze wypalają swoje dzieła. Tutaj też, pod markizą, prezentowała się cała armia glinianych garnuszków z narysowanymi twarzami i uchwytyami zastępującymi uszy.

Na ganku stała wysoka czarnobrewa staruszka w długim, znoszonym kaftanie z kolorowym haftem. Na nogach miała wytarte pantofle z zadartymi czubkami, a głowę okryła barwnym szalem, zawiniętym jak turban. Paliła długą fajkę, oprawioną w srebro, a wokół niej unosił się słodkawy zapach aromatyzowanego tytoniu.

– Przywiozłeś? – spytała Elkina basem. – Wszyscy letnicy są na plaży, idź zawołać ich na obiad.

Przemknął wielki cień i na ramieniu gospodyni wylądowała biała kakadu.

– Sława! Sława! Sława! – zakrzyczała ku nieopisanemu zachwyтови Kitty. – Dwa ruble za łóżko!

– Chodźcie się rozgościć – powiedziała staruszka do Niny i Kitty.

Wewnątrz dom wyglądał jak bogata dacza, w której od dwudziestu lat nie zrobiono remontu. Ściany były obwieszane półkami z książkami, lalkami szmacianymi własnej roboty, talerzami i garnuszkami ozdobionymi twarzami. Okna były otwarte, z daleka dobiegał szum morza i śmiech dzieci.

Sława zaprowadziła gości do pokoju, w którym stały tylko krzesła, szeroki tapczan, nakryty pstrym kocem, i kufer.

– O, jak pięknie! – wykrzyknęła radośnie Kitty i od razu położyła się na łóżku.

Nina wyrzała przez okno. W dole zalegały kawałki skał, a za nimi rozlewało się oślepiające morze, drgające drobną, rozświetloną falą.

Sława wyjaśniła, że nie ma łazienki i letnicy myją się na plaży. Po wodę trzeba chodzić do studni, a za ubikację służy drewniana budka schowana między domem a skałą. Zasuwy w drzwiach nie było, za to przy ścieżce znajdował się kolejowy znak: „Droga zamknięta” i „Droga wolna”.

Nina zapłaciła za miesiąc z góry, a stara schowała pieniądze za szeroki pas spodni.

– Będziesz się leczyć? – spytała, patrząc uważnie w oczy Niny.

– Nie ja, to Kitty choruje.

– Twoja dziewczuszka będzie zdrowsza od nas wszystkich. Ale na czym w tobie dusza się trzyma, trudno orzec.

– Na lewej flance nie ma łączności! – oznajmiła papuga. – Ciągnąć kabel, taka wasza mać!

Nina się zdziwiła. Czy aż tak widać, że w jej środku pozostały tylko ruiny?

Do Sławy każdego roku przyjeżdżali ci sami ludzie i w tym towarzystwie Nina od razu poczuła się jak u siebie. Nikt tu nie opowiadał, czym się zajmuje, nie hołdował bolszewickim rytuałom i nie interesował się wydarzeniami „wielkiego świata”. Najważniejszą nowiną było złowienie wielkiej ryby, a największą troską, czy jutro nie zacznie się sztorm, bo z kąpieli wtedy nici.

Było coś upajającego w tej prostocie, biedzie i obojętności dla spraw ziemskich.

Od świtu letnicy przebywali na plaży nad zielonobłękitną wodą. Nina rozkładała na skałkach prześcieradło, kładła na otoczeniu starą derkę i wychodził z tego bardzo przyjemny namiot. Siedząc w swojej kryjówce, oglądały z Kitty chmury i wymyślały, do czego są podobne. Kąpały się albo leżąc na brzuchach, wyszukiwały w przybrzeżnych kamyczkach rude krwawniki, półprzezroczyste chalcedony i czerwone jaspisy.

W porze obiadu letnicy zbierali się na tarasie. Na wielki, pocięty ostrzami noży stół kładli znalezione tego dnia półszlachetne kamienie i zaczynał się namiętny handel, wymiana i kupno-sprzedaż.

– Bracia, przyjechała kuchnia polowa! – wrzeszczała papuga, wlatując na taras.

Sława odsuwała na bok kamienną „walutę” i kładła emaliowane miski z czarnymi piętnami w miejscach, gdzie farba odeszła, placki z gorczycą i wielki miedziany kocioł z polewką, którą wszyscy nazywali „radością żołnierza”.

Elkin także jadał obiady w Domu Sławy, jego warsztat znajdował się o dwie minuty jazdy rowerem. Przynosił gościom małe prezenty i zawsze coś naprawiał w rozsypującym się domu.

Dla Kitty zrobił huśtawkę, a Ninie podarował figurkę żyrafy wytoczoną z muszli.

– To na szczęście – powiedział z uśmiechem. – Można ją powiesić na rzemyku i nosić na szyi.

Ninę krępowano i wzruszało, jak Elkin próbował się nią opiekować. Wiedziała, że pewnego dnia poprosi ją o poważną rozmowę, i już zawczasu się tym martwiła. Jak można odtrącić takiego dobrego człowieka i po raz kolejny złamać mu serce? Ale co mogła poradzić? Przepelniały ją szacunek i najcieplejsze uczucia przyjaźni, ale o namiętności, niestety, nie mogło być mowy.

Po obiedzie następował czas ciszy, potem znów nieróbstwo na plaży, a pod wieczór Elkin zbierał letników na podwórzu przy ognisku. Śpiewali przy gitarze, pili wino własnej roboty i wymyślali kryminalne historie.

– W Domu Sławy popełniono niesłychaną zbrodnię! – mówił surowo Elkin. – Ktoś skradł znak „Droga wolna”, zatem od tej chwili nasza intymność pozostaje pod wielkim znakiem zapytania. Ale wyprowadzimy przestępcę na dobrą drogę! Proszę zgadywać, komu to było potrzebne. Już, proszę się przyznawać do swoich tajemnych słabości!

Wszyscy się z pokorą przyznawali. Jeden uwielbiał strzelać paznokciami po zębach, ktoś inny rozłupywać duże kostki i wysysać szpik, jeszcze następny pisać marne opowieści o miłości, im gorsze, tym lepiej.

Nina powiedziała, że podoba jej się balansowanie na zwałonych pniach.

– Aha, no to zapiszemy – mówił Elkin. – Nasza Nineczka szuka drogi do równowagi. Zdaje się, że jest pani główną podejrzaną, bo jak nikt inny potrzebuje pani drogowskazu życiowego.

Potem znajdowali zgubę obok psiej budy i przy powszechnej wesołości Elkin zaczął nierówną walkę z Chrum, która zdążyła do połowy obgryźć drewniany słupek.

Elkin zrobił dla Niny fotel, żeby było jej wygodnie siedzieć przy ognisku. Nakrywała się pstrym kocem i napawając się ciepłem oraz świeżym morskim powietrzem, patrzyła w rozgwieżdżone niebo.

Hałasowały cykady, w gałęziach moreli popiskiwał ptak, a przed oczami przesuwały się wspomnienia z całego dnia: zielonkawa linia przyboju, małe kraby uciekające przed cieniem człowieka i woda w zagłębieniach kamieni, tak przejrzysta, że widać było każde ziarenko piasku.

Naprzeciw Niny na rozkładanych krzesłach siedzieli białowłose Alosza i okrągłolica Ira z Kijowa. Niedawno się pobrali i przyjechali do Koktebela na miesiąc miodowy. Przyjemnie było na nich patrzeć – wszędzie chodzili, trzymając się za ręce, i nie zauważali niczego dookoła, pogrążeni w miłości, młodzi i absolutnie szczęśliwi.

Nigdy tego nie zaznam – myślała ze smutkiem Nina.

Klim był już w Archangielsku.

Ratowanie ekspedycji generała Nobilego stało się kolejnym „najważniejszym wydarzeniem w kraju”. Rząd postanowił, że wszelkie informacje o polarnikach będą przekazywane bezpłatnie. Klim i Nina korzystali z tego bezczelnie, wymieniając telegramy.

„Jak idzie poszukiwanie Nobilego? – pisała Nina. – U nas wszystko dobrze. Kapiemy się i opalamy”.

Klim odpowiadał w tym samym duchu:

„Pilot Czuchnowski zauważył kilku ludzi na krze. Kitty nie choruje?”.

W tych wiadomościach nie było śladu ciepła i czułości. Kiedyś Nina napisała: „Tęsknimy za Tobą, przyjeżdżaj prędko!”, ale Klim nie odpowiedział na to w żaden sposób.

Rozdział 22

Północ i południe

Księga Umarłych

Od kilku dekad świat zajmuje się poszukiwaniem nadczołowieka. Doszliśmy do wspaniałych rzeczy w przemyśle, lecz ludzka natura pozostała taka sama jak dawniej, więc wielu marzy o tym, aby ją ulepszyć.

Na razie nie bardzo wiadomo, kim właściwie powinien być nadczołowiek – komunistą, faszystą czy też po prostu „wielkim białym bratem”, który poprowadzi za sobą inne narody. Jasne jest tylko jedno – powinien być bohaterem.

Wcześniej ludzie poszukiwali złota, a teraz sposobów osiągnięcia sukcesu, na przykład chcą dotrzeć na szczyt najwyższej góry albo polecieć sterowcem na biegun północny. A jeśli zdarzy się możliwość nie tylko przedrzeć się przez lody, ale kogoś uratować, szanse na uznanie za nadczołowieka rosną pod niebiosa. Właśnie dlatego wszystkich tak zajmują poszukiwania ekspedycji generała Nobilego.

Walka o życie ludzi jest tutaj sprawą drugorzędną. Codziennie na świecie giną tysiące ofiar głodu, epidemii, wojen i katastrof przemysłowych, ale nikt się o tych ludzi nie troszczy. Cenne jest zwycięstwo nad Arktyką, jako ostatnim niezbadanym terenem na Ziemi, zaś uratowanie włoskiej załogi zdaje się symbolem tego sukcesu.

Wajnsztajn niepotrzebnie się łądzi, że świat śledzi właśnie sowiecki lodołamacz. Dotknięci nieszczęściem zamienili się w przyz, który powinien się dostać nadludzkiemu ratownikom, zatem oprócz bolszewików ekspedycji szukają Włosi, Norwegowie, Szwedzi, Francuzi i inni. Staliśmy się świadkami zawodów sportowych, w których wszyscy kibicują własnym drużynom.

Ten wyścig jest szczególnie ważny dla rosyjskich komunistów i włoskich faszystów. Dla zwycięstwa są gotowi stracić mnóstwo pieniędzy i ludzi. Komisariat Spraw Zagranicznych zdecydował się wysłać nas na północ właśnie dlatego, żebyśmy utrwalili moment sowieckiego triumfu.

Wraz z kolegami udajemy, że jesteśmy niezmiernie radzi z możliwości wejścia w szeregi polarników. Sam fakt przebywania na pokładzie Krasina uczyniłby z nas bohaterów, których czekają bogactwo, sława i uwielbienie pięknych kobiet. Ale nikt z nas nie zapomina, że hydroplan Norwega Amundsena, również zajmującego się poszukiwaniami Nobilego, zaginął na Morzu Barentsa, a samolot Szweda Lundborga kapotował podczas lądowania na krze. Pogoda wokół Spitsbergenu to mrozy, mgły i silne wiatry, więc bylibyśmy jak żołnierze wysłani na front, nie wiedząc komu z nas sądzone będzie wrócić do domu.

Kiedy sobie pomyślałem, co stanie się z moją córeczką, jeśli zginę, postanowiłem, że nie może zostać z Galą, bo wyrośnie z niej kopia Tani. Już lepiej oddać ją Ninie, ta przynajmniej nie uczyni z małej bezmózgiej ofiary propagandy.

Nic nie wyjaśniałem byłej żonie, a Gali skłamałem, że wysłałem Kitty na letni obóz dla małych dzieci. Nie wiem nawet, czy mi uwierzyła.

Dowódcy ostro odmówili wpuszczania dziennikarzy na sowieckie jednostki, więc siedzimy sobie w archangielskim hotelu i czekamy, aż Komisariat Spraw Zagranicznych dogada się z Komisariatem Spraw Wojennych i Morskich.

Redaktorzy błagają o ratowanie ich przed zawałem serca i przysłanie jakichkolwiek wiadomości o polarnikach Nobilego, lecz jedyne dostępne źródło informacji to wiszący naprzeciwko mojego okna głośnik.

Kiedy tylko rozlega się: „A teraz podajemy wiadomości o lodołamaczu Krasin”, razem z kolegami otwieramy lufciki, wyjmujemy notesy i staramy się nie uronić ani słowa.

Agencja TASS niezbyt rozpieszcza nas szczegółami, a przecież musimy z czegoś wykrawać reportaże, więc wielu korespondentów oddaje się grzechowi fabrykowania informacji. Niedawno Seibert pokazał mi artykuł, w którym napisał o uratowaniu dwóch oficerów nawigacyjnych z ekspedycji Nobilego. Głośnik oznajmił, że podebrał ich Krasin oraz że trzeci członek tej grupy, meteorolog Malmgren, nie doczekał szczęśliwego dnia. Seibert nie wytrzymał i opisał pogrzeb wybitnego naukowca, podczas którego wygłoszono wzruszające mowy pożegnalne, po czym oplakiwano zmarłego zgodnie z rosyjską tradycją. Reportaż ten przedrukowały setki gazet na całym świecie, a niedługo potem okazało się, że Malmgrena nikt nie chował, jako że w ogóle go nie było z nawigatorami.

Teraz drażnimy się z Seibertem i radzimy mu, aby zmienił profesję, skoro posiada taki nadzwyczajny talent do pisania nekrologów. A on chodzi ponury i obiecuje, że się na wszystkich odegra, a szczególnie na mnie, ponieważ jestem okropnym nudziarzem i niczego nie pojmuję na temat prawdziwej literatury.

Archangielsk to przybytek rybaków, drwali i zesłańców. Starych ludzi w ogóle tu nie widać, za to dzieci i podrostków jest całe mnóstwo.

Miasto tonie w zieleni i błocie po niedawnych deszczach, a my chodzimy nie tyle po ulicach, co po deskach i ceglach zastępujących chodniki.

Rozrywek jest tu niewiele. Można iść do kina obejrzeć piąty raz film *Poeta i car*, można pooglądać wymyślne obramowania okien domów, które w Archangielsku wykonuje się z wyjątkowym smakiem, a można też usiąść na ławeczce niedaleko szkoły pielęgniarskiej i pogapić się na dumne północne dziewczyny, uparcie niezauważające obrzydłych cudzoziemców.

Sytuacja z żywnością jest tu o wiele gorsza niż w Moskwie. Na początku lata nie wystarcza chleba, biały można kupić tylko na bazarze, a po czarny ustawiają się długie kolejki.

Matriona, kobieta sprzątająca mój pokój, mówi, że mężczyźni z okolicznych wsi skupują chleb workami i karmią nim konie. Inaczej nie dałoby rady utrzymać zwierząt, jako że pud owsa na rynku kosztuje już osiem rubli.

W niektórych sklepach prawie niczego się nie sprzedaje, z wyjątkiem liści laurowych i żelatyny. Bolszewicy powinni się cieszyć: prywaciarze zostali całkowicie zlikwidowani, tyle że wraz z dobrobytem społeczeństwa.

Niemniej antybolszewickich nastrojów w mieście się nie wyczuwa. Matriona to jedyny „socjalnie niezadowolony element”, z jakim zapoznałem się w Archangielsku. Przychodzi do mnie o ósmej rano i zaczyna szorować szczotką pod łóżkiem.

– Nasi partyjniacy wrzeszczą, że nam zapalą nowe słońce. Słońce, a nie świeczkę, bezwstydni krzykacze! Bóg jeden może je zgasić czy zapalić, a nasze sprawy przy nim nieważne!

Lubi słodkości, a cukru dostać niepodobna, bo poszedł na stworzenie gór lodowych. W restauracji przy naszym hotelu niedawno odbywał się konkurs pod tytułem „Na ratunek ekspedycji Nobilego”, a teraz znajduje się tam wystawa. Na wielkich stołach są torty, ozdobione wyobrażeniami śnieżnych równin, namioty z ciastek i marcepanowe ludziki, wzywające pomocy.

Wszedłem w porozumienie z kucharzem i wymieniłem u niego pewne produkty, żeby wysłać je Ninie. Za dodatkowe wynagrodzenie zdjął nawet z wystawowego tortu czekoladowy lodołamacz. Zamierzam nadać paczkę przez kierownika pociągu. Na pocztę nie ma co liczyć, bo zwykła skrzynka idzie z Archangielska do Teodozji miesiącami.

Biorąc pod uwagę, że moja bohaterska śmierć wśród lodu jakoś się odkłada w czasie, coraz częściej myślę o tym, co począć z Niną. Kitty bez wątpienia zbliży się do niej i będzie chciała, żeby mama uczestniczyła w jej życiu.

Jeżeli Nina rzeczywiście odejdzie od Reicha, gdzie planuje zamieszkać? A jeśli wróci do Moskwy, jak będą wyglądać nasze stosunki? Dla mnie nawet przelotne spotkanie z nią to ból głowy na kilka dni, a jakoś nie przypuszczam, że przywyknę do nic

nieznających kontaktów: „Dzień dobry, dzień dobry, masz tu dziecko, pobaw się z nim i zwróć”.

Niestety, nie mogę zapomnieć o mister Reichu. Chodzę nad rzekę patrzeć na gigantyczne tratwy, płynące ku morzu. Setki tysięcy bali sortuje się, suszy i składa w ogromnych sztaplach. Ale patrząc na to wszystko, myślę nie tyle o rozmachu sowieckiego przemysłu drzewnego, co o podkładach, które Oscar zamierza wysłać do Niemiec.

Wracam do hotelu i z nudów siadam do fortepianu, ustawionego w westybulu. Podnoszę klawisz, przebiegam palcami po klawiszach i... z miejsca widzę zęby mister Reicha – takie właśnie bielutkie, równe i fałszywe. Zabawne, prawda? Ale co mam ze sobą zrobić?

Przyszedł kolejny list od Klima. Napisał, że wysłał przez kierownika pociągu paczkę z żywnością, i prosił, aby Nina ją odebrała.

Autobus do Teodozji jechał obok Koktebela dopiero w południe, ale Nina zbudziła się o świcie i długo chodziła po domu bez żadnego celu. Ze wzburzenia i niecierpliwości nie potrafiła się na niczym skupić. Wszystkie jej myśli biegły do jednego: Klim z pewnością włożył do przesyłki list. Ale co w nim będzie?

Wreszcie postanowiła się wykąpać. Wzięła ręcznik i wyszła na podwórze zalane pierwszymi promieniami słońca. Pod markizą za kręgiem garnuszków siedziała Sława, a obok niej leżały Owieczka i Chrum, patrząc uważnie, jak ich pani lepi pękate naczynie.

– Trzeba amunicji dostarczyć, wasza miłość! – wymamrotała sennie drzemiąca na ramieniu gospodyni papuga. – Bo jak mamy walczyć?

Staruszka przyłożyła dłoń do gliny i spojrzała uważnie na Ninę.

– Siadaj! – rozkazała, podnosząc się z kulawej ławeczki. – Muszę na ciebie popatrzeć.

– A na co dokładnie? – zdziwiła się Nina.

– To moja sprawa. Przymknij oczy i lep, co ci tam wyjdzie.

Nina wzruszyła ramionami, usiadła przy kole garncarskim i ze zmrużonymi oczami zgmiotła w dłoniach kawałek gliny.

– Stój! – krzyknęła Sława.

Chodziła wokół Niny, jakby ta zrobiła coś znaczącego.

– Patrz, co wyszło! Pułapka... To twoja przeszłość. I właśnie ona mocno trzyma cię w pazurach!

Nina spojrzała na leżący przed nią płaski kawałek gliny z nierównymi, jakby zębatymi krawędziami. Prawdę mówiąc, bardziej przypominał przykrywkę do piwa.

Gospodyni podała Ninie nowy kawałek gliny.

– Zamknij oczy i lep dalej!

Sława najwyraźniej robiła rozeznanie, co Nina myśli, więc postarała się ulepić serce jako symbol swojej miłości, jednak wyszło nie wiadomo co z wgłębieniami od palców.

– Toż to ser! – jęknęła Sława. – „Kruk miał w pysku ser ogromny...”⁹ Trzymaj go mocno, inaczej przebiegły lis go zabierze.

Nina się przestraszyła.

– Mówi pani o Gali?

Sława zmarszczyła gęste brwi, zgmiotła „wnyki” i „ser” w jeden kawałek.

– Wstań! – poleciała. Usiadła na miejscu Niny, pchnęła stopą koło. – Nerozgarnięta... Kudły są, ale czego się trzymają, nie wiadomo!

Nina stała, wycierając dłonie w szmatkę, i bardzo chciała otrzymać jakieś wyjaśnienie, lecz Sława nic nie mówiła. Koło furkotało, a pod wykrzywionymi starczymi palcami wyrastał nowy garnuszek.

– Nie wiem, co powinnam robić – powiedziała Nina. – Naprawdę potrzebuję rady... Nie wiem, czy on mnie kocha... Czy w ogóle zechce...

Papuga nachyliła się do ucha Sławy i coś szybko wyskrzeczwała.

– Tak, no tak... – Gospodyni pokiwała głową i podniosła wzrok na Ninę. – Zrób tak, żeby mu było dobrze z tobą, a nie źle bez ciebie. Idź już, gdzie miałaś iść! Ja mam swoje sprawy.

9 Ignacy Krasicki, *Kruk i lis* (z Ezopa).

Całą drogę do Teodozji Nina myślała nad tym, co usłyszała.

Kiedy ostatnim razem było im dobrze z Klimem? Kilka lat wcześniej... Ich miłość przemieniła się w opium, które daje krótką iluzję szczęścia, lecz w istocie rzeczy niszczy. Klim pierwszy się opamiętał i postanowił to przerwać.

Kitty wyjęła z torby Niny woreczek z biriulkami¹⁰. Elkin podarował jej cały zbiór wyrzeźbionych zabawek wielkości dziecięcego paznokcia. Były tam i wiadro z rączką, i samowar, i piła z heblem, wszystkiego ponad sto przedmiotów. Trzeba je było zwalić na kupkę i wyjmować po jednym haczykiem, ale tak, żeby nie zaczepić innego.

Niestety, z tej zabawy nic Kitty nie wyszło, bo autobus zbyt mocno podskakiwał na wybojach.

Tak właśnie u mnie i Klima nic nie wychodzi – pomyślała ponuro Nina. – I nikt nie jest temu winien. Po prostu tak się układa.

Wbrew zwyczajowi pociąg przyjechał przed czasem.

Nina wzięła Kitty na ręce i pobiegła przez mroczny budynek stacji. Wyleciały na zalany słońcem peron. Obok spieszyli radośni pasażerowie z walizkami, koszami i siatkami na motyle.

Gdzie wagon siódmy? Po szóstym od razu był dziewiąty, potem dziesiąty...

Nina zauważyła ludzi stłoczonych przy ostatnim wagonie, pobiegła tam.

– Nie pchać się! Wszyscy dostaną! – krzyczał kierownik, rozdając przesyłki i listy.

Jego pomarszczone ręce szybko przebierały koperty i zwitki: „To nie dla was... To też nie...”.

Wreszcie Nina odebrała zbitą ze sklejki skrzyneczkę. Kitty podskakiwała z niecierpliwości.

– Mamo, otwieraj prędeej!

Znalazły pusty kramik i wyprosiły nóż od handlarzy arbusami.

– Co tam? – dopytywała dziewczynka. – Są zabawki?

Kasza, mleko w proszku, zawinięta w papier czekolada... List spoczywał na samym dnie, pod norweskimi konserwami. Było w nim napisane, że lodołamacz Krasin uratował wszystkich ocalałych członków włoskiej ekspedycji, ale korespondentów i tak do niczego nie dopuszczono.

Klim obiecał, że niebawem dotrze do Teodozji, przywiezie Elkinowi pieniądze i zabierze dziecko. Okazało się, że w Archangielsku o wiele łatwiej dostać bilety na pociągi dalekich tras niż w Moskwie.

„Dziękuję, że pomogłaś mi w trudnej chwili – napisał Klim na zakończenie. – Mam nadzieję, że Kitty zbytnio ci nie dokuczyła”.

10 Biriulki – stara rosyjska gra przypominająca bierki.

Nina czuła się tak, jakby podcięto jej skrzydła. O ile przedtem z niecierpliwością czekała na przyjazd Klima, o tyle teraz myślała o nim z lękiem. Postanowił zabrać małą i zostawić żonę samą.

Elkin widział, że Nina się zamartwia, i próbował ją rozerwać.

– Powinniśmy koniecznie iść na „wycieczkę po starym świecie”. Pokażę takie piękno, jakiego jeszcze pani nie oglądała.

Nina się zgodziła. Powinna chociaż na chwilę porzucić czarne myśli.

Cały dzień włóczyli się wokół Karadahu i zagłądali w czeluście szczelin.

– Stoimy na wygasłym wulkanie – mówił Elkin, kiedy weszli na skałę, z której rozciągał się niesamowity widok. – Proszę sobie wyobrazić, co tu się działo kiedyś! Kipiła lava, wszystko wybuchało i trzęsło się... A teraz cisza i spokój.

Elkin zamilkł, zapatrzony w horyzont.

– Kiedy morze zlewa się z niebem, zdaje się, że stoimy na pokładzie ogromnego statku i płyniemy w powietrzu. – Odetchnął głęboko. – Już dawno chciałem z panią porozmawiać, a teraz chyba jest najlepszy moment.

Nina spojrzała na niego przestraszona. Tylko nie to! Czyżby wybrał sobie chwilę, aby czynić jakieś propozycje?

– Też chciałam panu coś powiedzieć.

Nina dawno już zrozumiała, że jedynym sposobem, aby nie zranić Elkina poniżającą odmową, jest pierwszej opowiedzieć o stosunkach z Klimem.

Nie zamierzała niczego ukrywać i wyłożyła wszystko. Opowiedziała, jak się poznali, jak długo tułali się po Rosji w czasie wojny domowej i jak wyemigrowali do Chin.

Elkin słuchał w milczeniu, a na jego twarzy zastygł nic niewyrażający uśmiech. Oczywiście rozumiał, że Nina próbowała ratować jego poczucie własnej wartości, i był za to wdzięczny.

Siedzieli na krawędzi skały i patrzyli na różowiejące chmury nad zatoką.

– Urodziliśmy się w niewłaściwym miejscu i czasie – powiedział głucho inżynier. – Powiniennem przyjść na świat sto lat wcześniej, a pani pasowałby koniec osiemnastego wieku. Byłaby z pani wspaniała władczyni małego światłego księstwa.

– I co bym tam robiła? – spytała Nina.

– Po pierwsze, byłaby pani sama sobie sterem, żeglarzem i okrętem, nie przywiązywałaby pani takiego znaczenia do mężczyzn. Mogłaby pani wspierać uczonych i korespondować z największymi umysłami epoki. Malarze uwiecznialiby pani urodę na obrazach, a poeci pisaliby dla pani błyskotliwe madrygały. Miałaby pani potajemnych kochanków, uroczą czyściutką stolicę i zachwyconych poddanych. Czy to mało?

– A sprawa zakończyłaby się albo wojną, albo pałacowym przewrotem – uzupełniła Nina, wstając. – Czyli nie byłoby żadnej różnicy. W dwudziestym wieku też albo mnie zabijają, albo wtrącają do więzienia. I nawet najteższe rozумы nic na to nie poradzą. Taki już

mój los.

Wrócili do domu już po zmroku. Groźna Sława wyszła na ich powitanie z lampą naftową.

– Gdzie cię nosi?! – krzyknęła, chwyciła Ninę za rękę i pociągnęła za sobą.

– Co się stało?!

Gospodyni otworzyła drzwi do pokoju Niny i wskazała skuloną na łóżku Kitty.

– To! Zobacz sobie!

Nina rzuciła się do córki.

– Co z tobą?

Twarz Kitty napuchła, oczy zmieniły się w wąziutkie szparki, a na policzki wystąpiła wysypka.

– Znów wszystko boli! – chlipnęła Kitty.

Nina patrzyła na dziewczynkę zmieszana. A była przecież zupełnie pewna, że przy niej dziecko nie zachoruje.

– Mama już jest... Mama pomoże... – powtarzała, przytulając małą do piersi. – Zaraz pojedę do Teodozji i znajdę ci doktora!

– Doktor nic nie pomoże, jeśli głupia matka karmi dziecko nie wiadomo czym! – warknęła Sława i pokazała leżący na podłodze papier z czekolady.

– Ojciec jej to przysłał – powiedziała Nina. – Kitty lubi słodczyce...

Sława przydepnęła papierek.

– Dawno byście sami się domyślili, ale rozumu nie macie!

Wyszła, zostawiając lampę na kufrze, a Nina jeszcze długo siedziała, wstrząśnięta do głębi.

A zatem to było przyczyną choroby! Klim karmił dziewczynkę czekoladą! Nina kiedyś słyszała, że niektórym ludziom to szkodzi.

Niebawem jej myśli podążyły zupełnie inną drogą. Znając ten sekret, można Klima oderwać od Gali. Wystarczy powiedzieć, że przy niej dziecko źle się czuje. Sam Klim nigdy się nie domyśli, dlaczego Kitty choruje, a i moskiewscy lekarze raczej mu nie pomogą.

Drzwi skrzypnęły, w progu pojawiła się Sława.

– Trzymaj! – powiedziała, podając Ninie garnek z wymalowanymi oczami, uszatymi uchwyty i kędziorami wokół brzegu. – Ulepiłam to dla ciebie.

Nina zajrzała do środka. Na dnie leżała maleńka łapka na myszy i kawałek owczego sera.

– Właśnie to masz teraz w głowie – powiedziała Sława. – Jeśli się nie podoba, włóż coś innego.

Ale ja przecież naprawdę wciąż myślę o przynętach i pułapkach – przeraziła się Nina. – Przywykłam właśnie tak rozwiązywać problemy.

Genialny plan przepędzenia Gali ukazał się jej w nowym świetle.

Chciałam oszukać Klima, w dodatku używając do tego Kitty. Czyli wychodzi na

to, że dobrze zrobił, odrzucając mnie! Komu potrzebna taka intrygantka?

Sława z uśmiechem obserwowała twarz młodej kobiety.

– O właśnie! – powiedziała z zadowoleniem, zamykając za sobą drzwi. – Wesołej nocy!

Nina długo nie mogła zasnąć. Chciała działać, podjąć ważne decyzje i od tej pory postępować zupełnie inaczej.

Długo zastanawiała się, co włożyć do naczynia jako symbol nowego życia, ale zasnęła, niczego nie wymyśliwszy.

A rano się okazało, że Kitty wsypała do niego swoje białki.

Rozdział 23

Sowieckie kasyno

Od chwili, kiedy Klim wyjechał, Gala czuła się słaba i pozbawiona życia, zupełnie jakby straciła dużo krwi. Działo się coś niedobrego – Klim wysłał Kitty nie wiadomo z kim, nie wiadomo dokąd, a z Archangielska przysłał tylko jeden telegram: „Wyjeżdżam na urlop. Zadzwoń, gdy wrócę”.

O podmoskiewskiej daczce i wyjeździe na południe można było zapomnieć. Gala na próżno wyprawiła córkę do Leningradu. Przy czym Tania nie miała powodów do narzekań – została przyjęta do pionierów, więc znalazła się w siódmym niebie ze szczęścia.

Lato było pochmurne i zimne, a w OGPU krążyły trwożne plotki. Na kolegium wygłoszono odczyt o sprawdzaniu listów żołnierskich. Rodziny ze wsi skarżyły się czerwonarmistom na przemoc ze strony władz i matki otwarcie nawoływały synów, aby zwrócili bagnety przeciwko „złodziejom, którzy wytrząsają z narodu duszę”.

– U nas na wsi wprost mówią, że lepsza byłaby wojna – oznajmiła Kapitolina, kiedy Gala przyszła do mieszkania Klimego, żeby przejrzeć pocztę. – W mieście pracy nie ma, a na wsi w ogóle nikt nic nie robi. Chłopi nie chcą chodzić do żniw, a na pola wyganiają zwierzęta, żeby żarły, ile mogą, jeśli ma wszystko przepaść.

Podczas gdy „ojczulek książę” był w delegacji, Kapitolina zajęła się pracą aprowizacyjną i potajemnie, bez zezwolenia, woziła ze wsi masło, śmietanę i mleko. Odbiorców miała tuż pod bokiem, bo na parterze. Liga Czasu została wysiedlona, a miejsce ubogich studentów zajęli solidni pracownicy Proletkultu, czyli Proletariackich Organizacji Kulturalno-Oświatowych. Zajmowali się burzeniem starej, szlachecko-burżuazyjnej kultury i tworzeniem nowej, proletariackiej. W tym celu chodzili po wystawach i spektaklach, pilnując, aby propagowano walkę klas, kolektywizację i solidarność ludu pracującego. Pieniądze proletkultowcy mieli, jako że państwo nie żałowało środków na tak ważną pracę.

Kapitolina kładła przygotowane do sprzedaży węzełki z towarem na wadze rzymskiej.

– Słuchaj, Gala, przyuroczyłam sobie takiego jednego tokarza – pochwaliła się. – Babka znachorka nauczyła mnie specjalnej modlitwy, „na przyzwanie” się nazywa. I udało się!

Tokarz już dwa razy zapraszał Kapitolinę do kina, a raz odsypał jej słonecznika z kieszeni.

– Modlitwę trzeba odmawiać nad zdjęciem – wyjaśniła dziewczyna. – Mój Terentij wisi na tablicy przodowników naprzeciw portierni, więc podeszłam, poczekałam na uderzenie dzwonu i powiedziałam:

*Wstańże, trupie, już z mogiły,
Daj mi potępionej siły,
By Terentij, sługa Boży*

*W moją pościel się położył,
Aby nie mógł jeść ni pić,
By beze mnie nie chciał żyć.
Zamkiem moje słowo będzie,
A klucz diabeł dobry zwędził.
Amen. Amen. Amen.*

– Myślisz, że to zaklęcie pomogło? – spytała z powątpiewaniem Gala.

– A pewnie! Tam na tablicy wisiał jeszcze brygadzysta, wujaszek Arkadij Iwanowicz, i on też zaczął się do mnie podsuwać. Znaczy i na niego trochę podziałało.

Kiedy Kapitolina wyszła, Gala długo stała pośrodku korytarza, pełna wątpliwości. Zajmować się czarami to bardzo zła rzecz... Ale pokusa była zbyt wielka, więc poszła odnaleźć zdjęcie Klima.

Kitty miała album, w którym umieszczała pocztówki i fotografie, a Gala pamiętała, że znajdowało się tam kilka odbitek Klima, wykonanych do dokumentów. Ale to, co zobaczyła, zaskoczyło ją tak, że wstrzymała oddech. Między stronicami była fotografia damy, która przychodziła kiedyś do Rogowa, a potem do Elkina. Dlaczego Kitty włożyła to zdjęcie do albumu?

Gala odwróciła kartonik i zdumiała się jeszcze bardziej. Wypisane tam było przekreślone nazwisko „Nina Kupina”, a nad tym Klim uzupełnił własną ręką „Mrs Reich”.

Oto osoba, o której chciał zasięgnąć informacji! Oto kto został u niego na noc i zupełnie wytrącił go z równowagi!

Kim jest ta kobieta? Reich – to nazwisko brzmiało bardzo znajomo, lecz Gala nie mogła sobie przypomnieć, gdzie je słyszała.

Oprócz fotografii Klima wzięła też zdjęcie Niny, aby poczarować nad jednym i drugim. Skoro już zdecydowała się popełnić grzech, nie miała nic do stracenia.

Gala zapakowała zdjęcie Niny w papier i podczas kolejnej wizyty na Łubiance poprosiła Ibrahima, żeby włożył je do kieszeni któremuś ze zmarłych więźniów. Według Kapitolicy był to najlepszy sposób, aby zgubić rywalkę. Najważniejsze, żeby trup zabrał fotografię do grobu albo ostatecznie, do krematorium.

Dobra dusza Ibrahim nie odmówił. Często pomagał pakować nieboszczyków do samochodów, więc nie sprawiło mu kłopotów spełnić prośbę Gali.

Kobieta podziękowała mu i pobiegła do Ałowa.

– I co, nie przyjechał jeszcze ten twój? – spytał i zaczął się skarżyć, że strasznie się już męczą z Dunią, gnieźdząc się kątem u Wałachowa. Był to zastępca Drachenbluta, który pozwolił im u siebie mieszkać.

Jeszcze podczas wojny domowej Wałachow zagrabił dla siebie dawną poczekalnię kancelarii adwokackiej, ale powierzchnia pomieszczenia okazała się zbyt duża i w czasie kolejnej kampanii przeciwko drobnomieszczaństwu zmuszono go do zagęszczenia lokalu. Zameldował więc u siebie Ałowa, a ten przyprowadził młodą żonę, przez co przyjaźń rozsypała się w proch i pył. Pełny sił Wałachow nie miał powodzenia u kobiet i czuł się upokorzony, że stary i chory Ałow kogoś ma.

Do tej pory Gala była niezadowolona, że otrzymała pokój przy Wielkiej Kisielnej. Teraz zmieniła zdanie.

– Poproś Drachenbluta, to może dopisze cię do kolejki mieszkaniowej? – powiedziała, ale Ałow tylko się skrzywił.

– Sto razy go już prosiłem.

Wyjął z mankietu różaniec, zaczął przesuwając paciorki.

– Drachenblut kazał przygotować się należycie do czystki. Po niej na pewno jakieś mieszkanie się zwolni. Trzeba więc podwoić wysiłki... A u ciebie co nowego?

– Spotkałam Seiberta. Wrócił z Archangielska i zaprosił mnie do kasyna.

– A ty co?

– Posłałam go do diabła. Zdaje się, że jest o coś zły na Klima, chyba poszło o jakiś artykuł o polarnikach.

Ałow kilka razy podrzucił różaniec w dłoni.

– Właśnie, sikoreczko... Odpowiesz mi wzajemnością.

– A Bóg z tobą! – zaprotestowała Gala. – Ja mu nie jestem do niczego potrzebna, on po prostu chce dopiec Klimowi.

Ałow zmarszczył groźnie brwi.

– Ty z siebie tu nie rób dziewicy, dobrze? Idź z nim do kasyna i słuchaj, co mówi. Może się czegoś dowiesz.

Wyjął z kieszeni talon do sklepu spółdzielczego OGPU.

– Trzymaj. Kupisz Tani walonki na zimę. I nie rycz! Każdy powinien służyć rewolucji jak umie.

Po drodze Gala znów spotkała Ibrahima.

– Zrobiłem, o co prosiłaś – zameldował. – Przed chwilą trzy trupy poszły do krematorium.

Gala podziękowała mu i odeszła. Sprawa została załatwiona, teraz trzeba było wyrecytować modlitwę. Tylko gdzie? Dzwon cerkiewny ostatnio bił coraz rzadziej. Świątynie sukcesywnie zamykano, a przełożeni tych jeszcze działających starali się nie zwracać na siebie uwagi.

Gala obeszła Kreml i poszła wzdłuż nabrzeża. W dali, w promieniach zachodzącego słońca, złociła się kopuła cerkwi Chrystusa Zbawiciela. Tam powinny się odzywać dzwony, jako że na taką wielką świątynię nikt nie odważy się podnieść ręki.

Poszła na spotkanie lśniącego dachu, jakby wychodziła naprzeciw samej śmierci. Niech spotka ją piekło i wieczne cierpienia, byle tylko Klim ją pokochał!

Nad rzeką poniósł się przeciągły głos dzwonu. Trzeba się zdecydować! Wyjęła z torebki karteczkę, w którą zawięła zdjęcie Rogowa... i oniemiała.

Przez pomyłkę dała Ibrahimowi fotografię Klimy, a sobie zostawiła portret Kupiny...

Gala spotkała się z Seibertem pod rozświetlonym zegarem na placu Starej Bramy Triumfalnej. Padał drobny deszcz, więc Niemiec rozłożył nad kobietą wielki angielski parasol.

– Proszę się nie krępować i wziąć mnie pod rękę. Ach, kochaniutka, jakie piękne perfumy!

Perfum Gala w życiu nie miała, a jedyne, czym mogła pachnieć, to duszoną kapustą, którą przygotowała sobie na kolację.

– Była pani kiedyś w kasynie? Nie? Tak nie wolno! – ciągnął Seibert. – Jeśli można, trzeba brać z życia wszystko. Tym bardziej że przybytki hazardu zamyka się masowo jako burżuazyjny przeżytek.

Weszli do jasno oświetlonego budynku bez szyldu. W niegdyś pięknym, lecz teraz odrapanym westybulu panował zaduch wilgotnego kurzu. Na górę prowadziły wydeptane schody, a z sufitu zwisał zaśniedziały żyrandol z porozrywanymi sznurkami kryształów.

– Towarzysze młodzi ludzie, nie pchajcie się na dywany w kaloszach! – krzyknął siwowłoso szwajcar.

Seibert udał zdziwienie i powiedział coś po niemiecku.

– Cudzoziemiec... – rzekł szwajcar z odrazą, ale dał im spokój.

Sala na piętrze była obwieszona lustrami i politycznymi plakatami. Wokół stołów, na których grano w ruletkę, tłoczyli się mężczyźni, ubrani w wymięte dwurzędowe garnitury i modne wąskonose półbuty.

– Kto to? Nepmani? – spytała szeptem Gala.

Seibert pokręcił głową.

– Tutaj bawią się głównie cudzoziemcy, obłowieni na kradzieżach kasjerzy i romantycy wierzący w szczęście.

Kobiet było mało i – jak się zdawało Gali – wszystkie one przyszły nie grać, lecz szukać klientów na noc.

Boże, co za żałość! – myślała i otrzeźwił ją dopiero widok starszych kobiet w znoszonych jedwabnych sukniach i staromodnych kapeluszach. Siedziały przy ogromnym stole i grały w preferansa, a dokładniej w „stare czasy”. Jak wyjaśnił Seibert, starsze panie traktowały kasyno jak klub i nie przynosiły mu ani kopiejki dochodu. Jednak zarządzający tolerowali ich obecność, jako że stanowiły miejscową ciekawostkę.

Przechodząc obok stołów, Gala zauważyła, że wszyscy klienci grają kartami produkcji Związku Bezbożników. Zamiast królów w talii byli kapłani i cudotwórcy, zamiast dam przewrotne zakonnice, zamiast waletów diacy o pijackich gębach.

Seibert poprowadził Galę do stołu z ruletką, wokół którego stali rozgorączkowani młodzi ludzie.

– Czołem rekinowi kapitalizmu! – przywitali się z Niemcem. – Pan znów z damulką?

– A wam znów pensji nie zapłacili?

Dziennikarz wyjaśnił Gali, że młodzieńcy pracują w spółce akcyjnej Radiostacja i zajmują się produkcją programów dla rozgłośni. Wcześniej wymyślali wspaniałe audycje w rodzaju „Kiedy wyginie życie na Ziemi” albo „Sugestia i hipnoza w świecie przestępczym”, ale na nieszczęście stali się tak popularni, że państwo położyło na nich łapę. Teraz firma zajmowała się nie oświatą, lecz propagandą, połowa kolektywu się rozbiegła, a pozostali miesiącami nie dostawali wynagrodzenia.

Młodzi ludzie zrzucili się na kupno sztonów.

– Tak właśnie zarabiają na kolację – powiedział Sei-bert. – Jeśli zdołają wygrać, to coś zjedzą, a jeśli nie, będą się odchudzać.

– Precz z wartościami burżuazyjnymi! – odezwał się wysoki typ z mankietami poplamionymi atramentem.

W odpowiedzi Seibert zrobił psotną minę i zaczął udawać spikera radiowego.

– „Dzisiaj opowiemy wam, drodzy słuchacze, o Świącie Konia w stacji maszyn rolniczych. Bierze w nim udział siedemset chabet, w tym towarzysz Kalinin”. Też bym wam nie płacił za taką ohydę.

Pracownicy Radiostacji odpowiedzieli śmiechem.

Gala przypomniała sobie opowieści Klima o trupach teatralnych, atelier filmowych i związkach artystów. Wszędzie działo się zawsze to samo – urzędnicy mieszały się w sferę twórczości, uważając, że lepiej wiedzą, „jak trzeba robić”, artyści, chcąc nie chcąc, podporządkowywali się nowym zasadom, ale wypełniali polecenia bez zapału, więc po niebywałym wzlocie młoda sowiecka sztuka stoczyła się do poziomu zwykłej chałtury.

– Towarzysze, proszę obstawiać! – wołał krupier.

Seibert podał Gali stosik sztonów.

– Nowicjusze zawsze mają szczęście. Niech pani postawi na dowolną liczbę.

Gala położyła szton na prostokąt z ósemką.

– *Merci*. Koniec obstawiania – oznajmił krupier.

Gala nie na darmo uważała się za pechową. Przez pół godziny nie wygrała nawet kopiejki. W dodatku nie poczuła ani ekscytacji grą, ani goryczy porażki. Jedyne, na co miała ochotę, to pójść do domu, lecz jej „kawaler” najwyraźniej liczył na romantyczny wieczór.

Jaki z ciebie jednakowoż łajdak! – myślała. – Przecież Klim to twój przyjaciel, wiesz, że coś nas łączy! Dlaczego chcesz mu zrobić świństwo?

Posmutniały Seibert zaprowadził ją do bufetu, gdzie za wielkim rzeźbionym kontuarem nudziła się barmanka w wykrochmalonym fartuchu i koronkowym czepku. Za nią stały baterie zakurzonych butelek, a na ladzie pociły się sery, kiełbasy i ciastka. Wszystko, włączając gazowaną wodę z syfonu, kosztowało koszarne pieniądze.

– Kochaniutka, proszę dla nas nakryć! – powiedział Niemiec.

Z plakatów, rozlepionych na ścianach, na Galę surowo patrzyli mężczyźni. „Pamiętaj, że kraj potrzebuje więcej zboża!”, „Zrób, co potrafisz dla planu pięcioletniego!” – żądali. Wszyscy na świecie czegoś chcieli od Gali.

Seibert nalał jej wódki.

– Dzisiaj pijemy tylko za panią! – rzekł i stuknął w jej kieliszek swoim.

Gala właściwie chciała się napić.

– Dawno panią obserwuję i prawdę mówiąc, bardzo mi pani szkoda – westchnął Seibert. – Jest pani gotowa wszystko poświęcić dla Klima. Oddaje mu pani swoją młodość, czas i nadzieje, a co dostaje w zamian?

– Kiedy ja niczego nie potrzebuję – odpowiedziała cicho Gala.

– Proszę przestać! Chce pani zmienić swojego pracodawcę, ale od razu powiem, że to niemożliwe, gdyż nie rozumie pani, z kim sprawa.

Gala spojrzała na niego spod oka.

– Co pan ma na myśli?

Ale Seibert nie zdążył odpowiedzieć. Bufet oblegli szczęśliwi pracownicy Radiostacji.

– Panienko, sześć kanapek z wędliną! Tylko grubo krojoną!

– Dwie butelki portweinu!

– I jeszcze sardynek! I sera! Seiberta z panią też ugościmy! Jak się bawić, to się bawić!

Zdaje się, że do młodych ludzi szczęście uśmiechnęło się dziś bardzo szeroko.

Przybiegła kobieta w zsuniętej na tył głowy czerwonej chustce.

– Przed chwilą przyszła depesza! Lodołamacz Krasin uszkodzony i będzie remontowany w Norwegii. Wysłali mu na pomoc z Murmańska dwa parowce. Trzeba zrobić wydanie specjalne!

Młodzi ludzie z miejsca zapomnieli o sardynkach.

– Marusia, weź nasze jedzenie! – zawołał chłopak z poplamionymi mankietami i rzucił się do drzwi. Koledzy pognali za nim.

Seibert patrzył za nimi wielkimi oczami.

– Na Boga, Galu, niech pani jedzie ze mną do Telegrafu Centralnego! – powiedział ochryple. – Powinienem zadzwonić do Murmańska i dowiedzieć się, co z Krasinem!

– To niech pan dzwoni – burknęła Gala. – A ja po co jestem potrzebna?

– Mam obcy akcent! Gdy tylko telefonistka usłyszy, że nie jestem Rosjaninem, zaraz zacznie pytać o zezwolenia! A pani może powiedzieć, że dzwoni w osobistej sprawie.

Gala wstała, ale zatoczyła się tak mocno, że mało nie upadła. Zdążyła się już upić.

– Muszę iść do domu...

– Zapłacę pani! – wykrzyknął Seibert. – Ile pani chce? Pięć rubli? Dziesięć?

Aż żal było na niego patrzeć – czoło miał zmarszczone, dolna warga się trzęsła. Gala machnęła ręką.

– A niech pana diabli, jedziemy!

Mimo późnej pory w Telegrafie Centralnym było pełno ludzi. Gala odszukała numer do portu w Murmańsku i zamówiła rozmowę międzymiastową.

Seibert co chwila spoglądał na zegarek.

– Chłopcy z Radiostacji już pewnie zrobili wydanie nadzwyczajne. Ale to nic, jest już późno i nikt go nie słyszał, a my zaraz ustalimy szczegóły i wyślemy wiadomość do redakcji.

Wreszcie zawołano ich do kabiny telefonicznej. Wewnątrz było tak ciasno, że ledwie się w niej zmieścili.

– Niech pani mówi! – poganiał Galę Niemiec.

Przyłożyła zimną słuchawkę do ucha.

– Halo! Czy to port w Murmańsku?

Przez trzaski przebił się daleki głos.

– Tak, tu dyżurny! Kto przy aparacie?

– Dzwonię z Moskwy, z Telegrafu Centralnego. Jestem sekretarką towarzysza Seiberta. Tam u was powinny być dwa statki.

– Co? Powtórzcie, bo nie słyszę!

– Jestem sekretarką! Dzwonię z Moskwy, z Telegrafu Centralnego! – krzyknęła Gala. – Wysłaliście dwa statki do Norwegii?!

– Co?!

Dyżurny strasznie się zdziwił, kiedy w końcu zrozumiał, że dzwonią ze stolicy. Nie miał pojęcia, że na świecie istnieją linie międzymiastowe.

Gala wytłumaczyła mu, że chciałyby znać szczegóły na temat uszkodzenia Krasina.

– Co powiedział? – dopytywał Seibert, kiedy odwiesiła słuchawkę.

– Kazał zadzwonić później. Ma odszukać komendanta i ten z nami porozmawia.

Było już po północy i Gala stokrotnie pożałowała, że zgodziła się pomóc Seibertowi, ale on zaglądał jej w oczy jak nieszczęśliwy pies.

– Galu, kochana moja, zaczeka pani jeszcze troszkę, prawda?

Przesiedzieli jeszcze godzinę, zanim znów ich wezwano do kabiny.

– I co tam? Co? – pytał niecierpliwie Seibert.

Gala przytrzymała słuchawkę ramieniem, wzięła od dziennikarza notes i ołówek.

– Halo, Moskwa! – zakrzyczał daleki głos. – Zrozumiałem was! Cały zespół został postawiony w stan alarmowy!

Po wyrazie twarzy Gali Seibert odgadł, że stało się coś nieoczekiwanego. Rzuciła słuchawkę i bez słowa wyszła z kabiny.

– Proszę poczekać! – błagał Seibert. – Co powiedział?!

Gala skierowała się do wyjścia. Panowała głęboka noc, ulica była zupełnie pusta, z rzadka tylko przejeżdżały dorożki bez klientów.

Seibert chwycił Galę za rękaw.

– Niech pani wreszcie powie, co się stało!

– Kiepsko było słyhać i w Murmańsku pomyśleli, że idą w ich stronę norweskie okręty – odezwała się w końcu Gala. – Uznali, że zadzwoniono do nich z Moskwy, żeby uprzedzić o ataku. Ogłosili alarm we flocie i całym mieście.

Seibertowi opadła szczeka.

– Myślę, że nic nam za to nie zrobią – powiedział powoli. – Na pewno nie dosłyszeli mojego nazwiska.

– Pana nazwisko figuruje na kwitariuszu. Przecież płacił pan za rozmowy.

– Ale przecież słyszeli, że mówi kobieta!

Wyjął z kieszeni kraciatą chustkę, zdjął kapelusz i przetarł łysinę.

– Galu...

– Co?

– Jedźmy do mnie... Służąca jest u rodziców, będziemy mogli...

Gala roześmiała się nerwowo.

– Nawet się pan nie zainteresował, czy mi się podoba i czy nie mam innych planów.

Seibert zrobił parę kroków w miejscu.

– Nikt nigdy o to pani nie pytał. Nawet pani ukochany Klim Rogow.

– W odróżnieniu od pana, nie jest babiarzem i łgarzem! – odparła ze złością Gala.

– Okłamywał panią, i to bardzo. Gdyby pani umiała słuchać i sprawdziła, co mówi, dawno by pani zrozumiała, że nie jest żadnym Amerykaninem i nigdy nie był w Nowym Jorku.

Gala spojrzała na niego zdezorientowana.

– A panu skąd to przyszło do głowy?

– Niech go pani zapyta, którą stroną tam jeżdżą samochody, a odpowie, że lewą.

Na pewno tak myśli, bo Stany Zjednoczone były kolonią brytyjską. Nazywa nowojorskie metro koleją podziemną, jak w Londynie, a do tego nie umie podać nazw nawet dwóch stacji. Kiedy pisze po angielsku, zawsze wybiera brytyjską składnię i wariant słów.

– To jeszcze o niczym nie świadczy!

– Doprawdy? W takim razie niech go pani zapyta o najpopularniejsze piosenki, o znane aktorki z miejscowych teatrów, o różne drobiazgi, które człowiek powinien wiedzieć, jeśli naprawdę mieszkał w Nowym Jorku! I należy mu zadać najprostsze pytanie: jaki dokument otrzymał, kiedy przekroczył granicę. Jeżeli nie poda nazwy, niech chociaż powie, jakiego był koloru, bo to przecież najcenniejszy papierek dla imigranta z Ameryki. Nie pytała go pani o to? A ja pytałem!

– Uważa pan, że ma sfalszowany paszport? – spytała Gala drżącym głosem.

– Oczywiście. I bardzo jestem ciekaw, jakie wiatry przygnały go do Moskwy.

– Niech pan idzie do diabła! – krzyknęła zapalczywie Gala i uciekła.

Przez głowę przebiegały jej tabuny myśli. To już koniec... Przekleństwo, które rzuciła na Klima, zaczęło działać.

Czyżby naprawdę był szpiegiem? Ale dla kogo by pracował? Co chciał osiągnąć? I dlaczego maskował się tak nieudolnie?

Gala opadła z sił, usiadła na schodkach jakiegoś domu, ukryła twarz w dłoniach. Wszystko mi jedno, kim jesteś i po co przyjechałeś do Rosji. I tak cię kocham.

A ten Seibert to podła dusza! Zamierzał odebrać Galę Klimowi, chciał, żeby

doniosła na swojego pracodawcę do OGPU i usunęła mu z drogi groźnego konkurenta. Klim stopniowo pozbawiał go opinii głównego eksperta w sprawach Rosji Sowieckiej i Seibert nie mógł tego ścierpieć.

Gala zacisnęła pięści. Pożałujesz jeszcze swoich małych intryg!

Kiedy zjawiała się na Łubiance, napisała raport o tym, że Seibert utworzył siatkę szpiegowską, w skład której weszli pracownicy spółki akcyjnej Radiostacja. Dokonali oni prowokacji w porcie murmańskim w celu destabilizacji oraz narażenia na koszty państwa radzieckiego.

Ałow był w siódmym niebie i obiecał Gali premię.

Gala robiła pranie. Powinna już dawno wygotować bieliznę, bo zrobiła się prawie szara. Do gotowania posiłków mieszkańcy używali prymusów, ale do dużego prania służyła balia, w której mieściła się pościel, i trzeba było rozpalać pod płytą. To zaś pochłaniało całą miarę węgla.

Zapobiegliwy Mitrofanycz poprosił, żeby mógł zagrzać zupę, a w zamian zaofiarował sznurek nad wanną, bo dzisiaj była jego kolej suszyć rzeczy.

Wyjął zawinięty w ściereczkę chleb i starannie odkroił dwie małe kromki. Gala myślała, że sąsiad chce ją poczęstować, ale on zastanowił się przez chwilę, a potem z westchnieniem włożył oba kawałki do kieszeni.

– Ale przyszły czasy, co? – spytał gorzko. – Bezrobotni rozbili kałanczewską giełdę pracy, a wszystko przez Żydów!

Zaśpiewał czastuszkę, którą Gala wiele razy słyszała u żebraków:

*W kraju wielka jest bieda:
Nie ma mąki do chleba.
Nie ma biur bez Żydka,
Żydków zaś nam nie trzeba.*

– A co mają do tego Żydzi? – oburzyła się Gala. – Milicja wyłapuje robotników sezonowych i całymi eszelonami wywozi ich z Moskwy, to się buntują.

– Też powiedziałaś! – prychnął Mitrofanycz. – A kto ich podburza? Prawdziwy rosyjski człowiek nie będzie się buntował.

Spróbował zupy, zdjął garnek z płyty.

– Ten tego... Jakbyś się namyśliła myć w wannie, to żeby włoszek nawet po tobie nie został. Bo Tańka poprzednim razem po sobie wcale nie sprzątnęła. Tak nie wolno!

Gala odprowadziła go niechętnym spojrzeniem.

Ja chcę do domu, do Klima – pomyślała nie wiadomo który raz.

Ale przecież dokądś wyjechał, a bez niego mieszkanie na Czystych Prudach zaczęło przypominać porzucone gniazdo.

Im dłużej Gala rozmyślała nad słowami Seiberta, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że miał rację. Klim bez wątpienia prowadził jakieś tajemne życie. Tylko tym można było wytłumaczyć jego nagłe zniknięcie, wieczne niedomówienia i dziwne związki z panią Reich.

Od tych myśli Gali mąciło się w głowie. Bez końca analizowała to, co wiedziała o Klimie, a najczęściej dźwięczały w pamięci słowa o „rodzinnym Niżnym Nowogrodzie”. Coś tu było nie tak!

Wyplukała prześcieradła, rozwiesiła pranie i ledwie żywa ze zmęczenia poszła do

siebie.

Drzwi kwatery Mitrofanycza były uchylone: sąsiad dojadł zupę i przeglądał jakiś żurnal.

– Ależ łamigłówkę wymyślili! – powiedział na widok Gali. – „Czternastoma cięciami nożyc podziel rysunek na osiem części, z których należy potem ułożyć fizjonomię tego, kogo najbardziej nienawidzi lud pracujący”. Jak to niby przycinać?

– Masz coś zapalić? – spytała ponuro Gala.

Mitrofanycz wyjął paczkę i wydobył z niej najbardziej pomiętego papierosa.

– Przecież rzuciłaś.

– Zaraz tam rzuciłam!

Wyszła na schody i długo stała, zaciągając się śmierdzącym dymem. Wszystkie jej postanowienia nie miały sensu.

Mitrofanycz też wyszedł na zewnątrz.

– Smutno ci, co? Jak chcesz, przyjdź do mnie, razem będziemy rozwiązywać. Niedawno trafiła mi się jedna arcytrudna: „Ułóż z podanych kleksów postać czerwonoarmisty z karabinem”. Jakkolwiek próbowałem, to wychodziła mi albo żaba, albo czajnik.

Gala w milczeniu patrzyła na jego rozdeptane kapcie, zjedzony przez mole sweter i spodnie z wypchniętymi kolanami.

– Ty cały czas pracujesz w biurze archiwalnym? – spytała. – Możesz wysłać pytanie do gubernialnego archiwum Niżnego Nowogrodu?

Mitrofanycz zmarszczył brwi.

– A czego dokładnie chcesz?

– Potrzebne mi informacje o niejakim Klimie Rogowie, czy też może Klimencie, nie wiem, pod jakim imieniem figuruje w dokumentach. Data urodzenia według starego kalendarza to czwarty lipca tysiąc osiemset osiemdziesiątego dziewiątego. Dowiedz się, czego zdołasz, to może załatwię ci talon na walonki.

– O, dzięki wielkie! – rozjaśnił się mężczyzna. – Bo moje buty całkiem się już rozwalają. Może jeszcze czegoś potrzebujesz?

– Poszukaj czegoś o Rogowie w archiwach cerkwi Gieorgijewskiej, też w Niżnym Nowogrodzie.

Po powrocie do pokoju Gala bez sił zwała się na łóżko. Nie wiedziała już sama, co gorsze – żyć w nieświadomości, czy poznać prawdę.

Będzie, co ma być – powtarzała.

Nie miała śmiałości się modlić. Po odprawianiu czarów, kłamstwach i zdradzie mogła zanosić modły co najwyżej do szatana.

Rozdział 24

Urlop na Krymie

Po mrocznej deszczowej północy słońce Krymu zdawało się Klimowi oślepiające. Zeskoczył ze stopnia wagonu i od razu zobaczył Ninę z Kitty. Szły mu na spotkanie, obie ubrane w proste sukienki w kwiatki i takie same białe beretki.

– Tata przyjechał! – pisnęła Kitty.

Chwycił ją na rękę i ucałował.

– Jak się wam tutaj powodzi?

Dziewczynka zaczęła opowiadać, jak była z mamą w kinie na filmie *Tip-Top w Moskwie* o Murzynku rysowanym na tle prawdziwego miasta.

Klim spojrzał na Ninę. Stała obok i bezmyślnie skubała żyrafę z macicy perłowej, którą nosiła na łańcuszku.

– To od Elkina? – od razu domyślił się Klim.

Zawstydzona Nina próbowała schować wisiorzek pod sukienką, ale zaraz do niej dotarło, że nie należy tego prezentu umieszczać bliżej serca, i zmieszała się jeszcze bardziej.

Nawet się nie przywitali.

– Dobrze, chodźmy poszukać autobusu – powiedział Klim, biorąc walizkę. – Kitty już nie choruje?

Nina pokręciła głową.

– Już wiemy, w czym tkwił problem. Nie powinna jeść czekolady.

Kiedy szli do przystanku, opowiedziała ze szczegółami o swoim odkryciu. Klim zastanawiał się, co odpowiedzieć, ale nie znajdował słów. Nina patrzyła na niego z oczekiwaniem.

– Dziękuję, zuch z ciebie – rzekł wreszcie, ale rozeźlił się na samego siebie. Rozmawiał z nią teraz tak, jak z Galą, kiedy ta przychodziła z raportem.

Po drodze do Teodozji postanowił, że będzie się zachowywał naturalnie. Tyle że w jego przypadku naturalność oznaczała zdystansowanie się. I Nina to czuła.

Kiedy usiedli w autobusie – naprzeciwko siebie, nie obok – położyła nogi na walizkę, a Klim odsunął kolana, żeby jej przypadkiem nie dotknąć. Nina uśmiechnęła się krzywo: niby to bardzo nie chciał!

Autobus ruszył. Okna były otwarte, wiatr targał włosy kobiety i wzdymał sukienkę. Klim starannie patrzył gdziekolwiek indziej, tylko nie na Ninę.

Siedzący pod drugim oknem staruszek warczał na swoją żonę, żeby nie ważyła się nosić wiader, bo ją będą bolały plecy.

Jasnowłosy chłopiec wypytywał matki.

– A Ludoczka już przyjechała? Czeka na nas?

Za jakiś czas zwiąże się z tą jakąś Ludoczką, a potem będzie przeklinał cały świat!

– A wy co, gracie w milczenie? – zapytała Kitty. – To ja też będę! Raz-dwa-trzy, buzia milczy!

Wydeła policzki i zasłoniła usta dłońmi, a Klim był jej wdzięczny za znalezienie

powodu, by się nie odzywać.

Koło autobusu wpadło w dziurę, Klimem rzuciło na Ninę i ledwo zdołał utrzymać równowagę, łapiąc się za poręcz.

– Niech to diabli!

– A-a-a! Przegrałeś! – wykrzyknęła Kitty triumfalnie. – Mamo, on teraz powinien wykonać nasze życzenia!

Kiedy dotarli do Domu Sławy, Nina zapoznała Klimę z gospodynią. Siedziała w maleńkiej zadymionej kuchni z bielonym piecem i niezliczonymi półkami na naczynia. Odblaski zachodzącego słońca dogorywały na słoikach z solonką i konfiturami, powietrze pachniało prażonym słonecznikiem.

Ujrzawszy Klimę, stara podniosła się i wzięła pod boki.

– A ten czego tu chce? Nie ma wolnych pokoi.

– Będzie mieszkał ze mną... – zaczęła Nina, ale Sława nagle się rozsierdziła.

– A gdzie ma u ciebie spać? Rozwiodłaś się z nim, to znaczy, że wszystko skończone... Nie pozwolę na rozpustę pod moim dachem!

Klimę spojrzano ze zdziwieniem na Ninę. Wychodziło na to, że nie byli mu tu radzi.

Siedząca na parapecie papuga wrzasnęła nagle dzikim głosem:

– Ognia! Bateria, pal! Dobić go!

Nina zaczęła się kłócić ze Sławą, mówiąc, że ją uprzedzała o przyjeździe męża.

Klimę uśmiechnął się – znów zrobiono z niego męża.

– Pójdę już.

– Poczekaj! – krzyknęła Nina. – Poczekaj na zewnątrz, zaraz wszystko załatwię.

Na ganku spotkał Elkinę.

– Przyjechał pan? – padło ponure pytanie.

Klimę przypomniał sobie wisiołek na szyi Niny. Cóż, nic dziwnego, że tak go powitano. Cioteczka Sława oczywiście trzymała z krewniakiem.

– Zapłacę panu za samochód – powiedział Klimę.

Podał Elkinowi zawinięte w papier czerwonce. Ten schował należność, nie licząc.

– Jak pan będzie jeździć Maszką? – spytał po chwili milczenia. – Wynajmie pan szofera?

– Po powrocie do domu zapiszę się na kursy przy Centralnym Domu Armii Czerwonej – odparł Klimę.

– A kiedy pan jedzie do Moskwy?

Na ganek wyszły Sława i Nina.

– Dzisiaj już za późno – warknęła stara, patrząc z dezaprobatą na Klimę. – Możesz przenocować na tarasie, jeśli chcesz, a jutro jedź do Ajgura, on też wynajmuje pokoje, ale nie tutaj, tylko w Koronelu, za Teodozją.

Najwyraźniej zamierzali wysłać Klimę do diabła.

Nina absolutnie się nie spodziewała, że gospodyni będzie jej robiła takie przeszkody.

– Dlaczego go wyganiacie? – spytała. – Przecież miała mnie pani leczyć...

– I leczę! – burknęła stara. – W przeszłości znajduje się pułapka, trzeba się od niej uwolnić! A prawdziwe szczęście masz pod samym nosem!

– Ma pani na myśli Elkina?

– Ocknęłaś się wreszcie!

„Wróżba” Sławy w ogóle nie dotyczyła Klima. Nina odczytała ją po prostu tak, jak chciała.

Rogow zostawił rzeczy w jej pokoju i poszedł gdzieś z Kitty. Nina szukała ich długo po okolicznych plażach, ale nie znalazła, a kiedy wróciła, Elkin powiadomił ją, że ma dziś urodziny.

Radośni letnicy na całego przygotowywali się do uroczystości. Sława wyjęła z komórki stare lampy naftowe, a Lesza z Irą rozwiesili je na drzewach morelowych. Na stół wyłożono kiście winogron, białą bryndzę i wędzone barbaty o złocistych bokach. Kobiety napięły upojnie pachnących placków.

Ze wsi przyszli muzykanci wraz z całym tłumem znajomych i przyjaciół Elkina. Ktoś przytargał beczkę z młodym winem. Naczyń nie wystarczało, więc wszyscy po kolei pili z poobijanych emaliowanych kubków.

Nina z trwogą spoglądała na furtkę, za którą zaczynało się zejście ku morzu. Gdzie nosi tego Klima? Ciemno już, a on nie zna drogi. Jeszcze zabłądzi!

Wreszcie zaszczekały psy i rozległ się dźwięczny głosik Kitty:

– No to jesteśmy!

Sława pociągnęła Ninę za rękaw.

– Nie bądź głupia!

Tyle że Nina nie mogła „być głupia”, bo Klim jej nie dostrzegał. Zaprosiła go do tańca Oksana, studentka medycyny, która niedawno przyjechała, a on – diabli by go wzięli! – zgodził się z ochotą. Tak pięknie tańczyli przy dźwiękach wiejskiej orkiestry, że otrzymali oklaski.

Rozgorączkowany Elkin usiadł na ławce obok Niny.

– W ostatnim czasie coraz częściej organizuje się wieczorki, na których młodzież przez cały czas tańczy – rzekł, naśladując partyjnych spikerów. – Komu takie wieczorki przynoszą korzyść? Deprawują tylko lud pracujący! Aby wykorzenić tę anomalię w naszym otoczeniu, powinniśmy wykonywać jedynie tańce przedstawiające walkę klasy robotniczej!

Elkin chciał rozbawić Ninę, ale nawet się nie uśmiechnęła. Miała oczy pełne gorących łez i żeby nie zacząć płakać, patrzyła w górę, na wiszący nad górami księżyc, który wydawał jej się jakiś nieprawdziwy, zbyt blady i marny.

– Może przyniosę pani pieczonych pomidorów? – zaproponował Elkin.

Nina skinęła głową, a on pobiegł do kuchni.

– Masz klucz od pokoju? – spytał Klim, przechodząc obok. – Kitty jest zmęczona, pójdę ją uśpić.

Nina wstała.

– Nic mi nie powiedziałeś... Wyjedziesz jutro?

Uniósł kpiąco brwi.

– A proponujesz, żebym został na złość gospodyni?

Nina poczuła chłód w sercu.

Miała nadzieję, że jej dobre intencje, uczciwość i otwartość pomogą naprawić stosunki z Klimem, ale on po prostu nie zauważył, jaka w niej zaszła przemiana.

Kitty oczywiście nie wybierała się spać, skoro wszyscy tańczą i się cieszą, a Klim wyprowadził ją tylko dlatego, żeby samemu ukryć się przed Niną.

W jego duszy niepodzielnie panował mrok. Co teraz robić? Wziąć dziecko i przenieść się do innej wioski? Przecież właśnie o tym marzył – żeby wyjechać z córeczką nad południowe morze, gdzie zapomni o wszystkich kłopotach. Lecz wiedział, że Nina nie zostawi ich w spokoju.

Usiadł przy Kitty na łóżku i długo przysłuchiwał się dochodzącym z zewnątrz odgłosom.

A może plunąć na wszystko i nawiązać szalony wakacyjny romans? Dzisiaj w autobusie nie patrzył na Ninę, ale i tak widział linię opalenizny w wycięciu sukienki: oto na co mogą patrzeć obcy, a tutaj jest delikatne pasmo złocistośmietankowej skóry, stanowiące granicę królewskich apartamentów, do których nie wpuszcza się osób postronnych. Klim domyślał się, że jemu przyznano specjalną przepustkę.

Kitty wciąż nie mogła się uspokoić.

– Na parterze mieszka dziewczynka, i ona powiedziała, że ma maskę przeciwigazową i umie ją włożyć w pięć sekund. Ja też tak chcę!

– Kupię ci taką po powrocie do Moskwy – obiecał Klim.

– A są maski przeciwigazowe dla koni?

– Na pewno. Śpij, kochana.

– A dla żyraf? Elkin zrobił mi drewnianą żyrafę na biegunach, ona też potrzebuje...

Elkin, zdaje się, wyobrażał sobie nie wiadomo co – pomyślał z uśmiechem Klim.

– A niech sobie marzy!

Już sobie wyobrażał, jak się to wszystko ułoży. To on skusi missis Reich. Klasyczny rosyjski scenariusz: jaśnie pani marzy o porzuceniu bogatego męża i wyjeżdża ze stolicy na południe, gdzie spotyka starego znajomego, w którym niegdyś była zakochana. Oboje wiedzą, że będą razem tylko przez pewien czas, urlop się skończy i wszystko wróci na swoje miejsce, ale po co odmawiać sobie przyjemności, skoro los sam podsuwa człowiekowi wspaniały, jedyny w swoim rodzaju prezent!

Stopniowo głosy na dworze ucichły, goście ze wsi poszli do siebie, a letnicy rozeszli się po pokojach.

Klim poprawił kołderkę Kitty i wyszedł na korytarz. Długo błądził po domu, zanim znalazł Ninę na tarasie. Leżała w hamaku rozciągniętym między słupkami i bujała się leciutko.

– Możesz iść do siebie – powiedział Klim.

Usiadła i zaczęła zbierać szpilki, które wypadły jej z włosów. Tak, ja już... Ale potem zastanowiła się i wskazała miejsce obok siebie.

– Porozmawiajmy.

– O czym?

– O nas.

Materiał hamaka naprężył się pod jego ciężarem i Nina mimo woli musiała się do niego przysunąć. Właśnie po to warto było jechać na koniec świata – aby siedzieć biodro w biodro, poczuć ciepło kobiecego ciała przez podwójną warstwę tkaniny...

– Może ci wytłumaczę... – zaczęła Nina.

Klim objął ją i pocałował w usta.

– Może później.

Nina zadrżała z radości, objęła go za szyję i figurka żyrafy wbiła mu się boleśnie w pierś.

– Zabierz to – poprosił.

Nina zdjęła wisiorek i rzuciła go na podłogę.

Zebrać w garść dół sukienki, całować wspaniałe piersi, ująć szczupłą dłoń, nie dać Ninie żadnej szansy...

Pchnął ją lekko na chwiejny hamak.

– Zaraz spadniemy. – Zaśmiała się.

Klim pochylił się nad nią.

– I będzie to wspaniała ilustracja upadku obyczajów.

Bryznęła struga światła, nad ich głowami przeleciała papuga.

– Pod trybunał! – wrzasnęła, siadając na poręczu tarasu.

Klim podniósł głowę. W drzwiach stała Sława z latarnią w dłoni. Fajczany dym kłębił się wokół jej głowy jak gęsty obłok.

– Czemu zostawiłaś dziecko samo? – zaskrzeczała stara. – Marsz do swojego pokoju!

Skonfundowana Nina szybko zapięła guziki sukienki i wstała. Pod jej butem coś chrupnęło. Spojrzała – to była figurka żyrafy.

Szurając pantoflami, Sława podeszła do Klimy, podała mu kopertę z ekspresowym telegramem.

– Przynieśli przed wieczorem, ale zapomniałam oddać.

To była wiadomość od Seiberta:

Proszę wracać do Moskwy. To kwestia życia i śmierci. Bilet zamówiony.

Nina spojrzała z przerażeniem na Klimę.

– Co to jest?

Długo nie odpowiadał, zbierając myśli.

– Nie brać jeńców! – zaskrzeczała z ciemności papuga.

– Mojego przyjaciela spotkało nieszczęście, potrzebuje pomocy – powiedział Klim.

– Jutro wieczorem wyjeżdżam z Kitty do Moskwy.

Księga Umarłych

Gala powiedziała kiedyś, że jestem jedynym znanym jej prawdziwym dżentelmenem. Jakże głęboko się omyliła!

Prawdziwemu dżentelmenowi przyrodzona jest wytworność i szlachetność, nigdy nie zostawi damy w potrzebie, szczególnie jeśli ta potrzeba polega na chęci całowania się.

Kiedy powiedziałem, że zobowiązania przyjaźni zmuszają mnie, bym wrócił do Moskwy, Nina zaczęła mnie namawiać:

– Zostań! Przecież mnie kochasz!

A ja, niczym ostatni grubianin, oznajmiłem jej, że kocham, owszem, ale swoją żonę, tę dawną Ninę. A ona należy do innego. Dla niej małżeństwo to coś w rodzaju spółki, a jeśli mąż w porę nie wniesie swojego wkładu, ona zaczyna od razu wyprowadzać aktywa i robi inwestycje na boku. Niestety, mnie takie podejście nie urządza.

Nina się rozeźliła.

– Ale przecież pierwszy mnie pocałowałeś!

Dżentelmen na moim miejscu zrzuciłby to na karb urody Niny, strzały Amora albo wymyśliłby jeszcze coś innego. Ale ja zachowałem się jak potwór i powiedziałem, że miałem wybór: albo wysłuchiwać szczegółów jej zrad, albo zwrócić Oscarowi dług i przypawić mu piękne rogi. Drugi wariant wydał mi się o wiele bardziej interesujący.

– Przecież ci mówiłam, że nie wrócę do Reicha! – krzyknęła Nina.

– I bardzo źle – odparłem. – Oczywiście, możesz zostać z Elkinem i przez jakiś czas być żoną wiejskiego kowala, ale to nie jest zbyt dobry kontrakt.

I wtedy się dopiero zaczęło! Będąc krewką kobietą nie tylko w miłości, ale i w gniewie, Nina wylała na mnie tyle kubłów pomyj, że przez sto lat się tego nie splucze.

Słuchałem jej z uwagą, ale nagle przerwała monolog i oświadczyła, że się przed nią nie ukryję. Zdobędzie bilet i wróci do Moskwy po moją grzeszną duszę.

Teraz aż płonę z ciekawości, chcąc się dowiedzieć, co wymyśliła. Mój urlop się nie udał, więc będziemy się zabawiać innymi sposobami.

Myślę, że znalazłem jednak odpowiednią formułę dla naszych stosunków: mniej dramatyzmu, więcej cynizmu i trzeźwego podejścia do sprawy. Trzeba się zachowywać jak krewni, którzy mają wspólne sprawy rodzinne. Przecież sam chciałem, żeby Nina uczestniczyła w wychowywaniu Kitty. Jeśli zdoła urządzić się gdzieś w Moskwie, będziemy żyć w przyjaźni.

Wdzięczny jestem jednakowoż Seibertowi, że w samą porę wyciągnął mnie z Krymu. Doszedłem już przecież zbyt blisko zakazanej granicy.

Rozdział 25

Kwestia lokalowa

Ałowa zbudził brzęk pokrywki na dzbanku do kawy.

– Wiecie, Dunieczko, dlaczego dziewczęta stanowią tylko dwadzieścia pięć procent ogólnego stanu Komsomołu? – mówił za szafą Wałachow. – Dlatego że po zamążpójściu nie są w stanie pracować społecznie. No bo czym się teraz zajmujecie, moja droga? Robicie śniadanie mężowi. A moglibyście w tym czasie iść na jakieś zebranie organizacyjne. Byt zamienia w mieszczańki nawet najbardziej wzniosłe natury! Z waszym talentem należałoby pracować w kinie, a traciecie młodość na praniu i gotowaniu.

Ałow usiadł na łóżku. Kiedyś wreszcie dam mu po mordzie! – pomyślał setny raz. Ale przecież nie mógł tego zrobić. Wałachow był czempionem sportowej sekcji OGPU, Ałow zaś nie umiałby nawet podciągnąć się na drążku.

– Zróbcie trochę zdjęć i dajcie je mi – mówił dalej sąsiad. – Mam znajomego reżysera, a on właśnie szuka kogoś w pani typie.

– Łże jak pies! – powiedział głośno Ałow, wychodząc z za szafy.

Dunia krzątała się przy parapecie, który służył za „kuchnię”. Na górze stały dwa prymusy i deska do krojenia chleba, a pod tym umieszczono półeczki na produkty, wyżej Ałowów, niżej Wałachowa.

Dunia podała mężowi emaliowany kubek z erzacem kawy i kawałek chleba.

– Jedz!

Wałachow leżał na kanapie z białymi muskularnymi rękami założonymi za głowę. Ałow z odrazą popatrzył na jego kretonowe majtki. Jak można pokazywać się cudzej żonie tylko w dolnej bieliźnie?

– Dzieńdoberek! – Wałachow pomachał sąsiadowi. – Jaka też prognoza stanu zdrowia na dzisiaj? Wczoraj tak kaszlałeś, że mi uszy zatkało.

– Odczep się, co? – syknął Ałow w bezsilnej złości.

Dunia zawiązała na głowie białą chustkę, cmoknęła Ałowa w nieogolony policzek i wybiegła.

Każdego dnia chodziła na aktorską giełdę pracy, gdzie zatrudniano dublerów do teatrów robotniczych. Czasem proponowano jej role w spektaklach i wtedy przynosiła do domu pięć rubli honorarium. Za poranek dla dzieci płacono trzy, a za udział w „żywych obrazach” nie więcej niż półtora.

Wałachow wiedział, że Dunia jest gotowa na wszystko, żeby tylko dostać prawdziwą rolę, i bez skrupułów grał na tym pragnieniu. A jeśli Ałow się złościł, wyśmiewał się z niego dobrodusznie:

– Dunieczko, zdaje się, że małżonek pragnie zamknąć panią w czterech... nie, w trzech ścianach!

Szafa, odgradzająca Ałowów od reszty pokoju, nie mogła być uznana za ścianę.

Ałow o niczym tak nie marzył, jak o osobnej kwaterze. Kiedyś słyszał wykład pewnego profesora biologii i słowa naukowca głęboko zapadły mu w duszę.

Profesor twierdził, że najlepszym sposobem na uczynienie ludzi nieszczęśliwymi jest stłoczenie ich i uniemożliwienie wydostania się z tej pułapki. Wymuszona bliskość obcych osób to najbardziej jaskrawy znak niedostatku przestrzeni życiowej, więc ludzie, chcąc nie chcąc, zaczynają odczuwać do siebie wrogość, pragnąc zlikwidować problem przeludnienia.

– Wrzuciliście obywateli w przepełnione tramwaje i komunalne mieszkania! – produkował się profesor przed czekistami. – Wiecie, czym to się może skończyć? Wojną wszystkich ze wszystkimi, ale najbardziej zajadle będą walczyć ze sobą sąsiedzi!

Ałow osobiście zgadzał się z każdym słowem naukowca i jednocześnie studiował jego dossier, w którym zapisano adres. Tego kontrrewolucjonistę na pewno ześlą... Ciekawe, komu przypadnie jego powierzchnia mieszkaniowa.

Oczywiście on sam nie miał szans na ten kąsek, ale przecież można pomarzyć! Często śniły mu się przydziały mieszkań i opowiadał te sny Duni: jak zbierali rzeczy, jak żegnali się z sąsiadami i jechali tramwajem do nowego domu.

Wreszcie na swoje własne mieszkanie! Z wielkim oknem, piecem i szerokim parapetem. A pod nim trzy półki, wszystkie Ałowów!

Dunia słuchała i śmiała się tylko. „To się zapalił! Ale takie coś nigdy się nie zdarzy”.

Lecz okazało się, że Ałow nie na darmo wypchnął Galę do Seiberta. Przyniosła takie wiadomości, za które można było otrzymać nie tylko pokój, ale i podwyżkę. Czekista nie wątpił, że jego naczelnik wgryzie się w tę historię i rozedmie ją jak balon.

Pewnego razu Drachenblut upił się i powiedział Ałowowi, co się wyprawia na Kremlu. Stalin bał się straszliwie, że zostanie obalony. Po rozgromieniu trockistów w partii utworzyła się nowa klika o ideologicznym „odchyleniu w prawo”. Bucharin i jego stronnicy twierdzili, że rozwiązania siłowe względem nepmanów i wsi zgubią kraj.

Partyjna wierchuszka zaczęła się nagle interesować historią, a w szczególności imperatorem Pawłem I, którego dworzanie najpierw ogłuszyli uderzeniem tabakierą, a potem udusili. Termin „tabakierka i szal” co trochę pojawiał się w lekkich, pozornie nic nieznaczących rozmowach.

Stalin w ogóle był mało towarzyskim człowiekiem, ale teraz stał się całkowitym odludkiem, otoczył się zaufanymi funkcjonariuszami, którzy dostarczali mu informacji o niezyczliwych ludziach – tak wewnątrz partii, jak i poza nią. Przywódca nie potrafił już żyć bez szyfrów i tajnych teczek, żądał od podwładnych najdalej posuniętej czujności.

„Moda” na demaskowanie wrogów błyskawicznie objęła całe społeczeństwo, a czujność stała się warunkiem koniecznym, by piąć się po drabinie kariery. Właśnie tym można było wytłumaczyć masowe czystki i polityczne represje – naczelnicy wszelkiej maści próbowali osiągać coraz wyższe godności, zabezpieczając się jednocześnie przed konkurencją.

Oczywiście najbardziej ostro wyglądało to w OGPU. Oliwy do ognia dolewał fakt, że przewodniczący Mienżyński ciągle chorował, a jego dwaj zastępcy, Drachenblut i Jagoda, szcepili się w śmiertelnym boju o następstwo po nim.

Jagoda stawiał na spiski wewnętrzne, dlatego zaaranżował proces szachtyński, Drachenblut zaś próbował się zasłużyć, zdobywając za granicą nie tylko cenne

informacje, ale też walutę. Lecz i on był zmuszony demaskować kontrrewolucję – wszak jeśli nie meldujesz o intrygach, to albo osłaniasz wrogów ludu, albo nie chce ci się pracować jak należy.

Ałowowi zdawało się, że chwycił Pana Boga za nogi, lecz gdy wczoraj zaniósł przełożonemu doniesienie Gali (lekko doprawione, aby mocniej brzmiało), Drachenblut tylko popatrzył na papier i kazał przyjść następnego dnia.

Ałow się zdziwił, ale uznał, że to nic nie znaczy. Koniec końców, Drachenblut nie był z żelaza i musiał czasem odpocząć.

Kwestią winy czy niewinności Seiberta Ałow zupełnie się nie przejmował, bo to nie miało nic wspólnego z działaniami „klienta”. Pod uwagę brano tylko to, na ile stanowi potencjalne zagrożenie dla ZSRS. Gdyby dać zagranicznym korespondentom wolność, każdy z nich zacząłby szkodzić bolszewikom słowem i czynem, więc nie miało sensu się z nimi pieścić.

Drachenblut zdjął okulary i spojrzał na Ałowa.

– Utrzymujesz, że Seibert stworzył siatkę agenturalną, aby przechwytywać wiadomości radiowe?

Ałow pokiwał gorliwie głową.

– Tak jest!

– Bzdura. Takim przechwytywaniem może się zajmować byle radioamator. Dobrze, jedziemy dalej...

Drachenblut pochylił się nad kartką i przeczytał na głos:

– „...w celu zdyskredytowania ZSRS organizował wyjście okrętów wojennych z Murmańska, stawiając im zadanie zniszczenia lodołamacza Krasin i spowodowanie śmierci znajdujących się na pokładzie bohaterskich radzieckich polarników, a także uratowanych przez nich włoskich aeronautów”.

Ałow poczuł ukłucie w piersi. Zdaje się, że jego raport wcale nie ucieszył przełożonego. Ale jakże to możliwe? Przecież sam żądał od podwładnych, aby wydobyli poważną sprawę nawet spod ziemi.

– Rozmawialiśmy z Murmańskiem – zaczął Ałow. – Dyżurny otrzymał telefonogram z Moskwy i uznał, że nie został przekazany z Telegrafu Centralnego, ale z Komitetu Centralnego partii. Zameldował o tym dowództwu, został ogłoszony alarm...

– W rejonie Murmańska od dawna nie ma jednostek wojennych – powiedział znudzonym głosem Drachenblut. – To w czasie wojny światowej szły tamtędy dostawy od sojuszników, a teraz jest tylko małym portem handlowym. Kogo mieli zmobilizować alarmem? Rybaków?

Jak zawsze w chwili wzburzenia, Ałow zaczął kaszleć. Płuc mu o mało nie rozerwało, ale nie mógł przestać.

Drachenblut nalał mu wody z karafki.

– Glebie Arnoldowiczu, niepotrzebnie to podważacie – powiedział Ałow, kiedy trochę mu przeszło. – Doskonale wszystko rozumiem, ale jeśli nie nadamy tej sprawie biegu, sami możemy mieć wielkie nieprzyjemności.

– Jakież to? Masz mnie chyba za durnia!

– Dyżurny z Murmańska jest śmiertelnie przerażony i z pewnością w OGPU znajdzie się wiadomość od niego. Ktoś wysłał zapytanie w sprawie rozmów telefonicznych, zacznie się sprawdzanie, następnie informacje pójdą do Jagody. A gdy on tylko się dowie, że Seibert podlegał pod nasz wydział, na pewno padnie pytanie, dlaczego wielce szanowny Gleb Arnoldowicz nie wykazał należytej czujności.

– Myślisz, że ktoś go będzie słuchał? – Drachenblut skrzywił się i nagle podniósł głos. – Jagoda to notoryczny kłamca! We wszystkich ankietach pisze, że przyłączył się do bolszewików w tysiąc dziewięćset siódmym, a przecież to nieprawda! Całe życie był przestępcą i przyszedł do resortu tylko dlatego, żeby bezkarnie kraść i zabijać!

Ałow zrozumiał, że trafił w czuły punkt. Drachenblut należał do pokolenia

bolszewickich idealistów, dlatego bardzo przeżywał fakt, że stara rewolucyjna gwardia oddaje pole pod naciskiem na wpuł gramotnych, za to bezczelnych karierowiczów, takich właśnie jak Jagoda.

– Nie możemy aresztować Seiberta, bo stał się ostatnio wręcz narodowym bohaterem Niemiec – powiedział zasepiony naczelnik wydziału. – Jagoda zaszkodził nam tym swoim procesem. Potrzebni mu byli do sprawy cudzoziemcy, a jego ludzie bez porozumienia z kimkolwiek aresztowali pierwszych lepszych Niemców. A my potrzebujemy jak krwi w żyłach dostaw z Zachodu. Rozumiesz?

Ałow wciąż miał jeszcze nadzieję.

– Sprawa Seiberta nie może przecież pozostać bez konsekwencji!

Ale Drachenblut nie słuchał.

– Dopiero podpisaliśmy z Niemcami porozumienie handlowe o dostawie drewna na podkłady. Jeżeli Seibertowi spadnie włos z głowy, doprowadzi to do skandalu i umowa może zostać zerwana. Najlepiej pozbądźmy się go z kraju. Nie ma człowieka, nie ma problemu. A tym baranom z Murmańska natrzemy uszu, żeby nie byli tacy lekkomyślni.

Ałow oklapł. Za deportację Niemca własnego pokoju na pewno nie dostanie.

– Glebie Arnoldowiczu, meldowałem już o mojej trudnej sytuacji mieszkaniowej...

– Czekista powinien być głodny i zły – uśmiechnął się Drachenblut. – Od tego poprawia mu się czujność. Jeśli przyniesiesz wartościowy materiał, dostaniesz przydział.

W dawnej kawiarni Neapolitanka panował bałagan. Seibert zbierał nagromadzone w Moskwie rzeczy. W sypialni płakała Lizchen. Jej gospodarz wyjeżdżał i wyglądało na to, że nic dobrego już jej nie czeka.

Seibert zdejmował ze ścian obrazy.

– Lizchen, przymknij się, bo nie odpowiadam za siebie! – wrzeszczał na cały dom. Ale kobieta zawodziła jeszcze bardziej.

Klim siedział w fotelu naprzeciwko okna, z którego już zdjęto zasłony.

– Nie dowiedział się pan, za co dokładnie ta deportacja? – spytał.

Seibert pociągnął mocno szufladę komody. Ta ze zgrzytem zerwała się z prowadnic i na podłogę wysypały się listy, nożyczki oraz połamane ołówki.

– Tutaj można wysłać dokąd się chce kogo się chce! – powiedział ze złością Niemiec. – Zadzwonili do mnie z Komisariatu Spraw Zagranicznych i bardzo uprzejmie poprosili o opuszczenie Związku Sowieckiego.

Wskazał ruchem brody w stronę sypialni.

– Jej tylko szkoda.

Seibert podniósł kartkę z zeszytu, podał Klimowi.

– Nie wezwałem pana ot, tak sobie. Jeżeli pan nie pomoże, to koniec... Ci ludzie są straceni.

– Ale kto?!

– Słyszał pan kiedyś o Niemcach z Powołża? W swoim czasie Katarzyna Wielka zaprosiła do Rosji niemieckich chłopów, którzy stracili majątki w wojnie siedmioletniej. Przez sto lat wzbogacili się, wybudowali mnóstwo wsi pod Saratowem i nawet założyli własne przedsiębiorstwa.

Seibert opowiedział, jak pewnego razu przyszli do niego brodaci ludzie w chłopskim odzieniu i w niezwykłym, jakby staroniemieckim języku zapytali, czy prawdą jest, że tutaj mieszka znany dziennikarz.

Ich duchowny, dobrze mówiący po rosyjsku, napisał list i chcieli, żeby ktoś przekazał go Wszechrosyjskiemu Centralnemu Komitetowi Wykonawczemu.

– Niech pan zobaczy, co napisali – rzekł Seibert z gorzkim uśmiechem.

Klim zaczął czytać:

Szanowny drogi gospodarzu Rosji, towarzyszu Kalinin!

Po rewolucji ludzie z naszej wsi wzięli się do roboty, jako że myśleli, iż wreszcie przyszedły dobre czasy i będzie równość oraz braterstwo.

Ale zaczęło się u nas likwidowanie, i w tym względzie sprawa na Powołżu została doskonale zorganizowana. Zapisują do partii człowieka, dają mu rano rewolwer, a on do wieczora nazalawia tylu kontrrewolucjonistów, że prokuratura przez rok się z tym nie upora.

Dobrych i szanowanych ludzi do wyborów w radzie wiejskiej wcale nie dopuszczają i każą wybierać z miejskiej zbieraniny, przysłanej z centrali. Nie zgodziliśmy się na to

i wybraliśmy własnego przewodniczącego, ale zaraz go zabrali i wywieźli nie wiadomo dokąd.

Nasz kanton otrzymał zadanie zaopatrzenia w zboże, a u nas ozimina w połowie wymarła, tylko że kierownictwo w to nie wierzy, dlatego że nikt na pola nie zajrzał. Miastowi z rewolwerami przyjeżdżają i chodzą po domach. U kogo są firanki albo tapety na ścianach, tego nazywają kulakiem i obkładają podatkiem, jaki im się zamarzy. Nie ma możliwości zapłacić im tyle, ile chcą.

W naszej wsi zrujnowano dziewięć rodzin, a cały ich majątek przekazali państwowym i spółdzielczym instytucjom, w których miastowi sami się ustanowili naczelnikami. Ottonowi Lietkemu nawet dziecięce huśtawki z drzewa zdjęli i wywieźli. Dowiedźcie się, towarzyszu Kalinin, po co to zrobiono.

Do szkoły przystali nauczyciela, żeby dzieci uczył, jak to nakazano w Saratowie. A on nie zna naszego języka i dzieci go nie rozumieją. Cały rok studiowały saratowskie mądrości, a w zeszytach mają zapisane tylko jedno: „Na pierwsze wezwanie komitetu partii wszyscy jak jeden mąż pójdziemy na barykady walczyć o dyktaturę proletariatu w Niemczech”. A kto zboże będzie siał, jeśli wszyscy pójdą na barykady?

Komu to potrzebne? A może tam, w centrali, siedzicie i nie wiecie o tym, co się dzieje w innych miejscach?

Nie mogliśmy już tego ścierpieć, dlatego sprzedaliśmy nasze mienie i postanowiliśmy przenieść się do Niemiec, gdzie, jak powiadają, potrzebują parobków. Przyjechaliśmy do Moskwy i od razu poszliśmy do niemieckiej ambasady, lecz tam powiedzieli, że bez specjalnych zagranicznych paszportów nie mogą nam dać wiz. Gdzieśmy nie chodzili, żeby zdobyć te paszporty... Ale miejscy pracownicy tylko pieniądze od nas wyciągają i nic nie robią.

Biskup Meyer zlitował się nad nami i wpuścił nas do zboru Świętego Michała, i już tak dwa miesiące całą wsią tam mieszkamy, jak myszy, w piwnicy, a dzieci od tego chorują.

Przyślijcie do nas swojego przedstawiciela, niech zobaczy, jak gnębi się lud. I każcie miastowym nie męczyć nas, ale wypuścić bez nijakich paszportów, które nie są nam wcale potrzebne. A jeżeli nam nie pomożecie, przyjdzie nam tej zimy umrzeć, jako że pieniądze się nam kończą, a nowych nie ma skąd wziąć i nigdzie nas nie biorą do pracy.

Niech żyje władza radziecka i lepsze jutro! Śmierć tym, którzy zabierają wolność ludowi pracującemu!

Do widzenia, towarzyszu Kalinin. Wysyłam do Was ten list po kryjomu, ale jeśli trzeba by odpowiedzieć na jakieś pytania, chętnie odpowiem.

Thomas Fischer

Poniżej widniały dziesiątki koślawych podpisów po niemiecku.

Klim spojrzał na Seiberta.

– Za taki list wszystkich przesiedlą.

– Mówiłem im to samo! Ale nie mają dokąd wracać, rozumie pan? Chciałem poprosić o wstawiennictwo swojego znajomego, zastępcę komisarza ludowego spraw

zagranicznych, towarzysza Babłojana. Jest moim dłużnikiem, bo gdy chorował na wątrobę, załatwiłem mu leczenie w Berlinie. Ale wraca do Moskwy dopiero za dwa dni i już się z nim nie spotkam.

Seibert złożył ręce.

– Bardzo pana proszę! Jeżeli pan to zrobi, na pewno nie pożałuje...

Zmarszczył czoło, kąciki ust mu się opuściły.

– Nie wyobraża pan sobie, ile się nauganiałem za tym Babłojanem! Jest także członkiem Centralnego Komitetu Wykonawczego i osobistym przyjacielem Stalina. Miałem nadzieję załatwić przez niego wywiad.

– I oddaje mi pan tę szansę? – zdziwił się Klim.

Seibert westchnął.

– Oczywiście umrę z zazdrości, jeśli zdoła się pan o to wystarać... Ale proszę to uważać za wynagrodzenie w zamian za pomoc.

– Uczynię wszystko, co możliwe – obiecał Klim.

– W takim razie napiszę panu list polecający i proszę za parę dni jechać do domu wypoczynkowego Wszechzwiązkowej Organizacji Byłych Katorżników Politycznych i Zesłańców. Babłojan ma tam kończyć kurację.

Klim zapisał adres.

– Czym będzie się pan zajmował w Berlinie? – spytał.

– Zatrudnię się w jakiejś gazecie, mam przecież doświadczenie i reputację – odparł Seibert. – A jeśli uda nam się wyciągnąć z biedy Powożan, wezmę się za politykę. To byłby świetny początek.

W ZSRS istnieli nie tylko pariasi-liszeńcy, ale też wyższa kasta „braminów”, czyli członkowie Wszechzwiązkowego Stowarzyszenia Byłych Katorżników Politycznych i Zesłańców. Czczono ich, mieli wysokie pensje, osobne mieszkania i mnóstwo różnorodnych ulg.

Do organizacji należało około trzech tysięcy ludzi, to znaczy kilka pokoleń anarchistów, nihilistów i rewolucjonistów. Ktoś podliczył, że w sumie przebywali na katorgach szesnaście tysięcy lat, a na zsyłkach jeszcze więcej.

Stowarzyszenie miało własne wydawnictwo, księgarnię i muzeum, w którym wystawiano dokumenty świadczące o politycznych represjach w carskiej Rosji. Ale największą dumą była dawna posiadłość hrabiego Szeremietiewa, przekształcona w piękny szpital i dom wypoczynkowy. Oprócz katorżników, leczyli się tam chętnie wyżsi partyjni urzędnicy.

Dzięki sąsiadom proletkultowcom Klim dostał pozwolenie, aby pojechać tam na wycieczkę razem z komsomolcami z fabryki wyrobów gumowych „Czerwony Bohater”.

Jechali z pieśnią na ustach. Brygadzysta Wasia, opalony, barczysty chłopak w podkoszulku i szerokich żaglowych spodniach, zabrał harmoszkę i całą drogę wywrzaskiwał czastuszki.

*Na burżujów blady strach
I upadek ducha.
Wprowadzą im od zaraz
Podatek od brzucha.*

Dziewczęta chichotały.

Po długiej męczącej podróży wiejskimi drogami autobus wjechał do starego parku z pięknymi stawami i cienistymi alejami.

Komsomolcy przycisnęli nosy do okien.

– Zobaczcie, jakie posągi! – zachwycali się dziewczęta, pokazując sobie marmurowe ozdoby na fontannach.

– A ile tutaj kwiatów! Więcej niż na pochodzie pierwszomajowym!

Po wyjściu z autobusu komsomolcy zatrzymali się niepewnie przed białym kamiennym domem z szerokimi schodami i kolumnami.

– To jest życie! – powiedział Wasia. Ze zdumienia upuścił harmoszkę, która upadła na ziemię, wydając przeciągły jęk.

Naprzeciwno wycieczkowiczom wyszedł niewysoki ciemnowłosy grubasek o pysznych wąsach.

– Witaj, młodzieży! – rzekł serdecznym tonem. – Rad jestem was widzieć!

Chodźcie ze mną, wszystko wam pokażę.

Klim był jedynym w całym towarzystwie, który poznał towarzysza Babłojana, chociaż jego zdjęcia bardzo często pojawiały się w gazetach i na kartkach pocztowych. Nikomu z młodych ludzi nie przyszło do głowy, że tak ważny człowiek będzie rozmawiał ze zwykłymi robotnikami, a w dodatku zechce im służyć za przewodnika.

Ale Babłojanowi najwyraźniej podobało się obcowanie z komsomolcami. Żartował z chłopcami i niby żartem obejmował dziewczyny.

– Zachowujcie się cicho! – polecił, kiedy podeszli do tarasu, zastawionego wygodnymi fotelami i szezlongami. Drzemali tutaj staruszkowie w nowiutkich schludnych szlafrokach.

– Mamy tu żywe muzeum – powiedział z szacunkiem Babłojan. – Ci ludzie poświęcili wszystko, co mieli, żebyście wy, młodzi, mogli zobaczyć wschodzące ziarno socjalizmu!

Komsomolcy na palcach weszli po schodach, po czym czerwoni ze zmieszania zaczęli pozdrawiać staruszków i ścisnąć ich pomarszczone dłonie, na których wciąż jeszcze widać było ślady po kajdanach.

Babłojan wyliczał, kto z katorżników strzelał do generałów, a kto podkładał bomby w rezydencjach gubernatorów.

Komsomolcom, którzy wychowali się za władzy sowieckiej, zdawało się, że to wszystko działo się bardzo dawno, w czasach prehistorycznych, i aż im się nie chciało wierzyć, że uczestnicy tamtych wydarzeń wciąż żyją.

Szczególnie uderzył ich widok Michaiła Frolenki, członka organizacji Narodna Wola – łysego, brodatego dziadka, który skończył już osiemdziesiąt lat. Był jednym z organizatorów zabójstwa Aleksandra II.

– A po co robiliście zamach na cara? – zapytała Raja, nieduże czarnowłose dziewczę z piegowatym, zadartym noskiem. – Przecież w tamtych czasach sytuacja jeszcze nie dojrzała do rewolucji.

Frolenko wsunął do ust sztuczną szczękę.

– Widzisz, panienko, nie mieliśmy innego wyjścia. Powinniśmy rozbudzić naród z wiekowego snu. To był znak, że rewolucyjne siły żyją i każdego ciemniźcyela ludu pracującego czeka sprawiedliwość.

Komsomolcy zaczęli klaskać.

Babłojan wskazał stojącą w drzwiach staruszkę z kosturem.

– A to nasza wspaniała Wiera Nikołajewna Finger! Wiecie, co o niej mówili towarzysze? „Są natury, które można złamać, ale nie przygiąć do ziemi”.

Wiera Nikołajewna spojrzała na niego z dezaprobatą.

– Lepiej byś milczał! Chcieliśmy wywalczyć wolność słowa i sumienia, a wyście wszystko zniszczyli! Rosja potrzebuje nowej rewolucji!

Do starej kobiety podbiegła pielęgniarzka.

– Wiero Nikołajewna, pora na zabiegi!

Ujęła łagodnie pod rękę rozgniewaną staruszkę i wyprowadziła ją.

– Starość nie radość – westchnął Babłojan. – Czasem towarzyszka Finger zapomina, że rewolucja już była.

Przekazał komsomolców administratorowi, a ten zaprowadził ich do dawnej oranżerii i ptaszarni, gdzie niedawno założono kolonię kur szczególnej rasy.

Klim podszedł do Babłojana.

– Jestem od Seiberta. Prosił, żebym przekazał list.

Babłojan zmienił się na twarzy.

– Chodźmy – powiedział cicho.

Usiedli na ławeczce ukrytej wśród różanych krzewów. Babłojan przeczytał list, wyjął z kieszeni zapałki i spalił kartkę.

– Szkoda, że Heinricha odesłali... Pożyteczny był zeń człowiek.

– A co będzie z Niemcami? – zapytał Klim. – Żeby dostać paszporty, musieliby dostarczyć zaświadczenia, co jest niemożliwe. Musieliby po nie jechać do Saratowa, a na to nie mają pieniędzy.

Babłojan wzruszył ramionami.

– W interesie państwa nie powinniśmy ich w ogóle wypuszczać. Jeżeli całym taborem przyjadą do Niemiec, na pewno wiadomość o tym dostanie się do prasy i znów zaczną się ataki na radziecki ustrój.

– Ale chyba można coś zrobić!

Babłojan zmierzył Klimę taksującym spojrzeniem.

– Pięćdziesiąt rubli od głowy – wyszeptał samymi wargami. – Jeżeli tak się troszczycie o swoich Niemców, proszę znaleźć pieniądze na „opłaty państwowe”. Tylko w walucie, jeśli łaska.

Klim się uśmiechnął. Babłojan miał wszystko podstawione pod nos, więc po co mu waluta? Powód mógł być tylko jeden – podobnie jak wielu kremlofskich oficjeli zamyślał o emigracji i szukał sposobu pozyskania zagranicznych środków płatniczych, „jeśli wszystko runie”.

W gazetach co trochę pojawiały się artykuły o zdrajcach, którzy wyjechali na delegacje oraz placówki, po czym odmówili powrotu do ZSRS. Uczynili tak osobisty sekretarz Stalina Bażanow, znani czełkiści Dumbadze i Ibrahimow oraz wielu innych. To była ucieczka z tonącego okrętu. Każdy partyjniak wiedział, że w dowolnej chwili mogą go pociągnąć do odpowiedzialności nie za własne przewiny, lecz choćby za przyjaźń z kimś niewygodnym dla władzy. Przy czym nigdy nie było wiadomo, kto jutro popadnie w niełaskę.

– A wy nie moglibyście mi pomóc zorganizować wywiadu ze Stalinem? – spytał Klim. – Myślę, że w zamian za tę przysługę United Press pomogłby wam rozwiązać problem Niemców z Powołża.

– To nie ja mam problem, lecz wy – odparł drwiąco Babłojan. – Powodzenia życzę!

W systemie sowieckich wartości dostęp do towarzysza Stalina był wart o wiele więcej niż jacyś tam Niemcy. W każdym razie Babłojan nie zamierzał nim handlować.

Rozdział 26

Niemcy z Powoźza

Księga Umarłych

Pojechałem do domu zajezdnego zboru Świętego Michała. To stara luterańska świątynia, założona jeszcze w szesnastym wieku. Nie odprawia się tam nabożeństw już od kilku miesięcy. Obok znajduje się Centralny Instytut Aerohydrodynamiczny, więc Rada Miejska Moskwy postanowiła zamknąć zbór rzekomo dlatego, że przychodzący „przeszkadzają w należyтым zorganizowaniu ochrony” i stanowią „zagrożenie dywersyjne oraz agenturalne”.

W rzeczy samej kościoły, a także wszelkie inne niezależne od państwa instytucje, są likwidowane, po to żeby w kraju nie było wolnych źródeł dochodów i społecznego wsparcia. Dobra materialne, nagrody i kary mogą pochodzić tylko od partii – to daje możliwość kontrolowania wszystkiego i wszystkich.

Moskiewscy luteranie próbują uratować swój przybytek, ale mogą mieć tylko nikłą nadzieję na sukces. Bolszewicy wymyślili formułę, która pozwala zamykać świątynie „na prośbę ludu pracującego”. Komsomolcy chodzą po okolicznych domach i pytają mieszkańców, czy popierają walkę z religijnym otumanieniem. A jeśli tak, żądają podpisu. Nikt nie ośmielił się odmówić, bo jeśli powie choćby słowo w obronie wolności wyznania, natychmiast dowie się o tym kierownictwo i nieostrożny obywatel stanie się pewnym kandydatem do zwolnienia z posady w czasie najbliższej czystki.

Nie wyobrażam sobie, co będzie z powołańskimi Niemcami, gdy zostaną wygnani ze zboru. I bez tego żyją w koszmarnych warunkach! Napatrzyłem się na zmordowane kobiety i przerażone dzieci ogolone na łyso, bo już od miesięcy nie mogły się porządnie wykapać i był to jedyny sposób zapobieżenia wszawicy. Mężczyzn w ogóle nie widać, gdyż starają się coś zarobić jako tragarze i nielegalni pracownicy.

Od razu przypomniały mi się białogwardyjskie obozy w Chinach, ale to były przecież następstwa wojny domowej, a teraz, w czasach pokoju, problem uchodźców został tutaj wywołany sztucznie.

Suma, której zażądał Babłojan, jest oczywiście niemożliwa do zgromadzenia. Napisałem do Seiberta, ile powinien zebrać pieniędzy, ale wątpliwe, czy sobie poradzi, gdyż w Niemczech sytuacja ekonomiczna jest niezbyt dobra.

Na moich oczach odbywa się okrutne i bezsensowne „ludożerstwo”, tylko że sowieccy urzędnicy zjadają nie ciała, lecz czas i siły współobywateli, to znaczy marnują ich życie.

Kitty każdego dnia pyta mnie, gdzie mama. Uczę ją grać na fortepianie i chciałaby bardzo zademonstrować Ninie swoje umiejętności.

Kładzie stosik nut na krzesło, wdrapuje się na to i z upojeniem bębni w klawisze. Najlepsze z nich znajdują się po prawej stronie: wydają wysokie dźwięki i dlatego zyskały

miano „mamusinych”. „Tatusiowe” basy są po lewej i niestety, nie cieszą się wielką popularnością.

Powiedziałem małej, że mama niebawem przyjedzie albo przynajmniej do nas napisze, ale dni mijają, a w skrzyneczce pocztowej nie pojawia się nic prócz gazet i pism służbowych.

Wszystko wróciło w stare koleiny: rutyna w pracy, zwyczajne kłopoty i jak zawsze ciągły brak czasu. Nie zadzwoniłem przecież do Gali i teraz muszę sam wszystko robić.

Moi koledzy, pisząc o sowieckich ludziach, chcąc nie chcąc, pozbawiają ich człowieczeństwa. To zrozumiałe, bo jeśli się nie zbada tematu dogłębnie, może się wydawać, iż to zbiór bezmyślnych istot, które raz za razem podejmują decyzje, które im bardzo szkodzą.

No bo jak to – w Archangielsku nie ma ani dróg, ani towarów, za to władze wspierają finansowo i bronią komunistów na całym świecie. Zamiast pomagać przywaciarzom karmić miasta, władze robią wszystko, żeby ludność odżywiała się jak najgorzej i jak najdłużej stała w kolejkach, a do tego marzła, była zmęczona, chorowała i wcześniej umierała.

Społeczne pieniądze wydaje się na ekspedycje polarne, transport zagranicznych dziennikarzy na północ, na pochody i spartakiady... Bolszewików wykluczono z Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, więc podczas igrzysk odbywających się w Holandii w ZSRS urządzono wielkie sportowe święto, tysiąc razy okazalsze niż u burżujów. Mimo kryzysu ekonomicznego został zbudowany kompleks wodny przy moście Krymskim, a także wielki stadion Dynamo mieszczący dwadzieścia pięć tysięcy widzów.

Cudzoziemcy nie rozumieją, dlaczego naród sowiecki nie tylko nie oburza się na to szaleństwo, ale gorliwie je popiera.

Rzecz w tym, że nie samym chlebem żyje człowiek. Nasze główne pragnienie to być kimś, coś znaczyć na świecie i cieszyć się powszechnym szacunkiem. A jeżeli ktoś każdego dnia jest poniżany biedą i bezprawiem, potrzeba wielkości tylko wzrasta. Sportowe i polarne sukcesy stają się własnością wszystkich, a w gazetach pisze się o nich tak: „to my uratowaliśmy ekspedycję Nobilego”, „to nasz kraj udowodnił całemu światu”, „narody ZSRS nie pozostają obojętne na cudze nieszczęście”. Ludzie otrzymują dowody, że są silni, mądrzy i odważni, a wówczas trudności bytowe tracą na znaczeniu.

Powinienem chyba napisać książkę *Poradnik dla dyktatorów*. Już opracowałem nawet plan:

1. Utrzymujemy się przy władzy: skąd wziąć pieniądze na wojsko i policję w biednym kraju?
2. Jak wytłumaczyć narodowi, dlaczego jest biedny? Wymyślamy w tym celu wrogów wewnętrznych i zewnętrznych.
3. Rozwieselenie ludu i tolerowanie nacjonalistycznych ambicji. Jak w prosty sposób neutralizować gniew obywateli.
4. Propaganda i przemilczenia: jak doprowadzić do tego, żeby obywatele nie wierzyli własnym oczom?

Wydrukuję ten podręcznik w dziesięciu egzemplarzach i będę sprzedawał tyranom na wagę złota.

Likwidowanie NEP-u odbywa się szybko i bez rozgłosu. Zniknęły wszelkie szyldy zawierające nazwiska właścicieli. Nie ma już „Węgla artelu Dubl”, „Lodów madame Capliny”, „Zakładu fotograficznego D.M. Popowa”, a to tylko na naszej ulicy.

Bolszewicy „ucięli łeb prywatnej inicjatywie”, lecz nie dali niczego w zamian, zatem tegoroczna zima będzie ciężka. Nie przeszkadza to oczywiście żurnalistom prognozować niebywałego wzrostu ekonomicznego i wojennego potencjału ZSRS po zakończeniu pięciolatki, jak nazywa się państwowy plan rozwoju na najbliższe lata.

Coraz bardziej rozwija się kult wodzów, przede wszystkim towarzysza Stalina. Ich portrety zupełnie zastąpiły ikony, rozwiesza się je teraz wszędzie. Z taką też gorliwością ludność piętnuje „wrogów” – niedobitych kontrrewolucjonistów, szkodników i szpiegów.

Wszystko to wygląda jak próba zwrócenia na siebie uwagi władz przez podupadłych ludzi. Źródło dóbr jest tylko jedno (bo inne zostały przecież unicestwione), dlatego ci, którzy umieją coś robić, pracują na chwałę partii, a ci, którzy nie umieją, próbują wypłynąć, chroniąc wodzów przed domniemanymi zagrożeniami.

Częściowo to lizusostwo podyktowane jest wyrachowaniem, a częściowo instynktownym pragnieniem schronienia się pod skrzydłami potężnego protektora – dla małego człowieka to jedyny sposób, aby przetrwać trudne czasy.

Muszę do mojej książki dla dyktatorów dodać jeszcze jeden rozdział: „Koncentracja we własnych rękach produkcji żywności, paliwa i mieszkań jako podstawa miłości ludu”.

Nina się nie pojawiła. Niedawno czytałem Kitty książeczkę i natknąłem się na zagadkę o wahadle:

*To na lewo polecą,
To na prawo podąży,
Samo nigdy nie wie, gdzie
Zatrzymać się można.*

Kitty od razu zawołała: „Tato, to o tobie!”. A kiedy zapytałem czemu, odpowiedziała, że na przemian to szukam mamy, to mówię, że nigdy nie przyjdzie, to znowu wyczekuję, aż wróci.

Obdzwoniłem przyjaciół i opowiedziałem o tym, co się dzieje w zborze Świętego Michała. Na razie rozwiązaliśmy problem z mąką, wodą i środkami na wszy. Kilku lekarzy z ambasad zgodziło się pracować bezpłatnie, i nasi uchodźcy mają jakąś opiekę medyczną.

Dlaczego zdecydowaliśmy się nagle pomagać ludziom, z którymi nie jesteśmy związani ani narodowością, ani pochodzeniem społecznym, ani religią? Nie znam prawidłowej odpowiedzi. Po prostu Niemcy z Powołża pierwsi nawinęli nam się pod rękę.

Porozmawiałem z kolegami dziennikarzami. Wszyscy odczuwają to samo co ja – dławiące poczucie bezsilności przy widmie kataklizmu tyranii nadciągającego nad Rosję. A pomoc bezradnym to nasz protest przeciwko huraganowi przemocy i oszustwa.

Zaprowadziłem Niemców do łaźni, wydając ostatnią kopiejkę, a przy tym czułem niebywałą wzniosłość duszy. System bolszewicki żąda ode mnie milczenia i pokory. „Dobrze u ciebie wszystko? To siedź spokojnie i się nie wychylaj. I tak nie dasz rady niczego zmienić”. A ja kiwam głową, po cichu zaś robię to, co uważam za słuszne.

Tak samo postępują moi koledzy.

Założyliśmy coś w rodzaju międzynarodówki, ale jej podstawą jest nie walka, lecz wzajemna pomoc. Przy czym dołączyli do nas nawet pracownicy Wydziału Prasy, co sprawiło mnie w niesamowite zdumienie. Wajnsztajn odrzucił mój artykuł o Niemcach, nazywając go kolejnym „oszczerstwem”, i natychmiast oznajmił, że ma dachę pod Moskwą, a przy niej szopę, którą najwyższa pora rozebrać i przeznaczyć na opał.

– Już tam nie pojedę w tym roku – powiedział i spojrzał mi znacząco w oczy. – Rozumiecie, prawda? Tam długo nikogo nie będzie.

Zadziwiająca, ale to fakt, że najbardziej gorliwi pracownicy bolszewickiego reżimu gotowi są robić dobre uczynki, jeżeli mają okazję i jeśli nikt z kierownictwa nie złapie ich na przejawianiu ludzkich uczuć.

Sąsiedzi z dachy Wajnsztajna mogli obserwować ciekawe zjawisko – z dwóch samochodów placówek dyplomatycznych wysypali się obcokrajowcy i zrzucając marynarki, zaczęli młotami rozbijać starą szopę. Potem deski i bierwiona zostały rozpiłowane i w ciągu kilku popołudni zabrane. Oczywiście trafiły do domu zajezdnego luterańskiego zboru.

Magda, która niedawno wróciła z wyjazdu do Azji Środkowej, także wzięła sobie do serca nieszczęście naszych Niemców. Podczas podróży po Turkiestanie napatrzyła się na takie traktowanie kobiet i dzieci, że dla niej „grzech dobroczynności” stał się prawie nawykiem.

Teraz każdego dnia jeździ do zboru, i to nie sama, ale z Friedrichem.

Według niego w domu mieszkalnym Kominternu ludzie odchodzą od zmysłów ze strachu. Kiedy stuka się do kogoś, obcy głos odpowiada: „Zachorował”. Pada pytanie: „A kiedy będzie zdrowy?”, na co głos informuje: „A nigdy”. Wszyscy palą papiery, kłamią, z nikim się nie spotykają i piją wódkę jako środek na sen.

Friedrich ma dość chowania się po kątach, postanowił, że zacznie pomagać uchodźcom, a co ma być, to będzie.

Ma znajomych, którzy hodują psy szkolone do ochrony granic i dostają talony na koninę. Wymienia u nich mięso za papierosy, więc teraz Niemcy gotują rosół i karmią nim chore dzieciaczki.

Na razie nie wiemy, czym skończy się ta epopeja. Friedrich spotkał się w Berlinie z Seibertem, a tamten powiedział, że rząd Niemiec nie zamierza wydawać pieniędzy na przesiedleńców.

Tak jak przypuszczałem, nie znaleźli się dobroczyńcy gotowi wziąć na siebie troskę o całą wieś. Co więcej, Seibert nie ma gdzie szukać dobrych samarytan. Nie zdołał znaleźć posady i musi pracować jako wolny strzelec. Oczywiście jego artykuły biorą z ochotą narodowe czasopisma, ale honoraria ma niewielkie, miota się więc w poszukiwaniu zarobku.

Cóż, będziemy się starali, póki starczy sił.

Rozdział 27

Pionierka i krzyż

Ałow urządził Gali awanturę.

– Mówiłaś, że Rogow jest na urlopie! A on od dawna siedzi w Moskwie! Dzwonili do mnie dzisiaj z Centralnego Instytutu Aerohydrodynamicznego. Na ich terenie jest kościół, a ten urządził w nim przytułek dla włóczęgów, w dodatku namawia cudzoziemców do pomagania im.

– Nic nie wiedziałam... – tłumaczyła się Gala.

W skroniach jej łomotało, w gardle miała gorzką kulę. Dlaczego Klim nie zawiadomił jej, że wrócił?!

– Coś mi tu śmierdzi – powtarzał Ałow, potrząsając żółtym, haczykowatym palcem. – Idź do niego i bez dokładnego raportu nie pokazuj mi się na oczy.

Gala jak we śnie dotarła do Czystych Prudów.

– A kto to przyszedł! – wykrzyknęła Kapitolina, otwierając jej drzwi. – Panie, zobacz, jaki gość się do nas pofatygował!

Gala się wzdygnęła. A zatem nazywano ją już tutaj gościem?

Klim siedział przy maszynie do pisania i kończył artykuł, sam, bez jej pomocy.

– Poczekaj chwilę, muszę coś dopisać.

Kartkował słownik i pisał coś w notatniku, a ona siedziała naprzeciw i szarpała uchwyt płóciennej torby, aż w końcu rączka się urwała.

Obcy... całkiem obcy! – myślała Gala, patrząc na skupioną twarz Klimy.

– W OGPU wiesz, co zrobiłeś w luterańskim kościele – powiedziała.

Klim wreszcie oderwał się od papierów.

– A co im do tego?

– A ty co, naprawdę nie rozumiesz?! Obywatele obcych narodowości nie mają prawa mieszać się do wewnętrznych spraw ZSRS! To działanie przeciwko władzy radzieckiej!

– To po prostu prywatna działalność dobroczynna.

– U nas nie ma żadnej dobroczynności! Wszyscy, którzy potrzebują, dostają pomoc od państwa.

Gala, nie panując nad sobą, zerwała się z miejsca.

– Powiedz mi tylko, dlaczego Niemcy? Przecież walczyliśmy z nimi... Tylu ludzi zabili podczas Wielkiej Wojny!

– Ci Niemcy to obywatele tego kraju. Nikogo nie zabijali.

– Mnie bez różnicy! Jak mogłeś im pomagać, kiedy nam samym potrzebne jest wsparcie?

Klim założył ręce na piersi.

– Zazdrosna jesteś, czy co?

– Tak, jestem zazdrosna! – odpowiedziała ze złością Gala. – Wyjechałeś nie wiadomo gdzie, nic mi nie powiedziałeś, a potem się okazało...

Zasłoniła usta dłonią, żeby się nie rozpłakać.

– Nie chciałem, żeby o tej historii dowiedziało się twoje kierownictwo – powiedział Klim.

– I dlatego odsunąłeś mnie od spraw?

Skinął głową.

– Ale ja się zwolnię z OGPU, powiedz tylko słowo! – zawołała Gala. – Niczego od nich nie potrzebuję, ani talonów, ani pensji... Nigdy cię nie zdradzę!

Klim spojrzał na nią z wyrzutem.

– Dziękuję oczywiście. Ale jeśli się zwolnisz, będziesz miała ogromne nieprzyjemności.

– Nieważne! Kocham cię!

Gala czekała na odpowiedź, ale Klim powiedział zupełnie coś innego, niż miała nadzieję usłyszeć.

– Nie karm Kitty czekoladą, dobrze? Okazało się, że właśnie przez nią chorowała.

– Czyli mam jutro przyjść do pracy? – spytała po chwili Gala.

– Przychodź. – Klim wskazał stos kopert na stole. – Trzeba to wszystko roznieść.

Po drodze do domu Gala opracowywała nowy plan. Trzeba się zwolnić z OGPU. Kapitolina niedługo wyjdzie za mąż, jej komórka się zwolni i Gala przeniesie się do Klima.

Jeśli trzeba, będę jego służącą – myślała i to właśnie zdawało jej się odpowiedzią na wszelkie kwestie.

Po powrocie do domu zauważyła, że drzwi do jej pokoju nie są zamknięte, a na stole leżała kartka od Tani:

Droga mammo i towarzyszek! Wykorzystajcie moją śmierć do walki ze smętarzami i religijnym szaleństwem, bo groby zajmują dużo ziemi, a kożyści nie ma z nich żadnej. Zamiast smętarzy powinny być parki ze sportowymi placami, rzeby ludzie grali w siatkówkę.

Niech żyje wielki Lenin!

Tania Dorina

Gala patrzyła ze zdumieniem na liścik. Skąd się wziął? Gdzie Tania? Co się z nią stało?

Z szafy dochodziło ciche sapanie, Gala otworzyła gwałtownie drzwi.

Tania leżała na swoim barłogu z rękami pod głową.

– Skąd się tu wzięłaś?

– Przyjechałam na gapę pociągami podmiejskimi – odparła dziewczynka zmęczonym głosem.

– Uciekłaś z internatu?! Dlaczego?

– Powiedzieli, że wykluczają mnie z pionierów.

– Za co?

– Za krzyżyk.

Twarz Tani wykrzywiła się, zaczęła płakać.

– Powiedziałam im, że mój tata był komisarzem i zostawił mi tylko dwie rzeczy: popielniczkę i krzyżyk, dlatego go noszę. A oni mi nie uwierzyli, powiedzieli, że specjalnie gadam na ojca, żeby ukryć własną religijność. Nie pozwolę się wykluczyć z pionierów, prędzej umrę! Tylko ty wyślij mnie do nowego krematorium, tego, które jest w dawnej cerkwi Serafina Sarowskiego. Postawili tam nowe piece z Niemiec, po dwóch godzinach zostaje tylko kilogram wapnia fosforowego. Opowiadał nam o tym prelegent ze stowarzyszenia „Przyjaciele kremacji”.

Gala opadła bez sił na ławkę. Historię z krzyżykiem sama wymyśliła, inaczej Tania nie chciałaby go nosić.

Nie będzie żadnej przeprowadzki do Klima...

– I dobrze, że wróciłaś – powiedziała łagodnym tonem. – Bardzo się za tobą stęskniłam.

Tania tak się zdziwiła, że usiadła. Głowa zaplątała jej się w wiszącej na wieszakach odzieży.

– A ty co, wcale się na mnie nie gniewasz? – spytała, odgarniając sukienki.

Przeniosła się do matki na ławkę i siedziały długo, obejmując się i płacząc.

– Myślałam, że wyszłaś za męża za wujka Klima – chlipała Tania. – Nie chciałam wam przeszkadzać...

– Ależ co ty, dziecko! W ogóle nie było o tym mowy.

– To bardzo dobrze, że poznałaś się na jego zgniliźnie duchowej! Z takimi jak on trzeba walczyć! I jeszcze trzeba mu zabrać Kitty. Myślisz, że da się to zrobić? Chodź, napiszemy do organów, żeby oddali ją nam na wychowanie.

Tania była beznadziejna. Nie stanowiło dla niej problemu, że dzieci w internacie wtrącają się w jej sprawy właśnie dlatego, że sama chciała mówić wszystkim dookoła, jak mają żyć, w co się ubierać i w co wierzyć.

Gala nie była w stanie uratować własnego dziecka, konflikt pokoleń okazał się tragiczny i nieubłagany, doprowadził do tego, że nie rozumiały się zupełnie.

Co teraz robić? – myślała Gala w rozpacz.

Powinna poświęcić albo siebie, albo córkę. Jeśli każe wrócić Tani do internatu, bezlitośni pionierzy ją zniszczą, a jeżeli zostanie w Moskwie, to przypadną osobiste plany Gali.

Rozległo się stukanie do drzwi.

– Hej, Galina! – zawołał Mitrofanycz. – Mam dla ciebie list z Niżnego Nowogrodu!
Z archiwum!

Przez szparę pod drzwiami wsunęła się duża, naderwana koperta.

Gala poszła do łazienki, rozpała piecyk, ale nie weszła pod prysznic. Siedziała na podłodze pod schnącymi na rurze szmatkami i płacząc, przeglądała archiwalne wypisy.

Mężczyzna, którego Gala kochała najbardziej na świecie, przez cały czas ją okłamywał. Urodził się w rodzinie prokuratora okręgowego, był szlachcicem i spadkobiercą dużego majątku. W 1917 roku przyjechał do Niżnego Nowogrodu jako obywatel Argentyny, a nie Stanów Zjednoczonych. W 1919 roku pracował w gazecie „Niżnonowogorodzka Komuna”, zachowały się z tego czasu zaświadczenia o wpłatach składek na związek zawodowy.

A tutaj zapis o rejestracji małżeństwa z Niną Wasiliewną Kupiną z grudnia 1918 roku. Brali ślub w cerkwi Gieorgijewskiej, tej samej, o którą Klim tak się upominał.

Była jeszcze notka z komendy wojskowej. W szczyście natarcia Denikina towarzysz Rogow (wówczas jeszcze nie mister!) wyjechał na front jako szef czerwonej brygady agitacyjnej. Potem nic już o nim nie było w dokumentach.

To wszystko mogło oznaczać tylko jedno – Klim Rogow przeszedł na stronę białych, wyemigrował, a potem wrócił do ZSRS, żeby odnaleźć żonę. Ale ona nie chciała go znać, co wyjaśniało „wigilijną opowieść” i wszystko, co się później wydarzyło.

Pierwszą myślą Gali było pobiec do Ałowa i zadenuncjować Klimę. Dokumentów, które otrzymała, wystarczyłoby w zupełności, aby go zgubić, nawet jeśli nie miał żadnych związków z organizacjami białych.

Nagle napłynęło wspomnienie zakrwawionej ciężarówki i wesołego Ibrahima ze szlauchem. Ałow będzie szczęśliwy i wypisze Gali parę funtów powideł albo kawałek gabardyny, a i Tania będzie zadowolona...

Wstała, odsunęła szyber podgrzewacza i zaczęła wkładać papiery na tłące się węgle. Żar uderzył kobietę w twarz.

Do drzwi zastukała sąsiadka, Natasza.

– Co się tam pali? Śmierdzi na cały korytarz!

– Zaraz, zaraz... – powtarzała bezmyślnie Gala.

Nieważne, że Klim jest białogwardzistą! Niechby był nawet zamachowcem, a ona nie mogła bez niego żyć.

Księga Umarłych

Chyba sam się wpędziłem w idealną pułapkę. Nie mogę zwolnić Gali, bo znajdzie się na bruku w dosłownym tego słowa znaczeniu. Przecież od razu ją pogonią z OGPU jako „nieradzącą sobie”. Ale kiedy przychodzi do mnie na Czyste Prudy, na ulicy ląduję ja, bo to jedyny sposób, aby uniknąć jej natręctwa.

Patrzy na mnie jakoś inaczej, jakby się czegoś cały czas obawiała, a ja wspominam słowa Seiberta, który przed wyjazdem uprzedził mnie, żebym się strzegł Gali.

Co miał na myśli? To, że nieodwzajemniona miłość może uczynić z kobiety potwora? Do mężczyzn też się to odnosi, wiem po sobie.

Staram się, żeby Gala jak najrzadziej widywała się z moją córeczką. Nie daj Boże Kitty wypapla coś o Krymie!

Na moje szczęście niedaleko otworzono bibliotekę dziecięcą, w której odbywają się zajęcia dla maluchów. Kapitolina odprowadza tam Kitty, dzięki czemu mała ma możliwość bawić się z innymi dziećmi.

Oczywiście nie mogę liczyć na przyzwoite kształcenie w tym miejscu. Pedagodzy z całą powagą pytają dziewczynkę, jak ciemniżyli ją przekłęci imperialiści, i każą jej się uczyć wierszyków niejkiej Agnii Barto o Chińczyku Li.

*Li słyszał o dalekim kraju,
Gdzie dobrze bywa, jak we śnie,
Gdzie z woli wspaniałego maga
Powiewa rewolucji flaga.
I Li już marzy tylko o tym,
Żeby tam dojść, choćby piechotą¹¹.*

Kitty ochoczo recytuje ten wiersz ku uciechu publiki. A ja machnąłem ręką i na objawy protekcyjnego rasizmu, i na kłamstwa „o dalekim kraju, gdzie dobrze bywa, jak we śnie”. Najważniejsze, żeby dziecko było szczęśliwe.

Wymyśliliśmy z Magdą i Friedrichem, jak zyskać trochę czasu dla naszych Niemców. Powiesiłem nad wejściem do zboru dużą tablicę „Szkoła nauki zawodów im. W.I. Lenina” i kazałem ojcu Thomasowi surowo pytać posłańców z instytutu: „A wy co, nie chcecie, żeby ludzie pracy interesowali się ideami leninizmu?”

Po księgarni Elkina zostało sporo dzieł wodza rewolucji, bo bano się je spalić, a do okolicznych bibliotek ich nie wzięli, jako że tam półki się pod tym towarem uginają. Przywiozłem to całe dobro uchodźcom i kiedy tylko stojący na czatach chłopcy zawiadamiają o zbliżaniu się obcych, Niemcy biorą się do książek i robią mądre miny.

Magda zrobiła całą serię zdjęć na temat „Chłopi i książka” i sprzedała je do sowieckich gazet. Tu kobieta jedną ręką miesza pranie w korycie, a w drugiej trzyma przed oczami broszurę *Jak wyposażyć Rabkrin*. Tam szacowny starzec łąta podarty trzewik, nie odrywając wzroku od leninowskiego dziedzictwa. Nawet dziewczynki-podrostki, którym powierzono opiekę nad niemowlętami, siedzą nad ideowymi pracami!

Dopóki Niemców nie wysiedlają, dopóty nikt nie ośmieli się zamknąć tej szkoły. Jednak to wszystko nie rozwiązuje najważniejszego problemu – uchodźcy nie mają za co żyć.

Seibert przysłał pełny oburzenia list, którego na razie nie mam sumienia pokazać ojcu Thomasowi. Rząd w Berlinie w ogóle odmówił przyjmowania rosyjskich Niemców. W Europie boją się bolszewików jak ognia i nikomu nie chce się zastanawiać, kim są uchodźcy z ZSRS – komunistami czy zwykłymi zrujnowanymi rolnikami. O wiele prościej odmówić im wiz.

11 Agnija Barto, *Chińczyk Wan Li* (przekład własny).

Zapisałem się na kurs jazdy samochodem w dawnym Instytucie Jekateryńskim dla Szlachetnie Urodzonych Panien. Teraz budynek nazywa się: Centralny Dom Armii Czerwonej.

Miła starszka administratorka okazała się absolwentką dawnej szkoły, a uznawszy mnie za „szlachetnego człowieka”, urządziła mi wycieczkę po wspaniałych salach i niedawno wyremontowanych klasycystycznych komnatach.

Armia Czerwona urządziła się całkiem nieźle. Ileż muszą kosztować same parkiety z drogiego drewna i marmurowe schody! Prócz tego za budynkiem znajduje się stuletni park ze stawami i ścieżkami rowerowymi.

W Centralnym Domu Armii Czerwonej w ogóle idzie ostra praca na rzecz poprawienia poziomu kulturalnego żołnierzy i dowódców, a także członków ich rodzin. Gdy tam byłem, z komnat dochodziły chóralne śpiewy, dźwięki bajanów i gwizd laubzeg. Z piwnicy dobiegały stłumione wystrzały – odbywały się zajęcia z przysposobienia obronnego, a w sali kinowo-koncertowej siwy profesor wygłaszał wykład „Bojowe środki chemiczne i sposoby ich zwalczania”.

W myślach zestawilem listę kółek, do których się zapiszę po nauce jazdy. Lepiej już majsterkować i robić domki dla ptaków albo ćwiczyć prysiudy, niż patrzeć na zgnębną twarz Gali.

Rozdział 28

Nauka jazdy

Klim przez cały dzień jeździł po moskiewskich bazarach, żeby napisać artykuł o ekonomicznej sytuacji w Moskwie.

Rozmawiał z mężczyzną, który sprzedawał końskie ogony, z których włosie wykorzystuje się przy produkcji miękkich mebli.

– A jak sobie radzi koń bez ogona? – zdziwił się Klim. – Przecież go muchy zjedzą! Ale chłop tylko wzruszył ramionami.

– Teraz wszyscy oddają konie na ubój. Tych, którzy je trzymają, nazywają kułakami i obkładają domiarem. A jeśli kto goły niby święty turecki, to następnego roku może wstąpić do kołchozu i dostać traktor.

Co to takiego „kołchoz”, rozmówca nie wiedział i nie chciał wcale wiedzieć.

– To nic, jakoś wszystko przeżyjemy – rzekł obojętnie. – Przecież nie może Rosja wziąć i wykitować, prawda?

Jeszcze jak może – pomyślał Klim.

Rosja umierała sukcesywnie: w Wielkiej Wojnie zginęło osiemset tysięcy ludzi, w domowej dziesięć milionów, w czasie głodu na Powołżu jeszcze pięć. To liczba równa ludności całego kraju wielkości Rumunii! A poza tym oficjalnym statystykom nie należy ufać. Straty były na pewno o wiele poważniejsze.

A co czekało ZSRS w czasie realizacji planu pięcioletniego, aż strach było sobie wyobrazić. Widmo głodu i nieprawdopodobnych strat było bardziej niż pewne.

Klim dotarł na kurs w ponurym nastroju. Zajęcia jeszcze się nie zaczęły i przyszli kierowcy – młodzi chłopcy w roboczych bluzach – stali przed zamkniętymi drzwiami do klasy.

Klim podszedł bliżej i zamarł, słysząc głos Niny.

– Samowar wygasł i moja córka postanowiła „dodać ogienka” – opowiadała. – Wzięła nafty i chlusnęła, ale nie do rury, tylko do wody. Gospodyni przyszła, wlała sobie filiżankę, a ta śmierdzi nie wiadomo czym!

Chłopcy się roześmieli.

Nina miała na sobie błękitną sukienkę i ażurowy biały szal z długimi frędzlami. Prosty ubiór, złota opalenizna i zwalający z nóg dziewczęcy uśmiech. Oczywiście, że przyszli szoferzy nie mogli od niej oderwać oczu.

Widząc Klimę, kobieta skinęła ledwie dostrzegalnie głową i mówiła dalej:

– Gospodyni pobiegła do sąsiadów pytać, czy herbata śmierdzi paliwem, czy jej się zdaje, a moja Kitty się przestraszyła, że będzie źle, i „poprawiła sytuację”, wlewając do samowara flakon wody kolońskiej.

Czyli wróciła – pomyślał Klim, czując ciepło na sercu. – Ciekawe, gdzie się teraz urządzi.

Pojawił się wykładowca – brzuchaty, wesoły starszy mężczyzna z zakręconymi w górę wąsami. Otworzył drzwi, a uczniowie weszli do klasy obwieszanej tablicami wojskowymi z przeliczeniami arszynów na metry i funtów na kilogramy. Nina usiadła razem z jakimś jasnowłosym gburem, który nie zdjął nawet czapki, a Klim zrezygnowany poszedł na „Kamczatkę”, czyli do ostatniej ławki.

Wykładowca powiesił na desce schemat samochodu.

– Będziemy zapoznawać się ze współczesną maszyną osobową modelu Ford-T o silniku czterosuwowym. Ma on moc dwudziestu koni mechanicznych i osiąga prędkość do siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, a po naszymu sześćdziesiąt pięć wiorst.

Klim nie odrywał wzroku od potylicy Niny, ale nie obejrzała się ani razu. Wyglądało na to, że jest naprawdę zainteresowana, gdzie w samochodzie znajduje się zbiornik paliwa i jak za pomocą specjalnej miarki sprawdzać poziom paliwa.

W czasie przerwy znów zebrała wokół siebie wielbicieli i zaczęła opowiadać jakieś bajeczki o swoim życiu na Krymie. Klim stał w oddaleniu i słuchał, pochmurniejac z każdą chwilą. Podszedł do niego mały, uszaty czerwonoarmista.

– Ech, babeczka pierwsza klasa! – powiedział, wskazując Ninę. – I przecież komuś musi dawać, nie? Bo jak bez tego?

Klim ledwie się powstrzymał, żeby nie strzelić go w gębę.

Po zajęciach Nina pożegnała się z nowymi znajomymi i poszła sobie.

Klim podsumował swoje osiągnięcia na froncie osobistym: kiwnięcie głową, sztuk jeden.

Klim był pewien, że Nina zapisała się na kurs tylko ze względu na niego, zupełnie jednak nie zwracała uwagi na byłego męża. Podczas przerw wokół niej zawsze gromadził się tłumek i Klim zdołał porozmawiać z Niną, dopiero kiedy ich zmuszono wejść razem pod stareńkiego fordzika.

– Znaleźliście resor? – spytał wykładowca.

– Znalazłam – odparła Nina.

– Jeżeli maszyna zepsuje się po drodze, trzeba ją samodzielnie naprawiać. Proszę zaczynać! A wy, towarzyszu Rogow, obserwujcie ją i pomagajcie w razie potrzeby.

Nakrętka była mocno zakręcona, więc Nina w żaden sposób nie mogła sobie z nią poradzić.

– Daj, ja to zrobię – zaproponował Klim, ale tylko podrzuciła ramieniem.

– Nie trzeba.

– Po prostu nie masz dość siły.

– Za to mnóstwo upartości.

Z tym nie sposób było się spierać.

Nina wreszcie ruszyła nakrętkę i przy pełnych entuzjazmu okrzykach kursantów podała ją wykładowcy.

– Cierpliwość i praca człowieka wzbogaca! – powiedział i uścisnął jej rękę.

Po zajęciach Klim podszedł do Niny.

– Ani razu nie zapytałaś o Kitty. Nie ciekawi cię, co u niej?

– Ależ wiem – odpowiedziała spokojnie. – Kapitolina przyprowadza ją na zajęcia w bibliotece dziecięcej i tam się spotykamy.

Klim nie wiedział, co powiedzieć.

– A gdzie Elkin? – spytał w końcu.

– Został na Krymie. Wprawdzie złożył mi propozycję, ale mu wytłumaczyłam, że nic z tego nie wyjdzie.

– Dlaczego?

– Domyśl się sam! – Nina zaśmiała się i wymachując torebką, oddaliła się parkową ścieżką.

Kitty przyznała, że faktycznie widuje się z mamą. Kapitolina, pamiętająca Ninę, uznała, że ta zatrudniła się jako wychowawczyni, i po prostu zostawiała jej dziecko, po czym szła do swoich spraw.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? – zapytał surowo Klim.

– Bo już mi zabrałaś Tanię!

Przykro było na małą patrzeć. Kitty – pewna, że tata wprowadzi teraz kolejny zakaz – zawnazas przygotowywała się do płaczu.

Klim oświadczył, że jej spotkania z mamą nie są przecież jego sprawą.

Trzy razy w tygodniu też widział się z Niną, a dokładniej – widział ją, bo o wiele częściej rozmawiała z szatniarzem niż z nim.

Była zarazem bliska i niedostępna. Uczyniła wszystko, żeby stać się cenną zdobyczą, właśnie dlatego otaczał ją wianuszek wielbicieli. Zmuszała Klimę, aby o niej myślał i zgadywał, gdzie mieszka, w jaki sposób zarabia i jakie ma plany. Otaczała ją tajemnica.

Było to dziwne uczucie – wiedzieć, że jest się beczelnie kuszonym, irytować się na to, a jednocześnie z niecierpliwością czekać kolejnego seansu duchowych tortur.

Klim zauważył, że po zajęciach Nina nie idzie ze wszystkimi na przystanek, lecz prędko biegnie do parku. Powtarzało się to kilka razy, a mogło oznaczać tylko tyle, że z kimś się tam spotykała.

Oczywiście Klim nie wytrzymał i pewnego dnia poszedł za nią.

Wieczne niebo było czyste i piękne, a nad późnymi kwiatami polatywały zwykle moskiewskie motyle.

Klim szedł w pewnej odległości od Niny i denerwował się na jadących z przeciwka rowerzystów, którzy krzyčili, żeby ustąpił miejsca. Jeszcze by się Nina obejrzała i go dostrzegła!

Kiedy znikła za zakrętem, przyspieszył kroku. Już sobie wyobrażał, że natknie się na jakiegoś czerwonego oficera czekającego na ławeczce, ale zamiast tego zastał byłą żonę w towarzystwie wielkiej szarej gęsi. Nina stała na brzegu i karmiła zwierzę z ręki.

Widząc obcego, gęś wstrząsnęła łbem, rozpostarła skrzydła i z sykiem ruszyła w stronę Klimy.

Nina się roześmiała.

– Stań! To nie obcy! Przestań natychmiast!

Rzuciła ptakowi kawał chleba, a on od razu zapomniał o konkurencji.

Po wczorajszym deszczu ziemia była wilgotna i Nina nie mogła się wdrapać po podmytym brzegu. Ślizgała się na mokrej glinie.

Klim podał jej rękę.

– Pomogę ci.

Tym razem Nina skorzystała z propozycji i nawet pozwoliła podtrzymać się pod łokieć, kiedy gałązką czyściła buty.

Klim myślał, że zacznie go pytać, dlaczego za nią chodzi, i starał się wymyślić jakieś dobre wytłumaczenie, ale kobieta jakby nigdy nic zaczęła opowiadać o gęsi.

– Wszystkich jej ziomków dawno już schwytano i zjedzono, a ona do tej pory ukrywa się wśród kamieni. Dokarmiam ją, żeby miała chociaż trochę szczęśliwego ptasiego życia.

Poszli razem ścieżką – z przodu Klim i Nina, a za nimi gęś. Od czasu do czasu gęgała z niezadowoleniem i łopotiała skrzydłami. Zdaje się, że uważała Ninę za swoją własność.

A Klim już nie myślał o niczym. Szedł po prostu obok Niny, wdychając cierpkie jesienne powietrze, i dziwił się, jak ta kobieta zręcznie zmusiła go do wykonania pierwszego ruchu.

Okazało się, że Nina zamieszkała w Sałykówce, u hrabiego Biełowa, i dojeżdżała do Moskwy kolejką.

– Żeby się zobaczyć z Kitty? – spytał Klim.

– I z nią, i z tobą. A jeszcze założyliśmy z Biełowem zakład produkcji mydła, więc muszę sporo się nabiegać, załatwiając sprawy. Kiedyś tłumaczyłam dla Magdy broszurę, w której opisano, jak Anglicy robią mydło. Też nam nieźle idzie.

– A jak je sprzedajecie? – zdziwił się Klim. – Na pewno nie macie zezwoleń i patentów.

– Za to mamy głowy na karku. – Nina się zaśmiała.

Według niej prywatna inicjatywa nigdzie nie zginęła, po prostu przez drakońskie domiary wszystko zeszło do podziemia, a ludzie poświęcali więcej energii i czasu na to, żeby dostarczyć towar klientowi.

Nina wydała wszystko, co miała, na surowce i sprzęt, a w podmoskiewskich miejscowościach było więcej rąk do pracy, niż można sobie wyobrazić. Znajdowały się tam całe kolonie bezrobotnych liszeńców, wysiedlonych ze stolicy. To byli sensowni i odpowiedzialni ludzie, gotowi uczyć się nowych rzeczy i eksperymentować.

– Znaleźliśmy chłopaka biegłego w chemii – mówiła Nina. – Został wyrzucony z uniwersytetu za szlacheckie pochodzenie. Opracował tani sposób pozyskiwania alkaloidu. Ci ludzie mają wspaniałe umysły i sprawne ręce, takie rzeczy potrafią wymyślić, że nadziwić się nie można!

Mydło sprzedawano z ruchomych kramików po targach i dworcach, ale głównego dochodu przysparzały przedsiębiorstwa państwowe. Tak samo jak Elkin w swoim czasie z wydawcami, Nina dochodziła do porozumienia z zarządcami pralni, szpitali i szkół, do których dostarczano deficytowy towar.

– Władze żądają od nich zachowywania norm sanitarnych, ale mydła w magazynach po prostu nie ma. Prywatne mydlarnie pozamykano, a od zjednoczenia przemysłu tłuszczowego i przetwórstwa kości nic nie przychodzi. Wszystkie przedsiębiorstwa prowadzą podwójną buchalterię. Pierwsza jest oficjalna, za nią ponoszą odpowiedzialność przed państwem, w niej zawarte są informacje wymagane i oczekiwane przez kierownictwo. A druga księgowość to ta związana z prawdziwą pracą, w której

rozlicza się zupełnie inne towary i kwoty.

– Zatem wszyscy zarządzający łamią prawo i zasługują na miano przestępców? – spytał Klim, przypominając sobie, jak Elkin opowiadał mu o tłumaczeniach szwedzkich informatorów.

– W Rosji Sowieckiej przestępcami okazują się wszyscy, cała ludność – odparła Nina. – Ten handluje nielegalnie, tamten uchyla się od podatków, a jeszcze ktoś inny dostaje pensję pod stołem. Urzędnicy co do jednego biorą łapówki, to taki system, w którym nikt nie może się czuć niewinny.

Podeszli do ogrodzenia, a gęś uznała, że nie warto iść dalej, i odleciała do swojego stawu.

– Dokąd idziesz? Na dworzec? – zapytał Klim.

Nina skinęła głową.

– Zobaczymy się pojutrze – powiedziała. Uścisnęła mu rękę, zupełnie jakby byli zwykłymi przyjaciółmi, tak jak przecież sam tego chciał.

Księga Umarłych

Nina wymyśliła, co powinniśmy zrobić z powołańskimi Niemcami. Poradziła znaleźć ludzi posiadających związki z kanadyjską spółką budowy kolei. W Kanadzie jest mało ludzi, wszystkiego dziewięć milionów, nie ma tam kto obsługiwać dróg żelaznych przebiegających przez pustacie. Nina słyszała, że rząd w Ottawie jest gotów pomagać emigrantom, którzy zgodzą się mieszkać w leśnej głuszy. Dostaną oni nawet ziemię, urządzenia techniczne i nieoprocenowany kredyt.

Magda skontaktowała się z Kanadyjczykami i potwierdziła, że są gotowi przyjąć naszych podopiecznych, Ambasada Niemiec w Moskwie zaś zgodziła się wydać im wizy tranzytowe, ale tylko pod warunkiem, że najpierw ktoś pojedzie do Hamburga i zafrachtuje tam statek do Quebecu.

Wszystko znów zależy od paszportów i pieniędzy. Wszyscy mamy nadzieję, że Seibert da radę zebrać odpowiednią sumę, ale na razie nic z tego nie wychodzi.

Nina wpadła też na pomysł, jak Niemcy mogą zarobić na codzienne utrzymanie. Zaproponowała im, żeby zbierali po pochodach i defiladach porzucone flagi oraz transparenty i szyli z nich najróżniejsze artykuły – od toreb na zakupy po spodenki dziecięce. Friedrich przywiózł z Niemiec kilka skrzynek przyborów do szycia i nici, więc mogli zabrać się do pracy.

Co się dzieje między mną a Niną? Nic szczególnego. Mamy teraz wspólną pracę. Troszczymy się o innych ludzi, z którymi nic nas nie wiąże, poza przynależnością do jednego gatunku. Spacerujemy po parku Domu Armii Czerwonej i nie omawiamy naszych spraw osobistych, tylko plany ratowania Niemców.

W czasie jednej z przechadzek zauważyliśmy ukryty płot. Znajduje się za nim składowisko przedrewolucyjnych pomników, które przedstawiają nie tych, co trzeba. Brązowe rzeźby dawno już wywieziono na przetopienie, a marmurowi imperatorzy oraz dowódcy dożywają swoich dni, pokrywając się mchem, piaskiem i brudem.

W czasie toczących się dookoła przemian odwiedzamy pokonanych bohaterów. Nina rozpościera chustkę na postumencie generała piechoty Skobieliewa i częstuje mnie chlebem z własnego wypieku.

Też nie pozostaję dłużny – parę dni temu udało mi się zdobyć w bufecie Komisariatu Spraw Zagranicznych szampana. Jak go otwieraliśmy i piliśmy prosto z butelki to już osobna, niezapomniana historia.

Po zajęciach chodzimy do gęsi, dopóki jeszcze żyje, a potem odprowadzam Ninę. Nasze przechadzki po wieczornej Moskwie stają się coraz to dłuższe. Na początku zegnaliśmy się przy bulwarze Kwiatowym, a teraz idę z byłą żoną aż do dworca. Następnie wracam do domu... do Gali.

Powiedziała mi, że Tania wróciła do poprzedniej szkoły. W pierwszym dniu ta zadziwiająca dziewczynka urządziła w niej awanturę. Pionierzy grali w miasteczka,

a drużynowy zaproponował, aby figury ustawiać nie w kształcie „armat” i „widełek”, ale magazynów zbożowych i fabryk, jako że taka forma bardziej odpowiada duchowi czasu.

Pałając sprawiedliwym gniewem, Tania napisała donos do dyrektora szkoły, twierdząc, że drużynowy ma skłonności sabotażysty i zamierza rozbijać pałkami państwowe przedsiębiorstwa.

Gala opowiedziała mi tę historyjkę jako anegdotę. Dyrektor okazał się rozsądnym człowiekiem i kazał Tani nie udawać głupiej, więc drużynowy nie ucierpiał, za to ja słuchałem opowieści z przerażeniem. Czy Gala doprawdy nie rozumie, że wychowuje prawdziwego potwora?

Dla mnie nieznośna jest już sama obecność Gali. Patrząc w oczy tej kobiety i myśląc, że mają kolor nie miodu, lecz oleju silnikowego. Ale nie mogę się zdecydować, żeby ją zwolnić. Doznałem od niej tylko dobra, nie umiem odpłacić się za to czarną niewdzięcznością.

Wszystkie konstrukcje myślowe, jakie zbudowałem dla siebie, zostały zburzone i żyję w stanie beztroskiego chaosu. Kontrakt z United Press dobiega końca, pieniędzy nie zaoszczędziłem, wywiadu ze Stalinem nie przeprowadziłem i nie mam pojęcia, co będzie ze mną dalej.

Jasne jest tylko jedno – nie mogę się doczekać, kiedy znów pójdę na zajęcia kursu dla kierowców. Gotów jestem godzinami grzebać pod pokrywą chłodnicy, jeździć tam i z powrotem między dwoma pustymi wiadrkami ustawionymi na drodze, a nawet pchać naszego fordzika, kiedy ugrzęźnie w gęstym jesiennym błocie. A wszystko po to, żeby po prostu być obok Niny, podawać jej szarmancko śrubokręt albo nosić za nią koło zapasowe.

Rozdział 29

Zdemaskowana

Gala wiedziała, że Klim kogoś sobie znalazł. Zaczął jej unikać i był wyraźnie niezadowolony, kiedy próbowała go pocałować. O łóżku już dawno nie było nawet mowy.

Potrafił dyktować artykuł i nagle urywać w pół słowa, żeby wskazać z uśmiechem na maszynę do pisania.

– Można ułożyć ciekawy rebus: w górnym rzędzie idą klawisze Y-U-I-O. Znajdź właściwe litery i ułóż słowa, mające jakiegokolwiek znaczenie.

– Jakie znowu słowa? – Gala patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Na przykład „YOU” i „I”. Przecież to akurat od razu rzuca się w oczy. „TY” i „JA”!

Gala w milczeniu patrzyła na czarny underwood i jej w oczy rzucało się zupełnie co innego – podłużny wielki klawisz „odstęp”.

Uciekała przed powiedzeniem sobie prawdy, jak tylko mogła, ale nie miało sensu dłużej się oszukiwać. Klim przyniósł skądś niesamowite чудо – prawdziwego ananasa – i zabrał je ze sobą na kurs. Czyżby chciał poczęstować innych kierowców?

Kiedy poprosił Galę, żeby pojechała po dane statystyczne z Moskiewskiego Instytutu Gruzliczego, nie wytrzymała i zajrzała do znajdującego się obok Centralnego Domu Armii Czerwonej.

– Gdzie znajdę listy uczestników kursów? – spytała surowo staruszkę administratorkę.

Ta nie zamierzała niczego pokazywać, ale kiedy zobaczyła przepustkę służbową do OGPU, zbladła i wyłożyła na biurko gruby zeszyt z kartonowymi zakładkami.

– U nas wszystko jest w pełnym porządku – zapewniała. – Zawsze dokładnie sprawdzamy dokumenty zapisujących się.

Na kursy dla kierowców zapisało się dwudziestu mężczyzn i jedna kobieta. Gala powiodła palcem po liście: tutaj Klim, a tu Nina Reich. Przy jej danych widniał adres, spisany z dokumentu: dom numer 8 przy ulicy Piotrowskiej. Gdzie to jest? Naprzeciw teatru Korsza? Dlaczego nie podano numeru mieszkania?

I nagle Gala przypomniała sobie, kto to jest Reich – znany amerykański biznesmen! Ałów kilka razy wspominał o nim i strasznie się oburzał, że ten burżuj mieszka we własnej willi, podczas gdy ucziwi ludzie pracy dostają na zakwaterowanie sążeń kwadratowy za szafą.

Teraz wszystko znalazło się na swoich miejscach. Żona rzuciła Klimą dla milionera, ale ten jej nie zdołał upilnować i zaczęła się spotykać z byłym mężem.

Ciekawe, czy mister Reich wie, że Klim Rogow przynosi jego małżonce ananasy.

Po powrocie do domu Gala od razu poszła do Mitrofanycza.

– Muszę znaleźć w archiwach wszystko, co się da, o niejkiej Ninie Reich, poprzednie nazwisko Kupina.

Mitrofanycz się ożywił.

– A jak się rozliczymy?

Gala po chwili wahania zaczęła rozpinać bluzeczkę.

Drachenblut położył przed Oscarem kilka paczek banknotów w banderolach.

– Tu jest dziesięć tysięcy dolarów, numery spisane. Kiedy tylko przyjedziecie do Berlina, przekażcie to Seibertowi.

– Postanowił popracować dla OGPU? – zdziwił się Reich.

– Seibert osiadł na mieliźnie. Nie będzie się ujawniał, lecz załatwi dla nas dziennikarzy, którzy napiszą odpowiednie artykuły o ZSRS. Bardzo potrzebujemy wsparcia w prasie. Kanadyjczycy robią wszystko, żeby zerwać nasze dostawy do Niemiec, bo sami by chcieli zawrzeć kontrakty na podkłady. Tyle że w ich przypadku przewóz wychodzi drożej, dlatego podkreślają wszędzie, gdzie mogą, że niebezpiecznie się z nami wiązać, a w dodatku niemoralnie. Z pomocą Seiberta wystrychniemy ich na dudka.

– Skoro tak mówicie! – Oscar uśmiechnął się. Bawiło go, że Drachenblut słowami walczy z kapitałem, a tak naprawdę zachowuje się jak kombinator, który marzy o zgarnięciu wielkiej puli.

Po powrocie do domu Oscar zobaczył przy bramie bladą, jasnowłosą kobietę.

– Zapytaj, czego chce – polecił szoferowi.

– Mister Reich, muszę panu coś ważnego przekazać.

– Na jaki temat?

– O pańskiej żonie.

Oscar się wzdrygnął. Kiedy wyjechał, Nina uciekła z domu i nie zdołał jej odnaleźć, mimo wszelkich wysiłków. Trudno mu było się pogodzić z myślą, że dziedzictwo barona Brehmera przepadnie, ale nic nie mógł poradzić.

Kazał szoferowi poczekać na zewnątrz i zaprosił nieznajomą do samochodu.

– Wie pani, gdzie przebywa moja żona?

Kobieta kiwnęła głową i wydobyła z torby na zakupy pakiet papierów.

– Proszę zobaczyć: to wypis z USC, zgodnie z którym zawarł pan małżeństwo z Niną Brehmer. A tu notatka z milicyjnego archiwum, gdzie stoi, że Nina Brehmer znajduje się na przymusowym leczeniu psychiatrycznym w szpitalu imienia Kaszczenki.

Oscar zagapił się na karteczkę z pieczęcią „Kopia zgodna z oryginałem”. Zgodnie z dokumentem, Nina Brehmer została przyjęta do szpitala w styczniu tego roku.

– To niemożliwe... – powiedział zdezorientowany. – Przez cały ten czas była ze mną.

– Z panem była Nina Wasiliewna Kupina, mieszcanka z Niżnego Nowogrodu. To jej zdjęcie.

Kobieta pokazała Reichowi fotografię, na której odwrocie widniało skreślone „Nina Kupina”, a nad tym napisano „Mrs Reich”.

– Ta damulka skradła sobie cudze nazwisko.

– Wie pani, gdzie jest teraz? – wydusił Oscar.

– Na kursie kierowców w Centralnym Domu Armii Czerwonej.

Nieznajoma odeszła, a Reich jeszcze długo siedział bez ruchu w samochodzie i wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w skórzane oparcie przedniego fotela.

– Mister Reich? – zapytał szofer, podchodząc do wozu. – Wjeżdżamy do domu czy chce pan gdzieś jechać?

Oscar spojrział na niego mętnymi oczami.

– Wiesz, gdzie jest Centralny Dom Armii Czerwonej?

Kapitolina pokłóciła się ze swoim tokarzem i już od dwóch godzin siedziała w kuchni, płacząc.

– Ja mu mówię: „Trzeba zrobić poduszki z puchu! Jak będziemy spać bez poduszek?”. A on: „Z takimi zachciankami trzeba było wydać się za Rockefellera!”.

Dziewczyna podniosła na Klima oczy pełne łez.

– Panie, a gdzie bym się mogła z tym Rockefellerem poznać, co? On na pewno nie będzie się wyklócał o poduszki.

Klim poił Kapitolinę mlekiem i zapewniał ją, że poduszkowy kryzys szybko minie.

Spóźnił się na kurs. Na bazarze po drodze urządzono obławę na spekulantów i wszystkie ulice wokół obstawili elewi ze szkół wojskowych. Trzeba było jechać dookoła.

Kiedy dotarł na miejsce, pod bramą stał tłum gapiów i karetka pogotowia. Dwóch sanitariuszy właśnie umieściło nosze z ciałem okrytym prześcieradłem w wozie i zatrzasnęło drzwi.

– Mieliśmy tu tragedię rodzinną z krwawym finałem – wyjaśnili Klimowi kursanci.

– Były zajęcia w garażu, a tutaj przyjechał mąż Niny i zawołał ją na rozmowę.

– Poszła do niego z zepsutym rozrusznikiem w ręce – wtrącił Andriejka, sąsiad Niny z ławki. – A potem słyszymy, że ktoś krzyczy...

Klim spojrzał na karetkę.

– Zabił ją?!

– Ależ nie, to ona mu dała żelazem po łbie. Przybiegamy, a ten leży we krwi, a obok niego rozrusznik. Ma szczęście, że przeżył.

– Gdzie Nina?

– Uciekła. Przecież nie będzie czekała, aż ją aresztują!

Przy wejściu do budynku pojawił się milicjant z wielkim owczarkiem na smyczy.

– Szukaj, Dajna, szukaj! – powiedział mundurowy, podsuwając psu pod nos szal Niny.

Owczarek z miejsca rzucił się do Klima. Rogow odskoczył.

– Co z tobą, Dajna? Baby szukamy! – rozeźlił się milicjant, odciągając psa.

Klim odszedł. Czyli Reich wyszedł Ninę i teraz będą ją ścigać za rozbój.

Nie wyobrażał sobie, jak zaradzić temu nieszczęściu.

– Można do ciebie? – spytał Żarkow, zaglądając do Ałowa.

Ten westchnął. Znów zacznie się kuszenie różnymi zagranicznymi cholerstwami. I przecież nie wytrzyma, kolejny raz weźmie coś dla Duni.

Żarkow zamknął drzwi.

– Właśnie byłem w dziale kadr. Wiesz, co leży u nich na stole? Spis twoich etatów! A przy każdym nazwisku widnieje dopisek: „pochodzenie szlacheckie”.

Ałow poczuł, jak jego płuca ściskają się znajomym skurczem.

– Przecież towarzysz Dzierżyński też był ze szlachty... I towarzysz Mienżynski.

– Nie dyskutuj, tylko słuchaj! – przerwał mu Żarkow. – Czytałeś dyrektywę? Wszyscy naczelnicy wydziałów mają zredukować etaty i pozbyć się darmozjadów. Ma być ostry reżim ekonomiczny, więc lepiej sam pozwalniaj pracowników, bo przy czystce oberwiesz za to „szlacheckie gniazdo”.

Ałow długo kaszłał i nie mógł się uspokoić. Żarkow wyjął z kieszeni cukierka w złotku.

– Weź miętówkę, pomoże.

Ałow potrząsnął głową.

– To nic, zaraz minie...

Oparł ręce na blacie i położył na nich głowę. Tak było mu nieco lżej.

Żarkow poklepał go współczująco po plecach.

– Sam się tej czystki boję aż do mdłości. Poprosiłem Drachenbluta, żeby wysłał mnie na ten czas gdzieś do Europy, ale nie chce! Mówi, że OGPU zostało zbudowane na zasadach równości, więc czystka dotyczy wszystkich!

Ałow uśmiechnął się pod nosem. O żadnej równości w aparacie bezpieczeństwa nie było mowy. Jedni mogli być sobie szlachcicami, a innych za to pozbawiano kawałka chleba. Jedni harowali jak woły, a innych wyprawiano na rezydentury za granicę, a tam mało tego, że mieli wszystko podane pod nos, to jeszcze dostawali po dwieście pięćdziesiąt dolarów pensji. Nie mieli męczących zebrań, nie wnosili tysiąca „dobrowolnych” składek na nie wiadomo co, nie dręczono ich czystkami.

– Chodź do bufetu. Napijemy się – zaproponował Żarkow. – Ja stawiam.

Ałow skinął głową. Wódka podrożała o sześćdziesiąt kopiejek, więc grzechem by było odrzucić hojną propozycję.

Po powrocie z bufetu Ałow długo siedział przy biurku, starając się zebrać myśli.

Czystka została wyznaczona na 12 listopada, zostało mu więc bardzo mało czasu. Zapytają o osiągnięcia i co ma powiedzieć?

Żarkow miał rację: szlacheckie pochodzenie mogło Ałowa drogo kosztować. Na pewno zostanie oskarżony o kumoterstwo społeczne i chęć wspierania elementów bliskich mu klasowo.

Ale kogo powinien wyrzucić? Wszyscy pracownicy w jego dziale byli potrzebni i ważni.

Wezwał Dianę Michajłówną i zapytał, kto według niej powinien paść ofiarą redukcji. Kobieta zacukała się i zaczęła opowiadać o tłumaczce Aneczce, która ma maleńkie dziecko, o Nikołaju Piotrowiczu, który choruje na stawy.

– Jeśli go zwolnić, po prostu umrze!

Zadzwoił telefon i Ałow kazał pracownicy odejść, ale nie ruszała się z miejsca.

– Towarzyszu Ałow – powiedziała drżącym głosem – a mnie nie zwolnią? Też mam dzieci...

– Gdyby to ode mnie zależało, za nic bym was nie zwolnił – odparł. – Jesteście zbyt cenną kadrą.

Rozjaśniła się, zawołała „Och, dziękuję!” i szczęśliwa wybiegła z gabinetu.

Ałow podniósł słuchawkę.

– Halo!

To była Gala.

– Powinieneś o czymś wiedzieć. Nie będę już pracowała u Klima Rogowa.

– Ale jak to? Wygonił cię?

– Nie. Sama nie chcę.

Przez chwilę Ałow nie mógł wydobyć głosu, tak go poraziła podobna bezczelność.

– Posłuchaj, sikoreczko, oboje jesteśmy na służbie! Co znaczy „chcę albo nie chcę”?! Dostałaś rozkaz i masz go wykonywać!

Ale Gala jakby nie słuchała.

– Jeśliby mi jutro spadła cegła na głowę, zatroszczysz się o Tanię?

– Całkiem zgłupiałaś?

– A ty coś się tak przestraszył? W życiu różnie bywa. Może wyjdę zaraz na dwór i wpadnę pod dorożkę? Dlatego chcę wiedzieć, czy weźmiesz moje dziecko do siebie.

– Tania jest przecież w internacie!

– Nie spodobało jej się tam i wróciła.

– Przecież wiesz doskonale, że nie miałbym jej nawet gdzie położyć!

– Czyli do domu dziecka... – powiedziała Gala w zadumie. – Tak myślałam.

– Jesteś zwolniona! – ryknął Ałow niespodziewanie dla samego siebie i nacisnął widełki, żeby niczego nie słuchać i nie wyjaśniać.

Trząśł się ze złości. Na co one sobie pozwalają? Jedna nie chce pracować jak

należy, drugiej nie podoba się w internacie! Też mi się jaśnie panie trafiły!

Ałow znów wezwał Dianę Michajłowną.

– Proszę wypisać dyscyplinarne zwolnienie dla Doriny i zadzwonić do dyżurnego. Powiedźcie, że anuluje się jej przepustkę.

Diana Michajłowna patrzyła na niego z uwielbieniem. Wiedziała, że kiedyś Gala była jego kochanką.

– Poświęcił ją pan za nas?

Ałow zmarszczył brwi.

– Niczego nie poświęciłem! To wszystko, proszę iść i nie stać nade mną! Chociaż... dajcie papierosa, jeśli wam jeszcze coś zostało.

Kobieta przyniosła mu kilka cygaretek własnej roboty – sama je skręcała, dodając do tytoniu „lecznicze” ziółka.

Ałow zapalił i o mało nie udławił się słodkim dymem.

Jakim trzeba być bydlęciem, żeby zwolnić Galę? Tyle że i tak by ją wyczyścili po 12 listopada. I za pochodzenie, i za zaległości w składkach, i za zupełną nieprzydatność.

Kiedyś Drachenblut mówił Ałowowi, że litość dla słabych degeneruje i upadła całe społeczeństwo.

Zrobiłem dla niej wszystko, co możliwe – wmawiał sobie Ałow. – To nie moja wina, że okazała się taka do niczego. A Tania niech wraca do internatu. Też wymyśliła sobie nową modę na samowolę! Jeśli wszyscy będą robić tylko to, co im się podoba, nigdy nie zbudujemy socjalizmu!

Drachenblut zadzwonił do Ałowa.

– Natychmiast do mnie!

Siedział za biurkiem i co chwila poszcypywał sobie policzki, jakby sprawdzając, czy ma twarz na miejscu. Przed nim stał talerz wypełniony niedopałkami, niczym parodia kolacji.

– Dzisiaj wydaliśmy Oscarowi Reichowi dziesięć tysięcy dolarów na wydatki – powiedział Drachenblut obcym głosem. – A jego żona przejęła pieniądze i uciekła, w dodatku dała mu po głowie tak, że trafił do szpitala.

Ałow jęknął.

– Kim ona jest?

Przełożony ścisnął maleńkie żółte piąstki.

– W tym właśnie sprawa! Oscar, idiota, ożenił się z babą, która podawała się za kogoś innego. Myślał, że to baronessa Brehmer, ale dzisiaj się dowiedział, że tak naprawdę nazywa się Nina Kupina.

– Znam ją! – wykrzyknął Ałow.

Drachenblut pokazał mu leżące na blacie dokumenty.

– Już przejrzałem teczkę, którą jej założyłeś. Wszystko, co ci teraz mówię, to tajemnica państwowa, rozumiesz? Gdyby Jagoda się dowiedział, że zginęła nam tak poważna suma, zeżre nas z bebechami. Wezwałem cię właśnie dlatego, że znasz się z Kupiną i prowadzisz Klima Rogowa. To jedyny człowiek, który może wiedzieć, gdzie ona teraz przebywa. Śledczy z wydziału kryminalnego milicji rozpytał kursantów z Domu Armii Czerwonej, a oni powiedzieli, że w ostatnim czasie Rogow i Kupina mocno się zaprzyjaźnili.

Ałow spojrzał z niedowierzaniem na swojego naczelnika.

– Ale co ja miałbym zrobić w tej sprawie?

– Znajdź Kupinę! Nie możemy zlecić tego operacyjnym, bo podlegają Jagodzie! Musimy radzić sobie własnymi siłami, a jeśli zdołasz odzyskać pieniądze skradzione Reichowi, możesz uważać, że oddzielny pokój masz załatwiony.

– Kto dokładnie zdemaskował Kupinę? – spytał Ałow.

– Jakaś kobieta. – Drachenblut westchnął ciężko. – Oscar spotkał ją na ulicy i nie zapytał o nazwisko. Gdybyśmy ją odszukali, wszystko byłoby o wiele prostsze.

Ałow wyszedł z gabinetu, przyciskając teczkę do piersi.

Przecież nie jestem wywiadowcą! To nie mój fach! – myślał zrozpaczony.

Ale z drugiej strony patrząc, może to naprawdę szansa na otrzymanie własnego lokalu? Przecież takie cuda się zdarzają, że jeśli człowiek o czymś bardzo mocno marzy, jakiś wyższy rozum wychodzi mu naprzeciw.

Prawie biegiem wrócił do siebie. Trzeba opracować plan działania... W pierwszej kolejności musi się spotkać osobiście z Rogowem. Trzeba też założyć mu ogon, żeby wyszedł, dokąd figurant jeździ i z kim się spotyka.

Ałow już żałował, że tak nie w porę wyrzucił Galę. Mogłaby mu się teraz przydać. Zadzwoił do niej i zapytał, co wie o stosunkach Rogowa z Kupiną.

– Jeszcze zimą raportowałam, że Klim się nią interesuje – odparła zgaszonym głosem.

– To wszystko?

– Tak, wszystko. Zostaw mnie już w spokoju.

Nie miał co liczyć na tę głupią babę. Naprawdę nie nadawała się na czekistkę.

Rozdział 30

Podziemna Rosja

Pociąg podmiejski był nabitý ludźmi mieszkającymi w daczach dookoła Moskwy. W wagonie ramię w ramię stali sprzedawcy mioteł łazienbnych, mleczarki, wyrobnicy, handlarze starzyzną i tragarze. Nad głowami pasażerów sterczały koromysła, szczotki i łopaty. Wszystko to był niesprzedany towar, który musieli wieźć z powrotem do domu.

Klimowi dostało się miejsce w przedsionku. Obok cisnęli się muzykanci, jadący na wesele. Cieszyli się, że w pociągu jest taki ścisk, bo to oznaczało, że nie będzie kontroli biletów.

– Ech, zagrałbym wam, obywatele, na skrzypcach – mówił niebieskooki chłop z goździkiem zatkniętym za ucho. – Nie ma jednakowoż nawet gdzie łokci podziać, więc jakbym zaczął, to niewątpliwie kogo w mordę zamaluję. A wszak z muzyką jechać weselej.

– To nam zaśpiewaj! – zaproponował ktoś i pociągnął cienkim głosem:

*Cieszy się moja natura,
Mnie potrzebna politura.
Mama rada, tatko rad,
Że piję denaturat!*

Publika zarechotała.

Klimowi wydawało się, że parowóz ledwie dyszy. Stawał na palcach, żeby ponad głowami muzykantów spojrzeć przez okno, ale na zewnątrz lało i nic nie było widać.

Niebawem pociąg stanął.

– Zaraz leci ekspres do Niżnego Nowogrodu, nazywa się Błękitna Strzała – poinformował skrzypek. – Będziemy czekali, aż naczalstwo raczy przejechać.

Klim jechał do Sałtykowa, nie wiedząc, czy robi dobrze, niejako na oślep. Daj Boże, żeby Bielów wiedział, gdzie się ukrywa Nina. A jeśli ją aresztowali? Ale to raczej wątpliwe, bo nikomu nie mówiła, gdzie mieszka.

Zmęczeni ludzie buczeli i klęli pasażerów Błękitnej Strzały. Postanowiono przez aklamację, że wszystkich należy rozstrzelać.

Pociąg stał półtorej godziny, więc kiedy Klim dotarł na miejsce, zrobiło się już ciemno.

Staruszek, który był w Moskwie sprzedawać grzyby, wskazał, jak znaleźć dom Bielówów.

– Tylko idź ostrożnie – ostrzegł. – Nie ma tu ani trotuarów, ani świateł. Były drewniane chodniki, ale wszystkie poszły na opał, bo komitet wykonawczy nie pozwala rąbać drzew. A nafty już rok nie dowożą.

Klim naprawdę o mało nie skrzył karku, pokonując wertepy na szosie.

Nina mówiła, że Bielówowie stukają do drzwi w rytmie starego hymnu Rosji. Jednak we wzburzeniu zapomniał o tym i przestraszył cały dom. Bielówowie uznali, że to OGPU.

– Kto tam? – spytał ostrożnie kobiecy głos.

– To ja – odparł Klim, a drzwi zaraz się otworzyły.

Z ciemności wybiegła Nina i rzuciła mu się na szyję.

– Przyjechałeś!

Poczuł niewiarygodną ulgę, zbyt zwyczajną i wspaniałą, żeby mogła być prawdą... Trzymał Ninę w objęciach, całował jej włosy i policzki, powtarzając bez przerwy:

– Myślałem, że cię nie znajdę... Nie wiedziałem przecież, że ty...

Położyła palec na ustach i Klim się domyślił, że nie powiedziała gospodarzom o zajściach w Centralnym Domu Armii Czerwonej.

Przedstawiła Rogowa hrabinie Bielowej, jasnowłosej, nieco zaokrąglonej kobiecie w eleganckiej sukni i narzuconej na ramiona wełnianej chuście.

– Bardzo dobrze, że pan przyjechał – powiedziała. – Napijemy się herbaty.

Okazało się, że w domu jest pełno ludzi. Oprócz Bielówów wokół wielkiego samowara zebrali się sąsiedzi z okolicznych domów. Klim dostał się do dziwnego świata, zupełnie niepodobnego do sowieckiej Moskwy. Tutaj mężczyźni usługiwali damom, dziewczęta śmiały się i obejmowały, a dzieci tak były ucieszone gośćmi, jakby przyjechał do nich Dziadek Mróz.

Brakowało krzesel, usadzono więc Klimę razem z Niną na wielkim koszu do bielizny, którego wieko ostrzegawczo poskrzypywało pod ich ciężarem.

Klim czuł dotyk ramienia Niny, a kiedy kręciła głową, jej włosy trącały jego szyję. Nina była ciepła, czuła i kochana aż do bólu, a on tylko ukradkiem gładził jej kolano pod obrusem, żeby nikt nie widział. Nina odpowiadała mu lekkim uściskiem ręki i wszystko było jak dawniej, zanim z głupoty i lekkomyślności rozbili małżeństwo.

Od razu było widać, że Bielówowie żyją na skraju nędzy. Dacza niszczała, unosił się w niej zapach starego drewna, suszonych grzybów i jabłek, a jednocześnie czuć było wigor młodości. Wszystkie ściany obwieszono dziecięcymi rysunkami, na parapecie Klim zauważył całą kolekcję kolb i retort, a w kącie stał częściowo rozebrany silnik diesla.

Odpowiadał na pytania o Moskwę i ze zdziwieniem przyglądał się ludziom, którzy dali schronienie Ninie. Mądre, uduchowione twarze, czystość i dobry gust nawet w najdrobniejszych sprawach, zdania w obcych językach, które wszyscy rozumieli.

Najmłodszy z Bielówów, dwunastoletni chłopczyk, którego wszyscy z szacunkiem nazywali Georgijem Władimirowiczem, mówił po łacinie.

– Bardzo interesuje się starożytnym Rzymem – powiedział hrabia, mierzwiąc synowi włosy. – Nie wiem, jak będziemy go uczyć. Z naszym pochodzeniem nie przyjmują na uniwersytet.

– Sam się nauczę! – odpowiedział Georgij Władimirowicz z wielką godnością.

Aż trudno było powstrzymać ogromne zdziwienie – komu przyszło do głowy nazwać tych ludzi niepotrzebnym chłamek, dla którego nie ma miejsca we współczesnym życiu? Przecież to był kwiat narodu!

Po obiedzie urządzono tańce. Stół wyniesiono do drugiego pokoju, hrabina zdjęła

pokrowiec ze starego pianina i przyniosła nuty.

– Kawalerowie, zapraszajcie damy do pierwszego kontredansa! – zarządził Bielów, stając pośrodku sali.

Klim skłonił się przed Niną.

– Madame?

Przysiadła w reweransie, jak niegdyś uczono dziewczęta w gimnazjum, i podała mu dłoń.

Tańczyli wszyscy. Trzeszczała podłoga i podrygiwały zasłony. Pary krążyły i zderzały się czasem ze śmiechem. Zmęczone damy padały na krzesła, wachlowały się chusteczkami.

– Jeszcze! Mamo, jeszcze! – krzyczały dziewczynki i muzyka znów grzmiała na cały dom.

Wszystko to zdawało się Klimowi dziwnym snem. Ukryli się z Niną w obcym domu, ogarniał ich strach, poczucie niezręczności sytuacji i niemożności snucia planów, ale teraz, w tym błysku czasu żona Klima patrzyła na niego zakochanymi oczami, a za to był gotów oddać wszystko na świecie.

To było obezwładniające szczęście iść z Niną do kuchni i polewać jej na ręce wody z kubka, żeby mogła je umyć.

– To właśnie nasza produkcja! – Nina pokazała z dumą mydło w kształcie kogutka.
– Zalewamy masą stare formy do ciastek i lodów. Prawda, że nieźle wychodzi?

Kim skinął głową.

– Prawda.

Woda z szumem lała się do emaliowanego wiadra. Nina drżała z zimna i wycierała twarz ręcznikiem, tak stareńkim i sfatygowanym, że przypominał gazę. Potem przysła jej kolej oblewać Klimę.

Mój Boże... Zaraz pójde spać z żoną – myślał i zamierało w nim serce na tę perspektywę.

Pościelono im na podłodze w gabinecie Bielowa, małym pomieszczeniu wypełnionym książkami, portretami wielkich pisarzy i workami suszonych jabłek.

Hrabia wielkodusznie wykręcił z żyrandola jedyną w całym domu żarówkę i zaproponował ją gościom, ale Nina powiedziała, że obejdą się z Klimem cerkiewną świeczką.

Zamknęli się przed całym światem na marną zasuwkę, wstawili świeczkę do słoika, niby kwiatek do wazonu, i siedząc na zszytej z kolorowych kawałków pościeli, popatrywali na siebie.

Nina położyła się na plecach, a włosy rozsypały jej się wokół głowy, niby falujące promienie dookoła słońca na dziecięcym rysunku. Klim powiódł opuszkami po jednym z promyków, potem po drugim...

Wiedział, że powinni porozmawiać o Reichu, ale nie wyobrażał sobie, jak zacząć. Bardzo nie chciał mu się wracać z niebios na ziemię.

– Wiesz, o czym myślę? – odezwała się Nina. – Tutaj, w Sałtykowie, jest właśnie moja Rosja. Ta dacha, ci ludzie, to mydło w foremkach. I za sto lat bym nie chciała stąd wyjeżdżać.

– Ja też – zgodził się Klim. – Ale nie możesz tu zostać, przecież Oscar...

– Później o nim... Nie chcę teraz nawet słyszeć o tych rzeczach!

Pociągnęła Klimę za rękaw, ale na przekór nie poddał się i Nina nie mogła sobie poradzić z jego ręką, nawet uwieszając się na niej całym ciężarem.

– Tak się nie bawię! Idę do domu! – oznajmiła, śmiejąc się, i naciągnęła na głowę wyłóg kretonowej poszewki w drobne kwiatki, zbyt dużej na poduszkę, jaką dostali.

– Oj, jestem w domku... Jestem w rajku! Przyjdiesz w gości?

Jakże mógłby odmówić?

To właśnie było najprzyjemniejsze – przekomarzać się jak dzieci, patrzeć na świat przez barwne kwiatuszki i się całować.

Klim prowadził rękę po talii Niny, wciąż niżej i niżej... Potem napotkał krągły wzgórek biodra i znów zjechał w dół, ale teraz już powoli, niespiesznie. Chciałby

rozciągnąć czas i wchłonąć w siebie jak najwięcej szczegółów – delikatne ciepło na prześcieradle, w miejscu, gdzie przed chwilą leżała Nina, krągłą kosteczkę na jej nadgarstku, mrowiące przedramię...

Ludzka dusza nie była zdolna tego wytrzymać. Klim ścisnął Ninę i nagle spostrzegł, że ich oddechy splotły się w jednym rytmie.

Jakoś tak się zdarzyło, że narobili sporo hałasu.

– Bielówowie nas wygnają – wyszeptała Nina, naciągając kołdrę na ramię.

– W dodatku narobiliśmy sobie wstydu przed klasykami – powiedział Klim, wskazując portrety Puszkina, Tołstoja i Dostojewskiego.

Wielcy mężowie patrzyli na nich z jawnym potępieniem.

Świeca dopaliła się i zgasła, wypuszczając strużkę siwego dymu, w powietrzu ostro zapachniało spalenizną.

– Oscar skądeś się dowiedział, że uczęszczam na kurs dla kierowców – powiedziała cichutko Nina. – Oznajmił mi, że ma teczkę z kompromitującymi mnie dokumentami, i przestraszyłam się, że chce mnie oddać w łapy czekistów.

Klim splótł swoje palce z palcami Niny.

– Nie bój się niczego, jestem z tobą.

– Za późno na strach... Oscar zaczął mnie dusić, a ja wyrznęłam go rozrusznikiem i zabrałam teczkę. A tam nie było wcale dokumentów.

– A co?

– Dziesięć tysięcy dolarów amerykańskich w setkach.

Klim aż uniósł się na łokciu.

– Niczego sobie...

Nina przytuliła się do niego i rozplakała.

– Masz rację, że nie mogę zostać u Bielówów, oni i tak chodzą po krawędzi przepaści. A co będzie, jeśli czekałsi mnie złapią?

Nagle Klim wpadł na genialny pomysł.

– Wiem, co powinniśmy zrobić! Zarejestrujemy cię jako niemiecką wieśniaczkę, która nigdy nie miała dokumentów, oprócz zaświadczenia z rady wiejskiej. Wystarczy nam pieniędzy od Oscara, żeby zapłacić łapówkę Babłojanowi. Wyrobi paszport i wyprawimy cię do Hamburga, ale nie wsiądziesz na statek do Kanady. Zostaniesz w Niemczech, a my z Kitty przyjedziemy do ciebie. Niedługo kończy mi się kontrakt.

– Ale z nas złodziejaszki, co? – chlipnęła Nina. – Tacy Bielówowie nigdy by się nie posłużyli kradzionymi pieniędzmi!

– Ale za to jesteśmy dwiema połówkami jabłka – odparł Klim. – I nie pasujemy do nikogo, oprócz siebie.

Gala zadzwoniła do Klima i bez wstępów oświadczyła, że więcej nie przyjdzie na Czyste Prudy. Odetchnął z ulgą, lecz zaledwie uporał się z jednym problemem, gdy wyniknął następny – zaczęli go śledzić. Naprzeciw swojego domu widział wciąż obserwatorów.

Zdawało się, że wszędzie za nim chodzą niepozorni towarzysze. Nie bili go przecież ani nawet nie nachodzili. Ale w tej chwili zrozumiał, że utracił właśnie taką drobnostkę, jak wolność, i nie może już iść, dokąd chce, ani się spotykać, z kim chce.

Klima ratowało to, że przeszedł skrócony kurs i otrzymał prawo jazdy. Teraz mógł się obywać bez kuriera i był w stanie załatwiać sam mnóstwo spraw, nawet bez pomocy Gali. Ale najważniejsze, że mógł po prostu uciec wywiadowcom. Nawet kiedy przydzielono im służbowy wóz, okazało się, że nie jest w stanie nadążyć za Maszką.

Kilka razy Klim z zachowaniem najwyższej ostrożności odwiedzał Sałtykówkę. Jakież to było szczęście przyjeżdżać do Niny, spacerować z nią wśród złocących się brzoź i snuć szalone plany na przyszłość!

Ojciec Thomas wciągnął Ninę na listę mieszkańców wioski pod nazwiskiem Hilda Schultz i Klim opowiadał chętnie o jej nazwiskach.

– Kupina z domu, Odincowa po pierwszym mężu, Brehmer z pseudonimu, Reich po mężu drugim, Schultz wedle nowych dokumentów.

Nina śmiała się.

– A tak naprawdę jestem Rogowa, żona Rogowa.

Po powrocie do domu szli do gabinetu Bielowa i oglądali atlas geograficzny.

– Do pełnego szczęścia potrzebne nam smaczne jedzenie, pasujące ubrania i dach nad głową – mówił Klim. – Wszystko to może się okazać drogie w Londynie, albo bardzo tanie, jeśli zamieszkamy tam, gdzie bywają najpiękniejsze zachody słońca na świecie. Co myślisz o osiedleniu się w brytyjskim Hondurasie?

Nina czytała zapis w encyklopedii i krzywiła się.

– Nie da rady. Tam są huragany i powodzie.

– To może Japonia? Znajdziemy malowniczą wioskę w górach, żeby w okolicy rosły lasy klonowe, były pagody i wodospady. Będziemy uczyć w szkole miejscowe dzieci, a kiedy nam się znudzi, pojedziemy we włoskie Alpy albo na Hawaje.

Oboje zdawali sobie sprawę, że wiejska idylla wygląda pięknie tylko na pocztówkach, a im dalej odjadą od wygod cywilizacji, tym bliżej będą nędza, epidemie i fanatyzm religijny. Ale bardzo im się podobała zabawa w „inny świat”, w którym nie istniały ani polityka, ani paszporty, ani przekłete kwestie finansowe. Jakże by było dobrze przemieścić się w dowolny punkt Ziemi, mając pewność, że nikt nie będzie podejrzewał człowieka o szpiegostwo i nie osądzi go za to, że nie chce wierzyć w miejscowe bóstwa! Jakże by było pięknie, gdyby Kitty mogła spokojnie bawić się z miejscowymi dziećmi i nie być prześladowana za „nieprawidłowy” kształt oczu albo „dziwnych” rodziców.

– Teraz najważniejsze to spotkać się z Babłojanem, załatwić przez niego paszport

i wysłać cię do Niemiec – mówił Klim.

– A jak przewiozę nasze dolary? – spytała Nina. – Wyjeżdżających za granicę przeszukują dokładnie i jeśli znajdą przy mnie dużą sumę, nie zdołam wyjaśnić, skąd się wzięła.

Klim poprosił Friedricha, żeby wywiózł pieniądze do Niemiec, ale ten odmówił. Ryzyko było zbyt wielkie – niedawno jednego z lotników przyłapano na przemyśle waluty i skończyło się rozstrzelaniem. Oskarżyli nieszczęśnika o finansowanie kontrewolucji.

W klubie Zakładu Energetycznego imienia Kujbyszewa przygotowywano na cześć otwarcia nowej hali spektakl teatru Niebieska Bluza.

W tle grała orkiestra złożona z instrumentów ludowych, jedni tańczyli, inni tłoczyli się przy bufecie, jako że z okazji święta sprzedawano tam delikatesy – kanapki z parzoną kiełbasą.

Klim już z daleka zauważył Babłojana. Sowiecki dostojnik fotografował się z dyrektcją, stojąc przed wielkim hasłem: „Wspieraj pięciolatkę!”.

– O, towarzysz dziennikarz! – Pomachał do Klima. – Będziecie pisać o naszej twórczości teatralnej? To znakomicie!

Poprosił Rogowa, żeby usiadł z nim w pierwszym rzędzie, skąd wszystko było widać.

– Bardzo interesuję się teatrem, a szczególnie młodzieżowym! – powiedział Babłojan i ze stęknieniem zasiadł w fotelu. – Wiecie, co to takiego „Niebieska Bluza”? To swego rodzaju żywa gazeta. Około połowy robotników jest analfabetami, radio jeszcze się nie upowszechniło, więc trzeba ludziom tłumaczyć, co się dzieje w kraju i na świecie. No i ta trupa jeździ ze spektaklami do przedsiębiorstw.

Przedstawienie było naprawdę ciekawe. Prowadzący poprosił, aby powitać serdecznie „rekiny radzieckiej potęgi gospodarczej”, i na scenę wybiegło sześcioro młodzieńców oraz dziewcząt z rzymskimi tarczami, na których napisano: „Industrializacja”, „Elektryfikacja”, „Racjonalizacja”, „Fordyzacja”, „Standaryzacja” i „Militaryzacja”.

Ryknęła orkiestra i „rekiny” zaczęły przedstawiać pracę maszyn w nowej hali Zakładu Energetycznego.

Babłojan poufale trącił Klima w bok.

– Spójrzcie na Fordyzację! Ładniutka, co? Nazywa się Dunia Odeska.

Klim robił notatki. Za granicą „fordyzację”, to znaczy pracę na taśmie, wyśmiewali wszyscy, poczynając od Charliego Chaplina, a kończąc na ulicznych żebrakach, którzy udawali, że przywykli wykonywać jeden i ten sam ruch, a teraz nie mogą się zatrzymać. A w ZSRS było to wręcz aprobowane – idealny sowiecki człowiek był nie osobą, ale trybikiem w wielkim mechanizmie.

Dunia Odeska dźwięcznie wykrzykiwała wiersze Majakowskiego:

Jednostka!

Co komu po niej?!

*Jednostki głosik
cieńszy od pisku.*

*Do kogo dojdzie?
Ledwie do żony!*

*I to,
jeżeli pochyli się blisko.*

*Partia –
to głosów*

jeden poryw –

*zbity z bezliku
cichych i cienkich,*

pękają

od nich

wrogów zapory,

*jak w huku armat
w uszach*

bębunki!2.

Żadnej liryki, żadnej intymności. Proletariacka sztuka była ponad to, zajmowała się nie marnymi przeżyciami nieważnych ludzi, ale estetyką zorganizowanych mas.

Jednak na koniec artyści dotknęli tematu miłości. Dunia Odeska ubrała się w skórzaną kurtkę, stanęła na trybunie, odgrywając wystąpienie na wiecu. Jej kolega patrzył na nią i wyznawał publiczności swoje uczucia:

– Kocham się w niej bez żadnego politycznego błysku i całymi dniami przepadam w agitce! Nie mam już siły bolszewiczyć!

Ludzie radośnie klaskali.

– To ci zaraza! – wykrzykiwał Babłojan, nie spuszczać oczu z Duni. – Spódniczkę założyła ledwie niżej tyłka, ale jak ją spytasz, cóż to za pokusa, powie, że z niedostatku materiału.

– A teraz słowo wygłosi towarzysz Babłojan! – zapowiedział prowadzący. – Zapraszamy na scenę!

Dostojnik otrzymał takie oklaski, że zupełnie się speszył.

– W czasie, kiedy nad naszym krajem zebrały się chmury burżuazyjnego bojkotu, śmiało możemy rzec, że... ten, tego... No, w ogóle, siła społecznej sztuki wszystko

przezwyćy!

Publiczność nic nie rozumiała z przemówienia, prócz tego, że w kraju są najpiękniejsze dziewczęta, na przykład taka Dunia Odeska. Ale ideologiczna część nikogo nie interesowała. Najważniejsze, że towarzysz Babłojan był swój chłop, prosty i dobry, i od razu widać, że partia w jego osobie troszczy się o potrzeby ludu pracującego.

– Podczas realizacji planu pięcioletniego każdy człowiek pracy będzie otrzymywał wóz drewna na zimę! – obiecał. – Co do nafty, nie musicie się obawiać, nie będzie potrzebna. Władza radziecka zelektryfikuje każdy dom, nawet jeśli będzie to prosty barak.

Po frenetycznej, długiej owacji Babłojan uklonił się i razem ze świtą skierował do wyjścia. A na scenie trwał koncert twórczości amatorskiej.

Klim ledwie złapał dostojnika w korytarzu.

– Mam do was małą prośbę... Pamiętajcie naszą rozmowę o Niemcach?

Babłojan pokazał wzrokiem łazienkę i rzekł do czeladzi:

– Czekaście, zaraz wracam.

W łazience przeciekał kran, krople wody z brzękiem rozbijały się o emaliowany zlew. Przyćmione światło przebijało się przez pomalowane do połowy okno.

– Znaleźliśmy środki i na paszporty, i na fracht – powiedział cicho Klim i opowiedział o Kanadzie oraz o Hildzie Schultz.

Po wysłuchaniu go Babłojan się zamyślił.

– No dobrze... Przynieście mi pieniądze i listy waszych Niemców – powiedział.

– A co w sprawie wywiadu ze Stalinem? Może jednak byście coś zorganizowali?

Babłojan spojrzał, nic nie rozumiejąc, na Klima.

– Po co wam to?

– Nasi czytelnicy chcieliby dostać wyjaśnienie tego, co się dzieje w ZSRS.

– Czytajcie gazetę „Prawda”, tam wszystko jest jasno napisane – uciął Babłojan i wyszedł.

12 Włodzimierz Majakowski, *Lenin* (przekład Adam Ważyk).

Ałow pojawił się zawczasu w klubie Zakładu Energetycznego i długo stał obok Rogowa – cichy, niepozorny w swojej czapce, spranej koszuli i spodniach firmy Moskwosejja.

To, że Rogow usiadł przy towarzyszu Babłojanie, było bardzo interesujące. Cóż ich mogło łączyć?

Ale bardzo szybko Ałow porzucił myśli o pracy. Dunia – jego Dunia – prowadziła się na scenie bardzo nieprzyzwoicie.

Ałow od dawna chodził na jej występy i mówił żonie, że całkowicie jej ufa. Ale okazało się, że nie powinien tego robić. Po pierwsze, jakiś chłopak nosił ją na ramionach, a to oznaczało, że dotykała jego karku pewnym miejscem. Po drugie, Dunia zadzierała nogi podczas tańca obrabiarek, a po trzecie, wychodziła na scenę w bardzo zwiewnej tunice, która zwyczajnie mogła się z niej zsunąć. Ałow wyobraził to sobie i skulił się z przerażenia. Nie przeżyłby takiego wstydu.

Ale najgorsze było przed nim. Towarzysz Babłojan przy wszystkich zaczął chwalić urodę Duni! Ałow doskonale wiedział, że to babiarz, jakiego świat nie widział. A może ma oko na Dunię?

Kiedy Rogow wyszedł z sali za Babłojanem, Ałow podążył jego śladem.

Oho, zamknęli się w toalecie...

Świta cierpliwie czekała na Babłojana, ten wreszcie wyszedł i skierował się do westybulu. Ałow patrzył na niego z bezsilną złością. Choćby człowiek był i trzy razy czekistą, cóż może poradzić przeciwko członkowi Centralnego Komitetu Wykonawczego? Tacy nie podlegają ani prawu, ani moralności, po prostu biorą, co im się podoba.

Rogow też wyszedł z łazienki. Ałow podbiegł do niego i wyjął legitymację służbową.

– O czym rozmawialiście z Babłojanem?

Stali pośrodku pustego korytarza i z napięciem patrzyli sobie w oczy.

– Moje kierownictwo żąda, żebym przeprowadził wywiad z towarzyszem Stalinem – powiedział wreszcie Rogow. – Zwróciłem się do Babłojana o pomoc, ale odpowiedział, że nic nie może zrobić.

– To wszystko, o czym rozmawialiście? – spytał z niedowierzaniem Ałow.

– No... Mówiliśmy jeszcze o aktorkach.

– A których dokładnie?

– Tych z przedstawienia. Towarzyszowi Babłojanowi bardzo się podoba Dunia Odeska.

Ałow wyjął zza mankietu różaniec i zaczął szybko przesuwając paciorki.

Rogow był wystrojonym burżuazyjnym chłystkiem, któremu się wydawało, że ma prawo obgadywać kobiety i żądać wywiadu z samym Stalinem.

– Przepraszam, czas na mnie – powiedział dziennikarz.

Ten typ nie odczuwał najmniejszego respektu przed OGPU i zdaje się, nie rozumiał, że wystarczy jedno pstryknięcie palców Ałowa, aby został deportowany z ZSRS z anulowaną wizą.

Ałow z trudem wziął się w garść, zmusił się do spokojnego, uprzejmego tonu:

– Chcielibyśmy bardzo spotkać się z kobietą o nazwisku Nina Kupina. Nie wiecie, gdzie jej szukać?

Rogow wzruszył ramionami.

– Nie mam bladego pojęcia. Poznaliśmy się na kursie dla kierowców.

– Nie kłamcie. Kilka miesięcy temu interesowaliście się miejscem pobytu tej osoby.

Twarz Rogowa mówiła jasno, że nie oczekiwał po OGPU takiej dogłębnej wiedzy.

– Co powiecie? – spytał Ałow jadowicie słodkim głosem.

Rogow się skrzywił, jakby miał przed sobą nie przedstawiciela władzy, lecz byle żebraka, który zabiera czas bardzo zajętemu człowiekowi.

– To przesłuchanie? – wycedził sucho.

– Nie, to propozycja współpracy. Kto wie, kiedy przyda się wam przyjaźń z OGPU?

– Wszystkiego dobrego życzę.

Rogow odszedł, nie podając ręki czekaście.

Już ja ci się przypomnę! – pomyślał Ałow. Czego jak czego, ale braku szacunku nigdy nie wybaczał.

Rozdział 31

Sołowiecka katorga

Pasport na nazwisko Hildy Schultz został wydany i Klim od razu kupił Ninie bilet do Berlina. Chwała Bogu, na pociągi międzynarodowe kolejek nie było.

Jechał do Sałtykówki, wyobrażając sobie, jak Nina wyjdzie mu na spotkanie i zacznie niecierpliwie dopytywać, co i jak się udało załatwić. A on z początku uda zafrasowanego, żeby ją trochę podrażnić, a dopiero potem pokaże trofeum.

Nina cieszyła się z dobrych wieści jak dziewczynka, wzdychając z zachwytu i tańcząc, dlatego stanowiło wielką przyjemność robić jej niespodzianki.

Ale wbrew zwyczajowi otworzyła mu nie Nina, lecz hrabina Biełowa. Na twarzy miała wypisane przerażenie, brwi uniesione.

– Co się stało? – spytał Klim, czując, jak w serce wkrada mu się lód.

– Elkin do nas przyjechał – odparła hrabina strasznym szeptem.

Klim wszedł za nią do małej kuchni obwieszanej wiankami suszonych grzybów i zatrzymał się, patrząc na siedzącego przy oknie człowieka.

Był tak wychudzony, że kości ramion sterczały spod materiału brudnej bluzy wojskowej. Krótko ostrzyżone włosy i zarost były zupełnie siwe, a twarz poorały głębokie zmarszczki. Klim zarazem poznawał i nie poznawał Elkina. Trudno było uwierzyć, że przez parę miesięcy człowiek może się tak postarzeć.

Elkin uśmiechnął się i Rogow zobaczył, że po lewej stronie szczęki nie ma ani jednego zęba.

– Dorwali mnie, ale udało mi się uciec.

Do kuchni weszła Nina z koromysłem na ramieniu, postawiła wiadra na ławie.

– Zaraz zagrzejemy wody i będzie się mógł pan umyć – zakrzętała się hrabina.

Nina skinęła Klimowi głową i razem z gospodynią zaczęły rozpalać piec. Ani dzień dobry, ani żegnaj... Zupełnie jakby obawiała się urazić gościa, okazując mężowi zbyt wiele uwagi.

– Aresztowali pana? – zapytał Elkina.

Ten potwierdził niechętnie.

– Do Teodozji przysłano rozporządzenie, żeby znaleźć i posadzić nepmanów, burżujów i inny taki niedobity element. Tamtejsze naczalstwo znało mnie osobiście, przecież złożyłem im samochód, więc nawet nie musieli szukać.

– Postawiono panu jakiegokolwiek zarzuty?

– Jakie tam zarzuty, do diabła! – odezwała się Nina. – Bolszewicy potrzebują darmowej siły roboczej, niczego nie rozumieją z racjonalizacji produkcji, mają takie przestoje, że nie wystarcza pieniędzy na wynagrodzenia. Dlatego szukają niewolników, którzy będą walić las na Sołowkach i wydobywać surowce w kopalniach.

Nina wstawiła w piec wielki sagan z wodą i zamknęła go żelaznym szybrem. Jej ruchy były ostre, jakby chciała coś chwycić i rozbić w drobny mak.

Klim znów się zwrócił do Elkina:

– Czyli wysłali pana na Wyspy Sołowieckie? Jak zdołał pan uciec?

– Z Sołowków nie da się zbiec, leżą na Morzu Białym – odparł ponuro Elkin. – Ale mnie tam nie dowieźli, uciekłem z obozu przejściowego w Kiemie.

Klim poczuł mrowienie na plecach. W ZSRS wszyscy wiedzieli o północnych obozach pracy, ale nie były to nigdy dokładniejsze informacje.

– Mogę zrobić z panem wywiad? Ta historia zainteresuje redakcję United Press.

Elkin spojrzał na niego drwiąco.

– Co, z miejsca poczuł pan grosz w kieszeni?

– Po prostu chciałem się dowiedzieć...

– Mnie, panie Rogow, nie zostało już nic, prócz tej historii, i sprzedam ją temu, kto więcej zapłaci. Muszę wyrwać się z naszej wspaniałej ojczyzny, a nielegalna podróż do Polski, jeśli chce pan wiedzieć, kosztuje trzysta rubli.

– Damy panu pieniądze! – wykrzyknęła gorąco Nina. – A po przedarciu się przez granicę może pan zebrać dziennikarzy i potargować się o honorarium za wywiad.

Zdawało się, że ani jej, ani hrabinie nie przeszkadzało, że Elkin właśnie obraził Klimę, zarzucając mu chęć żerowania na cudzym nieszczęściu.

Gospodyni spojrzała na zegar ścienny.

– Trzeba ugotować ziemniaków, bo dzieci niedługo wrócą ze szkoły.

Nina pobiegła na dwór, do spiżarki, a Klim podążył za nią.

Kobieta otworzyła pokrywę na ziemiance i zaczęła schodzić.

– Nina... – powiedział Klim. – Nawet nie zapytałaś o paszport. Przywiozłem go.

Podniosła na niego błędne spojrzenie.

– Tak, dziękuję.

Żadnych tańców zwycięstwa nie mógł się spodziewać. Stał nad otwartą jamą piwnicy, wdychając grobowy zapach ziemi i rozpadu.

– Nie musisz dziękować.

Nina wyszła z wiaderkiem drobnych, pokrytych oczkami ziemniaków.

– Rozumiem, że przyjaźnisz się z Elkinem – zaczął Klim – ale chciałbym, żebyś wiedziała... Po tym, jak zafrachtujesz statek dla Niemców, nie zostanie nam pieniędzy na życie. Ja prawie nie mówię po niemiecku i nie dam rady znaleźć tam pracy. Mój przyjaciel Seibert jest znanym w Niemczech dziennikarzem, ale i on drukuje tylko od czasu do czasu... Mogę mówić otwarcie?

– Tak, oczywiście – odpowiedziała Nina. Miała bladą, nieszczęśliwą twarz. Kędzierzawe kosmyki wysunęły się z grzebienia i zwisły wzdłuż policzków.

– Robię wszystko, co w mojej mocy, żebyśmy mogli się dogadać – rzekł Klim. – Ale ty masz wciąż zupełnie inne cele. Jakichś Elkinów, jakieś przebijania się do Polski...

Nina spuściła wzrok.

– Chcę mu pomóc, bo równie dobrze mogłabym się znaleźć na jego miejscu. Bolszewicy to współczesna Złota Orda. Urządzają sobie napaści na spokojnych ludzi i obracają ich w niewolników. Jeśli trafisz do wyrębu lasu albo na jakąś wielką budowę, nie ma drogi powrotnej, pokaleczą cię fizycznie i złamią charakter... Wyobraziłam sobie, co by się ze mną stało, gdyby mnie złapali. A przecież może się to stać w każdej chwili! W kim można by pokładać nadzieję? Tylko w dobrych ludziach! Elkin też ma nadzieję.

Nina westchnęła i objęła Klimę.

– Jeżeli robię coś niezrozumiałego, to nie po to, żeby nam zaszkodzić. Po prostu miej do mnie zaufanie!

Klim przytulił Ninę. Problem polegał na tym, że nie mógł, po prostu nie mógł jej zaufać. Urządził sobie raj w ciasnym i marnym szałasie. Jeden nieostrożny ruch, jedno silne uderzenie wiatru, a wszystkie wsporniki popękają. Co ich czekało? Zazdrość i podejrzliwość, a nie zachody słońca z wodospadami.

– Jeżeli dam Elkinowi pieniądze na drogę, będzie lepiej dla wszystkich – powiedziała Nina. – Tylko on zdoła wywieźć nasze dolary za granicę, spotkam się z nim w Berlinie i zapłacimy za statek.

– Rób, jak uważasz – westchnął Klim i wyjął z kieszeni *Księgę Umarłych*. – To mój dziennik. Przeczytaj go, a potem spal. I tak nie mogę wziąć go ze sobą do Niemiec, bo celnicy rekwirują pasażerom cały druk i rękopisy, jeśli nie przeszły przez cenzurę.

– Wpuszczasz mnie do świątyni świątyni? – zdziwiła się Nina.

– Musimy wreszcie nauczyć się siebie nawzajem. Trzeba więc dzielić się także najbardziej bolesnymi sprawami.

– Chcesz, żebym ci opowiedziała wszystko o Oscarze? – spytała.

– Odłożmy sobie tę atrakcję do roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego. Kiedy się zbliżysz do osiemdziesiątki, przestanę się może obawiać, że mi uciekniesz, i będę gotów na twoją spowiedź.

Księga Umarłych

Zapisek uczyniony ręką Niny

Wybacz, że nie jestem w stanie zniszczyć Twojego dziennika i spróbuję go przemycić do Niemiec. Przeczytam Ci go, kiedy będę miała osiemdziesiąt lat i będziesz mnie wyklinał za Oscara Reicha. Do tego czasu dopadnie nas skleroza i nie będę miała czym Cię zawstydzić, a tak zyskam dowód, że oboje jesteśmy dobrzy.

Kartka z zeszytu, włożona w Księgę Umarłych

Zapisek uczyniony ręką Niny

Jutro Elkin wyjeżdża do Mińska. Po przemyśleniu zdecydował się opowiedzieć mi swoją historię jako podziękowanie za pieniądze na drogę.

Zapisuję, jak umiem:

Po dwóch czy trzech dniach, bez jakiegokolwiek procesu sądowego, Elkin został skazany na dziesięć lat katorgi i wysłany na północ.

Czekiści opracowali już cały system – nowych skazańców dowożą eszelonami na stację w Kiemie, a stąd gonią jak bydło do obozu przejściowego na brzegu Morza Białego. Nazywają ich „uzupełnieniami”, zupełnie jak na froncie, i nikt nie ukrywa, że mają zastąpić zmarłych.

Obóz przejściowy to teren otoczony płotem i drutem kolczastym. Znajduje się tam dwadzieścia baraków, w których stale przebywa około półtora tysiąca ludzi. Wszyscy oni żyją w strasznej ciasnocie i śpią na długich narach z desek. W końcu baraku jest pakamera strażników. Oni też są więźniami. Byli niegdyś zatrudnieni w OGPU, a zesłano ich za przewinienia służbowe. Z całego kierownictwa wolnymi pracownikami okazali się tylko naczelnik i jego dwaj zastępcy.

Sowiecki system obozów jest tak zorganizowany, że katorżnicy walczą o przywileje, a nie o wolność – zdaje im się, że to łatwiej zdobyć. Właśnie dlatego nikt ze strażników nie próbuje uciec ani zwrócić broni przeciw swoim ciemiężcom.

Jeśli znalazłeś się na katordze jako nadzorca, będziesz spał na oddzielnej pryczy, jadł z osobnego kotła, a czasem dostaniesz nawet półkożuszek. Nie będą cię godzinami trzymać na wietrze podczas apelów i nie poślą wyławiać z morza pni, przygnanych z wysp. Dyscyplina w obozie opiera się na strachu, że pozbawią cię ogrzewania, jedzenia, odpoczynku i w ogóle całego tego marnego poczucia bezpieczeństwa.

Elkin przybył do obozu w sierpniu i od razu zrozumiał, że jeśli wyślą go dalej, na wyspy do pracy przy wyrębie albo na torfowiskach, na pewno nie wróci żywy. Drog tam nie ma, koni też, a wszelkie ciężary noszą CZWOKI, czyli „czasowo wypełniający obowiązki koni”.

Życie ludzkie na Sołowkach nie jest więcej warte od życia komara, ale zanim umrą od chorób i wycieńczenia, więźniowie powinni Sowiecom przynieść jak największą korzyść – zarobić potem i krwią parę niemieckich marek albo francuskich franków, jako że drewno i torf idą na eksport.

Elkin widział kilka razy pnie, na których razem ze znakami Eksportlasu ciemniały napisy wymalowane krwią: „Nas tu mordują!”. Cóż za szczyt rozpacz – pisać po rosyjsku do nieznanych pilarzy w Niemczech lub Francji! Kto z nich będzie odszyfrowywał obce zawijasy? A gdyby nawet, to jak Niemcy czy Francuzi zdołaliby pomóc sowieckim niewolnikom?

Na śniadanie łągiernicy dostają wrzątek z chlebem, na obiad zupę z rozgotowanych warzyw, kolacja to kasza na wodzie. Wszy mają wszyscy bez wyjątku, choruje co drugi, a dolegliwości obejmują cały wachlarz cierpień – od szkorbutu po obłąd. Jedyne, co może człowieka uratować, to urządzić się w kancelarii, łaźni albo kuchni, ale o te miejsca walczą na śmierć i życie przestępcy, zwyciężając oczywiście inteligencję z „kontry”.

Naczalstwo każdego dnia deprawuje i łamie dusze więźniów. Jeśli doniesiesz na sąsiada, dostaniesz dodatkowy przydział chleba, jeżeli zechcesz zostać oprawcą, nie będą cię wysyłać na spław drzewa. Donosiciel może dosłużyć się walonek.

Jeśli nie będziesz miał ciepłej odzieży, to już w listopadzie odmrozisz sobie ręce i nogi, a to pewna śmierć od gangreny, dlatego że nie ma nawet kto przeprowadzać amputacji.

W obozie przejściowym bije się wszystkich, żeby człowiek od razu zrozumiał, co mu grozi w razie nieposłuszeństwa. Wielu ginie już od samego lania – łamią im żebra i uszkodzają organy wewnętrzne. Elkinowi się udało, bo stracił tylko połowę zębów.

Uciekać trzeba było niezwłocznie, zanim zaczną się chłody. Elkin namówił więc na tę awanturę drugiego zesłańca, młodego i silnego chłopaka.

Kiedy ich skierowano do lasu, żeby zgromadzili materiały do produkcji mioteł, napadli na konwojenta, przywiązali go do drzewa, zabrali mu mundur i broń. Szli przez trzydzieści pięć dni wzdłuż torów kolejowych, nie mając odwagi zbliżyć się do ludzkich siedzib. Wiedzieli, że chłopci bez wahania ich wydadzą. Nagroda za pojmanie zbiegów była bardzo kusząca – dziesięć pudów zboża.

Elkin, choć inteligent, chcąc nie chcąc, zmienił się w zbója. Przecież musieli coś jeść. Weszli więc do pewnej wioski i oznajmili, że przeprowadzą przeszukanie i konfiskatę nadmiarów. Przewodniczący rady wiejskiej wykupił się workiem z żywnością i uciekinierzy znów skryli się w lesie.

Powtórzyło się to kilka razy, dopóki nie obrabowali rachmistrza, który wiózł należność za odstawione masło. Wtedy podzielili się pieniędzmi i rozeszli. Elkin pojechał do Moskwy, a jego towarzysz postanowił przejść do Finlandii.

Po kilku dniach Elkin przeczytał w gazecie, że jego druha zastrzelono podczas obławy.

Pieniądze na fracht Nina zaszyła w kurtce Elkina, a Biełowowie dali mu torbę z prowiantem.

Żeby nie zwracać zbytnej uwagi, tylko Nina poszła go odprowadzić.

– Wyjeżdżam jutro i na pewno przyjadę do Berlina kilka dni przed panem – powiedziała. – A pan musi jeszcze wymyślić, jak przejechać z Polski do Niemiec. Poczynając od szóstego listopada, będę przychodzić na dworzec w południe i czekać pod główną tablicą.

Wszystko układało się o wiele lepiej, niż Elkin mógł przypuszczać. Dzięki Ninie udało mu się od razu zdobyć pieniądze i bilet kolejowy do Mińska. Ale czuł przy tym, że wszyscy są zadowoleni z jego odjazdu – Biełowowie obawiali się, że przez Elkina mogą ich aresztować, a Nina nie chciała drażnić Rogowa.

Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się taki samotny.

Ninie było wstyd przed nim i wciąż mówiła o tym, że w Niemczech czeka go świetlana przyszłość.

– Stanie pan na nogi i znów zbuduje automobil! Taki talent ceni się w Europie na wagę złota.

Ale Elkinowi nic już się nie chciało. Po pierwszym rozboju, kiedy maleńki brodaty chłop padł mu do stóp i zaczął zawodzić: „Ojczye rodzony, oszczędź!”, coś w inżynierze umarło. Zrozumiał, że zmienił się w jednego z tych, którzy mordują i grabią.

Jeśli wyłączyć różnych psychopatów, nikt nie czynił zła dla niego samego, każdy miał jakiś powód. Zło pomagało przeżyć nie tylko w obozie, ale też na wojnie, dlatego w tę pułapkę wpadali wszyscy, nawet Nina, która zrabowała wielką sumę, a teraz ukrywała się przed wydziałem kryminalnym.

Kto więc tworzy zło? – myślał Elkin. – Wszyscy je tworzymy, każdy po troszeczkę.

Szli z Niną obok pozamykanych na zimę dacz. Nad głową mieli szare niebo, wzdłuż płotów rudą trawę, na zakręcie stał zardzewiały drogowskaz z napisem „Strzeż się pociągu!”.

– Kto przeprowadzi pana przez granicę? – spytała Nina i przeskoczyła przez wielką, rozlewającą się na pół drogi kałużę. – To przemytnicy, prawda? Dobrze ich pan zna?

– Pracowaliśmy razem – odparł Elkin. – Zamawiałem u nich coś do Moskiewskiej Sawanny, ale niechętnie brali się za mój towar. Książka to rzecz ciężka, a zysk z niej mniejszy niż z pudru czy rękawiczek.

Ledwie zdążyli na pociąg, który zatrzymywał się tylko na dwie minuty.

– Niech pana Bóg prowadzi! – powiedziała Nina, obejmując przyjaciela. – Wszystko będzie dobrze u pana i u nas.

Zadziwiająca kobieta! Jakkolwiek źle by się z nią życie obchodziło, zawsze umiała spaść jak kot na cztery łapy. I tego samego oczekiwała od innych.

Oto Rosja właśnie – pomyślał Elkin ze smutną czułością. – Zdumiewająca

żywołność i umiejętność przystosowania się do wszystkiego na świecie.

Spojrzał jakby ostatni raz na zarumienioną ze wzruszenia twarz Niny i trzymał ją za rękę, nie chcąc wypuścić ze swojej szorstkiej, pogrubiłej dłoni.

Rozległ się gwizdek i pociąg ruszył. Z otwartego okna dobiegła pieśń:

*Step wokół i step,
Do drogi daleko tak...*

– Do widzenia! – powiedział Elkin, chwycił poręcz i wskoczył na stopień.

Pociąg potoczył się obok ponurych domków, ogołoconych z liści zagajników i bezkresnych pól.

Nie ma czego żałować – myślał Elkin. – Wszystko idzie tak, jak szło zawsze, od wieków. Rosja to step: co kilkadziesiąt lat wydaje z siebie najżyźniejszą warstwę gleby, ale nadciągają huragany, rozbijają ją w pył i unoszą do innych krajów. Taka już rola stepu, żeby rodzić świeży wiatr i przynosić nowe ziarna.

W Mińsku poraziła Elkina liczba dobrze ubranych ludzi. To tu, to tam migają barwne szale, nowe półkożuszki, a czasem też pilśniowe kapelusze. Od razu się wyczuwało, że granica biegnie niedaleko, a handel wręcz kwitnie.

Na świeżym śniegu widać było mnogość śladów zostawionych przez damskie buciki. Elkin patrzył na nie z przyjemnością – ileż lat nie widział takich cudów w Moskwie!

Tłum kipiał językami – rosyjskim, białoruskim i polskim. Domy były drewniane, jak w Rosji, ale dachy na polską modłę pokrywała czerwona i czarna dachówka. Jeźdnie połyskiwały krągłymi kostkami brukowymi, trzepotały na wietrze plakaty namalowane z okazji kolejnej rocznicy rewolucji październikowej. Na ławeczce siedzieli obok siebie czerwonoarmiści i szacowni Żydzi z pejsami.

Elkin po krótkich poszukiwaniach dotarł do Niemigi, wąskiej uliczki zabudowanej niewysokimi domami z mieszkaniami na górze, a zapchanymi towarami sklepikami na parterze.

Odnalazł szukany budynek i zastukał w obite ceratą drzwi.

Wyszedł do niego krótko ostrzyżony czarnooki chłopak ze skrzywionym podbródkiem.

– Czago ciabie treba? – zapytał po białorusku.

– Mnie by do Rygora – odpowiedział Elkin, naśladowując miejscową wymowę.

Chłopak zlustrował okolicę, po czym zamknął drzwi i zaprowadził gościa do pokoju, po sufit zastawionego skrzynkami z towarami.

– Siadaj tu – rozkazał przewodnik, po czym zniknął w pokojach z tyłu.

Elkin czekał ponad godzinę, aż wreszcie nie wytrzymał i wyszedł na korytarz. Na piętro prowadziły wąskie żeliwne schody, dolatywały stamtąd głosy mówiące po polsku:

– Magazyn skonfiskowany, nic nie zostało. Co mamy w ogóle?

– Wełnę w paski na spodnie, francuski markizet, aksamit papierowy i półjedwabny, sukno gwardyjskie...

Polacy na całego korzystali z bolszewickich eksperymentów – gdy tylko w sowietach zaczęły zniknąć towary, kontrabanda rozkwitła. W polskich wsiach przygranicznych produkowali tusz do rżęs, szyli biustonosze z marnego sztucznego jedwabiu i drukowali nawet fałszywe blankiety listów przewozowych dla różnych instytucji. Marna jakość wyrobów nikomu nie przeszkadzała, i tak była o wiele wyższa niż w ZSRS.

Wreszcie na schodach zadudniły kroki i na dół zszedł Rygor, gruby mężczyzna z kudłatą bródką.

– Kogóż to ja widzę! – zawołał po rosyjsku. – Jakie bogi przygnały?

Elkin wyjaśnił, że musi pilnie dostać się do Polski.

Rygor podrapał się w zadumie za uchem.

– Jak chcesz, możesz nawet dzisiaj ruszać. Ale muszę cię uprzedzić, że na granicy strzelają.

– Czemu? – przestraszył się Elkin.

– Moskale się srożą! Rozpętali wojnę z kułakami, cholera im w bok, a chłopci swojego oddać nie chcą i chowają się po lasach. Naród u nas zuchwały, broni wszędzie pełno, została jeszcze po ostatniej wojnie, więc partyzanci rzną czerwonych jak świnie, a przed obławami uciekają na polską stronę. Mój znajomy, Piotruś Kamczatka, dzisiaj w nocy idzie tam i może cię zabrać.

Wedle słów Rygora, Piotruś był doświadczonym przemytnikiem.

– Już trzy lata nosi do Polski złoto i różne dzieła sztuki, a stamtąd dostarcza rozmaity towar. Jak chcesz, to mikroskopy, a jak zechcesz, to papier toaletowy Priscilla. Silny jest jak diabli. Kiedyś kazali mu przenieść przez granicę babkę inwalidkę. I jak myślisz? Przetaszczył starą na własnym garbie!

Za pośrednictwo Rygor zażądał stu rubli.

– Bój się Boga! – zachnął się Elkin. – Nie mam tyle!

– Skoro z ciebie taki proletariusz, co nie ma nic, to siedź w domu. – Rygor wzruszył ramionami.

Elkin z bólem serca dał mu pieniądze. Teraz nie miał dość na wynagrodzenie dla przewodnika.

– Dzisiaj kto ma głowę na karku, wyprzedaje wszystko i ucieka z Sowdepii – powiedział Rygor. – Piotruś doprowadzi cię do Rakowa. To, można powiedzieć, stolica naszych przemytników. Za jakieś dwa tygodnie też się tam udam. Raków to dobre miasto. Na siedem tysięcy mieszkańców są tam sto trzydzieści cztery sklepy, dziewięćdziesiąt sześć restauracji i cztery oficjalne burdele.

Ten sam chłopak, który wpuścił go do Rygora, Aleś, zawiózł Elkina do przygranicznej wioski.

Jechali długo, droga była kiepska. Nocą ścisnął mróz, więc niemiłosiernie trzęsło na grudzie.

Elkin próbował podpytać Alesia o przemysłowe sprawy na granicy, ale ten tylko krzywił się i spluwał na ziemię.

– Piatruś już powia.

Całą drogę śpiewał pieśni o Moskalach, co to zrobili granicę, nie pytając o nic miejscowych chłopów, i o gniewie ludu, który prędzej czy później obróci się przeciwko cudzoziemcom. Białorusini już wiele lat żyli między młotem a kowadłem, bo zarówno Rosjanie, jak i Polacy prowadzili wojska przez ich ziemie.

Elkin czuł, że Aleś jego też uważa za Moskala, to znaczy wroga, i nie mogło mu się pomieścić w głowie, jak można obwiniać człowieka za grzechy, których istnienia nawet nie podejrzewał. Ale dla Alesia niewiedza o nieszczęściach Białorusi równoznaczna była z aprobatą niesprawiedliwości.

Do wsi dotarli dopiero wieczorem.

Elkin z trwogą spoglądał na obite deskami domy z niebieskimi obramowaniami. Na słomianych dachach leżał śnieg, z kominów unosiły się krzywe słupy dymu.

Aleś zaprowadził konia na podwórze ogrodzone płotem z żerdzi.

– Złaż – nakazał Elkinowi.

Kuląc się z zimna, Rosjanin zeskoczył na ziemię, a pod jego nogami chrupnął lód na kałuży.

Wyszła do nich staruszka w kraciastej spódnicy i narzuconej na ramiona kufajce. Mówili szybko po białorusku, a Elkin zrozumiał tylko jedno: Aleś zaraz pojedzie dalej, a on zostanie, żeby poczekać na Piotrusia.

Stara zaprowadziła Elkina do domu. Powietrze w izbie było gorące i zadymione. Przy wielkim piecu sadowiły się na nocleg kury.

– Czago kurtki nie zdajmiesz? – zapytała gospodyni, kiedy Elkin usiadł zmęczony na ławie.

Wstrząsnął ramionami.

– Zimno. Nie mogę się rozgrzać.

Po rozmowach z Alesiem ogarnęły go złe przeczucia. Dokąd go zaniósł? Kim są ci ludzie? Można im wierzyć?

Chwała Bogu, babka okazała się towarzyska i dobra, nawet poczęstowała Elkina chlebem. W odróżnieniu od Alesia ją bardziej niepokoił Polacy niż Moskale. Wspominała poprzednią wojnę, mówiła, że kiedy przychodzili Niemcy, nikogo nie ruszali, ale przed Polakami nie było ratunku: zabierali zwierzęta, a jeśli ktoś zaprotestował

choć słowem, siekli wiklinowymi prętami.

To właśnie pograniczne życie – myślał Elkin. – Z jednej strony o wiele większe możliwości handlu, ale z drugiej każdy chciałby zedrzeć z ciebie siódmą skórę.

Od ciepła i sytości Elkina zmorzyło, co chwila tarł oczy, starając się nie zasnąć przy stole.

Na piecu ktoś się poruszył i na ziemię zeskoczył wielki chłop w spranej bluzie wojskowej. Ziewnął, przeciąg-nął się, przeżegnał w stronę wiszącej w kącie ikony.

– Grosz przyniosłeś?

Elkin musiał wziąć dolary z depozytu Niny. Podobnie jak Rygor, Piotruś nie zamierzał się targować i zażądał nie mniej niż trzysta rubli.

– Wywozisz amerykańską walutę? – Uśmiechnął się, oglądając pod światło studolarowy banknot. – No dobrze, niedługo pójdziemy. Na rano staniemy w Rakowie.

Elkin nie spodziewał się, że przejście przez nocny las stanie się dla niego takim koszmarem. Całe jego jestestwo protestowało przeciwko temu, pamiętając o strasznej tułaczce po ucieczce z obozu.

Już nigdy nie będę chodził spokojnie po lesie – myślał przerażony.

Trzeba było jednak iść naprzód, przechodzić przez zwalone pnie, spuszczać się w niezbyt głębokie parowy i obchodzić gęste młodniki.

Elkin nie miał pojęcia, jak Piotruś orientuje się w gęstym mroku. Niebo zasłoniły chmury, trudno było dostrzec nawet sylwetkę przewodnika przed sobą. W krzakach coś się ruszało, odzywały się nocne ptaki, a z gałęzi na czapkę i plecy co rusz spadały ciężkie krople.

Kilka razy Elkin ślizgał się i padał w śnieg. A wtedy Piotruś kłął go szeptem. Powinni odejść jak najdalej przed zmianą posterunków.

Na Krymie Elkin mógł całymi dniami chodzić bez odpoczynku po górach, a teraz kłuło go w boku, kolano chrupało, huczało w uszach.

A co, jeśli nie dojdę? – myślał. – Co, jeśli siły się wyczerpią i po prostu padnę?

Od czasu do czasu czuł schowane na piersi pieniądze. Piotruś powiedział, że jeśli pogranicznicy złowią człowieka z towarem, mogą go wypuścić za okup: na czatach płacili i karmili marnie, żołnierze bardzo się cieszyli, kiedy wpadł im w łapy przemytnik. Ale jeżeli ktoś szedł z bronią lub pieniędzmi, to była pewna śmierć. Takich uznawano za dywersantów.

Elkin potknął się o korzeń i padł na płask. Leżał przez pewien czas nieruchomo, próbując opanować ostry ból w ręce. Złamał kość czy tylko mocno uderzył się o sęk?

Podniósł się na czworaki, wsłuchał w odgłosy lasu. Ale dookoła panowała absolutna cisza, tylko wysoko nad głową szumiały stuletnie sosny.

– Piotruś, gdzie jesteś? – zawołał cicho.

Ogarnęła go panika. Dokąd iść? Gdzie się w ogóle znalazł? Wciąż jeszcze jest po sowieckiej stronie czy już po polskiej?

Coś ciężkiego uderzyło Elkina w skroń, runął w śnieg.

Rozdział 32

Stacja Niehorele

Pociąg z Moskwy do Berlina tak naprawdę jechał tylko do przygranicznej stacji Niehorele, a tam pasażerowie musieli się przesiadać do innych wagonów. Rozstaw szyn torów kolei europejskiej i sowieckiej był różny. Tak wymyślono jeszcze za cara, żeby w razie wojny wróg nie mógł sprawnie radzić sobie z zaopatrzeniem wojsk.

Za Niehorelem zaczynała się *terra incognita*, ziemia nieznana, o której zwykły sowiecki człowiek praktycznie nic nie wiedział. Sam fakt, że ktoś znalazł się w tym pociągu, mógł zdawać się cudem. Tylko wyjątkowo szczęśliwi wybrańcy losu mieli prawo siedzieć w tych czyściutkich wagonach, denerwować się, planować przyszłość i z duszą na ramieniu odliczać godziny do wymarzonej granicy.

Cały bagaż Niny mieścił się w jednym koszu. Miała tam zmianę bielizny i woreczek z przyborami toaletowymi. Obok niego umieściła garnuszek, który dostała od Sławy, a w nim wiozła trochę popiołu. Celnikom zamierzała wyjaśnić, że to prochy niedawno skremowanej babki, która chciała, aby je rozrzucić na niemieckiej ziemi. To, co cenne, znajdowało się w glinianej pokrywce wykonanej przez samą Ninę. Umieściła w niej dziennik Klima.

Całą drogę do Niehorela sztywniała ze strachu. Bo co będzie, jeśli czepliwy urzędnik zacznie dopytywać, dlaczego pokrywka nie pasuje do garnka? Teraz Nina żałowała swojej sentymentalności. Głupio było narażać się na niebezpieczeństwo przez idiotyczny notes! Ale nie potrafiła rozstać się z *Księgą Umarłych* – to była jedyna namacalna nitka wiążąca ją z Klimem.

Kiedy ostatnim razem przyjechał do Sałykówki, długo siedzieli objęci w gabinecie Bielowa. Klim pocałował Ninę w czoło i powiedział cicho:

– Zrobiłem wróżbę. Jeżeli zdołamy wyzwolić naszych Niemców, to odkupimy dawne grzechy i będzie z nami wszystko dobrze.

Czasami Ninie wydawało się, że to niemożliwe. Ludzie, u których było „wszystko dobrze”, wyglądali zupełnie inaczej. Mogła przejść po wagonach i przypatrzeć się im:

Oto duński inżynier wraca z delegacji. Oto młoda kobieta wiezie dzieci do męża zatrudnionego w berlińskiej delegaturze. Oto hałaśliwa kompania amerykańskich turystów, którzy napatrzyli się już na Związek Sowiecki, a teraz chcą zobaczyć Czechosłowację.

W przedziale z Niną jechali artyści zdążający na międzynarodową wystawę sztuki proletariackiej. Bez końca pili piwo i omawiali sprawy zawodowe.

– Namalowałem w oleju babę – mówił brodaty chłopak o szerokiej twarzy. – Chciałem ją sprzedać do Komisariatu Oświaty, ale oni nie biorą bez ideowego tytułu. Baba świetna, szkoda, gdyby przepadła... Piers u niej, że hej! – Artysta pokazał na sobie odpowiednie proporcje.

Koledzy jeden przez drugiego podpowiadali mu ideologiczne hasła:

– A może *Proletariuszka*? Albo *Córka robotnika*?

– Nie, chłopaki, nie pasuje. Lepiej *Komsomolka broni własną piersią idealów*

komunizmu.

– Ale tam nie ma żadnych ideałów! – westchnął brodac.

– Bo ich nie widać po prostu. Baba je piersiami zasłoniła.

Artyści zarechotali.

Ci ludzie mieli przed sobą przyszłość i nadzieję. Wspominali, jak u znanego malarza, Isaaka Brodskiego, zamówiono sześćdziesiąt kopii obrazu *Rozstrzelanie bakijskich komisarzy*, i marzyli o takim sukcesie.

A marzenia Niny były o wiele prostsze – żeby ich z Klimem nie aresztowali i nie zabili.

Całe osiemnaście godzin Nina przeleżała na swojej górnej półce. Za oknami migają pnie sosen, podobne do rzędów żółtych ołówków, w parowach białe płachty śniegu. Ciemnozielony las, szare dachy, czarne ogródki i znów las...

Wreszcie o piątej po południu pociąg przyjechał do Niehorela. Pasażerowie zakrzętnęli się, ale minęło sporo czasu, zanim pogranicznicy sprawdzili paszporty i pozwolili wszystkim przejść do poczekalni na stacji.

Zgodnie z zasadami, bagaż został rozłożony na długiej ławce w kształcie podkowy. Niebawem pojawili się ponurzy celnicy i zaczęli przeszukiwanie.

Kopali we wnętrzu walizek, jakby mieszały ciasto, od czasu do czasu wyciągając jakieś rzeczy:

– Kontrabanda!

Zaraz podlatywali ludzie z wagami i księgami biurowymi. Przemycane towary ważyli, mierzyli, wyceniali i wlepiali osłupiałemu pasażerowi karę. Jeśli chcesz, płać, a jeśli nie chcesz, wyrzucaj zakwestionowane rzeczy ku radości służby celnej. Po ich spasionych pyskach było widać, że tutaj nic się nie marnuje.

Nina czuła gorąco na twarzy. Przepadnę – myślała przerażona, ale podobne uczucia dzieliła z całą resztą pasażerów. Nikt nie był bezpieczny od bezczelnych i bezsensownych zarzutów i nikt nie szemrał, obawiając się zwrócić na siebie uwagę.

Jeżeli ktoś wywoził walutę, powinien ją zgłosić wraz z pieczęcią punktu wymiany. Jeżeli miał aparaty fotograficzne, futra, zegarki i inne cenne rzeczy, powinien wypełnić deklarację celną.

Tragarz w białym fartuchu zajechał z wózkiem załadowanym paczkami i zaczął wykrzykiwać nazwiska pasażerów, żeby zabierali swoje dobra. To były książki, czasopisma, plakaty i rękopisy, które otrzymały zezwolenie na wywóz. Kilka tygodni przed odprawą przekazywano je cenzorom, którzy wszystko przeczytali, opieczętowali i przesłali pocztą na punkt graniczny.

Kiedy przyszła kolej na bagaż Niny, była ledwie żywa ze strachu. Celnik, potężny jak łoś chłop, z obrzydzeniem grzebał w jej rzeczach i wyjął gliniany garnek.

– Co to? – zapytał, zaglądając do środka.

– Prochy babki – odpowiedziała Nina spokojnie.

Celnik włożył do środka rękę i zaczął macać popiół, sprawdzając, czy nie ukryto w nim czegoś zabronionego.

– Diabli! – zaklął nagle. Jego szeroka łapa utknęła w naczyniu i nie mógł jej wyciągnąć.

Ludzie się ożywili, zaczęli pokazywać sobie celnika oczami.

A on rzucił się w stronę kolegów.

– Chłopaki, pomóżcie zdjąć!

Po kolei próbowali ściągnąć garnek, ale tylko rozsypali na podłodze „prochy babci”. Pasażerowie nie wiedzieli, czy śmiać się, czy oburzać, że funkcjonariusze

powalali im cały bagaż.

– Co za cholerstwo! – ryknął osiłek i rąbnął garnkiem o ławę. Naczynie rozpadło się na kawałki.

Nina jęknęła.

– Przechodź już! – wrzasnął na nią celnik. – Nie trzeba było wozić takich wąskich garów!

Nina w milczeniu wzięła koszyk oraz pokrywkę i pospiesznie wyszła na peron, przy którym stał pociąg do Berlina.

Kiedy umrę, moje prochy też trzeba będzie rozsypać w poczekalni – pomyślała Nina, uśmiechając się nerwowo. – To będzie piękne podsumowanie mego życia.

Wschodnia Polska bardzo mało różniła się od Białorusi – takie same miasteczka, czarne pola i błotniste wiejskie drogi z wodą zastygłą w koleinach. Ludzi było mało, tylko przy przejazdach furmanki czekały, aż pociąg przejedzie.

Od czasu do czasu Nina widziała linie na wpół zasypanych okopów i całe lasy martwych drzew z obłazającą korą i połamanymi suchymi gałęziami. W tych miejscach podczas Wielkiej Wojny stosowano broń chemiczną.

Do Warszawy pociąg dotarł nocą, a całą drogę do zachodniej granicy Polski Nina przespala. W Niemczech było już zupełnie inaczej.

– Matko droga! – wzdychali artyści, przylepiając nosy do okna.

Przy torach ciągnęły się wielkie budowy, kominy fabryczne i schludne domki robotniczych dzielnic. Nawet w niewielkich miastach dworce były reprezentacyjne i duże, niby katedry, a za nimi majaczyły eleganckie wieżyczki, kryte różowawą dachówką, oraz zielone zwieńczenia ratuszów i kościołów.

Malarze klęli ze zdumienia.

– Nooo, kultura, taka twoja mać! Patrz, patrz na zwrotniczego! Jaki ma kaszkiet! No generał, po prostu generał!

– Popatrz na furmankę! Koła ma jak od samochodu!

Brodaty pospiesznie robił szkice w zeszycie, wypełnionym już w jednej trzeciej twarzami, pejzażami i notatkami.

Nina patrzyła w okno z mieszanymi uczuciami. Wiedziała z gazet, że ostatnie dziesięć lat nie były dobre dla gospodarki niemieckiej, o najmniejszych choćby sukcesach nie wspomiano. Tymczasem wyglądało na to, że Niemcy zdołały się podnieść po wojnie światowej, a Rosja otrzymała „nagrodę” w postaci władzy sowieckiej. Boże, jakież to niesprawiedliwe!

Wschodzące słońce oświetlało zapasowe tory, wagony, zajezdnie i znaki zapisane dziwnym gotyckim liternictwem.

– Dojeżdżamy! – ogłosił śpiewnie konduktor.

Pociąg zwolnił, jadąc przez miasto. Na chwilę promienie słońca zginęły w cieniu wiaduktu i wagony wtoczyły się do budynku dworca.

Nina wyszła na peron jako ostatnia. Berlin z miejsca ją ogłuszył, poczuła się małą cudzoziemką w śmiesznym wiejskim kaftaniku i chustce. Zdawało jej się, że kolory są tu bardziej żywe, a dźwięki głośniejsze. Było tu mnóstwo eleganckich kobiet i mężczyzn w płaszczach, z parasolami zatkniętymi pod pachy. W Moskwie parasoli po prostu nie było, zostały unicestwione, podobnie jak klasy wyższe.

Europa, niech ją diabli... Robotnicy taszcący jakąś rurę wyglądali na sytych i schludnych, nawet beznogi inwalida, żebrzący o jałmużnę, siedział w odprasowanym mundurze z medalem.

Nina patrzyła zmieszana na te wspaniałości i nie czuła już nic, oprócz samotności i obcości. Świetnego miasta Berlina nie obchodziła Rosjanka ani jej lęki.

– Hilda Schultz? – odezwał się ktoś.

Nina się odwróciła i zobaczyła niedużego barczystego mężczyznę w meloniku. To był Heinrich Seibert.

Dziennikarz starał się robić wrażenie, że urządził się w ojczyźnie wcale nie gorzej niż w Moskwie, ale tak naprawdę był głęboko nieszczęśliwy.

Zdawałoby się, że nie ma powodów do niezadowolenia. Niemcy były o wiele bardziej rozwiniętym krajem niż Rosja Sowiecka, a Berlin po obaleniu cesarza i przyjęciu nowych, liberalnych praw przekształcił się w stolicę kulturalną całej Europy. Jednakowoż Seiberta nie cieszyły ani świetne kabarety, ani doskonale zaopatrzone domy towarowe. W Moskwie był pierwszym z panów, uzbrojonym w moc swojego obywatelstwa oraz pozycji społecznej, a w Berlinie przekształcił się w zwykłego bezrobotnego.

Nie miał pieniędzy na dobre mieszkanie w centrum, wynajmował więc kwatere niedaleko Thielplatz, końcowej stacji metra, a dla zachowania pozorów prestiżu kupił na kredyt ślicznego małego mercedesa.

Stałej pensji nie miał, długi rosły, sprawa mogła się skończyć wyprzedaniem obrazów i ikon, które wywiózł z Rosji. Sama myśl o tym była dla Seiberta czymś nieznośnym. Właśnie dlatego poszedł na współpracę z OGPU – w jego sytuacji był to jedyny wybór. Jednak Oscar Reich nie przyjechał do Berlina i nie przekazał obiecanych pieniędzy.

Ostatnią nadzieją Seiberta był specjalny wywiad z Hildą Schultz, która wyrwała się z łap sowieckich satrapów, ale i z tym mu nie wyszło, skoro Klim zamiast bohaterkiej Niemki przysłał rosyjską damulkę o nazwisku Nina Kupina, która słowa nie umiała powiedzieć w języku Goethego.

– Przywiozła pani pieniądze na opłacenie statku? – spytał z nadzieją Seibert. Mógłby zagarnąć dla siebie małą sumkę na pokrycie długów.

– Pieniądze ma Elkin – oświadczyła z miłym uśmiechem. – Zna go pan, prawda? Powinien niebawem przyjechać do Berlina, trzeba będzie po niego wyjechać na dworzec.

Seibert patrzył na nią, jakby oszalała. Gdyby to ona dostała taką wielką kwotę, czy zwróciłaby ją właścicielom?

– Obawiam się, że pani Elkin już sobie sący koktajle na Lazurkowym Wybrzeżu – powiedział z ponurą miną.

O takich jak Klim i jego przyjaciółeczka Lizchen zwykła mawiać: „Głupka pošlesz, sam będziesz musiał chodzić”.

– Elkin to uczciwy człowiek – zaczęła Nina, ale Seibert jej przerwał.

– Ma pani gdzie się zatrzymać?

– Nie. Jestem pierwszy raz w Berlinie i jeszcze nie...

– Dobrze, pojedziemy do mnie – westchnął Seibert i pomyślał, że skreśli Klimowi kark, kiedy ten wreszcie przyjedzie. Jak można było to wszystko tak kiepsko zorganizować?!

Rozdział 33

Święto

Siódmego listopada Ałow powinien się udać na pochód, ale bardzo źle się czuł od samego rana.

– A jednak twoja żoneczka związała się z Babłojanem! – oznajmił Wałachow, kiedy Dunia poszła po wodę do czajnika. – Mówiłem ci, że wszystkie aktoreczki to kurwy? Mówiłem. A teraz już po herbacie.

Ałow zastygł w pół ruchu na środku pokoju z wytrzeszczonymi oczami, wstrząsany paroksyzmem kaszlu.

Wałachow patrzył na niego przez dłuższą chwilę.

– Nie denerwuj się tak – powiedział dobrodusznie. – Babłojan nie zabiera cudzych żon. Po co mu to? Pobawi się i rzuci. A dla ciebie może wyjdzie z tego jakaś korzyść.

Narzucił na ramiona płaszcz i skierował się do drzwi.

– Widzimy się na pochodzie!

Wróciła Dunia.

– Co ty masz z Babłojanem? – zapytał Ałow, zgrzytając zębami jak stary pies.

Chwyliła go za ramiona.

– Boże! Znów masz atak! Usiądź! Siadaj!

Ałow chciał ją uderzyć, ale nie miał siły, i jego pięść tylko lekko ześliznęła się po policzku żony.

– Całkiem zdurniałeś? – pisnęła, chwytając się za twarz. – Mam dzisiaj występ!

– Ja ci dam występy! – wychrypiał Ałow i rozkaszłał się niepohamowanie.

Klnąc na czym świat stoi, Dunia dowlekła go do łóżka.

– Kładź się, gadzie! Leż, jak ci się każe!

Kaszel doprowadzał Ałowa prawie do wymiotów. Długo wił się w konwulsjach, a potem nie wytrzymał i się rozplakał – z poniżenia, poczucia słabości i ze strachu, że Dunia go opuści.

Usiadła obok niego i ścisnęła dłonie między kolanami.

– Między mną a Babłojanem niczego być nie może. Dziewczyny mówiły, że w młodości cierpiał na chorobę weneryczną i stał się impotentem, a teraz nawet z żoną nie sypia. Myślisz, że dlaczego cały czas obraca się między kobietami? Wciąż ma nadzieję, że ktoś mu pomoże.

Ałow dosłownie umierał, kiedy to mówiła. Aktorki... suki... jak śmiecie gadać o takich sprawach?!

– Spodobało mu się, jak tańczę, i obiecał mi pracę w studiu filmowym Mieźrabpomfilm13 – dodała Dunia.

– Nie zgadzam się! – zawył Ałow. – Nie będziesz mnie hańbić!

Dunia zmrużyła oczy.

– A ty mnie nie hańbisz? Wstyd mi się przyznawać, że mam męża czekistę! Od razu wszyscy się ode mnie odsuwają, jak od zadżumionej.

Podeszła do lustra i uważnie obejrzała policzek. Na szczęście nie pojawił się siniak.

– Ty łajdaku! – Pogroziła Ałowowi pięścią. – Jeszcze raz tak zrób, a dostaniesz żelazkiem po głupim łbie! Zwolniłbyś się z tej podłej służby, to może byś wreszcie został człowiekiem!

Wyszła, trzaskając drzwiami, Ałow zaś jeszcze długo nie mógł zebrać sił i wstać.

Po drodze na plac Czerwony poczuł się zupełnie źle, postanowił więc nie iść na pochód, ale udał się do siebie, na Łubiankę.

13 Sowiecko-niemieckie studio filmowe założone w 1928 roku na bazie rozwiązanej spółki Miežrabpom-Ruś.

Po wejściu do gabinetu zestawił razem trzy krzesła, żeby się przespać. Ale sen nie przyniósł ulgi. Co chwila wstrząsały nim ataki kaszlu, do których dołączyła się okropna migrena. Czuł się tak, jakby wewnątrz czaszki obijała mu się stalowa kula.

W kieszeni miał schowaną duńską tabletkę, zawiniętą w papierek. Mogła na pewien czas przerwać jego cierpienia. Żarkow w swoim czasie przywiózł całe opakowanie, Ałow oszczędzał środek, jak mógł, ponieważ ostatnio w aptekach moskiewskich było całkiem krucho z lekarstwami.

Zażyć tabletkę czy na wszelki wypadek zachować ją do czystki?

Wypalił dwa papierosy z rzędu i zabrał się do korespondencji. Idiotyczne listy, sprawozdania i inne bzdury... Ostatnia była otwarta koperta z Mińska, na której Drachenblut zrobił adnotację: „Załatwić jak najszybciej!”.

Wewnątrz znajdował się protokół przesłuchania niejakiego Elkina. Osobnik ten próbował przekroczyć granicę państwa, ale przewodnik ogłuszył go i okradł. Rano Elkina znalazł strażnik graniczny Zakołkin oraz jego pies służbowy Jaskier.

Zbiega przewieziono do mińskiego OGPU. Podczas przesłuchania ujawnił takie rzeczy, że Białorusini natychmiast skontaktowali się z Moskwą.

Elkin twierdził, że za granicę wyprawił go były białogwardzista Klim Rogow, który ukrywa się jako korespondent United Press, choć w istocie rzeczy pracuje dla chińskiego wywiadu. Potem następował dokładny opis działalności szpiegowskiej Rogowa na terytorium ZSRS.

Ałow aż zadrżał, czytając to. Panie Boże, o mały włos nie przespał takiej ważnej sprawy! Przecież Rogow następnego dnia miał wyjechać z Moskwy! Dobrze, że Drachenblut udał się na pochód i nie wezwał Ałowa z raportem, bo byłaby to tak wielka wpadka, że na pewno wyrzuciliby go z pracy!

Chwycił za telefon i zadzwonił do dyżurnego.

Mister Owen przyjechał osobiście na święto jedenastej rocznicy rewolucji październikowej i Klim przekazał mu wszystkie dokumenty oraz kluczyki do Maszki. Nowy korespondent miał przyjechać do Moskwy za dwa tygodnie.

Na pożegnanie Rogow wydał przyjęcie dla kolegów dziennikarzy, pojechał do Wajnsztajna i cenzorów, zajrzał do Niemców, a ojcu Thomasowi kazał czekać na dobre wieści.

Do wyjazdu pozostało jeszcze sporo czasu, ale Klim już zebrał rzeczy. W mieszkaniu było pusto, na podłodze walały się gwoździe tapicerskie, a na parapetach stały puste apteczne pudełka i skręcone z drutu wieszaki. Kapitolina postanowiła wepchnąć je handlarzowi starzyzną chociaż za kilka kopiejek.

Klim podarował jej całą bieliznę pościelową i zastawę.

– Mój ty gołębczku kochany! – krzyczała w zachwycie, biegnąc po pokojach. – Ja przecież teraz taka bogata będę, że żaden Rockefeller mi nie dorówna!

Nagle zastygła w miejscu.

– A może z Galą powinnam się podzielić? Może jej oddać szczotkę do butów?

– Coś dla niej wymyślę – powiedział Klim.

Kilka razy zaczynał pisać list pożegnalny do Gali, głupi, najeżony bezsensownymi życzeniami powodzenia, zdrowia i wszelkiej pomyślności. Co ją niby czekało w przyszłości? Za mąż nie wyjdzie, bo zbyt wielu mężczyzn w odpowiednim wieku zginęło na wojnach. Czyli wszelkie „powodzenie” będzie się sprowadzać do puszek konserw zdobytych na święta albo bezpłatnego biletu na tramwaj.

Diabli, lepiej o tym w ogóle nie myśleć!

Jednak nie potrafił zapomnieć. Wziął słuchawkę i poprosił o połączenie z mieszkaniem Gali.

Po chwili wezwano ją do aparatu.

– Słucham – powiedziała, a Klim się wzdrygnął, słysząc jej zachrypnięty i zgaszony głos. Zupełnie jakby była bardzo chora.

– Galu, chciałem się pożegnać. Jutro wyjeżdżam za granicę.

– I nie wrócisz?

– Nie.

Milczała sekundę, drugą, trzecią, a potem bez słowa odłożyła słuchawkę.

Klim wyjął z portfela dwa banknoty studolarowe, ostatnie, jakie mu zostały, i włożył je do koperty. Dziś wieczorem miał iść do Teatru Wielkiego na wiec z okazji rocznicy rewolucji. Postanowił zajrzeć potem do domu Gali i zostawić jej pieniądze w skrzynce pocztowej.

Wszystkie sześć kondygnacji teatru zostało ozdobionych hasłami na karmazynowym tle, jedno nad drugim. Całe napisy było widać tylko od strony sceny, a siedzący w łóżach widzieli tylko początki i zakończenia: „Linia naszej partii... przeciw oportunistom i pojednaniu!”, „Prowadzona przez Komitet Centralny... rewolucja światowa!”.

Na scenie pod wielkim portretem Lenina został ustawiony długi stół, przy którym zasiedli czcigodni goście z kierownictwa Wielkiej Komunistycznej Partii bolszewików. Na trybunie towarzysz Babłojan aksamitnym głosem odczytywał życzenia ludu pracującego:

– My, robotnicy Zakładu Energetycznego, mamy nadzieję, że niebawem przez całą Europę przetoczy się fala proletariackich rewolucji, a dwudziestolecie Października będzie świętować nie tylko nasz kraj, ale cały Europejski Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich!

Magda, Klim i Owen siedzieli w łoży dla cudzoziemców, oglądając parter przez lornetki teatralne.

– Całe morze partyjnych urzędników – wyszeptała Magda, wskazując publiczność odzianą we frence i bluzy wojskowe.

– Nie morze, tylko bagno – odezwał się Klim. – To barwa błota.

Magda spojrzała na jego smoking i wykrochmaloną koszulę.

– Niech pan popatrzy na siebie, mister Czarno-Białe.

Na trybunę wszedł przewodniczący Państwowej Komisji Planowania przy Radzie Pracy i Obrony ZSRS, Gleb Krzyżanowski.

– W ciągu najbliższych pięciu lat bez wątpienia pokonamy bezrobocie i przewyciężymy wszelkie trudności ekonomiczne. Pensje robotników wzrosną o sześćdziesiąt sześć procent. Ludzie pracy będą spożywać o dwadzieścia siedem procent więcej mięsa, o siedemdziesiąt dwa procent więcej jaj i pięćdziesiąt procent więcej nabiału.

Brawa wybuchały, tak jakby ktoś przyciskał niewidoczny guzik.

Klim przełożył Owenowi słowa mówcy.

– Ciekawe, skąd bolszewicy wezmą te procenty – rzekł Anglik z niedowierzaniem.

– Celem nie jest rezultat, ale rytuał – odparł Klim. – Znajdujemy się teraz na kazaniu. Pamięta pan świętego Jana? „I otrze z ich oczu wszelką łzę, a śmierci już odtąd nie będzie. Ani żałoby, ni krzyku, ni trudu już odtąd nie będzie, bo pierwsze rzeczy przeminęły”¹⁴.

Owen pokiwał głową.

– No tak, tak...

– Bolszewicy zaczęli jako materialści, ale ich teorie okazały się błędne, więc niezauważalnie dla siebie samych przekształcili się w sektę. Przyswoili sobie starą dobrą naukę o końcu świata i pozmieniali w niej tylko imiona oraz nazwy. Światowa rewolucja

to ich apokalipsa, Marks i Engels to dawni prorocy, Lenin jest zbawicielem, który oddał życie za lud, a Stalin jego najwyższym kapłanem. Ci, którzy we wszystko to uwierzą, zostaną zbawieni, ci zaś, którzy wątpią, zasługują na potępienie i karę jako heretycy.

Owen opuścił lornetkę.

– Według pana Rosja Sowiecka stała się nową gałęzią chrześcijańskiego sekciarstwa?

– To naturalna reakcja społeczeństwa na zmianę epok – rzekł Klim. – W takich czasach ludzie chcą jednocześnie opierać się na znanych dogmatach, jak i zarazem wszystko zmieniać. A jeszcze potrzebny jest wódz, który ma tajemną moc i nigdy się nie myli. Z kimś takim niestraszno iść w świetlaną przyszłość. To klasyczny obraz „reformacji”, czyli poszukiwanie nowej drogi w sytuacji, kiedy ogromna część ludności to analfabeci wierzący nie w naukę, lecz w słodkie obietnice oraz diabły.

– I czym się to wszystko zakończy? – zapytał Owen.

– W ZSRS tym samym co w Chinach po powstaniu tajpingów. W połowie dziewiętnastego wieku tamtejsi chrześcijanie stworzyli niepodległe państwo i zaczęli wprowadzać „sprawiedliwe reformy ekonomiczne”. Wszystko szło jak zawsze: walka z wewnętrznymi i zewnętrznymi wrogami, nowy podział własności prywatnej, wódz porównywany z samym Bogiem, powszechny chaos i śmierć milionów ludzi.

– Czy naprawdę musi być aż tak źle? – Owen się skrzywił.

Klim wskazał wchodzącego na scenę robotnika dzierżącego w rękach symboliczną miotłę z metalowych ostrzy.

– To delegat komitetu zakładowego. Wie pan, co proponuje kierownictwu państwa? Żeby wymieść tą miotłą wszystkich wrogów. Tu się nie obędzie bez wielkiego rozlewu krwi.

14 Apokalipsa św. Jana (21, 4), Biblia Tysiąclecia.

Po wiecu Owen udał się na bankiet Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych, a Klim i Magda poszli przejazdem Teatralnym w stronę Łubianki.

Ulica była zalana światłem, wilgotna jezdnia błyszczała w blasku latarni, a od strony postoju dorożek dolatywał cierpki zapach koni.

– Kiedy dojedzie pan do Berlina, proszę od razu przysłać telegram – poprosiła Magda. – Razem z Friedrichem na pewno też niedługo przyjedziemy do Niemiec. Musimy tylko wyprawić do Kanady naszych podopiecznych.

– Friedrich postanowił nie wracać? – zdziwił się Klim.

Magda westchnęła.

– On uważa, że w ZSRS nastąpiła kontrrewolucja, tylko mało kto to zauważył. Państwo znów jest rządzone samowładnie jak za cara i jego biurokracji. Gdyby Mikołaj II nie został zrzucony z tronu, działałoby się dokładnie to samo, tylko pod innymi auspicjami. Friedrich mówi, że rewolucję trzeba było wywołać w innym kraju, w którym nie ma tak silnych tradycji monarchistycznych.

– I to on chce ją wszcząć?

– Nie wiem. Potem się zobaczy.

Objęli się na pożegnanie, Magda poszła wziąć dorożkę, a Klim postanowił iść do Gali piechotą. Chciał się pożegnać z Moskwą.

Miasto mruczało jak zwierzę układające się do snu – okropnie zmęczone i lekko drżące pod pierwszym, błyskawicznie topniejącym śniegiem.

Klimowi nie chciało się wierzyć, że już za półtorej doby znajdzie się w zupełnie innym świecie. W ZSRS działał efekt odwróconej lornetki – świetlana przyszłość zdawała się blisko, a sąsiednia Polska była dalsza niż Mars.

Przechodząc obok budynku Zajazdu Makarewskiego, Klim przystanął przed lustrzaną witryną, żeby sprawdzić, czy ktoś za nim idzie, czy też szpicli już zwolniono do domów.

Obserwatorzy go nie opuścili. Po drugiej stronie ulicy stał wysoki młodzieniec w płaszczu z futrzanym kołnierzem i krępy typ udający, że ogląda afisze na bramie.

Klim chciał im pomachać, ale wtedy zatrzymała się przed nim kryta ciężarówka. Ze skrzyni zeskoczył człowiek w rozpiętym szynelu i wyjął z kieszeni otwartą czerwoną legitymację.

– Idziemy, obywatelu!

– Dokąd? – Klim nie zrozumiał.

Przejeżdżający obok koń dorożkarski odskoczył w bok, zupełnie jakby wyczuł trupią woń.

Z ciężarówki wyszło jeszcze dwóch, wzięli Rogowa pod rękę.

– Do wozu!

Od tej chwili zakończyła się ludzka egzystencja Klimy. Zamienił się w rzecz, którą inni pakują, transportują i przechowują wedle własnej woli.

Tania widziała, że z matką dzieje się coś niedobrego. Wcześniej całymi dniami przebywała w pracy, a teraz nigdzie nie chodziła i prawie nic nie jadła. Nie klęła nawet, kiedy córka zapomniała umyć po sobie talerz.

– Mamusiu, może zrobić ci herbaty? – zabiegała Tania.

– Nie trzeba.

– To czego ci przynieść?

– Niczego.

Matka odwracała się do ściany i prosiła, żeby zostawić ją w spokoju.

Pieniądze się skończyły i Tania zauważyła, że z domu zaczęły znikać rzeczy. Domyślała się, że matka zanosí je do komisju, żeby kupić chleba, ale nie śmiała o to pytać.

W domu na dziewczynkę od razu spadały smutek i poczucie bezradności, dlatego do wieczora siedziała w szkole, rysując plakaty i robiąc gazetki ścienne, także w czasie wolnym i w święta.

Niedawno przeczytała artykuł o młodym robotniku, który ułożył portret Lenina z ziaren pszenicy i owsa, za co od razu przyjęto go do Wyższego Instytutu Artystyczno-Technicznego. Dobrze by było wykonać portret towarzysza Stalina z czegokolwiek znaczącego społecznie! Na przykład ze śrubek i kótek zębatych, żeby powstał gigantyczny obraz *Fabryka stalinowska*. Gdyby patrzeć z bliska, okazałoby się, że to pracuje skomplikowany mechanizm, a z daleka widz ujrzałby uśmiechającego się wodza. A jeszcze lepiej, żeby to wszystko się ruszało!

Tania rysowała nawet szkice swojego przyszłego dzieła, ale na razie towarzysz Stalin zupełnie jej nie wychodził. Podobny był do jakiegoś straszycła z wąsami. Ale Tania się nie poddawała. Musiała wszystkim udowodnić, a szczególnie dzieciakom z internatu, że jest zdolna do wielkich osiągnięć na chwałę klasy robotniczej.

Kiedy wróciła do domu, było już całkiem ciemno. Nie miała kluczy, dlatego długo naciskała swój dzwonek, ale matka nie otwierała.

Wreszcie w drzwiach stanął Mitrofanycz.

– Ten, tego... tylko nie rycz, dobra? – wymamrotał, wpuszczając dziewczynkę do mieszkania.

Spojrzała na niego zdziwiona.

– A dlaczego miałabym ryczeć?

– Twoja matka nałykała się tabletek! Zajrzałem do niej, chciałem esencji poprosić, a ona leży na podłodze.

– Esencja?

Mitrofanycz postukał się w czoło.

– Też masz pomysły! Matka twoja się otruła! Gdyby herbata mi się nie skończyła, byłoby po niej!

Ściany zawirowwały wokół Tani. Rzuciła się do pokoju, ale nikogo tam nie było. Na stole leżała kartka zapisana charakterem Gali:

Kochana córeczko!

Czuję, że zaczynam wariować, i nie chcę ciągnąć Cię ze sobą.

Zwolnili mnie, nie mam za co Cię utrzymać, a drugiej pracy znaleźć nie umiem.

Ty masz talent, który pomoże Ci wyjść na ludzi, a państwo radzieckie zatroszczy się o Ciebie o wiele lepiej niż ja. Wybacz mi wszystko i niech Cię Bóg strzeże.

– Gdzie jest mama? – zawyła Tania nieswoim głosem.

Na jej krzyk wyszła sąsiadka Natasza.

– Zawieźli ją do szpitala.

– Do którego?

– A kto to wie? Mnie nic nie powiedzieli.

Tania zatrzasnęła drzwi i tak jak stała, w palcie i czapce, padła na kolana przed ikoną.

– Boże, zełgałam, że w Ciebie nie wierzę... Wiem, że jesteś... Całe życie będę chodzić do kościoła i zdejmę pionierski krawat... Tylko zrób tak, żeby mama nie umarła!

Dziewczynka upadła na podłogę i długo leżała z rozłożonymi rękami, jakby ją samą ktoś zabił.

Rozdział 34

Łubianka

Z dyżurki zadzwonili i zameldowali, że Rogow został zatrzymany.

Przemagając piekielną migrenę, Ałow zszedł na dół i skierował się do budynku na rogu Łubianki i ulicy Pierwszego Maja, gdzie trzymano aresztowanych.

Pokazano mu pudełko z rzeczami skonfiskowanymi u Rogowa podczas aresztowania. Były tam paszport, zegarek, wieczne pióro i dwa bilety na pociąg. W portfelu oprócz drobnych znajdowało się parę czerwoniców i trzydzieści niemieckich marek, a w oddzielnej kopercie dwa nowiutkie banknoty studolarowe.

– Gdzie macie telefon wewnętrzny? – zapytał Ałow.

Dyżurny zaprowadził go do przedpotopowego drewnianego aparatu, wiszącego na ścianie. Ałow wywołał Dianę Michajłownę.

– Zapiszcie liczby i porównajcie je z numerami banknotów skradzionych Oscarowi Reichowi.

Ałow postanowił jednak wziąć tabletkę. Pracować z takim bólem było niepodobna.

Dyżurny odprowadził go do celi, w której osadzono Rogowa. Judasz znajdował się nisko, więc Ałow musiał nieco ukucnąć, żeby zajrzeć do środka.

Żarówka, zabezpieczona siatką, oświetlała ciasne pomieszczenie pomalowane na bladożółty kolor. Pośrodku przykręcone do podłogi były stół i dwa krzesła. Na jednym z nich leżał płaszcz Rogowa, a on sam – w kapeluszu i wieczorowym stroju z muszką – chodził z kąta w kąt. Oto on, mój dobry geniusz! – pomyślał Ałow. – Dzięki tobie zdobędę własną kwatere!

Zawsze go ciekawiło, jak człowiek reaguje na niespodziewane aresztowanie. Przecież błyskawicznie zmieniają mu się plany i priorytety życiowe. Na razie nie wie, dlaczego został zamknięty i na ile to wszystko jest poważne. Jedni zaczynają płakać ze strachu, inni walą w drzwi i żądają widzenia z nacjonalizmem, ale Rogow nie wyglądał na przestraszonego. Jego twarz nie wyrażała nic, poza złością.

Ałow przypomniał sobie, jak ten typ odmówił współpracy. No dobrze, posłuchamy, co mister Rogow powie teraz!

– Pełna rewizja!

Po kilku minutach do celi weszli dwaj bokserzy.

Właśnie od pełnego przeszukania zaczyna się łamanie klienta. Zmuszają go, aby rozebrał się do naga, długo sprawdzają ubranie, przeszukują wszystkie zakamarki i zakładki, a potem, także bez pośpiechu, obszukują jego samego – spokojnie, niczym na wizycie lekarskiej, zaglądając wszędzie.

Ałow nie odrywał oka od judasza. Klient nie sprzeciwiał się i tylko wyniośle wykrzywił usta, jakby był ponad to. Sportowcy zabrali szal, spinki, sznurówki i szelki, po czym zostawili go samego, żeby się ubrał.

Ałow dał mu pobyć sam na sam z narastającą paniką, zanim wszedł i usiadł bokiem na krześle.

– Pamiętajcie, jak proponowałem wam współpracę? – zapytał. – Powiedzieliście

wówczas, że nie zamierzacie się z nami przyjaźnić. Przykro było usłyszeć coś takiego.

– Mam nadzieję, że nie będę musiał nocować w tym hotelu? – burknął Rogow. – Mam jutro pociąg.

– Tak, tak, rozumiem wasz niepokój. – Ałow się uśmiechnął.

– Mogę się dowiedzieć, o co jestem oskarżony?

– O to, że z was białogwardzista i szpieg.

– Gwarantuję, że wybuchnie skandal na międzynarodową skalę, jeżeli nie zostaną natychmiast zwolniony!

– A któż zawiadomi waszych orędowników o zniknięciu Klima Rogowa? Przecież wszyscy wiedzą, że wyjeżdżacie, więc nikt nie będzie was szukał.

Klim milczał.

– Możesz poprawić swoją sytuację, jeżeli powiesz, gdzie jest Kupina – powiedział Ałow, porzucając formy grzecznościowe. – Rozumiem, że to twoja żona, ale przecież już miał ją w arendzie Oscar Reich, więc nie ma po czym płakać.

– Odmawiam rozmowy aż do czasu, kiedy przybędzie tu mister Owen. On zawiadomi o tym, co się stało, moje kierownictwo i sprawa będzie się toczyć na szczeblu dyplomatycznym.

– No dobrze, jeżeli nie chcesz rozmawiać po dobroci, spróbujemy inaczej.

Ałow wstał, wyjrzał za drzwi.

– Przywieźć tutaj córkę Rogowa!

Klim natychmiast stracił rezon.

– Nie macie prawa krzywdzić dziecka!

– Los twojej małej Chinki zależy tylko od ciebie – uciął Ałow. – Możemy ją oddać do dobrego domu dziecka, a możemy też umieścić razem z gruźlikami.

Wyjął z kieszeni kartkę i ołówek, położył je na stole.

– Pisz dobrowolne przyznanie się! Potrzebuję pełnej biografii: gdzie się urodziłeś, czym zajmowałeś się przed rewolucją, kiedy i w jakich okolicznościach poznałeś Kupinę. Potem wyznasz, kto was zwerbował i przez kogo dostawaliście instrukcje. Jeśli będziesz udawał głupka, sprawa skończy się sam wiesz czym. My naprawdę umiemy wydobywać zeznania.

Rogow spojrzał na niego z osłupieniem.

– A wy co, torturować mnie chcecie?

– Dlaczego zaraz torturować? – Ałow się obraził. – Cóż to za określenia! To u was, burżujów, torturuje się i wykonuje wyroki śmierci, a my stosujemy środki socjalistycznej samoobrony.

Ałow wyszedł z celi bardzo z siebie zadowolony. Teraz klient został przestraszony prawie na śmierć. Cóż, niech sobie posiedzi, pomyśli o swoim losie.

Zadzwoił znowu do Diany Michajłowny.

– Co z tymi numerami?

– Wszystko się zgadza – odpowiedziała. – To nasze banknoty.

Ałow rozplątał się w uśmiechu. Skoro klient otrzymał cokolwiek z pieniędzy skradzionych Oscarowi Reichowi, na pewno wie, gdzie się znajduje pozostała kwota.

Wysłana na Czyste Prudy grupa wróciła z niczym. W mieszkaniu Rogowa nie było ani dziecka, ani służby.

Wzburzony Ałow poczuł, jak w piersi zaczyna narastać bolesne napięcie. Panie, zmiłuj się, kiedy to się skończy?! Powinny istnieć jakieś lekarstwa, które pomagają na choroby płuc!

Skłął czekistów, którzy pojechali do domu Rogowa.

– A wy co, nie mogliście wypytać sąsiadów? Tam jest przecież jakiś przewodniczący komitetu domowego albo stróż?

Odpowiedzieli, że stróż leżał zalany w trupa, a biuro na dole cały dzień było zamknięte z okazji święta.

Zegar wskazywał jedenastą w nocy.

Ałow wrócił do celi, zajął przez judasza. Klient siedział nieruchomo nad czystą kartką. Nabrylantowana rano grzywka opadała mu teraz na oczy, a niezapięte mankiety sterczały z rękawów smokingu.

Ałow spróbował zebrać myśli. Z pomocą małej Chinki byłoby o wiele łatwiej wydusić z tego typu wszelkie informacje, ale przecież dziewczuchy nie było... Zwykle przesłuchanie potrwa kilka godzin, a jeżeli zatrudnić fachowców, zaczną się wrzaski i historie. Ałow źle się czuł i bez tego.

Znów zaczął nim targać kaszel.

– Może przynieść wam wody? – zapytał z troską klawisz.

Ałow pokręcił głową i trzymając się ściany, poszedł do wyjścia.

Nie miał sił prowadzić sprawy Rogowa, ale nie mógł też przekazać jej kolegom, bo cała chwała i wszelkie nagrody przypadną komuś innemu.

Mam czas, żeby się trochę odleżeć – pomyślał. – Teraz Drachenblut pije na daczce u Woroszyłowa, a potem będą przez kilka dni chorować, więc i tak nie mam komu meldować o wynikach.

– Odeślijcie Rogowa do ogólnej celi – rozkazał. – Później się nim zajmę.

Konwojenci prowadzili Klima po marnie oświetlonych korytarzach z mnóstwem drzwi.

Wszystkie uczucia miał przytępione. Zdawało mu się, że został nafaszerowany jakimś narkotycznym świństwem i nie może się zbudzić z koszmarnych wizji.

Jeżeli nie przyprowadzili Kitty, czy to znaczyło, że uratowała się przed OGPU? Ale jak? Gdzie jest teraz?

Zamki w drzwiach zgrzytały za plecami Klima niczym żelazne szczęki.

To na pewno Gala wydała go czekistom! Co mogą wiedzieć? Ależ wszystko, co chcą! Gala przebywała z nim bardzo blisko i na pewno zapamiętywała każde nieopatrnie wypowiedziane słowo.

Strażnicy kazali Klimowi zatrzymać się przed celą z małym zakratowanym okienkiem w drzwiach. Nadzorca otworzył je.

– Właż.

Na szerokim podwyższeniu opasującym nagrzone mocno pomieszczenie leżeli aresztanci w nieświeżej bieliźnie, z głowami ku ścianie. Pod sufitem znajdowały się dwa wąskie okna z kratami, przy wejściu umywalka i ocynkowany pojemnik z pokrywką.

Jeden z więźniów uniósł łysą głowę.

– O, przyprowadzili świeże męsko!

Konwojent pchnął Klima.

– Za minutę masz leżeć i spać!

Drzwi zamknęły się z hukiem i zgasło światło. Klim stał niepewnie pośrodku celi, nie mając pojęcia, co robić.

– Coś ty taki wystrojony? – zapytał łysy. – Może kuglarz? Z jakiego artykułu?

– Nie wiem – odparł Klim.

– Jak nie wiesz, to jesteś niedorzębna kontra. – Zaśmiał się ktoś. – Dziesięć lat łagru albo rozstrzelanie w piwnicy.

Aresztanci się poruszyli.

– Dajcie pospać!

– Zamknij się!

– A idź w cholerę!

– Chodź tutaj, Sztukmistrzu! – zawołał Klima głos z mocnym kaukaskim akcentem. – Jest miejsce.

Klim ruszył naprzód, namacał skraj nar i usiadł.

Więzienny żywioł zamknął się nad nim, niczym woda w czarnej głębi. Gorąco, smród, chrapanie, ciasnota... Cella zdawała się Klimowi blaszanką wypełnioną czerwiemi. Wszystkie czekał ten sam los: zatknięcie na haczyk i wrzucenie do wody.

– Niczego ze sobą nie wzięłeś? – spytał człowiek z Kaukazu. – Na czym będziesz spał? Łyżki i miski też nie masz?

– Aresztowali mnie na ulicy – odparł Klim.

Rozścielił płaszcz i położył się, z obrzydzeniem dotykając sąsiadów z prawa i lewa.

Całkiem niedawno Klim patrzył na wynędzniałego, zamęzonego Elkina i nie potrafił sobie nawet wyobrazić, że mógłby się znaleźć na jego miejscu. Klim Rogow był widzem, nie uczestnikiem wydarzeń, jego nie można było ani aresztować, ani zastraszyć, ani tym bardziej torturować. Był przecież obcokrajowcem, osobą niedotykalną.

A teraz został przypisany do kategorii ludzi, z którymi nikt się nie liczy. Był niewolnikiem, przeznaczonym na ubój gdzieś przy wyrębie lasu albo w kopalni. Wyobrażał sobie siebie w aresztanckiej kurtce i poczuł, jak włosy stają mu dęba.

– Ej, Sztukmistrzu! – odezwał się znowu sąsiad. – W tej celi bać się można tylko przez pierwszych dwadzieścia minut. Dziesięć już odbębniłeś.

Klim się wzdrygnął.

– A ty kto?

– Achmed. Słuchaj uważnie. Będziesz się nad sobą litował, to umrzesz. Byłeś kiedy w walce? Ja bywałem. Na wojnie mogą zabić, a ty pędzisz konno, nie myślisz o niczym, dlatego że to ty nacierasz i o wszystkim decydujesz. W lochu też tak trzeba. Powiedz sobie: „Ja decyduję, czy się mnie boją, czy nie”.

Ale Klim nie był w stanie myśleć o żadnych zakłęciach obronnych.

– A jeśli wezmą na tortury? – spytał przez zęby.

– Nie odbieraj bólu jako ból. Na wojnie mnie postrzelili, a ja pół dnia biegałem z kulą w piersi i nic nie czułem. Człowiek to bardzo żywotny zwierz, jeśli sam siebie nie gubi.

– Niech go pan nie słucha! – odezwał się starczy głos. – Achmedka zdzielili kolbą nagana w nasadę nosa, oczy ma teraz w różne strony i łeb nietęgi. Niech się pan nie da zwieść iluzjom. Jestem generałem piechoty. Pięć lat w bolszewickim łagrze kible czyściłem. Wypuścili mnie, a po tygodniu znów aresztowali. Tylko Bóg wie, ile już wniosków pisałem do śledczego: „Rozstrzelajcie mnie, nie męczcie już!”. A on do mnie: „Sami wiemy, kogo rozstrzelać, a kogo przekuwać”.

– Dlaczego mówisz Sztukmistrzowi nieprawdę? – rozgniewał się Achmed. – Ani ty, ani ja nie wiemy, co z nim będzie. Tylko Allah wie, ale nam przecież nie powie.

Pod sufitem niespodziewanie zapaliły się żarówki, a przez okienko zajrzał klawisz. Upewnił się, że wszystko w porządku, i ponownie cela pogrążyła się w ciemności.

Seibert stał przy kuchni i smażył jajecznicę. Sobie. Niny nie zamierzał częstować.

Z tą nienormalną babą nie można było dojść do ładu. Stale dręczyła Seiberta – to jej pokazać, gdzie sprzedają przyzwoitą odzież, to jechać na dworzec i czekać na Elkina. Oczywiście ten się nie pojawiał i tracili tylko czas.

Obecność Niny niesłychanie komplikowała życie dziennikarza. Chciał spać we własnym łóżku, a nie w pokoju gościnnym na kanapie. Chciałby chodzić po domu w samych majtkach i rozpiętym szlafroku, jak przywykł, a tutaj musiał okrągłą dobę być przyzwoicie ubrany!

Ale co najgorsze, Frau Hausbald, bardzo przyjemna kobieta mieszkająca naprzeciwko, uznała, że Nina jest kochanką Seiberta, i teraz przy spotkaniach tylko krzywiła usta, rzucając suche „Dzień dobry”, zamiast długo omawiać z sąsiadem sprawę komitetu gwiazdkowego i ozdabianie balkonów iluminacją elektryczną.

Dosłownie się modlił, żeby mister Rogow przyjechał jak najszybciej i zabrał swoją przyjaciółczkę. Ale Klim, podobnie jak Elkin, przepadł.

Wszystko to przypominało jakiś cyrk. Z uprzejmości i wiedziony przyzwoitością Seibert nie mógł wystawić Niny na ulicę, ale też ile jeszcze będzie w stanie znieść taką sytuację?

Powiniennem poprosić, żeby sobie poszła! – powtarzał w myślach, ale nie potrafił zdecydować się na poważną rozmowę. Czuł się lekko i swobodnie w towarzystwie uległych kobiet w rodzaju Gali czy Lizchen, a przy Ninie było mu trudno, zupełnie jakby nie dawała mu oddychać.

Przełożył jajecznicę na talerz, ale wystarczyło, że usiadł do stołu, gdy weszła Nina.

– Heinrichu, wyślijmy jeszcze jeden telegram do Moskwy! Muszę wiedzieć, co się stało z Klimem.

Seibert rzucił widelec na stół i wlepił wzrok w kobietę.

– Proszę posłuchać. Mam dość... To wszystko jest mi całkiem niepotrzebne! Mam własne plany na życie!

Wiedział, że zaczyna być grubiański, ale to jeszcze bardziej go rozsierdziło.

– Obiecała mi pani pomoc z Niemcami z Powoźza, i co? Nie przywiozła pani pieniędzy na fracht! Zostałem oszukany, kiedy podała się pani za Hildę Schultz... Chciałem zrobić z nią wywiad i pokazać go dobroczyńcom z naszego kościoła... A co mam z panią robić?

– Oczywiście rozumiem, że nie musi mi pan pomagać... – zaczęła Nina, ale Seibert jej przerwał:

– To znakomicie! Proszę jechać do Charlottenburga, tam mieszkają rosyjscy imigranci. Kupi pani gazetę z ogłoszeniami o wynajmie mieszkań, a pracować pani może nawet jako kelnerka. Przepraszam, ale mam już dość gości!

Ale Nina zdawała się niczego nie słyszeć. Podeszła do Seiberta, położyła mu rękę na ramieniu, spojrzała w oczy.

– Klim był pańskim przyjacielem. Niech mi pan pomoże się dowiedzieć, co z nim!
Nie mam do kogo się zwrócić.

Seibert jęknął. No proszę, znów zaczęła go cisnąć!

– Co powinnam zrobić, żeby poszedł pan ze mną do telegrafu?

Zostawić mnie w spokoju! – prawie zawył Niemiec.

– Elkin opowiedział mi o swojej katordze na północy. Mam zapiski – powiedziała Nina. – Chciałam je oddać Klimowi, ale może panu się przydadzą?

Pobiegła do sypialni, po chwili przyniosła wyrwane z notesu kartki, wypełnione drobnym pismem.

Seibert zaczął je czytać. Oho! Spławianie drewna... obozy pracy... Humor zaczął mu się poprawiać.

– Dobrze, wyślemy jeszcze jeden telegram – warknął. – Tylko pisać będziemy na Magdę. Ona powinna wiedzieć, co się dzieje.

Memuary Elkina można było spróbować obrócić w pieniądź. Seibert od dawna domyślał się, że pnie, które Reich postanowił sprzedać na podkłady, pochodziły z obozów pracy. Jeśli w „Berliner Tageblatt” puścić artykułik, że sowieckie drewno pochodzi z bardzo ponurego źródła, wyjdzie z tego pierwszorzędny skandal.

Można będzie wspomnieć zmarłego w 1909 roku belgijskiego króla Leopolda II, który zgromadził wielki majątek, eksploatując mieszkańców Wolnego Państwa Kongo. Zrobił z nich niewolników i zmusił do pozyskiwania kauczuku, a za najmniejsze objawy nieposłuszeństwa kazał okaleczać i zabijać. O tej historii jeszcze nie zapomniano, więc czytelnicy od razu zrozumieją, że w Związku Sowieckim dzieje się to samo.

Artykuł należało opublikować pod pseudonimem, a potem napomknąć Reichowi, że jeśli nie wyłoży środków na kontrpropagandę, jego moskiewscy mocodawcy zyskają opinię identyczną jak zbóje Leopolda.

Rozdział 35

Ludzki surowiec

Trzy razy dziennie aresztanci otrzymywali posiłki. Rano wrzątek i chleb, w południe lurę i kaszę, a wieczorem tę samą kaszę, tylko odgrzaną. Raz w ciągu dnia wyprowadzano ich na spacerki.

Nie wolno było od rana do wieczora leżeć na narach, a nocami Klim nie mógł spać. Wokoło ciemności, za ścianą kroki i skrzywienie drzwi, kiedy kogoś wyprowadzali na korytarz albo odprowadzali do celi. Co dziesięć minut strażnik włączał światło i sprawdzał, co się dzieje w celi.

Jeśli już jednak Klim zdołał zapaść w sen, od razu zaczynał się koszmar – zdawało mu się, że jest ostatnim żywym członkiem załogi na zamrożonej pośród lodów jednostce. To był pełny przegląd najważniejszych ludzkich lęków – nieskończona noc polarna, piekielny chłód i zupełna samotność. Ale nie to okazywało się najbardziej przerażające. We śnie do Klimy docierało, że nie ma innego jedzenia poza zamrożonymi towarzyszami, i żeby przeżyć, będzie musiał się stać ludożercą.

Trudno by było znaleźć lepszą alegorię jego obecnej sytuacji.

Nina opowiadała, co czuła, kiedy aresztowali ją Chińczycy. Zabijał ją nie tyle strach przed przyszłością, co niesprawiedliwość. Człowiek zawsze chciałby wierzyć, że zło może spotkać tylko złych ludzi, a kiedy zetknie się z czymś wręcz przeciwnym, dosłownie paraliżuje to jego wolę i rozum. Teraz Klim już rozumiał, co się stało z oskarżonymi w procesie szachtyńskim!

Przysięgał sobie, że nigdy się nie zniży do składania fałszywych zeznań przeciwko komukolwiek, aby uratować własną skórę, czymkolwiek by mu grożono. W myślach odbywał rozmowy ze śledczymi, układał odpowiedzi na pytania, które mogli zadać. Minęło jednak kilka dni, a nigdzie go nie wzywano. Ałów jakby o nim zapomniał.

– To dobrze, że cię nie ciągną na przesłuchania – mówił Achmed. – Zmiany w lochu zawsze są na gorsze.

Ludzi w celi wciąż przybywało i aresztanci musieli coraz bardziej ścisnąć się na narach, żeby zrobić miejsce dla nowych.

Jakże działało na nerwy bliskie sąsiedztwo trzydziestu ludzi! Wtedy widzi się wszystko – jak kto się drapie, dłubie w zębach, siedzi na klozecie, płacze, smarka, gryzie paznokcie... A sąsiedzi obserwują każdy twój ruch i nie ma się przed nimi gdzie schować.

Bilard – łysy starosta celi – nadawał każdemu nowemu przezwisko. Tłustemu ciemnowłosemu urzędnikowi – Pingwin, elewowi szkoły lotniczej – Propeller, małeńkiemu dżokejowi – Klaps. Klim pozostał Sztukmistrzem.

Przyprowadzono kilku duchownych, sprzedawcę z domu towarowego, inżyniera i pianistę. Ten ostatni najlepiej znosił zamknięcie – siedział cały dzień i z zamkniętymi oczami słuchał dzwiczących mu w głowie jazzowych improwizacji. Miał wówczas na ustach szczęśliwy uśmiech.

Klim też starał się uciekać w fantastyczne światy.

Głęboki wdech, ramiona do tyłu, ręce lekko na boki, dłońmi w górę. Tak można

wypełnić sobą przestrzeń, rosnać i unosić się nad ziemią. Przewód i wolność to symbole szczęścia, a loch to znak nieszczęścia – dlatego że na człowieka naciskają ze wszystkich stron: i fizycznie, i moralnie. Chcąc nie chcąc, trzeba się temu podporządkować, a wówczas następuje powolny zgon.

Klim powtarzał sobie, że Nina jest już w Berlinie, a Kitty przygarnęli dobrzy ludzie. Tylko to go ratowało od pogrążenia się w zupełnej rozpacz.

– Rogow, bez rzeczy do wyjścia!

Klim wstał. Współwięźniowie przycichli, patrzyli na niego przestraszeni.

– Co, na przesłuchanie? – spytał Bilard. – Niech ci Bóg dopomoże.

Klim wyszedł na korytarz, a strażnik z uśmiechem obejrzał jego nieświeży strój.

– Idziesz do pracy, wasza miłość! Wystarczy tego wylegiwania się na narach.

Klim odetchnął z ulgą. To znaczyło, że na razie nie będzie tortur.

Zeszli na dół, do piwnicy, i weszli do pomieszczenia zastawionego od podłogi po sufit stelażami, na których spoczywały brązowe teczki. Przy biurku siedział mały wąsaty czekista i przy świetle zielonej lampy przeglądał humorystyczne czasopismo „Krokodyl”.

– Zabieraj się do roboty! – rozkazał Klimowi, wręczając mu wiadro i suchą szmatę.

Taka praca nie była karą, ale błogosławieństwem. Mógł się nieco odprężyć.

Odszedł w najdalszy kąt i zaczął ścierać z półek kurz, ale niechcący zawadził kilka teczek, które spadły na podłogę.

– Ja ci pozrucam! – krzyknął na niego czekista. – Podnoś wszystko!

Jedna z teczek się otworzyła i Klim zobaczył niebieską pieczęć: „Wyrok wykonany”. W drugiej i trzeciej teczce było to samo.

Czekista odłożył gazetę.

– Co tam czytasz? Chcesz do karceru?

Klim odstawił teczki na miejsce. Dopiero teraz do niego dotarło, gdzie trafił – to pomieszczenie było cementarzyskiem, miejscem pochówku ludzkich spraw. Były ich tysiące, dziesiątki tysięcy. Stanowiły podsumowanie osiągnięć sowieckiej władzy za ostatnie dziesięć lat: ludzkie życia porozbijane jak ruda żelaza i przetopione na potrzeby państwa. Albo w ogóle zniszczone bez sensu i powodu – jako skutek błędów w produkcji.

Drzwi wejściowe skrzypnęły i w przejściu ukazała się zgięta sylwetka ze szczotką w rękach.

– Zaczynaj! – warknął mały czekista.

Starzec zaczął zmywać podłogę.

Panowała ogłuszająca cisza, pobrzękiwał tylko pałak przestawianego wiadra, szeleściły stronicie „Krokodyla”.

Starzec, idąc tyłem podczas pracy, znalazł się blisko Klimy, odwrócił głowę...

To był Elkin! Jego twarz przecinały brązowe zadrapania, a ciało było dosłownie przełamane i poruszało się wbrew zasadom anatomii.

– Po ogłoszeniu ciszy nocnej niech się pan powiesi na nogawce! – szepnął ledwie słyszalnie. – Trzeba zaczepić spodnie o kratę w oknie, jest mocna i wytrzyma ciężar.

– Co? – spytał skonfundowany Klim.

Elkin skrzywił się z zaciętością.

– Niech pan nie czeka, aż zaczną tortury. Jeszcze pana nie bili, prawda?

Obejrzał Klimy od stóp do głów. Oczy mu łzawiły, a dolna szczęka trzęsła się, jakby okropnie marzł.

– Będą pana sadzać z rozmachem na betonie, od tego krew idzie gardłem i nosem. Albo zwiążą i zaczną kopać. Ale najgorsze ze wszystkiego jest, kiedy zamkną w żelaznej skrzyni i będą walić pałkami długo, godzinami... na zmianę, metodycznie. Nikt tego nie zniesie! Oskarży pan wszystkich, których zna, a wówczas ich także wezmą.

Czekista znów odłożył pismo.

– A wy co, na rozmówki tu przyleźliście?!

Elkin się wzdrygnął i zaczął szorować szmatą po podłodze. Na jego ustach pojawił się szalony, krzywy uśmiech.

– Niech pan nie zwraca na niego uwagi – szepnął. – Specjalnie mnie tutaj zawołali, żeby przekonał pana do wydania Niny. Proszę mi wybaczyć, że doniosłem na pana. Długo się trzymałem... Zdziwiająco długo! Na Krymie chodziliśmy z Niną na spacer, wtedy opowiadała mi o panu, dlatego czekiści teraz tyle wiedzą.

Klim patrzył na niego z zimnym przerażeniem.

Całkiem niedawno Elkin był mądrym i dumnym mężczyzną w sile wieku, a teraz zmienił się w zupełnego inwalidę, który już nigdy nie dojdzie do siebie, nawet jeśli go wypuszczą na wolność.

– Po co im Nina? – zapytał.

– Szukają pieniędzy, które zabrała Reichowi. Próbowałem im wytłumaczyć, że to ja je przewoziłem, ale mnie obrabowali na granicy. Nikt mi nie wierzy. Czekiści wiedzą, że Nina jest teraz w Berlinie, i chcą zdobyć adres. Dzisiaj w nocy wezmą pana na przesłuchanie i będą dręczyć.

Elkin uniósł palec ze zgniecionym dołkiem zamiast paznokcia.

– Niech pan nie popełni mojego błędu i powiesi się, dopóki nie jest za późno! To jedyny sposób, aby uratować Ninę. Ja dzisiaj ucieknę na tamten świat, gdzie mnie już na pewno nie schwytają.

– Cisza nocna! Wszyscy spać! – krzyknął strażnik i zgasił światło.

Klim leżał na plecach, patrząc w ciemność niewidzącymi oczami. Dotykał końcami palców swojego policzka, obojczyka, nadgarstka. To już koniec, mister Rogow... Pożegnaj się ze swoim zdrowym, silnym i odczuwającym ciałem. Dzisiaj albo cię zabiją, albo okaleczą, przywloką do celi z powybijanymi zębami i odbitymi nerkami. I nie pomoże ci żadne męstwo.

Chwała Bogu, że chociaż to nie Gala okazała się zdrajczynią. Wówczas nie przysłałiby do niego Elkina. Ale to doprawdy słaba pociecha.

Klim gryzł wargi, próbując poradzić sobie ze strachem i duszącym, beznadziejnym smutkiem. Może naprawdę ze sobą skończyć?

Marszczył czoło, zaciskał do bólu palce i modlił się chaotycznie o cud. Jakimż głupstwem wydawały się teraz kłótnie z Niną i porywy zazdrości... Trzeba było żyć pełną piersią i korzystać z tego, co daje los! A teraz już za późno.

Czy wystarczy mu sił, aby nie wydać Niny? Jeżeli czekałby dowiedzą się, że mieszka u Seiberta, znajdą ją i zabiją. Mają przecież w Niemczech całą armię tajnych agentów.

Klim przypomniał sobie szanghajski dom i wyłożoną błękitnymi kafelkami łazienkę. Nina wychodziła spod prysznicy, krople ściekały z jej pociemniałych od wody włosów, drżała i dostawała gęsiej skórki. Po wytarciu się narzucała na ramiona biały frotowy szlafrok, a potem zakręcała na głowie ręcznik tak mocno, że unosiły jej się kąciki oczu. Klim mówił, że ma teraz chińskie spojrzenie, a ona utrzymywała, że raczej egipskie.

Zapaliło się światło, do celi wszedł wielki, gładko wygolony konwojent z piegowatą gębą.

– Rogow! – zawołał, sprawdzając na liście.

A zatem koniec... Dotarł do ostatniej stacji... Klim usiadł powoli.

– Imię i otczestwo? – zapytał konwojent.

– Jestem obywatelem Stanów Zjednoczonych. W amerykańskich dokumentach nie podaje się otczestwa.

Konwojent pogroził mu pięścią.

– Jeszcze pogadamy, gnoju! Bez rzeczy do wyjścia!

Serce Klimowi waliło tak, że wydawało mu się, iż lada chwila dostanie zawału. Włożył buty, nie wiadomo po co zapiął guzik pod szyją. Piegowaty popchnął go w plecy.

– Pospiesz się!

Szli korytarzem. Drzwi, słabe żarówki, cienie krzyżujące się na podłodze...

– Prosto – rzucał konwojent. – W prawo. Jeszcze raz w prawo. Stać! Twarzą do ściany!

Dwóch ludzi powlokło obok trzeciego, zakrwawionego, wijącego się, z gumową gruszką w ustach. Coś jęczał, a jeden z klawiszów mówił do niego:

– Ciszej, ciszej, nie wrzeszcz!

– Naprzód! – rozkazał konwojent.

To właśnie one, zwierzęce instynkty, wyostrzone do granic. Człowieka schwyтали, zamęczyli i dokądś taszcza, a jemu tylko pozostaje odgryzać się w bezsilnej złości i strachu.

Zaatakować konwojenta? Niechby go zastrzelili za czynny opór. Wszystko jest lepsze niż wieloznaczne „środki socjalistycznej samoobrony”.

– Stać! – warknął osiłek.

Zatrzymali się przed drzwiami pomalowanymi na brązowo.

– Pukaj.

Klim przymknął na chwilę oczy.

– Pukaj, swołocz!

Zastukał kilka razy.

– Wejść! – odezwał się męski głos.

– Właż.

To była niewiarygodna ulga, powodująca drżenie rąk, zobaczyć w gabinecie Ałowa. Ten nie mógł torturować. Był fanatykiem, łajdakiem, ale nie katem...

Pod wielkim portretem Lenina siedziała nieładna, wczesnie postarzała maszynistka z wypukłym czołem i opuszczonymi kącikami warg. Ze zmęczeniem, bez ciekawości, zerknęła na Klimę i poprawiła kartkę wkręconą w wałek maszyny.

Tak, na pewno nie stanie się nic strasznego. Nie będą go bić przy kobiecie.

Ałow głośno wysmarkał się w chustkę i wskazał Klimowi krzesło pośrodku pokoju.

– Siadajcie.

Nogi mebla zostały przykręcone do podłogi pokrytej sfatygowanym żółtym linoleum. Dobrze, to jeszcze nic nie znaczy. Zwyczajne umeblowanie w pokojach przesłuchań. Wdech i wydech, zebrać myśli, a najważniejsze nie powiedzieć czegoś niepotrzebnie!

Ałow był najwyraźniej chory. Oczy miał zaczerwienione, nozdrza podrażnione od kataru. Długo oklepywał się po kieszeniach, potem po kolei zajrzał we wszystkie szuflady biurka.

– Chcesz papierosa? – zapytał, znalazłszy wymiętą paczkę Dymku. – Nie? To źle. No dobra, szybko załatwimy nasze sprawy i idziemy do domu.

Maszynistka zastukała w klawisze, wózek brzęknął i odjechał z powrotem w skrajne położenie.

Ałow położył na stole kopertę z adresem napisanym ręką Klimy: „Poczta Główna w Londynie, do wydania na żądanie pana Smitha”. Z pieczęci wynikało, że list został wysłany z Warszawy prawie rok wcześniej.

– Poznajesz?

Klim wzruszył ramionami.

– Nie pamiętam, co to jest.

– Adresat nie zjawił się po list, więc został odesłany do nadawcy, czyli do Klimy Rogowa. Na granicy otworzono go i wiesz, co się okazało?

Ałow odłożył papierosa na popielniczkę i wyjął z koperty kilka przedziurawionych

pocztówek, rozłożył je w wachlarz. Na jednej z nich Stalin miał otworek w głowie.

Klim wreszcie sobie przypomniał. To były pocztówki, które Kitty chciała powiesić na choince. W poprzednią Wigilię Klim włożył je do tej koperty, nie patrząc nawet, co do niej pakuje. A list oddał Reichowi.

– A zatem jakie możemy wyciągnąć z tego wnioski? – zapytał oskarżycielsko Ałow. – Dawny białogwardzista Klim Rogow i jego żona, Nina Kupina, zostali zwerbowani przez chiński wywiad w celu prowadzenia działalności szpiegowskiej i sabotażu. Otrzymali rozkaz zabicia towarzysza Stalina, na co istnieją niezbita dowody.

– To nieprawda – przerwał mu Klim, ale zaraz się zreflektował. Prawda nikogo nie interesowała. Ałow doskonale wiedział, że to wszystko bzdury, i po prostu pokazywał Klimowi, w jakie bagno wpadł.

– Wiesz, mam sąsiada, który jest fachowcem od preparowania szkieletów – rzekł Ałow. – Takich specjalistów w całym Związku Radzieckim jest najwyżej dziesięciu. To cała dyscyplina wiedzy. Najpierw moczą trupa przez pół roku, żeby mięso oddzieliło się od kości, potem bielą je chlorem i suszą na słońcu, a dopiero na końcu składają w całość. Jak chcesz, to zrobimy z ciebie szkielet do gabinetu przyrodniczego. A ja dopilnuję, żeby go wystawili w szkole przy domu dziecka, w którym znajduje się twoja Kitty. Nawet byłoby to zabawne, gdyby wchodziła do klasy, a tam tatuś się uśmiecha.

Maszynistka ledwo dosłyszalnie prychnęła.

– Ale jeżeli mister Rogow będzie się zachowywał dobrze, obejdzie się bez szkieletów – dodał przyjacielskim tonem czekista. – No to od samego początku. Kto was wysłał do Związku Radzieckiego?

– Nie zamierzam nic mówić, jeżeli nie zostanie wezwany Owen – odparł Klim.

Ałow patrzył na niego przekrwionymi oczami, a potem się nagle rozkaszał.

– Kurwa twoja mać! – wrzasnął niespodziewanie. – Myślisz, że nie mam co robić, tylko się z tobą użerać?! Kuriechin, Filippow, do mnie!

Klim spróbował się poderwać, ale już wykręcili mu ręce i przykuli je do krzesła.

Ałow znów się wysmarkał w mokrą chustkę i powiedział do maszynistki:

– Piszcie, Olgo Rustemowno: „Protokół przesłuchania podejrzanego...”.

Wózek brzęknął i żelazne litery młoteczków jedna za drugą zaczęły uderzać w papier.

Do czegokolwiek by się Gala zabrała, nic jej nie wychodziło. Nie umiała się nawet zabić. Przywieziono ją do szpitala, wyplukano żołądek i wysłano na ogólną salę.

Całymi dniami leżała odwrócona do ściany, starając się o niczym nie myśleć. Ale nie była w stanie wyłączyć umysłu. Co się dzieje z Klimem i Niną? Co z Tanią? Czy ktoś ją chociaż podkarmił?

Z początku sąsiadki próbowały rozmawiać z Galą, ale potem zostawiły ją w spokoju.

– Ona jest jakaś ten... malacholiczna – wyjaśniały młodej lekarce, która przyszła na obchód.

– No i co taka smutna? – wykrzyknęła ta z dezaprobatą. – Jak się czujemy?

– Porzucona – odparła Gala i natychmiast tego pożałowała.

Lekarka klasnęła w ręce i zaczęła mówić, że w radzieckich placówkach medycznych to niedopuszczalne i zaraz natrze uszu przełożonej pielęgniarek za brak dbałości o pacjentów.

Ałow przyszedł do Gali dopiero piątego dnia i od progu zaczął na nią wrzeszczeć, że jest głupią histeryczką. Nie zapytał ani o samopoczucie, ani o Tanię.

– To przeze mnie chciałaś się otruć? Przecież wytłumaczyłem ci, w czym sprawa!

Płonąc z ciekawości, sąsiadki przysłuchiwały się jego słowom. Ciekawiło je bardzo, dlaczego Gala postanowiła ze sobą skończyć.

Ałow chwycił kobietę za rękę.

– Jedziemy! Jesteś mi pilnie potrzebna! Lekarka powiedziała, że możesz chodzić, więc zabieram cię na Łubiankę.

Ałow spojrzął na sąsiadki Gali i pochylił się do jej ucha.

– Przesłuchujemy twojego Rogowa, a on nie chce się do niczego przyznać. Pomożesz go zmiękczyć?

Gala patrzyła na niego w osłupieniu. Klim został aresztowany?! Ale przecież miał wyjechać.

Ałow zdarł z niej kołdrę.

– Ubieraj się! Niedługo będzie u nas czystka, dobrze by było, żebyś się zaczęła wykazywać jakimiś rezultatami.

Kiedy wsiedli do służbowego samochodu, Ałow powiedział, że Klim już dwie doby siedzi na „konwejerze”. Tak nazywano nieprzerwane przesłuchanie, kiedy klienta przekazywano od czekisty do czekisty, nie pozwalając mu odetchnąć ani zebrać myśli.

– Uparty gad! – krzyczał wzburzony Ałow. – Twoje zadanie to wytrząsnąć z niego adres Niny Kupiny. Przecież jesteście w dobrych stosunkach? Teraz pracuje z nim Krajalnica, a potem ty pójdziesz wytłumaczyć mu, że szczerze zeznania stanowią dla sądu okoliczność łagodzącą.

Krajalnicą nazywali bladą, bezbarwną kobietę służącą w ochronie. Lubiła mówić o wzniosłych sprawach, znała mnóstwo wierszy i nawet próbowała poprawiać swoją urodę: wyskubywała brwi na niteczki i farbowała włosy perską henną. Od czasu do czasu zapraszano ją do wewnętrznego aresztu, bo jak nikt inny umiała demaskować wrogów.

– Rogowa biją? – spytała cicho Gala.

Ałow potrząsnął głową.

– Jak by to powiedzieć? W zasadzie nie. Na razie postanowiłem obejść się bez tego. Bo może trzeba będzie urządzić pokazowy proces?

Gala patrzyła w okno i myślała o tym, że zamieniła się w błękitną, na wpół przezroczystą zjawę. Niedawno umarła, a teraz wiatr niósł ją w znajome miejsca.

Ałow opowiadał coś o czystce i o tym, że kilka dni leżał z gorączką i nie zdążył należycie wykuć *Historii WKP(b)*. On też był zjawą, drobiną ledwie pulsującej, zanikającej energii. Żeby całkiem nie zgasnąć, musiał czerpać siłę z innych. Teraz wysysał Klima i Galę.

Ałow chwycił ją kurczowo za łokieć i zaniósł się gwałtownym kaszlem.

– Patrz tylko, co się dzieje! – wymamrotał, ocierając łzę. – Na lewą stronę mnie wywraca, a już żadna tabletką nie została. Słuchaj, sikoreczko, jeżeli skłonisz Rogowa do mówienia, poproszę Drachenbluta, żeby cię zostawił w służbie. Może być?

Gala skinęła głową.

Samochód wjechał na wewnętrzny dziedziniec i zatrzymał się przed budynkiem więzienia. Ałow wysiadł prędko i popędził Galę.

– Szybciej, idziemy! Muszę jeszcze powtórzyć sobie materiały z Piętnastego Zjazdu Partii. Głowa mi się zrobiła całkiem dziurawa, nic nie pamiętam!

Przeszli przez wartownię i zeszli do piwnicy. Strażnik, chłopak o zadartym nosie i w zbyt wielkiej czapce, poszedł z nimi.

– Jak tam Krajalnica? – spytał Ałow.

– Stara się, zdzira! – Chłopak się uśmiechnął.

Skręcili w boczny korytarz i Gala usłyszała przekleństwa wygłaszane piskliwym kobiecym głosem.

Ałow popatrzył na towarzyszkę z niepokojem.

– Sikoreczko, dlaczego się trzęsiesz? Dopada cię gorączka?

Strażnik otworzył drzwi, zza których dochodziły wrzaski Krajalnicy.

– Słuchaj, przynieś Gali gorącej herbaty – poprosił Ałow zadartonosiego. – Całkiem się rozkleiła.

– Zaraz zorganizujemy – odparł strażnik.

Ałow poklepał Galę po ramieniu:

– No dobrze, pójdę już. Pogadamy, kiedy będą rezultaty.

Skierował się do bufetu, już nabitego pracownikami Wydziału Zagranicznego.

Wszyscy chwyтали się za serca i zgadywali, co będzie. Czystkę miał przeprowadzać Iwanow, stary formalista z Centralnej Komisji Rewizyjnej. Drugim członkiem komisji ustanowiono Drachenbluta, a nazwiska trzeciego nikt nie znał. Czekiści modlili się, żeby nie okazał się nim ktoś z obozu Jagody.

Ałow usiadł przy stoliku i wyjął z kieszeni złożoną na cztery ściągę.

Tak... Dyrektywy dotyczące pierwszej pięciolatki... plan kolektywizacji... walka z trockizmem...

Boże, po co to komu potrzebne? Dlaczego nie dadzą ludziom spokojnie pracować?

Spojrzał na zegar ścienny. Zdąży Gala wyciągnąć z Rogowa potrzebną informację? Drachenblut z pewnością będzie pytał o aresztanta. Trzeba powiedzieć Krajalnicy, żeby sobie nie żałowała i nie oszczędzała w technikach. Diabli z głupimi sentymentami! Ałow musiał ratować siebie!

Wstał, żeby wrócić do więzienia, ale w tej chwili do bufetu wpadła zarumieniona Eteri Bagratowna.

– Towarzysze, zaczęła się czystka! Komisja już obraduje!

Podniósł się gwar.

– A kto jest na trzeciego?

Sekretarka powiodła po kolegach wzburzonym spojrzeniem.

– Trzecim będzie towarzysz Babłojan.

Czekiści zaczęli klaskać. Babłojan był wesołym i łagodnym człowiekiem, nieraz pomagał pracownikom Wydziału Zagranicznego. Jak wszyscy wyżsi partyjni urzędnicy piastował jednocześnie wiele funkcji, w tym nadzorował działalność sowieckich organizacji kontrolujących związki zawodowe za granicą. A przez związki zawodowe można było uzyskać wiele dóbr doczesnych.

– Drachenblut to jednak mędrzec! – zachwycił się głośno Wałachow. – To dlatego nie było go w ostatnich dniach! Na pewno pił wódkę z Babłojanem i przeciągał go na naszą stronę!

– Cudownie! – Żarkow zacierał ręce. – Chłopaki z Komisariatu Spraw Zagranicznych nie mniej od nas nienawidzą Jagody. Nie chcieliby, żeby nas zniszczył.

Ałow był jedynym, który nie radował się z wyznaczenia Babłojana. Pomyślał od razu, że ten specjalnie wkręcił się do komisji, żeby się go pozbyć i zabrać sobie Dunię.

Drzwi zamknęły się za Galą, szczęknął zamek, a ona zrobiła krok w stronę skulonej postaci, przykutej do krzesła.

– Jeszcze nie skończyliśmy! – warknęła Krajalnica, patrząc z niezadowoleniem na przybyłą. Jej ruda grzywka nastroszyła się nad czołem niczym koguci grzebień.

– Zmienię was – powiedziała Gala, nie słysząc nawet własnego głosu.

Podeszła do biurka i pokonując wewnętrzny opór, popatrzyła na Klima. Siedział z nisko opuszczoną głową, na ziemistobladej twarzy ciemniała wielodniowa szczecina, włosy miał zlepione, wargi spierzchnięte i zapieczone.

Podniósł zdumione spojrzenie na Galę.

– Witaj...

Cofnęła się odruchowo. Co tu się wyrabiało? Czy oni wszyscy powariowali?!

Krajalnica wyjęła z kabury pistolet, odsunęła Galę, podbiegła do Klima.

– Jak śmiesz tak się odzywać?! Myślisz, że znajdziesz sobie tutaj jakieś przyjaciółki?!

Wetknęła lufę pod brodę mężczyzny i zmusiła go do odchylenia głowy. Na jego szyi czerwienił się długi krwawy ślad od podduszania.

Krajalnica z całej siły uderzyła więźnia w splot słoneczny. Jęknął głucho i zaczął się krztusić.

– Ałów zabronił go bić! – krzyknęła Gala.

Krajalnica się odwróciła, odłożyła pistolet na biurko i natarła na Galę piersią.

– A ty to w ogóle kto?! Może sama chcesz dostać po mordzie?!

Skrzypnęły drzwi, do pokoju wszedł strażnik z herbatą.

– Proszę! Tylko ostrożnie, bo gorąca.

Krajalnica wzięła szklankę.

– *Merci.*

Gdy tylko drzwi się zamknęły za strażnikiem, podeszła do Klima i niezbyt mocno kopnęła go w nogę.

– Ty, słuchaj... Ostatni raz po ludzku pytam, gdzie się ukrywa Kupina?

Rozpięła Klimowi koszulę i pogrzebała mu za pazuchą.

– Gadaj, póki wszystko masz jeszcze tutaj miękkie i ciepłe. Bo gdy poleję wrzątkiem, żywego miejsca nie zostanie!

Klim się szarpnął.

– Nie trzeba! – chlipnęła Gala.

– Taaaak, nie będziemy współpracować? – zapiąła Krajalnica i zaczęła powoli przechylać szklankę. – Trzeba zastosować lepsze metody!

Gala chwyciła z biurka pistolet i strzeliła Krajalnicy w głowę.

Klima wepchnęli z powrotem do wspólnej celi. Rozmowy natychmiast umilkły, aresztanci zamarli, patrząc z przerażeniem na pobitego.

Podszedł chwiejnie do umywalki, ale tak mu się trzęsły ręce, że nie mógł odkręcić kranu. Achmed podskoczył i pomógł mu napełnić kubek wodą.

– Zaraz, zaraz, kochany...

Klim pił długo, dzwoniąc zębami o brzeg kubka. Połowa wody się wylewała.

– Hej – odezwał się Bilard. – A ty co taki cały we krwi?

Klim spojrzął po sobie. Gors i rękawy koszuli były zbryzgane krwią i mózgiem.

– Zabili tam dwie kobiety – odparł.

– Kto? Straż?

Klim skinął głową. Usiadł na narach i spróbował zdjąć koszulę, ale palce nie chciały go słuchać. Ktoś mu pomógł.

– Połóż się, połóż. – Achmed się krzątał. – Zaraz wszystko minie... Posiedzimy tu w nogach, żeby cię zasłonić. Strażnik nic nie zobaczy. Bo wiesz, że w dzień leżeć nie wolno.

Klim zwałił się ciężko i nakrył się płaszczem po czubek głowy. W uszach mu szumiało, przed oczami przesuwwały się twarze czekistów. Ilu ludzi przesłuchiwało go przez ostatnie dwie doby? Nie mniej niż dziesięciu.

Kiedy Gala uniosła pistolet, Klim zmrużył oczy i pomyślał: Nareszcie koniec! Gruchnął strzał i w twarz bryznęło mu gorącym. Ruda baba, stojąca nad nim, runęła na podłogę, wylewając na siebie wrzątek. Zamiast oka w jej głowie ziała czarna dziura.

Potem wszystko się przemieszało: zapach prochu, tupot butów, zgrzyt otwierających się drzwi i kolejny strzał, od którego zatkało Klimowi uszy. Gala powoli osunęła się na linoleum. Na ścianie za nią pojawił się rozmazany krwawy ślad.

Wyłączyć pamięć... wyłączyć życie... Nie miał już na nic siły.

Do świadomości docierały jakieś głosy. Aresztowani duchowni śpiewali coś cerkiewnego, ale Klim nie potrafił rozpoznać słów.

Elkin zginął... Teraz też Gala... Chciała ocalić Klima, ale równie dobrze można by wykopywać łyżką człowieka spod kamiennej lawiny.

Teraz czekięści zabiorą trupy, zmyją podłogę i znów wezmą Klima na „konwejer”.

Rozdział 36

Wielka czystka

Czystkę zorganizowano w świetlicy, dokąd przytaszczono stół prezydialny i krzesła z całego piętra. Ludzi napchało się tyłu, że nie było czym oddychać.

Ałow znalazł miejsce w dalekim kącie, za Dianą Michajłowną. Jakże się obawiał, że zaczną go dręczyć ataki kaszlu! Powstrzymywał się ze wszystkich sił, robił się purpurowy na twarzy, ale i tak nie wytrzymał i charczał w kułak.

Iwanow, niechlujny staruch z przystrzyżoną na ostro bródką, oświadczył obecnym, że nadeszła pora pozbyć się w OGPU odszczepieńców, którzy przeszkadzają w budowie nowego świata.

Ałow tępo patrzył na plastikowy grzebyk we włosach Diany Michajłowny i marzył o tabletkę, której nie miał skąd wziąć.

– A zatem do dzieła, towarzysze – powiedział Babłojan, zaglądając w listę pracowników. – Jako pierwszy stanie przed komisją Wałachow.

Wywołany wstał i czerwieniejąc, zaczął przedstawiać swój życiorys. Najwspanialszą chwilą w jego życiu było złożenie donosu na białego oficera, który ukrył się w szopie sąsiadów. I biały, i ci, którzy go przechowywali, zostali rozstrzelani, a Wałachow otrzymał rekomendację do gubernialnego oddziału CzK. Niebawem przeniósł się do Moskwy, a tutaj zauważył go towarzysz Drachenblut. Ot, i wszystko.

– Jakies pytania? – zapytał Babłojan ucichłych czekistów.

Iwanow długo przeglądał ankietę Wałachowa.

– Tutaj napisano, że jesteście członkiem trójki patronów Komunistycznego Uniwersytetu Ludu Pracującego Chin. Jakie patronackie działania podejmujecie?

Wałachow z przestrachem spojrzął na kolegów.

– Najróżniejsze... No, ważne w sensie ideologicznym.

W sali zaczęły się prześmiechy. Wałachow niedawno sam opowiadał, jak chodził do studentek i po pijanemu włamał się do damskiej szatni.

Ani trochę nie orientował się w zagadnieniach politycznych ani w politycznej ekonomii, nic nie wiedział nawet o bieżących wydarzeniach na świecie.

Iwanow triumfował:

– To jest właśnie poziom wiedzy waszych pracowników. Wstyd!

Wałachow chwycił się za serce.

– Ale przecież jestem całymi dniami na służbie! Kiedy mam niby czytać?!

– Zdaje mi się, że towarzysz Wałachow to nasz człowiek – stwierdził pojednawczym tonem Babłojan. – Całkiem niedawno nie umiał nawet czytać, a teraz powierza mu się bardzo poważne sprawy. Widać u niego postępy i można mieć nadzieję, że w przyszłości Wałachow będzie o wiele lepiej przygotowany teoretycznie.

Większością głosów – Babłojana i Drachenbluta – Wałachow zachował legitymację partyjną.

W rzędach krzesel rozległo się westchnienie ulgi, ale później sprawy nie szły już tak gładko.

Pracownicę, która powinna jechać jako nielegal do Paryża, wyrzucili z partii za to, że jej ojciec był prezbiterem. Pozostawiono natomiast Dianę Michajłownę, chociaż jej ojciec był za cara radcą tytularnym.

Z początku nikt nie chciał zadawać pytań kolegom, bo wszyscy bali się rewanzu, kiedy przyjdzie ich kolej, ale stopniowo ci, którzy już się wybronili, zaczęli przypominać sobie o bezprawnie otrzymanych skierowaniach, wykorzystywaniu telefonów do prywatnych celów i romansach w pracy.

Eteri Bagratowna wydała komisji księgową, która wywiesiła ogłoszenie o sprzedaży zagranicznych pantofli:

– To spekulantka!

Ani jeden z przepytanych nie potrafił wyjaśnić, czym różnią się trockiści od prawych synów partii. Ludzie tak zapamiętali walczący z kontrewolucją nie mieli pojęcia, na czym ona polega.

Iwanow chwycił się za resztki siwych włosów.

– I to jest Wydział Zagraniczny, sam kwiat OGPU!

Im dalej to szło, tym stawało się jaśniejsze, że jako czekiści pracowali awanturnicy, poszukiwacze łatwego życia i najzwyczajniejsi biurokraci – małoduszni, pamiętliwi i ciemni jak tabaka w rogu. Obwarowali się w swojej łubiańskiej twierdzy niczym hieny w skalnych rozpadlinach. Polowali dlatego, że chcieli żreć, a trzymali się swoich stanowisk ze względu na to, że czekistów bali się wszyscy i wszędzie, a oni nie musieli obawiać się nikogo, oprócz hien z sąsiedniego legowiska.

Ałow nie podnosił ręki i nie zadawał pytań. Było oczywiste, że opinia współpracowników nie ma najmniejszego wpływu na decyzje komisji. Drachenblut i Babłojan zawczasu się umówili, kogo ratować, a kto ma iść na dno, i większością głosów decydowali we wszystkich kwestiach.

Posiedzenie ciągnęło się już trzy godziny.

– Och, szybciej, szybciej! – ledwo dosłyszalnie szeptała Diana Michajłowna. – Zaraz zamkną wszystkie sklepy, a u mnie w domu pustki.

Ałow próbował wyjść do toalety, żeby przy okazji sprawdzić, jak idzie sprawa Rogowa, ale mu nie pozwolili.

– Wcześniej trzeba było o potrzebie myśleć! – warknął Iwanow.

Wychodzić mogła tylko Eteri Bagratowna, która przynosiła wodę w karafce albo nowy ołówek w miejsce złamanego.

Po jednym z takich wyjść podeszła do stołu prezydialnego i powiedziała coś członkom komisji. Drachenblut i Babłojan wymienili spojrzenia.

– No cóż – rzekł złowieszczo Iwanow i spojrzał na struchlałych czekistów – zajrzemy teraz w sprawę towarzysza Ałowa.

Babłojan przysunął sobie jego ankietę i nagle zaczął sypać pytaniami, niemającymi nic wspólnego z marksizmem. Pytał o Dunię i teatr.

Ałow nie mógł się bronić, bo dusił go kaszel.

– Obawiam się, że on zupełnie zatracił poczucie walki klasowej – oznajmił Babłojan. – Skąd w nim to pańskie podejście do twórczości proletariackiej młodzieży?

Iwanow pokiwał głową.

– Działalność tego obywatela najzupełniej nie odpowiada wymaganiom naszej ideologii.

Drachenblut spokojnie słuchał ich opinii o niedopuszczalnym szowinizmie i niskim poziomie moralnym podwładnego.

– Ktoś może potwierdzić, że Ałow oderwał się od mas? – zapytał.

Czekiści, którzy jeszcze nie byli słuchani, błyskawicznie zrozumieli, że Ałow jest pewnym kandydatem do wylotu i może zrobić miejsce dla nich.

Zaatakowali całym stadem jak rannego jelenia. Nawet Żarkow nie wytrzymał:

– On już dawno nie ma żadnej społecznej fizjonomii!

Ałowowi nie przedstawiono ani jednego konkretnego zarzutu. To były tylko etykiety, słowa, którymi określano coś złego. Co mógł odpowiedzieć? „Mam społeczną fizjonomię”?

Ałow spojrzał błagalnie na Drachenbluta, ale ten nie patrzył nawet w jego stronę.

– Niestety, Ałow nie potrafił ułożyć współpracy z zagranicznymi korespondentami i przeciągnąć ich na naszą stronę. Rezultat jego pracy jest taki, że zmienia potencjalnych przyjaciół ZSRS we wrogów. Uważam, że nie ma dla Ałowa miejsca w szeregach partii! Głosujemy!

Decyzję podjęto jednogłośnie.

Posiedzenie się zakończyło. Pracownicy chwycili za krzesła i rozbiegli się po swoich gabinetach, jedni szczęśliwi, inni zrozpaczeni.

Ałow zatrzymał Drachenbluta przy drzwiach.

– Glebie Arnoldowiczu, Babłojan napadł na mnie z powodu mojej żony. To przecież znany babiarcz, rozpuszcza pogłoski o swojej impotencji, a sam... Przecież widzieliście!

– To nie moja sprawa – odciął się Drachenblut.

Chciał pójść dalej, lecz Ałow stanął mu na drodze.

– Proszę mi pozwolić dokończyć postępowanie! Mam w celi Rogowa, jest teraz u niego Galina Dorina, a do wieczora będą gotowe zeznania...

– Nie ma już twojej Doriny. Została zastrzelona. Coś jej się w głowie pomieszało i zabiła tę... jak jej tam... Krajalnicę.

Ałowowi pociemniało w oczach.

– Co?!

– Idź do domu i się lecz – powiedział Drachenblut. – Przepustkę oddasz warcie. Od jutra jesteś zwolniony.

Klima zbudzili nad ranem.

– Rogow? Z rzeczami do wyjścia.

Z rzeczami? To albo przeniesienie gdzie indziej, albo rozstrzelanie. Klim już nie czuł niczego, oprócz szarej pustki i obojętności. Tylko serce go bolało. Czyżby nadchodził zawał? Co za głupota...

Aresztanci patrzyli w milczeniu, jak Klim wkłada smoking na gołe ciało.

– Boże na niebie! – zamruczał Bilard i odwrócił się na drugi bok.

– Żegnaj – powiedział Achmed samymi wargami.

Klim wyszedł na korytarz.

– Naprzód. W prawo. W dół po schodach – cedził ziewający co chwila konwojent.

Klima wprowadzili do pokoju na parterze, gdzie za przegródką siedział dyżurny. Podsunął aresztantowi blankiet decyzji o zwolnieniu.

– Podpiszcie!

Klim nic nie rozumiał. A cóż to za podstęp? Co czekał znowu wymyślili?

Sztywnymi palcami ujął pióro, umoczył je w kałamarzu i podpisał dokument.

Dyżurny wysypał na stół skonfiskowane rzeczy: szelki, klucze od domu i wszystko inne.

– Wybaczcie, ale wasze aresztowanie okazało się pomyłkowe.

Klim zajrzał do portfela – nawet pieniądze były na miejscu.

Wyprowadzili go za bramę i zostawili samego.

Kiedy Klim siedział na Łubiance, spadł śnieg i Moskwa odmieniła się zupełnie. Z poprzedniego Klima Rogowa też niewiele zostało. Jeszcze nie ogarnął całej tej przemiany, ale działo się z nim coś złego. Ból w okolicach serca nie słabł, a w głowie dźwięczał mu daleki brzęk dzwonek, niczym w pozytywie. To był najpewniej omam słuchowy.

Klim zawsze z wielką obawą traktował wszelkie objawy chorób, ale teraz nie czuł ani lęku, ani potrzeby konsultacji lekarskiej. Po prostu poszedł do domu.

W jednym z zaułków dostrzegł niewielki tłumek czytający obwieszczenie na bramie. To była lista osób pozbawionych praw publicznych i podlegających natychmiastowemu wysiedleniu.

Chłopaczek w przykrótkim palcie trzącał obwieszczenie dłonią w rękawicy z jednym palcem i udawał, że jest cennym członkiem społeczeństwa.

– Nie mogę być liszeńcem, bo uczę się na kreślarza! Chcecie, to pokażę legitymację studencką!

Tłum milczał, unosiła się nad nim tylko para oddechów.

Na innych bramach wisały podobne listy. Widocznie na Kremlu podjęli decyzję, aby uwolnić Moskwę od wszelkiego potencjalnie groźnego elementu. To była czystka

ogólnospołeczna.

Trzeba było opracować plan działania. Skoro partia zaczęła zmasowane natarcie na „kontrę”, uwolnienie Klima musiało stanowić jakiś niezwykle szczęśliwy zbieg okoliczności. Może chodziło o biurokratyczną omyłkę, której nie zauważono na czas?

Rogow poklepał się po policzkach, próbując zebrać myśli.

Najpewniej za kilka godzin spróbują znów mnie aresztować – pomyślał. – Tak... Punkt pierwszy to dowiedzieć się, co z Kitty, a potem się zobaczy.

– Panie! – zawołał Afrykan, widząc Klimę wchodzącego do sieni. – Mój kochany! Wróciłeś!

– Gdzie jest Kitty? – zapytał natychmiast Klim.

Afrykan spuścił wzrok.

– Magda ją zabrała. Kazała też Kapitolinie niezwłocznie jechać na wieś, a mnie dała rubla, żebym się napił za rewolucję październikową.

Klim od razu poczuł ulgę. No proszę, zdarzają się święte kobiety!

– Twoje mieszkanie najpierw opieczętowali – meldował dozorca, idąc za Klimem na piętro – a dzisiaj w nocy zjawili się jacyś w mundurach, poszli tam i długo nie wychodzili. Pieczęcie z drzwi zerwali, najwidoczniej nic nie znaleźli.

Klim wszedł do mieszkania. Widać było, że dokonano tutaj rewizji. Zrywali nawet parkiet, a potem go ułożyli, tyle że krzywo. Na podłodze zostały ślady butów i delikatny nalot pyłu tynkowego.

Walizki z rzeczami stały na miejscu, a na jednej z nich leżała koperta z pieczęcią państwową. Klim rozerwał list i wyjął pismo.

Zawiadamiam, że tow. I.W. Stalin przyjmie was na Kremlu 13 listopada o 19.00.

Klim nic już nie rozumiał. Wychodziło na to, że aniołem stróżem, który wyciągnął go z kryminału, był sam sekretarz generalny partii bolszewickiej. Ale czyżby mu nie zameldowali, iż mister Rogow okazał się „białogwardzistą i szpiegiem”, a także nie pracuje już w United Press?

Klim spojrzał na Afrykana.

– Przynieś, proszę, węgla do piecyka łazienkowego. Muszę się doprowadzić do porządku.

Kiedy stary wyszedł, Klim podniósł słuchawkę i zadzwonił do Magdy.

– Jestem u siebie.

Kitty wpadła do mieszkania i rzuciła się Klimowi na szyję.

– Tatko... Tatuleńku... – powtarzała nieustannie.

Maga patrzyła na nich z czułością.

– Już myślałam, że więcej pana nie zobaczę! – chlipnęła w porywie uczuć. – Przyniosłam jedzenie, bo tam pana pewnie głodzili?

Kuchennego stołu nie było, zabrała go Kapitolina, więc Magda zaczęła wyklądać produkty na gazetę, którą położyła na fortepianie.

– Dostałam telegram od Seiberta. Nina przyjechała, w Berlinie wszystko dobrze, tylko Elkin jeszcze się nie pojawił.

– Zatrzymali go na granicy – odparł Klim i krótko opisał, co wydarzyło się na Łubiance. – Prawdę mówiąc, zupełnie nie rozumiem, dlaczego Stalin postanowił mnie ocalić.

– To nie Stalin, tylko ja z Babłojanem! – Magda roześmiała się i podała Klimowi kanapkę. – Kiedy się rozstaliśmy po wiecu, przypomniałam sobie o maści na piegi. Bardzo jej potrzebuję, a Friedrich wciąż zapomina przywieźć. Chciałam więc, żeby się pan z nim spotkał w Berlinie i przypomniał o mojej prośbie. Pobiegłam za panem, ale zobaczyłam, jak pana aresztowali.

Magda pojechała później na Czyste Prudy, zabrała Kitty, a następnie udała się na bankiet do Babłojana.

– Nie ma pan pojęcia, jak się ucieszyłam, kiedy wyszło, że on mówi po angielsku! – wykrzyknęła. – Napomknęłam mu, że jeśli nie uwolni pana z więzienia, na pewno opowie pan o łapówce. Wówczas namówił Stalina, żeby udzielił panu wywiadu, i przekazał czekistom, jaka z pana ważna persona, którą sam gensek darzy zaufaniem. Prosił tylko, żeby nie rozpowiadał pan o tym areszcie. Otwarty konflikt z OGPU nikomu nie jest potrzebny.

– Nawet nie wiem, jak pani dziękować... – zaczął Klim, ale Magda tylko machnęła ręką.

– Nie ma za co! Kiedy pan idzie na wywiad?

Klim zamilkł.

– Nie pójde się spotkać ze Stalinem – oświadczył wreszcie.

– Ale jak to? Przecież to szansa, jaka się zdarza raz w życiu! Zrobi pan na tym karierę! Stalin jeszcze nigdy nie udzielił wywiadu dziennikarzowi zagranicznemu!

– Brzydziłbym się obcować z tym człowiekiem. Stalin i jego współpracownicy zajmują się zwykłym rozbojem, a potem udają, że nic strasznego się nie stało.

Klim poklepał fortepian.

– Tutaj wszystko wygląda jak trzeba, prawda? Instrument w pełnym porządku?

Uniósł pokrywę i pokazał Magdzie zwalone na kupę młoteczki i pozwijane struny.

– Właśnie to zobaczyłem tutaj po rewizji. U mnie w środku dzieje się to samo.

– Cholerny romantyk... – westchnęła ze współczuciem Magda. – Jako dziennikarz

popęłnia pan niewybaczalne głupstwo!

– A jako człowiek po prostu się brzydzę. Jeżeli pójdę do Stalina i nie zadam mu pewnych pytań, będzie to znaczyło, że biorę udział w zмовie milczenia. A jeżeli zadam, znów trafię na Łubiankę.

– W takim razie musi pan jak najszybciej wyjechać z Moskwy. Friedrich leci dzisiaj do Berlina, więc proszę się modlić, żeby miał wolne miejsca w samolocie. Paszport i wizy ma pan w porządku?

– Tak.

– No to nie traćmy czasu! Zaraz złapię taksówkę.

Magda rzuciła niedojedzoną kanapkę i wybiegła z mieszkania.

Klim zawołał Kitty.

– Chodź, córeczko! Trzeba się zbierać.

Zapiął jej płaszczyk i pomógł założyć buciki.

– Tatusiu, a co tutaj masz? – zapytała Kitty, wskazując krwawą kreskę na szyi Klimy.

Pospiesznie poprawił kołnierz.

– To głupstwo, szybko się zagoi.

Ślad po kablu telefonicznym, którym dusiła go czekistka, znajdował się w tym samym miejscu, w którym widniała blizna na szyi Gali.

– Teraz pojedziemy do Tani – powiedział Klim. – Musimy z nią porozmawiać.

– Wczoraj dzwonili z kostnicy i pytali, czy będzie ktoś zabierał ciało Doriny – mówiła Natasza. – A dokąd mamy je zabierać? Nie ma pieniędzy na pogrzeb. Pojechaliśmy z Tanią pożegnać Galę i od razu wzięli ją do krematorium, na koszt państwa. Powiedzieli nam, że poległa przy wypełnianiu obowiązków.

– Tania jest u siebie? – zapytał Klim.

Natasza pokiwała głową.

– Zamknęła się na klucz i nie odpowiada. Już nawet nie próbujemy pukać. Mówię jej, żeby szła do domu dziecka, bo kto ją będzie utrzymywał? Ale to jak rzucać grochem o ścianę.

Tania otworzyła drzwi, kiedy zapukała do niej Kitty, ale gdy tylko Klim wszedł do pokoju, skoczyła do szafy i zaczęła skuczeć niby chory wilczek.

Kitty rzuciła się do niej.

– Nie płacz, kochana!

– Taniu, mamy bardzo mało czasu, dlatego musisz się szybko zdecydować – powiedział Klim. – Masz prosty wybór. Albo pójdiesz do domu dziecka, albo wyjedziesz ze mną i Kitty za granicę. Decyduj się.

– Nigdzie nie pojadę! – krzyknęła ze złością Tania.

Klim westchnął.

– Cóż, wszystko jasne. Kitty, chodź.

Mała niechętnie oderwała się od Tani.

– Bardzo cię kocham.

Wyszli z mieszkania i zaczęli schodzić.

– Poczekajcie! – Głos Tani zabrzmiał głośno na klatce schodowej.

Klim spojrzał w górę. Tania patrzyła na nich, przechylona przez poręcz.

– Nie mogę iść do domu dziecka! Mieszkałam w internacie...

– Jedź z nami! – zawołała Kitty.

Gubiąc po drodze zdeptane kapcie, Tania zbiegła do nich i zatrzymała się niepewna, jakby natknęła się na niewidzialną ścianę.

– Ale jak możecie mnie zabrać za granicę? Do tego potrzebne są dokumenty.

– Wpiszę cię w paszport, to wystarczy.

Tania zagapiła się na niego, nie wierząc własnym uszom.

– Chcesz mnie, wujku, adoptować?

– Twoja mama uratowała mi życie.

– Jak? Kiedy?

– Później ci opowiem. Zbieraj się. Taksówka na nas czeka.

Rozdział 37

Zamach na Stalina

Ałow nie odważył się opowiedzieć żonie o wynikach czystki, a Wałachow wyjechał z pilnym zadaniem.

Rano następnego dnia Ałow zaczął obserwować Dunię. Czy naprawdę nie wyczuje kobiecym sercem, że spotkało go nieszczęście? Nie, nic nie wyczuła. A może już wszystko wiedziała i była zmówiona z Babłojanem?

Ałow wiedział, że jego życie jest skończone. Do innej pracy nie mógł pójść, bo kto będzie rozmawiał z typem wyrzuconym z partii i z OGPU? Przywoływał z pamięci znajomych. Do kogo można by się zwrócić o pomoc? Do nikogo... Jedyne Gala mu pomagała, nie żądając nic w zamian.

Kiedy Dunia wróciła z pracy, życzliwi sąsiedzi zawiadomili ją, że mąż cały dzień spędził w domu. Dopiero wtedy do niej dotarło, że został zwolniony, i ku zdumieniu Ałowa, wcale się nie zmartwiła.

– Nawet się cieszę, że już nie pracujesz na Łubiance.

– Zgłupiałaś?! – wrzasnęła. – Nie będziemy mieli pieniędzy na życie, rozumiesz? Wyrzucą nas stąd, a za twoje marne zarobki nie wynajmiemy przecież kąta!

Dunia wyjęła z torby na zakupy portmonetkę i podała ją mężowi. Wewnątrz spoczywał nowiutki banknot z portretem starca o szerokim czole.

Ałow widział sto dolarów w jednym papierku po raz drugi w życiu. Ostatnio, kiedy pokazano mu rzeczy zabrane Rogowowi.

– Dał ci to Babłojan? – zapytał Ałow, zieleniejąc.

Dunia pokiwała głową.

– Aha. I nie ma co na mnie wrzeszczeć! To honorarium za występ podczas rocznicy rewolucji.

Wszystko było jasne. Rogow dał Babłojanowi łapówkę w walucie, a ten potem rozliczył się tymi dolarami w Dunię.

Ałow zaczepił Dianę Michajłownę, kiedy wychodziła z pracy.

– Kochana... Proszę na rany Chrystusa, niech pani sprawdzi dla mnie numer banknotu ze spisu Reicha!

Kobieta spojrzała przestraszona na byłego przełożonego.

– Ale nie wiem, czy mogę...

– Diano Michajłowna, proszę mi pomóc! Wciągnąłem panią przecież do służby! W końcu zgodziła się oddać mu przysługę i po kwadransie znów wyszła na ulicę.

– Tak, banknot pochodzi stamtąd.

W porywie wdzięczności Ałow pocałował ją w rękę.

– Do końca życia będę pani wdzięczny! A proszę powiedzieć, co tam z Rogowem?

– Został zwolniony dziś rano.

– Kto go zwolnił?!

– Rozkaz podpisał Drachenblut. Popatrzył w jego sprawę i powiedział, że to wszystko jest szyte zbyt grubymi nićmi. Rogowa obciążył jakiś tam nepman.

Ałow chwycił się za głowę. A zatem tak to wygląda! Babłojan wyrzucił go z partii, żeby wypuścić na wolność swojego człowieka. Na pewno porozumiał się z Drachenblutem w zamian za pomoc podczas czystki i sojusz przeciwko Jagodzie. A żeby Ałow nie protestował, został po prostu zwolniony, zbity jak pionek!

Ale dlaczego Drachenblut na to poszedł? Przecież sam żądał, żeby znaleźć pieniądze Reicha! Wiedział, że u Rogowa ujawniono banknoty z zarejestrowanymi numerami...

Nagle Ałow poczuł chłód. Ale przecież nie zapisałem tego w protokole!

Przeklęta choroba tak mu dokuczyła tego dnia, że prawie nic nie kojarzył i nie zarejestrował dokumentów, a potem o wszystkim zapomniał.

Pożegnawszy się z Dianą Michajłowną, pobiegł na wartownię. Musiał pilnie porozmawiać z Drachenblutem.

Z początku Gleb Arnoldowicz absolutnie odmówił spotkania z Ałowem, ale potem się namyślił.

– Co tam u ciebie? – burknął z niezadowoleniem, kiedy były podwładny wszedł do gabinetu.

– Glebie Arnoldowiczu, dlaczego wypuściliście Rogowa? – spytał Ałow drżącym głosem.

– Towarzysz Stalin zaprosił go na wywiad, a byle kogo by nie wezwał.

Ałow przycisnął ręce do piersi.

– Ale przecież Rogow organizuje zamach! Zwerbował Babłojana i dzięki niemu udało mu się uzyskać przełożenie na sekretarza generalnego.

Ałow opowiedział o studolarówce Duni i pieniądzach znalezionych w portfelu Rogowa.

– Przez chorobę nie zdążyłem sporządzić protokołu, ale przecież widzieliście portret Stalina z dziurką w głowie, bo dołączyłem go do akt! To był umówiony znak!

Okazało się, że Drachenblut niczego nie widział. Czytał tylko zeznania Elkina, a koperta z pocztówkami została dostarczona następnego dnia.

– Musimy ratować towarzysza Stalina! – krzyknął Ałow. – Wystarczy, że Rogow przemyci trujący proszek w guziku albo piórze i na pożegnanie rozpyli go w gabinecie... Mam wam to tłumaczyć?!

Drachenblut wezwał Eteri Bagratownę.

– Zapytajcie, kiedy Rogow ma wyznaczony wywiad na Kremlu.

Po pięciu minutach sekretarka zameldowała, że spotkanie ze Stalinem powinno się zacząć o siódmej wieczór. A zegar wskazywał wpół do siódmej.

Na Czyste Prudy i do kremlowskiego biura przepustek wysłano samochody. Ałow siedział jak na szpilkach, a Drachenblut palił bez przerwy i od czasu do czasu podnosił słuchawkę.

– No i co? Znalezliście go? Nie! Taka wasza mać!

O 19.30 zadzwonili z Kremla i powiedzieli, że towarzysz Stalin odwołał spotkanie z korespondentem United Press, jako że ten się nie pojawił.

– Nic nie rozumiem – powtarzał Ałow. – Może spił się z radości, żeście go wypuścili? Ale jak to tak, nie przyjść na spotkanie z samym sekretarzem generalnym?

Drachenblut kazał znaleźć Rogowa żywego lub martwego, sprawdzić wszystkich jego znajomych, wszystkie dworce, szpitale i knajpy.

Wpół do dziewiątej przyszła informacja, że Rogow odleciał.

– Co znaczy „odleciał”?! – wrzasnął Drachenblut na Eteri Bagratownę.

– Samolotem – odpowiedziała nieporuszona. – Poleciał do Berlina jeszcze za dnia, przecież miał wszelkie dokumenty.

Ałow się zerwał.

– Trzeba o wszystkim powiedzieć towarzyszowi Stalinowi! Powinien wiedzieć, że

Babłojan bierze łąpówki od... – zamilkł, widząc lodowate spojrzenie Drachenbluta.

– Uspokój się – powiedział cicho naczelnik. – Nie możemy ruszać Babłojana. Jeżeli wybuchnie skandal, sprawą zajmie się Jagoda i z pewnością wyniucha, co się dzieje z naszymi wpłatami na związki zawodowe za granicą.

Ałow bezsilnie osunął się na krzesło. Dlaczego nie domyślił się wszystkiego wcześniej?!

Pracownicy OGPU za granicą otrzymywali zapłatę w walucie i w niej też płacili wszelkie składki. Na rachunkach w zagranicznych bankach gromadzono znaczące kwoty, a Drachenblut dogadał się z Babłojanem, żeby wykorzystywać te środki do własnych potrzeb. A państwu oddawali zdezwuowane ruble, których realna wartość była dwa razy mniejsza od oficjalnego kursu.

Sowieccy szefowie wszelkich rang podobni byli do lokajów, którzy potajemnie okradają pańskie spiżarnie. Zawiazywali sojusze, żeby sprawniej kraść, a jednocześnie donosili na siebie panu, starając się pozbyć wrogów przy paśniku, i właśnie na tym zasadzała się ich „walka o świetlaną przyszłość”.

– Wiesz, Ałow, na pewno zbyt pochopnie wyrzuciliśmy cię z partii – powiedział w zamyśleniu Drachenblut. – Jednak jesteś dobrym współpracownikiem i czujnym czekistą. Może wyślemy cię na Kubę? Tam na pewno byś się przydał.

Ałow wszystko zrozumiał. Jego przełożony był gotów przymknąć oczy na przestępstwa Babłojana i Rogowa, chciał więc wysłać niewygodnego świadka naprawdę daleko, żeby się nie wygadał.

Drachenblut podniósł słuchawkę.

– Połączcie mnie z wydziałem administracyjnym Komisariatu Spraw Zagranicznych. Dzień dobry, towarzyszu Fiodorow! Potrzebujemy wysłać pracownika do Hawany. Jak jest ze stanowiskiem komendanta? Już zajęte? To zróbcie go kierownikiem biura. Przyjdzie do was człowiek z pismem ode mnie, proszę, wprowadźcie go we wszystko.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na Ałowa.

– Marzyłeś o własnym lokalu? No to będziesz miał pokój z widokiem na morze i palmy! I babę swoją zabierzesz, żeby nam tu w oczy nie laźła.

– A Rogowa z Kupiną wypuścicie? – spytał Ałow słabym głosem.

– Znajdziemy ich, nie martw się.

Klim wiedział doskonale, że to szaleństwo brać ze sobą Tanię. Co powie Nina, kiedy oświadczy jej, że zamierza adoptować jeszcze jedno dziecko, w dodatku córkę swojej kochanki? Tania ze swoim wrednym charakterem na pewno będzie mu działać na nerwy, ale nie potrafił jej zostawić na łaskę losu. Gdyby nie Gala, ruda czekistka by go okaleczyła.

Mieli szczęście. W samolocie były wolne miejsca, a kontrola dokumentów i odprawa celna odbyły się bez przygód.

Młodziutka urzędniczka wyprowadziła Klimę i dzieci na pas startowy, na którym stał samolot pomalowany na jasnoczerwono.

– Jaki śliczny! – zawołała Kitty. – Zupełnie jak zabawkowy!

Samolot naprawdę przypominał zabawkę – nie chciało się wierzyć, że ten domek ze skrzydłami może się wzbić w powietrze.

Klim spojrzął na Tanię. Na szczęście milczała.

Z kabiny wychylił się Friedrich, ubrany w skórzaną kurtkę i pilotkę z okrągłymi nausznikami.

– Mój Boże, żyjesz! – krzyknął na widok Klimy. – A co to za dziewczuchy?

– Moje córki.

Friedrich się zasępił.

– Dobrze, później wszystko opowiecie. Wsiadajcie do przedziału pasażerskiego, startujemy za piętnaście minut. Pierwszy postój w Smoleńsku, drugi w Kownie, trzeci w Królewcu. A stamtąd już mały kawałeczek do Berlina.

W części pasażerskiej znajdowały się cztery skórzane fotele z zagłówkami. Na ścianach były haczyki na ubrania, na prostokątnych oknach zamocowano zasłonki. W tylnej części za przegrodą coś grzechotało, tam umieszczano skrzynie i walizki i samolot drżał za każdym razem, kiedy upychano w nim kolejny ładunek.

Friedrich zajrzał do środka.

– Będzie tu głośno, więc nie zapomnijcie włożyć do uszu zatyczek, są w kieszeni przy każdym siedzeniu. A gdyby zaczęło mdlić, korzystajcie z papierowych torebek.

Tania z Kitty usiadły na jednym fotelu i długo mocowały się z pasem, próbując zgadnąć, jak go zapiąć.

– Nie boisz się lecieć? – spytała Tania.

Kitty pokręciła głową.

– Nie.

Szczęściara – westchnął w duchu Klim. On sam ledwie sobie radził ze złymi przeczuciami. Ileż to razy zdarzało mu się czytać w gazetach o rozbitych aeroplanach!

Drzwi się otworzyły i do samolotu wsiadł jeszcze jeden człowiek.

– O, widzę, że nie lecę sam! – wykrzyknął po angielsku.

To był Oscar Reich – rozpromieniony, w rozpiętym płaszczu i kapeluszu zsuniętym do tyłu.

– Bardzo się cieszę, że pana widzę! – powiedział do Klimy. – To pańskie dzieci? Nie będzie im wygodnie, bo tu okropnie trzęsie. W życiu bym nie latał samolotami, gdyby

nie ważne i pilne sprawy!

Wsunął teczkę pod siedzenie i zastukał w ściankę, oddzielając przedział pasażerski od kabiny pilota.

– Hej, Friedrich! Ogrzewanie naprawiłeś? Bo poprzednim razem mało nie zamarzęm!

W drzwiach pojawił się ogolony na łyso typ.

– Jefim, wsiadaj! – zawołał Oscar, klepiąc sąsiedni fotel. – Polecimy dzisiaj razem z dziewczętami.

Klim zmusił się, żeby uścisnąć im dłonie. Że też ich diabli przynieśli! Pozostawało tylko się cieszyć, że w samolocie będzie hałas i nie trzeba podtrzymywać rozmowy.

– Jesteście gotowi? – zawołał z kabiny Friedrich. – No to lecimy!

Do Smoleńska dotarli bez problemów, jeśli nie liczyć tego, że Tania nagle się rozpląkała, uświadamiając sobie, że zapomniała z domu ojcowej popielniczki i nie pożegnała się z kotem Ipowarem. Wreszcie do niej dotarło, że na zawsze opuściła Moskwę i już nie wróci do mieszkania.

Kiedy samolot znów wzbił się w niebo, zaczęło niemiłosiernie trząść i Tanię od razu zemdliło. Przestraszona Kitty zapłakała i Klim miotał się między nimi, nie wiedząc, co robić.

Oscar i Jefim krzywili się z odrazą i starannie odsuwali nogi, żeby nie wdepnąć w resztki śniadania Tani.

W czasie tankowania w Kownie Tania oznajmiła, że nie wróci do samolotu, i schowała się w damskiej toalecie. Klim musiał ją stamtąd wynosić na rękach ku wielkiemu przerażeniu szacownych litewskich dam.

– Porwali mnie! – wrzeszczała Tania, wierzgając jak oszalały cielak.

Klim postawił ją na ziemi.

– Taniu, popatrz mi w oczy! Bardzo cię proszę, nie dokładaj mi! Nie mogę cię tutaj zostawić, jesteśmy już za granicą. Jeżeli odleć teraz z Kitty, dokąd pójdziesz?

– Nienawidzę samolotów! – płakała Tania.

Prawdę mówiąc, pokusa, aby zostawić ją Litwinom, była wielka. Klim jednak rozumiał dziewczynkę – miała trudne dzieciństwo, dopiero straciła matkę, a teraz leciała nie wiadomo dokąd z człowiekiem, któremu zupełnie nie ufała.

Och, możliwe, że dom dziecka nie byłby dla niej najgorszym wyjściem.

Ścisnęła dłonie Tani.

– Bardzo wiele zawdzięczam twojej mamie... Daję ci słowo honoru, że będę się troszczył o ciebie tak samo jak o Kitty. Po prostu zaufaj mi i wszystko będzie dobrze.

Klim przez cały czas odczuwał bóle w klatce piersiowej i obawiał się, że to może być coś poważnego. W końcu jego ojciec zmarł na atak serca. Wielogodzinna podróż w trzęsącym się pudle też nie sprawiała mu przyjemności. Na dobitkę w jednym samolocie leciał z nim osobisty wróg, sam Klim zaś jeszcze wczoraj znajdował się w sali tortur... Ale takie argumenty nie mogły przekonać Tani, próżno by od niej wymagać zrozumienia i współczucia.

Poddała się, dopiero kiedy Klim przypomniał jej o obowiązku pionierów, którzy zawsze powinni być silni i odważni.

– Lecimy teraz do Niemiec, a to państwo kapitalistyczne, w którym możemy się spodziewać niebezpieczeństw i prowokacji – powiedział surowo. – Powierzam ci opiekę nad Kitty. Cokolwiek by się działo, masz za zadanie odprowadzić ją w bezpieczne miejsce.

Tania otarła łzy i pokiwała głową.

– Dobrze.

Klim dał jej pięć marek i adres Seiberta na karteczce.

– Nikomu tego nie pokazuj. Tutaj znajduje się konspiracyjne mieszkanie i można tam poprosić o pomoc. Jesteś gotowa do walki?

– Zawsze gotowa! – odpowiedziała Tania i oddała pionierski salut.

Teraz lepiej... – pomyślał Klim. – Gdybym zmarł na zawał, dzieci przynajmniej zdołają dotrzeć do Niny.

W „Berliner Tageblatt” ukazała się mała notatka o tym, że drewno na niemieckie podkłady przygotowują sowieccy niewolnicy. Zaraz potem do Moskwy dotarł telegram od Seiberta: „Popelniacie błąd, zwlekając z kontrpropagandą. Opinia publiczna zainteresowała się pochodzeniem rosyjskiego drewna, a skutki tego mogą być trudne do przewidzenia”.

Z bólem serca Drachenblut wyasygnował kolejne dziesięć tysięcy dolarów i kazał Reichowi natychmiast lecieć do Niemiec.

Oscar miał nadzieję dotrzeć do Berlina jeszcze dzisiaj, ale kiedy wylądowali w Królewcu, Friedrich oznajmił, że coś stuka w silniku, i dalej zabierze ich niemiecki aeroplan, który wylatuje rano.

Klim i dzieci zanocowali w hotelu przy lotnisku, a Oscar z Jefimem pojechali do sowieckiego konsulatu.

Przez cały ten czas Reich nie przestawał myśleć o Ninie. Że też dał się tak omamić i uznał tę uzurpatorkę za prawdziwą baronesę! Trzeba było od razu wydać ją OGPU, a nie ryzykować, odgrywając scenę zazdrości. Gdyby ta kobieta miała ciut więcej siły, rozłupałaby mu czaszkę.

Z zeznań Elkina było wiadomo, że Kupina znajduje się w Niemczech. Co będzie, jeśli pójdzie do prasy i opowie dziennikarzom o życiu osobistym mister Reicha? Ninę należało znaleźć jak najszybciej i zneutralizować!

Ale jak szukać damulki, która nawet jeśli przyjechała do Niemiec, to na fałszywym paszporcie? To w Moskwie można przyjść do dowolnej instytucji, błysnąć legitymacją OGPU i od razu mieć wgląd we wszystko. W Berlinie nawet listy gości nie pokażą w hotelu bez prokuratorskiego nakazu. No i ile hoteli jest w takim wielkim mieście?

Konsul, ruchliwy czarnobrewy tłuścioszek, zaprowadził Oscara i Jefima do gabinetu wyłożonego jasnym drewnem.

– Zobaczcie, co dosłownie przed chwilą przyszło!

Podał Oscarowi szyfrogram, w którym informowano, że 13 listopada 1928 roku ze Związku Radzieckiego uciekł groźny przestępca, Klim Rogow, mąż i wspólnik Niny Kupiny.

– Ale przecież lecieliśmy jednym samolotem! – wykrzyknął Oscar i zaczął czytać na głos: – „Nakazuje się niezwłocznie zatrzymać Rogowa i odesłać go do ZSRS. Jeśli nie uda się go ująć żywym, należy zlikwidować. Jego ucieczka pokaże naszą bezradność i bardzo zaszkodzi reputacji Związku Radzieckiego. Należy użyć wszelkich środków do wykonania tego, co powyżej”.

– Nasz samolot się zepsuł, więc Friedrich wraca do Rosji – wymamrotał Jefim. – Rogowa trzeba wziąć natychmiast. Ilu macie wolnych żołnierzy?

Konsul pokręcił głową.

– Teraz ani jednego.

– Z dziećmi będzie kłopot. – Oscar się skrzywił. – Weźmiemy Rogowa nie tutaj, ale w Niemczech. Na pewno pojedzie do Kupiny, razem ich nakryjemy. Wyślijcie iskrówkę do placówki w Berlinie. Niech przyślą kogoś na lotnisko. Potem więźniów trzeba będzie odwieźć do Hamburga i wsadzić na radziecki statek. Stamtąd już nigdzie nie uciekną.

Rozdział 38

Reichsbank

Samolot zatoczył krąg nad niedawno wyremontowanym lotniskiem Tempelhof. Klim patrzył w okno na budynek ciągnący się wzdłuż pasów startowych i dziesiątki samolotów – począwszy od współczesnych aż po weteranów Wielkiej Wojny.

Kiedy wylądowali, samolot pomknął wzdłuż hangarów i oflagowanych wieżyczek. Silnik ucichł, a dwóch pracowników w ciemnoniebieskich kombinezonach podtoczyło do drzwi trap.

Klim zeskoczył na ziemię i pełną piersią nabrał chłodnego powietrza. Chwała Bogu, dotarli!

Tragarze zaczęli wyjmować z samolotu bagaże i kłaść je na wózki.

– Szczęścia życzę! – Oscar pomachał Klimowi i pospieszył do wysokich, przeszkłonych drzwi aeroportu. Jefim pobiegł za nim.

Klim wziął dziewczynki za ręce.

– Jak się macie?

Dzieci były oczywiście zmęczone, jednak ciekawość brała górę i Tania wielkimi oczami gapiała się na techników jeżdżących po płycie lotniska na małych ciężarówkach.

Strażnicy graniczni sprawdzili paszport Klima, celnicy pogrzebali w jego walizkach i powiedzieli, że wszystko jest w porządku. Miłego pobytu w Berlinie!

Klim odszukał stojak z mapą i znalazł na niej postój taksówek.

– O, rodacy! – zawołał po rosyjsku duży jasnowłosy chłop w grubym swetrze i watowanych spodniach. – Jestem Siergiej. Podwieźć was? Mam wolną taksówkę.

Nie czekając na zgodę, chwycił walizkę Klima.

– Chodźmy, stoję niedaleko. Z Moskwy lecicie? Ja jestem z Suzdału. Rodzice wywieźli mnie do Niemiec, jak byłem dzieckiem.

Gadając i śmiejąc się, Siergiej wyprowadził ich w pusty zaułek między dwoma hangarami, gdzie stał niewielki żółty samochód, ozdobiony wizerunkiem wylupiastookiego szczupaka i napisami po rosyjsku oraz niemiecku „Świeża ryba”. Obok stał krzepki mężczyzna ze złotymi zębami, w dłoniach dzierżył łom.

Klim rozejrzał się przestraszony. Ten wóz nie wyglądał na taksówkę. Gdzie ich Siergiej przyprowadził? Kim są w ogóle ci ludzie? Rabusiami?

Siergiej, jakby nigdy nic, umieścił walizki Klima na bagażniku dachowym.

– Proszę wsiadać, mister Rogow, trzeba jechać!

Skąd znał jego nazwisko?

Klim wziął Kitty na ręce.

– Tato, uciekajmy!

Ale nie zdążyli zrobić nawet kroku, gdy zza rogu wyszedł Jefim z rewolwerem w dłoni.

– Do samochodu, ale już! – rozkazał cicho.

Dziewczynki się rozplakały na dwa głosy ze strachu.

Siergiej i Jefim umieścili Klima między sobą na tylnym siedzeniu, a Tani kazali

wziąć Kitty i usiąść obok złotozębego kierowcy.

– Gdzie mieszka Kupina? – zapytał Siergiej.

Klim milczał z opuszczoną głową.

– Co ty myślisz, że będziemy się z tobą bawić?!

Siergiej chwycił Klima za ubranie na piersi, ten zaczął się wrywać, wywiązała się walka i dzieci zapłakały jeszcze głośniej.

Jefim wyjął z kieszeni kastet i uderzył Klima w potylicę. Rogow stracił przytomność.

Tania przyciskała do ramienia pochlipującą Kitty.

Kto ich złapał? Białogwardyjscy emigranci? No pewnie! Kto inny poszedłby na takie łajdactwo?

Samochód krążył po ulicach, a bandyci nie mogli się porozumieć, dokąd jechać. Czy do jakiejś tam placówki dyplomatycznej, czy od razu do Hamburga.

Tylko jeden raz Tania ośmieliła się zerknąć w tył. Wujek Klim leżał nieprzytomny pod nogami napastników. Oj, mamusiu... A może już nie żył?

– Jak teraz zdobędziemy adres Kupiny? – złościł się Siergiej. – Ktoś cię prosił, żebyś go bił?!

– A ty sam co niby zrobiłeś?!

– Wystarczy tych wrzasków! – warknął kierowca. – Decydujcie, gdzie jedziemy!

Bandyci zamilkli.

– Wał do Hamburga – polecił Jefim. – Przekażemy tam Rogowa, a potem się zastanowimy. Do placówki nie wejdziemy z dziećmi, za dużo będzie pisku.

Tania ukradkiem namacała zamek na drzwiczkach. Widziała kiedyś w kinie, jak działa.

Maszyna wyjechała na elegancką ulicę, zabudowaną wysokimi domami z balkonikami i rzeźbami. Huczały klaksony i odzywały się rowerowe dzwonki. Uliczni handlarze sprzedawali gazety, balony i – Boże kochany! – pomarańcze!

Nagle drogę zagroziła kolumna demonstrantów w mundurach podobnych do wojskowych. Mieli czapki, bryczesy i bluzy przecięte na krzyż pasami. Biły bębny, a w ich takt demonstranci wyrzucali co chwila w górę prawe ramiona z zaciśniętymi pięściami.

– Rot Front! – niosło się nad ulicą.

– Przecież to Czerwony Związek Frontowców! – wykrzyknęła Tania. – Bojowe ramię Komunistycznej Partii Niemiec!

Demonstranci stanęli, wstrzymując zupełnie ruch. Złotozęby wychylił się przez okno, żeby sprawdzić, ile im przyjdzie czekać.

– Cholera, utknęliśmy na dobre! – zaklął.

Tania pociągnęła chromowaną rączkę w drzwiach i obie z Kitty wypadły na ulicę.

– Chodu! – krzyknęła Tania.

– Dokąd?! – wrzasnął kierowca. – Zabiję!

Pognał za dziewczynkami, ale one rzuciły się naprzód przez szeregi demonstrantów i szofer został z tyłu.

– Tatuś tam został! – płakała Kitty, ale Tania ciągnęła ją za sobą.

Zadyszane i zapłakane, zatrzymały się przed dziwnym gmachem, przypominającym grecką świątynię.

Obok nich przechodzili wyfraczeni biznesmeni z żonami, na tabliczkach i drogowskazach Tania nie widziała choćby jednego zrozumiałego słowa. I po co tyle

czasu uczyła się w szkole niemieckiego?!

Wszystko było obce. Na chodniku stał kataryniarz i coś fałszywie śpiewał. Dwóch żołnierzy w głupich hełmach kupowało kiełbaski na ulicznym ruszcie. Tylko jedno wyglądało znajomo – gołębie. Ale one dziobały białą bułkę! Kto mógł wyrzucić taki smakołyk?!

Kitty nieustannie płakała na jednej nucie.

– Cicho bądź, proszę! – zirytowała się Tania.

Wyjęła z kieszeni zapisek, który dostała od wujka Klima. Powiedział, że pod tym adresem znajda schronienie. Ale w którą stronę pójść? Wokół sami Niemcy, nie ma nawet kogo o drogę zapytać.

Wąsaty starszy mężczyzna z wiadrem kleju i rulonem pod pachą podszedł do słupa ogłoszeniowego i zaczął na nim naklejać plakat z czerwoną gwiazdą i napisem: „Kommunistische Partei Deutschlands”. Te słowa Tania знаła. Oznaczały Komunistyczną Partię Niemiec.

Najwidoczniej ten człowiek był proletariuszem! Podbiegła do niego.

– Kamerad... Ja tego... Ich habe... Haus... Oj, nie wiem, jak to będzie po niemiecku.

– To mów po rosyjsku. – Stary się uśmiechnął.

Tania z początku się przestraszyła. A jeśli ten człowiek okaże się takim samym zdrajcą jak Siergiej? Ale miał taką dobrą twarz...

– Wujaszku najmilszy! Jesteście komunistą?

Mężczyzna zerknął na plakat.

– Bóg z tobą, dziecko! Płacą mi, to wiem. Muszę utrzymać rodzinę.

Też biały emigrant – pomyślała z przerażeniem Tania. – Upadły, pozbawiony zasad człowiek z poprzedniej epoki.

– A czego byś chciała?

Tania na chwilę skamieniała w niepewności, ale wreszcie pokazała kartkę z adresem.

– Jak mamy tam dojechać?

Stary wyjął z kieszeni okulary, założył je i przeczytał adres.

– Idź do metra.

– Jakiego metra? Gdzie ono jest? – przestraszyła się Tania. – Zabłądziłyśmy! Dopiero co przyjechałyśmy do tego miasta i nic nie wiemy.

Stary chwycił wiadro z klejem i kazał im iść za sobą do drzwi „świątyni”.

– Tu jest metro. Chodźcie, zaprowadzę was.

Weszli do środka i Tania oniemiała ze zdumienia. Dach stacji był ze szkła, docierało przezeń światło słoneczne. Na wyłożonych glazurą ścianach wisiały reklamy kabaretów i towarów sportowych. W kioskach, ustawionych wzdłuż ścian, sprzedawano chyba wszystko.

Stary pomógł Tani kupić bilety i wytłumaczył, dokąd iść i jak rozpoznać stację.

– Dziękuję! – powiedziała Tania i poprowadziła Kitty w dół po schodach.

Nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Jeszcze wczoraj siedziała w szafie i opłakiwała swoje nieszczęśliwe życie, a dzisiaj razem z Kitty znalazły się pod

ziemią, pod miastem Berlin. W dodatku same, bez dorosłych!

Wyszły na skąpo oświetlony peron i usiadły na ławce.

Z pewnością staruszek był jednak komunistą. Białoogwardzista nigdy by nie pomógł obcym dzieciom. Po prostu nie znał Tani i jej nie ufał, przecież w Berlinie pełno było emigranckich paniczyków i marnych faszystów.

Obok z hałasem przejechał pociąg i dziewczynki zasłoniły uszy. Stojący opodal uczniowie zaczęli się śmiać i pokazywać je sobie palcami.

– Ja chcę do tatusia! – chlipnęła Kitty.

Tania ścisnęła jej rękę.

– Nie tchórz, znajdziemy go. Jesteśmy dzielnymi pionierami!

Wsiadły do kolejki i długo jechały, tak jak mówił Rosjanin.

Nagle skład wyskoczył spod ziemi i oślepiające słońce wypełniło wagon. Obok przesuwały się stare niemieckie domki, parki i sklepy, a wreszcie pociąg wtoczył się na końcową stację.

Tania i Kitty zeszły z odkrytego peronu i się rozejrzały.

– Tam musimy iść – powiedziała Tania, wskazując kolorowe domy mieszkalne. – Zaraz kogoś zapytamy, dokąd dalej. Ostatecznie palcem nam pokażą.

Oscar Reich przysłał dwa telegramy zaraz po sobie. W jednym obiecywał przywieźć pieniądze we wtorek, a w drugim przepraszał i prosił o przeniesienie spotkania na następny dzień o piątej.

W środę rano Seibert zasiadł do maszyny i zaczął pisać duży artykuł o obozach pracy. Postanowił, że jeśli Oscar dzisiaj nie przyniesie dolarów, jutro ten materiał pójdzie do druku.

Artykuł okazał się tak poruszający, że Seibert miał ochotę pochwalić się nim przed Niną. Oczywiście nie była w stanie docenić urody języka niemieckiego, ale nawet w tłumaczeniu tekst robił wrażenie.

Kilka dni temu Nina dostała telegram od Magdy z napomknieniem o aresztowaniu Klima i od tej pory każdego ranka jeździła do Charlottenburga. Seibertowi mówiła, że szuka pracy, ale nie bardzo jej wierzył. Ta damulka miała takie skłonności, że raczej próbowała zwerbować białogwardyjskich bandziorów, którzy zgodziliby się przejść z nią przez granicę i wysadzić w czorty Łubiankę.

Wybiła jedenasta i dziennikarz uznał, że najwyższy czas się pokrzepić. Za rogiem była piękna restauracja, w której podawali pieczone kiełbaski i kapustę z jabłkami.

Seibert włożył płaszcz i kapelusz, owinął się szalikiem, jednak ledwie otworzył drzwi, gdy do mieszkania wpadła Nina w towarzystwie Kitty i jakiejś nieznanej Niemcowi dziewczynki w paltociku z wiewiórkami.

– Heinrichu, jedziemy ratować Klima! – oznajmiła Nina i wzięła z półki kluczyki do mercedesa.

– Nie ruszać! – krzyknął Seibert, ale go nie słuchała.

– Taniu, zostańcie z Kitty tutaj, a my postaramy się odzyskać wujka Klima. Nikomu nie otwierajcie!

Nieznajoma dziewczynka skinęła głową, a Nina wywlokła Seiberta z mieszkania.

– Klim jest w Berlinie – mówiła z żarem. – Złapali go bandyci i wiozą do Hamburga.

– Jacy bandyci? O czym pani mówi?!

Nina wzięła Seiberta za rękę i z nieoczekiwaną siłą sprowadziła po schodach.

– Może zdołamy ich dogonić, bo utknęli po drodze. Jadą żółtym samochodem z malunkiem szczupaka.

– Proszę oddać kluczyki! – krzyknął Seibert.

Nina spojrzała na niego oszalałym wzrokiem.

– I tak pojedę, z panem czy bez pana! Rozbiję wóz, to trudno! Ale nie zdoła pan mnie powstrzymać!

Puściła się biegiem, a Seibert prawie z płaczem podążył za nią. Ta nienormalna baba mogła zniszczyć jego ukochany automobil!

Małeńki biały mercedes pędził szosą, wyprzedzając ciężarówki, niezgrabne rodzinne samochody i lekkie chłopskie bryczki.

Siedzący za kierownicą Seibert to narzekał, to klął Ninę po niemiecku. Nie słuchała go, tylko przypatrywała się wszystkim samochodom po drodze.

Nie miała planu ani najmniejszego pomysłu na to, jak uratować męża. Nie zdążyła nawet wypytać dziewczynek, co się właściwie stało. Tania powiedziała tylko, że złapali ich na lotnisku i że człowiek o imieniu Jefim uderzył Klima w głowę, a on stracił przytomność.

Nina nie miała wątpliwości, że porwanie zorganizował Oscar. W Hamburgu miał swoje biuro i magazyny, na pewno właśnie tam zamierzał ukryć Klima. Jak go znaleźć? Wezwać na pomoc policję? Ale zanim zestawią wszystkie meldunki i wypiszą rozkazy, Klim albo już zginie, albo zostanie przewieziony na redę i umieszczony na pokładzie sowieckiego statku. Tam żadna policja już nic nie poradzi.

– Szybciej! Szybciej! – powtarzała Nina, chwytając Seiberta za łokieć.

A on patrzył na nią z nienawiścią.

– Pani co, chce wylądować w rowie? Jak ci?! – Wskazał żółty samochód, który zjechał z drogi w pole. Na boku miał wymalowanego szczupaka.

– Stać! – krzyknęła Nina.

Zapisały hamulce i mercedes stanął na poboczu.

– To oni! – powiedziała Nina z drżeniem. – Proszę, niech pan do nich podejdzie i zapyta, co się stało!

– Sama niech pani idzie! – warknął Seibert. – Nie mam co robić, tylko się spoufalać z bandziorami!

– Ja nie mogę. Jefim mnie zna.

– Boże, za co mnie to spotyka?! – jęknął dziennikarz, ale wysiadł z auta i podszedł do żółtego samochodu.

Nina ukryła twarz w dłoniach. Żeby tylko Klima nie zabili... żeby go nie zabili!

Po kilku strasznych minutach Seibert wrócił.

– Też mi bandyci! – wyrzekał. – Ledwie toto po niemiecku mówi, kierować nie umie!

– Jest tam Klim? – przerwała mu Nina.

Seibert sięgnął pod siedzeniem, wyjął zwiniętą linę.

– A skąd mam wiedzieć? Pewnie jest. Nie widzę zupełnie, co się dzieje w kabinie.

Wziął się pod boki i spojrzał surowo na Ninę.

– Jest tak. Ci Rosjanie proszą, żeby wziąć ich na hol i zawieźć do biura Oscara Reicha. Nie wiedzą, gdzie się dokładnie znajduje, nigdy tam nie byli. A ja zrobię inaczej. Zawiozę was wszystkich na najbliższy posterunek policji, a potem won z mojego auta i więcej mi się na oczy nie pokazywać!

– Jeżeli Jefim się zorientuje, że został oszukany, może zastrzelić Klima!

– To co pani proponuje? Żeby z nimi walczył? Proszę podziękować, że w ogóle pani pomagam!

– Dziękuję – powiedziała Nina drżącym głosem.

– No to niech pani siedzi cicho!

Seibert umocował hol, usiadł za kierownicą i wyciąg-nął żółty wóz na szosę.

– Dobrze zna pan Hamburg? – zapytała Nina.

– Znam – odburknął. – A co?

– Mam pewien pomysł. Myślę, że będzie lepiej, jeśli nie pojedziemy na policję.

– No, ocknął się! – powiedział Siergiej, trącając Klima butem.

Rogow uniósł obolałą głowę.

– Gdzie dzieci?

Siergiej z Jefimem wymienili spojrzenia.

– W bezpiecznym miejscu.

Znów posadzili Klima między sobą. Obmacał rozbitą potylicę. Włosy miał zlepione krzepnącą krwią, a pod raną rósł wielki guz.

Przed oczami wszystko mu pływało, myśli plątały się i nie od razu spostrzegł, że silnik nie pracuje, a samochód mocno nosi na boki. Z przodu majaczył elegancki biały wóz z podniesionym skórzanym dachem. Najwyraźniej ich holował.

Klim nic już nie rozumiał. Gdzie byli? Dokąd jechali? Wzdłuż drogi ciągnęły się betonowe ogrodzenia i ponure budynki hal przemysłowych.

Boże kochany, zaraz zawiozą go do jakiejś porzuconej fabryki i zaczną wyciągać z niego adres Niny...

Dzielnice fabryczne zamieniły się w zwykłe domy z wieżyczkami, wiatrowskazami i rudą dachówką.

Jadący z przodu samochód pokonał most i zahamował przed jasnoszarym budynkiem, ozdobionym reliefami i rzeźbami. Siergiej wychylił się przez okno.

– To jest biuro Reicha?

– No przecież tam napisali „Reichs”! – rzucił kierowca, wskazując wielki napis pod dachem.

Jefim przykrył płaszczem rękę z rewolwerem i założył Klimowi kapelusz, żeby nie było widać rany na głowie.

– Wyłaż! – rozkazał. – Jeśli zaczniesz kombinować, dostaniesz kulkę. Jasne?

Klim z trudem wysiadł i się rozejrzał. Drzwi budynku były otwarte, pojawiali się w nich liczni klienci, ubrani w drogie płaszcze z futrzanymi kołnierzami. Na tle błękitnego nieba powiewała czarno-czerwono-żółta flaga, a pod nią, na półokrągłym frontonie pysznił się herb, z którego jednej strony napisane było „Reichs”, a z drugiej „Bank”. Gmach nie miał nic wspólnego z Reichem, był oddziałem centralnego banku Niemiec!

– Naprzód! – Jefim popchnął Klima.

Przeszli obok białego samochodu, w którym siedziała kobieta. Miała głęboko nasunięty na oczy kapelusz. A za kierownicą był – Boże zmiłuj się! – Seibert!

– *Danke*. – Siergiej z Jefimem pomachali im.

Seibert uśmiechnął się krzywo.

Weszli do sali ozdobionej mozaikowymi kolumnami i ośmiokątnymi lampami. Wszędzie snuli się urzędnicy z teczkami w rękach.

– Zdaje się, że to nie tutaj – wymamrotał Jefim.

Z tyłu rozległ się stukot damskich bucików. Klim się obejrzał i zobaczył Ninę z Seibertem.

– Ręce do góry! To napad! – zawołał Niemiec wysokim głosem.

Klim pchnął Jefima i padł na podłogę. Huknął strzał, zawyły syreny, kobiety zaczęły piszczeć i w tej chwili wszystkie wyjścia zablokowały stalowe kraty.

Rabusiów – pięciu mężczyzn i jedną kobietę – skuli strażnicy, a po dziesięciu minutach zjawili się policjanci i przy aplauzie publiczności wyprowadzili aresztowanych.

Klim uśmiechał się, patrząc na Ninę – dziwnie prezentowały się na niej kajdanki.

– Uratowaliście mnie z Seibertem, to prawda, ale teraz wsadzą nas na dziesięć lat.

– Dobrze by było, gdyby w jednej celi i bez Seiberta – odparła, starając się zachować fason.

Epilog

Tym razem to Seibert nie przyszedł na spotkanie z Reichem. Wieczorem zadzwonił i powiedział, że musiał wyjechać w interesach do Hamburga.

Następnego dnia Oscar dowiedział się szczegółów z gazet. Z wiadomości wynikało, że Seibert uratował dwoje białych emigrantów – Klima Rogowa i jego żonę – na których polowali czekiści z fałszywymi paszportami i nielegalnie wwiezioną bronią.

Reich wychodził z siebie ze złości. Sam tego nie wiedząc, Seibert wystawił go na cios. Przez jego działanie policja schwytała Jefima, a ten mógł powiedzieć śledczym, kto jest jego mocodawcą.

Oscar wymyślił nowy plan – przyłapać Seiberta na przyjmowaniu łapówki i przycisnąć go, żeby zmienił zeznania. Niech powie, że Rogow i Kupina to oszuści, którzy niesłusznie oskarżyli pracowników sowieckiego poselstwa i zmusili Seiberta, aby zrobił to samo. Biali emigranci mieli w Niemczech kiepską reputację, więc przy umiejętnym podejściu można ich było oskarżyć o cokolwiek.

Sekretarz cały dzień wydzwaniał do Seiberta, aż wreszcie Niemiec się odezwał.

– Jest pan w Berlinie? – zapytał Reich. – W takim razie spotkajmy się i załatwmy nasze sprawy. Może pan podjechać do mojego hotelu?

Seibert jednak odpowiedział, że nie ma zamiaru jeździć po mieście z taką sumą, dlatego lepiej będzie spotkać się w oddziale Deutsche Banku i od razu włożyć pieniądze do skrytki.

– Dobrze, proszę być o piątej – burknął Oscar. – Zamówię dla nas pokój i będę czekać.

Osobiście przeliczył pieniądze i sprawdził wypisane numery, a potem zadzwonił do prywatnego detektywa nazwiskiem Koch i paru oswojonych dziennikarzy, każąc im także zjawić się w Deutsche Banku.

– Proszę dopilnować, żeby obok pokoju, w którym będziemy prowadzić rozmowy, było jeszcze jedno pomieszczenie – przykazał Reich sekretarzowi. – Drzwi mają zostać lekko uchylone, żeby było słyhać, o czym się mówi.

Seibert przybył punktualnie.

– Oto suma, której pan żądał – powiedział Oscar, wyjmując pieniądze z teczki.

Seibert przeliczył dolary i wyszedł, żeby włożyć banknoty do skrytki. Wrócił po paru minutach.

– Dziękuję! Sprawa załatwiona, a teraz możemy omówić plan działań.

Drzwi do przyległego pokoju się otworzyły i wbiegł przez nie Koch – ponury czterdziestoletni mężczyzna w porządnym garniturze i miękkim kapeluszu.

– Jestem prywatnym detektywem i zostałem wynajęty, abym stał się świadkiem wymuszenia. Numery banknotów, które przed chwilą dostał pan od Reicha, zostały spisane. Mamy trzech świadków, którzy mogą wszystko potwierdzić.

– Proszę mi wybaczyć, ale co właściwie chce pan potwierdzać? – zapytał Seibert z niedowierzaniem. – Mister Reich przekazał pieniądze Towarzystwu Pomocy Niemcom

z Powoźza, żebyśmy mogli ich przetransportować statkiem do Kanady. Właśnie opłaciłem rachunek spółki transportowej i tyle.

Oscar wyskoczył zza biurka.

– Jakie Powoźze?! Jaki transport?!

– Sam pan przecież chciał, żebym pomógł panu zyskać dobrą reputację w Niemczech. No to właśnie pomagam.

Stojący w drzwiach dziennikarze wyciągnęli notesy.

– Niczego nie piszcie! – syknął Oscar, a potem chwycił Seiberta za ramię i wyprowadził go.

– Załatwię cię, rozumiesz?! – wyszeptał jadowicie, kiedy zostali sami.

Seibert delikatnie go odsunął.

– To nie będzie w pańskim interesie. Jeżeli zacznę podupadać na zdrowiu, pan zacznie mieć poważne problemy ze spadkiem po baronie Brehmerze. Nina Kupina opowiedziała mi o pewnych faktach dotyczących pańskiej biografii.

– Co to ma być? Szantaż?!

– A idź pan do diabła! To tylko przypomnienie, że przedsiębiorczy ludzie powinni dogadywać się ze sobą.

Oscar chciał coś powiedzieć, nie umiał jednak znaleźć odpowiednich słów.

Seibert siedział w jadalni i robił bilans.

Historia z powołańskimi Niemcami miała ciąg dalszy, mógł więc na niej zbijać polityczny kapitał. To wielki plus.

Spółka transportowa zapłaciła Seibertowi komisowe za fracht i to był także plus.

Udało mu się porozumieć z Reichem. Oscar zrozumiał, że Heinrich postąpił słusznie, czyniąc go obrońcą Niemców za granicą. Umowa o sprzedaży rosyjskiego drewna została ratyfikowana, a duży artykuł o obozach śmierci zniknął w sejfie.

Minusów też nie brakowało i Seibert zamierzał wystawić za nie rachunek panu Rogowowi. Policja zatrzymała Klima i Ninę w Hamburgu i ci tłumaczyli się jeszcze, kim są i po co przyjechali do Niemiec. A Seibert musiał się zajmować ich dziećmi.

Dziewczynki doprowadzały go do szału. Starsza wygłaszała kazania o szkodliwości kapitalizmu oraz ikon, a młodsza malowała obrazki i ikony na tapetach.

Seibert podliczył, ile go kosztowało jedzenie, mydło, węgiel i nowe skarpetki dla Tani. Kwota okazała się spora.

Rozległ się tupot i do jadalni wpadły Tania i Kitty.

– Wujku, potrzebny nam zaraz zły i chciwy książę-kapitalista! – wołały jedna przez drugą.

Seibert wsunął kartkę z rachunkami do kieszeni.

– Zostawcie mnie w spokoju! Nie mam żadnych książąt na składzie!

Dziewczynki spojrzały na siebie.

– Właśnie o to chodzi! – ucieszyła się Tania. – Brzmi bardzo kapitalistycznie. Znalazłyśmy tam złoto, a wujek powinien na nim usiąść i się bać!

– Jakie złoto? – przestraszył się Seibert.

Przypomniał sobie o kolekcji carskich monet schowanych w pozytywce i zrobiło mu się niedobrze. Czyżby dzieci je znalazły?

– Niczego nie ruszajcie! – krzyknął rozpaczliwie. – Złoto to nie zabawki!

– Ale przecież innych zabawek tutaj nie ma – powiedziała Kitty.

Odezwał się dzwonek i Seibert pobiegł otwierać, mając szczerą nadzieję, że to Klim z Niną.

Rzeczywiście to byli oni – zmarnowani, wzburzeni i najwyraźniej szczęśliwi.

– Mama i tata! – zapiszczała Kitty.

Seibert nie przeszkadzał im w powitaniach i wymianie bezsensownych okrzyków. Wyszedł na balkon, zapalił i wyjął rachunek za usługi oddane Klimowi, żeby jeszcze raz przejrzeć listę.

Na dole Frau Hausbald zamiatała spadły przez noc śnieg. Na jej widok Seibert zapomniał o wszystkim na świecie i z wrażenia wypuścił rachunek z dłoni. Wiatr pochwycił karteczkę i rzucił pod nogi kobiecie.

– Zdaje się, że pan to upuścił – powiedziała Frau Hausbald. – To pańskie?

Pokręcił głową.

– Nie, nie moje. Proszę to po prostu wyrzucić.

Jeszcze tylko brakowało, żeby sąsiadka przeczytała, co tam jest, i pomyślała, że

Heinrich jest chciwcem i skąpcem.

– Mogę poznać pani imię? – zapytał Seibert. – Już kilka miesięcy mieszkamy obok siebie i nawet nie wiem, jak się do pani zwracać. Ja jestem Heinrich.

– A ja Gertruda.

Seibert uśmiechnął się szeroko. W Związku Sowieckim imię to odczytywało się jako „Gieroina Truda”, czyli „Bohaterka Pracy”.

Gdy tylko nieproszeni goście wyjadą, zaproszę ją na kakao – postanowił.

15 października 2009 – 12 sierpnia 2015

O AUTORCE

Urodziłam się w 1975 roku w Niżnym Nowogrodzie, w rodzinie, w której czas i pieniądze tracono na książki.

Moja młodość przypadła na okres przemian, dotychczasowe wartości legły w gruzach, a nowych nikt nie umiał wymyślić. Jeździłam konno, upajałam się pamiętnikami Ariadny Tyrkovej-Williams i starałam się nie patrzeć w stronę telewizora. Najciekawszym miejscem były dla mnie biblioteki z ich żeliwnymi schodami, tajemniczymi piwnicami i nieporównywalnym z niczym zapachem starych foliałów.

Pracowałam jako adwokat, wykładałam na uniwersytecie, w wolnym czasie zaś pisałam. To była długa i kręta droga, ze wzlotami, upadkami i reinkarnacjami.

Mój zawód to coś pośredniego między archeologią i alchemią. Wyciągam na boży świat dawno zapomniane materiały i mieszając niezliczone ingrediencje, poszukuję kamienia filozoficznego.

Kiedy napotykam nowy temat, wyruszam w drogę – do Chin, Argentyny albo Rosji – i starannie badam źródła, chodzę „po tych samych ulicach”, oddycham „tym samym powietrzem”, a potem wszystko umieszczam w książkach. Każda powieść to zbiór odkryć, którymi pragnę się podzielić z czytelnikiem, tchnąć w niego własną namiętność. Właśnie dlatego tracę wolny czas na pisanie. W pewnym sensie to wyprawa za siedem gór i rzek po żywą wodę, przezwyciężanie trudności, a w końcu wielkie szczęście.

Obecnie mieszkam w Kalifornii, na przedmieściu Los Angeles. Życie upływa mi na siedzeniu w białym fotelu, przy biurku, przed dwoma ekranami i klawiaturą. Pracuję po osiem, dziesięć godzin dziennie, nie zawsze mając kontakt z rzeczywistością, a wynurzam się ze swoich światów tylko po to, żeby zaczerpnąć powietrza i powrócić w głębinę.

Moja oficjalna strona: www.baryakina.com

A na stronie www.avtoram.com możecie zapoznać się z moimi wykładami i artykułami na temat pisarskiego rzemiosła oraz biznesu.